

ŚLADY



ZBRODNI

Bestseller
NEW YORK TIMESA

DAVID
BALDACCI
W PUŁAPCE
PAMIĘCI

W
WYDAWNICTWO
DOLNOŚLĄSKIE

**DAVID
BALDACCI**

**W PUŁAPCE
PAMIĘCI**

Przełożyła z angielskiego
Beata Hrycak



WYDAWNICTWO
DOLNOŚLĄSKIE

WROCLAW 2016

Tytuł oryginału *Memory Man* Projekt okładki MARIUSZ
BANACHOWICZ Fotografia na okładce © Carlos
Caetano/Shutterstock Redakcja IWONA GAWRYŚ Korekta IWONA
HUCHLA Redakcja techniczna ADAM KOLENDA Copyright © 2015
by Columbus Rose, Ltd. Polish edition © Publicat S.A. MMXVI (wydanie
elektroniczne) Wykorzystywanie e-booka niezgodne z regulaminem
dystrybutora, w tym nielegalne jego kopiowanie i rozpowszechnianie, jest
zabronione. All rights reserved. Wydanie elektroniczne 2016 ISBN



978-83-271-5540-5

WYDAWNICTWO
DOLNOŚLĄSKIE

jest znakiem towarowym Publicat S.A.

Publicat S.A.

61-003 Poznań, ul. Chlebowa 24

tel. 61 652 92 52, fax 61 652 92 00

e-mail: office@publicat.pl, www.publicat.pl

Oddział we Wrocławiu

50-010 Wrocław, ul. Podwale 62

tel. 71 785 90 40, fax 71 785 90 66

e-mail: wydawnictwodolnoslaskie@publicat.pl

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej



Spis treści
Dedykacja

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

39

40

41

42

43

44

45

46

47

48

49

50

51

52

53

54

55

56

57

58

59

60

61

62

63

64

65

Podziękowania

Przypisy

Tomowi i Patti Maciagom –

Naprzód! Dobrej zabawy.

Zasłużyliście na to!

Amos Decker na zawsze zapamięta widok całej trójki brutalnie pozbawionej życia, przesłonięty makabrycznym niebieskim filtrem. Ten kolor będzie wbijać mu się w świadomość w nie-przewidywalnych momentach, niczym nóż rzeźniczy wykonany z barwnego światła. I prześladować go już na zawsze.

Obserwacja była długa i w rezultacie bezowocna. W drodze powrotnej do domu z utęsknieniem myślał o zdrzemnięciu się przez parę godzin, zanim znów wyjdzie na czaty. Zatrzymał się na podjeździe przed skromnym piętrowym budynkiem obłożonym panelami elewacyjnymi z plastiku. Dom liczył sobie dwadzieścia pięć lat, a jego spłata miała zająć przynajmniej drugie tyle. Zrobiło się ślisko od deszczu, a gdy buty w rozmiarze czterdzieści osiem zetknęły się z nawierzchnią chodnika, Decker najpierw stracił równowagę, zanim odzyskał stabilność. Delikatnie zatrzasnął drzwiczki samochodu, przekonany, że wszyscy w domu smacznie śpią o tak późnej porze. Powłókł się do siatkowych drzwi kuchennych i wszedł do środka.

Ciszy należało się spodziewać. Ale nie aż tak martwej ciszy. Wtedy nie zwrócił na to uwagi i później zachodził w głowę, jak to się stało. Była to jedna z jego licznych porażek tamtej nocy. Przystanął w kuchni i nalał sobie szklankę wody z kranu. Wypił duszkiem, odstawił szklankę do zlewu, otarł brodę i ruszył w stronę pokoju.

Pośliznął się na podłodze i jego zwaliste ciało runęło na ziemię. Już kiedyś przewrócił się na tym gładkim, ułożonym w jodełkę parkiecie. Jednak tym razem było zupełnie inaczej, a to za sprawą tego, co po chwili zobaczył. Wpadające przez okno światło księżyca wystarczało, by wyraźnie widzieć w ciemności.

Kiedy podniósł dłoń, miała zmieniony kolor.

Czerwony. Jak krew.

Krew skądś się tu wzięła. Wstał z podłogi, żeby sprawdzić skąd.

Natknął się na jej źródło w sąsiednim pokoju. Johnny Sacks. Jego szwagier. Wielkie, przysadziste chłopisko postury Deckera leżało jak kłoda. Decker pochylił się, uklęknął, zbliżył twarz do głowy Johnny'ego. Szwagier miał poderżnięte gardło. Od ucha do ucha. Sprawdzanie pulsu było zbędne, nie dałoby się go wyczuć. Prawie cała krew wypłynęła na podłogę.

Decker powinien był od razu wyciągnąć telefon i wybrać 911. Przecież znał zasady. Wiedział, jak postępować na miejscu zbrodni, którym stał się właśnie jego dom ze względu na obecność denata. Teraz było tu jak w muzeum, niczego nie wolno dotykać. Tak nakazywał profesjonalizm.

Ale znalazł tylko j e d n o ciało. Jego wzrok natychmiast padł na schody, myśli Deckera pogalopowały i ogarnęła go totalna panika – przecucie, że los właśnie ograbił go ze wszystkiego. Puścił się pędem, rozbryzgując kałuże krzepnącej krwi, tak jak fale rozpryskują się na morskim brzegu.

Niszczył ważne dowody, po mistrzowsku rozwalając wszystko to, co powinno pozostać nietknięte. Miał to gdzieś.

Idąc po krwawych śladach, sadił w górę po trzy stopnie naraz. Dyszał, serce waliło mu jak młotem, spęczniałe od pompowanej krwi, cud, że nie rozsadziło mu klatki piersiowej. Umysł miał jak sparaliżowany, ale jego kończyny poruszały się nadal, jakby niezależnie od jego woli.

Wpadł do korytarza, odbił się najpierw od jednej ściany, potem od przeciwległej i rzucił się do pierwszych drzwi na prawo. Nie wyciągnął broni, nie zawracał sobie głowy myślą, że zabójca może nadal tam być. I czekać na powrót Deckera do domu.

Naparł ramieniem na drzwi i rozejrzał się wokół z obłędem w oczach.

Pusto.

Nie, nieprawda.

Zastygł w progu, ponieważ nikłe światło lampki nocnej padało na bosą stopę sterczącą nad materacem w głębi pokoju.

Znał tę stopę. W ciągu wielu lat tyle razy trzymał ją w dłoniach, masował, czasem całował. Była długa, wąska, ale mimo to miała w sobie jakąś filigranowość, palec sąsiadujący z paluchem był odrobinę dłuższy, niż powinien. Na kostce żyły, od spodu odciski, paznokcie pomalowane na czerwono, wszystko jak należy – z tym wyjątkiem, że nie powinna tak wystawać znad materaca w środku nocy. Oznaczało to bowiem, że reszta ciała leży na podłodze, a niby dlaczego, chyba że...

Podszedł bliżej i spojrzał w dół.

Cassandra Decker – zwana przez wszystkich, a przede wszystkim przez niego, Cassie – patrzyła w górę, rozciągnięta na podłodze. Cóż, patrzeć w zasadzie już nie mogła. Niepewnie ruszył w jej stronę, stanął obok i powoli przyklęknął, kolana obciążone niebieskimi dżinsami spoczęły w kałuży krwi, która zebrała się wokół ciała.

J e j k r w i.

Szyja bez skazy, żadnej rany. Nie stąd wypłynęła krew. Jej źródłem była rana na czole.

Pojedyncza kula. Wiedział, że nie powinien tego robić, ale uniósł głowę Cassie i przytulił do swojej falującej piersi. Długie ciemne włosy żony rozsypały mu się na ramieniu niczym zmrożona grzywa potężnej fali. Okrągły punkt na czole szerniał i pokrył się pęcherzami od gorącego naboju.

Rana postrzałowa poprzedzona krótkim, trwającym ledwie sekundę pocałunkiem lufy, zanim pocisk położył kres życiu. Spała? Zdażyła się przebudzić? Czy wytrzymałaby przeraźliwy widok stojącego nad nią zabójcy? Snuł te rozważania, po raz ostatni trzymając Cassie w ramionach.

Ułożył ją tak, jak zastał. Wpatrywał się w bladą twarz, z której uszło całe życie, w okopconą plamę pośrodku czoła. Miało to być jego ostatnie wspomnienie

żony, kropka postawiona na końcu zdania.

Na końcu wszystkiego.

Wstał, chwiejąc się na zdrętwiałych nogach, wyszedł z pokoju i ruszył korytarzem w stronę jedynej sypialni, która pozostała do sprawdzenia.

Nie wyważał drzwi. Już się nie spieszył. Wiedział, co zobaczy. Jedyne, czego nie wiedział, to jaką metodą posłużył się morderca tym razem.

Najpierw nóż. Później broń palna.

W pokoju jej nie było, została jeszcze przylegająca do sypialni łazienka.

Pałała się górna lampa, rzęsiście oświetlając pomieszczenie. Zabójcy wyraźnie zależało, by Decker dokładnie widział ostatnią ofiarę. Siedziała na sedesie. Przywiązana do rezerwuaru paskiem od szlafroka, bo inaczej zsunęłaby się na podłogę. Podszedł bliżej.

Tym razem się nie pośliznął. Nie było krwi. Na ciele córeczki nie zauważył żadnych ran. Przysunął się i dostrzegł na jej szyi ślady po wiązaniu, paskudne przebarwienia, jakby ktoś ją w tym miejscu oparzył. Może użył paska. Może zrobił to gołymi rękami. Decker nie potrafił określić, nawet nie próbował. Śmierć przez uduszenie nie należy do bezbolesnych. Jest nieznośnym cierpieniem. Czymś przerażającym. Dziewczynka musiała patrzeć oprawcy prosto w twarz, gdy ten powoli wyciskał z niej życie.

Za trzy dni Molly skończyłaby dziesięć lat. Przyjęcie urodzinowe było zaplanowane, goście zaproszeni, prezenty kupione, tort czekoladowy zamówiony. Wziął wolne, żeby pomóc Cassie, która pracowała na pełnym etacie, a do tego zajmowała się niemal wszystkim w domu, ponieważ godziny jego pracy daleko odbiegały od biurowych. Nawet sobie z tego żartowali. Cóż on wie o prawdziwym życiu? O codziennych zakupach? Płaceniu rachunków? Chodzeniu z Molly do lekarza?

Jak się okazało – nic. Absolutnie nic. Był ciemny jak tabaka w rogu.

Usiadł na podłodze przed martwą córeczką i skrzyżował długie nogi, tak jak robiła to Molly, przyciskając podeszwy do wewnętrznej strony ud. Był dość gibki jak na mężczyznę słusznej postury. Pozycja lotosu, pomyślał jak przez mgłę. Albo coś w tym rodzaju. Nie miał pojęcia, dlaczego przyszło mu to do głowy. Uświadomił sobie, że pewnie jest w szoku.

Molly miała szeroko otwarte oczy, patrzyła, ale go nie widziała. Tak jak jej mama. Już nigdy go nie zobaczy.

Decker nie ruszał się z miejsca, kołysał się w przód i w tył ze wzrokiem utkwionym w dziecku, ale w gruncie rzeczy go nie dostrzegając. Jego mała córeczka także go nie widziała, to było jasne jak słońce.

A więc tak. Nie mam już nic. Nie zostanę tu sam. Nie dam ra-dy.

Wyjął z kabury kompaktowy dziewięćmilimetrowy pistolet i odciągnął zamek, chcąc upewnić się, że nabój jest w komorze. Trzymał broń w złączonych

dłoniach. Małe cacuszko. Precyzyjne, z wystarczającą siłą rażenia. Nigdy nikogo z niego nie zastrzelił. Ale chciał.

Spojrzał na muszkę i celownik. Ileż to strzałów oddanych na policyjnej strzelnicy? Tysiąc? Dziesięć tysięcy? Cóż, tej nocy nie może spudłować.

Otworzył usta, wsunął lufę, kierując ją ku górze, tak żeby kula przeszła mózg i żeby koniec nastąpił szybko. Palec spoczął na kabłąku. Decker przeniósł wzrok na Molly. Z nagłym zażenowaniem wyjął pistolet z ust, przyłożył do prawej skroni i zamknął oczy, by nie widzieć córeczki. Palec wskazujący ponownie zsunął się na kabłąk. Później język spustowy i powolne, miarowe pociągnięcie aż do punktu, z którego nie ma odwrotu. Niczego by nie poczuł. Mózg by umarł, zanim zdążyłby poinformować resztę ciała, że Decker strzelił sobie w łeb.

Wystarczyło pociągnąć za cyngiel. *No dalej, Amosie. Nie masz nic do stracenia, ponieważ nic ci nie zostało. Ich już nie ma. Oni... odeszli.*

Siedział z lufą przyłożoną do skroni, zastanawiając się, co powie rodzinie, gdy znów się z nią połączy.

Przepraszam?

Wybaczcie?

Żałuję, że mnie tu nie było, aby ochronić was przed mordercą? Powinienem być na miejscu i was ocalić?

Mocniej ścisnął w rękę pistolet, wwiercając lufę w skroń z taką siłą, że poczuł, jak gładki metal rozcina skórę. Kropelka krwi pojawiła się i wsiąkła w przyprószone siwizną włosy, które – był tego absolutnie pewien – posiwiały jeszcze bardziej w ciągu ostatnich kilku minut.

Nie szukał w sobie bohaterstwa.

Rozpaczliwie poszukiwał równowagi. Ale czy w odbieraniu sobie życia można znaleźć jakąkolwiek równowagę?

Nie odrywając pistoletu od skroni, wyjął telefon, wybrał 911, podał nazwisko oraz numer służbowy, a następnie w dwóch zwięzłych zdaniach opisał rzeź trojga ludzi. Upuścił telefon na podłogę.

Na dole Johnny.

Na początku korytarza Cassie.

Tutaj, na sedesie, Molly.

I nagle, bez ostrzeżenia, zaczął widzieć wszystko w najbardziej przerażającym odcieniu błękitu. Ciało, dom, noc. W niebieskiej bańce, która zamykała w sobie wszystko dookoła. Spojrzał z ukosa na sufit i zaklął siarczyście, wkładając w to przekleństwo całą wściekłość oraz poczucie straty, które właśnie go dopadło. Te cholerne kolory, narzucające się nawet w takiej sytuacji. Dlaczego nie może być normalny, przynajmniej ten jeden raz, w tak dojmującym nieszczęściu? Spuścił głowę. Siedział na podłodze ze spluwą przy skroni, czując wewnątrz kompletną pustkę. Był gotów umrzeć, dołączyć do reszty.

Jednak z jakiegoś niezrozumiałego nawet dla niego samego powodu Amos Decker nie pociągnął za spust.

Dokładnie w takiej pozycji zastali go policjanci, którzy zjawili się na miejscu cztery minuty później.

2

Parkowa ławka pomalowana na czerwono.

Niepokojący, zimny jak ostrze noża chłód jesieni ustępującej miejsca zimie.

Amos Decker siedział na ławce i czekał.

Przed nosem przemknął mu wróbel, o mały włos uniknął zderzenia z przejeżdżającym samochodem, następnie poszybował w górę, łapiąc podmuch wiatru, który poniósł go w dal. Nim samochód zdążył się oddalić, Decker odnotował w pamięci markę i model wozu, numer rejestracyjny oraz rysopisy wszystkich osób w kabinie. Z przodu mąż i żona, z tyłu dziecko w foteliku. Obok drugie, starsze. Na oko dziesięcioletnie. Nalepka na tylnym zderzaku. Z napisem: „Moje dziecko jest wyróżniającym się uczniem szkoły podstawowej Thorncrest”.

Gratulacje, właśnie podpowiedzieliście jakiemuś psychopacie, skąd porwać waszego małego bystrzaka.

Następny był autobus, który podjechał na pobliski przystanek. Decker prześliznął się po nim wzrokiem, dokonując takich samych obserwacji. Czternaścioro pasażerów, w większości przygnębionych i zmęczonych, choć to dopiero południe. Jedną osobę rozsadzała energia – dziecko. Podrygiwało obok swojej wyczerpanej matki, która siedziała przygarbiona z wypchaną torbą na kolanach. Kobieta prowadząca autobus była świeżo upieczonym kierowcą, na jej twarzy malowało się napięcie. Pomimo wspomagania siłowała się z kierownicą i wzięła następny zakręt tak powoli, że wyglądało to, jakby zgasł silnik.

Na niebie wzbijał się w górę samolot. Leciał na tyle nisko, że Decker rozpoznał w maszynie boeinga 737 United Airlines, nowszy model, bo miał winglety. Na widok liczby 737 przed oczami Deckera pojawił się zniecała srebrny kolor. Numer 737 był dla niego pięknym połączeniem cyfr. Eleganckim, srebrnym, szybkim jak pocisk. Decker reagował w taki sposób na wszystko, co zaczynało się od siódemki. Doceniał fakt, że Boeing nadawał całej swojej flocie numery rozpoczynające się od cyfry siedem.

Minęli go dwaj mężczyźni. Obserwacja dokonana, zarejestrowane. Jeden starszy, większy, samiec alfa, drugi to kumpel do zabawy i poniewierania. Dalej czwórka dzieci bawiących się w parku po drugiej stronie ulicy. Wiek, pozycja, numer seryjny, porządek dziobania, hierarchia – wszystko ustalone przed szóstym rokiem życia, jak w watasze wilków. Odhaczone.

Następnie kobieta z psem. Z owczarkiem niemieckim. Pies nie jest taki znów stary, ale choruje na stawy. Prawdopodobnie dysplazja, częsta u tej rasy.

Skatalogowane. Facet nawijający do smartfona. Garnitur od Zegny, na lśniących butach litera G jak Gucci, na lewej dłoni złoty sygnet z kamieniem wielkości ćwierćdolarówki, prawie jak pierścionek mistrza Super Bowl. Na prawym przegubie zegarek marki Zenith wart cztery tysiące dolarów. Za niski jak na zawodowego sportowca i nie ta budowa ciała. Za dobrze ubrany jak na typowego handlarza narkotyków. Może menedżer funduszu hedgingowego, skorumpowany prawnik albo przedsiębiorca budowlany. Zachowane w pamięci.

Po drugiej stronie ulicy starsza kobieta na wózku inwalidzkim, opiekunka wyprowadza wózek z karetki. Lewa strona ciała staruszki jest nieruchoma, twarz sparaliżowana po tej samej stronie. Udar. Zaprotokołowane. Opiekunka ma lekką skoliozę i zdeformowaną stopę. Wryte w pamięć.

Amos Decker odnotowywał te i wiele innych rzeczy, ponieważ jego umysł przesiewał wszystko, co znajdowało się w jego polu widzenia. Czasem wyciągając wnioski. Czasem spekulując. Innym razem zgadując. Nic się za tym nie kryło, Decker po prostu robił to dla zabicia czasu, skracając sobie czekanie. Tak samo było z liczeniem w kolorach. Dla zabicia czasu.

Odebrano mu dom obciążony hipoteką. Ledwo spłacali raty z dwóch pensji: jego i Cassie. Gdyby pracował tylko on, nie daliby rady. Próbował go sprzedać, ale kto chciałby mieszkać w domu zboczonym krwią?

Przez kilka miesięcy wynajmował mieszkanie. Później zamieszkał w motelu. Jeszcze później, gdy jego sytuacja zawodowa się zmieniła, przeniósł się na kanapę do przyjaciela. Kiedy przyjaciel stał się mniej przyjacielski, Decker zdecydował się na schronisko dla bezdomnych. Gdy fundusze dla schroniska się skończyły i placówkę zamknięto, ograniczył swoje lokum do śpiwora w parku. A następnie do tekturowego pudła na parking, ponieważ śpiwór się podarł, a policja usunęła bezdomnych z parku.

Sięgnął dna. Brudny, z nalaną twarzą i krzaczastą brodą, rozczochrany, wyglądał jak jaskiniowiec usiłujący spiskować z kosmitami. I prawie tak było, aż do chwili, kiedy pewnego ranka obudził się na parkingu Wal-Martu, gapiąc się na znak firmowy Georgia-Pacific nadrukowany w środku pudła z tektury falistej, i doznał burzliwego olśnienia, że Cassie i Molly byłyby głęboko zażenowane, widząc, do jakiego stanu się doprowadził.

Dlatego ogarnął się, zatrudnił przy kilku fuchach, odłożył parę dolarów, wynajął pokój w Residence Inn i wywiesił tabliczkę „Prywatny detektyw”. Brał wszystkie sprawy jak leci; zwykle kiepsko płatne, zbyt nisko wyceniane, ale zawsze coś. Więcej nie potrzebował.

Wiódł nic nieznaczącą egzystencję, bo i on sam nic nie znaczył. Wciąż nosił bujną brodę, miał włosy w nieładzie, nadal sporą nadwagę, za to ubrania stosunkowo czyste, no i brał prysznic, czasem nawet częściej niż dwa razy w tygodniu. I nie mieszkał już w kartonie. Jego zdaniem postęp zawsze należało

mierzyć w calach, zwłaszcza kiedy nie można było popisać się jardami czy choćby stopami sukcesu.

Zamknął oczy, by wymazać z pamięci najnowsze obserwacje uliczne, choć one wciąż tam były, jak film wyświetlany pod powiekami. I pozostaną na zawsze. Często pragnął zapomnieć o tym, co zobaczył, ale wszystko zapisywało się w jego głowie niezmywalnym markerem. Albo przywoływał te obrazy, gdy zaszła potrzeba, albo same wyskakiwały nieproszone. To pierwsze było pomocne, drugie – bezgranicznie frustrujące.

Tamtej nocy policjanci wyperswadowali mu pomysł połknięcia kuli z własnego pistoletu. Od tamtej pory wielokrotnie zastanawiał się nad odebraniem sobie życia. Na tyle często, że pracując jeszcze w policji, poddał się terapii, by przepracować tę kwestię. Stał się nawet w kręgu osób o skłonnościach samobójczych.

Nazywam się Amos Decker. Chcę się zabić. Koniec i kropka.

Otworzył oczy.

Piętnaście miesięcy, dwadzieścia jeden dni, dwanaście godzin i czternaście minut. Wskazówki zegara wirowały mu przed oczami. Tyle czasu minęło, od kiedy znalazł we własnym domu trzy ciała, od kiedy wyprawiono na tamten świat członków jego rodziny. Za sześćdziesiąt sekund minie piętnaście minut, dwanaście godzin, dwadzieścia jeden dni, piętnaście miesięcy. I tak w nieskończoność.

Spojrzał na siebie. Cztery lata gry w futbol amerykański w college'u, nadzwyczaj krótki epizod w charakterze zawodowego gracza. Jako policjant, a później detektyw dbał o formę. Jednak od czasu oficjalnej identyfikacji ciała żony, szwagra i córki nie zwracał sobie tym głowy. Miał z pięćdziesiąt funtów nadwagi, może więcej. Prawdopodobnie znacznie więcej. Góra mięsa z chorymi kolanami, sześć stóp i pięć cali wzrostu. Miękkie, sterczące brzuszysko, obwisłe ramiona i piersi, nogi jak dwa kloce. Nie był już nawet w stanie dojrzeć swoich wyjątkowo długich stóp.

Włosy też miał długie, nie pierwszej czystości, obficie przyprószone siwizną. Ten image zdawał się doskonale maskować umysł, który nieustannie zawodził Deckera, nie potrafiąc niczego zapomnieć. Broda zdumiewała nie tylko swoją bujnością, lecz także niechlujnym wyglądem; kosmyki, loczki i pasemka wiły się bez ładu i składu niczym pędy winorośli szukające jakiegś podpory. Wmówił sobie, że to dobre w jego fachu. Ścigał szumowiny, a szumowiny z natury rzeczy raczej nie wyglądają jak większość zwykłych ludzi. Na ogół wręcz odbiegają od powszechnie przyjętych trendów.

Dotknął łaty na przetartych dżinsach i popatrzył na kolana z wciąż widocznymi plamami krwi.

Jej krwi. Krwi Cassie. Makabryczne, że nadal tam były.

Spal te portki, Amosie. Większość normalnych ludzi tak by po-stąpiła. Ale ja

nie jestem normalny. Nie jestem normalny, odkąd wyszedłem na boisko i porządnie oberwałem.

Uderzenie to jedyna rzecz, której nie zapamiętał – jak na ironię, bo przecież stało się ono katalizatorem zapamiętywania wszystkiego. Pokazywano je na okrągło w programach sporto-wych. Nawet redakcje ogólnokrajowych serwisów informacyjnych uznały, że należy udokumentować agresję, jakiej padł ofiarą. Ktoś mu powiedział, że kilka lat temu wrzucono na YouTube'a fragment materiału telewizyjnego, który doczekał się ponad ośmiu milionów wyświetleń. Tymczasem on sam nigdy tego nie widział. Nie potrzebował. Był tam. Poczuł na własnej skórze. Wystarczy.

A jedyne, co musiał zrobić, by zasłużyć na ten fejm, to umrzeć na boisku, nie raz, lecz dwa razy.

Ukradkiem i z pewnym zażenowaniem przesunął wzrokiem po swoich dżinsach. Brzuch zwiślał nad paskiem, ponieważ przedtem Decker był o wiele szczuplejszy. Spodnie zostały wyprane, ale plamy krwi nie zeszły. Dlaczego miałyby zejść, skoro wciąż były świeże w jego pamięci? Spodnie mogły, a nawet powinny posłużyć za dowód. Niechby zabrała je policja, ale nie zrobiła tego, a on nie zaproponował. Zachował je, wciąż nosił. Głupi sposób na pielęgnowanie pamięci. Właściwie idiotyczny. Makabryczny pomysł na nierozstawanie się z Cassie. Co najmniej tak potworny, jak noszenie jej prochów w pudełku na lunch z wizerunkiem Scooby-Doo. Ale przecież nie było z nim dobrze. Choć miał gdzie mieszkać, miał pracę, jakoś funkcjonował – przynajmniej zazwyczaj. Naprawdę nie było z nim dobrze. I już nigdy nie będzie.

Formalnie był podejrzanym w tej sprawie, ponieważ na mężów zawsze padają podejrzenia. Ale niedługo. Ustalenie czasu zgonów oczyściło go z zarzutów. Miał alibi. Było mu to obojętne. Wiedział, że przez niego nie spadł im ani jeden włos z głowy, i guzik go obchodziło, czy ktoś w to wierzy, czy nie.

Prawdziwy problem polegał na tym, że nigdy nikogo nie zaaresztowano w tej sprawie. Nie było nawet podejrzanych, nie trafiono na żaden trop. Kompletnie nic.

Robotnicza dzielnica, w której mieszkali, należała do spokojnych, ludzie byli przyjaźni, zawsze wyciągali pomocną dłoń, bo nikomu się nie przelewało i każdy potrzebował od czasu do czasu jakiegoś wsparcia. Naprawienia samochodu albo pieca, wbicia gwoźdźcia w deskę albo ugotowania posiłku, bo mama zachorowała, czy wsadzenia dzieci do środków transportu publicznego. Zależnie od potrzeb, opierając się na wzajemnym zaufaniu.

W okolicy z pewnością mieszkało trochę osób trudnych, ale nigdy nie dostrzegł wśród nich kogoś potencjalnie niebezpiecznego. Głównie byli to motocykliści i palacze marychy. Miał oczy szeroko otwarte. Całkowicie poświęcił się prowadzeniu śledztwa w sprawie tych morderstw, choć oficjalnie kazano mu

trzymać się z daleka. Nie natknął się na żaden ślad, mimo że obsesyjnie szukał.

Wiele czynników ułatwiało popełnienie takiej zbrodni, ale istniały też przeszkody. Nie zamykano drzwi na klucz; ludzie wchodzili i wychodzili – a więc łatwo można było dostać się do środka. Z drugiej strony domy stały blisko siebie, zatem ktoś powinien coś usłyszeć. Tymczasem z Boston Avenue 4305 nie dochodziły tamtego wieczoru żadne odgłosy. Jak trzy osoby mogły umrzeć tak cicho? Czy brutalnej śmierci nie towarzyszy zaciekle opór? Krzyk? Szamotanina? Cokolwiek? Najwyraźniej nie. Odgłos wystrzału? Jak szept duchów. Chyba że tamtego wieczoru cała okolica ogłuchła. I oślepa. I straciła głos.

Kilka miesięcy później wciąż nic, ślad dawno ostygł, szanse na rozwiązanie zagadki i schwytanie zabójcy spadły prawie do zera. Wtedy Decker odszedł z policji, ponieważ dłużej nie był w stanie przekładać papierów, prowadzić innych spraw i zaprzętać sobie głowy lokalnymi intrygami. Kierownictwo wyższego szczebla oświadczyło, że z przykrością przyjmuje jego rezygnację, ale z drugiej strony nikt nie poprosił go o pozostanie. Tak naprawdę stał się niesforny, niezdyscyplinowany. I nie sposób zaprzeczyć, że tak było istotnie. Bo przestało mu na czymkolwiek zależeć.

Z jednym wyjątkiem.

Ciągle odwiedzał ich groby. Zostali pochowani na wykupionych w pośpiechu kwaterach, bo kto rezerwuje miejsce na cmentarzu dla kobiety i mężczyzny w wieku czterdziestu kilku lat albo grób dla dziesięciolatki? Później przestał tam chodzić, nie mógł bowiem patrzeć, jak leżą tam w ziemi. Nie pomścił ich. Nie uczynił nic poza zidentyfikowaniem ich ciał. Żalosa pokuta za dopuszczenie do zgonu najbliższej rodziny. Bóg chyba nie byłby pod wrażeniem.

Ich śmierć m u s i a ł a mieć związek z czymś, co kiedyś zrobił. Przez lata wsadził do paki wielu ludzi. Niektórzy już wyszli. Inni mieli przyjaciół. Tuż przed morderstwem przy Boston Avenue 4305 pomógł w rozbiciu lokalnego gangu handlującego metamfetaminą, który chciał za wszelką cenę uzależnić wszystkich w mieście i okolicy, a co za tym idzie, zrobić z tych ludzi wymarzonych klientów: młodych, starych i z każdego przedziału wiekowego pomiędzy. Ci kolesie naprawdę byli podli i źli, potrafili zabić wzrokiem. Mogli dowiedzieć się, gdzie mieszka. Dość łatwo. Nie miał statusu tajnego agenta. I zemścić się na jego żonie i dziecku oraz szwagrze, który wybrał sobie niewłaściwy moment na złożenie im wizyty. Nie było jednak choćby szątkowych dowodów przeciwko gangowi. A jeśli nie ma dowodów, nie ma aresztowań. Ani procesu. Ani wyroku. Ani wykonania wyroku.

Jego błąd. Jego wina. Może sam pokazał im drogę do swojej rodziny, a teraz został sam jak palec.

Środowisko zorganizowało dla niego zbiórkę pieniędzy. Zebrano kilka

tysięcy dolców. Leżały nietknięte na koncie. Wypłata tych pieniędzy byłaby w jego odczuciu aktem zdrady wobec tych, których utracił, dlatego trzymał je w banku, choć z pewnością mógłby z nich skorzystać. Jakoś wiązał koniec z końcem, ledwo. Ale to mu wystarczało. Bo sam był „ledwy”.

Oparł się o drewnianą ławkę i ciałniej owinął płaszczem. Nie znalazł się tu przypadkowo.

Miał coś do zrobienia.

A gdy spojrzął w lewo, zobaczył, że czas działać.

Wstał i ruszył za dwojgiem ludzi, na których czatował.

3

Bar nie różnił się od wszystkich innych znanych Deckerowi barów.

Ciemny, chłodny, zatęchły, zadymiony, w którym światło wydawało się nie na miejscu, a każdy wyglądał jak znajomy albo ktoś, kogo chciało się poznać. Czy raczej zapomnieć. Gdzie każdy był twoim przyjacielem, dopóki nie stawał się wrogiem i nie roztrzaskał ci na łbie kija bilardowego. Gdzie spokój panował dopóty, dopóki się nie skończył. Gdzie można było utopić w alkoholu wszystkie troski. Gdzie tysiąc naśladowców Billy’ego Joela śpiewało ballady do późnej nocy.

Tylko że ja mogłem wypić tysiąc drinków, a i tak wszystko pamiętałem. Pamiętałem każdy szczegół tego tysiąca drinków, z kształtami kostek lodu włącznie.

Decker usiadł na barowym stołku w miejscu, z którego widział swoje odbicie w wielkim lustrze za rzędami butelek whisky, bourbonów i ginu.

Zamówił piwo za dolara, chwycił kufel w swoje nazbyt ruchliwe dłonie i wpatrzył się w lustro. Kąt w głębi po prawej. Tam usiedli, ta para, którą śledził.

Mężczyzna dobiegał pięćdziesiątki, dziewczyna była o połowę młodsza. Facet wystroił się w najlepsze ciuchy. Trzyczęściowy garnitur z prążkowanej wełny, żółty krawat upstrzony niebieskimi plamkami w kształcie plemników w drodze do zapłodnienia jajeczka, szykowna poszetka do kompletu. Zaczesane do tyłu włosy odsłaniały dojrzałe, pobrużdżone czoło – atrakcyjne w wypadku mężczyzny, znacznie mniej u kobiety, ale w tej kwestii próżno szukać w życiu sprawiedliwości. Ostentacyjne sygnety z brylantami na wypielęgowanych dłoniach. Prawdopodobnie kradzione. Albo sztuczne. Tak jak on sam. Paznokcie u stóp też miał pewnie starannie przycięte. Buty wyglansowane, ale zapomniał o tyłach. Były porysowane, co znacznie bardziej odpowiadało prawdziwej naturze mężczyzny. On też był porysowany. Chciał zaimponować tylko na wejściu. Po wyjściu wszelki ślad po tym szmaciarzu zaginie.

Ona miała sarnie oczy i siano w głowie. Ładna, w typie bezmyślnym, pospolitym, jakie widuje się na każdym kroku. Patrzyło się na nią jak na film 3D bez specjalnych okularów; coś nie grało. Ta panna była tak ślepo ufna i niczego nieświadoma, że aż miało się ochotę wyjść i zostawić ją na pastwę losu.

Jednak Deckerowi płacono za to, żeby do tego nie dopuścił. Właściwie

oczekiwano od niego czegoś wręcz przeciwnego.

Na tę okazję kobieta włożyła spódnicę, żakiet i bluzkę, które prawdopodobnie kosztowały więcej niż samochód Deckera. A raczej samochód, który był kiedyś jego własnością. Bank zabrał mu i to, jak to banki mają w zwyczaju.

Przedstawicielka starej fortuny. Tak przywykła do uprzywilejowanego życia przypisanego jej statusowi, że nie potrafiła pojąć, dlaczego ktoś miałby zadać sobie tyle trudu, by ukraść jej coś, czego posiadanie uważała za rzecz oczywistą. To czyniło z niej potencjalną ofiarę w każdej minucie życia.

I tak było w tej chwili: rekin i kukła. Decker widział w nim szóstkę, podłą cyfrę w jego prywatnym rankingu. Ona była czwórką: nieszkodliwą i niezajmującą.

Złączyli dłonie, później usta. Zamieniali się szklankami: on pił Whiskey Sour, ona różowe martini.

Odnutowane.

Decker powoli sączył piwo i czekał na właściwy moment. Dyskretnie obserwował parę. Prócz cyfrowej etykiety kobietę wyróżniał pomarańczowy kontur, mężczyznę – fioletowy; ten ostatni kojarzył się Deckerowi z zerem, niepożądaną cyfrą. W sumie facet reprezentował dwie cyfry – sześć i zero. Wydawało się to skomplikowane, Decker zdawał sobie z tego sprawę, ale sam bez trudu potrafił się w tym rozeznaczyć, ponieważ miał wszystko poukładane w głowie, wyraźne jak lustrzane odbicie.

Nie chodziło o sam fakt widzenia ludzi w kolorach. Istotna była percepcja barw. Tylko w ten sposób mógł wyjaśnić to doznanie. Tego nie uczą w szkole. Sam zrozumiał to stosunkowo późno. Po prostu radził sobie najlepiej, jak potrafił. Ostatecznie świat kolorowych kredek zostawił za sobą w przedszkolu.

Para kontynuowała grę, mizdrząc się, czule splatając dłonie, ocierając się pod stołem i nie szczędząc sobie odważnych pieszczot. Ona wyraźnie pragnęła więcej. On się wzbraniał, ponieważ należy droczyć się z upatrzoną ofiarą. Pośpiech może wszystko zniweczyć. A facet był dobry w te klocki. Co prawda Decker widywał lepszych, ale ten był wystarczająco sprawny. Pewnie żył z tych sztuczek całkiem przyzwoicie.

Jak na fioletowe zero.

Decker wiedział, że mężczyzna czeka na dogodny moment, by wyłuszczyć swoją prośbę. O pożyczkę na przyszłościowy interes, który z pewnością wypali. Albo z powodu jakiegoś nieszczęścia w licznej rodzinie potrzebującej finansowego wsparcia. Bardzo go to uwiera. Brzydzi się sobą. Ale ona jest dla niego ostatnią deską ratunku. Jego ostatnią szansą. I on wcale nie oczekuje od niej zrozumienia. Bądź zgody. Jakiej reakcji można się spodziewać po tak sformułowanym apelu? Tylko jednej: „Oczywiście, najdroższy. Weź dwa razy więcej. Nawet trzy razy. Tatuś nic nie zauważy. Przecież to tylko pieniądze. J e g o pieniądze”.

Godzinę i dwa różowe martini później zostawiła go samego przy stoliku. Pożegnalny pocałunek był wzruszający i czuły, facet reagował jak należy, póki się nie odwróciła, bo wtedy wyraz jego twarzy się zmienił. Wzajemna czułość i miłość ustąpiły miejsca triumfowi, a nawet – można by rzec – okrucieństwu. Przynajmniej Decker tak by powiedział.

Nie lubił kontaktów z ludźmi. Wolał własne towarzystwo. Nie znosił jałowych rozmów, ponieważ przestał dostrzegać w nich sens. Były jednak częścią jego pracy. Dzięki nim płacił rachunki. Powiedział więc sobie, że trzeba zacisnąć zęby. Przynajmniej w tej chwili.

Nadszedł bowiem czas, żeby odbić kartę zegarową.

Wziął kufel piwa i podszedł z nim do stolika. Zdążył położyć na ramieniu mężczyzny swoje wielkie łapsko i wcisnąć go z powrotem w krzesło, które facet zamierzał właśnie zwolnić.

Decker usiadł naprzeciwko, spojrzął na nietkniętą Whiskey Sour – drapieżcy nie piją podczas akcji – a następnie uniósł kufel w geście uznania.

– Niezła robota. Miło popatrzeć na zawodowca.

Mężczyzna z początku milczał. Otaksował Deckera wzrokiem, wyrażając niemiłe zaskoczenie zaniedbanym wyglądem intruza.

– Czy my się znamy? – rzucił wreszcie uszczypliwym tonem. – Bo coś nie chce mi się wierzyć.

Decker westchnął. Spodziewał się czegoś odrobinę bardziej oryginalnego. Widać nadaremnie.

– Nie, i nie musisz mnie znać. Jedyne, co musisz, to rzucić na to okiem.

Wyjął z kieszeni płaszcz szarą kopertę i podsunął rozmówcy.

Facet się zawahał, lecz po chwili wziął ją do ręki.

Decker wypił łyk piwa i polecił:

– Otwórz.

– Niby dlaczego?

– Dobra, to nie otwieraj. Nie ma sprawy.

Sięgnął po kopertę, lecz mężczyzna sprzątnął mu ją sprzed nosa. Odkleił brzeg i wysypał ze środka pół tuzina zdjęć.

– Pierwsza zasada oszusta, przystojniaczku – rzekł Decker. – Żadnych skoków w bok, kiedy skupiasz się na robocie. A profesjonalistą nazwałem cię trochę na wyrost, okazując dobre serce.

Wyciągnął rękę i stuknął palcem w fotografię.

– Dość skąpo ubrana, podobnie jak ty. A tak na marginesie, ten konkretny numer jest niedozwolony w niemal wszystkich stanach na południe od linii Masona-Dixona.

Facet podniósł wzrok, w jego oczach widać było ostrożność.

– Skąd je wytrzasnąłeś?

I tym razem Decker poczuł się rozczarowany pytaniem.

– A więc teraz to tylko kwestia negocjacji. Jestem upoważniony do wręczenia ci pięćdziesięciu kawałków. W zamian dasz sobie spokój z tą dziewczyną i zagniesz parol na inną. W innym stanie.

Mężczyzna się uśmiechnął, przesunął zdjęcia w stronę Deckera i zapytał:

– Jeśli uważasz, że będę miał kłopoty z powodu tych fotek, dlaczego nie pokazałeś ich jej? Po co przychodzisz i proponujesz mi szmal?

Decker znów westchnął i po raz trzeci doznał rozczarowania. Ten koleś nie był dla niego godnym przeciwnikiem. Zebrał fotografie i starannie włożył je do koperty.

– Czytasz w moich myślach, przystojniaczku. To samo powiedziałem jej staremu. Dzięki za potwierdzenie mojej opinii. *À propos*, dziewczyna jest bardzo religijna. To, co wyprawiasz z tamtą damą na trzecim zdjęciu, przekreśla cały interes, zważywszy w dodatku na fakt, że owa dama jest twoją żoną. Miłego dnia.

Podniósł się z miejsca, ale facet chwycił go za ramię.

– Mogę ci zrobić krzywdę – wycedził.

Decker zaczął odginać zaciśnięte na ramieniu palce, aż mężczyzna syknął z bólu. Dopiero wtedy Decker puścił.

– Jestem gruby, ale dwa razy większy od ciebie, a przy tym dużo wredniejszy. Do mojej roboty nie potrzebuję ładnej buźki, a ty i owszem. Więc jeśli wyprowadzę cię teraz na podwórko i rozkwaszę ci facjatę, co się stanie z twoim przyszłym źródłem gotówki? Rozumiesz, do czego piję?

Facet złapał się za obolałą rękę i pobladł.

– Wezmę tę forszę.

– Świetnie. Mam przy sobie czek na dwadzieścia pięć patoli.

– Mówiłeś o pięćdziesięciu!

– Pod warunkiem że zdecydowałbyś się od razu, kiedy proponowałem. Nie zrobiłeś tego. Konsekwencje są takie, że twój zysk spada o połowę.

– Ty sukinsynu!

Decker oparł się na krzesło i wyjął z kieszeni jakiś papier.

– Bilet lotniczy. W jedną stronę. Do najdalszych rubieży Stanów, nie licząc tego jednego na górze. Warunkiem zrealizowania czeku jest wejście na pokład samolotu. Są tam ludzie, którzy potwierdzą twoją obecność, więc nie próbuj żadnych głupich sztuczek.

– Gdzie czek? – zażądał mężczyzna.

Decker wyciągnął kolejny papier.

– Najpierw musisz podpisać.

Podał kartkę. Facet przebiegł po niej wzrokiem.

– Ale to...

– Gwarancja, że ta kobieta już nigdy o tobie nie pomyśli, chyba że z odrazą.

Co znaczy, że nawet gdybyś próbował wrócić tu cichaczem, niczego nie wskórasz.

Mężczyzna roztrząsał w myślach przebieg wydarzeń i próbował wyciągnąć wnioski.

– Więc szantażujesz mnie fotografiami oraz faktem, że jestem żonaty, chcąc zmusić mnie do podpisania tego papieru? A jeśli nie podpiszę, pokażesz jej zdjęcia i powiesz, że mam żonę, wierząc, że to wystarczy, aby ją ode mnie uwolnić?

– Ależ z ciebie geniusz.

Mężczyzna uśmiechnął się szyderczo.

– Mam na pęczki takich jak ona. I to o wiele ładniejszych. Chciała, żebym się z nią przespał. Odwlekałem to. Widziałeś zdjęcia. W domu mam delikatną polędwiczkę. Po co miałbym zadowalać się hamburgerem, nawet jeśli dostałbym w pakiecie fundusz powierniczy? To głupie cielę. Znośnie wygląda tylko wtedy, kiedy ma dobry dzień. Nawet gruba forsą t a t u s i a nie pomoże.

– Pan Marks wyczuł cię od razu, choć jego córka nie. Zresztą Jenny już wcześniej dała się nabrać takiej kanalii jak ty. Zasluguje na kogoś lepszego.

Decker nie znał Jenny Marks i guzik go obchodziły jej romantyczne przygody. Rzucił te komentarze, ponieważ chciał rozwiązać przystojniakowi język. Sprowokować go do pójścia na całość.

– Ona zasługuje na lepszego? Cholera, po co ja w ogóle zawracałem sobie głowę? Mogłem poderwać lepszą dupę niż Jenny Marks, nawet się nie starając. I nie musiałbym wysłuchiwać jej szczebiotania.

– Głupie cielę? Do tego szczebioczące? Czyżby? Panna ma dyplom wyższej uczelni.

Decker zdobył już więcej, niż potrzebował, ale sytuacja zaczynała go bawić.

– Właściwie to nie tyle głupie cielę, co wkurzająca kretynka.

Okej, zabawa się skończyła.

Decker wziął niepodpisaną kartkę i wsunął ją do koperty z fotografiami. Schował wszystko do kieszeni płaszcza.

– Co ty, do diabła, robisz? – spytał z niedowierzaniem mężczyzna.

W odpowiedzi Decker wyjął miniaturowy dyktafon i włączył odtwarzanie.

– Twój opis z pewnością przypadnie jej do gustu – oznajmił Decker. – *À propos*, jakiego hamburgera miałeś na myśli? Z czystej wołowiny? Z ekologicznej hodowli? Czy po prostu wkurzająco kretyńskiego?

Facet osłupiał.

Decker schował dyktafon i podsunął rozmówcy bilet lotniczy w jedną stronę.

– To możesz sobie zachować. Pamiętaj, żeby wsadzić swój zadek do samolotu. Następny gość, którego na ciebie naślą, będzie większy ode mnie i nie ograniczy się do wyłamania ci palców. Zajmie się całością.

– Chcesz powiedzieć, że nie dostanę ani grosza? – jęknął płacząco facet.

Decker wstał.

– Ależ z ciebie geniusz, już to mówiłem.

4

Decker siedział na łóżku w swoim jedynym pokoju o rozmiarach więziennej celi. Na spotkania z klientami umawiał się przy stoliku w sali jadalnej Residence Inn, ponieważ miesięczny czynsz obejmował codzienne śniadanie w formie szwedzkiego stołu. Ten układ zdecydowanie nie opłacał się hotelowi. Decker nakładał sobie góry jedzenia i zanosił talerze do stolika. Zamiast widelca mógłby używać łyżki koparki.

Dostał czek od wysłannika pana Marksa. Kumpel z policji zarekomendował Deckera temu krezusowi – delikatna sprawa dotyczyła jego bezbarwnej córki, która wiecznie zakochiwała się w niewłaściwych facetach. Decker nigdy nie spotkał się osobiście ze starym, tylko z jego przedstawicielami. Nie miał mu tego za złe; zapewne Marks nie życzyłby sobie, żeby Decker pobrudził jego luksusowe meble. Umówili się w barze śniadaniowym: dwóch młodych bubków w garniturach za tysiąc dolców, którzy wzbraniali się przed skosztowaniem kawy. Prawdopodobnie woleli podwójne espresso wypływane przez małe lśniące maszynki obsługiwane przez baristów. Widział po ich minach, że doskonale zdają sobie sprawę, jak dobrze im się powodzi i jak marnie powodzi się Deckerowi. Włożył na to spotkanie swoją najlepszą koszulę, czyli tę drugą z dwóch.

Tatuz Marks zgodził się przeznaczyć na pozbycie się kuli u nogi swojej córki maksymalnie sto kawałków. Ocenivszy charakter oszustwa, Decker oznajmił emisariuszom pana Marksa, że mógłby załatwić sprawę za dużo mniej. Nie rzucał słów na wiatr. W gruncie rzeczy zrobił to za cenę biletu w jedną stronę. Za garść miedziaków. Można by się spodziewać, że papcio odpali mu przynajmniej jakąś działkę ze swoich sześciocyfrowych oszczędności. Marks jednak trzymał się umowy i Decker dostał po prostu swoją stawkę godzinową, choć znacznie ją podbił i wypłata urosła do okrągłej sumki. Mimo wszystko dodatkowy procent by się przydał. Prawdopodobnie właśnie dlatego bogaci byli bogaci. W każdym razie warto było zobaczyć minę oszukanego oszusta. Poza tym Decker liczył na to, że za kilka miesięcy Jenny Marks wpadnie w podobne tarapaty i znowu wezwą go na pomoc. Może od razu powinien był poprosić tego Rockefellera o zaliczkę.

Wyszedł z pokoju i udał się do jadalni obok holu. Pora była wczesna, w środku nie było nikogo prócz osiemdziesięcioletniej June, która spędzała jesień życia na przerzucaniu na półmisek tłustych krążków smażonych ziemniaków.

Nałożywszy sobie na talerz górę jedzenia, Decker usiadł przy tym samym stoliku co zwykle.

Właśnie niósł pierwszy kęs do ust, gdy zobaczył ją w drzwiach.

Będzie miała teraz czterdzieści dwa lata, tyle samo, co on. Wyglądała starzej. Efekt wykonywanego zawodu. Z nim było tak samo.

Spuścił wzrok, odłożył widelec i czterokrotnie posolił wszystko, co miał

na talerzu, łącznie z naleśnikami. Miał nadzieję, że mężczyzna tak słusznej postury jest w stanie skurczyć się i zniknąć za murem białka i węglowodanów.

– Cześć, Amosie.

Cóż, nie udało się.

Napchał usta jajecznicą, kaszą kukurydzianą, bekonem, pieczonymi ziemniakami i keczupem. Mlaskał, łudząc się, że ten odgłos skłoni ją do wykonania szybkiego zwrotu w tył i wycofania się tam, skąd przyszła.

Nic z tego.

Usiadła naprzeciwko. Stolik był nieduży, ona również. W przeciwieństwie do niego. On był wielki. Zajmował niemal całe miejsce przy stole.

– Co słychać? – zagała.

Wepchnął do ust kolejną porcję jedzenia i zaczął mlaskać. Nie podnosił wzroku. Niby po co? Z pewnością nie miała mu do powiedzenia nic, co chciałby usłyszeć.

– Zaczekam, aż skończysz, skoro chcesz to rozegrać w ten sposób. Nigdzie mi się nie spieszy – oznajmiła.

Wreszcie na nią spojrział. Była chuda jak szczapa, ponieważ wiecznie zastępowała posiłki i napoje papierosami i gumą do żucia. On sam zjadał pewnie za jednym razem więcej niż ona przez cały miesiąc.

Miała włosy w kolorze mysiego blondu, pomarszczoną skórę z przebarwieniami. Krzywy nos – niektórzy twierdzili, że to pamiątka po spotkaniu z agresywnym pijakiem w czasach, kiedy była jeszcze dzielnicową. Nad drobną, spiczastą brodą dominowały nieproporcjonalnie duże usta, w których czaiły się krzywe, brązowe od nikotyny zęby przypominające nietoperze wiszące w jaskini.

Nie grzeszyła urodą. Zapadała w pamięć nie z powodu wyglądu. Jej niezwykłość polegała na tym, że była pierwszą kobietą detektywem w wydziale policji Burlington. I, o ile mu wiadomo, wciąż jedyną. We dwoje tworzyli zespół. Pracując razem, dokonali większej liczby aresztowań, po których zapadały wyroki skazujące, niż ktokolwiek w historii ich komisariatu. Niektórzy funkcjonariusze twierdzili, że ona i Decker są po prostu wspaniali. Inni zarzucali im, że zadzierają nosa. Starsky i Hutch, tak nazwał ich ktoś z konkurencji. Decker nigdy nie wiedział, czy ma być tym blondynem, czy brunetem.

– Cześć, Mary Suzanne Lancaster – mruknął, bo jakoś nie mógł sobie tego odmówić.

Uśmiechnęła się i szturchnęła go w ramię. Lekko się skrzywił i delikatnie odsunął, ale chyba tego nie zauważyła.

– Nie miałam pojęcia, że znasz moje drugie imię.

Wbił wzrok w talerz. Wyczerpał ograniczoną pulę słów w towarzyskiej pogawędce.

Lancaster zlustrowała go uważnie, a gdy skończyła, zapewne doszła

do wniosku, że wszystkie pogłoski, jakoby Decker sięgnął dna, były prawdziwe.

– Nie będę pytać, jak się miewasz, Amosie. Widzę, że nie za dobrze.

– Mieszkam tutaj zamiast w kartonie – wyznał otwarcie.

Zaskoczona powiedziała:

– Przepraszam, nie to miałam na myśli.

– Potrzebujesz czegoś? – burknął. – Mam coś do zrobienia.

Kiwnęła głową.

– Jasne. Wpadłam, żeby z tobą pogadać.

– A z kim już rozmawiałaś?

– Chodzi ci o to, skąd wiedziałam, gdzie cię szukać?

Z wyrazu jego twarzy jasno wynikało, że właśnie tak brzmiało milczące pytanie.

– Od znajomego znajomego.

– Nie sądziłem, że masz aż tylu znajomych – rzekł Decker. Wcale nie silił się na dowcip i nawet się nie uśmiechnął. Za to ona parsknęła wymuszonym chichotem, chcąc w ten sposób przełamać lody, ale po chwili zreflektowała się, że postąpiła dość niemądrze.

– Cóż, też jestem detektywem. Potrafię dotrzeć do różnych informacji. Burlington nie jest znowu aż tak duże. To nie Nowy Jork. Ani nie Los Angeles.

Cmoknął, wpakował do ust kolejną porcję jedzenia, a jego myśli znów zaczęły błądzić wokół barwnych cyfr oraz obrazów, które cofały go w przeszłość.

Chyba wyczuła, że Decker zamyka się w swojej skorupie.

– Strasznie mi przykro, że spadło na ciebie takie nieszczęście. Wiele straciłeś, Amosie. Nie zasłużyłeś sobie na to. Nikt nie zasługuje na coś takiego.

Spojrzał na nią, nie dając po sobie poznać żadnych emocji. Współczuciem nie zdobędzie się jego uwagi. Nigdy nie szukał współczucia, ponieważ nie rozumiał tego rodzaju emocji. Przynajmniej od pewnego czasu. Potrafił być opiekuńczy. Odnosił się z troską i czułością do swojej rodziny. Ale współczucie i jego jeszcze bardziej irytująca kuzynka empatia znajdowały się poza kręgiem jego zainteresowań.

Czując zapewne, że Decker znów się jej wymyka, rzuciła pospiesznie:

– Poza tym przysłałam ci coś zakomunikować.

Zmierzył ją wzrokiem z góry na dół. Nie potrafił powstrzymać się od komentarza:

– Schudłaś. Około pięciu funtów. Nie powinnaś pozwalać sobie na utratę wagi. Możesz mieć niedobór witaminy D.

– Jak to wykombinowałaś?

– Weszłaś sztywnym krokiem. Ból kości to klasyczny objaw. – Wskazał na jej czoło. – Na dworze jest zimno, a ty się pocisz. To kolejny charakterystyczny symptom. Przez ten krótki czas, od kiedy tu siedzisz, pięć razy założyłaś nogę

na nogę. Kłopoty z pęcherzem. Jeszcze jeden znak.

Zmarszczyła brew, słysząc tę bardzo osobistą ocenę.

– A ty co, zapisałeś się do szkoły medycznej? – spytała gniewnie.

– Cztery lata temu czytałem o tym artykuł w poczekalni u dentysty.

Dotknęła czoła.

– Mało przebywam na słońcu.

– I kopcisz jak komin fabryczny, co w niczym nie pomaga. Spróbuj uzupełnić niedobory. Brak witaminy D ma opłakane skutki. Skończ z papierosami. Wypróbuj plastry. – Przesunął wzrok niżej i zauważył coś, co od razu rzuciło mu się w oczy, kiedy usiadła przy stole. – Poza tym drży ci lewa ręka.

Przytrzymała ją prawą, odruchowo masując jeden punkt.

– Myślę, że to jakiś problem z nerwem.

– Przecież strzelasz lewą ręką. Może lepiej to zbadać.

Jej spojrzenie padło na nieznaczną wypukłość pod kurtką po prawej stronie na wysokości pasa, gdzie nosiła w kaburze pistolet.

Uśmiechnęła się.

– Masz coś jeszcze w zanadrzu, Sherlocku Holmesie? Chcesz sprawdzić moje kolana? Obejrzeć opuszki palców? Powiedzieć, co jadłam na śniadanie?

Wypił łyk kawy.

– Po prostu się przebadaj. Może to co innego. Coś poważniejszego niż drżenie. Różne paskudztwa zaczynają się od rąk i oczu. To takie wczesne znaki ostrzegawcze, jak kanarki w kopalni węgla. W przyszłym miesiącu wypada wydziałowa certyfikacja używania broni palnej. Wątpię, czy zdasz, skoro ręka odmawia ci posłuszeństwa.

Uśmiech zamarł jej na twarzy.

– Nie zastanawiałam się nad tym. Ale pomyślę, Amosie. Dzięki.

Wpatrzył się w talerz i głęboko westchnął. Nie miał już nic więcej do powiedzenia, czekał, aż Lancaster wreszcie zostawi go samego. Zamknął oczy. Równie dobrze mógłby zasnąć.

Bezmyślnie miętoszyła guzik kurtki, zerkając raz po raz na Deckera. Szykując się do tego, po co tu przyszła. Żeby mu powiedzieć.

– Dokonaliśmy aresztowania, Amosie. W t w o j e j sprawie.

Amos Decker otworzył oczy. I już ich nie zamykał.

5

Decker położył ręce na stole.

Lancaster zauważyła, jak jego dłonie zwijają się w pięści, a kciuk trze o palec wskazujący z taką siłą, że na skórze zostają ślady.

– Nazwisko? – zapytał Decker ze wzrokiem wbitym w kopczyk niedojedzonej jajecznicy.

– Sebastian Leopold. Niespotykane. Ale tak się przedstawił.

Decker jeszcze raz zacisnął powieki i włączył swój, jak lubił mawiać, wewnętrzny rejestrator obrazu. To jedna z zalet jego odmienności. Klatki przesuwają mu się przed oczami tak szybko, że trudno było cokolwiek zobaczyć, on jednak widział wszystko. Ćwiczenie umysłowe zakończyło się kompletnym fiaskiem.

Otworzył oczy i pokręcił głową.

– Nigdy o kimś takim nie słyszałem. A ty?

– Też nie. Poza tym to on podał nam takie nazwisko. Może jest nieprawdziwe.

– Nie miał dokumentów?

– Nie, żadnych. Puste kieszenie. Zdaje się, że jest bezdomny.

– Sprawdziście odciski palców?

– Właśnie to robimy. Na razie bez rezultatu.

– Jak wpadliście na trop?

– Akurat z tym nie było kłopotu. O drugiej w nocy wparował do komisariatu i oddał się w nasze ręce. To najłatwiejsze zatrzymanie w historii. Przyszłam do ciebie prosto z przesłuchania.

Decker rzucił jej ostre spojrzenie.

– Po prawie szesnastu miesiącach facet zjawia się, jak gdyby nigdy nic, i przyznaje do potrójnego zabójstwa?

– Wiem. Rzadki przypadek.

– A motyw?

Sprawiała wrażenie zakłopotanej.

– Przyszłam tylko, żeby cię kurtuazyjnie ostrzec, Amosie. Policyjne śledztwo jest w toku. Znasz zasady.

Pochylił się do przodu, zajmując swoim ciałem niemal całą szerokość blatu. Spokojnym głosem, jakby przemawiał do niej z drugiej strony ich zsuniętych razem biurek w komisariacie, powtórzył:

– Motyw?

Westchnęła, wyjęła z kieszeni listek gumy do żucia, złożyła na pół i wsunęła do ust. Trzy szybkie ruchy szczęk.

– Leopold twierdzi, że kiedyś go znieważyleś. Wkurzyłeś.

– Kiedy i gdzie?

– W 7-Eleven. Mniej więcej miesiąc przed... no, przed tym, co zrobił. Facet wyraźnie chowa urazę. Tak między nami wydaje mi się, że ma nierówno pod sufitem.

– W którym 7-Eleven?

– Co?

– W którym 7-Eleven?

– Yyy... zdaje się, że w tym niedaleko twojego domu.

– Na rogu DeSalle i Czternastej?
– Powiedział, że cię śledził. Stąd wiedział, gdzie mieszkasz.
– Więc jest bezdomny, ale ma samochód? Bo w życiu nie wybrałem się do tego sklepu na piechotę.
– Obecnie jest bezdomny. Nie mam pojęcia, jak wtedy wyglądała jego sytuacja. Po prostu zgłosił się na policję, Amosie. Nadal nie wiemy wielu rzeczy.
– Zdjęcie policyjne.
To nie było pytanie. Skoro go aresztowano, musieli zrobić mu zdjęcia i pobrać odciski palców.

Lancaster wzięła do ręki telefon i pokazała Deckerowi ekran. Na niewielkim wyświetlaczu widniała twarz mężczyzny. Opalona i umorusana. Włosy rozczochrane, skołtuniona broda. Cóż, pod tym względem Leopold był podobny do Deckera.

Decker zamknął oczy, włączył wewnętrzne odtwarzanie obrazu. I tym razem pudło.

– Nigdy go nie widziałem.
– Może teraz wygląda inaczej.
Pokręcił głową i zapytał:
– Ile ma lat?
– Trudno określić, sam nie powiedział. Może być tuż po czterdziestce.
– Wzrost?
– Sześć stóp i około stu sześćdziesięciu pięciu funtów wagi.
– Umieśniony czy kluchowaty?
– Umieśniony. Na oko dość żyłasty.
– Szwagier był mojej postury. Robotnik budowlany, mógłby podnieść ciężarówkę. Jak Leopold dałby sobie z nim radę w walce wręcz?
– Amosie, będziemy ustalać to w śledztwie. Nie wiem.
Znowu spojrzał jej prosto w oczy, ale tym razem przemówiło za niego milczenie.

Westchnęła, przez chwilę nerwowo żuła gumę.
– Powiedział, że twój szwagier siedział pijany przy stole. Niczego się nie spodziewał. Leopold myślał, że to ty. Przynajmniej tak mu się wydawało od tyłu.
Myślał, że to ja, kiedy podrzynał gardło mojemu szwagrowi?
– Nie jestem ani trochę podobny do szwagra.
– Od tyłu, Amosie. Poza tym mówię ci, ten Leopold jest świrem. Coś mu tam w głowie nie styka.

Decker znowu zacisnął powieki.
Więc ten świr, któremu nie styka w głowie, wszedł na piętro, zastrzelił moją żonę i udusił córkę?

Otworzył oczy w chwili, kiedy Lancaster zbierała się do wyjścia.

– Mam więcej pytań – oznajmił.

– Za to ja nie mam więcej odpowiedzi. Za przyjście tutaj i opowiedzenie ci tego wszystkiego mogłabym stracić odznakę. Dobrze o tym wiesz.

Wstał z krzesła, górując nad nią niczym monstrualna klucha, na której widok małe dzieci krzyczą ze strachu i uciekają w popłochu.

– Muszę go zobaczyć.

– Wykluczone. – Lancaster natychmiast się cofnęła. I wtedy dostrzegła wyrzucenie na wysokości jego pasa. – Nosisz go przy sobie? – spytała z niedowierzaniem.

Nie poszedł za jej wzrokiem.

– Zwróciłem broń, odchodząc z policji.

– Nie o to pytałam. Każdy może kupić gnata. Pytam jeszcze raz. Nosisz go przy sobie?

– Jeśli nawet, prawo tego nie zabrania.

– Pod warunkiem że broń jest widoczna – zaproponowała. – Natomiast zabrania noszenia broni palnej w ukryciu, chyba że jest się funkcjonariuszem policji.

– Nie ukrywam jej. Zauważyłaś, prawda? Z pewnej odległości.

– To nie to samo, Amosie, i dobrze o tym wiesz.

Wyciągnął przed siebie złączone dłonie.

– No to mnie skuj. Doprowadź na komisariat i zamknij w celi z Sebastianem Leopoldem. Możesz odebrać mi broń. Nie będzie mi potrzebna.

Cofnęła się o kolejnych kilka kroków.

– Nie naciskaj. Daj nam robić, co do nas należy. Mamy go. Działajmy zgodnie z prawem. W naszym stanie wykonuje się karę śmierci. Za swój czyn może dostać zastrzyk.

– Jasne, za dziesięć lat, jak dobrze pójdzie. Do tego czasu będzie miał dach nad głową, łóżko i trzy posiłki dziennie. A jeśli rzeczywiście jest wariatem i jego adwokat przedstawi sprawę we właściwy sposób, odeślą go na przytulny oddział psychiatryczny, gdzie będzie sobie czytał książki, rozwiązywał łamigłówki, chodził na terapię zajęciową i dostawał darmowe leki, żeby nic go nie bolało. W jego położeniu to całkiem niezłe rozwiązanie. Z miejsca przystałbym na taki układ, słowo daję.

– Amosie, przyznał się do trzech zabójstw.

– Pozwól mi go zobaczyć.

Policjantka już zdążyła odwrócić się na pięcie i szybkim krokiem ruszyła do wyjścia.

Obejrzała się jeszcze i na odchodne warknęła:

– A tak w ogóle nie ma za co, ty draniu!

Patrzył za nią, póki nie wyszła z holu.

Usiadł z powrotem przy swoim stoliku. Uważał, że to j e g o stolik, ponieważ każdy potrzebuje miejsca, które mógłby nazwać własnym. Dla niego był nim właśnie ten stół.

Rano obudził się, nie mając w życiu absolutnie żadnego celu poza dotraniem do następnego poranka.

Teraz wszystko się zmieniło.

Decker wrócił do pokoju i wyjął telefon. Nie podobało mu się płacenie za dostęp do Internetu, ale dzięki temu miał pod ręką przepastną bibliotekę oraz armię pomocników do zbierania informacji – i to prawie za darmo. Przejrzał wiadomości. Mają pewnie zakaz ujawniania informacji na temat aresztowania Leopolda, ponieważ nie znalazł na ten temat ani słowa. Gdy szukał w sieci tego nazwiska, wyświetliło mu się kilka pozycji, ale dotyczyły oczywiście innych osób nazywających się tak samo.

Facet sam się zgłosił i przyznał do trzech zabójstw. Nawet gdyby rzeczywiście powołano się na niepoczytalność, groziło mu dożywocie. Czy to prawdziwy sprawca? Czy to zrobił? Policja powinna dość łatwo to określić. Decker wiedział, że przed opinią publiczną zataja się wiele szczegółów zbrodni. Przesłuchają Leopolda – jeśli to jego prawdziwe nazwisko – i szybko zdecydują, czy to on za tym stoi, czy z jakiegoś powodu kłamie.

Jeżeli to on, co zrobi Decker? Spróbuje wejść w paradę wymiarowi sprawiedliwości i zabić Leopolda? Żeby później samemu skończyć w więzieniu? Jeśli z kolei Leopold nie jest zabójcą, to także otwierają się rozmaite możliwości.

W obecnej chwili nie mógł zrobić nic. Przynajmniej nic konstruktywnego. Albo Leopold zostanie postawiony w stan oskarżenia i usłyszy formalne zarzuty, albo puszczą go wolno w zależności od wyniku przesłuchania. Jeśli go zatrzymają, wytoczą mu proces. A może nie, jeśli na przykład przyzna się do winy, co robi większość oskarżonych – dlatego że są biedni i nie stać ich na porządnego adwokata bądź dlatego że są winni, czy też z jednego i drugiego powodu. Bogaci zawsze walczą, zwłaszcza gdy w grę wchodzi długość wyroku. Mają wiele do stracenia.

Oskarżenie wcale nie musi jednak proponować ugody. Może zechcą sądzić tego frajera dla własnych korzyści zawodowych. Gdyby tak się stało, Decker byłby obecny na sali sądowej każdego dnia. W każdej minucie. Chciał zobaczyć tego człowieka. Poczuć jego zapach. Dobrze mu się przypatrzeć.

Decker leżał na łóżku. Wyglądał, jakby spał, ale był od tego daleki. Przypominał sobie. Rozmyślał o tym, kim kiedyś był. I kim jest teraz. Często o tym myślał, nawet gdy nie chciał. Czasami, a właściwie zazwyczaj, nie decydował o tym samodzielnie. Decyzję podejmował jego mózg, który, jak na ironię, zdawał się kierować własną wolą.

Nazywam się Amos Decker. Mam czterdzieści dwa lata, ale wyglądam co najmniej o dziesięć lat starszej (i to kiedy mam lepszy dzień, który nie zdarzył się ani razu od czterystu siedemdziesięciu dziewięciu dni), a czuję się starszej przynajmniej o sto. Byłem kiedyś policjantem, później detektywem, lecz nie uprawiam już żadnej z tych profesji. Cierpię na hipermnezję, co oznacza, że nigdy niczego nie zapominam. Nie mówię tu o technikach pamięciowych, które uczą

lepszego zapamiętywania, na przykład kolejności kart w talii przy zastosowaniu trików skojarzeniowych. Nie, u mnie działa mózg z turbodoładowaniem – w jakiś sposób odblokował potencjał, który wszyscy posiadamy i którego nigdy nie wykorzystujemy. Na świecie jest niewielu hipermnemów (skrót własny). Oficjalnie jestem jednym z nich.

Wygląda na to, że moje drogi sensoryczne się przecinają, tak że liczę w kolorach i postrzegam czas pod postacią obrazów w głowie. Prawdę mówiąc, barwy wdzierają się do moich myśli w zupełnie przypadkowych chwilach. Jesteśmy nazywani synestetykami. Tak więc liczę w kolorach i „widzę” czas, a bywa i tak, że kojarzę barwy z osobami oraz przedmiotami.

Wielu ludzi dotkniętych synestezją cierpi na autyzm albo ze-spół Aspergera. Ja nie. Ale nie lubię być dotykany. I nie łapię już dowcipów. To może jednak wynikać z faktu, że już nigdy więcej nie zamierzam się śmiać.

Kiedyś byłem normalny czy też tak bliski tego stanu, jak tylko człowiek może być.

Teraz jest inaczej.

Zabrzęczała komórka. Zerknął na wyświetlacz. Nie rozpoznał numeru, ale niczego to nie oznaczało. Próbuąc zdobyć zlecenia jako prywatny detektyw, zostawił swój numer telefonu w wielu miejscach. Nie miał w tej chwili ochoty skupiać się na pracy, ale z drugiej strony nie mógł lekceważyć klientów, którzy dawali mu zarobek. Gdyby wykopano go z tej nory za nieopłacanie czynszu, musiałby się przeprosić z tekturowym pudłem. Tymczasem nadchodziła zima. Mimo że nie brakowało mu tłuszczu zabezpieczającego przed utratą ciepła, zawsze przedkładał solidny dach nad produkty z papieru.

– Decker, słucham.

– Panie Decker, tu Alexandra Jamison z „News Leader”. Czy mogę zadać panu kilka pytań w związku z najnowszym rozwojem wypadków w sprawie dotyczącej pańskiej rodziny?

– Skąd ma pani mój numer?

– Od znajomego znajomego.

– Po raz drugi słyszę dzisiaj to wyrażenie. Wcale mi się przez to bardziej nie podoba.

– Panie Decker, minęło szesnaście miesięcy. Z pewnością coś pan czuje, dowiedziawszy się, że policja dokonała wreszcie aresztowania.

– Skąd pani o tym wie?

– Znam swój rewir. Mam wtyczki. Pewne. Dostałam informację, że podejrzany jest w areszcie. Wie pan coś więcej? Jeśli tak...

Przerwał połączenie. Telefon natychmiast zadzwonił ponownie, a wtedy Decker całkiem go wyłączył.

Nie lubił prasy, kiedy pracował w policji, mimo że dziennikarze bywali

do pewnego stopnia przydatni. Jednak jako prywatny detektyw nie miał z nich żadnego pożytku. Nie pociągną go za język ani nie dostaną od niego pomocy „w sprawie dotyczącej jego rodziny”.

Wyszedł z hotelu i złapał na rogu autobus. Potem przesiadł się na inną linię, jadącą do samego centrum. Kilka wieżowców wmieszanych między niższe i zupełnie niskie budynki, niektóre w dobrym stanie, inne nie. Zwarta siatka przecznic przecinających pod kątem dziewięćdziesięciu stopni szerokie, proste aleje. W centrum spędzał niewiele czasu. Do zbrodni, przynajmniej tych poważnych, dochodziło w północnej części miasta albo na przedmieściach. Ale komisariat, w którym dawniej pracował, oraz areszt śledczy znajdowały się właśnie tutaj, w samym centrum.

Stał na ulicy i przyglądał się budynkowi po przeciwnej stronie, do którego wchodził codziennie przez długie lata: Komisariat numer 2. W istocie był to Komisariat numer 1, ponieważ stary, oznaczony jedyneką, spłonął. Nikt nie zadał sobie trudu, żeby zmienić cyfrę na fasadzie. Prawdopodobnie budżet tego nie uwzględniał.

Komisariat nosił imię Waltera Jamesa O'Malleya, wybitnego komendanta policji sprzed czterdziestu lat. Padł nieżywy przed barem, z kochanką ucepioną jego ramienia. Nie przeszkodziło to jednak w nadaniu budynkowi jego imienia, co dowiodło ponad wszelką wątpliwość, że cudzołóstwo w gruncie rzeczy wcale nie niweczy dorobku życia. Nawet jeśli potrafi zabić.

Dawny pokój służbowy Deckera znajdował się na drugim piętrze. Widział okno, przez które wyglądał, kiedy nie patrzył na siedzącą naprzeciwko w ciasnym pomieszczeniu Lancaster. Cele dla aresztantów ulokowano w przyziemiu od strony ulicy, co oznaczało, że od Sebastiana Leopolda dzieliło Deckera zaledwie pięćdziesiąt stóp.

Nigdy nie znajdował się tak blisko domniemanego zabójcy swojej rodziny. A może mimo wszystko tak, przecież rzekomo znieważył tego faceta w 7-Eleven.

Odwrócił się, gdy dostrzegł znajomych funkcjonariuszy: dwóch w cywilu i jednego w mundurze. Choć bardzo się zmienił od czasu odejścia z policji, przypuszczał, że go rozpoznają. Skręcił w boczną uliczkę i oparł się o ścianę. Niepokój towarzyszył mu bezustannie. Bóle głowy pojawiały się i mijały. Zmęczony umysł nigdy nie przestawał pracować, nawet podczas snu. Tak jakby podświadomość była w istocie świadomością. Jak na człowieka, który nigdy niczego nie zapominał, miał problemy z przypomnieniem sobie, kim niegdyś był. Oraz jak stał się tym, kim był teraz.

Zamknął oczy.

Ten „talent” ujawnił się, kiedy miałem dwadzieścia dwa lata. Byłem przeciętnym futbolistą drużyny studenckiej, który trafił do drużyny NFL z takimi sobie umiejętnościami i wielkimi pretensjami. Wyszedłem na boisko w pierwszym

meczu sezonu po ciężkiej przedsezonowej harówce i przejściu ostatecznej selekcji. Jestem w drużynie wykopującej. Moje zadanie to po prostu poświęcić własne ciało, żeby wywołać chaos i spowodować wyrwę w zespole przejmującym piłkę, tak by inni mogli zrobić blokadę. Pędzę przez boisko na złamanie karku. Mam zrobić zamieszanie. Biegnę tak szybko, że z ust toczę pianę, a z nosa lecą mi gile. Płacę mi więcej, niż zarobiłem przez całe życie. Moim celem jest zasłużyć na te pieniądze. Już-już mam rozłożyć jednego kolesia na łopatki, załatwić go na cacy.

I to wszystko, co pamiętam. Dwayne LeCroix, żółtodziób z uniwersytetu w Luizjanie, był ode mnie o pięć cali niższy i lżejszy o pięćdziesiąt funtów, ale najwyraźniej reprezentował siłę, z którą należało się liczyć, ponieważ powalił mnie uderzeniem, jakiego w życiu bym się nie spodziewał. Koleś wysadził mnie w powietrze, jak mawiają w NFL. Po czterech latach wyleciał z ligi z oboma kolanami pozbawionymi chrząstki, lewym barkiem zredukowanym do kości na kości i debetem na koncie. Obecnie przebywa w więzieniu o zaostrzonym rygorze w Shreveport, odsiadując karę za przestępstwa popełnione na towarzyszach niedoli, i umrze tam pewnego dnia w bliskiej albo odległej przyszłości. W każdym razie tamtego dnia wyszedł ze starcia bez szwanku, triumfalnie zaciskając pięść i nadymając się jak kogut wśród kokoszek, podczas gdy ja leżałem nieprzytomny na płycie boiska.

Po tamtym zderzeniu już nic nigdy nie było takie samo.

Absolutnie nic.

7

Decker otworzył oczy, usłyszawszy wrzawę po drugiej stronie ulicy. Trzaskały drzwi. Samochodowe opony piszczwały, gdy guma zbyt mocno tarła o nawierzchnię. Wyły syreny. Podniesione głosy, szcęk metalu. Ciężkie buty na betonie.

Wyłonił się z uliczki i patrzył, jak po drugiej stronie wozy patrolowe z włączonymi kogutami wylewają się falami z podziemnego parkingu pod komisariatem. Z drzwi frontowych wypadali kolejni funkcjonariusze i policjanci w cywilnych ubraniach, biegli w stronę radiowozów i nieoznakowanych samochodów policyjnych zaparkowanych na ulicy.

Przyglądał się, jak okazała ciężarówka elitarniej jednostki specjalnej wtacza się w boczną uliczkę po stronie komisariatu i zawraca, jak kierowca wciska gaz, a metalowy nosorożec szarżuje na drogę.

Decker przysunął się bliżej, dołączając do grupki mieszkańców, którzy wychynęli ze swoich codziennych kryjówek, by obserwować to zatrzważające widowisko. Przysłuchiwał się rozmowom, by zorientować się, czy inni wiedzą, co się dzieje, ale wszyscy wydawali się zaszokowani tym, co widzą.

Decker przebiegł na drugą stronę ulicy na widok wyłaniającego się z komisariatu mężczyzny.

– Pete? – zagadnął.

Mężczyzna miał na sobie garnitur z poplamionym rękawem. Był po sześćdziesiątce, tuż przed emeryturą, lekko przygarbiony, z zaczesanymi na bok siwymi włosami. Zatrzymał się i podniósł wzrok. Decker zauważył, że Pete Rourke trzyma w ręku służbową broń i sprawdza magazynek.

– Amos? Co ty tu, u diabła, robisz?

– Po prostu tędy przechodziłem. Co się dzieje?

Pete zbladł i wyglądał tak, jakby miał za chwilę runąć na chodnik.

– Mamy jakiegoś popaprańca w Mansfield High School. Wparował tam uzbrojony po zęby i zaczął strzelać. Mnóstwo trupów, Decker. Głównie dzieciaki. Muszę lecieć. – Wyrwał mu się krótki szloch. – Cholera, do tej szkoły chodzi mój wnuk. Jest w pierwszej klasie. Nie wiem, czy...

Odwrócił się i potykając się, poszedł w stronę samochodu, jasnobrązowego chevroleta malibu, opadł na siedzenie, zapalił silnik i ruszył z kopyta, zostawiając na jezdni ślady opon.

Decker patrzył, jak się oddala. Armia policjantów wysłana do strzelaniny w szkole? Mansfield High. Decker też tam chodził, jakieś tysiąc lat temu.

Rozejrzał się dookoła. Odgłosy syren cichły. Ludzie na ulicy rozchodzili się, powracając do swoich skrawków egzystencji. Wielu sprawdzało wiadomości w telefonach. Decker zrobił to samo, ale nie pojawiły się jeszcze żadne informacje. Wszystko nadal się działo. Tak czy inaczej, media podejmą temat i nieprędko odpuszczą.

Do czasu kolejnej masakry. Wtedy natychmiast się na nią rzuca.

Do czasu kolejnej.

Decker utkwiał spojrzenie w drzwiach komisariatu. Zastanawiał się, jak liczny personel pozostał w budynku. Z pewnością kogoś zostawili. Mieli przecież za kratkami głośnego więźnia.

Dotknął wypukłości na biodrze. Będzie z tym problem. Zaraz za drzwiami wejściowymi zainstalowano bramkę magnetyczną. Decker rozejrzał się i dostrzegł obok budynku kubeł na śmieci. Podeszedł do niego i podniósł pokrywę. Kosz był wypełniony najwyżej w jednej czwartej. Śmieci wywożą dopiero pod koniec tygodnia, przypomniał sobie. Na wierzchu leżała jakaś szmata. Decker wyjął pistolet, owinął broń gałganem i wsadził do kubła.

Spojrzał na swoje ubranie. Kolejny problem. Nieopodal zauważył sklepową witrynę. Kiedyś robił tam zakupy. Dawno temu.

Grady's. Odzież w dużych rozmiarach.

W końcu noszę duży rozmiar. Jestem wysoki i szeroki. Teraz raczej szerszy niż wyższy.

Wyjął kartę kredytową. Miała limit. Bardzo niski limit. Ale może akurat wystarczy.

Ruszył w stronę sklepu. Gdy wchodził, zabrzączał dzwonek. Do Deckera podszedł dobrze ubrany, pulchny mężczyzna, lecz równie szybko się cofnął.

– W czym mogę pomóc? – zapytał z bezpiecznej odległości. Prawdopodobnie wziął Deckera za bezdomnego, który chce obrabować sklep.

Decker wyciągnął portfel i machnął odznaką prywatnego detektywa. Zrobił to szybko, żeby sprzedawca nie dopatrzył się szczegółów. Znacząco zerknął na ulicę w stronę komisariatu, by uwiarygodnić swój fortel. Kłamstwo przychodziło mu z trudem. A po wypadku na boisku futbolowym blokada w jego głowie znacząco osłabła, więc teraz było mu jeszcze trudniej powstrzymać się przed mówieniem dosłownej prawdy. Instynktownie łąknął precyzji i nie zadowalał się niczym innym. Jednak jako policjant, który często poruszał się w przestępczym świecie, musiał lawirować. Będąc detektywem, a obecnie prywatnym detektywem, musiał umieć wciskać kit, bo inaczej nie mógłby wykonywać swojego zawodu. Wreszcie zdołał wypracować metodę, która zdawała się działać.

Będę kłamał, perfekcyjnie.

Powiedział do sprzedawcy:

– Zbyt długo pracowałem nad przydzieloną mi misją. Zapuściłem się. Kiedy ściga się szczury, trzeba wyglądać tak jak one. Czas wrócić do cywilizacji. Rozumiemy się?

Mężczyzna powiódł wzrokiem w stronę komisariatu i skinął głową. Opuściło go napięcie. Zdobył się nawet na uśmiech.

– Nie jest pan pierwszy – rzekł zachęcająco. – Mamy wielu klientów z wydziału policji w Burlington.

– Też robiłem tu już kiedyś zakupy – oznajmił Decker.

– Oczywiście, pamiętam pana – skłamał sprzedawca.

Decker kupował szybko. Marynarka, rozmiar pięćdziesiąt cztery, przedłużona. Spodnie, rozmiar czterdzieści osiem, a i tak były dopasowane. Zapiął je pod brzuchem, jak to robi wielu mężczyzn o niezgrabnych sylwetkach. Zrezygnował z kupna paska. Spodnie z pewnością nie spadną. Na szczęście miał długie nogi i mógł kupić parę z fabrycznie podszytymi u dołu nogawkami. Koszula jak na słoniu. Krawat tani, ale efektowny. Buty rozmiar czternaście^[1]. Zdecydował się na sztuczną skórę. Cisnęły, ale nie zwracał na to uwagi.

– Ma pan może szczotki i maszynki do golenia? – zapytał, przeglądając się w lustrze.

– Tutaj, w dziale przyborów toaletowych.

– A teczkę?

– W dodatkach.

Kupił wszystko, płacąc kartą kredytową. Na prośbę Deckera sprzedawca dorzucił jeszcze notatnik i kilka długopisów, które trzymał za ladą w pudełku z materiałami biurowymi.

– Ciągłe obcinają nam budżet – wyjaśnił Decker. – Jak mamy chronić ludzi, skoro nie stać nas nawet na długopisy?

– To woła o pomstę do nieba – przyznał mężczyzna. – Świat schodzi na psy. Interesuje pana spinka do krawata albo chusteczka do kieszonki?

Decker zabrał wszystko do toalety, umył się w umywalce, użył świeżo kupionego dezodorantu, zgolił prawie cały zarost, zostawiając tylko króciutką szczecinę na brodzie, żuchwie i górnej wardze, przystrzygł i uporządkował włosy, włożył nowe ubranie i buty, a stare wepchnął do sklepowej torby.

Wyszedł z firmową reklamówką w ręku i ruszył w stronę komisariatu. Czuł, że krawat wpija mu się w szyję. Pomimo użycia antyperspirantu lekko pocił się pod pachami, choć powietrze było chłodne. Za to wyglądał zupełnie inaczej niż poprzednio. Tak szacownie nie prezentował się nawet w czasach, kiedy był zatrudniony w policji.

Dołożył torbę z ubraniami do pistoletu schowanego w kubie na śmieci i pewnie wkroczył na schody komisariatu. Wiedział, że postępuje niemądrze. Że to szaleństwo. Od jego odejścia ze służby nie minęło znów tak wiele czasu. W każdej chwili mógł zostać rozpoznany przez kogoś w rodzaju Pete'a Rourke'a. Ale miał to w nosie. Naprawdę mało go to obchodziło. To jego szansa. Może jedyna. Zaryzykuje.

Przeszedł przez bramkę magnetyczną. Wejście obsługiwał młody policjant. Decker go nie znał, on nie znał Deckera.

Dobrze. Podwójnie dobrze.

Podszedł do informacji. Siedząca tam starsza kobieta nie miała na sobie munduru. Z pewnością była pracownikiem cywilnym. Posadzenie w recepcji umundurowanego funkcjonariusza byłoby rozrzutnością w dysponowaniu zasobami ludzkimi.

Gdy Decker ułożył już sobie w głowie bajeczkę, jaką opowie recepcjonistce, spojrzał na nią z wysokości swoich sześciu stóp i pięciu cali. Zadarła głowę. Na jego widok zrobiła wielkie oczy, może po prostu chciała objąć wzrokiem całą jego postać.

– W czym mogę pomóc? – zapytała.

– Macie tu w areszcie niejakiego Sebastiana Leopolda?

W zakłopotaniu zamrugowała powiekami.

– Nie wiem, co pan...

– Chciałbym z nim porozmawiać.

– A kim pan...

– Ten człowiek potrzebuje adwokata. Nie sądzę, by wyznaczono już kogoś do reprezentowania jego strony.

– Nie jestem pewna...

– Szósta poprawka: prawo do obrony. Nie wolno go odmawiać. Wystarczy

mi kilka minut.

– Muszę zadzwonić...

– Skoro pani musi, to proszę. Ale wiem, że mamy do czynienia z dość niebezpieczną sytuacją w mieście. Więc jeśli nikt nie odbierze, wystarczy mi krótka rozmowa.

Decker podniósł teczkę i postukał w jej ściankę.

– Ma zostać postawiony w stan oskarżenia. Będzie musiał przygotować się do obrony. Mam kilka pomysłów.

– Zechce pan usiąść.

Decker obejrzał się na policjanta obsługującego bramkę magnetyczną. Funkcjonariusz mu się przyglądał. Niedobrze.

Ze świadomością, że być może wyrzucił właśnie w błoto kupę forsy, której przecież nie ma, na strój mający nadać mu wygląd prawnika, Decker usiadł na przykręconym do ściany krześle i czekał. Starsza kobieta wzięła do ręki telefon i powoli, powolutku wstukiwiała cyfry.

Cyfry. Zawsze te cyfry.

Działy na niego hipnotyzująco, odsyłały w rewiry, w których niekoniecznie miał ochotę się znaleźć.

Decker zamknął oczy, a myśli zaczęły się cofać... do dnia, nie, dokładnie do tamtej c h w i l i, w której jego życie odmieniło się na zawsze.

8

Thum szalał z radości za każdym razem, gdy pokazywano powtórkę na telebimie, a robiono to wielokrotnie, jak mi później powiedziano. Mój kask pofrunął na pięć stóp w górę i toczył się kolejnych sześć, zatrzymując się u stóp sędziego, który podniósł go i być może zajrzał do środka, by sprawdzić, czy przypadkiem nie ma tam mojej głowy.

Myślę, że mój mózg obijał się o czaszkę powielekroć, niczym ptak próbujący zaprzyjaźnić się z szybą, póki nie złamie sobie karku.

Tak, kibice wiwatowali i wrzeszczeli za każdym razem, gdy na telebimie puszczano powtórkę.

Potem, jak mi relacjonowano, okrzyki umilkły. Ponieważ nie wstawałem. Ponieważ nie poruszałem ani jednym mięśniem. A później ktoś zauważył, że także nie oddycham i robię się siny. Powiedzieli mi, że główny trener na przemian walił w moją klatkę piersiową jak przebijakiem w kawał metalu i wdmuchiwał mi powietrze do ust. Podobno umierałem na boisku dwa razy, a on za każdym razem wyciągał mnie z tamtego świata. Podobno ryczał mi do ucha: „Trzymaj się, dziewięćdziesiąt pięć! Trzymaj się, do cholery!”. Byłem nikim, dlatego przywoływał numer z koszulki, bo nie wiedział, jak się nazywam. Moja tożsamość zawodowego futbolisty wyrażała się w nadrukowanym na piersi numerze dziewięćdziesiąt pięć. Dziewięć i pięć. Fiolet i brąz w mojej barwnej tabeli cyfr. Nigdy świadomie nie

przypisywałem cyfrom kolorów. Mój mózg robił to za mnie bez pozwolenia.

Kolizja na boisku zmieniła we mnie wszystko, ponieważ poprzestawiała kabelki w mojej głowie. Tak więc umarłem, i to dwa razy, a później powróciłem do żywych jako inna osoba. I długo myślałem, że będzie to najgorsza rzecz, jaka mi się w życiu przytrafiła. Aż do tamtej nocy. Trzy ciała w kolorze neonowego błękitu – i zderzenie na boisku spadło na odległą drugą pozycję na mojej osobistej liście katastrof.

– Przepraszam... Proszę pana?

Decker otworzył oczy i ujrzał przed sobą kobietę. Nie tę starszą z recepcji. Znacznie młodszą, może dwudziestokilkuletnią, ubraną w luźne czarne spodnie i jasnoniebieską koszulową bluzkę z rozpiętymi dwoma górnymi guzikami. Miała świeżą cerę, emanowała optymizmem i kompetencją. Musi być tu od niedawna, pomyślał. Po roku pracy już by tak nie wyglądała. Może nawet po sześciu miesiącach. Zadawanie się przez cały dzień z różnymi kanałami postarza człowieka szybciej niż nadmiar słońca.

Przyjrzał się jej przyczepionemu do biodra identyfikatorowi.

Sally Brimmer. Sprawy publiczne. Musieli ją zatrudnić już po jego odejściu. Szczęście mu sprzyja.

Kłam jak z nut, Amosie. Potrafisz. Musisz to zrobić. Liczy się każde słowo. Bo inaczej wszystko obróci się przeciwko tobie. Każde słowo... A więc do dzieła.

Wstał i wyciągnął rękę.

– Pani Brimmer?

Wymienili uścisk dłoni. Jej ręka zniknęła w jego wielkim, spoconym łapsku. Miał nadzieję, że kobieta nie uzna wilgotnej skóry za dowód nieczystych zamiarów.

– Podobno chce pan się zobaczyć z Sebastianem Leopoldem?

– Zgadza się. Domyślam się, że potrzebuje pomocy prawnej.

– Kto dał to panu do zrozumienia?

Decker stłumił narastający w piersi niepokój, błyskawicznie przerzucił klatki swojego wewnętrznego rejestratora obrazu i sformułował odpowiedź:

– Mam wtyczkę w „News Leader”. Alex Jamison. Słyszała pani o niej?

– Tak, słyszałam. Jest dobra. I pewnie zorientowana. Pan jest prawnikiem?

Pokazał jej wizytówkę z adresem biura na drugim końcu miasta, gdzie rzeczywiście mieściła się kancelaria adwokacka.

Przyjrzała się wizytówce i oddała ją Deckerowi.

– Mamy w tej chwili niebezpieczne zdarzenie w mieście – poinformowała.

– Słyszałem. Pete Rourke powiedział mi, kiedy wchodziłem. W Mansfield High School. Uczy się tam jego wnuk. Mam nadzieję, że nic mu się nie stało.

– A więc zna pan Pete’a?

– Znamy się kopę lat, pani Brimmer.

Westchnęła i rozejrzała się dookoła.

– W zasadzie to nie ja powinnam podejmować tę decyzję.

– Mogę przyjść później. – Nim zdążyła zareagować na tę propozycję, szybko dodał: – Ale Leopolda trzeba postawić w stan oskarżenia w ciągu czterdziestu ośmiu godzin, w przeciwnym razie musi zostać wypuszczony. A wątpię, by komukolwiek tutaj na tym zależało.

– Nikt tego nie chce. Rzecz w tym...

Natychmiast przyszedł mu do głowy właściwe słowa. Jakby czytał z telepromptera.

– Postawienie mu zarzutów bez zapewnienia adwokata albo w obecności obrońcy nieprzygotowanego do sprawy może doprowadzić do patowej sytuacji i, przepraszam za wyrażenie, odbić się policji czkawką. Wiem, że na tym także wam nie zależy. Po-dobnie jak wszystkim praworządnym obywatelom.

Zaczęła kiwać głową w połowie tej przemowy.

– Potrzebuje pan tylko kilku minut?

– Tyle mi wystarczy – potwierdził.

Zawahała się. Dostrzegł w jej oczach niezdecydowanie.

Wolałaby umyć od tego ręce, czuła się wrobiona w konieczność podjęcia decyzji.

Im dalej brnął w kłamstwo, tym większy dręczył go niepokój. Wziął głęboki oddech, starając się przełknąć rosnącą w gardle gulę.

– Tylko kilka minut – powtórzył. – I już mnie tu nie ma. Wtedy nie będzie mógł się poskarżyć.

Decker miał na myśli dokładnie to, co powiedział na końcu.

– Wie pan, o co się go oskarża?

– Tak, i to bardzo dobrze. Jednak bez względu na potworność czynów, jakich się dopuścił, ma prawo do obrony. Jeśli zostanie uznany za winnego, mogą wstrzyknąć mu śmiertelną dawkę trucizny, a stojący przed panią obywatel nie zgłosi żadnej skargi. Obiecuję.

Prawda z pewnością cię uwolni, Amosie.

Przełamał wreszcie jej niezdecydowanie, tak jak przełamuje się lody.

– No dobrze, proszę za mną.

I Amos Decker ruszył za swoją przewodniczką.

9

Skręcili za róg korytarza i ich oczom ukazał się on, szczur w klatce, tak przynajmniej uważał Decker. Jednak jego ocena to za mało. Musiał mieć pewność.

Brimmer spojrzała najpierw na Deckera, potem na Leopolda.

– Oto i aresztant. Mogę dać panu maksymalnie piętnaście minut.

– Więcej nie trzeba – zapewnił Decker.

Był tam jeszcze strażnik. Jego Decker także nie rozpoznał. Wykonując przez

dziesięć lat pracę detektywa, rzadko zadawał się z mundurowymi.

– Proszę otworzyć – poleciała strażnikowi Brimmer.

Zabrzęczały klucze, drzwi się rozsunęły, Decker wszedł do celi i zaczął się wpatrywać w mężczyznę, który przycupnął na pryczy jak kot.

– Piętnaście minut, dobrze? – przypomniała policjantka.

Decker skinął głową, ale nie spojrzął na kobietę. Słyszał, jak oddała się stukot jej obcasów. Zaczekał, aż strażnik powróci za biurko na końcu korytarza, i dopiero wtedy zbliżył się do aresztanta i skupił na nim całą uwagę.

Sebastian Leopold nie był tak duży, jak Decker się spodziewał po opisie Lancaster.

A może to ja mocno się powiększyłem.

Ubrali go w pomarańczowy kombinezon więzienny. Na kostkach i nadgarstkach miał założone kajdanki, w pasie łańcuch przypięty do ściany. A szkoda, bo gdyby próbował zaatakować Deckera, ten mógłby go zabić w obronie własnej.

Mężczyzna odwrócił głowę w stronę Deckera, który szykował się na jakąś reakcję z jego strony, świadcząca o rozpoznaniu. Nic takiego nie nastąpiło. Dziwne, bo rzekomo obraził Leopolda tak mocno, że ten z zemsty wymordował mu rodzinę.

Aresztant miał nabiegłe krwią oczy, rozszerzone źrenice. Decker domyślił się, że policjanci przeprowadzili test na obecność narkotyków, kazali Leopoldowi nasikać do butelki, pobrali wymaz z policzka do testu DNA i sprawdzili gościa alkometrem. Kombinezon z krótkimi rękawami odsłaniał przedramiona mężczyzny. Na prawym widniał tatuaż przedstawiający dwa delfiny. Interesujące.

Były też ślady igieł. Wyglądały na stosunkowo świeże. Decker zastanawiał się, czy facet się naszprycował, zanim wparował do komisariatu i przyznał się do potrójnego zabójstwa. Aby coś takiego zrobić, potrzeba silnego dodatkowego bodźca, pomyślał.

Brakowało fragmentu palca lewej ręki, odciętego na pierwszym zgięciu. Blizna na twarzy. Złamany nos przesunięty o dziesięć stopni w lewo. Mocne dłonie ze zgrubieniami na skórze. Pracował fizycznie.

Czy to są te ręce, które odebrały mi Molly?

– Panie Leopold?

Facet nadal patrzył na niego niewidzącym wzrokiem. Tak przynajmniej wydawało się Deckerowi.

Wciąż żadnego przebłysku rozpoznania. A przecież po tym, jak Decker doprowadził się do porządku, przyszygł brodę i włosy, bardziej przypominał policjanta, którym był siedemnaście miesięcy temu, kiedy rzekomo obraził Leopolda w 7-Eleven.

Utkwił spojrzenie w twarzy mężczyzny i uruchomił swój wewnętrzny

odtworzący. Obrazy przesuwały mu się przed oczami klatka po klatce, cofając się dokładnie do okresu, kiedy podobno natknął się na tego faceta. Data wyświetliła mu się tak wyraźnie, jakby czytała się tuż pod powiekami. Miesiąc przed zabójstwem, tak powiedziała Lancaster. Dla pewności Decker dodał po jednym tygodniu przed tą datą i po niej.

Odtwarzacz szumiał, przerzucał klatki godzina po godzinie, minuta po minucie. W tamtym okresie Decker trzykrotnie zaglądał do 7-Eleven.

Sebastiana Leopolda zwyczajnie tam nie było.

Decker wyłączył swoje wewnętrzne wideo i usiadł na wmontowanym w ścianę krześle.

– Panie Leopold – zaczął cichym głosem. – Czy pan mnie poznaje?

Wydawało się, że Leopold słucha, ale jakby nie słyszał.

– Rozpoznaje mnie pan?

Mężczyzna potrząsnął głową.

Poruszał rękami w osobliwy sposób. Decker obserwował kreślone przez niego precyzyjne wzory.

– Potrzebuje pan obrońcy – rzekł i poklepał teczkę.

Wtedy Leopold przestał poruszać rękami i kiwnął głową.

Decker wyjął notatnik i długopis.

– Może mi pan opowiedzieć, co się wydarzyło tamtej nocy?

– Po co?

W jego głosie pobrzmiwała nuta nagłej podejrzliwości, co lekko zaskoczyło Deckera. Przesłuchiwał mnóstwo aresztantów, wielu z nich oskarżono. Większość była głupia jak but z lewej nogi i dopuściła się zbrodni z jeszcze głupszych powodów. Ale część odznaczała się dużo większą bystrością umysłu, niż im przypisywano. Może Leopold był jednym z nich.

– Potrzebuje pan obrońcy. Przyznał się pan do trzech zabójstw.

– Jestem winny. Zrobiłem to.

– Mimo wszystko ktoś musi reprezentować pana przed sądem.

– Dlaczego?

– Ponieważ tak działa system sądowniczy. Dlatego muszę znać fakty.

– Dadzą mi karę śmierci. – Leopold mówił jak dziecko wyznające, jakiej spodziewa się kary. Podejrzliwy więzień przeobraził się w małego chłopczyka. Decker zastanawiał się, czy to wpływ narkotyków, które zamieniają jego procesy myślowe w grę przypadku.

– I tego pan chce?

– To nie zależy ode mnie.

– Racja. Wyrok w dużej mierze zależy od sędziego i ławy przysięgłych. Ale ma pan w tym swój udział. A więc powie mi pan, co się wydarzyło?

Decker zerknął na zegarek. Minęły cztery minuty. W każdej chwili

korytarzem mógł przechodzić ktoś znajomy. Odwrócił się plecami do drzwi celi.

– Zabiłem ich – odpowiedział prosto Leopold. Patrzył apatycznie na Deckera, który szukał w jego oczach choćby najsłabszego sygnału, że mężczyzna go rozpoznaje. A gdyby taki sygnał dostrzegł, to co? Co by zrobił? Udusiłby Leopolda, tak jak on być może udusił Molly?

Leopold znów wprawił ręce w ruch. Wyglądał jak dyrygent prowadzący niewidzialną orkiestrę. Decker obserwował go przez chwilę i ponownie skupił się na rozmowie.

– Dlaczego pan to zrobił?

– Bo gościu mnie wkurzył.

– Jaki gościu?

– Tamten. Który tam mieszkał.

– Czym pana wkurzył?

– Po prostu wkurzył.

– Ale w jaki sposób?

– Nie okazał mi za grosz szacunku.

– Pracował pan w 7-Eleven przy DeSalle? Był pan tam klientem?

Leopold zignorował pytania i rzucił:

– Dorwałem go, co nie?

– Jak pan to zrobił?

– Zabiłem mu rodzinę.

– Nie, chodzi mi o to, skąd pan wiedział, gdzie on mieszka?

– Śledziłem go.

– Jak?

W oczach mężczyzny pojawiła się ostrożność, której Decker wcześniej nie zauważył.

– Nie muszę nic gadać. Gliniarz z pana czy jak? Próbuje mnie pan zrobić?

– Sam się pan przyznał, panie Leopold. Nie ma pana w co wrabiać. Chyba pan rozumie?

Leopold zamrugnął i podrapał się w szyję.

– No, chyba rozumiem.

– I nie jestem gliną. Więc pan go śledził? Jak?

– Co znaczy: jak?

– Pieszko, na rowerze, samochodem?

– Nie mam żadnego cholernego roweru.

– Więc samochodem?

– Jak nie mam roweru, to i nie mam bryki.

– A zatem pieszo?

Leopold powoli skinął głową, po czym uważnie przyjrzał się Deckerowi, jakby chciał sprawdzić jego reakcję.

Decker zapisał coś w notesie. Otarł z czoła kroplę potu, choć w piwnicznej celi panował chłód. Gdyby ktoś go tu nakrył, Decker sam mógłby trafić do więzienia. Poza tym nie przepadał za rozmowami z ludźmi, zatem im krócej, tym lepiej. Ale teraz nie miał wyjścia. Może to jego jedyna szansa.

– Więc dowiedział się pan, gdzie ten „gościu” mieszka, a następnie postanowił pan zamordować jego rodzinę. Jednak zwlekał pan około miesiąca. Dlaczego?

– Kto powiedział, że zwlekałem miesiąc?

– Tak pan zeznał przed policją.

Leopold się skulił, jak szczur próbujący ukryć się w szczelinie. Tylko że w celi nie było się gdzie schować.

– No tak, zgadza się. Musiałem wszystko zaplanować. Obserwować dom i, że tak powiem, zbadać teren.

Decker zerknął na tatuaż.

– Kiedy służył pan w marynarce?

Oczy Leopolda rozbłysły na krótką chwilę.

– Kto mówi, że służyłem?

Decker wskazał na wytatuowane przedramię mężczyzny.

– Dwa delfiny. Marynarze często noszą ten tatuaż. Wybrał pan takie miejsce, żeby nie wystawał spod rękawa munduru, zgodnie z przepisami.

Leopold spojrzał na tatuaż jak na zdrajcę.

– Nie służyłem w marynarce.

– Więc zbadał pan teren i udał się na miejsce pod osłoną nocy. Niech mnie pan dalej poprowadzi.

Decker obejrzał się przez ramię, usłyszawszy jakiś odgłos. To tylko strażnik idący korytarzem. Otarł kolejną kroplę potu.

– Poprowadzi? – powtórzył jak papuga Leopold.

– Od momentu wejścia do chwili wyjścia. Zaczniemy od tego, jak dostał się pan do środka.

– Wszedłem.

– Adres domu?

Leopold się zawahał.

– To był piętrowy budynek z żółtymi panelami na elewacji i wiatą na samochód z boku.

– Jak pan wszedł do środka?

– Kuchennymi siatkowymi drzwiami.

– Pamięta pan jakieś szczególne pomieszczenia?

– Człowieku, zwykła kuchnia. Kuchenka, zmywarka, stół, krzesła.

– Pamięta pan kolor ścian?

– Nie.

Decker ponownie zerknął na zegarek. Trzeba się pospieszyć. Jego niepokój wzrastał się z każdą sekundą.

– Kogo zabił pan najpierw?

– Tego kolesia. Myślałem, że to ten, który mi ubliżył. Ale chyba się pomyliłem.

– Skąd pan wie?

– Ze zdjęć w prasie. Już później.

– Niech pan mówi dalej.

– Siedział przy kuchennym stole. Był na bańce.

– Skąd pan wie?

Leopold podniósł wzrok, wyraźnie zirytowany.

– Co mnie pan tak wypytuje?

– Ponieważ to samo robi policja. Oraz sąd. Ława przysięgłych będzie chciała poznać każdy szczegół.

– Cholera, przecież się przyznałem.

– Mimo to mogą pana sprawdzać.

Leopold wydawał się skonsternowany.

– Po co?

– Żeby pokazać się z dobrej strony. Skąd pan wiedział, że mężczyzna pił?

– Na stole stały butelki piwa.

– Jak go pan zabił? Był dużo większy od pana.

– Ale pijany. Wyciągnąłem nóż i przeciąłem o, tutaj. – Wskazał na szyję.

– Znalezione go w pomieszczeniu obok.

– Tak, tak, zgadza się. Bo doczołgał się tam z poderżniętym gardłem. Krwawił jak zarzynane prosię. A później, cholera, później przestał się ruszać.

– Wydawał jakieś odgłosy?

– Tak, ale ciche – odparł Leopold. Znowu pokazał na gardło. – Tu mu przeciąłem. Nie mógł narobić hałasu.

– Pamięta pan, w co był ubrany?

Mężczyzna spojrzał na Deckera w osłupieniu.

– To było dawno. W spodnie? Koszulę?

– Co dalej?

– Wiedziałem, że ma rodzinę. Przyszedłem zabić także ich.

– Niech pan mówi – rzekł Decker ze spokojem, choć czuł coś zupełnie innego. Serce waliło mu tak szybko, że czuł pulsowanie w całym ciele, jakby tysięcy maleńkich serc pompowało krew w szaleńczym tempie.

Już prawie koniec, Amosie, wytrzymaj, tylko wytrzymaj.

– Poszedłem na piętro. Do pierwszego pokoju na... na...

– Lewo? – podpowiedział Decker.

Leopold wycelował w niego palec.

– Aha. Na lewo.

– No i?

– No i wszedłem do środka. Brała kąpiel... nie, leżała w łóżku. Tak, w łóżku. Ładniutka. W koszuli nocnej. Całkiem przezroczystej. Do licha, dziwka wyglądała naprawdę nieźle.

Decker zacisnął palce na krawędzi krzesła i świdrował Leopolda wzrokiem. Jego żony nie zgwałcono. Potwierdziły to oględziny. Ale było coś jeszcze.

– Paliło się światło? – indagował Decker.

– Co?

– Powiedział pan, że widział, jak prześwituje koszula nocna. Założyłem, że światło było zapalone.

Leopold miał niepewną minę.

– Nie, chyba nie...

– No to jak?

– Stałem nad nią.

– Kiedy leżała w łóżku?

Leopold rzucił Deckerowi wściekłe spojrzenie.

– Cholera, człowieku, dasz mi powiedzieć czy nie?

– Przepraszam, niech pan mówi.

– Miałem broń. Przyłożyłem jej lufę do czoła i nacisnąłem spust.

– Co to była za broń?

Leopold odpowiedział bez zastanowienia:

– Smith and wesson czterdzieści pięć.

– Skąd pan go miał?

– Ukradłem takiemu jednemu.

– Taki jeden ma jakieś nazwisko?

Leopold tylko wzruszył ramionami.

– Dalej.

Decker usłyszał odgłos otwieranych na górze drzwi i tupot nóg. Najwyraźniej część policjantów wracała z akcji w szkole.

– No i ją zastrzeliłem. Nie, zaraz. Obudziła się, teraz sobie przypominam. Usiadła i zaczęła krzyczeć. Tak. Wtedy ją zastrzeliłem. Suka spadła z łóżka.

– Na podłogę? Całym ciałem?

Leopold spojrzał spode łba.

– Chyba jakaś część została na łóżku. Stopa albo ręka.

– Co dalej?

To był punkt krytyczny. Coś, o czym nie pisała prasa. Rana na czole nie była jedyną, jaką zadano Cassie. Wykazała to autopsja.

Nie została zgwałcona. Ale okaleczono jej narządy intymne.

– Wiedziałem, że gość ma córkę. Poszedłem korytarzem do jej pokoju.

Spała.

– Więc skończył pan z kobietą. Nie działa się nic więcej?

Leopold gapił się na Deckera.

– Już powiedziałem. Zastrzeliłem ją!

– W porządku.

– Później poszedłem do małej.

– Chwileczkę, dziewczynka nie obudziła się od wystrzału?

Leopold znów wydawał się zdezorientowany.

– No... nie, chyba nie. Spała.

– Co dalej?

– Wywlokłem ją z łóżka.

– Dlaczego?

– Tak sobie. Nie myślałem wtedy zbyt jasno. Zaciągnąłem ją do łazienki.

– Ponówię pytanie: dlaczego? Bo nie myślał pan zbyt jasno?

– Właśnie. Może musiałem się odlać i nie chciałem, żeby mi się wymknęła.

– I odlał się pan?

– Nie pamiętam.

– Nie krzyczała na pański widok?

– Nie. Pewnie była przerażona. No i... kazałem jej być cicho.

– Co potem?

– Potem ją udusiłem. Objąłem jej szyję rękami i po prostu mocno ścisnąłem,

jak...

Decker powstrzymał go gestem dłoni. Na chwilę odwrócił wzrok. Oślepił go niesłychanie intensywny błękit. Kolor raził tak mocno, że Decker o mało nie zasłabł. Jakby dusił się w szafirze.

– Hej, człowieku, w porządku? – zapytał Leopold z autentyczną troską.

Decker otarł powoli krople potu z czoła.

– W porządku. Zabił ją pan i co dalej?

Leopold po raz kolejny miał nietęgą minę.

– Zrobił pan coś z ciałem? Z ubraniem?

Mężczyzna pstryknął palcami.

– No przecież – odparł i się rozpromienił, jakby poprawnie rozwiązał zadanie z algebry. – Posadziłem ją na sedesie i związałem tym czymś, jak to się tam nazywa...

– Paskiem od szlafroka? – podsunął Decker.

– Właśnie, przywiązałem ją do rezerwuaru.

– Dlaczego?

Leopold tylko patrzył.

– Bo... no bo tak sobie wymyśliłem.

– Jak pan wyszedł?

- Tak samo jak wszedłem.
- Miał pan samochód?
- Nie, mówiłem, że przyszedłem na piechotę!
- Ktoś pana widział?
- Nic mi o tym nie wiadomo.
- Co pan zrobił z bronią?
- Wyrzuciłem do kubła.
- Gdzie?
- Nie pamiętam.
- A nóż?

Leopold wzruszył ramionami.

- Też.
- Powiedział pan komuś o tym, co zrobił?
- Nie, aż do tej pory.
- Dlaczego teraz?

Ponownie wzruszył ramionami.

- Usmażą mi tylek?
- Wstrzykną truciznę. Smażenie będzie później.
- Że co?
- W piekle.
- Jasne. – Leopold zachichotał, jakby Decker opowiedział przedni dowcip. –

A to dobre.

- No więc dlaczego zgłosił się pan teraz? – nie odpuszczał Decker.
- Co za różnica – rzekł Leopold. – Nie miałem nic innego do roboty.

Decker przyjrzał się guzowi na szyi Leopolda.

- Co to za guz? Jest pan chory?
- Mężczyzna ostrożnie dotknął zgrubienia.

- Nic takiego.
- Zbadał to pan?

Leopold parsknął.

– Jasne. Poleciałem prywatnym odrzutowcem do kliniki Mayo. Zapłaciłem gotówką.

Sarkazm. Interesujące.

- Skoro służył pan w marynarce, to ma pan ubezpieczenie.

Leopold pokręcił głową.

- KZ. Karne zwolnienie.
- Więc jednak był pan w marynarce?
- Tak – przyznał Leopold.

Z góry dobiegały coraz wyraźniejsze odgłosy. Decker spojrział na zegarek. Zostały dwie minuty, a Brimmer wyglądała na taką, która stawi się punktualnie,

żeby wyprowadzić go z celi.

– Miał pan ZSP^[2]?

– Że co?

– Problemy z głową? Depresja? Po udziale w walkach.

– Nigdy nie walczyłem.

– Jest pan chorym sukinsynem, który wykończył całą rodzinę, bo ktoś pana obraził? – Decker trzymał nerwy na wodzy.

Leopold silił się na uśmiech.

– Na to wygląda. Chłopie, ze mną to same kłopoty. Od zawsze. Gdyby mamusia żyła, toby zaświadczyła. Jestem po prostu kawałem gówna. Spieprzyłem w życiu każdą rzecz, której się tknąłem. Serio.

– Czy jeśli sprawdzimy wojskowe papiery, znajdziemy w marynarce wojennej Sebastiana Leopolda?

Leopold kiwnął głową, ale z roztargnieniem, jakby wcale tego nie potwierdzał.

Decker przysunął się bliżej.

– Zapytam jaśniej. Czy Sebastian Leopold to pana prawdziwe nazwisko?

– Takiego używam.

– Od urodzenia czy od niedawna?

– Nie od urodzenia.

– Więc dlaczego się pan nim posługuje, skoro to nie pańskie nazwisko?

– Człowieku, w czym problem? To tylko zbitka liter.

Decker wyciągnął telefon i wskazując na Leopolda, powiedział:

– Uśmiech.

Zrobił zdjęcie i schował telefon. Następnie wyjął długopis i kartkę papieru.

– Może pan napisać tu swoje nazwisko?

– Po co?

– Do mojej dokumentacji.

Leopold powoli kreślił litery.

Decker zabrał długopis i kartkę, wstał i oznajmił:

– Będziemy w kontakcie.

Podszedł do drzwi i wezwał strażnika. Gdy mężczyzna się zjawił i otworzył celę, Decker zapytał:

– Jeśli mnie pamięć nie myli, toaleta jest tam, zgadza się? – Wskazał kierunek przeciwny do tego, z którego przyszedł.

Strażnik przytaknął.

– Tak, pierwsze drzwi.

Decker wepchnął do teczki notes i długopis i szybko ruszył korytarzem w stronę ubikacji. Tę zmianę planu spowodował odgłos kroków na schodach. Decker usłyszał kroki większej liczby nóg, co oznaczało, że Brimmer sprowadziła

posiłki. Co z kolei oznaczało, iż wiedzieli, że coś nie gra.

Minął drzwi toalety i wyszedł na rampę. Nie było tam żywej duszy. Stała tylko ciężarówka z otwartą górną szybą, ukazując puste wnętrze.

Decker zbiegł po kilku stopniach, podeszwy jego nowych, ciasnych butów stuknęły o asfalt. Wpadł w uliczkę z lewej i dziesięć sekund później znalazł się na głównej ulicy. Skręcił w prawo, a na następnym skrzyżowaniu w lewo. Były tam hotel i postój taksówek.

Rzucił do pierwszego taksówkarza:

– Niech pan jedzie na północ. Tak daleko, na ile wystarczy mi pięć doliców.

Chwilę później taksówkarz go wysadził. Decker pognął na autobus i po dwóch przystankach znalazł się już z powrotem przy Residence Inn. Wsiadając z autobusu, zauważył dwa wozy policyjne zaparkowane od frontu oraz samochód służbowy, który zdecydowanie należał do kogoś ważniejszego niż zwykły gliniarz z ulicy.

Cholera.

10

Całe szczęście, pomyślał Decker, że nie miał okazji odzyskać porzuconego w kubie na śmieci pistoletu oraz starych ubrań. Posiadanie broni w sytuacji, która prawdopodobnie go czekała, nie byłoby rozsądne. Pewnie mógłby rzucić się do ucieczki, ale przypuszczalnie właśnie tego się spodziewali. Poza tym nie lubił biegać. Po prostu nie był do tego stworzony.

Poluzował krawat, rozpiął górny guzik koszuli, odetchnął z ulgą, uwolniwszy gruby kark od tej jakże popularnej pętli, i wszedł do holu Residence Inn. Tam natychmiast otoczyli go funkcjonariusze policji.

Decker przyglądał się im ze spokojem.

– Wziąwszy pod uwagę, co dzieje się w Mansfield, nie sądziłem, że oddelegujecie tylu ludzi.

– Przestań chrzanić, Decker – odezwał się znajomy głos.

Decker spojrział w bok.

– Cześć, Mac.

– Dla ciebie kapitan Miller.

– Nie pracuję już w policji.

– Okaż trochę szacunku, bo możesz wylądować za kratkami, zanim tu z tobą skończę.

MacKenzie Miller dobiegał sześćdziesiątki, był rozdęty jak ropucha i miał podobny do niej koloryt. Mierzył tyle samo wszerz, ile wzwyż. Taki Decker w miniaturze. Był ubrany w garnitur, a gdy zamaszystym krokiem ruszył naprzód i poły jego marynarki się rozchyliły, Decker dojrzał popularne podtrzymujące spodnie szelki, choć pokaźny obwód pasa mężczyzny doskonale robił to za nie.

– Z jakiego niby powodu?

Miller spojrział na niego protekcjonalnie, po czym warknął:

– Brimmer!

Speszona Sally Brimmer opuściła swoje stanowisko obok sztucznego fikusa o liściach pokrytych grubą warstwą kurzu.

– Czy to ten mężczyzna, pani Brimmer?

– To bez wątplenia on – potwierdziła bez zastanowienia, mrużąc oczy i posyłając Deckerowi jadowite spojrzenie.

– Dziękuję – rzekł Miller z nutą triumfu w głosie. Zwrócił się do Deckera: – Wparowałeś dzisiaj do komisariatu w chwili, gdy brakowało nam ludzi w związku z potwornym zajściem w Mansfield. Wykorzystałeś sytuację i fałszywie przedstawiłeś się jako prawnik, uzyskując pozwolenie na wejście do celi Sebastiana Leopolda.

– To jedna wersja wydarzeń – odparł Decker.

– I jedyna! – wykrzyknęła Brimmer.

– Ścisłe mówiąc, nie – zaprzeczył Decker ze stoickim spokojem.

Miller szeroko rozłożył pulchne ręce.

– W takim razie przedstaw mi tę drugą, Decker. Ale taką, że mucha nie siada.

– Wszedłem do komisariatu i poprosiłem o widzenie z Sebastianem Leopoldem. Powiedziałem, że aresztowany potrzebuje prawnika. Nie mówiłem, że jestem adwokatem.

– Pokazał mi pan wizytówkę – wytknęła Brimmer.

Mózg Deckera wybiegł już sześć ruchów naprzód. Jakby Decker grał w szachy i przestawiał figury na planszy.

– Wręczyłem pani ją k a k a s wizytówkę. Należała do Harveya Watkina, który jest członkiem palestry. Współpracowałem z nim jako prywatny detektyw. Watkins zajmuje się sprawami kryminalnymi i jest w tym dobry. Już wcześniej dla niego węszyłem. Prawo tego nie zabrania.

– Przecież podał się pan za tego Watkina! – wrzasnęła Brimmer.

– Może tak to pani odebrała. Ale nie okazałem dokumentu tożsamości, który by potwierdzał, że jestem Harveyem. A pani o taki dokument nie poprosiła. W odpowiedzi na pytanie, czy jestem adwokatem, jedynie podałem pani jego wizytówkę.

– Przecież twierdził pan, że zna Pete'a Rourke'a – ciągnęła Brimmer zirytowanym tonem.

– Bo go znam. Pracowałem z nim przez wiele lat. Mówienie prawdy to nie przestępstwo.

– Ale pan... pan... – jąkała się, szukając u Millera pomocy. Lecz kapitan nie spuszczał wzroku z Deckera. Wyraźnie był ciekaw, jak sprawa się rozegra.

Decker kontynuował:

– Przypuszczam, że ponieważ byłem w garniturze, krawacie i z teczką w ręku, wzięła mnie pani za prawnika. Poprosiłem o rozmowę z Leopoldem. Dała mi pani piętnaście minut. Wykorzystałem przydzielony mi czas i zostawiłem Leopolda na pryczy w jego celi. – Powiódł wzrokiem po policjantach. – Dlatego nie bardzo rozumiem, skąd tutaj ta kawaleria.

Brimmer była zbita z tropu. Policjanci stali z nietęgimi minami. Miller z uznaniem klasnął w dłonie, a następnie wycelował palec w mundurowych.

– Chłopcy, możecie się zwijać. – Wskazał na Brimmer. – I odwieźcie tę damę, okej?

– Kapitanie Miller – zaczęła kobieta, lecz on uciszył ją machnięciem ręki.

– Nie teraz, Brimmer. Niech pani jedzie z chłopakami.

Wymaszerowali grupą z holu, zostawiając Millera i Deckera stojących naprzeciwko siebie.

– Możemy porozmawiać? – odezwał się Miller.

– Musisz skupić się na Mansfield, Mac. Jeśli zechcesz wrócić i mnie aresztować, zastaniesz mnie na miejscu.

Miller pokiwał głową, jego twarz rozjaśnił uśmiech uznania, który po chwili zgasł.

– Usiądźmy na chwilę. Da się tu wypić przyzwoitą kawę?

Decker zaprowadził go do swojego stolika w sąsiadującej z holem restauracji. Nalał dwa kubki kawy przy ustawionym pod ścianą bufecie z napojami i wrócił do swego byłego szefa, sadowiąc się naprzeciwko.

– Jak tam w Mansfield? – zagadnął Decker.

– Katastrofa. Wciąż... coś znajdujemy... Ciała. Liczba ofiar wzrośnie, bez wątpienia.

– A co z wnukiem Pete'a?

Miller potrząsnął głową.

– Nie wiem, Amosie. Nie znam jeszcze nazwisk. Chodzi tam cała masa policyjnych dzieci. To największa szkoła średnia w mieście.

– A napastnik?

Miller zazgrzytał zębami.

– Zwiął.

– Jak?

– Na razie nie wiadomo. Dopiero nad tym... pracujemy.

– Zwykle dostają kulkę na miejscu.

– Ale nie tym razem. W całym kraju niemal co tydzień dochodzi do napadów z bronią w jakiejś szkole. Kiedy to się skończy, Amosie? Bystry z ciebie facet. Kiedy?

– Aż tak bystry nie jestem.

Miller wolno kiwał głową, bębniąc palcami o blat z imitacji drewna. Dopił

kawę kilkoma szybkimi łykami. Ocierając usta, zapytał:

– Dlaczego to zrobiłeś? Dlaczego wymyśliłeś fortel, żeby dostać się do tego sukinsyna?

– Chciałem przyjrzeć mu się osobiście.

– Jest wiele innych sposobów prócz tego, którym się posłużyłeś.

– Brimmer nie powinno się oberwać.

– Cóż, dałeś jej bardzo cenną nauczkę. Nie ufaj nikomu. – Zlustrował wzrokiem garnitur i krawat Deckera. – Słyszałem, że ci się nie wiedzie. Informacja była nieprawdziwa?

– Bywało znacznie gorzej.

– Tworzyliście z Mary świetny zespół. Cholerna szkoda.

– Szkoda wielu rzeczy, prawda?

Miller zgniótł papierowy kubek.

– O czym rozmawiałeś z Leopoldem?

– Mam notatki, gdybyś chciał rzucić okiem.

Miller rozluźnił krawat.

– Wolalbym usłyszeć ich treść od ciebie.

– Dziwny z niego facet.

– Skoro zabił z zimną krwią trzy osoby, to musi być nawet bardzo dziwny. Mam nadzieję, że ktoś taki zawsze będzie uchodził za „bardzo dziwnego”, bez względu na to, jak bardzo popaprany będzie świat.

– Wykazał się pewną znajomością szczegółów zbrodni, ale nie wiedział nic poza tym, co mógł wyczytać w prasie. Albo...

– Albo? – podchwycił błyskawicznie Miller, nie spuszczać z twarzy Deckera spojrzenia jasnoniebieskich oczu.

– Albo od kogoś, kto znał więcej szczegółów.

– Czyli od rzeczywistego sprawcy lub sprawców?

– Myślisz, że mógłby nim być Leopold?

– Nic na ten temat nie myślę. Wiem tylko, że zgłosił się dziś rano do komisariatu i przyznał do zbrodni. Nic poza tym.

– Służył w marynarce – ciągnął Decker. – Zauważyłem tatuaż i w końcu Leopold potwierdził, że był w marynarce. Nazwisko jest prawdopodobnie fałszywe. Akta Departamentu Obrony powinny wyjaśnić tę kwestię. Facet ma guza na szyi, chyba niebolesnego, ale to może być nowotwór. Plątał się w zeznaniach dotyczących niektórych istotnych szczegółów z miejsca zbrodni.

– Na przykład?

– Na przykład nie potrafił sobie przypomnieć, po której stronie korytarza znajdowała się pierwsza sypialnia. Zasugerowałem, że na lewo. Przyznał mi rację. A w rzeczywistości sypialnia jest po prawej stronie. Ale to małe piwo. Twierdził, że zastrzelił Cassie, kiedy spała, a później zmienił zdanie, mówiąc, że zrobił to,

kiedy się obudziła. Rana była kontaktowa. Nie mam pojęcia, jak by tego dokonał, gdyby Cassie nie spała, krzyczała i może w dodatku się broniła. Ciało znaleziono na podłodze. Wydaje mi się, że przypomniał sobie o tym fakcie i zmienił historijkę tak, żeby pasowała. Poza tym nie wspomniał o tym, co jeszcze jej zrobiono.

Miller kiwnął głową. Doskonale wiedział, co Decker ma na myśli.

– Mów dalej.

– Facet jest podejrzliwy, ma trochę nierówno pod sufitem. Tak jakby się zawieszał. Nie sądzę, by miał dobrą pamięć. Poza tym ćpa. Ślady nakłuc na przedramieniu są świeże.

– Dalej.

Decker postanowił, że nie powie Millerowi o wszystkim, czego się dowiedział lub nad czym się zastanawiał. Intuicja podpowiadała mu, że pewne rzeczy lepiej przemilczeć, poczekać na rozwój wypadków.

– Twierdził, że go znieważyłem w lokalnym 7-Eleven. Nie powiedział, czy tam pracował, czy nie. Wam najwyraźniej mówił to samo – że w 7-Eleven. Do tamtego sklepu zawsze jeździłem samochodem. Nigdy nie wybrałem się na piechotę. On nie ma auta. Ale utrzymywał, że śledził mnie w drodze do domu. Niby jak to zrobił? Poza tym nigdy wcześniej go nie widziałem. Pamiętałbym, gdybym miał z kimś na pieńku.

Miller, gładząc krawat i bawiąc się spinką, roztrząsał w myślach wszystko, co usłyszał.

– Nigdy niczego nie zapominasz, prawda?

Decker nie opowiadał nikomu o tym, co mu się przytrafiło. Po zdiagnozowaniu jego zaburzenia wysłano go do ośrodka badawczego pod Chicago na dodatkową obserwację. Spędził tam długie miesiące, spotykając się z innymi ludźmi o podobnych zdolnościach, zarówno z kobietami, jak i mężczyznami. Odbyli razem liczne sesje grupowe. Niektórzy adaptowali się lepiej niż inni. Część osób miała naprawdę głębokie problemy z przystosowaniem się do tego, jacy są. Byli zapewne i tacy, którzy nigdy się nie przystosowali. O ile mu wiadomo, Decker jako jedyny nie urodził się z tą przypadłością. Inni żyli z nią znacznie dłużej niż on, co, jak sądził, miało zarówno dobre, jak i złe strony.

– Wszyscy o czymś zapominają – odparł.

– Kazałem cię sprawdzić. Mówiłem ci kiedyś o tym?

Decker pokręcił głową.

– Wiedziałem, że byłeś sportowcem. Oglądałem rozgrywki w telewizji.

– Masz na myśli YouTube?

– Nie, obejrzałem tamten mecz, kiedy padłeś na boisko. W życiu nie widziałem tak mocnego uderzenia. Nie wiem, jak z tego wyszedłeś, Amosie, naprawdę nie wiem.

– Czemu go oglądałeś?

– W Mansfield byłeś cholernie dobrym zawodnikiem. Najlepszym rozgrywającym, jakiego kiedykolwiek mieliśmy, postrachem każdego obrońcy. Byłeś szybki jak na swoją posturę. Do-brze grałeś w college’u. I, o ile mi wiadomo, jesteś jedynym człowiekiem ze skromnego Burlington, który grał w NFL. Więc tak, oglądałem ten mecz. Pojechałbym na niego, gdybym miał taką możliwość.

– Cóż, dobrze, że go widziałeś, bo to był mój jedyny występ w NFL.

– Sprawdziłem też twoje wyniki w akademii policyjnej. Oraz oceny z egzaminów na stopień detektywa.

– Dlaczego?

– Ponieważ mnie intrygowałeś, Amosie. Nie myśl, że w wydziale nie zauważono twojej skuteczności jako policjanta, a później detektywa. Miałeś to coś, czego brakowało innym.

– Mary jest dobrą policjantką.

– Tak. Dobrą, ale nie świetną. Dobrą, ale nie doskonałą. Za to twoje wyniki na akademii i oceny z późniejszych egzaminów na detektywa wypadły doskonale. Odpowiedziałeś prawidłowo na wszystkie pytania. Podobno zdarzyło się to po raz pierwszy w historii stanu. Wtedy cofnąłem się do twoich szkolnych czasów. Byłeś uczniem dobrym, ale nie wybitnym. Na świadectwach z tamtego okresu trudno dopatrzeć się jakiejś doskonałości.

– Futbol nie pozostawia zbyt wiele czasu na naukę.

Miller potarł brodę i się zamyślił.

– Wróćmy do tematu. Czego jeszcze się dowiedziałeś?

Decker czuł, jak atakuje go migrena, ból posuwał się od karku w górę. Światła w holu były przygaszone, ale jemu wydawało się, że stoi na rzęsiście oświetlonej cyrkowej arenie. Przerażliwie jaskrawy odcień niebieskiego zaczynał przesączać się ze wszystkich zakamarków życia, z zamiarem ugodzenia go prosto w serce. Czuł, jak narasta intensywność koloru.

– Nie sądzę, by Leopold był sprawcą – zdołał wykrztusić.

– Wiedziałem o tym, jeszcze zanim usiadłem z tobą przy stoliku.

– Jak to? – zainteresował się Decker.

– Nie zabiłeś go przed opuszczeniem komisariatu. A przecież po to tam poszedłeś, prawda? Dobrze mu się przyjrzeć, zadać pytania, przewiercić wzrokiem, przejrzeć na wylot, sprawdzić, czy to on. A gdybyś uznał, że tak, byłoby po Leopoldzie. – Miller zmierzył Deckera spojrzeniem. – Proste jak dwa razy dwa. Futbolista, silny jak wół. Może i straciłeś formę, ale wciąż wielkie z ciebie chłopisko. Leopold nie miałby żadnych szans.

– Nie można aresztować człowieka za samo myślenie o popełnieniu zbrodni.

– Nie, i czasem to bardziej przekleństwo niż błogosławieństwo.

– Więc po co ten nalot z Brimmer i chłopakami?

– Jestem kapitanem, ale mam nad sobą szefów.

– Czyli chodziło o krycie własnego tyłka?

Miller gwałtownie wstał i poprawił krawat, podciągając węzeł pod grdykę.

Decker podniósł wzrok. Migrena zaczynała obejmować całą głowę. Przymknął powieki, żeby odciąć się nawet od przyciemnionego światła, które w jego odczuciu miało moc miliona żarówek.

– Co teraz zamierzasz? – spytał.

– Wobec ciebie nic. Na podstawie swoich zeznań Leopold zostanie postawiony w stan oskarżenia. Później potwierdzimy jego wersję wydarzeń lub dowiedzimy jej nieprawdziwości. Poważnie rozważę wszystko, co mi powiedziałaś. Po zakończeniu dochodzenia albo pozostanie w areszcie i stanie przed sądem, albo przyzna się do winy, albo wyjdzie na wolność.

– A jeśli ktoś go do tego nakłonił?

– Może będzie to dla nas jakaś szansa. Na pewno już o tym myślałeś.

– Dasz mi znać, co postanowiłeś w sprawie Leopolda?

– Nie pracujesz już w policji. A szkoda.

– W tamtych okolicznościach nie mogłem dokonać innego wyboru.

Miller potarł nos i zapiął marynarkę.

– Cóż, każdy czas wymaga innych decyzji.

Zaczął się oddalać, ale zawrócił. Podniósł w górę palec.

– Dzisiaj ci się upiekło, Amosie. Taki fart przysługuje tylko raz, więc wyczerpałeś limit. Pamiętaj o tym. I w ogóle zapomnij, że Sebastian Leopold mieszka na tej samej planecie. Teraz my przejmujemy sprawę. Jeśli mnie wykiwasz, stracisz we mnie sojusznika. Rozprawię się z tobą. Miłego dnia.

Amos Decker siedział jeszcze chwilę, po czym zerwał się z miejsca, popędził do pokoju, zamknął za sobą drzwi, zaciągnął zasłony, położył się na łóżku z poduszką na twarzy, żeby osłonić oczy przed resztką światła, i poddał się bestii pożerającej jego całkowicie przekształcony umysł.

Ciężkie chmury stopniowo pokrywały bezbronne niebo, aż przesłoniły niemal całe światło, mimo że słońce gdzieś tam było, wątle i jakby nieobecne. Można by przyrównać je do czterdziestowatowej żarówki, na którą patrzy się przez cienki woal. Deckerowi, który żywo reagował na barwy, wydawało się, że jedynym kolorem, jaki pozostał jeszcze na świecie, jest szarość.

Trzymał ręce w kieszeniach, ponieważ zimny wiatr dawał się we znaki. Migrena przeszła, w lokalnym barze szybkiej obsługi Decker wypił duszkiem colę, splukując słodkim napojem resztki dolegliwości – tak jak kwasem rozpuszcza się rdzę – i czekając, aż obeschnie pot na skórze. Wrócił autobusem do centrum, wydobył z kubła ukryte tam ubrania oraz broń. Na szczęście nikt ich nie znalazł. Nie mógł sobie pozwolić na utratę jedyne go stroju do pracy czy pistoletu.

Stał teraz w swoich starych łachach, stawiając czoło przenikliwemu wiatrowi i obserwując szkołę Mansfield. Tak jak tysiące szkół w całym kraju, także i tę wzniesiono w czasach powojennego boomu budowlanego. W 1946 roku gwałtownie wzrósł wskaźnik urodzin, a dzieci, kiedy podrosną, potrzebują szkoły. Oto, co cztery lata spędzone na wojnie, z dala od domu, robią z mężczyzny – jurnego byczka, napalonego jak wszyscy diabli. Żony powracających z wojny amerykańskich weteranów nie spały pewnie przez okrągły rok.

Szkoła Mansfield miała trzy kondygnacje, w całości była zbudowana z cegły, a czas nie okazał się dla niej łaskawy. Okna zabite deskami albo potłuczone. Zaprawa murarska wykruszyła się spomiędzy starannie ułożonych prostokątnych cegieł i upstrzyła fasadę chaotycznymi plamami wyglądającymi jak bezsensowne graffiti. Boisko z plackami gołej, pozbawionej trawy ziemi porastało ptasie ziele, asfalt popękał, druciana siatka na ogrodzeniu była powyginana, bramy wisiały na pokrzywionych, zardzewiałych zawiasach. Miejsce bardziej przypominało opuszczony stanowy zakład dla umysłowo chorych niż szkołę średnią.

Gmach powstał głównie z myślą o dzieciach personelu wojskowego obsługującego znajdującą się po sąsiedzku bazę wojskową. Była ona jednym z największych pracodawców w całym Burlington, a obsługa przebywających tam żołnierzy podniosła stopę życiową w okolicy. Później Pentagon zaczął redukować zatrudnienie i baza w Burlington poszła na pierwszy ogień. Opuszczona placówka stała sto jardów od Mansfield High, ogrodzona wysokim płotem z siatki i ścianą roślinności, która częściowo ponownie zawłaszczyła ten teren. Po wycofaniu wojska z bazy Burlington nigdy nie wróciło do dawnej świetności, a późniejszy spadek koniunktury był dla miasta ostatnim gwoździem do trumny.

W obecnych czasach szkoła Mansfield była niedofinansowana, jak wiele innych placówek. Zeszła na psy, trudno było utrzymać w niej dyscyplinę, nauczyciele nie zagrzewali tam miejsca, szerzył się problem nadużywania alkoholu

i narkotyków. Liczba uczniów była o ponad połowę mniejsza niż dawniej, a liczba absolwentów kurczyła się w takim samym tempie, w jakim emeryci uciekają przed zimą na Florydę.

Burlington było w przeszłości dobrze prosperującym miastem przemysłowym, nawet bez bazy wojskowej. Podobnie jak tysiące innych miejscowości rozsianych od oceanu do oceanu w środkowym pasie kraju, wytwarzało to, czego potrzebowała Ameryka i reszta świata. Teraz, gdy całą produkcję zlecano za granicą, na miejscu można było budować jedynie niedolę i biedę. Działały dwie sieci sklepów spożywczych. Z obserwacji Deckera wynikało, że dwa najpopularniejsze produkty żywnościowe w Burlington to sprzedawane w ilościach hurtowych dania w proszku i słodzony, gazowany napój pomarańczowy. Interes kręcił się także w barach szybkiej obsługi, tuczących bez opamiętania zarówno młodych, jak i starych, przez co gwałtownie rosły statystyki zachorowań na cukrzycę, nowotwory, udary i choroby serca.

Czy sam nie doświadczył tego na własnej skórze?

Nieliczni zamożni w Burlington mieszkali w ogrodzonych osiedlach w zachodniej części miasta i w zasadzie nigdy nie zapuszczali się w inne rejony. Cała reszta zajmowała trzy pozostałe strony świata. Bezdumni żyli na ulicach w rozłazących się w szwach śpiworach, starych kocach i „kondominiach” z tektury.

Tak jak ja.

Decker chodził do szkoły Mansfield ponad dwadzieścia pięć lat temu. W zamykanej na klucz szklanej gablocie przy sali gimnastycznej nadal przechowywano kilka pucharów z jego nazwiskiem. Wyróżniał się w sporcie, święcąc triumfy w trzech różnych dyscyplinach. Był po prostu większy, szybszy i silniejszy niż ktokolwiek inny. Cieszył się popularnością, chodził ze wszystkimi najfajniejszymi dziewczynami, z niektórymi sypiał, dobrze sobie radził na lekcjach i wszyscy uważali, że na bank zrobi karierę.

Jakże się mylili.

Na studiach uważano go za niezłego zawodnika, ale do świetności było mu daleko. A później możliwości jeszcze bardziej się zawężyły. Nie wybrano go do drużyny zawodowców, ponieważ kandydowały setki znacznie lepiej zapowiadających się graczy. Uznał to za osobisty atak. Dochrapał się przyjęcia do Cleveland Browns, wypruwając sobie flaki na treningach, idiotycznie poświęcając własne ciało, co zaczęło odbijać się na jego zdrowiu, gdy przekroczył czterdziestkę, i wychodząc jako ostatni z sali projekcyjnej. Tyle wysiłku, a jego kariera trwała zaledwie jeden mecz w sezonie futbolowym i zakończyła się trwałymi zmianami w mózgu.

Opłaciła się tylko pod jednym względem. Gdy przechodził rehabilitację po innych urazach, poznał Cassie. Ponieważ, jak się okazało, zderzenie na boisku nie tylko przyćmiło mu umysł. Gdy Dwayne LeCroix powalił go na ziemię, korki

obu butów Deckera ugrzęzły w murawie, czego rezultatem były złamana prawa kość udowa, zerwane więzadło w lewym kolanie oraz więzadło po-boczne w prawym. Pełny pakiet, jak wyraził się chirurg. Cóż, skoro powiedziało się A, trzeba powiedzieć B.

Cassie była świeżo upieczoną fizjoterapeutką. Decker trafił pod jej opiekę. Wyciskał z siebie siódme poty, żeby wrócić do formy. Noga i kolana w końcu się wyleczyły. Z mózgiem jak było, tak było. Ale Cassie towarzyszyła mu na każdym kroku, dodawała mu otuchy, kiedy tego potrzebował, i terroryzowała go, gdy słowa zachęty nie stanowiły wystarczającej motywacji.

Zakochali się w sobie na zabój. Po krótkim epizodzie w instytucie badawczym pod Chicago, gdzie poddawano obserwacji osoby o wyjątkowych zdolnościach umysłowych, zaręczyli się z Cassie, a następnie wzięli ślub i przeprowadzili się do jego rodzinnego miasta. Wcześniej długo deliberował nad tym, co zamierza robić w przyszłości, i wrócił do Burlington z jasno określonym celem: wstąpi do akademii policyjnej. Dzięki świeżo nabytej, udoskonalonej i całkowicie niezawodnej pamięci zajęcia były dla niego dziecinną igraszką. Sprawność fizyczna, choć nieco osłabiona wskutek urazów, nadal wyrastała mocno ponad przeciętność i Decker pozostawiał daleko w tyle wszystkich innych ze swojej grupy w akademii. Nauka poszła jak z płatka, został zaprzysiężony, dostał odznakę oraz broń. Dziewięć lat później awansował na detektywa. Przez niemal dziesięć lat prowadził dochodzenia w najpoważniejszych przestępstwach przeciwko szacownym obywatelom Burlington – aczkolwiek większości dopuszczali się ci mniej szacowni obywatele miasta, a tylko od czasu do czasu trafiał się ktoś z zewnątrz.

Marzyli z Cassie o licznej rodzinie, ale długo starali się o dziecko. Wydali na specjalistów pieniądze, których nie mieli, i wreszcie Cassie zaszła w ciążę. A potem urodziła się Molly. Miała być ich jedynym dzieckiem. Cięża nieomal zabiła Cassie, a komplikacje spowodowały konieczność interwencji chirurga, która pozbawiła Cassie możliwości kolejnego poczęcia.

Nadali córeczce imię po matce Deckera. Jego rodzice zginęli w wypadku samochodowym, kiedy Decker był na studiach, więc Molly nie miała dziadków od strony ojca. Nosiła za to imię swojej babki. Aż do przedwczesnej śmierci z rąk – być może – Sebastiana Leopolda.

Decker podniósł wzrok na ceglana twierdzą, w jaką przeobraził się budynek szkoły Mansfield. Rozciągnięta szalonymi zakosami taśma policyjna była wszędzie, przypominała żółtą sieć pajęczą, złowrogą i przerażającą. Dookoła stały wozy policyjne, samochody techników kryminalistyki oraz czarne furgonetki bez okien, gotowe do zabrania worków ze zwłokami. Decker był pewien, że ciała nadal są w szkole. Poza rannymi i wymagającymi drobnej pomocy ambulatoryjnej z miejsca zbrodni nie usuwa się niczego, póki nie zostanie ono gruntownie

zbadane, obfotografowane, zmierzone oraz odpowiednio przeszukane i poddane drobiazgowej analizie. Zmarłym jest wszystko jedno, jak długo leżą na podłodze w kałużach własnej krwi, skoro już jakiś psychopata wyrwał z nich życie, siejąc kulami na oślep i bez opamiętania. W końcu wieczność to wieczność.

Gdyby Decker nadal służył w policji, znajdowałby się w tej chwili tam w środku. Ze swojego miejsca widział wchodzącą i wychodzącą dwukrotnie z budynku Mary Lancaster. Wyglądała marnie, wydawała się przygnębiona i pełna odrazy. Raz spojrzała w stronę Deckera, ale chyba nie zarejestrowała jego obecności. Wiedział, że ma inne sprawy na głowie. Prawdopodobnie zdążyła zapomnieć, że mężczyzna o nazwisku Leopold siedzi w areszcie. Że przyznał się do zamordowania trzech osób, z których dwie były dla Deckera wszystkim. Lancaster miała teraz przed sobą stos świeżych zwłok i to nimi musiała się zająć. Oraz grasującym na wolności zbrodniarzem, który być może zaatakuje ponownie, w przeciwieństwie do tego siedzącego spokojnie za kratkami.

Wiadomość o strzelaninie w szkole oczywiście trafiła do środków masowego przekazu w całym kraju. Miasto stało się numerem jeden we wszystkich serwisach informacyjnych i w prasie. Nadal nie podano nazwisk ofiar. Decker sprawdzał w telefonie. „Do czasu powiadomienia najbliższej rodziny”, tak brzmiała standardowa formułka. Od kumpla z policji dowiedział się, że wnuk Pete’a Rourke’a wyszedł z tego bez szwanku. Natomiast syn patrolowego nie miał tyle szczęścia. A Andy Jackson, nauczyciel angielskiego i mąż policyjnej dyspozytorki, leżał z licznymi ranami postrzałowymi w szpitalu, był w stanie krytycznym.

Decker ruszył przed siebie, ostrożnie wybierając drogę i zataczając długą pętlę wokół terenu szkoły, poza taśmami odgradzającymi teren śledztwa. Miller powiedział, że zabójca uciekł. Całe Burlington wrzało. Nie wystarczy, że mieszkańcy stracili swoich bliskich? Do tego jeszcze zbrodniarz hasa sobie na wolności i być może szykuje kolejny atak? I tak już makabryczna sytuacja stawała się nie do zniesienia.

Ale jak zdołał uciec? Fakt, że jakikolwiek morderca zwyczajnie zostawia za sobą armagedon, który sam stworzył, był dla Deckera osobistą i zawodową zniewagą.

Przyczyna takiego stanu rzeczy była złożona. Decker nie mógł zrobić nic więcej w sprawie Leopolda. Mógł jedynie siedzieć bezradnie i snuć niekończące się, jałowe spekulacje. Albo skupić uwagę na Mansfield oraz człowieku, który miał to na sumieniu. Oraz na tym, gdzie on może się teraz znajdować. Wybrał to drugie.

Szedł w stronę boiska futbolowego, na którym święcił swoje największe triumfy. Minęła już ponad połowa sezonu, trawa była wydeptana. Mecz przewidziany na najbliższy piątek nie odbędzie się. Może już nie zagrają do końca roku. Może na tym boisku nie zagrają już nigdy.

Wszedł na trybunę i zajął miejsce obok linii pięćdziesięciu jardów. Wtasczenie po schodach otyłego ciała było mozolnym wysiłkiem i Decker kolejny raz postanowił, że musi zrzucić wagę, powrócić do jakiejś namiastki formy. Tyjąc w tym tempie w wieku czterdziestu dwóch lat, może nie dożyć pięćdziesiątych drugich urodzin. Cholera, może nie dożyć nawet czterdziestych trzecich.

Gdy tak stał ze wzrokiem wbitym w murawę, przesuwają mu się przed oczami niemal wszystkie mecze, w jakich brał udział jako szkolny zawodnik. Musiały tkwić gdzieś w głębinach jego umysłu, tylko dotychczas nie był w stanie przebić się przez szarą substancję, by do nich dotrzeć. W tej chwili czynił to bez wysiłku. Jego wewnętrzne wideo po prostu cofnęło nagranie do wybranej daty i zaczęło odtwarzać mecz.

Oglądanie siebie jako chłopaka torującego sobie drogę w tłumie innych młodych mężczyzn zarazem ekscytowało i budziło lekki niepokój. Potrafił rzucać piłkę na odległość mili i precyzyjnie trafiać. W szkole szybko się przekonał, że nie ma wystarczająco silnej ręki, by zaliczyć wszystkie rzuty, jakich wymaga się od rozgrywającego. Przeniósł się na stałe do obrony i odkrył, że zawodnicy są tam bardziej wyrośnięci, silniejsi i szybsi od niego. Było to brutalne przebudzenie dla faceta, który przywykł do odnoszenia sukcesów bez wysiłku. Mógł dać sobie spokój, ale postanowił pracować ciężiej niż jego bardziej utalentowani koledzy z drużyny.

Ostatecznie zdało się to na nic. Czasy gry w drużynie dawno minęły, kariera stróża prawa także legła w gruzach. Siedział teraz na trybunie na twardej ławce z prążkowanego aluminium, która dawała gwarancję, że zaledwie po połowie meczu miało się tylek obtarty do żywego mięsa. Siedząc tak, stwierdził, że nie jest w stanie wybiegać w przyszłość dalej niż do następnego poranka. Resztę dnia mógł poświęcić rozmyślaniom. A to, co zajmowało go w obecnej chwili przede wszystkim, to sposoby ucieczki, jakimi mógł się posłużyć zabójca.

Drzwi wyjściowe w Mansfield znajdowały się wszędzie: od frontu, od tyłu, z lewej i prawej strony. Gmach wzniesiono dawno temu, w czasach, gdy nikt nie wpadał do wnętrza z kałasznikowem AK-47 i nie otwierał ognia, zatem budowniczcy nie przewidzieli takiej ewentualności. W miarę upływu czasu, wraz z mnożeniem się wypadków strzelanin w szkołach, wiele drzwi zamknięto na dziesięć spustów, a inne można było otworzyć wyłącznie od środka. Od gości oczekiwano obecnie wchodzenia głównymi drzwiami od frontu i zgłaszania się w sekretariacie. Mówiło się o zainstalowaniu wykrywaczy metalu, ale dla bankrutującej szkoły ich cena była zaporowa. W budynku funkcjonował, co prawda, automatyczny system alarmowy, który w razie zagrożenia przekazywał informację pocztą elektroniczną. Prawdopodobnie właśnie ten system zadziałał w obecnej, zdecydowanie najgorszej sytuacji alarmowej, jakiej miasto doświadczyło w całej swej historii.

Na zewnątrz pierścienia samochodów policyjnych oraz wozów reporterskich stały rodziny. Gdy Decker mijał tych ludzi wcześniej, ujrzał na ich twarzach ból tak wielki, że chyba już nigdy nie zobaczy większego.

Molly poszłaby do Mansfield po ukończeniu ósmej klasy. Decker mógłby być jednym ze stojących tu rodziców, przestępujących z nogi na nogę, z rękami wciśniętymi w kieszenie, ze wzrokiem utkwionym w butach, szepczących coś między sobą w rozpaczy. Wszystko to było przerażające, Decker czuł, jak ściska mu się żołądek.

Sięgnął do kieszeni i wyjął portfel. W środku było wyblakłe zdjęcie córki zrobione w dniu jej dziewiątych urodzin – jak się okazało, ostatnich, które dane jej było obchodzić. Powiódł palcem po jej figlarnym uśmiechu, potem po kręconych włosach. Miała oczy swojej matki, piwne, żywe. Oczywiście dokładnie pamiętał, kiedy pstryknięto fotkę i co wtedy robił. Był początek lata, w ogródku za domem rozpałił grill i piekł dwa ulubione przysmaki córki: żeberka Kansas City i moczone w wodzie kolby kukurydzy.

Obejrzał się za siebie na budynek szkoły i znów zaczął się zastanawiać, jak ten człowiek to zrobił. Najpierw wtargnął z bronią. Potem dokonał mordu. Na koniec zdołał uciec. I to właśnie jest sedno sprawy. Punkt trzeci: ucieczka. Jak można zwać niepostrzeżenie wśród tylu ludzi dookoła, w tym wielu nadal żywych?

– Dam dolara za twoje myśli.

Spojrzał w stronę zwirowej ścieżki biegnącej wokół boiska, które było otoczone sięgającym pasa ogrodzeniem z siatki.

Z dołu patrzyła na niego Mary Lancaster, trzymając papierosa w prawej dłoni, z lewą opartą na biodrze i lekko drżącą.

Powoli wchodziła po stopniach trybuny i usiadła obok niego. Rano była blada i wyglądała na znużoną. Teraz wydawała się zdruzgotana i niemal półprzytomna. Niesamowite, co życie może zrobić z człowiekiem w ciągu niespełna jednego dnia.

Zaciągnęła się papierosem, w milczeniu przypatrując się opustoszałemu boisku.

– Gówniane czasy – rzucił półgłosem Decker.

Pokiwała głową, lecz nie odpowiedziała.

– Jak wygląda sytuacja? – zapytał.

– Chcesz wejść i zobaczyć na własne oczy?

Odwrócił się w jej stronę. Zanim zdążył coś powiedzieć, dodała:

– Słyszałam o twoim wybryku z Leopoldem.

– Nie puściłem pary z ust, że to ty przekazałaś mi informację.

– Na twoim miejscu chyba po prostu bym go zastrzeliła.

Wiedział, że Lancaster ma jedno dziecko, Sandy, z zespołem Downa. Jej

mąż Earl pracował w branży budowlanej, co oznaczało, że prawdopodobnie nie miał obecnie zbyt wiele do roboty. Utrzymywali się głównie z poborów Lancaster, które nie były zbyt wysokie, ale przynajmniej zapewniały dobre świadczenia zdrowotne.

– Nie sądzisz, że mógłby to zrobić, prawda? – zapytała.

– Musiałbym mieć dużo więcej informacji.

– Rano postawią mu zarzuty. Możemy go zatrzymać na podstawie jego zeznań. Proszę, żeby nie wypuszczać go za kaucją, ponieważ nie podał adresu, nie łączą go żadne więzi z lokalną społecznością, tak więc ryzyko ucieczki jest spore. Rozpoczną proces, jak tylko dostanie prawnika.

– Obrońcę z urzędu?

– Na to wygląda. Więc chcesz zobaczyć miejsce zbrodni?

– Mary, przecież wiesz, że nie mogę tam wejść.

– Możesz, skoro Mac tak mówi. W charakterze oficjalnego konsultanta wydziału policji w Burlington. P ł a t n e g o konsultanta. Kokosów na tym nie zbijesz, ale pewnie zarobisz więcej, niż wyciągasz jako prywatny detektyw.

– Naprawdę tak powiedział?

Wyjęła telefon.

– Chcesz sam przeczytać tego maila? Albo pozwól, że zrobię to za ciebie. – Odwróciła ekran w swoją stronę i zaczęła czytać: – „Srowadź do Mansfield Deckera. Zobacz, co wymyśli. Potrzebna nam pomoc. Szkoda czasu, żeby siedział na swoim tłustym tyłku i użalał się nad sobą albo rozwijał swoje obsesje na punkcie Leopolda czy bawił się w prywatnego detektywa dla szumowin z marginesu”.

– Widzę, że jest na bieżąco z moją karierą.

– Tak przypuszczam.

Wstała, zaciągnęła się głęboko dymem i rzuciła niedopałek. Decker patrzył, jak papieros spada na żwir, tli się przez chwilę i gaśnie.

Tak samo jak tamci zabici w szkole, pomyślał, wstając i schodząc po stopniach za swoją dawną policyjną partnerką.

12

W szkołach nigdy nie powinno być tak cicho. Ta myśl nasunęła się Deckerowi jako pierwsza, gdy szedł korytarzem obok Lancaster. Druga była taka, że nigdy nie widział bardziej ponurego miejsca.

Mijał zawieszane na ścianach fotografie dyrektorów Mansfield sprzed wielu lat, między innymi człowieka, który kierował szkołą za czasów Deckera. Spoglądał na sale, w których siedział niegdyś podczas lekcji, czasem słuchając, czasem robiąc notatki, a czasem śpiąc i tylko udając, że słucha i notuje.

Przeszłość natychmiast odeszła w niepamięć, gdy dostrzegł nogę w miejscu skrzyżowania korytarzy. Gołą łydkę, z czego Decker wywnioskował, że ciało

prawdopodobnie należy do dziewczyny.

Gdy skręcili, jego dedukcja się potwierdziła. Dziewczyna leżała na linoleum, które zdawało się pochodzić z zamierzchłych czasów, kiedy Decker wydeptywał tu ścieżki.

Lancaster poinformowała, że zrobiono już zdjęcia i pomiary, technicy kryminalistyki zabezpieczyli i zebrali ślady. Dziewczyna wyglądała jak upozowana, leżała z wyciągniętą ręką, jakby akurat machała do koleżanki, gdy ktoś brutalnie wydarł z niej życie.

– Debbie Watson – wyjaśniła Lancaster, gdy Decker przyglądał się ofierze. – Ostatnia klasa. Właśnie skończyła osiemnastkę. Powiadomiono jej rodziców.

Decker rozejrzał się wokół. Przez dwadzieścia lat pracował w miejscach zbrodni najpierw jako patrolowy, później jako detektyw. Powinien czuć się tu jak ryba w wodzie, bo zajmował się tego rodzaju sprawami przynajmniej z tysiąc razy. Ale wcale się tak nie czuł. Czuł się jak osoba postronna. Czuł się tak, jakby z gmachu szkoły wyssano całe powietrze i nie miał czym oddychać.

Z trudem próbował zebrać myśli. W końcu zapytał:

– Ale nie pokazano im ciała?

Pokręciła głową.

– Znasz zasady. Miejsce zbrodni. Nikt nie ma wstępu, z rodzicami włącznie. Poza tym po co mieliby ją oglądać... w takim stanie?

Decker włożył plastikowe ochraniacze na buty oraz rękawiczki, które wręczyła mu Lancaster. Uklęknął obok Debbie Watson. W tej samej chwili zaczęło kręcić mu się w głowie. Odchrząknął i skupił uwagę na ofierze.

Wyglądała tak, jakby oberwała prosto w twarz grubym śrutem. W rezultacie nie miała już twarzy. Decker powiódł wzrokiem na ścianę za dziewczyną. Rozprysły się na niej strzępy ciała. Obok leżały książki; zeszyt nasiąkł krwią. Spojrzał na kartkę papieru, która musiała wypaść z zeszytu. Jeśli to rysunki dziewczyny, miała talent, pomyślał.

– Znacie już kolejność ofiar? – spytał Decker.

– Z dotychczasowych ustaleń wynika, że ona mogła być pierwsza.

– Którędy wszedł zabójca?

– Tędy.

Lancaster poprowadziła go, jak się zorientował, na tyły szkoły. Wskazała na drzwi.

– Podczas lekcji są zamknięte. – Pokazała kamerę przymocowaną w kącie pod sufitem. – Ta kamera pięknie zarejestrowała jego wejście.

– Rysopis?

– Mam zrzucone do laptopa zdjęcie. Jest w centrum dowodzenia, które urządziliśmy w bibliotece. Duży facet w pełnym kamuflażu. Z twarzą całkowicie zasłoniętą maską i osłoną.

– Zabezpieczył się ze wszystkich stron – mruknął Decker. – Działał metodycznie.

– Sądzimy, że wszedł tędy, skręcił za róg, natknął się na Debbie Watson i do niej strzelił – ciągnęła Lancaster.

– Czy na korytarzach nie powinny kręcić się inne osoby?

– O tej porze wszyscy siedzą w klasach.

– Więc co robiła tu Debbie?

– Szła do gabinetu pielęgniarki. Rozbolał ją brzuch. Tak twierdzi nauczycielka, która dała jej zgodę na wyjście z sali.

Decker ponownie rozejrzał się po korytarzu.

– Wszyscy siedzieli w salach. Więc albo zabójca miał szczęście, albo znał rozkład zajęć.

– To samo przyszło mi do głowy.

– Co dalej, gdy załatwił już Debbie?

– Poszedł do sali gimnastycznej, zastrzelił Joego Kramera, nauczyciela, wycofał się, zmienił kurs, minął ciało Debbie i ruszył na front budynku. Odgłosy wystrzałów zdążyły już wszystkich zaalarmować, ale ludzie byli praktycznie uwięzieni w salach lekcyjnych. W klasie zastrzelił następnego ucznia. Wszedł do kolejnej i znów otworzył ogień. Jeszcze jedna ofiara śmiertelna i jeden ranny, nauczyciel.

– Andy Jackson? Nauczyciel angielskiego? Słyszałem w wiadomościach.

– Tak. Potem wszedł do korytarza naprzeciwko i wtargnął do następnej sali. I znów ofiara śmiertelna. Kolejna sala w tym samym korytarzu, szósta ofiara. Poszedł do sekretariatu, gdzie zastrzelił wicedyrektora. W następnej klasie znów zabił ucznia. Mamy w sumie ośmioro zabitych. Jackson jest w stanie krytycznym, więc liczba ofiar może wzrosnąć o jedną osobę.

– Sześcioro uczniów i dwóch dorosłych?

– Tak. Oraz jeden bardzo poważnie ranny.

– Mówisz, że napastnik był w kamuflażu, miał maskę i osłonę?

– Zgadza się.

– Co jeszcze? Jakie nosił obuwie?

– Na obrazie z kamery widać go od pasa w górę. Żadna spośród przesłuchiwanym przez nas osób nie zauważyła jego butów. Na dłoniach miał rękawiczki. Używał broni krótkiej i długiej. Eksperci od balistyki nadal szukają i przeprowadzają obliczenia. Większość kul wciąż tkwi w ciałach ofiar. Kiedy posługiwał się bronią krótką, pakował w ofiary wielostrzałowe serie.

– Aby mieć pewność, że zabił – domyślił się Decker. – Przy długiej broni to zmartwienie w zasadzie odpada.

– To prawda.

– A więc kaptur, maska plus osłona na twarz?

Skinęła głową.

– Bardzo mu zależało na zamaskowaniu – mruknął Decker. – Może bał się, że zostanie rozpoznany. Mówiłaś, że to kawał chłopa. Jak duży?

Wyciągnęła notes.

– Na zdjęciu z kamery widać go na tle wiszącego na ścianie plakatu. Zrobiliśmy pomiary. Szukamy człowieka o wzroście co najmniej sześciu stóp i dwóch cali oraz bardzo szerokich barach. Takich jak twoje. Silny. Z pewnością mężczyzna. Ponad dwieście funtów wagi.

– Facet łązi po całej szkole, a my mamy tylko jedno nagranie?

– Może wiedział, gdzie są kamery, i je omijał – podsunęła Lancaster. – Może był tu wcześniej i zrobił rekonesans przed dokonaniem tej masakry.

– Ale raz nie ominął kamery – zauważył Decker.

– Jak myślisz czemu? Niekonsekwencja? Błąd?

– Za wcześnie, żeby coś powiedzieć, ale jeśli zrobił to z premedytacją, musimy dowiedzieć się dlaczego.

Lancaster zapisała coś w notesie.

– Mówisz, że wchodził do sal lekcyjnych? – zapytał Decker.

Potwierdziła ruchem głowy.

– I w każdej zastrzelił tylko jedną osobę, zanim ruszył dalej?

– Tak. W jednej z klas zranił jeszcze nauczyciela.

– Czy te osoby mają ze sobą coś wspólnego?

– Myślisz, że wybierał konkretne ofiary?

– Na razie nie można tego wykluczyć.

– Musiałby wiedzieć, w których będą salach o tej porze dnia.

– I może jakoś się tego dowiedział.

– Sprawdzę – obiecała Lancaster. – Ale przy tym całym chaosie wydaje mi się wątpliwe, żeby facet odhaczał na liście kolejne cele.

– Może jego działania były chaotyczne dla wszystkich innych, ale nie dla niego. To on miał broń.

– Mimo wszystko, Amosie – rzekła z wahaniem.

– A którą wyszedł? – zapytał, ignorując ostatnią uwagę.

– Tego jeszcze ostatecznie nie ustaliliśmy.

Przyglądał się jej uważnie.

– Ile czasu minęło od zakończenia strzelaniny?

– Po wstępnym odtworzeniu przebiegu wypadków wyszło nam dziesięć minut, może trochę więcej.

Decker wyjrzał przez okno. Front szkoły był mocno cofnięty od ulicy, usytuowany w głębi parceli. Po drugiej stronie drogi stały budynki mieszkalne.

– Nikt stamtąd niczego nie słyszał? Ani strzałów, ani krzyków?

– Nadal to badamy. Mógł używać tłumika.

– Na pewno nie w karabinie. Zmierzam do tego, jakim cudem zamaskowany facet w kapturze, masce, z osłoną na twarzy i przynajmniej dwoma rodzajami broni, w tym z jedną o długiej lufie, wychodzi stąd niezauważony przez nikogo? A skoro przy tym jesteśmy, jak to możliwe, że nikt go nie widział, kiedy wchodził do środka?

Znów zaczynało brakować mu powietrza. Pot zrosił czoło. Decker oparł się ręką o ścianę. Nawet jeśli Lancaster dostrzegła jego cierpienie, nie powiedziała ani słowa.

– Na wideo widać go, jak wchodzi od tyłu. Od tamtej strony nie ma właściwie niczego poza dawną bazą wojskową. Mógł wśliznąć się niepostrzeżenie. Może ukrył się w kontenerze na śmieci i stamtąd wyskoczył.

Decker pomasaował brzuch.

– Dobrze się czujesz, Amosie?

– Jadam byle co. Sprawdziliście kontener?

– Sprawdziliśmy wszystko i niczego nie znaleźliśmy. Nawet ogrodzenie wokół bazy. Nienaruszone. A jest tak obrosnięte, że zostałyby jakieś ślady, gdyby ktoś się tamtędy przedzierał.

– Czyli posuwał się od tyłu budynku w stronę frontu. Prawdopodobnie wyszedł frontowymi drzwiami. No więc jak to możliwe, że nikt go nie widział? Po drugiej stronie ulicy stoją domy. Drogą przejeżdżają samochody.

– Budynki stojące najbliżej są puste, zostały przejęte przez banki, bo ludzie nie spłacali hipoteki. Poza tym to dzielnica robotnicza. W innych domach też mogło być niewiele osób o tej porze dnia. A szkoła jest dość mocno cofnięta od ulicy, możliwe, że żadne odgłosy tu nie docierały.

– Ale ruch uliczny prawdopodobnie odbywał się jak zwykle. Uczniowie i nauczyciele przy oknach pewnie krzyczeli ile sił w płucach. Z telefonów komórkowych wzywano dziewięćset jedenaście. Nadjeżdżały radiowozy. Byłem obok komisariatu, gdy chłopcy zaczęli wysypywać się na zewnątrz. Jak długo jedzie się stamtąd do szkoły? Piętnaście minut?

– Tak, coś koło tego.

– I nawet jeśli nikt z zewnątrz nie widział, jak napastnik opuszcza szkołę, na pewno ktoś patrzył przez okno. Młodzież fotografuje wszystko telefonami. Z tego, co pamiętam, w budynku nie ma wyjścia, które nie byłoby widoczne z okien jakiejś klasy.

– Jesteś tak dobrze zorientowany, bo co? Często się urywałeś?

– Nieustannie.

– No to mnie zagiąłeś. Chodziłam do szkoły w sąsiednim okręgu. To twój rewir.

– Nadal jednak nie rozumiem. Jakim sposobem wszedł tak, że nikt go nie widział? Nawet jeśli dostał się do środka tylnymi drzwiami, część okien wychodzi

na tamtą stronę.

– Tak, ale pierwsze i drugie piętro są nieużywane.

– Za to z okien parteru roztacza się widok na zaplecze szkoły.

Lancaster mogła jedynie pokręcić głową.

– Przeszukano budynek?

– Właśnie to robią.

– A nauczyciele, administracja, uczniowie?

– Ewakuowani w bezpieczne miejsce.

– W bezpieczne miejsce? – powtórzył Decker, nie zważając na ból głowy i brzucha.

– Nie mieliśmy pewności, czy zabójca nadal się tu nie ukrywa, Amosie. W tego rodzaju sytuacji priorytetem jest przeniesienie niewinnych ludzi w bezpieczne miejsce i zabezpieczenie terenu.

– Narzuca się pytanie: skoro nikt nie widział, jak opuszcza budynek, to skąd wiadomo, że wraz z innymi nie ewakuowaliście także z a b ó j c y?

– Nikomu nie wolno było się stąd ruszyć, póki nie dostaliśmy rysopisu napastnika. Kobiety były oczywiście poza podejrzeniem. Wszyscy świadkowie twierdzili, że to mężczyzna. W całej szkole ani jedna osoba nie pasowała do opisu sprawcy.

– Nawet żaden z uczniów? W dzisiejszych czasach mamy strasznie wyrosniętą młodzież.

– Wszyscy uczniowie płci męskiej, którzy byli podobnej postury, mieli alibi. Większość z nich gra w drużynie futbolowej i są powszechnie znani. Wszyscy przebywali w salach lekcyjnych wraz z trzydziścioro innymi uczniów. Nie mogli być napastnikami. Z rozmaitych powodów czterech chłopców znajdowało się poza klasami. Żaden z nich nie mierzy więcej niż pięć stóp i dziewięć cali wzrostu i nie waży więcej niż sto pięćdziesiąt funtów. Świadkowie zgodnie twierdzili, że napastnik ważył co najmniej dwieście funtów z okładem, a do tego dochodził wybujały wzrost. I miał mięśnie jak sportowiec.

– A uczniowie, którzy byli tego dnia nieobecni?

– Sprawdzamy. Może na coś trafimy. Ale intuicja podpowiada mi, że to ktoś obcy.

– Żaden z nauczycieli nie odpowiada tym rozmiarom?

– Wuefista. Ale on nie żyje. Oraz wicedyrektor. Też zastrzelony. Pozostali nie mają więcej niż sześć stóp wzrostu i sto siedemdziesiąt pięć funtów wagi. Poza tym żadnego z nich nie nazwałbyś barczystym. Jedyнным pozostałym przy życiu nauczycielem zbliżającym się do wymaganej wagi jest facet od chemii, ale on mierzy pięć stóp i sześć cali i grozi mu zawał serca.

– Więc gdzie ten gość się podział? Przyjechał samochodem?

Lancaster przecząco pokręciła głową.

– Nie sędę. Nikt nie widział żadnych pojazdów podjeżdżających pod szkołę ani odjeżdżających spod niej o właściwych godzinach.

– Z tego, co mówisz, Mary, wynika, że nie widziano n i k o g o, kto by wchodził lub wychodził o tych porach.

– Wiem, to problematyczna kwestia – przyznała. – Słuchaj, jeśli ten człowiek nadal ukrywa się w budynku, dorwiemy go. Cały teren jest otoczony przez policję. Nie wymknie się nawet mysz.

– Mówisz, że w tej chwili prowadzone są poszukiwania?

– Przeczesujemy szkołę cal po calu od momentu opróżnienia budynku. Nikt nie mógł stąd wyjść niezauważony, Amosie.

– Wobec tego wkraczacie w labirynt bez wyjścia.

Przekrzywiła głowę i żując gumę, nerwowo poruszała szczękami.

– Co takiego?

– Jeśli okaże się, że nikogo tu nie ma i nikt nie widział, jak facet stąd wychodził, to napastnikiem musi być osoba, która przebywała w szkole. Nauczyciel, uczeń albo ktoś z administracji. Uwzględniono wszystkich z ochrony?

Przytaknęła.

– Są starsi i wszyscy jak jeden mąż mają wielkie brzuszyska. Ale rozumiem, do czego zmierzasz.

– Mogę obejrzeć nagranie z kamery?

Poszedł za Lancaster do biblioteki. Gdy przestąpili próg dwuskrzydłowych drewnianych drzwi, Decker spostrzegł, że biblioteka zamieniła się w przeciwieństwo spokojnego azylu: FBI zajmowało jeden narożnik, policja stanowa też miała swoje miejsce, a Lancaster i jej ekipę upchnięto na ciasnym skrawku przestrzeni na samym końcu po lewej stronie.

Lancaster podeszła do kolegów z policji, którzy zaaranżowali sobie kącik do pracy, natomiast Decker przystanął w progu. Od dawna trzymał się na uboczu, teraz jednak doznał nagłego wrażenia, że trwało to całą wieczność. Nie lubił tłumu. Nie miał ochoty tam wchodzić i dołączać do dużej grupy śledczych, mimo że wszystkim przyświecał ten sam cel. W głębi duszy chciał wymknąć się z powrotem do Residence Inn, zatrzaskać za sobą drzwi, zamknąć oczy i dać się otoczyć kolorom. Jaki będzie tu z niego pożytek? Nie potrafił znaleźć mordercy własnej rodziny. Jakie ma szanse, żeby złapać tego ze szkoły? Spojrzał na drzwi. Można jeszcze dać nogę.

– Amosie!

Obejrzał się za siebie i w milczeniu obserwował nadchodzącego kapitana Millera. Tym razem kapitan był ubrany w policyjny mundur. Wyciągnął rękę, którą Decker niechętnie uściśnął.

– Dziękuję ci za pomoc – rzekł Miller. – Przyda się nam.

Decker popatrzył na grupę ludzi w bibliotece.

– Zdaje się, że masz wszelką pomoc, jakiej potrzebujesz.

Próbował cofnąć dłoń, lecz kapitan nie zwalniał uścisku i nie spuszczał wzroku ze swego byłego detektywa.

– Pozory mylą. Chcę, żebyś zaangażował się w to śledztwo. Masz dobre oko. Dużo widzisz, Amosie. A my musimy złapać tego drania. I zrobić to bez zarzutu. Zamknąć sprawę. – Wciąż świdrował Deckera wzrokiem, aż ten w końcu odwrócił głowę. – Amosie, musimy doprowadzić sprawę do końca. Doskonale to rozumiesz. Przecież wiem.

– Tak – przyznał Decker. – Rozumiem, choćby dlatego, że mnie się dotąd nie udało.

Miller wypuścił jego rękę.

– Więc idź i dołącz do swojej partnerki. Dobrze znów widzieć was razem w zespole.

Decker milczał. Odwrócił się i podszedł do czekającej na niego Lancaster.

Okazja do wzięcia nóg za pas przepadła. Był niemal przekonany, że Miller dokładnie wiedział, co chodzi Deckerowi po głowie, gdy ten stał w drzwiach biblioteki. Kapitan policji zdecydowanie odciął mu drogę ucieczki.

Decker usadowił się przy stole obok Lancaster, w samym centrum dowodzenia lokalnej policji. Na całej długości stołu rozstawiono laptopy. Podłogę zaśmiecały kable, przedłużacze, wielogniazdowe listwy, do których wpięto komputery, drukarki i skanery. Wokół kręcili się ludzie z papierami, segregatorami, tabletami, wszyscy w nastroju cichej desperacji, jak zauważył Decker. Wiedział, że dzieci wielu funkcjonariuszy chodzą do tej szkoły. Policja nie potrzebowała dodatkowej motywacji, żeby przyskrzypić drania.

Po tym, jak Miller zawołał go po imieniu, kilku policjantów w cywilu oraz paru mundurowych rozpoznało Deckera i skinęło mu głowami albo posłało ponure spojrzenie, ale nikt się do niego nie odezwał. Decker nie porzucił wydziału w najszcześniejszych okolicznościach, wątpił jednak, by ktokolwiek rzeczywiście miał mu to za złe.

Ale teraz znalazł się obok nich, uznał więc, że najlepiej zabrać się do pracy.

Spojrzał na Lancaster.

– Wideo?

Policjantka stuknęła w odpowiednie klawisze i kilka sekund później Decker wpatrywał się w ziarnisty obraz.

– Tu jest ten sukinsyn – rzuciła.

Decker zwrócił uwagę na sygnaturę czasową na ekranie.

– Ósma czterdzieści jeden. O której zaczynają się lekcje?

– Dokładnie o ósmej trzydzieści. Do tej pory wszyscy muszą znaleźć się w ławkach.

– Mówiłaś, że wszedł tylnymi drzwiami? Tam zarejestrowała go kamera,

tak?

– Tak.

– Czy tylne wyjście nie jest cały czas zamknięte na klucz?

– Powinno tak być. Ale łatwo je wyważyć.

– Znaleźliście ślady włamania?

– Tych drzwi nie wymieniano od lat siedemdziesiątych. Ledwo się trzymają.

Naprawdę nie sposób ocenić, czy ktoś je sforsował, czy nie.

Stuknęła w klawiaturę i powiększyła obraz korytarza.

– Zidentyfikowaliśmy to miejsce jako korytarz krwawiący... zająknęła się. – Przepraszam, okropne przejęzyczenie. To dlatego, że mam ciągle krew przed oczami... Jako korytarz wiodący od wejścia, które już zidentyfikowaliśmy. Musiał tutaj skręcić i to tu natknął się na Debbie Watson, może minutę później.

– Więc pierwszy strzał padł około ósmej czterdzieści dwie, jeśli założymy, że od czasu zarejestrowanego na nagraniu do spotkania Watson minęła minuta?

– Mniej więcej. Ludzie pamiętają odgłosy wystrzałów. Słyszając je, niektórzy zerknęli na zegar. Więc ósma czterdzieści dwie to najbardziej prawdopodobny czas oddania pierwszego strzału.

– Okej. – Decker zastanawiał się nad następnym pytaniem. Powinno nasunąć się automatycznie, ale tak się nie stało. Zdecydowanie wyszedł z wprawy. Powiódł wzrokiem po całkowicie pochłoniętych pracą, zaprawionych w bojach śledczych. Kiedyś był jednym z nich. Tyle że wycofał się z zawodowego życia zaraz po tym, jak zastał w domu zwłoki swoich najbliższych. Musiał przyznać sam przed sobą, że właściwie może okazać się tu nie tyle pomocą, ile zawalidrogą.

Spojrzał na Lancaster, która patrzyła na niego ze współczuciem.

– Tego się nie zapomina, Amosie. Tak jak jazdy na rowerze – rzekła, najwyraźniej odczytując z jego twarzy zwątpienie.

– Może i nie, Mary. Pewnie niedługo się przekonam. Ale jeśli do niczego się nie nadaję, nie powinno mnie tu być.

Przeniosła wzrok na ekran.

– Okej, kamera nie rejestruje dźwięku, więc nic nie usłyszysz. A w następnym korytarzu nie ma monitoringu.

– Dlaczego?

– Jak to dlaczego? Z powodu dziury w budżecie. Mamy szczęście, że w ogóle są tu jakieś czynne kamery.

Decker rozmyślał przez chwilę.

– Pozostałe mają działać jak straszak?

– Owszem. Ludzie nie wiedzą, że są niesprawne.

– Ale naszemu łotrowi udało się uniknąć wszystkich poza tą jedną.

– To naprawdę bez znaczenia. Był całkowicie zamaskowany, Amosie. Nie dałoby się go rozpoznać.

Decker wolno pokiwał głową, znów czując umysłową ociężałość i bierność.

Ponownie spojrzął na obraz na komputerze. Kaptur, maska i osłona. Na nagraniu z kamery mocno blikowało światło. Przysunął się bliżej ekranu, niczym pies myśliwski tropiący ofiarę.

– Nie ma bezpośredniego ujęcia twarzy, chociaż chował się za maską i kapturem. Wiedział, gdzie jest kamera, i jej unikał, pomimo maskującego stroju.

– Myślisz, że to istotne? – zapytała.

– Na tym etapie dochodzenia nie ma rzeczy nieistotnych.

Lancaster skinęła głową.

– Wydaje mi się, że to druga zasada, której mnie nauczyłeś.

– Pierwsza brzmiała: podejrzewaj każdego – dodał w roztargnieniu Decker, nie odrywając oczu od napastnika na nagraniu.

Nic na to nie odpowiedziała, on zaś wreszcie spojrzął na nią.

– Tego się nie zapomina, Amosie. Tak jak jazdy na rowerze. Byłeś najlepszy, nigdy nie spotkałam nikogo lepszego. Myślę, że nadal tak jest.

Odwrócił wzrok, wcale nie czując satysfakcji po tej pochwale, ponieważ jego odmieniony umysł nie reagował już na słowa uznania.

– Możesz przewinąć do momentu, kiedy skręca za róg?

Lancaster spełniła prośbę. Na żądanie Deckera powtórzyła to jeszcze trzykrotnie.

W końcu wyprostował się na krześle, zatopiony w myślach, choć wciąż patrzył w ekran. Obserwowała go.

– Coś cię tu uderza?

– Uderza mnie tu mnóstwo rzeczy. Ale nic nie dziwi mnie bardziej niż ubrany w ten sposób facet, który paraduje z bronią i po prostu rozplywa się w powietrzu.

– Nie wierzę w duchy ani magię.

– Ja też nie, Mary. Ale wiem jedno.

– Co takiego?

– Że on się nam nie wymknie.

Przyglądała mu się z coraz bardziej zatroskanym wyrazem twarzy.

– Jesteś pewien, że nie myślisz o Leopoldzie?

Wzruszył ramionami, zdawał się patrzeć gdzieś daleko, milion mil stąd.

– W pewnym sensie oni wszyscy są takimi pieprzonymi Leopoldami.

13

Za zgodą kapitana Millera Lancaster załatwiła Deckerowi tymczasowe dokumenty oraz identyfikator. Wieloletnie doświadczenie pracy w miejscu zbrodni nauczyło go stąpać ostrożnie, nie dotykać potencjalnych dowodów i niczego nie ruszać. Wertował raporty, studiował nagranie z kamery, zamieniał kilka słów z policjantami, których znał, pozdrawiał skinieniem głowy tych, których nie znał.

Choć wciąż nie czuł się tam jak ryba w wodzie, powoli zaczynał się oswajać, wracać do wprawy. Jego głównym atutem zawsze była umiejętność obserwacji. Rozglądanie się, dostrzeganie rozmaitych rzeczy, ale w inny sposób niż wszyscy. Opierał swoje przekonania na drobnych szczegółach, których inni nie widzieli, a co najważniejsze – przeoczała je też sprawcy przestępstw.

Tutaj także zdążył poczynić wiele obserwacji, choć nie wszystkie miały związek z masakrą w szkole.

Przede wszystkim zauważył, że ludzie z FBI jak zwykle puszą się jak pawie. Zadzierają nosa i dają wszystkim do zrozumienia, jakimi dysponują możliwościami. Z drugiej strony wiedział, że policja nie pogardzi dodatkową pomocą. Cel był jeden: dorwać faceta, który to zrobił.

Decker powrócił do rutyny stosowanej w niezliczonych dochodzeniach, jakie niegdyś prowadził. Chodził, obserwował, zadawał pytania, czytał kolejne raporty. Kilkakrotnie obszedł cały teren szkoły. Obejrzał go ze wszystkich możliwych stron. Następnie wrócił do budynku i wyjrzał na zewnątrz z każdego okna. Nadchodził świt. Decker spędził tu wiele godzin. Wydawało mu się, że minęło nie więcej niż dziesięć minut, ponieważ nie trafił na żaden trop. Tym się jednak nie trapił. W trakcie śledztwa rzadko zdarzają się cuda i objawienia. Jeśli ktoś chce cudu, musi włączyć telewizor. W świecie realnym efekty przynosi jedynie wytrwała, mozolna praca, kojarzenie faktów, dedukcja i wyciąganie opartych na tych faktach wniosków. Nie zaszkodzi też odrobina szczęścia.

Kilka minut przed wschodem słońca wezwano karetki, by rozpocząć przewożenie ciał do kostnicy. Na tyłach budynku znajdowała się rampa. Policja osłoniła ją plandekami rozpiętymi na stalowych słupkach. Samochody wjeżdżały jeden za drugim przez otwór pozostawiony w brezentowej ścianie. Decker miał świadomość, że za zasłoną wynoszone są ciała zapakowane w wytrzymałe czarne worki. Zwłoki opisano nazwiskiem, a także numerem. To nie były już istoty ludzkie, tylko przedmioty w śledztwie. Debbie Watson będzie „Ofiarą-1” – numerację rozpoczęto od niej. Joe Kramer, wuefista, zostanie oznaczony etykietą „Ofiara-2”. I tak dalej, aż do końca listy zabitych.

Decker oparł się o zewnętrzną ścianę budynku w pobliżu rampy i przyglądał się niebieskiemu brezentowi. Zamknął oczy, ponieważ kojarzył ten kolor z rzezią w swoim domu. Nie potrzebował barw w zewnętrznym świecie. Miał ich dość we własnej głowie.

Zaczynj od podstaw, Amosie. Spokojnie i bez pośpiechu. Wiesz, jak to się robi. Przez wiele lat nie robiłeś niczego innego. Mary ma rację. Potrafisz.

Motyw.

Zawsze od tego się zaczyna, ponieważ motyw to po prostu zadane w inny sposób pytanie: dlaczego ktoś miałby zrobić coś takiego? Z zazdrości, zachłanności, osobistej zemsty, dla zabawy, z powodu niepoczytalności? Ten

ostatni przypadek zawsze jest najtrudniejszy do rozszyfrowania, bo jak odczytać myśli obłąkanego?

Ten człowiek posługiwał się metodą. Ten człowiek znał szkołę od środka. Ten człowiek dołożył wszelkich starań, by nie pokazać choćby skrawka skóry. Nawet nie wiadomo, czy jest czarny, czy biały. Aczkolwiek większość seryjnych zabójców należy do rasy białej. I jest płci męskiej. Zważywszy na posturę i wzrost napastnika, zdecydowanie można go uznać za mężczyznę.

Osłona na twarz to dość niezwykle posunięcie. Nie włożył jej dla obrony. Nie zatrzymałaby kuli. Chodziło o zamaskowanie się.

Decker patrzył, jak odjeżdża ostatni z wozów, z włączonymi światłami ostrzegawczymi, ale bez syreny. Zmarłym się nie spieszy. Każde z ciał zostanie rozcięte, lekarz sądowy będzie szukał śladów. W tym wypadku można liczyć co najwyżej na wyniki ekspertyzy balistycznej. Od jakiego rodzaju kuli zginęli? Decker wątpił, by napastnik tknął którąkolwiek ze swoich ofiar. Nie dotykasz – nie pozostawiasz niczego, co mogłoby do ciebie doprowadzić. Dysponując kulami, będzie można przynajmniej dopasować je kiedyś do broni, z której pochodziły. A jeśli broń miała właściciela, prawdopodobnie da się prześledzić jej historię i dotrzeć do sprawcy tej makabry.

Decker wrócił do biblioteki i zastał tam przeglądającą notatki Lancaster. Gdy się zbliżył, podniosła wzrok.

– Jeszcze tu jesteś? – zdziwiła się, tłumiąc ziewnięcie.

– Nigdzie mi się nie spieszy – odparł.

Usiadł obok.

– Odbyłeś swój zwyczajowy spacer po całym terenie?

Kiwnął głową.

– Ale nic nie rzuciło mi się w oczy.

– Jeszcze się rzuci, Amosie. Cierpliwości.

– Earl został z Sandy?

Przytaknęła.

– Przyzwyczaił się. Ostatnimi czasy często pracowaliśmy w nocy. – Rozejrzała się po pomieszczeniu. – Ale nie nad czymś takim.

Decker wolno pokiwał głową. Jego umiejętność prowadzenia towarzyskiej rozmowy była na wyczerpaniu.

– Zebrałaś już zeznania wszystkich świadków?

– Część wklepałam do komputera. Nie ma tego wiele. Nie rozmawiałam jeszcze z rannym nauczycielem. Istnieje ryzyko, że nie przeżyje. Jeśli umrze, będziemy mieli w sumie dziewięć ofiar.

– Andy Jackson. Jak dostał kulę?

– Uczniowie w klasie mówili, że próbował powstrzymać napastnika.

– Jak?

- Podbiegł do niego. Stał między nim a uczniami.
- Zanim tamten zastrzelił jednego z nich czy po fakcie?
- Po fakcie.

Decker oparł się na krześle i pogrążył w myślach. Lancaster go obserwowała.

- Prawdziwy akt odwagi – skomentowała.

Decker nie odpowiadał.

– Muszę zobaczyć zeznania świadków. – Tym razem przemówił pewnym, energicznym głosem.

Nie uszło to uwadze Lancaster, która pozwoliła sobie na powściągliwy uśmiech, wyciągając notes z zeznaniami.

Przeglądał go strona po stronie. Gdy doszedł do końca, cofnął się do strony drugiej, potem wrócił do dziesiątej i dopiero wtedy odłożył notatnik.

– Zauważyłeś coś? – zainteresowała się Lancaster, która zerkała na niego raz po raz, przerywając pracę.

Wstał.

- Zaraz wracam.

– Decker!

Jak na mężczyznę słusznej postury, dźwigającego dodatkową masę, Decker potrafił poruszać się szybciej, niż można by się po nim spodziewać. Być może zostało w nim coś z beztróskiego futbolisty. Zamknął za sobą drzwi biblioteki i ruszył korytarzem.

Lancaster została na miejscu. Pracując z nim w parze przez dziesięć lat, przywykła do takiego zachowania. Gdy coś mu strzeli do głowy, znikła bez słowa, nie informując o niczym ani jej, ani kogokolwiek innego. Powróciła do swoich zajęć.

Po dziesięciu krokach Decker zatrzymał się i wyjrzał przez okno, z którego roztaczał się widok na parking od frontu. Zaczynało padać, widział wyraźnie krople. Widział także morze światełek jakby unoszących się w powietrzu. Oczywiście nie były to płomyki światełek, deszcz by je ugasił. To światełka telefonów komórkowych. Przed budynkiem odbywało się milczące czuwanie. Wydawało się, że przyszło tam całe Burlington, i niewykluczone, że tak było. Chyba słusznie, zważywszy na to, co się stało.

Pod domem Deckera po morderstwie też czuwano w milczeniu. Wtedy zapalono prawdziwe świece. Przyniesiono naręczka kwiatów, karteczki i pluszowe zwierzątka. Jako wyraz wsparcia, ciepłych uczuć, solidarności i troski. Miło. Ale ta scena odebrała mu siły i go otumaniła. A także pogrążyła w obłędzie głębszym od żalu.

Odwrócił się od okna i powędrował dalej. Deszcz zaczął bębnić w dach szkoły.

Wyobrażał sobie, jak mrugają telefony, chowane pospiesznie przed wilgocią. A może ludzie będą trzymać je na deszczu. I pozwolą im zgasnąć w geście solidarności z tymi, którzy stracili życie w budynku.

Minął w korytarzu znajomego detektywa, który rozmawiał z mężczyzną w garniturze. Decker widział go już wcześniej w bibliotece; gość był z FBI. Znajomy detektyw skinął głową.

– Słyszałem, że jesteś konsultantem w tym śledztwie, Amosie. Dobrze cię widzieć.

Decker przytaknął z wahaniem, zerkając na agenta FBI. Facet otaksował go wzrokiem, a z wyrazu jego twarzy można było wywnioskować, że ocena nie wypadła korzystnie.

– Tak – mruknął szorstko Decker i oddalił się w pośpiechu.

Szybko odepchnął jednak od siebie myśl o tym niezręcznym spotkaniu, na co jego umysł zezwalał z łatwością. Decker miał zdumiewająco silnie rozwiniętą zdolność racjonalizacji uczuć. Dlatego że miał wszystko gdzieś.

Coś tu nie trzymało się kupy. I właśnie to było powodem nagłego opuszczenia przez niego biblioteki.

Druga strona zeznań świadków.

Melissa Dalton, lat siedemnaście, przedostatnia klasa, chowała książki do szkolnej szafki. Pora była wczesna, siódma dwadzieścia osiem, ponad godzinę przed rozpoczęciem lekcji. Przyszła napisać zaległy sprawdzian, którego nie zaliczyła z powodu choroby.

Dalton potrafiła podać dokładną godzinę, ponieważ spojrzała na zegar ścienny nad szafką, obawiając się spóźnienia. Mogła poszczycić się idealną frekwencją przez całe liceum, niezakłóconą ani jednym spóźnieniem. Taki wynik był dla Melissy ważny, ponieważ rodzice obiecali, że po czterech latach tak nienaganego uczęszczania do szkoły córka zasłuży sobie na własny używany samochód.

A więc siódma dwadzieścia osiem.

Wtedy Melissa Dalton usłyszała jakiś odgłos. Powiedziała o tym Lancaster podczas przesłuchania.

Usłyszała go na godzinę i dwie minuty przed pierwszym dzwonkiem. Mniej więcej dwanaście minut p o dzwonku, czyli mniej więcej o ósmej czterdzieści dwie, Debbie Watson zostanie pozbawiona twarzy oraz życia, gdy zabójca skręci w korytarz i wyceluje w nią broń. A wszystko przez to, że rozboleł ją brzuch.

Ale jak Melissa Dalton mogła usłyszeć to, co usłyszała?

Drobne obserwacje prowadzą czasem do poważnego przełomu.

Decker szedł dalej, nie zatrzymując się.

Decker stanął i się rozejrzał. Sala gimnastyczna znajdowała się na parterze

po lewej stronie, na końcu ostatniego korytarza. Dalej były sale lekcyjne i tylne wejście. Po drugiej stronie głównego korytarza rozlokowano kolejne klasy, pomieszczenie gospodarcze oraz rampę z tyłu od podwórza. Główny korytarz biegł przez całą szkołę, od frontu na tyły budynku, dzieląc parter dokładnie na pół. Po obu stronach odchodziły od niego po trzy boczne korytarze, niczym gałęzie wyrastające z pnia pod kątem prostym.

Jedynie środkowy korytarz miał wyjścia na obu końcach, co oznaczało, że w budynku znajdowało się czworo drzwi usytuowanych w czterech stronach świata.

Decker skierował kroki do tylnego wejścia i uważnie przyjrzał się kamerze. Później stawał w różnych punktach w pobliżu drzwi, za każdym razem sprawdzając kamerę.

Interesujące.

Zawrócił i powędrował głównym korytarzem, aż dotarł pod wejście od frontu. Następnie skręcił na lewo w korytarz, mając stołówkę po swojej lewej stronie i bibliotekę po prawej.

Tam, dokładnie naprzeciwko stołówki, była usytuowana szafka Melissy Dalton. Obejrzał szafkę. Tuż za nią znajdowała się biblioteka, gdzie w pocie czoła pracowała Lancaster. Miejsce po przeciwnej stronie, obok garstki sal lekcyjnych, zajmowała przestronna stołówka.

Decker przypomniał sobie ze szkolnych czasów, że na końcu stołówki znajdowały się magazyn oraz miejsce do przygotowywania posiłków z zewnętrznymi drzwiami wychodzącymi na mały wybetonowany ganek, gdzie wyladowywano dostawy żywności. Tym samym liczba drzwi wzrastała do sześciu. Czworo głównych na końcach korytarzy, kolejne przy rampie od podwórza i ostatnie tutaj, w stołówce.

O siódmej dwadzieścia osiem Melissa Dalton usłyszała otwieranie i zamykanie drzwi. Zeznała, że nie były to wewnętrzne drzwi sali lekcyjnej, ponieważ odgłosowi towarzyszył jakby świst. Jak przy zamykaniu pojemnika próżniowego.

Jak przy zamykaniu pojemnika próżniowego. Tak wyraziła się Dalton. Lancaster zanotowała, iż dziewczyna zwierzyła się, że uwielbia nauki ścisłe, a teraz właśnie przerabiają na zajęciach temat próżni i bez wątplenia to dlatego to określenie jako pierwsze przyszło jej do głowy. Lancaster postawiła przy jej zeznaniach liczne znaki zapytania oraz dużą gwiazdkę. Zapewne planowała je później zweryfikować. Decker nie mógł jej za to winić. Wydawały się pozbawione sensu.

To była druga strona zeznań.

Na dziesiątej pojawiała się cenna informacja. I właśnie ona sprowadziła tu Deckera.

Obsługa stołówki przyjechała dokładnie o ósmej czterdzieści pięć. Ani wcześniej, ani później. Liczne źródła potwierdziły, że tak samo było dzień wcześniej. Pracowały tam wyłącznie kobiety. Nie było wśród nich barczystego mężczyzny mierzącego sześć stóp i dwa cale i ważącego ponad dwieście funtów.

Ponieważ pierwsze strzały padły o ósmej czterdzieści dwie, żadna z pracownic stołówki nie zdążyła jeszcze wejść do budynku. W czasie gdy w środku rozpętało się piekło, cztery wysiadały z samochodów, a kolejna czekała na skręt na parking.

Decker wszedł do stołówki i rozejrzał się po pomieszczeniu. Ręka odruchowo powędrowała na kolbę wciśniętego za pas i ukrytego pod marynarką pistoletu. Kciukiem odbezpieczył broń. Miał załadowany magazynek. Światło było zgaszone. Decker poszukał po omacku włączników i łokciem zapalił lampy.

Mijał stoły ze starannie ułożonymi na blatach krzesłami. Na końcu znajdowały się lady ze stali nierdzewnej i szkła. Wszystkie pojemniki na potrawy były puste. Wszędzie czysto, schludnie poustawiane naczynia gotowe do użycia, tyle że brakowało głodnych uczniów oraz personelu, który by ich obsłużył.

Decker błędził wzrokiem po podłodze. Nie natknął się jednak na żaden dostrzegalny odcisk buta. Przez otwór w ścianie dostał się na zaplecze. Stały tam przenośne regały na kółkach służące do przewozu jedzenia z zaplecza do bufetu. Ustawiono je pod ścianą. Były tam także wiaderka, mopy i inne przybory do sprzątnięcia.

Te rzeczy nie interesowały Deckera.

Interesowała go za to wbudowana szafa chłodnicza ulokowana na samym końcu magazynu.

Świst. Próżnia. Zamykające się drzwi chłodni.

Lub przez kogoś o t w i e r a n e.

Wyciągnął pistolet. Prawdę powiedziawszy, nie spodziewał się zastać w środku zabójcy w pełnym rynsztunku. Policja z pewnością przeszukała zaplecze i zaglądała do chłodni. Widział jednak w życiu wystarczająco dużo dziwnych sytuacji, by nie pomijać i takiej możliwości. W tym momencie branie czegokolwiek za pewnik mogłoby oznaczać, że i on wyjedzie stąd cichym transportem w worku na zwłoki.

Wycelował broń w drzwi, odsunął się na bok, złapał uchwyt przez rękaw płaszcz, szarpnął klamkę w górę i mocno pociągnął. Drzwi otworzyły się gładko.

Ze ś w i s t e m, jak zauważył, ponieważ puściło hermetyczne zamknięcie. Wyobraził sobie, że wczesnym rankiem ten dźwięk odbiłby się echem od ścian pustego, cichego korytarza i dotarłby do uszu Melissy Dalton. Cóż, przeprowadził mały eksperyment, który zdawał się potwierdzać słowa dziewczyny.

Decker wycofał się i zajął pozycję przy blacie roboczym. Ostrożnie przesunął się dookoła stołu, póki nie zobaczył całego wnętrza chłodni. Była

pusta, to znaczy z wyjątkiem żywności. Ale czy była pusta także o siódmej dwadzieścia osiem rano w dniu masakry?

Decker wszedł do chłodni i się rozejrzył. Zarejestrował w pamięci, że drzwi mają mechanizm zabezpieczający, pozwalający na otwieranie ich od wewnątrz. Aby nikt nie został uwięziony w środku i nie zamarzył na śmierć.

I wtedy to zauważył. A raczej p o c z u ł.

W chłodni powinna panować naprawdę niska temperatura, zero stopni Fahrenheita^[3]. Tu było ledwie chłodno. Może nawet cieplej niż na dworze.

Sprawdził na termometrze. Nic dziwnego. Wskazywał czterdzieści siedem stopni^[4]. Otworzył kilka pojemników i zobaczył to, czego się spodziewał. Mięso oraz inne nietrwałe produkty były rozmrożone i zaczynały się psuć. Trzeba będzie je wyrzucić.

A więc facet podniósł temperaturę w szafie chłodniczej i urządził sobie w niej kryjówkę. Melissa Dalton dobrze słyszała. Świst o siódmej dwadzieścia osiem, gdy mężczyzna wychynął z chłodni. Ale dlaczego ukrywał się akurat tam? A przede wszystkim, jak dostał się do budynku? Prawdopodobnie korzystano z chłodni w ciągu dnia, musiał zatem wejść tam po godzinach pracy stołówki. W noc poprzedzającą masakrę. W przeciwnym razie zdemaskowałby go rano personel kuchenny, przystępując do wypełniania swoich obowiązków.

Następne pytanie: co mógł zyskać, ukrywając się w tym miejscu?

I pytanie zasadnicze: jak to możliwe, że przeszedł cały odcinek od stołówki na frontie aż na sam tył budynku, aby rozpocząć swoją krwawą jatkę, i że nikt go nie widział? Jakby teleportował się ze statku kosmicznego.

Nowe pytania napływały falami, gdy zaczynał ewoluować krąg podejrzanych.

A goście? Rodzice? Ludzie z zewnątrz świadczący jakieś usługi? Lancaster o nikim takim nie wspominała. Decker założył, że każda osoba przebywająca wówczas na terenie szkoły zostałaby zatrzymana do przesłuchania. To najbardziej podstawowa zasada prowadzenia śledztwa kryminalnego. Nikt nie mógł oddalić się ot tak. Z drugiej strony upłynęło nieco czasu między strzelaniną a zablokowaniem przez policję dróg wejścia i wyjścia. Napastnik musiał uciec w tej przerwie. Ale jak udało mu się tego dokonać zupełnie niepostrzeżenie?

Decker opuścił chłodnię i zamknął za sobą drzwi. Przeszedł kilka kroków i zadarł głowę. W chłodni nie było gdzie się ukryć. Ale jego wzrok padł na coś jeszcze.

Chwycił krzesło i ustawił je na środku pomieszczenia. Wgramolił się na siedzenie. Przy swoim wzroście uderzył głową o kasetonowy obniżony sufit, zwany też podwieszanym, ponieważ świetlne kasetony były umocowane na metalowych konstrukcjach zawieszonych niecałe dwie stopy poniżej prawdziwego stropu. To modernizacja, przeprowadzona wiele lat po wybudowaniu

gmachu szkoły. W latach czterdziestych nikt nie montował podwieszanych sufitów.

Decker podniósł jeden z kasetonów i wsunął głowę przez otwór. Używając telefonu jako latarki, oświetlił ciemną przestrzeń pod stropem. Leżało tam mnóstwo rozmaitych śmieci, a wśród nich kable elektryczne, rurki od systemu przeciwpożarowego oraz sieć przewodów wentylacyjnych. Niemożliwe, żeby zmieścił się tu tak duży mężczyzna. Nawet jeśli wcisnąłby się jakimś cudem, metalowa konstrukcja nie wytrzymałaby obciążenia. Decker przestawiał krzesło jeszcze trzy razy, aż wreszcie coś znalazł. Nie na górze – na podłodze. Odrobina kurzu z kasetonów. Spojrzał na miejsca, w których wyjmował płytki sufitowe. Pod każdym leżało teraz trochę kurzu, ponieważ przy unoszeniu kasetonów strącił drobinki pyłu. W tym miejscu niczego jednak nie dotykał.

Obfotografował wszystko z różnych stron. Ponownie ustawił krzesło i wspiął się na siedzisko. Naciągnął na dłoń rękaw marynarki, żeby nie zatrzeć odcisków palców ani nie dodać nowych do już istniejących, po czym delikatnie pchnął płytkę. Wsadził głowę i obejrzał wszystko dookoła. W tym miejscu przestrzeń była pusta. Żadnych rurek, kabli, przewodów. Dobra kryjówka. Na przykład na schowanie maskującego stroju, a nawet broni.

Zbadał każdy cal i trafił na żyłę złota.

O metalową konstrukcję była zaczepiona nitka. Poświecił na nią latarką w telefonie. Nitka wyglądała na beżową. W innym miejscu stelażu dojrzał smużkę startego kurzu. W trzecim – chyba resztkę smaru, może po wetkniętej tu broni.

Niczego nie dotykał, zszedł z krzesła i wysłał wiadomość do Lancaster. Trzeba sprowadzić tu techników, którzy przewrócą wszystko do góry nogami. Czekać na nich, podszedł do zewnętrznych drzwi wychodzących na niewielką rampę.

– Cholera.

Wyglądały na zamknięte, ale gdy napał na nie całym ciałem, ustąpiły, wywołując na jego ustach przekleństwo. Wszedł na małą rampę, otoczoną drewnianym parkanem wysokim na sześć stóp. Przy swoim wzroście mógł wyjrzeć poza ogrodzenie. Ustawiono tam kilka kubłów na śmieci oraz mały kontener. W rogu piętrzyły się drewniane skrzynki. Decker pchnął furtkę i uważnie się rozejrzał.

Dwa miejsca parkingowe, puste o tej porze. Krótki pas spękanego asfaltu, a dalej płot z siatki i długi rząd krzewów wysokich na dziesięć stóp oraz chaszczki, które wyrosły tuż obok. Szybkim krokiem podszedł do ogrodzenia. W miejscu znajdującym się naprzeciwko kuchennych drzwi przedarł się przez zarośla. Siatka miała pośrodku dziurę. Decker poświecił sobie telefonem. Drut zardzewiał, czyli dziura jest tu od dawna. Decker torował sobie dalej drogę przez krzaki i znalazł się po drugiej stronie. Była tam ścieżka prowadząca do lasu, który sąsiedował ze szkołą od niepamiętnych czasów.

Łatwo przyszło, łatwo poszło.

15

Lancaster nerwowo żuła gumę, podczas gdy ekipa techniczna przetrząsała stołówkę i część kuchenną. Zastępy policjantów oraz agenci FBI sprawdzali wskazaną im przez Deckera ścieżkę do lasu.

Decker oparł się o ścianę stołówki, wsadził ręce do kieszeni i obserwował to, co się działo. Podeszła do niego Lancaster.

– Zglądaliśmy już wcześniej do chłodni – powiedziała. – Ale nie sprawdziliśmy żywności ani wskazań termometru. To niedopatrzenie. Później z pewnością byśmy to zauważyli.

– Szukaliście napastnika, sprawdzaliście teren – rzekł Decker. – Nie interesowały was zepsute hamburgery. Mnie też nie. Po prostu węszyłem.

– Jasne, wyparowawszy bez słowa z biblioteki. Wołałam cię, wiesz? Mogłam iść z tobą, Amosie.

Zauważył jej urażoną minę, po czym objął stołówkę spojrzeniem. Wtedy nie przyszło mu to do głowy. Przecież Lancaster nadal pracowała w policji, więc gdyby razem z Deckerem wpadła na ten nowy trop w śledztwie, przysłużyłoby się to jej karierze. A tak to odkrycie trafiło na jego konto, z czego Lancaster nie miała absolutnie żadnego pożytku.

– Ja... ja nie...

– Mniejsza o to – przerwała ostro. – Zachowywałeś się tak samo, kiedy jeszcze f o r m a l n i e pracowaliśmy razem.

– Naprawdę?

– Masz pewnie takie odchylenie. Choć spodziewałabym się, że facet obdarzony fenomenalną pamięcią nie zapomina tego typu rzeczy. Przynajmniej w stosunku do mnie.

– Jestem trochę nie w formie, Mary.

Jej irytacja jakby słabła.

– Nie, myślę, że zaczynasz łapać wiatr w żagle. Wiedziałam, że tak będzie. To najważniejsze.

– Nie potrzebujesz mojego udziału w rozwikłaniu tej sprawy. Masz mnóstwo innych możliwości.

– Rzecz w tym, Amosie... – Spuściła wzrok, energiczniej poruszając szczękami. Po chwili podniosła głowę i rzekła: – Prawda jest taka, że brakowało mi pracy z tobą. Uważam, że tworzyliśmy świetny zespół.

Decker pokiwał głową, ale milczał.

Po dłuższej chwili Lancaster najwyraźniej zdała sobie sprawę, że Decker nie zamierza skomentować tego wyznania.

– Jednego nie rozumiem – powiedziała. – Skoro był tutaj, jak to się stało, że kamera nagrała go przy tylnym wejściu? To się nie klei.

Decker odepchnął się od ściany.

– Pokażę ci.

Poprowadził ją na tyły szkoły i wskazał kamerę, która zarejestrowała obraz uzbrojonego bandyty.

– Zwróć uwagę na kąt.

Zatrzymała wzrok na obiektywie.

– Okej.

Trzymając się blisko ściany po jednej stronie holu, Decker obrócił się, stając plecami do tylnego wejścia. Potem przeszedł na lewo.

– To jest miejsce, w którym kamera łapie obraz. Widziałem to na monitorze. Tamte środkowe drzwi za moimi plecami jako jedyne mieszczą się w kadrze.

– Więc napastnik mógł zrobić to samo, co ty w tej chwili? Nadejść z boku i zostać wychwyconym przez kamerę?

– Oraz wywołać wrażenie, że wszedł tylnymi drzwiami, podczas gdy wcale tak nie było.

– Ciekawe, dlaczego kamera jest ustawiona w taki sposób.

– Ktoś mógł ją przesunąć.

Decker podszedł do kamery, wyciągnął rękę i jej dotknął.

– Dosięgam, ale jestem wysoki. Niższa osoba mogłaby zmienić położenie kamery, posługując się kijem, trzonkiem miotły albo czymś podobnym. Pewnie nikt by nie zauważył. Nie monitorują tego miejsca non stop, prawda?

– Cholera, to wszystko jest coraz bardziej zmatwane.

– Nie, Mary. Raczej widać tu coraz więcej p r e m e d y t a c j i.

– Wyjdiesz ze mną na dwór na papierosa? – zapytała.

Spojrzał na nią, jakby urwała się z choinki.

– Ja nie palę.

– Pomyślałam, że w tych okolicznościach może zaczniesz.

– Albo papierosy, albo nadwaga. Trzeba wybrać.

Wrócili do stołówki. Gdy dotarli na miejsce, Lancaster wrzuciła do ust kolejny listek gumy i wprawiła szczęki w ruch.

– Millerowi opłaciło się wezwać cię tutaj.

Decker wybałuszył oczy.

– W jakim sensie mu się opłaciło?

Wskazała pomieszczenie, w którym się znajdowali.

– W takim, Decker. Chryste... Niby łebski z ciebie gość, a czasem tępy jak noga stołowa.

– Natknąłem się na ten ślad i co z tego? Ani trochę nie przybliżyła nas to do zabójcy.

– Ukrywał się w chłodni, gdzie podniesiono temperaturę. Wiele wskazuje na to, że schował broń i strój maskujący pod sufitem. A więc już tu był. Dlatego

nikt nie widział, jak wchodzi.

– Ale czy znaleźliście jakieś inne ślady?

– Smar na stelażu sufitu. Być może pochodzący z broni. Nitka, na którą się natknąłeś, wygląda jak z ubrania kamuflującego, FBI to weryfikuje. Zawsze coś.

Wyjął ręce z kieszeni i pokazał palcami szczyptę.

– O, tyle znalazłem. Nie ma się z czego cieszyć.

– Cóż, i tak więcej niż my.

– Widziałem panel sterowania. O której włącza się tu system alarmowy?

– Zwykle o dwudziestej drugiej. Ale tego wieczoru w szkole odbywało się przedstawienie. Skończyło się późno. Przyszło wiele osób. Więc system alarmowy włączono dopiero o północy, żeby wszyscy zdążyli opuścić budynek.

– Nie odnotowano żadnej aktywności?

– Żadnej – odparła Lancaster. – Pierwsze, co zrobiliśmy, to sprawdziliśmy w firmie monitorującej. Rejestr jest czysty.

– Zatem napastnik musiał się tu dostać przed północą. Czy w stołówce serwowano wtedy jakieś napoje i przekąski?

– Nie. Na przedstawieniu była moja znajoma, bo grało tam jej dziecko. Mówiła, że wszyscy wyszli zaraz po zakończeniu.

– Więc wszedł w przerwie między końcem przedstawienia a włączeniem systemu alarmowego i zajął miejsce w swojej kryjówce.

– A po co ukrywał broń pod sufitem, Amosie? Dlaczego nie miał jej przy sobie w chłodni?

– Zakładasz, że wszedł z bronią, a następnie się schował. A jeśli wniósł ją przy innej okazji i ukrył? W takim wypadku chłodnia by odpadała. Ktoś zauważyłby broń. A sufit podwieszany nadawał się do tego doskonale. Jeżeli zabójca rzeczywiście skorzystał z tego schowka.

Pokręciła z uporem głową.

– Dlaczego nie miałyby zrobić wszystkiego za jednym zamachem? Już samo ukrywanie broni było dość ryzykowne. A potem zakradałby się po raz kolejny i chował w chłodni? Znowu ryzykowałby, że ktoś go nakryje.

– Zgodna. Ale skoro stało się tak, jak się stało, musi istnieć jakieś wyjaśnienie. Ten facet sprawia wrażenie człowieka działającego metodycznie i w przemyślany sposób.

– No widzę – mruknęła Lancaster.

Decker rozważał dalej, mówiąc jakby do samego siebie:

– Najpierw spluwy i sprzęt. Potem napastnik. Mógł przybyć wraz ze wszystkimi na szkolne przedstawienie. Albo sprawiać takie wrażenie. Aula znajduje się po przeciwnej stronie korytarza niż stołówka. Gdy wchodzi się głównym wejściem, do auli trzeba skręcić w lewo. Może skręcił w prawo i wszedł do stołówki. Albo odwrotnie, jeżeli wchodził wraz z innymi tylnymi drzwiami

od strony parkingu. Spędza w budynku całą noc i rano następnego dnia zaczyna siać spustoszenie. Trzeba więc sprawdzić, czy ktokolwiek w szkole widział wieczorem jakąś nieznaną osobę. – Przerwał. – Ale tu natrafiamy na tę samą, co zwykle, przeszkodę.

– Czyli? – spytała Lancaster, pakując sobie do ust nową gumę, po wypluciu poprzedniej, którą zawinęła w papierową chusteczkę i wyrzuciła do kubła.

– Debbie Watson, która wedle twojej teorii była pierwszą ofiarą, znajdowała się w korytarzu obok tylnego wejścia. To oznacza, że aby zabić najpierw Watson, a potem Kramera, nauczyciela wuefu, na drugim końcu holu, ukrywający się przez noc w chłodni napastnik musiałby przejść korytarzem pomiędzy stołówką a biblioteką, skręcić w prawo w główny korytarz, minąć dwa boczne korytarze po obu stronach, sale lekcyjne i prawdopodobnie jakieś osoby. Potem zabójca odwraca kierunek i zaczyna strzelać do ludzi, posuwając się w stronę frontowych drzwi szkoły. – Decker popatrzył sceptycznie na Lancaster. – To wydaje się mało prawdopodobne. Dlaczego nie zaczął strzelać od razu, na froncie budynku, i nie szedł w głąb? Co oznaczałoby, że Watson jest jedną z ostatnich ofiar, a nie pierwszą.

– A sygnatura czasowa na nagraniu?

– I to stanowi prawdziwą zagwozdkę. Czas wskazuje, że mimo wszystko facet rozpoczął atak na tyłach szkoły. I z jakiegoś powodu chciał być widoczny w kamerze. Teraz, kiedy wiemy, że mógł się czaić w stołówce, obraz z kamery wydaje się celową zmyłką. Mamy zatem jeden pewnik – sygnaturę czasową na nagraniu – i drugi prawie pewnik – że zabójca schował się w chłodni. Jeśli obie te rzeczy są prawdą, zestawione razem nie mają sensu. Jeden plus jeden nie równa się trzy.

– Zaczynam się gubić, Amosie.

– Masz plan wnętrza szkoły ze wstępnie zaznaczonymi miejscami oddania strzałów?

Przytaknęła.

– Rzućmy okiem. Bo niewykluczone, że zrobił coś dokładnie odwrotnego, niż nam się wydaje.

– Ale jeśli się nie mylisz i facet poruszał się w kierunku od frontu do tyłu i z powrotem na przód budynku, ulotniłby się przez zaplecze za stołówką, a dalej ścieżką do lasu. To najłatwiejsza droga ucieczki. I wszystko by pasowało.

Decker wziął oddech, wypuścił powietrze i utkwiał wzrok w suficie.

– I może ten sukinsyn chce, żebyśmy właśnie tak myśleli.

Nabierając coraz większej pewności co do swych predyspozycji detektywistycznych, Decker spędził kolejną godzinę na przeglądaniu wstępnego rejestru strzałów. Rejestr ów powstał na podstawie: relacji świadków, na których, jak Decker doskonale wiedział, nie można w pełni polegać; dowodów zebranych przez techników kryminalistyki, które nie są wcale tak jednoznaczne, jak to wygląda na telewizyjnym ekranie; przeczuć, które są tylko przecuciami; i wreszcie na podstawie zdrowego rozsądku, który z tego wszystkiego mógł okazać się najbardziej przydatny i trafny.

Lancaster oderwała wzrok od ekranu laptopa i spojrzała na Deckera.

– No i co sądzisz?

Decker w zamyśleniu gładził przystrzyżoną brodę. Burczało mu w brzuchu. Na dworze zrobiło się już jasno. Odkąd jadł coś ostatnio, minęło sporo czasu, dałby radę jednak opuścić kilka posiłków. A właściwie kilkaset. Był jak niedźwiedź polarny. Mógłby przeżyć całą zimę na zgromadzonych zapasach tłuszczu.

– Punkt pierwszy. Myślę, że zaczął od stołówki.

– Okej.

– Punkt drugi. Myślę, że Debbie Watson była pierwszą ofiarą.

– Powracamy więc do dylematu. Jeden plus jeden równa się trzy. Jak to możliwe, by wielki facet w kamuflażu, kapturze, masce, z osłoną na twarzy oraz bronią w ręku przeszedł całą długość szkolnego korytarza niewidziany przez nikogo? No i którędy dał nogę? Nie mógł po prostu się ulotnić.

– Nie mogło być dwóch napastników? – zapytał. – Jeden wyszedł z chłodni, a drugi dostał się do budynku tylnymi drzwiami.

Pokręciła głową.

– Niemożliwe. Zabójca był jeden. Mamy jeden rysopis. Sądzisz, że masakry dokonało dwóch mężczyzn o identycznej budowie ciała?

– No dobrze, jeden napastnik. Pistolet można łatwo ukryć. Broń długą można wsadzić do nogawki spodni.

– A ubranie? I osłona?

Decker zastanowił się przez chwilę.

– Kto mówi, że ubrał się w stołówce?

– Znaleźliśmy nitkę na suficie.

– To jeszcze nie oznacza, że trzymał tam cały rynsztunek.

– A więc taszczył go ze sobą, idąc korytarzem? W czym? A broń? Musiałby wyglądać jak nadmuchany balon, ktoś zwróciłby uwagę. Zwłaszcza jeśli nikt faceta nie znał. Gdzie się w takim razie przebierał?

– Jesteś pewna, że nie widziano nikogo na korytarzach o tamtej porze?

– Tak.

– Zupełnie nikogo? Naprawdę? W szkole pełnej ludzi?

– Wszyscy siedzieli w klasach, zarówno uczniowie, jak i nauczyciele. Obsługa sekretariatu pracowała. Większość nie zdążyła spędzić wiele czasu przy biurku. Wuefista przebywał w swoim pokoju, gdy go zastrzelono. Na jego biurku leżała zjedzona do połowy kanapka i niemal pełny kubek kawy. Woźni znajdowali się w przeznaczonych dla nich części szkoły i przeglądali harmonogram pracy.

– Skoro nie było nikogo na korytarzach, nikt nie mógł widzieć wążającego się tam obcego. – Jednak Decker natychmiast się poprawił. – Tylko że we wszystkich drzwiach są szyby. A musiał przecież mijać wiele z nich.

– Otóż to – zgodziła się Lancaster.

– A goście?

– Nikt się nie wpisał do książki i nikt nikogo nie pamięta. Co nie znaczy, że ktoś się nie włiznął. Zawsze istnieje taka możliwość. I, jak zauważyłeś, mógł wejść do budynku poprzedniego wieczoru podczas przedstawienia. Szkoła stała wtedy otworem.

– Ale dlaczego miałyby ukrywać się w chłodni? Czy w nocy jest tu ochrona?
– zapytał.

– Nie – odparła Lancaster – ale gdyby wszedł w trakcie szkolnego przedstawienia, zależałoby mu na tym, żeby na nikogo się nie napatoczyć. Nie mógł wiedzieć, czy ktoś z jakiegoś powodu nie wejdzie do stołówki.

– Dobrze, to się trzyma kupy. Przejdźmy do Debbie Watson. Wybierała się do gabinetu pielęgniarki?

Lancaster kiwnęła głową.

– Tak. Najwyraźniej zatrzymała się, żeby wyjąć coś z szafki. Znalaziono ją obok. Drzwi szafki były otwarte.

– Gabinet pielęgniarki znajduje się w części biurowej?

Lancaster znów przytaknęła.

– Musiałaby iść głównym korytarzem od tyłu na front.

– Z której sali lekcyjnej wyszła?

– Z matematycznej. Numer sto czterdzieści cztery.

– W tym samym korytarzu co pomieszczenie dla woźnych?

– Zgadza się. Tam gdzie rampa. A co za tym idzie, wyjście.

– Więc jeśli się nie mylimy i facet dostał się do środka przez stołówkę, jego trasa wyglądała tak: wszedł na parter od frontu i posuwał się w głąb budynku. Zakładam, że pierwsze i drugie piętro były puste?

– Oczywiście przeszukujemy je. Ale od lat przyjmuje się do Mansfield coraz mniej uczniów. Wystarczyłoby ich do zapełnienia jednej kondygnacji. Szkoła ma wielki problem ze znalezieniem wystarczającej liczby zawodników do obsadzenia drużyny futbolowej. Piętra są wykorzystywane w charakterze magazynu, składzików i tym podobnych. Są zamknięte, nie ma do nich dostępu. Gdy je sprawdzaliśmy, były zabezpieczone, nie nosiły żadnych śladów majstrowania przy

zamykach.

– Więc z jakiegoś powodu gość zwleka z użyciem broni, póki nie dotrze na tyły szkoły. Potem zaczyna strzelać do ludzi, idzie korytarzami, wchodzi do klas. Cały czas strzela. Dociera do sekretariatu, zabija wicedyrektora. Następnie wieje przez rampę przy stołówce i ścieżką do lasu. Czy to brzmi prawdopodobnie?

– Chodzi ci o to, dlaczego nie zaczął strzelać od razu, posuwając się od frontu do tyłu, i nie uciekł tylnymi drzwiami?

Decker przyglądał się sufitowi.

– Odłóżmy na bok taktykę i skupmy się na motywie. W Mansfield nieraz oglądano przemoc. Gangi, narkotyki, napady. Przedwcześnie dojrzała młodzież.

– Z tym nie polemizujemy.

– Skrzywdzony wyrzutek? Dzieciak, który ma ze szkołą jakieś porachunki? A może to wcale nie tutejszy uczeń, tylko ktoś z innej szkoły, absolwent albo ktoś, kto rzucił naukę.

– Sporządzamy bazę danych z wszystkimi tego rodzaju informacjami. Pomaga nam FBI.

– Kiedy ta baza będzie gotowa?

Lancaster potarła oczy i zerknęła na zegarek.

– Nie wiem. Słuchaj, muszę iść do domu, przespać się z godzinkę, przebrać. I dać Earlowi chwilę odsapnąć. Sandy ostatnio źle sypia.

Decker znał Sandy jako łagodną, wesołą, tryskającą energią dziewczynkę, reagującą na wszystko i wszystkich z szalonym entuzjazmem. Wiedział też, że zdarza jej się wpadać w przygnębienie albo niepokoić się czymś stosunkowo błahym. I wtedy nie mogła spać. A wraz z nią nie spał cały dom.

– Pomóc ci? – zapytał Decker.

Lancaster sprawiała wrażenie zaskoczonej.

– Oferujesz się z opieką?

– Nie wiem. Ja tylko... zapytałem – dokończył zakłopotany. Rzadko zajmował się maleńką Molly. Sam był tak wielki, a ona tak drobniutka, że bał się zrobić jej krzywdę.

Lancaster się uśmiechnęła.

– Dam radę, Amosie, ale dzięki. Pojawię się później w komisariacie. Możemy napić się kawy i obgadać wszystko. Podrzucić cię do domu?

– Nie, jeszcze się tu pokręcę.

– Jak chcesz. Gdybyś chciał pogadać, o czymkolwiek, zadzwoń.

Pozbierała swoje rzeczy i ruszyła do wyjścia. Po chwili zatrzymała się i spojrzała na Deckera.

– Czuję się jak za dawnych czasów, naprawdę.

Nic nie powiedział, tylko lekko kiwnął głową, co wywołało uśmiech na jej ustach. Odwróciła się i wyszła.

Siedział na krześle w bibliotece. Spędzał tu teraz więcej czasu niż w ciągu całych czterech lat szkoły. Nie dlatego, że nauka przychodziła mu z łatwością, bo wcale tak nie było. Nie należał jednak do tych, którzy dużo czytali. To się zmieniło. Obecnie pochłaniał niewiarygodne ilości informacji. Od kiedy zapamiętywał wszystko, czuł ciągły niedosyt. Zastanawiał się, czy jego umysł ma granice pojemności. Jeśli tak, miał nadzieję, że są wprost proporcjonalne do jego postury.

Obserwował agentów FBI wykonujących swoją pracę przy stole ustawionym w poprzek głównej części biblioteki. Wszyscy byli zadbani, dość młodzi, niestrudzeni w swym profesjonalizmie, w wykrochmalonych koszulach, w krawatach prostych jak ich kręgosłupy. Niektórzy zerkali na niego od czasu do czasu, bez wątpienia zastanawiając się, co taki tłusty dziwak w łachach bezdomnego robi w i c h śledztwie.

No cóż, dobrze, że przynajmniej przystrzygłem brodę i włosy. W przeciwnym razie pewnie by mnie zaaresztowali, bo wyglądałbym jak zapasiona wersja Charlesa Mansona.

Po chwili całkowicie zapomniał o agentach FBI. Nie siedział już w bibliotece Mansfield. Nie rozpracowywał sprawy masowej strzelaniny w szkole. A wszystko przez to, co rzuciła na odchodnym Lancaster.

Pojawię się później w komisariacie. Możemy napić się kawy i obgadać wszystko.

Deckera nie będzie w komisariacie. Musi być zupełnie gdzie indziej.

Będę obecny podczas stawiania zarzutów.

Sebastian Leopold przybrał w myślach Deckera konkretną postać. Decker przeanalizował każdą sekundę ich rozmowy, każde słowo, każdą minę, każdy gest. Coś nie grało, ale nie potrafił tego sprecyzować, choć prawie nigdy nie nastęrczało mu to trudności. Niespójne fakty, z którymi nie wiadomo co zrobić, ponieważ w istocie są kłamstwami.

Jednak w wypadku Leopolda z jakiegoś powodu było inaczej. Budziło to niepokój, ale dawało też nadzieję. Jaka mogła być przyczyna tej nadziei? Samo istnienie Leopolda. Wcześniej Decker nie miał żadnego punktu zaczepienia. Teraz zaś osoba więźnia uchylała rąbka tajemnicy. A skoro tak, pozostawało odsłonić to, co kryło się pod spodem.

Wyszedł z biblioteki i ruszył w kierunku wyjścia.

Nadal padało. Właściwie deszcz przybrał jeszcze na sile. Samochody ze zwłokami zniknęły, a wraz z nimi stopniał zgromadzony wcześniej tłum. Zgasły światła telefonów. Przed szkołą piętrzył się stos kwiatów, odręcznie pisanych kartek, pluszowych misiów.

Nasiąkniętych od deszczu i rozmiękłych. Ale intencje były wciąż jasne. Wciąż przejmujące i silne.

Przeczytał kilka karteczek.

Pan Kramer. Niech spoczywa w spokoju.

Tęsknimy za tobą, Debbie.

Eddie, nigdy Cię nie zapomnimy.

Z bardzo prostego powodu miasto wiedziało, kim są ofiary, mimo że nie podano jeszcze oficjalnej listy nazwisk. Te osoby nie wróciły do domu.

Facet w kamuflażu już się o to postarał. Facet w kamuflażu, bez twarzy, z umiejętnością swobodnego przeskakiwania długich szkolnych korytarzy. Bo tak musiał się poruszać, by dostać się z punktu A do strefy śmierci, gdzie trafił na Debbie.

Decker wrócił na trybunę i usiadł pod okapem, by schronić się przed deszczem, choć i tak był już przemoczony niemal do suchej nitki.

Za kilka godzin Sebastian Leopold zostanie postawiony w stan oskarżenia. Decker miał zamiar przy tym być. Procedury, zwykle nudne, stanowiły rutynowe działania prawne. Decker chciał jednak osobiście usłyszeć pewną istotną informację.

Siedział na trybunie jeszcze przez kilka minut, a gdy trochę przestało padać, wstał i wrócił pieszo do Residence Inn. Zajęło mu to dobrą chwilę, ponieważ nie poruszał się tak żwawo jak dawniej. Zyskał dzięki temu czas do namysłu. Dotarł w sam raz na śniadanie. Spalaszował pół bufetu, uciął sobie godzinną drzemkę, wziął prysznic, uczesał się, włożył swój „strój prawnika” i pomaszerował do sądu, żeby usłyszeć, co dokładnie Sebastian Leopold odpowie na kluczowe pytanie, jakie zada mu dzisiaj sędzia.

17

W tego rodzaju okolicznościach gmach sądu zwykle pękałby w szwach. Potrójne zabójstwo i człowiek przyznający się do winy. Jeszcze dwa dni temu byłaby to wiadomość numer jeden w Burlington, a może i w całym stanie.

Ale po jatce w Mansfield sprawą nie interesował się nawet pies z kulawą nogą.

No, z wyjątkiem jednej osoby.

Decker znał zasady, zeznawał w sądzie mnóstwo razy, gdy oskarżano ludzi, do których ujęcia się przyczynił. Przeszedł kontrolę bezpieczeństwa, skinął głową kilku znajomym szeryfom i sprawdził wokandę wywieszoną na tablicy obok punktu informacyjnego. Następnie udał się pod salę sądową, gdzie za dwadzieścia minut Sebastian Leopold miał stanąć przed sądem po raz pierwszy od momentu oddania się w ręce policji.

Zamaszystym gestem Decker otworzył ciężkie dębowe drzwi i zajął miejsce w sporej sali. Prócz niego nie było tam nikogo. Ani strażnika, ani reportera sądowego, ani prawników. Prasa, jak przypuszczał, relacjonuje wydarzenia w Mansfield. Po części sam także wolałby znajdować się teraz w szkole. Ale

przede wszystkim pragnął być dokładnie tu, gdzie był.

Chwilę później do sali weszła prokurator, czterdziestokilkuletnia kobieta. Minęła Deckera i usiadła za stołem. Znał Sheilę Lynch, jednak prawniczka nie spojrzała na niego. Otworzyła teczkę, wyjęła dokumenty i zaczęła je przeglądać. Decker patrzył na jej kark, odsłonięty, ponieważ upięła włosy w ciasny, profesjonalny kok. Miała na sobie czarny kostium, nie pierwszej świeżości. Skóra z tyłu prawego buta była zadrapana, rajstopy odrobinę zmechacone w miejscu, gdzie pantofel tarł o cieniutki nylon.

Za pięć dziesiąta ponownie otworzyły się te same drzwi, przez które wchodził Decker. Obejrzał się za siebie. Lancaster pozdrowiła go oszczędnym gestem dłoni. Za nią kroczył kapitan Miller, tym razem w mundurze.

Usiedli po obu stronach Deckera.

– Chyba bujałam w obłokach, mówiąc, że spotkamy się w komisariacie. Przecież wiadomo było, że będziesz tutaj – odezwała się Lancaster.

– Dlaczego nie jesteś w Mansfield? – zapytał.

– Ja tam byłem – odpowiedział zamiast niej Miller. – Od wpół do siódmej rano. Później Lancaster wybiera się do szkoły, a ja pakuję swój tłusty tyłek za biurko i zajmuję się gównem, którym wcale nie mam ochoty się zajmować.

– To nie jest odpowiedź na pytanie, dlaczego tu jesteście – zauważył Decker.

– No nie, rzeczywiście.

Decker nie spuszczał wzroku z Millera.

– Nie mam przy sobie broni. Przeszedłem przez bramkę magnetyczną przy wejściu. Nie zastrzele go.

– Nie wątpił w to ani przez sekundę – odparł kapitan, wygładzając fałdkę na granatowym mundurze. – Ale to poważna sprawa i dlatego tu jesteśmy.

– Udało się wam dotrzeć do prawdziwej tożsamości Leopolda? Służył w marynarce?

– Sprawdziliśmy jego odciski palców w bazie danych FBI. Bez rezultatu.

– Powiedział mi, że był w marynarce. Miał tatuaż. Ale może chodziło o jakąś o b c a formację – zasugerował Decker.

– Obcokrajowiec? – zamyślił się Miller. – To może wiele wyjaśniać.

– Myślisz, że Sebastian Leopold to jego prawdziwe imię i nazwisko? – spytała Lancaster.

– Do tej pory tak nie sądziłem – odparł Decker. – Ale teraz nie jestem już taki pewien.

– Możemy poprosić FBI o międzynarodowe dochodzenie w tej sprawie – zaproponował Miller. – Mają dużo łatwiejszy dostęp do zagranicznych baz danych.

Wraz z wybiciem dziesiątej otworzyły się tylne drzwi prowadzące do gabinetu sędziego i w progu pojawił się woźny sądowy, korpulentny mężczyzna z podkręconymi wąsami. Nakazał wszystkim powstać z miejsc, co też cała czwórka

uczyniła. Decker usłyszał skrzypienie drzwi i odwrócił się, by zobaczyć młodą kobietę, która pospiesznie usiadła z tyłu. W jednej ręce trzymała notes, w drugiej malutki dyktafon.

Prasa. W liczbie aż jednej dziennikarki. Musi być całkowitą nowicjuską, pomyślał Decker. W przeciwnym razie przygotowywałaby relację z Mansfield. Sięgnął do ogromnej sterty informacji w swojej głowie i wydobył stamtąd nazwisko.

Alex Jamison.

Kobieta, która dzwoniła do niego w sprawie Leopolda. Pracuje dla „News Leader”. Rozłączył się, kiedy rozmawiał z nią przez telefon. Odwrócił się czym prędzej, żeby nie zdążyła zawiesić na nim spojrzania.

W tym właśnie momencie na salę sądową wkroczył odziany w czarną togę sędzieja Christian Abernathy. Nosił okulary, był stary i kruchy. Białe włosy, a raczej to, co z nich pozostało, wyrastały z jego głowy niczym spłowiałe nitki przyklejone do udającego skórę różowego papieru woskowanego. W policji robiono zakłady, ile jeszcze upłynie czasu, zanim Abernathy wykorkuje na sędziowskiej ławie i zwali się na marmurową posadzkę. Decker pamiętał, że ten człowiek nigdy nie ułatwiał policji uznania kogokolwiek za winnego, ale może tak właśnie powinno być, pomyślał.

Abernathy usiadł, za jego przykładem poszła reszta zebranych.

Otworzyły się drzwi z prawej strony. Za nimi znajdowała się cela dla zatrzymanych, Decker o tym wiedział.

Zza drzwi wyłonił się Sebastian Leopold w jaskrawopomarańczowym kombinezonie, ze skutymi rękami i nogami, w towarzystwie dwóch krzepkich mundurowych po obu stronach. Idąc, szurał nogami w kajdanach. Rozejrzał się po obszernej, wysoko sklepionej sali, jak gdyby nie był w pełni świadomy, gdzie się znajduje albo co tu robi.

Odprawiono go do ławy obrony, mimo że nie siedział na niej żaden obrońca.

Decker nachylił się do Millera.

– Obrońca z urzędu?

Miller pokręcił głową i odparł bezgłośnie:

– Widocznie nie. – Nie wydawał się z tego powodu zadowolony. Ani trochę.

Umundurowani policjanci rozkuli Leopolda i się odsunęli.

Woźny powstał, wziął do ręki rejestr spraw w toku, wywołał sprawę i odczytał stawiane Leopoldowi zarzuty. Wykonawszy swój obowiązek, cofnął się mechanicznie, niczym kukułka w zegarze powracająca do swojej kryjówki.

Abernathy poprawił okulary i spojrział z góry na prokuratorkę.

– Pani Lynch?

Lynch wstała, obciągnęła mankiety bluzki i przemówiła:

– Wysoki Sądzie, panu Leopoldowi zostaje postawiony zarzut potrójnego morderstwa pierwszego stopnia. Pan Leopold nie ma stałego adresu zamieszkania ani żadnych związków z lokalną społecznością. W świetle ciężących na nim poważnych zarzutów wnioskujemy o nieustanawianie kaucji i zatrzymanie go w więzieniu okręgowym aż do czasu procesu.

Tak, pomyślał Decker, tego należało się spodziewać. Nie mieli zamiaru go wypuszczać.

Abernathy odwrócił się do Leopolda i spojrzał na niego z wysokiej sędziowskiej ławy. Następnie przeniósł wzrok na prokuratorkę.

– Gdzie jest obrońca pana Leopolda, pani Lynch?

Prawniczka odchrząknęła i rzekła:

– Nie stać go na obrońcę, mianowano zatem obrońcę z urzędu, który miał go reprezentować. Jednak pan Leopold odmówił. Pragnę dodać, że wielokrotnie.

Sędzia ponownie przyjrzał się oskarżonemu.

– Panie Leopold, czy rozumie pan przeczytane mu zarzuty?

Leopold powiódł wzrokiem po sali, jak gdyby zastanawiał się, do kogo Abernathy kieruje te słowa.

– Panie Leopold, czy chce pan, by przydzielono panu obrońcę? – spytał sędzia ostrym tonem.

Mężczyzna zwrócił twarz ku sędziemu, pokręcił głową i powiedział:

– Nie mam pieniędzy.

– Dlatego zapewniamy obrońców z urzędu, panie Leopold – wyjaśnił gniewnie Abernathy. – Przysługują za darmo. Może pan podziękować za to Sądowi Najwyższemu i jego interpretacji konstytucji. Odroczę dzisiejsze posiedzenie do czasu zapewnienia...

– Zrobiłem to – przerwał sędziemu Leopold.

Abernathy spojrzał na niego tak, jakby był leżącym na chodniku, umiarkowanie interesującym robakiem.

– Słucham?

– Zrobiłem to, więc nie potrzeba mi prawnika.

– Czy chce pan przez to powiedzieć, że przyznaje się do popełnienia trzech zabójstw pierwszego stopnia?

– Zabiłem ich, a więc tak, chyba tak.

Abernathy poświęcił chwilę na wyczyszczenie okularów, jak gdyby ta czynność mogła rozjaśnić nieco sytuację. Osadziwszy je z powrotem na długim, krzywym nosie, oznajmił:

– To nie jest czas na żadne „chyba”, panie Leopold. To poważne zarzuty, najpoważniejsze z możliwych. Czy jest pan świadom, że naraża pan nie tylko swoją wolność, lecz także życie? Mamy do czynienia z przestępstwem zagrożonym karą śmierci.

– Ma pan na myśli wyrok śmierci?

Abernathy wyglądał, jakby był bliski udaru.

– Oczywiście, dokładnie to mam na myśli, panie Leopold!

– Przyznaję się, bo to zrobiłem. Więc chyba nie trzeba tu procesu.

Sędzia przeniósł wzrok na prokuratorkę i rzekł karcącym tonem:

– Pani Lynch, uważam to za karygodne.

– Panie sędzio, czyniliśmy, co w naszej mocy. Pan Leopold odrzucił wszystkie nasze usilne prośby o...

Abernathy spojrział ponad ramieniem Lynch i dostrzegł Millera. Wezwał go do siebie powolnym gestem.

– Cholera – mruknął Miller.

Wstał, przemaszerował przed Lancaster i Deckerem i szybkim krokiem podszedł wraz z Lynch do sędziego.

Decker obserwował, jak kapitan policji, prokuratorka i sędzia prowadzą ożywioną dyskusję. Mówił głównie Abernathy. Sprawiał wrażenie mocno wzburzonego, gestykulował, dwukrotnie wskazując na Leopolda.

Miller skinął głową i coś powiedział. Lynch zrobiła to samo, po czym oboje pospiesznie powrócili na swoje miejsca, wyraźnie poirytowani.

Kiedy Decker spojrział pytająco na Millera, kapitan pokręcił tylko głową i rzucił:

– Później.

Abernathy zaczął przemawiać do Leopolda:

– Nakazuję odprowadzić pana do celi. Zostanie mianowany obrońca z urzędu, który będzie pana reprezentować. Jutro rano ponownie stawi się pan przed tym sądem i wysłucha stawianych mu zarzutów. – Spojrział na Lynch. – Proszę o bezzwłoczną opinię biegłego psychiatry, pani Lynch. Czy to jasne? – Przynaknęła, unikając jego wzroku. – Proszę odprowadzić pozwanego.

Sędzia stuknął młotkiem. Natychmiast wystąpili naprzód dwaj mundurowi, założyli kajdanki zdeorientowanemu Leopoldowi i wyprowadzili go z sali.

Abernathy zwrócił się do woźnego:

– Proszę wywołać następną sprawę. Mam nadzieję, że tym razem na sali znajdzie się obrońca. – To powiedziawszy, posłał miazdzące spojrzenie najpierw Lynch, a w drugiej kolejności Millerowi.

Decker, Lancaster i Miller wstali i skierowali się do wyjścia, a do sali wprowadzono kolejnego więźnia na przesłuchanie.

Reporterka wyszła wcześniej.

W holu do Millera podeszła zagniewana Lynch.

– Mac, nie lubię, jak ktoś mnie tak objeżdża w sądzie.

– Nie mogliśmy go zmusić do wyrażenia zgody na obrońcę, Sheilo. Wiedziałaś o tym.

– Cóż, dostanie go, bez względu na swoje widzimi się. Choćby po to, żeby przyznać się do winy. – Rzuciła spojrzenie Lancaster, a potem Deckerowi. – Cześć, Amosie. Wcale mnie nie dziwi twoja obecność.

– No chyba – odparł Decker.

Lynch zwróciła się ponownie do Millera.

– Skoro Abernathy zażądał opinii biegłego psychiatry, nie jestem pewna, czy Leopold będzie mógł przyznać się do czegokolwiek, jeśli dostaniemy taką opinię, jakiej się spodziewam.

– Masz na myśli niepoczytalność – wtrąciła Lancaster.

– Widzieliście go. Uważacie, że ma równo pod sufitem?

– Może miał szesnaście miesięcy temu – zasugerował Decker.

– To bez znaczenia, jeśli w tej chwili jest niezdolny do odpowiadania przed sądem.

Odwróciła się i oddaliła w pośpiechu. Teczka z dokumentami objęła się jej o udo.

Decker zwrócił się do Millera.

– A więc?

– A więc oberwało się nam od Abernathy’ego. Był wkurzony, że Leopold nie ma obrońcy, i trudno mieć mu to za złe. Przepięstwo zagrożone karą śmierci, a na sali nie ma obrońcy? Wszelkie postanowienia na tym etapie zostałyby automatycznie unieważnione po apelacji. A Abernathy nie przepada za unieważnianiem swoich decyzji przez sąd apelacyjny. Dlatego się wściekł. Chyba myślał, że go wrabiamy. Tak jakby.

– No to dlaczego nie wyznaczono obrońcy z urzędu? – dociekał Decker.

– Bo, jak powiedziała Lynch, Leopold nie chciał. Nie współpracował ani trochę. W kółko powtarzał, że zabił, więc po co mu adwokat. Mieliśmy pełne ręce roboty w Mansfield, w przeciwnym razie inaczej byśmy się do tego zabrali. Generalnie zawaliliśmy sprawę.

Decker wsadził ręce do kieszeni i zwiesił głowę.

– Więc przydzielicie mu obrońcę, on znów stanie przed sądem, przyzna się do winy i co dalej?

– Miejmy nadzieję, że obrońca przekona go, by się nie przyznawał, bo tak będzie lepiej. Możemy porozmawiać o ugodzie i zobaczyć, co z tego wyniknie. Ale musimy także poczekać na opinię biegłego. Jeśli Leopold jest niepoczytalny, to znajdziemy się w klinczu.

– A jeżeli jest niewinny? – zapytał Decker.

– A ty tak uważasz?

– Widziałem go raz. Nie potrafię definitywnie stwierdzić.

– Tak czy siak, dzisiaj nic się nie wydarzy. Mamy czas. – Miller spojrzał na Lancaster. – Lepiej wracaj do Mansfield. Doszły mnie słuchy, że FBI wyłazi

ze skóry, by przejąć sprawę.

– Skoro tak, to czy w ogóle możemy ich powstrzymać? – zapytała Lancaster.

– Nie oddamy im tego walkowerem, Mary – oznajmił stanowczo Miller. Popatrzył na Deckera. – Będiesz w stanie nadal nam pomagać? Leopold nie ucieknie. A jeśli chodzi o tego kutasa z Mansfield, im dłużej wszystko się ciągnie, tym trudniej będzie nam go znaleźć.

Decker odwrócił wzrok. Odpowiedź powinna była przyjść z łatwością. Ale tak się nie stało.

Miller przyglądał mu się przez chwilę.

– W każdym razie daj znać.

Odwrócił się i odszedł, pozostawiając Deckera i Lancaster na korytarzu. W sędzie zaczynał wzmacniać się ruch, korytarze się zapełniały. Matki płaczące nad synami w opałach. Prawnicy w zwartych grupkach, jak kury na grzędzie. Wchodzący i wychodzący policjanci, ludzie kręcący się wokół tych, którzy byli w tarapatach, albo tych, którzy wkrótce się w nich znajdą.

– Skąd to wahanie? – spytała ostrym tonem Lancaster. – Wczoraj mówiłeś, że zabójcy nie ujdzie to płazem.

Decker nie odpowiedział od razu. Obserwował dziennikarkę stojącą przy wejściu do sądu. Wyraźnie na niego czekała.

– Amosie? – ponagliła Lancaster.

Zerknął na dawną koleżankę z zespołu.

– Będę później w szkole.

– Czy to oznacza, że nadal angażujesz się w sprawę?

– Będę później – powtórzył i cofnął się do tylnego wyjścia.

Reporterka dogoniła go w połowie drogi.

– Panie Decker! Panie Decker!

Początkowo Decker nie zamierzał się zatrzymywać, jednak wszystko wskazywało na to, że kobieta nie odpuści, wyjdzie z gmachu sądu, będzie szła za nim ulicą, a nawet pójdzie z nim na tamten świat, gdyby nie dało się inaczej. Przystanął zatem przy wyjściu i odwrócił się w jej stronę. Jego umysł automatycznie zebrał obserwacje i wyciągnął z nich rozmaite wnioski.

Dobiegała trzydziestki, była wysoką, ładną, szczupłą brunetką o włosach krótko przyciętych nad uszami. Nie miała przekłutych uszu i nie nosiła kolczyków. Dostrzegł wytatuowane litery na lewym nadgarstku, w miejscu, gdzie mankiet podsunął się do góry.

Iron Butterfly. No tak, po latach nieobecności wrócili na scenę.

Szaroniebieski kolor oczu gryzł się z odcieniem cery. Jamison miała ukruszony jeden ząb, zbyt wąskie i spierzchnięte usta, obgryzione do skóry paznokcie, złamany kiedyś palec wskazujący prawej ręki źle się zrósł i był lekko wygięty pośrodku. Nie pachniała ani perfumami, ani papierosami, ani alkoholem.

Ubrania nie należały do najnowszych, nie były też idealnie czyste, ale dobrze leżały na wysokiej, szczupłej figurze. Na wewnętrznej stronie środkowego palca prawej ręki widać było ciemną plamę w miejscu, gdzie trzyma się długopis. A więc dziennikarka nie tylko stuka w klawiaturę. Używa także tuszu.

Jej twarz emanowała cudownym entuzjazmem młodości, nieskażonym jeszcze przez życie. Ten wiek to przyjemny okres w życiu każdego człowieka. I potrzebny. Żeby przetrwać to, co przynoszą późniejsze lata.

Gdybyśmy wszyscy rodzili się cynikami, jakież gówniany byłby świat.

– Panie Decker? Alex Jamison z „News Leader”.

– Lubi pani *In-A-Gadda-Da-Vida*? To największy przebój Iron Butterfly. Trzydzieści milionów sprzedanych płyt i wciąż się sprzedają. Trafił na listę czterdziestu kawałków wszech czasów. – Decker wyczytał to wszystko trzy lata temu w magazynie „Rolling Stone”, kiedy w barze w centrum miasta jadł kanapkę z masłem orzechowym, popijając ją kawą. Był wtedy świadkiem na procesie szajki włamywaczy, których zapuszkowali razem z Lancaster. Notatka znajdowała się na czterdziestej drugiej stronie w prawym dolnym rogu. Widział przed oczami stronę magazynu oraz zamieszczone na niej zdjęcie tak wyraźnie, jakby oglądał telewizję HD. Początkowo pamięć absolutna przerażała go jak wszyscy diabli. Teraz wydawała mu się równie naturalna jak przełykanie.

Młoda kobieta wyglądała na zaskoczoną, póki nie zerknęła na tatuaż. Wtedy zwróciła się z uśmiechem do Deckera:

– Mama zaraziła mnie muzyką rockową. Kiedy kapela się reaktywowała, oszalałam na ich punkcie. Grali przecież z Jimmym Page’em i Zeppelinami. Chociaż spotkało ich niejedno nieszczęście.

Decker nie dodał już nic więcej, ponieważ reporterka nie przyszła rozmawiać o muzyce, a i on spieszył się gdzie indziej. Kobieta prawidłowo odczytała jego milczenie.

– Próbowałam się do pana dodzwonić. Nie przepadam za ściganiem ludzi po sądowych korytarzach – usprawiedliwiła się.

Decker patrzył na nią, nic nie mówiąc. Wokół toczyła się normalna praca sądu, ludzie uwijali się jak pszczoły w ulu, nie zważając na dwójkę intruzów w tym prawniczym bałaganie.

– Sebastian Leopold nie miał obrońcy.

– To prawda – potwierdził Decker. – Ale go dostanie.

– Co pan o tym wszystkim sądzi? – Podsunęła mu dyktafon. – Można?

– Nie mam nic do powiedzenia.

– Z pewnością przechodzi pan w tej chwili przez piekło. Nagle ten człowiek wyskakuje jak diabeł z pudełka i przyznaje się do zbrodni. Coś takiego musi zwałać z nóg.

– Mnie nie zwałiło – uciął Decker i odwrócił się do wyjścia.

– Przecież na pewno c o ś pan czuje. Jak to jest stanąć twarzą w twarz z Leopoldem? Wszystko musiało do pana powrócić.

Decker spojrzał jej prosto w oczy.

– Nic do mnie nie powróciło.

Wydawała się mocno zdumiona.

– Myślałam...

– Ponieważ nigdy nie odeszło. A teraz wzywają mnie obowiązki.

Wyszedł z gmachu sądu, ale Jamison nie ruszyła się z miejsca.

18

Opuściwszy sąd, Decker złapał autobus przy następnej przecznicy i wysiadł około pół mili od celu swojej podróży. Gdy wielkie stopy niosły go naprzód, niebieska barwa przybierała na intensywności, aż w końcu jakby zalała cały świat. Nawet słońce przeobraziło się w monstrualną jagodę, rozdętą do granic możliwości, gotową pęknąć lada chwila.

Deckerowi robiło się słabo, ale parł przed siebie, oddychając coraz ciężiej, a przy tym coraz bardziej zwalniając kroku. Stracił formę, lecz nie to było przyczyną. Przyczyna leżała nieco dalej.

Gdy skręcił za róg i ujrzał budynek, przystanął, ale tylko na moment. Jeśli teraz nie ruszy z miejsca, zrobi w tył zwrot i ucieknie. Dobrze o tym wiedział.

Dom nadal należał do banku. Nikt nie chciał się do niego wprowadzić pomimo obniżonej ceny. Cholera, prawdopodobnie nie mogli oddać go za bezcen. W Burlington stało wiele pustych domów. Ludzie raczej stąd wyjeżdżali, zamiast się tu przeprowadzać. Drzwi frontowe będą zamknięte na klucz. Wiedział o tym. Jednak drzwi prowadzące z wiaty samochodowej do kuchni zawsze dawały się łatwo wyważyć. Zastanawiał się, czy zabójca dostał się do środka właśnie tędy. Leopold twierdził, że tak, jeśli można dać mu wiarę.

Decker minął front domu i otworzył siatkową furtkę od podwórza. Pierwotnie niebieska barwa ograniczała się do ciał. Teraz niebieska była cała działka wraz z domem oraz wszystko w promieniu pół mili. Po raz pierwszy doświadczył tego przy trzecim powrocie do budynku i tak już było za każdym razem. Nie potrafił nikomu klarownie wyjaśnić, jakie to uczucie widzieć niebieską trawę, niebieskie drzewa, niebieski siding na budynku, który, jak wiadomo, pomalowany jest na żółto. Nawet błękitne niebo wyglądało jakoś inaczej, ponieważ wszystkie chmury także były niebieskie.

Wzrok Deckera padł na drzewo za domem i zawieszoną na nim huśtawkę. Decker sam ją zamontował, ponieważ Molly bardzo o to prosiła. Huśtał ją, kiedy była mała. Czasem siadały na niej razem i Molly, i Cassie. Niedroga rozrywka dla pary młodych ludzi z chudym portfelem.

Sznur przegnił, a długa deska, z której Decker wymodelował siedzisko, wypaczyła się i pękła. Bank zlecił komuś skoszenie trawy, ale trawnik porastały

chwasty.

Decker odwrócił się i popatrzył na tył domu. Drzwi prowadziły do małego pomieszczenia gospodarczego. Czy to właśnie tędy wszedł zabójca? Teraz Decker wyważył je bez trudu. Żaden z domowych zamków nie działał sprawnie, co po raz kolejny wzbudziło w nim ogromne poczucie winy. Co to za policjant, który nie potrafi zabezpieczyć własnego domu?

Zamknął za sobą drzwi i rozejrzał się po wnętrzu. Kilka schodków do kuchni. Tam jego szwagier pił przy stole piwo, póki ktoś nie poderznął mu gardła od ucha do ucha.

Decker wszedł po niebieskich stopniach i znalazł się w niebieskiej kuchni. Pokrywała ją gruba warstwa kurzu, na podłodze i blatach leżały martwe owady. Spojrzał na miejsce, w którym stał kiedyś stół kuchenny. To tam napadnięto Johnny'ego Sacksa.

Krew wytarto dawno temu, ale Decker pamiętał usytuowanie każdej kropli. Nie była czerwona, lecz niebieska, jak prześwitujące przez skórę żyły, tyle że tysiąc razy bardziej intensywna.

Przeszedł do kolejnego pomieszczenia i zaczął wspinać się po schodach. Tych samych, które przeskakiwał tamtego wieczoru po trzy naraz. Objając się o ściany, nie zważając, że może się na kogoś natknąć.

Z sypialni zniknęły materac i sprężyny. Dowody. Zostały zabezpieczone przez policję Burlington i są przechowywane w strzeżonym składzie dowodów. Być może pozostaną tam na zawsze.

Pomimo upływu czasu wyraźnie widział sterczącą nad łóżkiem bosą stopę. Podeszedł bliżej, opuścił wzrok i ujrzał leżącą na podłodze Cassie w kolorze neonowego błękitu. Jedynym obiektem innej barwy była pojedyncza rana postrzałowa na jej czole. Pomimo zaszłych w mózgu zmian widział tę ranę w jej rzeczywistym kolorze: czarną i pokrytą pęcherzykami. I to nigdy się nie zmieni.

Odwrócił się i wyszedł, ponieważ jego odporność zaczynała się wyczerpywać, a czekała go jeszcze wizyta w innych pomieszczeniach.

Otworzył drzwi łazienki i spojrzał na toaletę, gdzie posadzono jego córkę, bezlitośnie przywiązując ciało paskiem od szlafroka do rezerwuaru.

Leopold nie wyjaśnił tego czynu. Zrobił tak i już. Nie bardzo wiedział dlaczego. Czuł, że tak ma być. Przynajmniej tak powiedział. Człowiek, którego tożsamości nikt nie mógł zidentyfikować. Człowiek, który chciał przyznać się do winy i umrzeć.

Decker przeniósł wzrok na miejsce, gdzie siedział po turecku z lufą pistoletu w ustach, a potem przyciśniętą do skroni. Przed nim zamordowana córka. Pragnął pewnie, żeby śmierć ich połączyła. Jednak nie pociągnął za spust. Wpadli policjanci, rozpoznali go i odwieźli od tego zamiaru. Cud, że go nie zastrzelili. Może byłoby lepiej, gdyby to zrobili.

Wyszedł i ruszył korytarzem do następnych drzwi.

Pokój Molly. Decker był tu zaledwie kilka razy, od kiedy wysprzątał go po jej śmierci.

Dobiegający ze środka hałas kazał mu się zatrzymać. Decker zastygł z ręką wyciągniętą w stronę klamki. Rozejrzał się. Broń zostawił w wynajmowanym pokoju, ponieważ wiedział, że wybiera się do sądu. Nasłuchiwał. Po chwili się uspokoił. To nie był odgłos ludzkich kroków.

Truchcik, chrobot. Delikatny.

Otworzył drzwi i zdążył dostrzec szczura znikającego w dziurze wydrążonej w gipsowej płycie.

Pamiętał każdy mebel, położenie każdego pluszowego zwierzątka, miejsce każdej książki, jako że Molly pochłaniała je pasjami.

Decker miał już wejść do pokoju, lecz nagle stanął i zeszywniał. Dostrzegł coś, czego jego perfekcyjna pamięć nie zarejestrowała, i to nie bez powodu. Ponieważ ostatnim razem, kiedy Decker zaglądał do pokoju córki, tego tu nie było.

Wielkie czerwone litery na ścianie.

Jesteśmy do siebie tacy podobni, Amosie. Tacy podobni. Jak bracia. Masz brata? Jasne, że nie. Sprawdziłem. Masz siostry, ale nie brata. Mogę być twoim bratem? Teraz mamy już tylko siebie. Potrzebujemy się nawzajem.

Czytał tę wiadomość trzykrotnie. Chciał wniknąć w treść słów i odkryć autora. Lecz im dłużej wpatrywał się w napis, tym większy ogarniał go niepokój. Ten człowiek tu wrócił. Wrócił tu, by zostawić dla niego wiadomość na ścianie. Nie chodziło o jakąś zniewagę w 7-Eleven. Sprawa miała głęboko osobiste podłoże.

Jak głosił napis, Decker nie miał brata. Miał dwie siostry. Przeprowadziły się dawno temu. Jedna mieszkała w Kalifornii z mężem, zawodowym wojskowym, oraz czworgiem dzieci, druga – na Alasce, bezdzietna, ale doskonale prosperująca i korzystająca z życia u boku męża, wysoko postawionego szefa koncernu naftowego. Przyjechały na pogrzeb i wróciły do siebie. Od tamtej pory z nimi nie rozmawiał. Ze swojej winy. One podejmowały próby. Wielokrotnie. On je zbywał. Wielokrotnie.

Musiał się upewnić. Ktokolwiek zostawił tę wiadomość, odrobił zadanie domowe. *Siostry.*

Decker powoli wyciągnął z kieszeni telefon i wysłał wiadomość do każdej z sióstr. Czekał, czekał i czekał. I wreszcie usłyszał piknięcie. Siostra z Kalifornii miewała się dobrze i ucieszyła się, że dał znak życia.

Dwie minuty później wciąż tkwił w tym samym miejscu. Na Alasce była wcześniejsza godzina. Może siostra jeszcze nie wstała...

Kolejne piknięcie. Odezwała się siostra z Fairbanks. U niej w porządku. Niech do niej zadzwoni w wolnej chwili.

Wybrał kolejny numer i czekał na zgłoszenie się rozmówcy.

– Lancaster – odezwał się głos.

– Mary, musisz coś zobaczyć. I to zaraz – powiedział.

19

Przybyła Lancaster. Po niej kapitan Miller. Później policjanci w mundurach. I technicy śledczy z torbami pełnymi rozmaitych przyrządów. Tak jak wtedy, tyle że teraz nie siedział ze wzrokiem utkwionym w martwej córce i przyłożonym do skroni pistoletem.

Wiadomość napisano czerwonym markerem. Tusz zasechł niemal natychmiast i nie dało się określić, od jak dawna napis znajduje się na ścianie. Dlatego Leopold nie był wolny od podejrzeń. Zamknięto go dopiero poprzedniego dnia wcześniej rano.

Miller zachodził w głowę, skąd zabójca wiedział, że Decker tu wróci, wejdzie do pokoju i przeczyta wiadomość.

– Bywałem tu wcześniej – przyznał Decker.

– I za każdym razem wchodziłeś do środka – dodała Lancaster.

– Nie, nie za każdym razem. Nie byłem w stanie...

– Kiedy wchodziłeś do tego pokoju po raz ostatni? – zapytała.

– Cztery tygodnie i trzy dni temu, mniej więcej o tej porze.

– Mamy więc przynajmniej przedział czasowy, który trzeba rozpracować – zauważyła.

– Może cię śledzi i wie, że tu przychodzisz – rzekł Miller. – Dlatego zostawił ten napis.

– Można popytać w sąsiedztwie, sprawdzić, czy ktoś coś widział – zasugerowała Lancaster.

– Jakoś nie zauważyli zabójcy trzech osób. Niby dlaczego mieliby zauważyć człowieka, który to napisał – zaproponował Decker.

– Mimo wszystko – odparł Miller. – Przeprowadzimy rekonesans.

– Bracia... – powiedziała zaintrygowana Lancaster, gdy policyjny fotograf robił zdjęcia ściany. – Może nie zaszkodziłoby wezwać psychiatrę, żeby zanalizował, co się dzieje w głowie tego typu.

– Myślisz, że to dzieło Leopolda? – zapytał Miller. Stał ze wzrokiem utkwionym w napisie, jak przed fragmentem inskrypcji na wrotach piekieł.

Decker milczał, ponieważ nie miał nic do powiedzenia. W jego wyobraźni słowa przybrały barwę płomiennej czerwieni, a więc nie tak znów odległą od piekieł. Ten, kto to napisał, albo mówił wprost, choć w obłąkańczy sposób, albo bawił się z nim w ciuciubabkę. Decker odwrócił się i wyszedł, ignorując wołanie Lancaster.

Nie widział, jak Miller chwyta Lancaster za ramię. Nie słyszał, jak jego dawny kapitan prosi, żeby zostawiła Deckera w spokoju. Nie słyszał riposty

koleżanki ani ostrzejszej prośby Millera, po której padł bezpośredni rozkaz pozostania na miejscu.

Oboje patrzyli z okna, jak Decker zmierza dokądś zamaszystym krokiem, wyraźnie powziąwszy jakiś zamiar. Wkrótce skręcił za róg i zniknął im z oczu.

Nie zatrzymał się ani na chwilę, póki nie dotarł do 7-Eleven na rogu DeSalle i Czternastej. Tym samym po raz pierwszy w życiu przebył tę trasę bez samochodu.

Przed sklepem nie parkowały żadne auta. Otworzył drzwi, usłyszał brzęk dzwonka i pozwolił drzwiom swobodnie się zamknąć.

Za kontuarem stała kobieta. Była niska, ale wydawała się wyższa, ponieważ stała na podeście. Miała proste, ciemne, opadające na ramiona włosy. Wyglądała na Latynoskę. Była ubrana w beżową bluzkę z długimi rękawami, z jednej strony wystawało ramiączko biustonosza. Zbliżała się do pięćdziesiątki, oczy zaczynały głębiej zapadać się w twarzy, niczym dwie wysychające sadzawki. Na lewym policzku zwracał uwagę duży ciemny pieprzyk. Leżało przed nią kilka kartek papieru, z którymi coś sprawdzała, a następnie przeliczała paczki papierosów umieszczone w przegródkach nad głową.

Ze sklepowej alejki wyłonił się mężczyzna. Trzymał w ręku mop, którym popychał wiaderko z wodą z detergentem. Decker zmierzył go wzrokiem, wyszkolone oko policjanta natychmiast wyłowiło kilka istotnych cech. Biały, dobrze po trzydziestce, sześć stóp bez dwóch cali wzrostu, bardzo szczupły i żyłasty, wąski w ramionach. Koszula z krótkimi rękawami odsłaniała wypukłe żyły na rękach. Miał brązowe kręcone włosy, które przypominały obierki jabłka.

Kobieta popatrzyła na stojącego tuż przy drzwiach Deckera.

– Czym mogę służyć? – zapytała. Mówiła bez obcego akcentu.

Zbliżył się i wyjął z kieszeni telefon. Przycisnął kilka guzików i podsunął sprzedawczyni aparat.

– Widziała pani kiedyś tego człowieka?

Spojrzała na zdjęcie Sebastiana Leopolda.

– Co to za jeden? – spytała.

– Facet, który tu pracował albo przynajmniej bywał.

Pokręciła głową.

– Nie przypominam sobie, żebym go widziała. Dlaczego pan pyta?

Decker wydobył legitymację detektywa i machnął nią kobiecie przed nosem.

– Poszukuję go. Wygląda na to, że jest komuś winien trochę pieniędzy. Dostałem informacje, które mnie tu sprowadziły. A pani kolega?

Zerknął na mężczyznę, który opierał się o kij od mopa i patrzył na Deckera z lekkim zdziwieniem.

– Billy, rzucisz okiem na to zdjęcie? – zawołała kobieta.

Mężczyzna zostawił mop i wiadro przy półce z batonami, wytarł ręce w sprane dzinsy i powlókł się do lady. Wydawał się zadowolony, że ma wymówkę

i może przerwać mycie linoleum. Obejrzał fotografię i potrząsnął głową.

– Nie. Nie wygląda mi znajomo. Dziwny facet. Jakby naćpany.

Decker opuścił telefon.

– Od jak dawna tu pracujecie?

– Ja prawie od pół roku – wyjaśniła kobieta. – Billy jest tu raptem od kilku tygodni.

Decker kiwnął głową. *Za krótko.*

– A osoby, które pracowały tu przed wami?

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Jedna kobieta, paru mężczyzn. Rotacja jest spora. Kiepsko płacą. A pracuje się długie godziny. Nie byłoby mnie w tej dziurze, gdyby udało mi się znaleźć coś lepszego. Ale rynek pracy kuleje – dodała otwarcie.

Decker spojrzał na Billy'ego.

– A pan?

Mężczyzna wyszczerzył zęby.

– Ja tam nic nie wiem o tym sklepie. Biorę wypłatę i tyle. Drobne na rozrywkę w weekendy. Żeby zabawić się z damami. To kosztuje.

Wrócił do mycia podłogi.

– Przykro mi, że nie możemy pomóc – powiedziała kobieta.

– Zdarza się – odparł Decker. – Dziękuję.

Odwrócił się i wyszedł.

Zabrzączał telefon. Decker rzucił okiem. Lancaster. Nie odebrał.

Telefon zadzwonił ponownie. Kolejny rzut oka. Znowu Lancaster. Decker westchnął i wcisnął guzik.

– Tak?

– Amos?

Natychmiast zdrętwiał. Głos Lancaster brzmiał niemal histerycznie. A ona nie była typem skłonny do hysterii.

– Mary, co się stało? Chyba nie kolejna strzelanina? – Decker obawiał się tego od początku. Okoliczności ataku w Mansfield skłaniały go do myślenia, że ten facet...

– Nie – wysapała. – Ale mamy coś... coś...

– Gdzie jesteś? – przerwał.

– W Mansfield.

– A więc ma to związek z Mansfield? Znaleźliście...

– Amosie! – krzyknęła piskliwym głosem. – Daj mi skończyć!

Decker umilkł i czekał. Miał wrażenie, że niemal słyszy bicie jej serca w cyfrowym eterze.

– Mamy analizę balistyczną broni użytej w Mansfield.

– I co takiego...

Przerwała mu:

– I mamy odpowiednik.

Zacisnął dłoń na telefonie.

– To znaczy?

– Z tego samego pistoletu zastrzelono twoją żonę.

20

Czterdziestka piątka.

Nabój półpłaszczowy. Z wgłębieniem wierzchołkowym.

PWW według skrótu zastosowanego przez speców od balistyki.

Brutalnie skuteczna amunicja. Niezupełnie taka jak pociski dum-dum, nazwane tak od miejscowości Dum Dum w Indiach, gdzie brytyjski oficer wymyślił pocisk, który po trafieniu w ofiarę rozszerzał się i działał wewnątrz ciała jak miniaturowa kula krusząca.

Innowacje nie zawsze służą człowiekowi.

Czterdziestka piątka wyrwała dziurę w czaszce Cassie Decker i utkwiła głęboko w mózgu ofiary. Pocisk wyjęto podczas sekcji zwłok i zabezpieczono jako dowód rzeczowy w śledztwie. Jego kształt, żłobienia i rowki zachowały się wystarczająco dobrze, by pewnego dnia mogły zostać dopasowane do broni, z której go wystrzelono. Broni, co prawda, nie mieli, dysponowali za to czymś innym.

Wiedzieli, że dokładnie ten sam pistolet, z którego zabito Cassie Decker, położył także kres życiu połowy ofiar w Mansfield. Druga połowa zmierzyła się z nagą siłą strzelby. Lekarz medycyny sądowej usunął pocisk z ciała nauczyciela wuefu, Kramera, i zgodnie z przyjętymi zasadami postępowania przeszukał policyjne bazy danych. Wynik wyświetlił się natychmiast.

Ze względu na wagę uzyskanej informacji FBI przeprowadziło własne badania pocisku i doszło do takich samych konkluzji.

Ta sama broń. Balistyka nie kłamie. Wyżłobienia i rowki na pocisku zgadzały się co do joty, pasowały jak odciski palców. Mało tego. Policja odzyskała pojedynczą łuskę z sypialni Deckera i porównała z kilkoma łuskami znalezionymi w szkole. Perforacja na denku łuski, gdzie uderza iglica, jest prawie jak linie papilarne. I tu także odnotowano zgodność wszystkich istotnych cech.

Zabójstwa w domu Deckera oraz masakra w Mansfield były nierozzerwalnie ze sobą powiązane.

Decker skulił się w płaszczu, stojąc przed pociemniałą fasadą szkoły, wystawiony na zacinający deszcz, który kapał z jego włosów i krzepkich ramion. Sprawa ze szkoły Mansfield rozprzestrzeniła się, sięgając jego domu przy cichej uliczce, choć te dwa miejsca dzielił symboliczny ocean. Dotychczas nie przyszło mu do głowy, że te dwie zbrodnie mogą być powiązane ze sobą. Teraz ten fakt zdominował jego myśli.

Niewykluczone, że zabójców było dwóch. Od czasu morderstwa w jego domu pistolet mógł zostać zgubiony, sprzedany albo odebrany sprawcy. Często się zdarzało, że tą samą bronią posługiwali się różni sprawcy w różnych zbrodniach. Jednak Decker uważał, że tym razem była to ta sama osoba. A jeśli tak, udział Leopolda należało wykluczyć. Zatem Leopold kłamie. Możliwe jednak, że prawdziwy zbrodniarz wtajemniczył go w szczegóły sprawy Deckera. W takim wypadku Leopold był jedyną nadzieją Deckera na dotarcie do człowieka, który zamordował mu rodzinę. Oraz wszystkich pozostałych.

Pomijając świeży napis na ścianie sypialni, sprawa zabójstwa rodziny Deckera utknęła w martwym punkcie. Przeciwnie rzecz się miała z jatką w Mansfield – tu wciąż było gorąco. Dlatego postanowił skupić się na Mansfield – oraz na Sebastianie Leopoldzie. Jeśli Leopold wie, kto zabił rodzinę Deckera, to wie również, kto stoi za masakrą w szkole.

Mignął legitymacją pilnującym wejścia strażnikom i wszedł do środka. Poprzedni dzień był chaotyczny i zagmatwany pod każdym względem. Decker nie wiedział, czy się odnajdzie w tej sytuacji. Czuł się odseparowany od wszystkich i wszystkiego wokół. Skoro jednak pojawił się możliwy związek z morderstwem w jego domu, zrozumiał, że jest na właściwym miejscu. Będzie pracował nad tą sprawą do samego końca. I nie odciągną go od niej wołami.

Nie udał się do centrum dowodzenia w bibliotece. Poszedł do stołówek i przyglądał się chłodni. Następnie płytkom na suficie.

Nitka ze stroju kamuflującego, ewentualnie smar z broni. A może to wszystko jest nic niewarte. Być może.

Rzucił okiem na drzwi wyjściowe. To też fałszywy trop, przynajmniej tak uważał w tej chwili.

Opuścił stołówkę, ruszył korytarzem wzdłuż biblioteki, skręcił w prawo w główny korytarz przecinający parter budynku na pół i liczył kroki, kierując się na tył gmachu szkoły.

W miejscach przecięcia korytarzy uważnie lustrował układ pomieszczeń, najpierw po lewej, następnie po prawej stronie. Sale lekcyjne na lewo i prawo. Ostatni korytarz to ten, w którym zginęła Debbie Watson. I gdzie na lewo od niej kula dosięgła przy śniadaniu Kramera, nauczyciela wuefu. Decker widział przed sobą kamerę zainstalowaną przy tylnym wejściu. Kąt jej ustawienia nie przestawał go intrygować. Zrobiono to celowo. A za celowym działaniem zawsze stał konkretny motyw.

Wzrok Deckera padł z kolei na salę lekcyjną znajdującą się na prawo od miejsca zgonu Debbie. Na szybie wymalowano od szablonu napis „SALA 141”.

Nacisnął klamkę, ale drzwi były zamknięte na klucz. Wyjął z kieszeni komplet wytrychów i otworzył zamek. Przesząpił próg i zapalił światło. Był zaskoczony, ponieważ znalazł się w sali zajęć praktyczno-technicznych. W czasach

kiedy sam uczęszczał tu do szkoły, odbywały się lekcje z tego przedmiotu. Ale sądził, że odeszły już w przeszłość. Rozejrzył się po stanowiskach pracy, stołach z piłami tarczowymi, wiertarkach, heblarkach, kubełkach z narzędziami, imadłach zaciśniętych na drewnie, półkach ściennych, na których przechowywano metalowe rurki, śruby, nakrętki, kawałki drewna, różne narzędzia elektryczne, przedłużacze, reflektorki – niemal wszystko, co potrzebne, żeby coś skonstruować. W głębi pomieszczenia było troje drzwi. Otworzył dwoje z nich. Magazyny. Ujrzał stopy czegoś, co wyglądało jak pozostałości po starych szkolnych projektach: zbieranina niedokończonych mebli, metal powyginany w rozmaite kształty, druciane klatki, fragment przekroju dachu, koziółki do piłowania drewna, arkusze sklejk, stopy desek, mnóstwo kurzu i nic poza tym.

Ostatnie drzwi nie chciały ustąpić. Ponownie wyjął zestaw wytrychów i je otworzył. Zajrzał do środka. W kącie w głębi stał stary kocioł, niepodłączony. Na podłodze pod ścianą piętrzyła się wysoka na mniej więcej dziesięć stóp sterta okiennych klimatyzatorów.

I znów jedno wielkie nic. Zamknął drzwi, przeszedł przez klasę, zgasił światło i zatrzasnął za sobą drzwi od sali. Dalej znajdowała się sala 144, ta sama, z której wyszła Debbie, zanim ją zastrzelono.

Decker spojrzał w stronę otwartej szafki przy ścianie. Szafka należała do Debbie. Dziewczyna stała przy niej, gdy dosięgnął ją pocisk. Pewnie wyjmowała coś, co chciała wziąć ze sobą do gabinetu pielęgniarki. Może dlatego poszła okrężną drogą. Albo i nie. Nastolatki bywają nieprzewidywalne. Potrafią ledwo trzymać się na nogach, a mimo to zatrzymać się przy szafce, żeby poszukać na przykład gumy do żucia. Albo sprawdzić w lusterku, czy nie wyskoczył im pryszcz na twarzy. Takie lusterko wisiało na drzwiczkach szafki Debbie. Decker zauważył tubkę kremu na wypryski stojącą na półeczce obok otwartej paczuski odświeżających oddech miętówek.

Bryzgi krwi wskazywały, że dziewczyna stała przed szafką w chwili, gdy do niej strzelano. Musiała odwrócić się przodem do napastnika, ponieważ kula zmasakrowała jej twarz.

Zginęła o ósmej czterdzieści dwie.

Decker doszedł do wniosku, że Watson rzeczywiście była pierwszą ofiarą. Skłoniło go to do zastanowienia, co zabójca robił pomiędzy siódmą dwadzieścia osiem, kiedy to Melissa Dalton usłyszała świst w korytarzu od frontu, a pozbawieniem Debbie twarzy w korytarzu po przeciwnej stronie budynku godzinę i czternaście minut później.

Zamknął oczy i zaczął analizować.

Przejdźcie sześćdziesięciu czterech kroków od frontu do tyłu zajęło mi niecałe dwie minuty. Zabójca pojawił się na nagraniu z kamery o ósmej czterdzieści jeden. Ale kiedy wyszedł ze stolówki? Nie ma możliwości stwierdzenia tego ponad wszelką

wątpliwość. A najistotniejsze pytanie brzmi: jak przemierzył całą drogę od frontu do tyłu zupełnie niewidziany? Jeśli znajdę odpowiedź na to pytanie, odpowiem też na wszystkie inne. Jeżeli nie znajdę, sprawa utknie w miejscu.

Co najmniej sześć stóp i dwa cale wzrostu, umięśnione, szerokie bary, ponad dwieście funtów wagi. Decker obejrzał nagranie i nie kwestionował tych szacunków. Tymczasem w szkole nie było mężczyzny o takiej wadze i wzroście, poza nieżyjącymi wuefistą oraz wicedyrektorem czy garstką szkolnych futbolistów, cisnących się w klasach i mających tysiące alibi. Zresztą dwóch zawodników o podobnych rozmiarach zginęło podczas strzelaniny.

Facet zjawił się znikąd, pozabijał ludzi, po czym ulotnił się jak kamfora. Ponieważ nie było to możliwe, Decker musiał popełnić w myśleniu jakiś błąd.

Wszedł do sali 144 i usiadł przy biurku nauczyciela. Zlustrował wzrokiem całe pomieszczenie. Dwadzieścia jeden pustych krzeseł ustawionych w trzech rzędach. Jedno z nich zajmowała Debbie Watson. Ostatnie chwile jej życia nie budziły żadnych wątpliwości: bolący brzuch, zgoda na pójście do szkolnej pielęgniarki, zawrócenie do szafki. Kilka minut później już nie żyła.

Siedziała na czwartym krześle w trzecim rzędzie. Wyobraził sobie, jak dziewczyna podnosi rękę, jak widać objawy złego samopoczucia, jak dostaje zgodę na opuszczenie klasy, wychodzi za drzwi i już nigdy nie wraca.

Wstał, wyszedł, przystanął i się odwrócił. Miał przed sobą otwartą szafkę Debbie. Lusterko w środku pokazało jego odbicie. Z jakiegoś powodu Decker nie rozpoznał swojego wizerunku. Tego wielkiego, grubego, brodatego kolesia, przemoczonego do suchej nitki, wyglądającego jak siedem nieszczęść.

Zajrzał w głąb szafki Debbie i coś jeszcze zwróciło jego uwagę. Stos podręczników i zeszytów.

Ponownie rzucił okiem na salę 144, a następnie na szafkę.

W życiu zdarzają się zbiegi okoliczności. Nie brakuje dziwnych trafów. W niewłaściwym miejscu, w niewłaściwym czasie. A wszystko dlatego, że siedem miliardów ludzi rozpycha się nawzajem na ograniczonym obszarze jednej planety.

Natomiast w policji obowiązywała niepisana zasada: zbiegi okoliczności nie istnieją. Wystarczy bardziej wnikliwe śledztwo, by wykazać, że nie ma zbiegów okoliczności.

Zatelefonował do Lancaster. Była w bibliotece.

– Rozmawiałaś z rodzicami Debbie Watson?

– Tak.

– Napomknęli, że źle się czuła, idąc do szkoły?

– Nie. Pytałam o to jej mamę. Powiedziała, że córka wyglądała raczej na zdrową. Może to jakiś zjadliwy, błyskawicznie atakujący wirus.

– A co na to nauczycielka? Kiedy Watson zapytała, czy może wyjść?

Decker słyszał, jak policjantka kartkuje notes.

– Twierdziła, że Debbie wyglądała normalnie, ale potem podniosła rękę, powiedziała, że jest jej niedobrze, i poprosiła o pozwolenie na wyjście z sali.

– Wypisała zgodę czy...

– Mają gotowe druczki. Nauczycielka wstawiła tylko nazwisko Debbie i wręczyła dziewczynie kartkę.

– Więc od zgłoszenia niedyspozycji do wyjścia Debbie z sali minęło zaledwie trzydzieści sekund?

– Mniej więcej.

– O której opuściła klasę?

– Zdaniem nauczycielki jakieś kilka minut przed całym zajściem. Może pięć minut przed hukem wystrzału.

– Duża luka w czasie. Szafka dziewczyny znajduje się kilka kroków od sali lekcyjnej. Przemaszerowanie przez całą szkołę od frontu do tyłu zajęło mi niespełna dwie minuty.

– Może się ociągała. Chciało się jej wymiotować i próbowała powstrzymać odruch. Słuchaj, dlaczego...

– Później wyjaśnię. Może to nic takiego.

Decker kliknął w telefon i schował aparat. Zaświtała mu w głowie pewna wyjątkowo radykalna myśl, która mogłaby potencjalnie zdruzgotać pewne osoby. Nie przychodziło mu to łatwo. Pragnął jedynie dotrzeć do prawdy. Dla prawdy gotów był posunąć się do wszystkiego. Potrzebował jednak jakiegoś konkretnego, żeby ruszyć z miejsca.

Przeznaczenie czyhało na Debbie za tymi drzwiami o ósmej czterdzieści dwie. Po tej godzinie już jej nie było, jej życie zostało przerwane. Jak wyglądał przebieg wydarzeń? Debbie podnosi rękę, dostaje zgodę na opuszczenie sali. Wychodzi z klasy, ale nie idzie od razu do gabinetu pielęgniarki. Podchodzi do szafki i ją otwiera. Mija kolejna minuta. Lancaster powiedziała jednak, że zdaniem nauczycielki minęło kilka minut, może nawet pięć. Co Debbie robiła przez ten czas? Może zwlekała z pójściem do pielęgniarki albo próbowała opanować odruch wymiotny, jak sugerowała Lancaster. A może chodziło o coś innego.

Ponownie zlustrował zawartość szafki.

Zakrwawiony zeszyt oraz inne przedmioty leżące na podłodze obok ciała Watson zostały zabrane przez policję wraz ze zwłokami. Ale rzeczy z szafki nie ruszono. Nadal tam były. I to w zupełnie przyzwoitym stanie, ponieważ ciało dziewczyny posłużyło za tarczę osłaniającą szafkę przed kulą.

Decker zgarnął zawartość półek, udał się z powrotem do sali 144 i usiadł. Otworzył pierwszą książkę i wertował strona po stronie. Przekartkował wszystkie podręczniki, szukając marginaliów, notatek, rysunków, czegokolwiek.

Przerzucił kartki trzech zeszytów w linie, dotarł do dziewiętnastej strony

czwartego i się zatrzymał.

Debbie narysowała tam obrazek. Całkiem dobry, prawdę mówiąc. Dziewczyna miała talent.

Ale Decker skupił się przede wszystkim na przedmiocie tego rysunku.

Przedstawiał mężczyznę w pełnym kamuflażu.

Oraz wielkie serce narysowane tuż obok.

Decker wziął prysznic, zmienił ubranie, starannie się uczesał i przybrał bardzo profesjonalny wyraz twarzy. Uważał, że siedzący naprzeciwko niego ludzie zasługują co najmniej na tyle.

Rodzice Debbie Watson wpatrywali się w Deckera. Ojciec dziewczyny był drobnym, wystraszonym, czterdziestopięcioletnim mężczyzną ze skąpym wąsikiem nad wąskimi ustami. Miał zdeformowane prawe ramię, zniekształcona ręka zwisała od łokcia.

Wyglądał jak człowiek na torach, którego zaraz rozjedzie pociąg towarowy.

Mama Debbie paliła papierosa za papierosem. Ze stojącej przed nią popielniczki wysypywały się niedopałki. Zdolność nikotyny do ograbiania krwi z tlenu przedwcześnie wyżłobiła drobne zmarszczki wokół ust oraz niekorzystnie wyostrzyła rysy twarzy, która prawdopodobnie nie należała do urodziwych nawet w młodości. Kobieta miała żylaste przedramiona, ciemnawe, z przebarwieniami, prawdopodobnie od zbyt długiego wylegiwania się latem na hamaku, który rozciągnięto między dwoma drzewami w małym ogródku z boku budynku. W przeciwieństwie do męża nie miała takiej miny osoby, która widzi zbliżający się niebezpiecznie pociąg towarowy. Wyglądała za to, jakby ktoś wyssał z niej duszę. Zapach alkoholu bez trudu docierał na drugą stronę porysowanego blatu stolika kawowego, który stał pomiędzy nimi.

Lancaster przycupnęła na kanapie po prawej stronie Deckera, niczym kot na gzymsie. Twarz miała spiętą, poważną i ściągniętą od chwili, kiedy Decker pokazał jej w zeszytach Debbie rysunek człowieka w maskującym stroju. Od czasu do czasu zerknęła pożądliwie na papierosa Beth, jakby czekając na zaproszenie do wyciągnięcia własnej paczki fajek.

Nie pokazali tego rysunku ani agentom FBI, ani nikomu innemu. Postanowili na razie zachować go dla siebie. Decker uznał – a Lancaster przyznała mu rację – że zanim podadzą cokolwiek do publicznej wiadomości, muszą porozmawiać z rodzicami. Jeśli rysunek nie ma związku z zabójstwami, nie chcą przysparzać rodzinie Debbie niepotrzebnych cierpień. W świecie wiadomości podawanych dwadzieścia cztery godziny na dobę rodzinę Watsonów odsądzone by od czci i wiary do tego stopnia, że bez względu na to, jakie ujawniono by później fakty uniewinniające, prawda już nigdy nie przebiłaby się przez wcześniejszy zalew newsów.

Decker poprzedził pytania wieloma sprostowaniami. Czekał, aż Watsonowie będą w pełni przygotowani na pokazanie im rysunku. Gdy ich wzrok padł na obrazek, oboje się wzdrgnęli, a następnie stężeli jak rażeni piorunem.

Decker widział kontury ich sylwetek na kremowo. Śmierć miała barwę niebieską, natomiast biel oznaczała rozpacz. Gdy w rok po utracie rodziny spoglądał na swoje odbicie w lustrze, doszedł do wniosku, że jest najbliżej

człowiekiem na świecie.

– Czy są państwo w stanie domyślić się powodu, dla którego Debbie narysowała coś takiego? – zapytał cichym głosem. Wskazał najpierw zamaskowanego mężczyznę, a następnie serce. – Spotykała się z kimś? – dodał. Serce wskazywało, że nie należało wykluczać takiej możliwości. Nawet w dwudziestym pierwszym wieku serce narysowane przez młodą kobietę obok wizerunku mężczyzny prawdopodobnie oznaczało dokładnie to samo, co od zarania.

George Watson pokręcił głową, wąsy drżały mu podobnie jak reszta ciała. Zdeformowane ramię zwisało wzdłuż tułowia. Decker zastanawiał się, ile drwin mężczyzna musiał znieść w swoim życiu z powodu tego kalectwa. Ta anatomiczna nieprawidłowość prawdopodobnie ukształtowała go takim, jakim był, nie dlatego, że taka jest naturalna kolej rzeczy, lecz dlatego, że czasem świat i zasiedlający go ludzie potrafią wykazywać się wyjątkowym okrucieństwem.

Beth Watson nie pokręciła głową. Nieznacznie nią skinęła, a wtedy i Decker, i Lancaster natychmiast skupili na kobiecie całą uwagę.

– Z kim? – zapytała Lancaster.

– Nie wiem – odparła z wahaniem Beth. – To znaczy Debbie nigdy nie przyprawiała do domu nikogo obcego.

– Interesuje nas k a ż d a osoba, która odwiedzała ją w domu – zaznaczył Decker.

– Przychodzili chłopcy. Mówiliście, że ten człowiek był duży. W gazetach pisali, że miał sześć stóp i dwa cale i z dwieście funtów wagi, albo i więcej. Debbie nigdy nie przedstawiła nam nikogo, kto byłby wyższy od jej ojca.

George odchrząknął i rzekł z żalem:

– A ja nie dorosłem nawet do pięciu stóp i ośmiu cali. Pierwszy skok pokwitaniowy przeżyłem w dziesiątej klasie, a drugi jakoś nie nastąpił.

Nagle zamilkł z zakłopotaną miną, odrobinę przerażony, że pozwolił sobie na taki trywializm w obliczu wielkiej tragedii.

– Wyłącznie koledzy ze szkoły – wyjaśniła Beth. – Zresztą jeden z nich także nie żyje. Tak jak moja biedna Debbie.

– Który? – spytała Lancaster, trzymając w pogotowiu długopis i notes.

– Jimmy Schikel. Miły chłopak, grał w drużynie futbolowej. Bardzo popularny w szkole. Zналиśmy go od lat. Debbie i Jimmy chodzili razem do szkoły podstawowej. Zaprosił Debbie na bal na zakończenie szkoły, kumpłowali się, nic więcej. – Pochyliła głowę i dodała: – Nie wyobrażacie sobie, jak to jest stracić dziecko. – Sięgnęła po leżący na stoliku papierowy ręcznik i otarła nim oczy, mąż zaś niezdarne pogłaskał ją po ramieniu.

Po tych słowach Lancaster rzuciła Deckerowi krótkie spojrzenie, ale go nie odwzajemnił. Nie spuszczał wzroku z Beth. Doskonale wiedział, jak to jest stracić

dziecko. W obecnych okolicznościach ten fakt nie miał najmniejszego znaczenia. Pomimo łączącego ich z pozoru doświadczenia straty nie mogło być mowy o współczuciu, ponieważ każdy rodzic przeżywał to piekło na swój własny, jedyny w swoim rodzaju sposób.

– Ale był ktoś jeszcze? – podpowiadał Decker. – Ktoś, kogo pani nie znała i kogo Debbie nie przyprowadziła do domu? To chce nam pani powiedzieć, prawda?

Beth zgniotła papierowy ręcznik w kulkę i cisnęła go na podłogę. Jej mąż podniósł zmięty papier i położył na stoliku do kawy. Posłała mu poirytowane spojrzenie. Zauważywszy to, Decker zastanawiał się, jak bardzo nie układa się im w małżeństwie. Czy to tylko drobne zadry, które nawarstwiają się z czasem i z których większość związków wychodzi obronną ręką? Czy coś więcej? Coś na tyle głębokiego, by doprowadzić oboje do etapu, na którym utrata Debbie spowoduje wyrwę nie do naprawienia? Z drugiej strony ta sytuacja może zbliżyć ich do siebie w obliczu nieszczęścia. Takie rzeczy się zdarzają.

– Zamieszczała o nim posty w Internecie. Ale nigdy nie mówiła o nim wprost. Mimo to odbierałam tu i ówdzie jakieś sygnały. Matki już tak mają.

– Czytała pani wrzucane przez nią posty?

– Przez pewien czas znałam jej hasło. Kiedy się o tym dowiedziała, zmieniła je. Nigdy nie posłużyła się jego imieniem. Ale miała dla niego przydomek.

– Jakiego? – zainteresowała się Lancaster.

– Jezus.

– Skąd pani wie? Z któregoś posta?

– Nie. Widziałam je na tablicy, która wisi w jej pokoju. Ułożyła krótki wiersz o Jezusie. Debbie nie była religijna. To znaczy nie chodzimy do kościoła, nie praktykujemy, więc nie miała na myśli Boga. Jezus to chłopak. Wiersz był... dość osobisty. Zdecydowanie o chłopaku. Kiedy próbowałam pociągnąć ją za język, pobiegła do siebie i wszystko zmasowała.

Decker i Lancaster wymienili spojrzenia.

– Orientuje się pani, czy było to odniesienie do imienia biblijnego, czy latynoskiego? – zapytał Decker. Ponieważ Beth popatrzyła na niego zdezorientowana, dodał: – Chodziło o Jezusa czy „Hesusa”?

– Do licha, nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Myślałam tylko... że to jakiś kompleks Boga w związku z tym chłopakiem. Ale nie wydaje mi się, żeby moja Debbie zadawała się z jakimś meksykańskim „Hesusem” – dorzuciła urażonym tonem. Wytarła nos i zapaliła papierosa. – Matki zawsze wiedzą takie rzeczy, nawet jeśli ich córki w to nie wierzą. Debbie z pewnością sądziła, że nie mamy o niczym zielonego pojęcia. – Łypnęła na męża z ukosa. – I niektórzy rzeczywiście nie mają. Są kompletnie ciemni.

Mąż cofnął dłoń z ramienia żony i zwiesił ją między nogami, jak pies

podkulający ogon. Nosi, co prawda, spodnie, pomyślał Decker, ale z pewnością to nie on tu rządzi.

Decker zerknął na Lancaster.

– Internetowe posty?

Kiwnęła głową.

– Ściągniemy, skąd się da – obiecała.

– A więc nigdy nie napomknęła o tym człowieku? – upewnił się Decker. – Choćby jednym słowem?

– Pytałam. Niejeden raz. Ale nie puściła pary z ust. – Beth urwała. – Chociaż kiedyś coś się jej wypnęło. Powiedziała, że go nie rozumiem. Bo jest taki... dojrzały.

– W znaczeniu: starszy? Nie z liceum? – dopytywał Decker.

– Tak to rozumiałam. Przecież sama była w ostatniej klasie. Daję głowę, że nie miała na myśli żadnego ze szkolnych kolegów. Nie zawracała sobie głowy młodszymi. Piękna była z niej dziewczyna. Dobrze rozwinięta i tak dalej. Mnóstwo chłopców miało na nią oko. Próbowалаm dawać jej rady, ale dziewczyny nie słuchają. Sama nie słuchałam, kiedy mama starała się coś mi podpowiedzieć. Zawsze wybierałam niewłaściwych chłopaków.

Jej mąż spojrzał na parę detektywów niemal przepaszająco.

– A potem wyszła za mnie.

– M u s i a ł a m za ciebie wyjść, George. Debbie była w drodze. Moja mama i tak o mało nie przyplącała tego zawałem serca. Debbie to zdecydowanie najlepsza rzecz, jaka wynikła z tego małżeństwa. A teraz nie mam już nawet j e j. Czyli nie mam już n i c.

Lancaster odwróciła głowę, George Watson zaś przygryzł wargę i postanowił skupić całą uwagę na zaschniętym śladzie po szklance.

Decker przyglądał się obojgu. W następstwie takiej tragedii wszystkie normy społeczne w małżeństwie zdawały się zanikać. To, o czym nigdy nie mówiono, teraz odkrywano bez trudu i bez wahania. Jak gdyby puściła tama powstrzymująca słowa. Jak gdyby śmierć Debbie symbolicznie ją przerwała.

– Skąd to maskujące ubranie na rysunku? – zapytała Lancaster. Popatrzyła na George'a. – Poluje pan? Trzyma pan w domu strój do kamuflażu?

Energicznie potrząsnął głową.

– Nie byłbym zdolny zastrzelić zwierzęcia. Nie mam nawet broni.

– Przypuszczam, że pański stan utrudniałby prawidłowe trzymanie strzelby czy pistoletu – zauważył Decker.

George spojrzał na swoje kalekie ramię.

– Urodziłem się z tym. – Zamilkł. – Utrudnia też wiele innych czynności – dodał z rezygnacją.

– Zatem strój kamuflujący może być odniesieniem do tego mężczyzny,

Jezusa? – zapytał Decker.

– Możliwe – przyznał ostrożnie George.

– Na pewno – warknęła Beth. – Przecież narysowała obok s e r c e. – Kobieta spojrzała znacząco na Lancaster ze zniecierpliwioną miną. – Faceci tego nie łapią, prawda? W życiu nie byli w cholernym sklepie Hallmarku.

– Zauważyłem laptopa na kuchennym blacie. Korzystała z niego Debbie? – spytał Decker.

– Nie, miała własny komputer. W swoim pokoju.

– Czy moglibyśmy się u niej rozejrzeć?

Beth poprowadziła ich korytarzem. Zanim się odwróciła, zaciągnęła się jeszcze raz papierosem i rzekła:

– Bez względu na to, co się okaże, moja córka na pewno nie miała z tym wszystkim nic wspólnego. Czy narysowała tego sukinsyna, czy nie. Nie ma w ogóle mowy. Słyszycie mnie? Oboje?

– Bardzo wyraźnie – odparł Decker. Pomyślał jednak, że jeśli nawet Debbie maczała w tym palce, i tak zapłaciła już najwyższą cenę. Wyrok sądu nie mógł zabić jej po raz drugi.

Beth odruchowo rzuciła niedopałek na podłogę, gdzie rozżarzył się i po chwili zgasł na wypłowiełym chodniku. Następnie zostawiła ich przed pokojem córki.

Otworzyli drzwi i weszli do środka. Decker stanął pośrodku ciasnego pomieszczenia i rozejrzał się dookoła.

– Musimy zlecić technikom prześledzenie jej aktywności w Internecie – powiedziała Lancaster. – Zdjęcia w telefonie, w laptopie, te umieszczone w chmurze, wszędzie. Instagram. Twitter. Facebook. Tumblr. Wszędzie, gdzie lansuje się młodzież. To się zmienia. Ale nasi chłopcy będą wiedzieli, gdzie szukać.

Decker nie odpowiedział. Nadal tylko się rozglądał, chłonał szczegóły, umieszczał je w niszach pamięci, a następnie je stamtąd wyciągał, jeśli coś mu nie pasowało w zestawieniu z innymi elementami.

– Widzę typowy pokój nastolatki. A ty? – zapytała w końcu Lancaster.

Nie patrząc na nią, odparł:

– To samo, co ty. Daj mi chwilę.

Krążył po ciasnym pokoiku, zaglądał pod sterty papierów, do szafy z ubraniami, klękał, żeby zajrzeć pod łóżko, badał wzrokiem ściany obwieszane różnymi wycinkami, w tym zbiorem okładek magazynu „People”. Do jednej ze ścian były przytwierdzone plansze pokryte farbą tablicową. Zapisano na nich nuty na pięciolinii, krótkie urywki wierszy oraz osobisty apel do samej siebie:

Deb, budź się każdego dnia, żeby coś sobie udowodnić.

– Niezła graciarnia – zauważyła Lancaster, która przycupnęła na skraju

biurka dziewczyny. – Wezwiemy techników kryminalistyki, żeby wszystko zabezpieczyli.

Przeniosła wzrok na Deckera, wyraźnie oczekując jego reakcji, tymczasem on, zamiast coś powiedzieć, wyszedł z pokoju.

– Decker!

– Zaraz wracam – rzucił przez ramię.

Patrzyła, jak się oddala, a potem mruknęła pod nosem:

– Że też musiał mi się trafić Rain Man, tyle że rozmiarów olbrzyma.

Wyjęła z torebki listek gumy do żucia, odwinęła z papierka i wrzuciła sobie do ust. Przez kilka minut krążyła po pokoju, wreszcie podeszła do lustra umieszczonego na wewnętrznych drzwiach szafy. Oceniała swój wygląd i westchnęła z rezygnacją osoby, która wie, że czasy świetności ma już dawno za sobą. Machinalnie sięgnęła po papierosy, ale zaraz się powstrzymała. Pokój Debbie może być przedmiotem śledztwa w sprawie kryminalnej. Popiół i dym mogłyby zamazać obraz.

Odwróciła się gwałtownie, gdy Decker wrócił do pokoju.

– Gdzie byłeś?

– Miałem kilka pytań do rodziców i chciałem rozejrzeć się po pozostałej części domu.

– No i?

Podszedł do nut zapisanych na tablicy i wskazał na nie palcem.

– Debbie tego nie napisała.

Lancaster przyjrzała się symbolom.

– Skąd wiesz?

– Po pierwsze, nie grała na żadnym instrumencie. Sprawdziłem wcześniej w szkolnych dziennikach. Nigdy nie należała do zespołu muzycznego. Pytałem jej matkę. Nigdy na niczym nie grała, w domu nie ma instrumentów. Po drugie, w tym pokoju nie ma żadnych nut. Jeśli nawet nie gra się na instrumentach, a tylko komponuje muzykę, to raczej przechowuje się jakieś nuty, a już na pewno czysty papier nutowy. Po trzecie, to nie jest pismo Debbie.

Lancaster przysunęła się bliżej i przestudiowała znaki na tablicy, a następnie porównała je z innymi napisami na ścianie.

– Właściwie jak można to stwierdzić? – zapytała. – Przecież nuty to nie to samo, co zwykłe pismo. To symbole, nie litery.

– Debbie była praworęczna. Natomiast osoba, która to pisała, jest leworęczna. Choć to nie litery, można dostrzec różnicę w ruchach ręki, ozdobnikach i ogólnym układzie znaków. – Wziął do ręki kredę i nakreślił kilka symboli muzycznych w innej części tablicy. – Jestem praworęczny, widać różnicę.

Wskazał na smugi kredy.

– Tutaj lewy rękaw piszącego rozmazał fragment zapisu. Gdyby znaki

kreśliła osoba praworęczna, zamazania znajdowałyby się z drugiej strony. Tak jak u mnie. – Pokazał miejsce, gdzie rękaw otarł się o napisane kredą symbole. – A Leopold jest praworęczny.

– Skąd wiesz?

– Podpisał się na kartce, którą mu podsunąłem, gdy widziałem się z nim w areszcie.

– Okej, ale może napisał to jakiś jej kolega, który jest muzykiem.

Decker od razu pokręcił głową.

– Nie.

– Dlaczego? Wyobrażam sobie, jak jej kumpel zapisuje tu melodię. Może pod wpływem inspiracji wierszem Debbie.

– Ponieważ te nuty kompletnie nie mają sensu. Nie da się ich zagrać na żadnym znanym mi instrumencie. Z perspektywy kompozycji muzycznej to czysty bełkot.

– Skąd wiesz? Umiesz na czymś grać?

Decker pokiwał głową.

– W szkole grałem na gitarze i perkusji. Potrafię czytać nuty. Nie tylko zdobywać punkty na boisku.

Lancaster jeszcze raz rzuciła okiem na znaki.

– Co to jest w takim razie?

– Myślę, że to szyfr – odparł Decker. – A jeśli się nie mylę, to znaczy, że Jezus jednak tu był.

22

Decker i Lancaster zaplombowali sypialnię Debbie i wezwali ekipę techników, która skrupulatnie przeszukała pokój oraz cały dom. Burlington nigdy nie doświadczyło takiej zbrodni, więc każdy, od żółtodzioba w zespole po najwyższego rangą funkcjonariusza w komendzie, dawał z siebie wszystko.

Watsonowie twierdzili, że nic nie wiedzieli o nutach. Decker raczej im wierzył. Gdy technicy kryminalistyczni zakończyli pracę, Decker i Lancaster jeszcze raz usiedli z rodzicami Debbie.

– Czy ten człowiek mógł tu przyjść i zapisać nuty na ścianie bez państwa wiedzy? – zapytał Decker.

– Przecież musimy kiedyś spać – odparła obronnym tonem Beth. – Ale dom nie jest zbyt duży. Nasza sypialnia sąsiaduje z pokojem Debbie. George i ja mamy lekki sen. Nie wydaje mi się możliwe, żeby przyjmowała u siebie tego człowieka, a my nic byśmy o tym nie wiedzieli.

– A w ciągu dnia? – podsunęła Lancaster.

– Jestem gospodynią domową. George pracuje od dziewiątej do piątej. W gruncie rzeczy spędzam w domu znacznie więcej czasu niż Debbie.

– Od jak dawna pamięta pani ten zapis nutowy na tablicy? – spytał Decker.

– Nie było go tam dwa tygodnie temu, jestem o tym przekonana.

– Skąd ta pewność?

– Ponieważ starłam wszystko do czysta. – Urwała. – Posprzeczałyśmy się, no i... wściekłam się i zmasałam te wszystkie bzdury. – Wyrwał jej się szloch. – A teraz już nigdy jej nie zobaczę.

– O co poszło? – dociekał Decker, nie zwracając uwagi na rozpacz matki. Potrzebował odpowiedzi. I to natychmiast. Później przyjdzie czas na płacz.

Beth zdołała się opanować.

– Debbie była w ostatniej klasie. Poradziła sobie z egzaminem, ale nie złożyła podania do żadnego przekłętego college'u. Usprawiedliwiała się kosztami. To prawda, że niespecjalnie bylibyśmy w stanie jej pomóc. Ale powtarzałam jej, że można się postarać o pomoc finansową. Co będzie robić w życiu bez ukończonych studiów? To, co ja? – Umilkła na chwilę, a jej mąż odwrócił wzrok. – Więc puściły mi nerwy i wytarłam do czysta tę jej cholerną tablicę. Wszystkie te złote myśli o zmienianiu świata i stawianiu sobie celu w życiu. Same bzdury! Nic nie robiła i do niczego nie dążyła. Zmasałam wszyściutko. Została czysta tablica. Miałam nadzieję, że zrozumie. Ale chyba nie rozumiała. I już nie rozumie. Za późno. Cholera. Moje dziecko. Moje dziecko!

Beth wybuchła płaczem i zaczęła spazmatycznie wić się na kanapie. Z pomocą Deckera mąż zdołał zaprowadzić ją do sypialni i położyć. Wracając do Lancaster, Decker przez całą drogę słyszał, jak matka przywołuje zmarłą córkę.

George Watson dołączył do nich kilka minut później.

– Myślę, że na razie wystarczy, jeśli nie mają państwo nic przeciwko temu.

– Czy niedawno wybierał się pan z żoną w podróż? – zapytał Decker.

George popatrzył na niego ze zdumieniem.

– Skąd pan wie?

– Ten facet tu wszedł i napisał to, co napisał. Gdyby państwo byli na miejscu, prawdopodobnie zostałby zauważony. Nie podejmowałby takiego ryzyka. A zatem wyjeżdżali państwo?

– Tydzień temu pojechaliśmy do Indiany, do siostry Beth. Zachorowała. Byliśmy u niej przez dwa dni i wróciliśmy do domu.

– Debbie została na miejscu?

– Tak, nie mogliśmy zwolnić jej ze szkoły.

– Więc prawdopodobnie wtedy tu przyszedł – stwierdził Decker.

George zaczął drzeć, obejmując się ramionami.

– Naprawdę pan myśli, że to zwierzę było w naszym domu?

W s y p i a l n i naszej córki?

Decker zmierzył wzrokiem niepełnosprawnego mężczyznę.

– Tak, myślę, że to wielce prawdopodobne.

Lancaster posłała Deckerowi surowe spojrzenie i rzuciła pospiesznie:

– Cóż, dziękujemy za pomoc, panie Watson. Już idziemy. I bardzo współczujemy państwu straty córki.

George odprowadził ich do drzwi. Otwierając je, powiedział:

– Debbie nie pomogłaby nikomu w zabijaniu ludzi w Mansfield. To byli jej koledzy.

– Zdaję sobie z tego sprawę – rzekł Decker. – Mam nadzieję, że pan się nie myli.

George gwałtownie zamrugał powiekami, jak gdyby w ogóle nie brał pod uwagę możliwości pomyłki. Zamknął za nimi drzwi.

Decker i Lancaster szli obok siebie chodnikiem.

– Twoje maniery są jak zwykle ujmujące – stwierdziła sarkastycznie Lancaster.

– Mary, nie przyszedłem tu po to, żeby trzymać go za rękę i się zaprzyjaźniać. Moim zadaniem jest złapanie zabójcy jego córki.

– No już dobrze. Dostałam maila od techników. Nie znaleźli niczego ważnego w telefonie i laptopie Debbie. Żadnych zdjęć, maili, SMS-ów, wiadomości głosowych. Nie natknęli się na jej posty na żadnym z portali społecznościowych, jakie tylko przyszły im do głowy lub do których dziewczyna miała dostęp. Jej matka twierdzi, że widziała wpisy z aluzjami do tego faceta, ale Debbie musiała je usunąć. Jest szansa, że mimo wszystko nasi chłopcy zdołają je odkopać.

– Ten człowiek nie pozwoliłby zrobić sobie zdjęcia. Ani nie pozostawiłby jakichkolwiek elektronicznych śladów. To zbyt łatwe. Być może nie ma nawet dostępu do sieci.

– Jak to wykombinowałeś?

– Wydaje mi się, że to ktoś trzymający się na uboczu, autsajder. Bez powiązań. Samotnik, który błąka się z miejsca na miejsce.

– Na jakiej podstawie? Coś zauważyłeś?

– Nie, raczej tak czuję. Ale jedna rzecz mnie intryguje.

– Tylko jedna? Szczęściarz z ciebie. – Uśmiechnęła się ponuro. – Moja lista liczy sobie sześć stron.

Decker mówił dalej, jakby nie słyszał tej uwagi.

– Dlaczego Debbie? Czemu spiknął się akurat z nią?

– Spiknął? Niby co takiego zrobiła? Sądziłam, że po prostu była jego przyjaciółką.

– Dała mu coś, czego potrzebował.

– Coś, czego potrzebował? W szkole? Chyba nie masz na myśli broni? Niemożliwe, żeby przytaszczyła ze sobą strzelbę i pistolet.

– Niekoniecznie chodzi mi o broń. Nie.

– Ale dlaczego miałyby mu cokolwiek dostarczać?

– To także mnie zastanawia. Dlaczego właśnie ona i po co to spotkanie w szkole?

– Powoli, Amosie, mocno się zagalopowałeś. Jakie spotkanie?

– U d a w a ł a, że źle się czuje. Wyszła z klasy, spotkała się z tym facetem, prawdopodobnie coś mu dała, a potem on ją zabił. Mamy jednak lukę w czasie, której nie potrafię na razie rozgryźć.

Lancaster zadała mu kolejne pytanie, lecz Decker już nie słuchał. Jego wzrok błędził po ulicy, skręcając ku prawej stronie. Panowała ciemność, w chłodzie wieczoru z ich ust wydobywała się delikatna para. Mrok nie niósł ze sobą nic dobrego. Nagle noc najeżyła się w oczach Deckera trójkami, jego najmniej ulubionymi cyframi.

Po raz pierwszy stało się to w czasach, kiedy był początkującym policjantem. Na szczęście pojechał wtedy sam na patrol. Siedział w radiowozie, popijając kawę, gdy wtem coś zaczęło poruszać się w ciemnościach. Z początku myślał, że czają się na niego jacyś ludzie. W owych czasach Burlington miało wielki problem z gangami, złożonymi głównie z młodych mężczyzn bez nadziei i bez pracy, z nadmiarem testosteronu oraz ze zbyt łatwym dostępem do broni.

Wyrzucił kawę przez okno, ręka odruchowo powędrowała na rękojeść pistoletu, druga do radia. Miał już wysiąść z wozu i ostrzec tych, którzy się tam skradali. I wtedy wyraźnie pojawiły się przed nim cyfry. Olbrzymie, strzeliste trójki.

Jakby ktoś wepchnął go z nienacka w akcję kiepskiej powieści science fiction.

Myślał, że traci zmysły. Tymczasem w jego mózgu nastąpiło jakieś połączenie. Strzęp wspomnień, obraz jednego z lekarzy pracujących w instytucie pod Chicago, gdzie trafił po urazie i gdzie zaczęły mu się przytrafiać te dziwne historie.

Lekarz mówił: „Amosie, nowy dzień może przynosić nowe rzeczy. Umysł nigdy nie przestaje pracować. Działa nieustannie. Ciągłe coś konfiguruje i rekonfiguruje. Staram się powiedzieć, że to, co działo się z tobą dotychczas, może nie być jedyną zmianą, jaka zajdzie w twoim umyśle. Jutro, za miesiąc, za rok, za dziesięć lat być może obudzisz się i stwierdzisz, że dzieje się coś innego. Niestety, nie mamy możliwości tego przewidzieć. Zmiana może przerażać w chwili, gdy będzie się dokonywać. Ale pamiętaj, to t w ó j umysł. To wszystko tkwi w twojej głowie. Nie odbywa się naprawdę.

Mając te słowa w pamięci, Decker odwrócił się i stanął twarzą w twarz z armią cyfr. Pierwotny strach się oddalił, ale zastąpił go nowy.

Co przyniesie kolejny dzień?

Zszedł ze służby, wrócił do domu, padł na łóżko i płakał cicho, żeby nie obudzić Cassie. Rano opowiedział jej, co się stało. Dała mu wiele wsparcia

i otuchy, co było do przewidzenia. Z kolei Decker – jak można było się spodziewać – był wesolutki, bagatelizował sprawę, uznając ją w gruncie rzeczy za zabawną przygodę. Ale to nie było zabawne. Ani trochę. Trójki znikły na pewien czas. Prawdę mówiąc, nie wyłaziły z ciemności od czasu śmierci Cassie i Molly. Teraz jednak powróciły.

Cudownie.

Powróciły i przybrały nową postać. Od podstawy każdej z cyfr odchodziło ostrze noża. O nie, to zupełnie nie było zabawne.

– Powiadom mnie, jeśli złamię szyfr – poprosił, a szczerzące ostrza trójki natarły bliżej.

Decker skręcił w lewo i ruszył przed siebie ulicą.

– Podrzucić cię do domu? – zaproponowała Lancaster.

Decker nie zatrzymał się, szedł dalej z rękami wciśniętymi głęboko w kieszenie płaszcza.

Nie potrzebował podwiezienia. Potrzebował zebrać myśli.

Wbił wzrok w stopy, żeby uniknąć patrzenia w twarz legionom cyfr podchodzącym do niego z mroku.

Co takiego miała Debbie Watson, co było potrzebne zabójcy? Broń? Nie. Strój kamuflujący? Być może. Ale dlaczego nie mógłby przynieść go sobie sam? Nie do tego jej potrzebował.

Serce i rysunek. Dziewczyna była zakochana. Durzyła się w tym typku. Zrobiłaby dla niego wszystko. Ale czy poświęciłaby kolegów z klasy? Na rysunku człowiek w kamuflażu nie miał żadnej broni. Czyżby Debbie nie знаła prawdziwego planu? W takim razie dlaczego wyszła z sali lekcyjnej i spotkała się z tym gościem?

Decker podniósł wzrok, ujrzał lecące wprost na niego trójki i ponownie spuścił głowę. Kiedy prowadził obserwację przestępców albo pełnił nocną służbę, wkładał specjalne okulary, które barwiły ciemność na złoty kolor. Złoty był dla niego jak niebo z kluczami gęsi. Nie dokuczały mu wtedy żadne trójki. Zgubił te okulary dawno temu. Teraz trójki wróciły, w dodatku uzbrojone po zęby. Będzie musiał sprawić sobie nowe okulary.

Zatrzymał się, oparł o drzewo, zamknął oczy, włączył wewnętrzne wideo i odtworzył wszystko, co widział w domu Watsonów. Taśma przewijała mu się w głowie, po chwili zwolnił tempo przesuwania klatek. W końcu zatrzymał taśmę, ciąg obrazów stanął mu przed oczami jak rząd figurek na kominku. Obraz był niemal dosłowny.

Bo na kominku rzeczywiście stały bibeloty.

Decker odwrócił się na pięcie i szybkim krokiem ruszył w stronę domu Watsonów. Zapukał do drzwi. Otworzył mu George.

– Zapomniał pan czegoś? – zapytał mężczyzna z lekką irytacją w głosie.

– Zdjęcia na kominku. Widziałem je wcześniej. Może mi je pan objaśnić?

– Zdjęcia na kominku? – powtórzył skonsternowany George. – Objaśnić je panu?

Decker przestąpił próg, zmuszając o wiele mniejszego od siebie mężczyznę do szybkiego cofnięcia się w głąb domu.

– Przypuszczam, że to członkowie rodziny?

– Tak. Ale jaki to ma związek?

– Pracuję nad sprawami kryminalnymi wystarczająco długo, by wiedzieć, że jeden szczegół, który się przeoczyło, na końcu okazuje się kluczem do rozwiązania zagadki. Tutaj nie możemy sobie pozwolić na nieuwagę, panie Watson, z pewnością pan to rozumie. Jeżeli chcemy odnaleźć zabójcę Debbie oraz pozostałych.

Przy tak postawionej kwestii nie pozostaje mu nic innego, jak tylko się zgodzić.

Watson wolno pokiwał głową, choć nadal sprawiał wrażenie nieprzekonanego.

– Dobrze, oczywiście, proszę za mną.

Zaprowadził Deckera do małego salonu i podeszli do półki wieńczącej stary ceglany kominek z wykruszającą się spomiędzy cegieł zaprawą.

– Od kogo chce pan zacząć?

Decker wskazał ostatnie zdjęcie po lewej stronie.

– Od niego.

– Okej. To ojciec mojej żony, Ted Knolls. Zmarł jakieś dwa lata temu. Na zawał serca.

– Czym się zajmował?

– Co to, do cholery, ma...

Decker przerwał mu w pół słowa:

– Proszę po prostu powiedzieć, czym się zajmował.

Spojrzał groźnie z góry na drobnego mężczyznę. Wyglądał jak grizzly przy wiewiórce i zależało mu, żeby Watson dokładnie tak to odbierał.

Watson cofnął się o krok, zmienił się na twarzy i popatrzył na fotografię.

– Jeździł tirami. Kiepska dieta, brak ruchu. Był wielki jak dąb, upadł na trawniku przed domem, gdy schylał się po gazetę. Nie żył, zanim zdążył runąć na trawę. – Mówiąc to, mierzył wzrokiem masywną sylwetkę Deckera. – Nie robił nic więcej, jeździł ciężarówką przez Środkowy Zachód do Teksasu i z powrotem.

– Był blisko związany z Debbie?

Watson z zakłopotaniem potarł zdeformowane ramię.

– Nie, raczej nie. To znaczy widywaliśmy się z nimi podczas wakacji. Ale, szczerze mówiąc, nasze relacje nie układały się zbyt dobrze. Moja teściowa nigdy mnie nie polubiła.

- A mężczyzna obok? To zdjęcie wygląda na bardzo stare.
- To mój dziadek, Simon Watson. Nie żyje od... och, od dobrych sześciu lat. Na tej fotografii jest jeszcze młody.
- Czyli pradziadek Debbie – rzekł Decker, a Watson przytaknął ruchem głowy.
- Żył ponad pięćdziesiąt lat. Pił i palił, i miał wszystko gdzieś, jak sam lubił mawiać.
- Skoro umarł zaledwie sześć lat temu, Debbie zapewne go znała?
- O tak. Nawet mieszkał z nami przez ostatnich pięć lat swojego życia.
- Więc córka spędzała z nim trochę czasu?
- Na pewno. Debbie była wtedy jeszcze mała, a dziadzio miał ciekawe życie. Walczył w drugiej wojnie światowej, później w wojnie koreańskiej. Po odejściu ze służby zaczął pracować w cywilnej jednostce Departamentu Obrony.
- Co tam robił?
- Pracował w tutejszej bazie wojskowej, dopóki działała.
- Tej obok szkoły Mansfield? W bazie wojskowej McDonalda?
- Tak.
- Czym się tam zajmował?
- Różnymi rzeczami. Miał wykształcenie inżyniersko-budowlane, więc jego działką były urządzenia i instalacje.
- Zna pan daty?
- Niechże pan da spokój. Co to ma wspólnego z całą sprawą?
- Po prostu szukam tropów, panie Watson. Więc co z tymi datami?
- Nie potrafię powiedzieć na sto procent. – George umilkł i się zastanawiał.
- Odszedł z wojska w latach sześćdziesiątych. Potem przeniósł się do bazy McDonalda, prawdopodobnie około roku sześćdziesiątego ósmego albo dziewiątego. Zaraz, musiał być wtedy rok sześćdziesiąty dziewiąty. Pamiętam, że data kojarzyła mi się z lądowaniem astronautów na Księżycu. Pracował tam aż do emerytury. Przez jakieś dwadzieścia lat.
- Bazę zamknięto osiem lat temu.
- Zgadza się, mniej więcej.
- To nie było pytanie, panie Watson. Zamknięto ją osiem lat temu, w poniedziałek. Padał wtedy deszcz ze śniegiem.
- Watson spojrzał dziwnie na Deckera i zakasłał.
- Skoro pan tak twierdzi. Mnie trudno sobie przypomnieć, co robiłem tydzień temu. W każdym razie Pentagon reorganizował bazy wojskowe i Burlington przegrało z innymi miejscowościami. Podobno większość przeniesiono na wschód, chyba do Wirginii. Bliżej Wuja Sama i jego dolarów w Waszyngtonie.
- A więc Simon prawdopodobnie rozmawiał o swojej pracy w bazie

wojskowej zarówno z panem, jak i z Debbie?

– O tak, to znaczy o tym, o czym było mu wolno. Część zadań była tajna, chyba tak należałoby je określić.

– Tajna?

Twarz George'a rozluźniła się w uśmiechu.

– No, nie produkowali tam raczej broni jądrowej ani niczego takiego. Ale wojsko zawsze ma jakieś tajemnice.

– No to o czym opowiadał wam Simon? W odniesieniu do bazy?

– O jej historii. O ludziach, których tam poznał. Trochę o samej pracy. Przez lata nieustannie coś tam dodawali. Rozbudowywali i rozbudowywali. Wszyscy zatrudnieni w bazie ludzie posyłali swoje dzieci do szkoły Mansfield. Chodził tam jego syn, a mój ojciec. Chodziłem tam ja. Podobnie jak moja żona, skoro już o szkole mowa.

– Czy Debbie wspominała, o czym rozmawiała z pradziadkiem?

– Niczego konkretnego nie pamiętam. Gdy była starsza, nie spędzała z nim tak wiele czasu. Starzy ludzie i dzieci nie znajdują wspólnego języka. Przypuszczam, że dziadzius nie był szczególnie rozrywkowy. – Spuścił wzrok. – Podobnie jak ja.

– W porządku, przejdźmy do kolejnych zdjęć.

Pół godziny później Decker znów przemierzał ciemne ulice.

Mężczyzna w kamuflażu był w domu Watsonów i zostawił na ścianie zaszyfrowaną wiadomość udającą zapis nutowy. Co do tego Decker nie miał wątpliwości. Nie wiedział, co to była za wiadomość ani do czego była temu facetowi potrzebna Debbie. Dlaczego sprzymierzył się akurat z nią, mając do wyboru tylu innych uczniów? Musiał istnieć jakiś powód. I to konkretny.

Zabrzącał telefon. Dzwoniła Lancaster.

– W FBI twierdzą, że chyba złamali szyfr. Był to rodzaj szyfru substytucyjnego. W gruncie rzeczy zupełnie prostego. Właściwie są pewni, że go złamali.

– Skąd ta p e w n o ś ć?

– Ze względu na treść.

– Nie trzymaj mnie w napięciu, Mary. Co tam jest napisane?

Usłyszał, jak Lancaster wzdycha z obawą.

– *Dobra robota, Amosie. Ale koniec końców, brachu, nie zaprowadzi cię do celu.*

23

Jestem sawantem o cechach nabytych.

A dokładniej, wysokofunkcjonującym sawantem o cechach nabytych.

Decker leżał w łóżku w swoim jednopokojowym lokum w Residence Inn. Nie spał. Nie mógł zasnąć.

Orlando Serrell.

Orlando Serrell jest także sawantem o zdolnościach nabytych, które ujawniły się po uderzeniu piłką bejsbolową w głowę, gdy miał dziesięć lat. Od tamtej pory Serrell posiada niezwykle umiejętności w zakresie obliczeń kalendarzowych, dokładnie pamięta pogodę panującą w dowolnym dniu, jak również ma niemal absolutną pamięć tego, gdzie był oraz co robił w każdym ze wskazanych dni.

Daniel Tammet.

Jako małe dziecko Daniel Tammet przeżył serię ataków epilepsji, których o mało nie przypłacił życiem. Wyszedł z nich obronną ręką jako jeden z najwybitniejszych umysłów stulecia, potrafiący recytować z pamięci ponad dwadzieścia dwa tysiące cyfr liczby pi oraz opanowywać w tydzień język obcy. Zdiagnozowano u niego zespół Aspergera. Ponadto Tammet przypisuje liczbom oraz różnym przedmiotom osobne barwy, tak samo jak Decker.

Decker czytał wszystko, do czego tylko udało mu się dotrzeć, na temat sawantów, u których zespół chorobowy nie miał charakteru wrodzonego, lecz nabyty za sprawą jakiegoś czynnika: czy to urazu, jak w wypadku Serrella, czy to wcześniejszej choroby, jak u Tammeta.

Na świecie żyła zaledwie garstka ludzi dotkniętych sawantyzmem i Decker był całkowicie nieprzygotowany na wstąpienie w ich szeregi. Gdy LeCroix powalił go na boisku, lekarze, którzy dokładnie przebadali Deckera, wyciągnęli wniosek, że uraz spowodował w jego mózgu dwie rzeczy.

Po pierwsze, stworzył kanały, tak jak odyka się zapchany zlew, co pozwoliło na sprawniejszy przepływ informacji. Po drugie, zmienił układ obwodów elektrycznych i przebieg impulsów w mózgu, wyposażając go w umiejętność widzenia cyfr w kolorze.

Jednak były to jedynie spekulacje. Decker doszedł do przekonania, że obecnie lekarze wiedzą o funkcjonowaniu mózgu niewiele więcej niż sto lat temu.

Po wypadku Decker obudził się w szpitalu, spojrzął na monitor rejestrujący pracę serca oraz przesuwające się na nim skaczące cyferki. Widział wartość tętna, 95 – taki sam numer nosił na drużynowej koszulce – w postaci fioletowej dziewiątki i brązowej piątki. Przed urazem w ogóle nie kojarzył, jak wygląda fiolet. Cyfry spęczniały, rozrosły się w jego oczach, były wysokie i masywne. Dostrzegał każdy ich szczegół. Zdawały się żywe.

Pamiętał, jak usiadł na łóżku obłany potem. Myślał, że traci zmysły. Zadzwoił po pielęgniarkę. Wezwano lekarza i Decker wydukał, co się z nim dzieje. Sprowadzono specjalistów. Wiele miesięcy później po dość długim pobycie w ośrodku badawczym pod Chicago jednomyślnie uznano, że stał się sawantem o nabytych zdolnościach hipertymezji oraz synestezji. Wypadek na boisku na dobre przekreślił jego piłkarską karierę, a w zamian obdarzył jednym z najbardziej

wyjatkowych umysłów na świecie. Po upływie tak wielu lat pamiętał nazwiska oraz inne podstawowe informacje o każdym lekarzu, pielęgniarce, naukowcu, techniku i specjalście, którzy go badali, a była ich ponad setka.

Mógłby zapisać się trwale w czasopiśmie naukowych, jego przypadek mógłby wzbudzić ogromne zainteresowanie mediów, ponieważ coś takiego zdarzało się mniej więcej raz na miliard. Jednak na to nie pozwolił. Nie uważał siebie za geniusza, tylko za wariata. Przez dwadzieścia dwa lata życia był jedną osobą. Nie czuł się przygotowany na mimowolne stanie się kimś zupełnie innym w ciągu zaledwie kilku minut. Osobą, którą pozostanie aż do śmierci. Czuł się tak, jakby ktoś obcy wszedł w jego skórę i zawładnął jego ciałem, on zaś nie mógł uczynić nic, żeby intruza wyrzucić.

Mój umysł zamieszkuje dziki lokator. I tak się składa, że tym lokatorem jestem ja sam.

Każdej akcji towarzyszyła równorzędna przeciwna reakcja. W jego wypadku otwarty, towarzyski, skory do wygłupów, ale zdeterminowany młody futbolista zmienił się w człowieka zamkniętego w sobie, skrytego i społecznie nieporadnego. Przestały zajmować go rzeczy, na które ludzie poświęcają sporo czasu: błahe pogawędki, drobne kłamstewka, dawanie upustu emocjom, plotki. Nie rozumiał współczucia ani empatii. Nie interesowały go uczucia innych ludzi. Ich ból, smutek, rozpacz. Było tak, jakby odbijały się od jego nowego, udoskonalonego mózgu, nie pozostawiając nawet śladu wgniecenia. Uraz na boisku – wydatnie powiększając intelektualny potencjał Deckera – ograbił go z cech, które stanowią o istocie człowieczeństwa. Jakby to było ceną, którą musiał zapłacić. Nie miał wyboru, nie mógł zdecydować, czy zgadza się na taką transakcję, czy nie.

Nawet nie chciało mu się już oglądać zawodów sportowych. Od czasu wypadku nie widział ani jednego meczu.

Poślubienie Cassie było dla niego ratunkiem. Znała jego tajemnicę. Dzielila z nim obawy i lęki. Decker wątpił, czy bez niej zdołałby odmienić swoje życie, rozpocząć nową karierę policjanta, następnie odnosić sukcesy jako detektyw, poświęcając swój nowy i wybitnie ulepszony umysł pogoni za sprawiedliwością. I choć nie potrafił być tak czuły dla Cassie, jak byłby przed wypadkiem, zależało mu na niej, i to bardzo. Zrobiłby dla niej wszystko. Żartowali sobie nawet, że funkcjonuje nie tyle jak człowiek, ile jak maszyna. Ale Decker wiedział, że oboje pragnęli, by było inaczej.

Za każdym razem, kiedy trzymał w objęciach córeczkę, nie potrafił myśleć o niczym innym, tylko o niej, jak gdyby ta mała istotka, która uwielbiała przytulać się do swojego potężnego taty, hipnotyzowała to monstrum, jego umysł. Niedźwiedź z niedźwiadkiem. Głaskał ją po włosach, muskał policzki i w takich chwilach wydawało mu się, że wyraźniej pamięta, jaki był kiedyś – mimo że wspomnienia były zamazane jak obraz na starym telewizorze z metalowym

wieszakiem zamiast porządnej anteny.

Jakby jego nowy umysł robił wyjątek dla tych dwóch osób, umożliwiając mu przybliżanie się do swojej poprzedniej postaci.

Tylko dla tych dwóch.

A teraz został sam.

I był już tylko maszyną, na zawsze.

I jakiś bydlak sobie z niego szydził. Jakaś chora bestia, która wymordowała mu rodzinę, a potem skierowała jego uwagę na liceum Mansfield. Nawet gdyby napis na ścianie jego domu go nie przekonał, zaszyfrowana wiadomość rozwiała wszelkie wątpliwości.

Sprawca był ten sam.

Bliscy Deckera zginęli z jego powodu. Liczył się z taką ewentualnością przez cały czas, wiedział, że to możliwe, a nawet prawdopodobne. Lecz ta odrobina niepewności pomagała, ponieważ pozwalała mu wierzyć, że może mimo wszystko to nie on był motywu tej zbrodni.

Teraz wątpliwości zniknęły. Wraz z absolutną jasnością nadeszła straszliwa, odbierająca siły rezygnacja. Oraz poczucie winy, które było silniejsze niż cios Dwayne'a LeCroix.

Decker wstał o piątej rano, wziął prysznic, ubrał się w garnitur i stanął przed lusterkiem w łazience, która była mniej więcej jego rozmiarów. Widział w lustrze migające kolory i błyski, cyfry przecinające taflę szkła. Zamknął oczy, ale obraz się nie zmienił. Wszystko działo się w jego głowie, nie na lustrzanej tafli. Uważano, że sawanci, zwłaszcza ci ze zdiagnozowanym zespołem Aspergera, mają bardzo wąskie zainteresowania: liczby, historia, pewne dziedziny nauk ścisłych albo języki obce. Decker nie wiedział, jaki właściwie jest obszar jego zainteresowań. Nie wiedział, czy wskutek zderzenia z LeCroix nabawił się zespołu Aspergera. Nie wiedział, czy coś takiego jest w ogóle możliwe, zresztą oficjalnie nie wykryto u niego tego schorzenia.

Wiedział jedynie, że nigdy niczego nie zapomina. Jego umysł przypisywał barwy rzeczom, które nie powinny ich mieć. Pamiętał, w jakim dniu tygodnia wypadała konkretna data w ostatnich stu latach. Wziąwszy wszystko razem, jego mózg stanowił zagadkę, wciąż nierozwikłaną, ponieważ Decker nic z tego wszystkiego nie rozumiał. Liczyło się, jaki był obecnie. To zaś przerażało go od samego początku.

Mając obok siebie Cassie, jakoś sobie radził. Bez niej, bez Molly, dzięki której zastanawiał się, co będzie, gdy jego już zabraknie, Amos Decker znów stał się dziwołagiem. Doktorem Jekyll'em i panem Hyde'em. Tylko że Jekyll zaginął gdzieś bezpowrotnie.

Czyhały na niego zastępy trójek, gdy włókł się w półmroku do bufetu śniadaniowego, który otwierano punktualnie o szóstej. Nałożył sobie kopiasty

talerz i ruszył w stronę swojego stolika-biura, a potem siedział, wpatrując się w górę jedzenia i nie decydując się na ani jeden kęs.

Obsługująca bufet June podeszła do niego szybkim krokiem.

– Amosie, dobrze się czujesz? – zapytała, a jej niemłoda, pomarszczona twarz wyrażała z troską. Nie zdarzyło się dotąd nigdy, żeby Decker nie zmiotł całego śniadania.

Ponieważ nie odpowiedział, uniosła dzbanek z kawą i zaproponowała:

– Może kawy? Przy filiżance gorącej kawy można rozwiązać wiele problemów.

Biorąc jego milczenie za zgodę, nalała parującą kawę, postawiła na stoliku i odeszła.

Decker nie reagował, ponieważ nawet nie zauważył obecności June. Błądził myślami gdzieś bardzo daleko od restauracji w Residence Inn.

Nie musiał spoglądać na zegarek. Była szósta dwadzieścia trzy. Część jego mózgu odpowiedzialna za zegar wewnętrzny nigdy nie zasypiała, podając czas dokładniejszy niż jakikolwiek dostępny w sprzedaży czasomierz.

O dziesiątej Sebastian Leopold zostanie postawiony w stan oskarżenia, tym razem w towarzystwie przydzielonego mu obrońcy. Decker zamierzał być przy tym obecny.

Poszedł na piechotę. Wolał iść, nawet po ciemku. Armia trójek go nie odstępowała, więc wędrował ze spuszczoną głową.

Decker czytał, że otaczające zwykle sawantów morza cyfr działają na nich kojąco. Dla Deckera cyfry były środkiem do osiągnięcia celu. Nie dawały mu prawdziwego szczęścia. Może dlatego, że szczęścia zaznał jako ojciec i mąż. Cyfry nie mogły stanowić tu konkurencji, mimo że był sawantem.

Usiadł na ławce pod gmachem sądu i obserwował, jak słońce przesuwają się po niebie, jak wstaje świt i sieje spustoszenie w bezkresie czerni, rozmazując smugi czerwieni, złota i różu. Czy też całą masę odpowiadających tym barwom cyfr.

O dziewiątej czterdzieści pięć przyglądał się, jak policyjna furgonetka wjeżdża w boczną uliczkę przy budynku sądu. Przybył więzienny transport. Decker zastanawiał się, ilu jeszcze oskarżonych jechało tam razem z Leopoldem. A może domniemanego potrójnego mordercę wieziono osobno?

Podniósł się z miejsca i powoli przeszedł na drugą stronę ulicy przed wejście do sądu. Kilka minut później siedział na sali w drugim rzędzie. Odnotował obecność obrońcy z urzędu, przeglądającego dokumenty przy stole obrony. Na oko czterdziestokilkulatka z pierwszymi śladami siwizny. Miał na sobie dobrze skrojony dwuczęściowy brązowy garnitur z kolorową chusteczką w kieszonce. Wyglądał na pewnego siebie i... cóż, doświadczonego. Decker wątpił, by przydzielono do tej sprawy jakiegoś żółtodzioba.

Ten sam co poprzednio strażnik stał obok drzwi do gabinetu sędziego,

gawędząc z Sheilą Lynch, która miała na sobie tę samą garsonkę co dzień wcześniej.

Decker usłyszał, jak otwierają się drzwi do sali i odwrócił się w tamtą stronę. To nie Lancaster ani Miller.

Alex Jamison, reporterka. Zauważyła Deckera, skinęła mu głową, uśmiechnęła się, po czym zajęła miejsce z tyłu.

Decker powrócił do poprzedniej pozycji, nie odpowiadając na pozdrowienie.

Strażnik zniknął w gabinecie sędziego. Lynch wróciła do stołu obrony, zamieniła kilka słów z adwokatem i usiadła na swoim miejscu.

W drzwiach, przez które wprowadzano więźniów, stanął Sebastian Leopold. Wyglądał mniej więcej tak samo jak poprzedniego dnia.

Podszedł z eskortą do swojego obrońcy, tam policjanci rozkuli kajdanki i się cofnęli.

Strażnik otworzył drzwi, wygłosił rutynową formułkę, wszyscy powstali, a Abernathy wszedł na salę i zajął swoje miejsce na sędziowskiej ławie.

Przez chwilę rozglądał się po sali, po czym uśmiechnął się z zadowoleniem, ujrzawszy towarzyszącego Leopoldowi prawnika.

Następnie zmierzył wzrokiem Lynch.

– Czy biegły psychiatra dokonał oceny?

Dokonał, potwierdziła. I uznał, że Leopold może stanąć przed sądem.

To zaskoczyło Deckera.

– Panie Leopold, czy przyznaje się pan do stawianych zarzutów?

Adwokat mocno chwycił swego klienta za ramię i obaj wstali.

– Nie przyznaję się – oznajmił stanowczo Leopold.

Decker słuchał tego oświadczenia, ale jakby do niego nie dotarło.

Adwokat powiedział:

– Wysoki Sądzie, wnioskuję o oczyszczenie mojego klienta ze wszystkich zarzutów. Nie ma żadnych dowodów na jego udział w tych trzech zabójstwach.

Lynch zerwała się na równe nogi.

– Prócz jego zeznań, chce pan powiedzieć.

Obrońca rzekł bez zająknięcia:

– Prócz zeznań, które w tej chwili wycofuje. Pan Leopold cierpi na chorobę dwubiegunową, odstawił leki, co wywołało u niego godny pożałowania stan przygnębienia. Obecnie znów zażywa lekarstwa, jest w pełni władz umysłowych, dlatego pozytywnie przeszedł testy psychiatryczne. – Obrońca z urzędu podniósł plik spiętych ze sobą dokumentów. – I mamy jeszcze to. Proszę o pozwolenie na podejście bliżej.

Abernathy przywołał go gestem ręki. Lynch pospieszyła za adwokatem.

Obrońca oznajmił głosem na tyle donośnym, że Decker mógł go usłyszeć:

– Oto poświadczony raport z aresztowania wraz ze zdjęciem oraz

z odciskami palców, wykazujący ponad wszelką wątpliwość, że tamtej nocy, gdy popełniono wspomniane zbrodnie, pan Leopold przebywał w areszcie w Cranston, dwie miejscowości stąd. Mam także kopię raportu z aresztowania pana Leopolda w Burlington. Oba dokumenty zostały poddane niezależnej, bezstronnej ocenie, wedle której odciski palców oraz fotografie pasują do siebie idealnie. To niewątpliwie ta sama osoba, pan Leopold. Pani Lynch bez wątpienia się z tym zgodzi.

Lynch parsknęła z furją:

– Wysoki Sądzie, obrona nie przedstawiła mi tych dokumentów.

Abernathy obrzucił ją pełnym pogardy spojrzeniem.

– Pani Lynch, jest pani w stanie zdobyć raport z aresztowania szybciej niż obrońca. Skoro on do niego dotarł, powinna była i pani.

Prokuratorka poczerwieniała.

– Za co go aresztowano? – spytała z irytacją.

– Za włóczęgostwo – wyjaśnił obrońca. – Zwolniono go następnego dnia rano. Cranston leży siedemdziesiąt mil stąd, a pan Leopold nie posiada żadnego środka transportu. Co bardziej istotne, pana Leopolda zatrzymano o godzinie osiemnastej, a wypuszczono następnego dnia o dziewiątej rano. Dlatego nie mógł popełnić zbrodni około północy. – Podał Lynch dokumenty. Popatrzyła na papiery, a gdy dotarła do końca ostatniej strony, animusz i pewność siebie opuściły ją całkowicie.

– Może miał współnika – rzekła słabym głosem.

– Cóż, jeśli potrafi to pani udowodnić, życzę powodzenia! – odparł adwokat.

– Na razie niczego pani nie dowiodła. Mój klient zaprzestał brania lekarstw i pod wpływem impulsu skłamał, że popełnił zbrodnię, której nie mógł popełnić. Do tego sprowadza się cała sprawa, co oznacza, że nie ma czego rozstrzygać.

– Można postawić mu zarzut marnotrawienia czasu policji oraz obstrukcji procesowej.

– Jak już wspomniałem, nie przyjmował leków. Nie mógł intencjonalnie popełnić żadnego z tych dwóch przestępstw.

– Sądzę, że po namyśle... – zaczęła Lynch.

Abernathy jej przerwał:

– Czy ma pani jakikolwiek dowód, poza zeznaniem, które zostało odwołane, łączący pozwanego z zarzucanymi mu czynami?

Wyraźnie wytrącona z równowagi Lynch powiedziała:

– Wysoki Sądzie, pozwany sam oddał się w ręce policji i przyznał do zbrodni. Dlatego nie próbowaliśmy budować sprawy na podstawie dowodów sądowych.

– Podpisał zeznanie?

– Tak – odparła zdecydowanie.

– Czy zawierało ono szczegóły, które mógł znać wyłącznie rzeczywisty sprawca tej zbrodni?

Lynch znów dała się zaskoczyć.

– No... nie sądzę, nie. Byłam przekonana, że odbędzie się dodatkowe przesłuchanie, ale...

– Skoro więc zeznanie zostało wycofane, nie dysponuje pani żadnymi innymi dowodami? – uciał Abernathy.

– Nie – przyznała Lynch, wyraźnie zła, ale hamując gniew.

– Mamy zatem pewność, że w czasie, kiedy doszło do zabójstw, pan Leopold przebywał w więzieniu siedemdziesiąt mil stąd.

– Tak – potwierdził obrońca, z trudem powstrzymując uśmiech.

– Proszę powrócić na miejsca – polecił sędzia przyjaznym tonem.

Prawnicy ponownie zasiedli w swoich ławach.

Abernathy spojrział z wysokości sędziowskiego pulpitu.

– Zarzuty przeciwko pozwanemu Sebastianowi Leopoldowi zostają oddalone bez szkody. Panie Leopold, jest pan wolny. I proszę przyjmować leki.

Uderzył młotkiem.

Obrońca odwrócił się do Leopolda, by uścisnąć mu dłoń, lecz ten nadal wodził wzrokiem po sali sądowej, jakby nie do końca rozumiał, gdzie się znajduje. Gdy jego spojrzenie zatrzymało się na Deckerze, uśmiechnął się blado i nieśmiało pomachał ręką.

Decker nie odwzajemnił ani uśmiechu, ani pozdrowienia, patrząc, jak policjanci wyprowadzają Leopolda z sali.

Po zniknięciu Abernathy'ego za drzwiami sędziowskiego gabinetu Decker obserwował ostrą wymianę zdań między Lynch a obrońcą. Następnie wstał i opuścił salę.

Razem z nim wyszła Alex Jamison.

– Czy Leopold do pana pomachał, panie Decker? – zapytała zaintrygowana, głosem podszytym odrobiną podejrziwości.

– Nie wiem, co zrobił.

– Spotkał go pan już kiedyś?

Decker nie zwalniał kroku.

– Ludzie będą chcieli poznać pańską wersję! – zawołała za nim.

Odwrócił się i ruszył w jej stronę.

– Moją wersję czego?

– Zna pan Leopolda? Bo wydaje mi się, że nawiązał z panem kontakt wzrokowy. Uśmiechnął się i pomachał. Nie siedział tam nikt prócz pana.

– Nie znam go.

– Ale rozmawiał pan z nim, prawda? W celi.

Decker natychmiast skojarzył fakty. *Brimmer*. To była jej zemsta za to,

że wykiwał ją w więzieniu. Wygadała Jamison, że widział się z Leopoldem w celi.

– Dlaczego spotkał się pan z człowiekiem oskarżonym o zabójstwo pańskiej rodziny?

Decker pokazał jej plecy i odszedł. Tym razem już się nie zatrzymał.

24

Nie chcąc stracić mężczyzny z oczu, Decker od razu udał się na przystanek autobusowy po drugiej stronie.

Czekając, obserwował przechodzących i przejeżdżających obok ludzi. Burlington wyglądało tak, jakby zadano mu głęboką ranę, jakby do miasta zakradło się zło i ograbiło je z tego, co najcenniejsze. Zresztą dokładnie tak się stało.

Dwadzieścia minut później Decker lekko zesztywniał, otworzyły się bowiem drzwi i z gmachu sądu wyszedł Sebastian Leopold, w tym samym ubraniu, w którym się tam pojawił. Pomarańczowy kombinezon oraz kajdany zdjęto z niego wraz z zarzutami morderstwa.

Leopold rozglądał się przez chwilę, jakby próbował zorientować się w swoim położeniu. Następnie skręcił w prawo i ruszył na północ.

Decker odczekał około dwudziestu sekund i ruszył za nim, trzymając się drugiej strony ulicy. Szedł równoległe do niego, patrzył przed siebie, ale kątem oka obserwował Leopolda.

Piętnaście minut później dotarli do dobrze znanej Deckerowi części Burlington – zapuszczonej, cieszącej się złą sławą, którą element przestępczy upodobał sobie na kryjówkę.

Po prawej stronie znajdowała się jakaś spelunka. Leopold zszedł po kilku chwiejnych schodkach z cegły i zniknął w środku.

Decker rozejrzał się w obie strony, przemknął przez ulicę i zbiegł po tych samych stopniach. Bywał w tym barze wiele lat temu, prowadząc kilka obserwacji, i za każdym razem wychodził stamtąd z niczym. Może za trzecim razem dopisze mu szczęście.

Leopold siedział pośrodku kontuaru. Wnętrze było ciemne i ponure, światła mocno przygaszone. Decker zdawał sobie sprawę, że mrok ma przede wszystkim ukryć brud, bo właściciel bał się zapewne, że ta zapyziałość odstraszy klientów. Decker wątpił jednak, czy bywalcy w ogóle zwracają na to uwagę. Gdy zaglądał tu ostatnio, w większości byli pijani, naćpani albo jedno i drugie.

Usadowił się przy stoliku w głębi za sięgającym piersi przepierzeniem, które dawało mu częściowe schronienie, a zarazem pozwalało obserwować bar. Trudno było nie zauważyć Leopolda i choć rozmawiał z nim tylko raz, musiał założyć, że mężczyzna go zapamiętał. Wydawało się, że rozpoznał Deckera w sądzie.

Ale coś się nie zgadza. Wedle Leopolda spotkałem go dwukrotnie. Pierwszy raz w 7-Eleven, gdzie podobno go obraziłem. Więc czemu tego nie pamiętam, skoro zapamiętuję wszystko?

Leopold zamówił alkohol, a kiedy otrzymał od barmana szklanę, wpatrywał się w nią przez dłuższy czas, zanim podniósł ją do ust i pociągnął mały łyk, a następnie odstawił w to samo miejsce. Delikatnie przesunął szklanę, najwyraźniej po to, by jej dno dokładnie wpasowało się w mokry ślad na kontuarze.

Ten gest nie uszedł uwadze Deckera.

Możliwe natręctwa.

Podczas wcześniejszego spotkania Decker zaobserwował u mężczyzny nieustanne ruchy dłoni. Czy rzeczywiście brakowało mu piątej klepki? obrońca powiedział, że Leopold cierpi na chorobę dwubiegunową, ale przyjmuje leki. Może teraz uda im się wreszcie sensownie porozmawiać.

Do Deckera podeszła kelnerka. Wysoka, szczupła, z burzą tlenionych loków, upiętych tak, że niemal zasłaniały jej twarz. W powietrzu rozniósł się zapach środków chemicznych do rozjaśniania włosów, mdły i lekko przyprawiający o nudności. Decker zamówił piwo, które przyniosła już po minucie.

Napił się, otarł usta i czekał. Za barem nie było lustra, więc Leopold nie mógł dostrzec Deckera za swoimi plecami, musiałby się odwrócić.

Upłynęło dwadzieścia minut, a do Leopolda nikt nie podeszedł. Mężczyzna wysączył jeszcze dwa łyki i siedział ze wzrokiem wbitym w szklanę, jakby nie bardzo rozumiał, skąd się tam wzięła.

Decker zostawił na blacie dwa dolary, wziął piwo, podeszedł do kontuaru i usiadł obok Leopolda. Ten nawet się nie obejrzał. Nadal gapił się w drinka.

– Jak tam na wolności? – zagadnął Decker. – Świętujesz?

Mężczyzna podniósł wzrok.

– Byłeś w sądzie. Widziałem cię.

– Byłem także w twojej celi.

Leopold kiwnął głową, ale wydawało się, że to stwierdzenie wcale do niego nie dotarło. Wymamrotał coś niezrozumiale. Decker obrzucił mężczyznę szybkim spojrzeniem. Umyli go, zanim stanął przed sądem, wyprali mu ubrania, prawdopodobnie dlatego, że policjanci nie mogli znieść fetoru.

Leopold powtórzył głośniej:

– W mojej celi. Zgadza się. Rozmawialiśmy.

– Tak, rozmawialiśmy. A więc cofnąłeś zeznania?

Leopold sprawiał wrażenie zaniepokojonego.

– Co zrobiłem?

– Odwołałeś zeznania.

Mężczyzna wziął do ręki szklanę i pociągnął kolejny łyk.

– Właściwie nie piję. Ale jest dobre.

– Świętujesz, tak jak mówiłem.

– Co miałbym świętować? – zapytał ze zdziwieniem Leopold.

– Że nie oskarżono cię o potrójne zabójstwo. Że nie siedzisz w pudle. Jedno

i drugie to dobry powód, nie sądzisz?

Leopold wzruszył ramionami.

– Karmili mnie. Miałem dach nad głową.

– I dlatego przyznałeś się do tych zabójstw? Żeby mieć łóżko i wikt?

Znów wzruszył ramionami.

– A więc noc zabójstwa spędziłeś w więzieniu w Cranston?

– Chyba tak. To szmat czasu. Nie pamiętam. Wielu rzeczy nie pamiętam.

– Na przykład swojego prawdziwego nazwiska?

Leopold łypnął na Deckera, ale wyglądało, jakby sens pytania do niego nie dotarł.

– Sędzia nie puściłby cię wolno w razie jakichkolwiek wątpliwości. Musieli mieć twoje zdjęcie i odciski palców w rejestrze aresztowań.

– Prawnik był bardzo zadowolony – rzekł Leopold ze wzrokiem utkwionym w szklance.

– Skąd w ogóle wiedziałeś o tej zbrodni? – zapytał Decker.

– Bo... bo zabiłem tych ludzi, no nie? – odparł Leopold nieśmiałym głosem, w którym nie pobrzmiwała nawet nuta przekonania czy choćby, jak się wydawało, zrozumienia.

Barman, mężczyzna po pięćdziesiątce, z brzuszyskiem prawie tak dużym jak u Deckera, mimo że mierzył sześć cali mniej, podniósł oczy znad szklanki, którą właśnie wycierał i dłuższy czas przyglądał się Leopoldowi, zanim odwrócił wzrok.

– Nie to powiedziałeś dzisiaj sędziemu. Twierdziłeś coś wręcz przeciwnego. Czy tak kazał ci obrońca?

– Mówił, że nie powinienem o tym z nikim rozmawiać.

Decker utkwiał w mężczyźnie zaintrygowane spojrzenie.

Przebłyśk klarowności umysłu, instynktu samozachowawczego pośród morza obłądu? Czy wpływ zażywanych lekarstw?

– No to nie powinieneś, chyba że chcesz. Osobiście nie widzę niebezpieczeństwa. Policja nie ma na ciebie żadnego haka. Siedziałeś wtedy w więzieniu. Sędzia oddalił sprawę bez szkody, nie mogą ponownie postawić ci zarzutów, chyba że mają dowody łączące cię z tą zbrodnią. Mogą się rozejrzeć i je zdobyć. Znaleźć współnika, który z jakiegoś powodu dokonał zabójstw za ciebie. Mogą nawet spreparować dowody.

– Naprawdę? – zapytał Leopold z dziecięcym zdumieniem.

– Jasne. Często tak robią. Jeśli mają cię za drania, staną na głowie, żeby cię usadzić, usunąć z miasta. Zostali zaprzysiężeni, żeby ochraniać i bronić. Chyba rozumiesz, prawda?

Leopold pochylił się i wypił kolejny łyk, nie podnosząc przy tym szklanki. Jak pies chłopcujący wodę z miski.

– A więc jesteś nim, Sebastianie?

- Kim?
- Draniem, którego muszą zgarnąć z ulic miasta.
- Nie wiem.

Decker czuł narastającą irytację. To, co stało się z jego głową, zmieniło funkcje mózgu i spowodowało przecinanie się pewnych ścieżek nerwowych, ale jednocześnie pozbawiło go umiejętności radzenia sobie z fałszem, nieuczciwością, wciskaniem kitu i generalnie podejrzanym zachowaniem. Lubił linie proste, od A do B, od 1 do 2. Nie lubił dreptania w miejscu, które prowadziło wyłącznie do rozdrażnienia. Dla policjanta było to zarazem błogosławieństwem i przekleństwem.

– Twierdziłeś, że zamordowałeś tych ludzi. Tak mi powiedziałeś. To samo mówiłeś policjantom. A dziś rano odwróciłeś kota ogonem. Siedząc tu, przy tym barze, powiedziałeś, że prawdopodobnie to zrobiłeś, chociaż znajdowałeś się w więzieniu dwa miasta dalej i nie mogłeś być w tamtym domu. Rozumiesz, jaki jestem skołowany, prawda? A co ma powiedzieć policja? Gdzie leży prawda? To właśnie musimy ustalić.

Leopold odwrócił się w stronę Deckera z taką miną, jakby widział go po raz pierwszy w życiu.

- Dlaczego tak cię to obchodzi?

Jeśli Decker znieważył Leopolda w 7-Eleven siedemnaście miesięcy temu, ten powinien go rozpoznać, bo Decker niewiele się zmienił od tamtego czasu. Był tylko grubszy i brzydszy. Więc albo Leopold jest niewinny, albo menda kłamie. Decker nie dostrzegł klarownych wskazówek, który wariant jest prawidłowy.

– Interesowałem się tą zbrodnią. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że zaaresztują kogoś po tak długim czasie.

- To była sprawa niewyjaśniona-zakończona.

Ten termin zwrócił uwagę Deckera.

- Znasz takie określenie?

– Lubię programy kryminalne. Czasami oglądam je w schronisku.

- Dla bezdomnych?

Leopold przytaknął.

– Jestem bezdomny, więc muszę gdzieś się schronić. Czasem śpię na dworze. A właściwie zazwyczaj – dodał znużonym tonem.

- Dlaczego?

– Bo tak jest bezpieczniej. W schroniskach zdarzają się różne typki... nieprzyjemne.

– Czy dlatego zainteresowałeś się tamtymi morderstwami? Bo pozostały niewyjaśnione?

- Chyba tak.

– Ale dlaczego akurat tamtą sprawą? Nie jest jedyna. Ktoś ci o niej

opowiedział?

Leopold kiwał głową. Spojrzał na szklankę i upił kolejny łyk, nie używając do tego rąk.

– Co zamówiłeś? – zapytał Decker, zerkając na zawartość szklanki i ukrywając obrzydzenie wywołane sposobem, w jaki Leopold sącył alkohol.

Mężczyzna się uśmiechnął.

– Kamikadze. Lubię go.

– Twierdziłeś, że w zasadzie nie pijesz.

– W zasadzie nie, bo ciągle jestem bez kasy. Ale znalazłem banknot pięciodolarowy, o którym zapomniałem. Kiedy już piję, zamawiam kamikadze, bo lubię.

– Masz na myśli alkohol czy japońskich pilotów samobójców?

Leopold wymijająco wzruszył ramionami.

– W dzieciństwie chciałem zostać pilotem.

– Ale nie takim, który celowo rozbija samolot?

– Nie, nie takim.

– Więc z kimś rozmawiałeś? Ktoś opowiedział ci o tej sprawie? Podekscytowałeś się? Postanowiłeś zrobić z tego użytek, dostać ciepłe łóżko i strawę? Ktoś ci zasugerował, że wystarczy przyznać się do winy i dostać w zamian jedzenie i dach nad głową?

– Niby kto?

Decker dopił piwo i mocno trzasnął kuflem o kontuar, tak że Leopold aż podskoczył. Deckerowi o to właśnie chodziło. Chciał, żeby ten wymigujący się od odpowiedzi sukinsyn wreszcie, do cholery, się obudził.

– Nie wiem. Dlatego cię pytam. Czy ten ktoś ma nazwisko?

– Muszę iść.

Zaczął zbierać się do odejścia, ale Decker położył mu dłoń na ramieniu i przytrzymał go na miejscu.

– *À propos* więziennego wiktu – może coś na ząb? Wyglądasz na głodnego. Gliny cię nie nakarmiły, co?

– Skąd wiesz?

– Zostałeś oczyszczony z zarzutu morderstwa. Są wkurzeni. Trzymali cię o suchym pysku. Zamówmy więc coś do jedzenia i obgadajmy sprawę.

– Muszę już iść, serio.

– Dokąd? Masz się z kimś spotkać? Może pocłapię z tobą.

– Po co?

– Nie mam nic do załatwienia, a ty wydajesz się interesujący. Lubię interesujących ludzi. W tym mieście takich brakuje.

– W tym mieście jest pełno fiutów.

– Fiutów? Pełno, masz rację. Znasz jakiegoś wyjątkowego?

Leopold wstał i tym razem Decker pozwolił mu odejść. Czuł na sobie spojrzenie barmana. Tylko tego brakowało, żeby nasłał gliny.

– No to do zobaczenia – rzucił Decker.

Możesz na to liczyć.

Leopold wyszedł. Decker odczekał jakieś piętnaście sekund i zrobił to samo. Zamierzał śledzić Leopolda do samego „domu”, gdziekolwiek by się znajdował.

Ale kiedy Decker wyszedł na zewnątrz, po Leopoldzie nie było już śladu.

25

Decker chodził ulicą tam i z powrotem, przemierzając odcinek stu jardów. Obok baru była tylko jedna boczna uliczka, i to ślepa. Nie wychodziły na nią inne drzwi poza bocznym wejściem do baru oraz drzwiami sąsiedniej apteki, które były zakratowane i zamknięte na rygiel. Żadnych więcej bocznych ulic, do których Leopold mógłby dotrzeć w piętnaście sekund, nawet gdyby biegł ile sił w nogach. Decker wsunął głowę do baru, chcąc sprawdzić, czy Leopold nie okrążył przypadkiem knajpy i nie wszedł ponownie bocznymi drzwiami, ale nie było go w środku.

W pobliżu znajdowało się kilka otwartych sklepów, lecz w żadnym z nich nie dostrzegł Leopolda ani żadna z obecnych tam osób nie przypominała sobie, by widziała przechodzącego obok mężczyznę. Na ulicy nie było żywej duszy, ani jednego świadka, który mógłby coś zauważyć.

Nasuwała się tylko jedna odpowiedź: ktoś zabrał Leopolda samochodem. I choć brzmiało to absurdalnie, być może wszystko zostało wcześniej ukartowane. Ta sytuacja jedynie pogłębiła nieufność Deckera wobec Leopolda. Oraz jeszcze bardziej go zirytowała, ponieważ Leopold mu się wymknął.

Tak czy inaczej, Decker nie miał tu nic więcej do roboty, udał się więc w stronę liceum Mansfield.

Żałobnicy zniknęli, zastąpiły ich dwie grupy protestujących, ustawionych tuż za żółtą taśmą policyjną. Jedna opowiadała się za posiadaniem broni, druga była temu przeciwna. Ludzie skandowali hasła, wznosili okrzyki, momentami dochodziło do krótkich spięć między stronami.

Więcej broni! Precz z bronią! Druga poprawka do konstytucji! Broń zabija! Nie, zabijają ludzie! Gdzie jest kres tej rzezi?! Idź do diabła!

Decker ominął protestujących i posłużył się nowymi dokumentami, by przedostać się poza linię ochrony. Spotkał się z Lancaster w zaaranżowanym w bibliotece centrum dowodzenia.

Gdy zrelacjonował, co wydarzyło się w sądzie, sprawiała wrażenie mocno zdumionej.

– Tak po prostu wyszedł?

Decker przytaknął.

– Mac dostanie białej gorączki. Po Sheili Lynch spodziewałam się czegoś

więcej. Wygląda na to, że dała się zaskoczyć obrońcy.

– Po prostu wykonał swoją robotę. Prawda i sprawiedliwość niekoniecznie idą ze sobą w parze. Faktem jest, że Abernathy prawdopodobnie podjął słuszną decyzję. Skoro Leopold cofnął zeznania, nie było podstaw, by go zatrzymać. A sędzia już i tak był cięty na prokuratorkę, pewnie szukał sposobu na ukreślenie łba tej sprawie. No i znalazł. Oboje nieraz byliśmy tego świadkami.

Decker uczestniczył przez lata w tak wielu procesach, iż czuł się niemal jak prawnik, tyle że nie miał oficjalnie papierów i legitymacji adwokackiej.

– Cieszę się, Amosie, że potrafisz patrzeć na to w taki chłodny, racjonalny sposób – rzekła z lodowatą nutą w głosie.

– A jak inaczej miałbym patrzeć? – spytał bez ogródek. – W przeciwnym razie działałbym po omacku. I jaki mielibyśmy z tego pożytek?

Odwróciła wzrok, nerwowo żując gumę.

– Mniejsza z tym – rzekła. – Po prostu mam kiepski dzień.

Decker nie wspomniał o śledzeniu i zgubieniu Leopolda w barze. Nie sądził, by ta informacja wniosła cokolwiek do sprawy, poza tym czuł się jak ostatni idiota, że do tego dopuścił. A kto chciałby wyjść na idiotę, nawet jeśli jego mózg funkcjonuje inaczej?

– W FBI panuje podniecenie – zauważył. Agenci uwijali się z jeszcze większą energią niż normalnie.

– Seryjny morderca, powiązane sprawy, twoje odkrycia dotyczące Debbie Watson. To wszystko zdecydowanie podniosło stawkę. – Lancaster urwała i zaczęła przekładać leżące przed nią kartki. – Chcą z tobą porozmawiać, Amosie. Ci z FBI.

Wydawał się lekko zaskoczony.

– A to dlaczego?

– Przede wszystkim dlatego, że to ty odkrywasz świeże tropy. Poza tym jest rzeczą jasną, że zabójca ma z tobą jakieś osobiste porachunki. Wiadomość w twoim dawnym domu była adresowana do ciebie. Zaszyfrowany zapis w domu Debbie także odnosił się do ciebie. Dlatego FBI zasadniczo chce cię przesłuchać, by się zorientować, czy da się zdobyć jakieś wskazówki co do osoby, która być może mści się za coś na tobie.

– Kiedy mają zamiar to zrobić?

– Prawdę mówiąc, najlepiej teraz.

Decker podniósł wzrok i ujrzał stojącego obok wysokiego, szerokiego w barach mężczyznę po czterdziestce. Agent miał na sobie nieskazitelny garnitur z żółtą poszetką doskonale dobraną do krawata. Był gładko ogolony i wysportowany. Wyglądał na szefa zespołu, na co mogłoby wskazywać zachowanie pozostałych członków ekipy FBI, którzy patrzyli na niego z przejęciem.

Decker nie widział go nigdy wcześniej. Gość musiał dopiero co się pojawić, pewnie prosto z Waszyngtonu. Ciężka artyleria sprowadzona do ciężkiej sprawy, o której robiło się głośno w całym kraju. Bardzo federalne myślenie. Banalne przypadki zostawia się miejscowym, a federalni spijają śmietankę, badając przestępstwa, którym pisany jest ogólnokrajowy zasięg.

Mężczyzna wyciągnął rękę i się uśmiechnął, odsłaniając niewielką szparę między śnieżnobiałymi zębami.

– Agent specjalny Ross Bogart. Dołączam do zespołu z opóźnieniem, kończyłem pewne sprawy w Waszyngtonie. Panie Decker, znajdziemy cichy zakątek, by omówić kilka rzeczy, jeśli pan pozwoli.

– A gdybym nie pozwolił, to co?

– Wszystkim nam przyświeca ten sam cel. Wiem, że był pan policjantem, a później detektywem. Zna się pan na tej robocie i wie pan, że liczy się każdy szczegół. Niczego nie można pominąć, nawet najbardziej niejasnych sygnałów. Można prosić? – Wskazał drzwi w głębi biblioteki, za którymi – jak Decker odkrył już wcześniej – znajdowało się pomieszczenie wykorzystywane w charakterze czytelnicy przez uczniów, dla których angielski był drugim językiem.

Decker wstał i poszedł za mężczyzną. Dołączyła do nich jeszcze agentka, którą Decker już widział. Trzydziestoparoletnia blondynka o muskularnych łydkach i szczęce wysuniętej jak kamienna płyta. W jednej ręce trzymała dyktafon, w drugiej notes i długopis. Na biodrze nosiła odznakę agenta federalnego.

– Dołączy do nas agentka specjalna Lafferty – wyjaśnił Bogart.

– A detektyw Lancaster? – zaproponował Decker. – Siedzi po uszy w tej sprawie.

– Może później – odparł Bogart z uśmiechem, przepuszczając ich w drzwiach i włączając światło.

Usiedli przy małym stoliku, Decker po jednej stronie, agenci FBI po przeciwnej. Lafferty włączyła dyktafon i otworzyła notes, gotowa zapisywać każde słowo.

– Czy w dzisiejszych czasach, mając do dyspozycji tyle elektroniki, nadal uczą stenografii? – zapytał Decker, spoglądając na agentkę. – Nagranie jest stuprocentowo dokładne, podczas gdy stenogram, zamiast tego, co rzeczywiście zostało powiedziane, może zawierać interpretacje i selektywne niuanse, z których można w ogóle nie zdawać sobie sprawy. Tak mi tylko przyszło do głowy.

Kobieta nie bardzo wiedziała, jak zareagować, zerknęła więc na swojego szefa.

– Zacznijmy od początku, jeśli pan łaskaw. To pomoże mi być na bieżąco – poprosił Bogart.

– Może pozwoli mi pan streścić, żebyśmy nie tracili czasu – rzekł Decker. Nie czekając na przyzwolenie Bogarta, przystąpił do rekapitulacji faktów. –

Szesnaście miesięcy temu zamordowano moją rodzinę. Sprawa do dziś pozostaje nierozwiązana. – Następnie opowiedział agentom FBI, jak Sebastian Leopold przyznał się do zbrodni, trafił do aresztu, odwołał zeznania, po czym został zwolniony, ponieważ nie było dowodów pozwalających na jego dalsze zatrzymanie. – Jak państwo wiedzą, technicy kryminalistyczni odkryli związek pomiędzy masakrą w szkole a tamtymi morderstwami.

– Jest pan pewien, że to nie Leopold dokonał ataków w szkole?

– To wykluczone. Siedział w tym czasie w areszcie. Trafił tam na wiele godzin przed tym, jak napastnik zaczął siać spustoszenie.

– Rozpracował pan potencjalne kryjówki zabójcy – powiedział Bogart. – Stołówka. Chłodnia.

– Zestawiłem zeznania świadków i postawiłem hipotezę.

– Następnie znalazł pan w szafce Debbie Watson zeszyt z rysunkiem napastnika.

– To kolejna hipoteza.

Bogart mówił dalej, jak gdyby nie słyszał Deckera:

– Udał się pan do domu Watson i odkrył zaszyfowaną wiadomość w formie zapisu nutowego. Wcześniejszą wiadomość – czy raczej drwinę – ktoś wypisał na ścianie pańskiego domu, gdzie zamordowano pana rodzinę. Tamten napis także nie uszedł pańskiej uwadze. – Bogart przerwał i dodał po chwili: – Nie zamierza pan wtrącić, że to jeszcze jedna hipoteza?

– Nie muszę, skoro mnie pan ubiegł.

– Wydaje się pan traktować to wszystko dość lekko. Mogę spytać dlaczego?

– Niczego nie traktuję lekko. Dlatego rozpracowuję tę sprawę, chociaż nie jestem w policji.

Bogart zerknął na leżące przed nim akta.

– A ściślej: sprawy, prawda? Które dzieli szesnaście miesięcy.

– Dokładnie szesnaście miesięcy, dwa dni, dwanaście godzin i sześć minut.

– Skąd ta precyzja? Nawet nie spojrzął pan na zegarek.

– Na ścianie za panem wisi zegar.

Bogart się nie odwrócił, uczyniła to natomiast Lafferty i coś zanotowała.

Decker nie potrzebował patrzeć na zegar ścienny. Miał swój wewnętrzny chronometr, który wiernie odmierzał czas. Lepszy od roleksa i dużo tańszy.

– Mimo wszystko – rzekł Bogart. – Tak co do minuty?

– Co do s e k u n d y, gdyby chciał pan wiedzieć – odparł Decker ze spokojem. – A jeśli zastanawia się pan, gdzie byłem, gdy w szkole rozpętało się piekło, to wyjaśniam, że w drugim komisariacie policji.

Bogart zmarszczył czoło i skonsternowany spojrzął na Deckera.

– Dlaczego od razu podaje pan alibi? Sądzi pan, że z jakiegoś powodu podejrzenie pada na pana?

– Jeśli dobrze się zastanowić, każdy może być podejrzany z jakiegoś powodu.

Decker obserwował, jak Lafferty notuje jego wypowiedź słowo w słowo.

– Czy celowo zachowuje się pan w nieprzyjazny sposób, panie Decker? – zapytał uprzejmie Bogart.

– Nie, po prostu taką mam naturę. Niech pan zapyta kogokolwiek z moich znajomych. Nie filtruję swoich wypowiedzi. Utraciłem tę umiejętność dawno temu i nigdy jej nie odzyskałem.

– Ma pan wybitne zasługi dla policji. Pan oraz pańska partnerka.

– Była partnerka – poprawił Decker, ponieważ odczuwał potrzebę precyzji, zwłaszcza w obecnej sytuacji.

– Była partnerka – zgodził się Bogart. – Ale z rozmów z ludźmi wynika, że to pan wiódł prym w tym duecie. Nie zaryzykuję stwierdzenia, że to pan był jego mózgiem, ponieważ nie mam zamiaru umniejszać wkładu pracy detektyw Lancaster.

– Miło mi to słyszeć – odparł Decker. – Bo Mary jest dobrym detektywem i haruje jak wół. – Przeniósł spojrzenie na Lafferty. – Jeśli i pani będzie ciężko pracować, być może awansuje pani na kogoś ważniejszego niż sekretarka własnego szefa. Jestem pewien, że posiada pani niezbędne umiejętności, gdyby tylko miała pani okazję je wykorzystać.

Lafferty zaczerwieniła się i odłożyła długopis.

Bogart pochylił się w stronę Deckera.

– Ta osoba najwyraźniej prowadzi wojnę przeciwko panu. Jakieś sugestie, kto to może być?

– Gdybym się domyślał, już dawno przekazałbym tę informację wydziałowi policji w Burlington.

– Pracujemy nad tym wszyscy razem – podkreślił Bogart, a z jego twarzy znikł uprzejmy uśmiech.

– Cieszę się, że pan tak uważa.

– Zatem nikt nie przychodzi panu do głowy?

– Kiedy rozmawiałem z Leopoldem, powiedział mi, że go znieważylem w 7-Eleven. Podobno zdarzyło się to około miesiąca przed zamordowaniem mojej rodziny. Problem w tym, że nigdy nikogo tam nie obraziłem. Gdybym miał z kimś na pieńku, na pewno bym o tym pamiętał.

– Chce pan powiedzieć, że pańska pamięć jest niezawodna?

– Chcę powiedzieć, że pamiętałbym, gdybym miał z kimś na pieńku.

– Minęło tyle czasu, że mógłby pan zapomnieć. Poza tym może to była jakaś błaha bądź z pozoru niewinna sprawa. Coś, na co nawet nie zwrócił pan uwagi. Wszystkim nam umykają różne rzeczy. A pamięć jest z natury zawodna.

– Kiedy się pan urodził?

- Co takiego? – zachnął się Bogart.
- Proszę powiedzieć, kiedy pan się urodził. Podać dzień, miesiąc, rok.
- Bogart łypnął okiem na Lafferty i odpowiedział:
- Drugiego czerwca tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku.
- Decker kilkakrotnie zamrugał powiekami i oznajmił:
- W takim razie przyszedł pan na świat w niedzielę.
- Bogart aż się odsunął.
- Tak jest. Oczywiście wtedy tego nie wiedziałem. A skąd pan wie? Zaglądał pan do moich akt personalnych?
- Nie miałbym do nich dostępu. Jeszcze pięć minut temu nie wiedziałem o pana istnieniu. Gdyby życzył pan sobie kolejnych dowodów, mogę obliczyć to samo dla pana koleżanki.
- Do czego pan zmierza?
- Do tego, że pamiętałbym, gdybym obraził kogoś w 7-Eleven, nieważne, czy stałoby się to siedemnaście miesięcy, czy siedemnaście lat temu.
- Czyli uważa pan, że Leopold kłamie?
- Myślę, że Sebastian Leopold nie jest człowiekiem, za którego się podaje.
- A dokładniej?
- Nie jest ani bezdomny, ani niespełna rozumu.
- Twierdzi pan, że nie jest bezdomny i nie postradał zmysłów?
- Twierdzę, że jest niebezpieczny.
- Powiedział pan, że Leopold nie mógł przeprowadzić ataku w szkole. Sądzi pan, że to on zamordował pańską rodzinę?
- Na pewno nie osobiście. Ma alibi. Zastanawiam się jednak, czy nie ma z tym czegoś wspólnego.
- Dlaczego?
- Ponieważ aresztowano go pod zarzutem morderstwa, do którego sam się przyznał. A teraz jakby zapadł się pod ziemię. Nie ryzykuje się w żadnej z tych dwóch sytuacji.
- Więc uważa pan, że maczał w tym palce. I przepadł jak kamień w wodę?
- Nie mam dowodów. Nawet jeśli go znajdziemy, nie możemy postawić mu zarzutów na podstawie tego, co wiemy, a co zasadniczo sprowadza się do zera.
- Więc dlaczego go pan podejrzewa?
- To pytanie padło z ust Lafferty.
- Bogart odwrócił się w jej stronę, jakby zaskoczony, że w ogóle się odezwała.
- Decker spojrzał jej prosto w oczy.
- Ponieważ jest nieprzenikniony. A mnie nie podobają się ludzie, którzy zachowują się w niezrozumiały sposób.

Decker zostawił Bogarta i Lafferty w małej czytelnicy, sam zaś ruszył korytarzem w kierunku stołówki. Tam wszystko się zaczęło. Pomieszczenie z podłogą przykrytą starym linoleum w szachownicę wciąż go wzywało.

Tak jak pieśń syreny wabi żeglarza na jego zgubę.

Obszedł stołówkę, zajrzał do chłodni, skręcił za róg, sprawdził kuchnię, a następnie rampę na zewnątrz, skąd prowadziła droga do lasu. Początkowo sądzili, że napastnik uciekł właśnie tędy. Cóż, wielu nadal tak uważało i dlatego od kiedy Decker dokonał swego odkrycia w stołówce, technicy dokładnie przeczesywali całą ścieżkę i jej sąsiedztwo.

Tymczasem on sam już nie wierzył w tę wersję wydarzeń.

Wrócił do budynku i rozsiadł się na krześle. Szeroki zadek zwisał po obu stronach siedziska, a Decker nieomal słyszał jęk cienkich nóg mebla, nieprzywykłego do dźwigania takiego ciężaru.

Właściwie po co napastnik w ogóle wchodził do stołówki? Strzelanina rozpoczęła się daleko stąd. To pomieszczenie było najdalszym możliwym miejscem, prócz sekretariatu i biblioteki, w których o tej porannej porze znajdowałiby się ludzie.

Siódma dwadzieścia osiem – Melissa Dalton usłyszała dźwięk przypominający świst, który towarzyszy otwieraniu drzwi chłodni.

Ósma czterdzieści jeden – kamera zarejestrowała mężczyznę w kamuflażu.

Ósma czterdzieści dwie – Debbie Watson straciła twarz oraz życie.

Nie wiadomo, co się działo przez godzinę i trzynaście minut.

Co zajęło mu tak wiele czasu? Przecież był już odpowiednio ubrany i uzbrojony. Dlaczego zwlekał? Czy w ogóle zwlekał? Może coś wtedy r o b i ł. Coś istotnego dla przeprowadzenia planu, co wymagało czasu.

Decker siedział tak przez kilka minut, analizując przebieg wydarzeń.

Nie widziano żadnej osoby idącej ze stołówki w stronę odległego korytarza, gdzie zginęła Debbie Watson. Zidentyfikowano i przesłuchano dwoje ludzi – nauczycieli – którzy najprawdopodobniej zauważyliby kogoś, kto przemierzałby ten odcinek drogi w owym czasie. Trudno tu o stuprocentową pewność, ponieważ wystarczyła minuta w jedną czy drugą stronę bądź odwrócenie głowy w prawo zamiast w lewo, aby trafić w martwy punkt.

Jeśli jednak zabójca zaczął od stołówki, musiał przedostać się przez nikogo niewidziany na drugi koniec szkoły. To był punkt A.

Z r o b i ł to. Punkt B.

Punkt C dotyczył tego, j a k to zrobił. Decker desperacko pragnął znaleźć wyjaśnienie punktu C.

I wtedy coś zaczęło z wolna przesączać się w tyle głowy, przepływać przez precyzyjny filtr, w jaki przekształcił się jego mózg wskutek piekielnego zderzenia

z chłopakiem z bagien. Wąska strużka przebiła się na drugą stronę, przybierając kształt konkretnej myśli.

Decker zerwał się z miejsca i wypadł na zewnątrz. Podbiegł do kamienia węgielnego szkoły i odczytał datę.

1946.

Tak przeczuwał, ale widok tych cyfr podtrzymał pewność co do formującej się w jego głowie teorii. Gdy jego wzrok padł na niektóre z cyfr, w głowie rozbłysły kolory, ale w tej chwili barwy nie interesowały go ani trochę.

1946.

Rok po zakończeniu drugiej wojny światowej.

Oraz data niemal natychmiastowego rozpoczęcia następnej.

Zimnej wojny.

Groźba wojny jądrowej. Ostatecznego kataklizmu. Dzieci kulące się pod lichymi stolikami w trakcie próbnych alarmów przeprowadzanych na wypadek wybuchu bomby wodorowej. Tak jakby laminat o grubości jednego cala mógł ochronić przed równowartością miliona ton trotylu.

Decker biegiem wrócił do stołówki, mijając w korytarzu kilku patrzących podejrzliwie agentów Biura Federalnego. Zignorował ich. Ledwie ich zauważył. Zwęszył trop. Zbudował w swej głowie ściany umożliwiające zaszufladkowanie wszystkich informacji w tej linii śledztwa, która może przynieść odpowiedź na pytanie pozostające dotąd bez odpowiedzi.

Stanął na środku stołówki i zlustrował wszystkie cztery kąty, po czym się wycofał. Przeszedł do kuchni i zrobił to samo. Następna była rampa.

Nie dostrzegł niczego, co choćby w niewielkim stopniu przypominało to, czego szukał. Chodziło o to, że za mało wiedział. W pracy śledczej wiecznie borykał się z tym samym cholernym problemem.

Nie wiem wystarczająco dużo. Człowiek, który niczego nie zapomina, ma zbyt skąpą wiedzę. Trudno o większą ironię losu.

Ale skoro Decker miał niewystarczającą wiedzę, może podobnie było z napastnikiem. Może napastnik musiał zwrócić się do kogoś, kto wiedział wystarczająco dużo.

Albo znał kogoś, kto wiedział.

Ta teoria, jeśli dobrze ją rozpracować, mogłaby przynieść odpowiedzi na kilka pytań.

Szkoła to obiekt, budynek. Podlega zmianom. W ciągu dziesięcioleci bez wątplenia wprowadzano zmiany. W 1946 roku z pewnością nie było tu podwieszanego sufitu. Co jeszcze dobudowano, a co rozebrano?

Albo zasłonięto? Ponieważ nie było już potrzebne. A później o tym zapomniano.

Decker wśliznął się do biblioteki i gestem przywołał do siebie Lancaster.

Zakończyła rozmowę telefoniczną i szybkim krokiem podeszła do drzwi wejściowych. Decker doskonale zdawał sobie sprawę, że jest obserwowany przez agenta specjalnego Bogarta oraz jego „sekretarkę” Lafferty, siedzących w rogu w głębi biblioteki.

Powiedział coś do Lancaster cichym głosem, na jego twarzy nie było widać napięcia. Jakby ucinali sobie błąhą pogawędkę. Odwrócili się i wyszli razem za drzwi.

Gdy znaleźli się w korytarzu, Lancaster rzekła:

- Naprawdę myślisz, że to możliwe? W życiu o tym nie słyszałam.
- To jeszcze nie dowód, że nie istnieje.
- Chodziłeś do tej szkoły. Słyszałeś, by ktokolwiek o tym rozmawiał?
- Nie. Ale z drugiej strony nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby zapytać. Zresztą może pochodzić z odległych czasów. Prawdopodobnie właśnie tak jest.
- Kto wiedziałby to na pewno? Z tego, co mówisz, wynika, że zbudowano je ponad sześćdziesiąt lat temu. I możliwe, że nigdy nie wykorzystano. Ci, którzy mogliby być zorientowani, pewnie już nie żyją albo są na łożu śmierci.
- A uczniowie z tamtych czasów?
- Oni też będą już wiekowi. Z kolei nauczyciele powymierali niemal na sto procent.
- Musi być jakiś sposób, Mary. Przechowuje się akta...

Wyszli na zewnątrz, a Decker urwał w pół zdania, gdy jego wzrok padł na dawną bazę wojskową po lewej stronie.

- Wojsko może mieć coś w archiwach – zauważył.
- Wojsko? Dlaczego akurat oni?
- Baza znajdowała się tu od... lat trzydziestych, zdaje się?
- Owszem. Pracował tam mój dziadek wraz z połową mieszkańców Burlington. Podczas drugiej wojny światowej koncentrowano tu wojsko, tak jak we wszystkich innych obiektach militarnych w całym kraju.
- Więc na pewno była tu, zanim zbudowano szkołę. Wielu rodziców pracujących w bazie posyłało swoje dzieci do Mansfield.

Lancaster najwyraźniej rozumiała, do czego zmierza Decker.

- Myślisz więc, że mogli zainicjować ten pomysł?
- A jeśli pradziadek Debbie Watson, który był zatrudniony w bazie od końca lat sześćdziesiątych, wiedział o wszystkim i opowiadał małej Debbie, gdy z nimi zamieszkał?
- I sądzisz, że mogła przekazać te informacje napastnikowi?
- Nie widzę innego powodu, dla którego miałby jej potrzebować.
- No a jak by się dowiedział, że Debbie jest wtajemniczona?
- Na wiele różnych sposobów. To nieistotne. Jeżeli mam jednak rację, dowiemy się, jakim cudem napastnik przedostał się ze stołówki do korytarza

w głębi budynku przez nikogo niezauważony. A gdy ustalimy ten fakt, być może zdołamy dojść po nitce do kłębka, czyli do miejsca, z którego ten sukinsyn wyruszył.

Szybkim krokiem zmierzali do samochodu Lancaster.

Z okna obserwował ich agent specjalny Bogart. Wysłannik z Waszyngtonu nie miał zadowolonej miny.

Agentka specjalna Lafferty skrzątnie coś notowała.

27

Drzwi otworzył George Watson. Wyglądał jak siedem nieszczęść, a na prawym policzku miał fioletowego siniaka.

– Nic panu nie jest? – zapytała Lancaster.

Watson oparł się o framugę, chyba głównie dla złapania równowagi.

– N-nic. Moja... moja ż-żona ode mnie odchodzi, ale n-nic mi n-nie jest. Cholera, d-dlaczego miał-łoby być i-inaczej?

Decker przysunął się bliżej i pociągnął nosem, podczas gdy Lancaster starała się zatrzymać na sobie spojrzenie Watsona.

Decker popatrzył na nią i ledwie zauważalnie skinął głową. Był to ich stary rytuał jeszcze z czasów wspólnej pracy w policji. Skinienie oznaczało pijanego, przeczący ruch głowy – trzeźwego albo prawie trzeźwego. W tym wypadku test węchowy był w zasadzie zbędny. Niewyraźna mowa, niemożność ustania na nogach bez pomocy ściany oraz zamglony wzrok Watsona mówiły same za siebie.

– Czy zastaliśmy pańską żonę? – zapytał Decker.

George wskazał w głąb domu.

– P-pakuje się. Su-suka!

– To bardzo trudny czas dla was obojga – powiedział Decker.

– Stra-straciłem moją córeczkę... a teraz... żo-żonę. Ale wie pan c-co?

– Nie. Co?

– P-pieprzyć je. – Machnął zdeformowaną ręką. – P-pieprzyć.

– Może się pan położy – zasugerowała Lancaster. – I odstawi alkohol.

George wydawał się urażony.

– Ja... nie p-piłem. – Głośno beknął i wyglądał tak, jakby miał za chwilę wymiotować.

– Dobrze wiedzieć. Tak czy inaczej, musi pan się przespać.

Decker chwycił mężczyznę pod zdrowe ramię, zaprowadził do salonu i podszedł z nim do sofy.

– Niech pan tu odpocznie, a my w tym czasie porozmawiamy z pańską żoną.

Opadłszy na kanapę, George wymamrotał:

– Ona n-nie jest moją żo-żoną. Już n-nie. Dziwka!

Zamknął oczy i zamilkł. Słychać było tylko jego oddech.

Decker poprowadził Lancaster korytarzem pod drzwi, zza których dobiegały hałasy.

Decker zapukał.

– Pani Watson?

Usłyszeli, jak coś spada i uderza o podłogę.

– Kto tam? – warknęła Beth Watson.

– Policja – oznajmiła Lancaster.

– Ten kurdupłowaty sukinsyn wezwał policję?! – wrzasnęła Beth. – Tylko dlatego, że mu przyłożyłam? On uderzył mnie pierwszy, ten fiut bez ręki!

– Nie chodzi o niego. Chodzi o pani córkę.

Drzwi otworzyły się z rozmachem i ukazała się w nich Beth Watson ubrana tylko w białą halkę i buty na obcasie. Na tym tle jej jasna skóra wydawała się jeszcze bledsza. I zwiotczała na ramionach. Kobieta miała czerwony, spuchnięty policzek. Decker nie musiał podchodzić bliżej, by przeprowadzić węchowy test trzeźwości. Beth była pijana, a zarazem potrafiła stać prosto jak struna i mówić składnie. Przynajmniej miała nadzieję, że wyraża się logicznie i spójnie.

– Czego chcecie od mojej córki?

– Kiedy byliśmy tutaj poprzednio, pytałem pani męża o jej dziadka.

W konsternacji ściągnęła brwi.

– O Simona? Dlaczego?

– Przed emeryturą pracował w bazie wojskowej McDonalda?

– Zgadza się. I co z tego? Nie żyje od ładnych kilku lat.

– Ale mieszkał tu z panią i pani mężem. Oraz z Debbie.

– Tak. No i? – W przeciwieństwie do męża Beth nie musiała opierać się o framugę. Wyraźnie lepiej radziła sobie z alkoholem niż George. Może ma większą wprawę, pomyślał Decker.

– Czy kiedykolwiek rozmawiał z panią o swojej pracy w bazie? – zapytał.

– Był w takim wieku, że rozprawiał w y ł ą c z n i e o przeszłości. O drugiej wojnie światowej. O wojnie koreańskiej. O pracy dla rządu. Ple, ple, ple. I tak dniami i nocami. Do wyrzygania. Kto, do cholery, chce żyć przeszłością?

Przepchnęła się obok Deckera i wrzasnęła do korytarza:

– Kto, do cholery, chce żyć przeszłością, George? Bo ja nie! Interesuje mnie przyszłość! Moja przyszłość! Przeszłość może pocałować mnie w dupę. Ty też możesz pocałować mnie w dupę, ty kaleko bez jaj!

Decker posłużył się swoim mocnym ramieniem, by delikatnie skierować ją z powrotem do pokoju.

– Czy wspominał kiedyś o jakichś robotach prowadzonych w Mansfield?

Oczy kobiety nieomal wyskoczyły z orbit.

– W Mansfield? Nie pracował w Mansfield. Tylko w bazie wojskowej.

– Jasne. Ale baza sąsiaduje ze szkołą.

Kobieta chwyciła leżącą na stoliku nocnym paczkę papierosów i zapaliła. Zaciągnęła się i spiorunowała Deckera wzrokiem.

– Nie rozumiem, co to ma do rzeczy.

– Szkołę zbudowano na samym początku zimnej wojny, wkrótce po zakończeniu drugiej wojny światowej. W całym kraju na podwórkach zakładano schrony. Ludzie robili to samo także wewnątrz budynków, między innymi w szkołach. W piwnicach były schrony przeciwbombowe.

W oczach kobiety pojawił się przeblysł pamięci.

– Zaraz, zaraz. Dawno temu Simon rzeczywiście opowiadał coś o... no, jak ten dinks się nazywa... w Mansfield. Nie budowali go od podstaw. Tylko rozbudowywali. Całkiem o tym zapomniałam.

– A konkretnie o jakim dinksie mówimy? – zapytała uszczypliwie Lancaster. Beth wskazała palcem na Deckera.

– No o tym, co on mówił. O takim miejscu, bezpiecznym miejscu pod szkołą na wypadek ataku Ruskich.

– Sowietów – poprawił Decker. – Ale blisko. Opowiadał coś o tym? Na przykład o tym, gdzie schron był zlokalizowany?

– Nie, nic z tych rzeczy. Widocznie nigdy go nie używali. A potem chyba zamknęli go na głucho albo co, bo nie chcieli, żeby ktoś tam włąził. Wiecie, w licealistach buzują hormony. Można sobie wyobrazić, co by się tam działo. – Umilkła i dodała cichym głosem: – Orgie. – Zachichotała i czknęła. – Gdybym wiedziała o tym jako uczennica, zakradłabym się tam jako pierwsza.

Krzyknęła w stronę korytarza:

– Orgie, ty złamasie! Oto, co będę jutro robiła! Orgie z innymi facetami! Z całą bandą facetów!

Decker kolejny raz zawrócił ją do pokoju.

– A więc pod budynkiem jest schron. Mamy szczęście, że się pani przypomniało – zauważyła Lancaster, zerkając z ukosa na Deckera.

Beth uśmiechnęła się krzywo.

– Tak w ogóle mam pamięć do bani. Ale przypominam sobie, jak Simon kiedyś mi o tym opowiadał, gdy szykowałam kolację. Zabawne, nigdy nie słuchałam tego starego pierdziela, no i, jak już mówiłam, mam kiepską pamięć. Zapominam o urodzinach i podobnych bzdetach. Ale piekłam wtedy niemiecki tort czekoladowy. Po raz pierwszy i ostatni w życiu. I pewnie to je przywołało.

– Co przywołało co? – dopytywała się zbita z tropu Lancaster.

– Tort czekoladowy. No wiecie, Niemcy i Rosjanie. Byli wtedy w Niemczech, zgadza się? To znaczy ci Ruscy.

– Zgadza się – przyznał Decker. – Byli. Przynajmniej połowa.

Uśmiechnęła się.

– Dziwne, jak się to człowiekowi kojarzy jedno z drugim.

– Niech mi pani powie – poprosił Decker. – Czy Simon miał w mieście jakichś znajomych, którzy jeszcze żyją i mogą coś wiedzieć na temat podziemnego schronu?

– Nigdy o nikim nie wspominał. Miał ponad dziewięć dych, kiedy umarł. Teraz dobijałby do setki. Wszyscy już kopnęli w kalendarz, no nie? – I dodała cichym głosem: – Tak jak moja Debbie.

Zapadło niezręczne milczenie. Wreszcie odezwał się Decker:

– Gdyby przypomniała sobie pani coś jeszcze, proszę zadzwonić do obecnej tu detektyw Lancaster. To ważne. Chcemy dowiedzieć się, kto to zrobił. Kto zrobił to... Debbie.

– Nadal uważacie, że... była z nim w zмовie?

– Wcale tak nie uważamy.

Beth zadrżały usta.

– Debbie była dobrym dzieckiem.

– Z pewnością. Tym bardziej chcemy wiedzieć, kto za tym stoi.

Lancaster zerknęła na częściowo spakowaną walizkę.

– Wprawdzie to nie moja sprawa, ale czy uważa pani, że trzeba porywać się na tak drastyczny krok tuż po utracie córki? Może byłoby lepiej dla pani i męża przejść przez to razem, a dopiero później podjąć jakieś decyzje. Co nagle, to po diable.

Beth rzuciła policjantce kose spojrzenie.

– Chciałam odejść dwa lata temu, ale zostałam ze względu na Debbie. A jej już nie ma. Więc nie mam zamiaru marnować ani sekundy życia w tej pieprzonej norze. A teraz, zechcecie wybaczyć, muszę skończyć się pakować i wiać jak najdalej stąd.

Zatrzasnęła im przed nosem drzwi sypialni.

– No to tyle w temacie „na dobre i na złe” – skwitowała Lancaster.

– Dla niektórych im dłuższy staż, tym gorzej dzieje się w małżeństwie – rzekł Decker. – W każdym razie przynajmniej wiemy, że moja teoria może się potwierdzić. Simon coś w i e d z i a ł. O podziemnym schronie w szkole.

– No to co robimy? – zapytała Lancaster.

– Wyjdźmy na zewnątrz. Ty sobie zapalisz, a ja zadzwonię.

– Wiesz, że mogę rzucić w każdej chwili.

Zatrzymał na niej wzrok.

– Nie możesz, Mary. Jesteś uzależniona od nikotyny.

– Żartowałam. Cholera, musisz brać wszystko tak dosłownie?

Ale Decker już trzymał przy uchu komórkę.

Dopiero po trzech rozmowach telefonicznych i odsyłaniu go od osoby do osoby Decker trafił wreszcie na kogoś, kto z grubsza rozumiał, o co mu chodzi. Cierpliwie wyjaśniał, kim jest i czego chce.

– Mansfield – rzekła kobieta po drugiej stronie linii. – Tam, gdzie doszło do tragedii?

– Tak jest – potwierdził Decker. – Próbujemy ustalić, jak zabójca wszedł do budynku i jak się stamtąd wydostał. Pomyśleliśmy, że skoro szkoła sąsiaduje z bazą wojskową, może tam coś znajdziemy. Tak się składa, że dowiedzieliśmy się o istnieniu jakiegoś podziemnego przejścia bądź obiektu. Chcielibyśmy uzyskać potwierdzenie oraz szczegółowe dane, jak się tam wchodzi, żebyśmy nie musieli przewracać całej szkoły do góry nogami w poszukiwaniu wejścia.

– Będę potrzebowała pisemnej prośby na stosownym papierze firmowym, żebym mogła ją zweryfikować i zainicjować działania.

– Dobrze. A gdy prośba zostanie już zweryfikowana i będą podjęte działania, jak długo to potrwa? Szukamy mordercy. Człowieka, który zastrzelił kilkanaście osób. Im dłużej będzie się to przeciągać, tym dalej zabójca ucieknie.

– Chciałabym móc zapewnić, że wszystko pójdzie szybko. Ale to Armia Stanów Zjednoczonych. Jedyne miejsce, gdzie akcja jest błyskawiczna, to pole bitwy. Natomiast z dala od linii frontu – nie za bardzo.

Decker został poinstruowany, gdzie należy wysłać prośbę, i się rozłączył.

Obejrzał się na Lancaster, która przez cały czas stała oparta o maskę samochodu i zdążyła wypalić nie jednego, a trzy papierosy, podczas gdy Decker podejmował próżne wysiłki dogadania się z wojskiem.

Lancaster rzuciła ostatni niedopałek i wgniotła go obcasem w asfalt.

– No i?

– No i prędzej umrzemy ze starości, niż się do nas odezwą.

– Więc co teraz?

– Wygląda na to, że musimy poszukać na własną rękę.

28

Decker i Lancaster przemierzali stołówkę, zaczynając z dwóch przeciwległych końców.

– Wejście powinno znajdować się tutaj, to ma sens – stwierdziła Lancaster. – Duże pomieszczenie, można zgromadzić wielu uczniów i w razie niebezpieczeństwa sprowadzić wszystkich do schronu.

Decker kiwnął głową, ale milczał.

Lancaster ciągnęła:

– Jeśli jest tutaj, musi być za czymś ukryte. Może za sprzętem?

Decker zaprzeczył ruchem głowy.

– Za dużo z tym zachodu. W nagłych wypadkach dostęp musi być szybki.

– Pewnie zabito je deskami – zwróciła uwagę Lancaster. – Zabudowano.

– Przecież napastnik nie mógł pruć ścian, podłóg czy sufitów. Narobiłby mnóstwo hałasu i pozostawił dowody na to, jak przedostał się stąd do korytarza na tyłach budynku.

– Przecież zostawił po sobie ślady. Zepsute jedzenie, pamiętasz?

– Zrobił to celowo. Po wyjściu stamtąd mógł bez trudu obniżyć temperaturę. Do licha, przecież nie musiał siedzieć w chłodni całą noc. Zależało mu, abyśmy wiedzieli, że tam był. Nie chciał natomiast, abyśmy się dowiedzieli, jak przemieścił się od frontu budynku na tyły. Przynajmniej nie od razu. Dlatego pozostawił ślady na suficie oraz kurz z sufitowego kasetonu na podłodze. Klasyczny zwód. Robi nas w trąbę. Przez niego marnujemy czas. On zaciera ręce, my jesteśmy w lesie.

Lancaster nie przestawała się rozglądać.

– Szukamy wejścia, które zamknięto na głucho. Nie wiemy tylko jak ani gdzie.

– Mogli je zamknąć na wiele sposobów. Ważne jest to, że nasz kolega zaprzyjaźnił się z Debbie tylko i wyłącznie z jednego powodu: żeby wydobyć od niej informacje na temat przejścia.

– Daj spokój, Decker. Skąd miałby w ogóle wiedzieć o jego istnieniu?

– Ja domyśliłem się tego na podstawie obserwacji, przeczuć, odrobiny poszukiwań i dociekań. On mógł zrobić to samo. To stosunkowo małe miasto. Mógł się dowiedzieć wieloma różnymi kanałami, że Simon Watson pracował w bazie. Być może doszły go słuchy, że Simon mieszkał kiedyś z Watsonami. Facet mógł zbliżyć się do Debbie, by zorientować się, czy dziewczyna ma o tym jakiegokolwiek pojęcie. A ona oczywiście je miała.

– Wymaga to planowania i przezorności.

– To wyraźnie mocna strona naszego ptaszka.

Decker chodził tam i z powrotem przed ścianą. Zauważywszy to, Lancaster rzekła:

– Założę się, że te zasady nie zmieniły się od sześćdziesięciu lat. Zapewne stosowałaś się do nich, chodząc tu do szkoły? – dodała z przyklejonym uśmiechem.

Zasady, o których napomknęła, były wywieszane na fragmencie ściany, któremu Decker uważnie się przyglądał. Obejmowały zakaz głośnego mówienia, wyrzucania jedzenia, wyjadania z cudzego talerza, zostawiania na stołach kartonów po mleku, biegania, nakaz wrzucania wszystkich resztek do kubła i tak dalej, i tak dalej.

– Amosie, powiedziałam...

Dał jej znak, by umilkła, sam zaś nadal krążył przy ścianie, a potem przeniósł spojrzenie na podłogę.

– Co tu widzisz, Mary?

Pochyliła się i popatrzyła na wskazane miejsce.

– Jakieś ślady. Pewnie uczniowskich butów.

– Nie sądzę. W Mansfield nie wymaga się mundurków. Większość chłopców nosi tenisówki. A z tego, co zauważyłem, dziewczyny chodzą zwykle w tenisówkach, balerinach albo butach na grubych obcasach. Tego rodzaju obuwie

nie pozostawiłoby na podłodze takich śladów. Linoleum jest tu wręcz porysowane. Rysy nie są krótkie, jak od obcasów, tylko długie. Tworzą delikatnie zakrzywioną linię. Jest ich tu kilka.

– Jak myślisz, co to za ślady?

Decker przysunął się bliżej do ściany, na której umieszczono zasady zachowania się w stołówce. Były wypisane na dużej drewnianej tablicy pomalowanej na kolor ściany. Drewniana płyta sięgała od podłogi prawie do sufitu.

– Nie widać żadnych zawiasów – mruknął. – Ale...

Wcisnął palce pod deskę z prawej strony i pociągnął w kilku miejscach. Zrobił to samo po drugiej stronie. Wreszcie po dziesięciu minutach sondowania, szarpania i naciskania rozległ się cichy trzask i cały fragment ściany zasłoniętej tablicą otworzył się na zewnątrz. Decker pociągnął, otwierając szerzej. Pod spodem ukazały się stare drewniane drzwi pomalowane tą samą farbą co ściana.

– Spójrz na podłogę – powiedział Decker.

Lancaster dostrzegła świeże rysy w miejscu, gdzie drewno tarło o podłogę przy odsuwaniu ściany.

– A niech to, Amosie. To ślady otwieranych drzwi.

– Zawiasy umocowano mniej więcej dwanaście cali głębiej na specjalnym stelażu, żeby nie były dla nikogo widoczne. Jednak z czasem nieco opadły i stąd zdarte linoleum. – Przesunął palcem po zawiasach. Palec pociemniał.

– Świeżo naoliwione – stwierdził Decker.

Na spodzie fragmentu ściany tkwiła pośrodku niewielka gałka.

– Jak myślisz, do czego miała służyć?

Decker zastanawiał się przez chwilę.

– Do wygodniejszego zamykania ruchomej ściany z drugiej strony.

– Jasne. Ale po co w ogóle te drzwi? Skoro chcieli całkowicie odciąć wejście, dlaczego zwyczajnie nie zabili go dechami?

– Nie wiem, Mary. Wybudowanie przejścia musiało kosztować kupę forsy. Może chcieli mieć w miarę łatwy dostęp, na wypadek gdyby zdecydowali się kiedyś ponownie z niego korzystać.

– Pewnie tak.

– Nie widzę żadnych odcisków palców, ale lepiej nie ryzykować. Nie bez powodu nazywają je utajonymi odciskami.

Wyjął nóż z leżącego na kuchennym blacie pojemnika, by odsunąć pospolity zamek zabezpieczający drzwi. Otworzyły się cicho, co wskazywało, że także ich zawiasy niedawno naoliwiono.

Długie schody wiodły w atramentową ciemność.

Decker zdjął latarkę z uchwyty przymocowanego do ściany przy ladzie do wydawania posiłków i ponownie podszedł do drzwi.

– Gotowa?

– Nie należałoby zawiadomić reszty? – zaniepokoiła się Lancaster.
– Zawiadomimy, kiedy sprawdzimy, dokąd te schody prowadzą.
– A co z FBI?
– Pieprzyć FBI, Mary. To n a s z a sprawa, nie ich. – Świdrował ją wzrokiem. – Trzymasz ze mną?

W końcu kiwnęła głową i ruszyła za nim schodami. Dotarli na sam dół. Decker zatrzymał się i poświecił latarką.

– Patrz tam.

Ujrzeni oparte o ścianę dwie duże płyty z malowanej sklejki. Sterczały z nich powyginane gwoździe.

– Oto, czym zamknięto wejście do korytarza. Widziałem dziury po gwoździach dookoła podwójnych drzwi. Były zabite tą sklejką. Gdyby ktokolwiek wykombinował, że tablica z zasadami zachowania się w stołówce jest ruchoma, ujrzałby za nią jedynie litą ścianę.

– Sądzisz, że to robota zabójcy?

Decker oświetlił podłogę.

– Na pewno. Trociny na podłodze wyglądają na dość świeże. Kiedy wyciągał gwoździe, drewniany pył opadł na podłogę. Podobnie, kiedy gość taszczył płyty po schodach. Mógł też użyć piły do cięcia drewna.

– Co oznacza, że musiał zrobić to wcześniej. Trudno żeby odrywał drewniane ścianki w trakcie szkolnych zajęć. Za dużo przy tym hałasu.

– Mógł się przygotować poprzedniego wieczoru. Wychodzi z chłodni i przystępuje do pracy. W budynku nie ma nikogo, nikt nic nie słyszy. Odchyła drewnianą płytę z tablicą, przechodzi na drugą stronę, otwiera drzwi i odstawia wszystko w korytarzu.

– Może dlatego ukrywał się w chłodni, Amosie.

– Niewykluczone – przyznał Decker.

Jeszcze raz wskazał na podłogę. W drewnianym pyłe wyraźnie odznaczały się odciski butów zmierzające w tym samym kierunku co Decker i Lancaster.

D w i e dobrze widoczne ścieżki.

– Trzymaj się prawej strony, Mary, żeby niczego nie zdeptać. I rób zdjęcia telefonem.

– Okej, ale skąd dwie ścieżki? Czy szły tędy dwie różne osoby?

Decker pochylił się i oświetlił ślady latarką.

– Nie. Odciski butów wyglądają na identyczne. To nie ślady dwóch ludzi idących obok siebie. Odstęp między nimi jest zbyt mały. Ale dwie ścieżki mają sens.

– Dlaczego?

– Chodźmy.

Posuwali się w głąb korytarza, Lancaster fotografowała ślady. Przeszli przez

masywne metalowe drzwi o grubości dwunastu cali, które otwierały się bez trudu, ponieważ były umocowane na hydraulicznych zawiasach.

– Drzwi przeciwwybuchowe – stwierdził Decker.

Korytarz kończył się obszernym pomieszczeniem o szerokości mniej więcej czterdziestu stóp i dwa razy takiej długości. Podłoga była z betonu, ściany i strop również. Na ścianach widniały znaki instruujące, jak postępować w sytuacji zagrożenia. W kilku miejscach odbito symbol trupiej czaszki i skrzyżowanych piszczele, uniwersalny znak przestrzegający przed niebezpieczeństwem. Wzdłuż ścian stały stare metalowe szafki z przykręconymi do nich tabliczkami: „MASKI GAZOWE”, „PIERWSZA POMOC”, „WODA I ŻYWNOŚĆ”. Wszechobecne pajęczyny i kurz, w powietrzu smród stęchlizny.

– Musieli mieć niezależny dopływ powietrza – rzekł Decker. – W razie wybuchu bomby atomowej nie mieliby dostępu do powietrza z zewnątrz.

– Niemożliwe, żeby to pomieszczenie było hermetyczne. Mogę normalnie oddychać.

– Co oznacza, że jest wentylowane, aby ludzie uzupełniający zaopatrzenie oraz inni znajdujący się pod ziemią mogli oddychać, ale gdy zawyła syrena, zamykano przewody wentylacyjne.

Idąc po śladach, przecięli schron i minęli kolejne drzwi przeciwwybuchowe, za którymi znów trafili na korytarz, taki sam jak tamten po drugiej stronie. Błysk lampy w telefonie Lancaster rozpraszał mrok co kilka sekund. Fotografowała odciski butów, kontynuując wędrówkę w głąb korytarza.

Decker liczył w myślach kroki. Natknęli się na kolejne ślady. Tym razem prowadziły w górę. Decker oświetlał podłogę raz po raz. Odciski butów, które widzieli wcześniej, biegły równolegle przez całą drogę. W górę. Na szczycie schodów stanęli przed ślepą ścianą.

– Ślepy zaułek? – zdziwiła się Lancaster.

– Niemożliwe. – Decker przycisnął palce do brzegu ściany i badał ją, przesuwając dłonie w górę i w dół. Wkrótce udało mu się znaleźć miejsce, gdzie mógł wsunąć palce. Szarpnął, ściana zaczęła ustępować, a następnie się obluzowała.

– Zrobiona z balsy – stwierdził, podnosząc ją bez trudu i odstawiając na bok. Za ścianą znajdowało się niewielkie pomieszczenie wypełnione wszelakimi rupieciami. Po drugiej stronie były drzwi.

– Rząd nie zagroziłby przejścia ścianką z balsy – zauważyła Lancaster.

– Z pewnością. Ale w przeciwieństwie do ściany w stołówce, która była ukryta przed ludzkim wzrokiem, tę zobaczyłby ktoś, kto otworzyłby te drzwi. Zabójca musiał zastąpić poprzednią ścianę ścianką z balsy. Wygląda na litą, a jest ruchoma.

– Wymagałoby to wielu zabiegów, Amosie. Nie dałby rady zrobić tego

wszystkiego w ciągu jednej nocy.

– Skoro miał dostęp do budynku nocą, mógł spędzić tu wiele czasu na niezbędnych przygotowaniach.

– Ale jak? Nie mógł liczyć na cowieczorne przedstawienia w szkole. A co z wnoszeniem pił oraz innego sprzętu?

– Nie mam pojęcia, jak tego dokonał. – Decker rzucił snop światła na podłogę. – Przyjrzyj się temu skrawkowi podłogi pod ścianą. Kurzu tyle, co kot napłakał. Ta sterta gratów leżała pod ścianą, ale została stąd usunięta, żeby nie blokowała przejścia.

Decker obejrzał klamkę w poszukiwaniu odcisków palców, a następnie spróbował otworzyć drzwi przyniesionym ze sobą nożem.

– Zamknięte. Daj mi chwilę. – Podał Lancaster latarkę i wyjął z kieszeni komplet wytrychów.

– Podstawowe wyposażenie prywatnego detektywa? – spytała cierpko.

– Jako policjantka nigdy nie otwierałaś zamka wytrychem?

Chwilę później drzwi uchyliły się mniej więcej na dwanaście cali, a następnie w coś uderzyły.

– Co to? – szepnęła Lancaster.

Decker zauważył, że wyjęła broń. I że nadal drży jej lewa ręka.

– Coś blokuje drzwi. – Wsadził głowę przez szparę i rozpoznał miejsce, w którym się znajdowali. – To składzik przy pracowni zajęć praktyczno-technicznych. Zaglądałem tu wcześniej. Drzwi uderzyły w stertę starych klimatyzatorów okiennych. Dlatego ich wtedy nie zauważyłem. Gdy stoi się po drugiej stronie, te rupiecie całkowicie je zasłaniają.

– Założę się, że kiedy przeszukiwaliśmy obiekt, nikt nie zauważył tych drzwi z tego samego powodu.

– Na to wygląda.

Lancaster oszacowała szerokość szpary w drzwiach.

– Ja się zmieszczę.

Stała bokiem i z łatwością przeszła przez wąską szczelinę. Omiotła wzrokiem całe pomieszczenie.

– Jeśli pchniesz od swojej strony, przytrzymam klimatyzatory, żeby nie pospadały.

Decker napał na drzwi całym ciężarem. Otworzyły się szerzej, przesuwając stertę, którą Lancaster zabezpieczała przed rozpadnięciem się.

– Dobra, Amosie, masz dość miejsca, teraz się przeciśniesz.

Decker przeszedł przez poszerzony otwór, spojrzał na uchylone drzwi, a potem na stos klimatyzatorów, po czym utkwiał wzrok w podłodze.

Następnie zmarszczył czoło.

– Co tym razem? – zainteresowała się Lancaster.

– Mało tu kurzu, więc nie widzę dalszych odcisków butów.
– Ale widzieliśmy je na schodach. Musiał tu wchodzić.
– Zgoda. Założmy więc, że tędy wszedł, a stąd przedostał się do pracowni technicznej.

Opuścili składzik i znaleźli się w przestronnej sali pełnej narzędzi i stołów roboczych.

– Skąd wiedział, że pracownia będzie pusta? – zastanawiał się Decker.
– Och, to nie wiesz? – zdziwiła się Lancaster, wyraźnie zadowolona, że posiada informacje, o których Decker nie ma pojęcia.

– Czego nie wiem?
– Nauczyciel zajęć technicznych zrezygnował z pracy z końcem zeszłego roku. Nie mogli znaleźć zastępstwa, więc w tym roku lekcje tego przedmiotu się nie odbywały.

– To dlatego drzwi do pracowni były zamknięte na klucz. I zabójca o tym wiedział. Debbie musiała mu powiedzieć.

– Miałeś rację, Amosie. W ten sposób przemieścił się niewidziany przez nikogo ze stołówki na drugi koniec szkoły.

Decker pokiwał głową.

– I to dwukrotnie. Wyszedł z chłodni, przeszedł podziemnym korytarzem, znalazł się na szkolnych korytarzach i idąc na front budynku, strzelał do swoich ofiar. Potem znów dał nura do podziemnego przejścia, zamknął za sobą ścianę i wycofał się ukrytym korytarzem.

– Dlatego widzieliśmy dwie ścieżki wydeptane przez identyczne buty – dodała Lancaster.

– Otóż to. Pracownia techniczna jest przestronna, więc niewykluczone, że wymyślono to tak, by w razie niebezpieczeństwa pakować młodzież do schronu jednocześnie na dwóch przeciwległych krańcach budynku.

– Jak myślisz, na jakiej głębokości znajduje się to przejście?
– Sądząc po liczbie stopni, około dwunastu stóp pod ziemią.
– Wątpię, by uchroniło kogokolwiek przed wybuchem bomby jądrowej. Nawet jeśli jest zbudowane w całości z betonu i ma wzmocnione drzwi.

– A co według ciebie jest w stanie zabezpieczyć ludzi przed bronią jądrową?
– Trafne spostrzeżenie.

– Zajrzałem tu pierwszej nocy, kiedy myszkowałem po budynku. Tam widać odciski moich butów. – Wskazał pod ścianę w głębi. – Kręciłem się trochę, a w końcu, jak już mówiłem, wsunąłem głowę do magazynku na tyłach pracowni.

Decker klęknął i przyglądał się badawczo podłodze.

– Mary, poświeć tu. Musiałem to wcześniej przeoczyć.

Lancaster oświetliła podłogę, wydobywając z mroku długi ślad wyryty w cienkiej warstewce kurzu oraz odciski butów.

– Co to jest, jak sądzisz?
– Przesuń światło jakieś sześć cali w lewo.
Spełniła prośbę. I nic.
– Teraz sześć cali w prawo.
Tym razem dostrzegli identyczny ślad.
– Co to? – spytała Lancaster.
– Odciski stóp Debbie Watson.
– Jej stóp?
– A raczej pięt, ponieważ ją stąd wyciągano. Odciski butów należą do zabójcy.
– Jak to: wyciągano? Co ona tu robiła?
– Spotkała się ze swoim amantem. Ze swoim Jezusem.
– Chyba nie mówisz poważnie?
– Debbie była pierwszą ofiarą, którą poddano autopsji. Czytałaś raport z sekcji zwłok?
– Oczywiście.
– Przyczyna śmierci?
– Po co tracić czas, Amosie? Jak doskonale wiesz, przyczyną śmierci był strzał z broni palnej oddany prosto w twarz.
– To oczywiste. Ale zwróciłaś uwagę na to, co koroner znalazł w jej ustach?
– Oprócz śrutu? – spytała sarkastycznie Lancaster.
– Pozostałości pastylek miętowych.
– Pastylek miętowych? Nie przypominam sobie, żebym czytała coś takiego.
– Napisał o tym pod koniec raportu. Zawsze czytam do samego końca.
– Ale skąd te pastylki?
– P o z o s t a ł o ś c i po pastylkach. Miała paczkę miętówek w szafce. Dwóch brakowało. Właśnie po nie skręciła do szafki. Chciała wziąć cukierki, odświeżyć oddech przed spotkaniem ze swoim fatygantem – i zabójcą w jednej osobie. To wyjaśniałoby lukę w czasie. O siódmej dwadzieścia osiem morderca wychodzi z chłodni. Idzie podziemnym korytarzem, ale musi zaczekać, aż Debbie opuści klasę. Prawdopodobnie umówili się na konkretną godzinę. Ona udaje, że źle się czuje, dostaje pozwolenie na wyjście z sali, idzie do szafki, bierze miętówki, a następnie udaje się do pracowni technicznej.
– Mówiłeś, że drzwi były zamknięte na klucz?
– Jezus mógł otworzyć je dla niej od środka.
– No tak. – Przypatrywała mu się podejrzliwie. – Ile czasu zajęło ci wymyślenie całej historii?
– Niedużo. – Decker zamknął oczy i dotknął tyłu głowy. – Sekcja zwłok wykazała obecność podostrego krwaka podtwardówkowego na potylicy, mniej więcej w tym miejscu. Lewa strona kości potylicznej była pęknięta, a szalenie

trudno uszkodzić tak twardą, wytrzymałą kość. Taki uraz mógłby ją zabić, jeśli nie zginęła od rany postrzałowej. Nastąpił krwotok wewnętrzny powodujący ucisk na mózg. Lekarz medycyny sądowej spekulował, że do urazu doszło, gdy upadła na podłogę po strzale. – Otworzył oczy i spojrzał na Lancaster. – Lewa strona.

– Czyli cios zadano od tyłu z lewej strony? Ktoś leworęczny? Jak ten facet, który napisał nuty na ścianie. Mówiłeś, że jest leworęczny.

– Tak, istnieje takie prawdopodobieństwo.

– Więc spotyka się z nią tutaj i pozbawia ją przytomności. Ale dlaczego?

– Musiał się jej pozbyć. I zabić jako pierwszą, przed wszystkimi innymi. Nie mógł ryzykować, że dziewczyna przeżyje. Mogłaby go zidentyfikować. Więc umawia się z nią na spotkanie, korzysta z podziemnego przejścia, by przedostać się niepostrzeżenie na drugi koniec szkoły. Przypuszczam, że zrobili to nie po raz pierwszy. Może przy innych okazjach uprawiali seks w pracowni w trakcie lekcji albo po szkole. Ciekaw jestem, jak często Debbie prosiła o pozwolenie na wyjście do szkolnej pielęgniarki.

– Seks? Mówisz serio?

– Własny zaciszny kąt w samym środku szkoły... Cóż bardziej ekscytującego dla nastolatki zakochanej w dojrzałym mężczyźnie spoza liceum? Zabójca z pewnością chciał znać na pamięć układ podziemnego korytarza, planując całą akcję. Mógł znieść tam sprzęt i zostawić. Doskonale rozwiązanie.

– Jak według ciebie rozegrał to dalej?

– Spotyka się z nią w pracowni, ona ma nadzieję na amory, stąd miętowe pastylki. A tymczasem on ją ogłusza, bierze sprzęt, wymyka się z sali, idzie za róg, gdzie zainstalowano kamerę, i daje się sfilmować. – Zerknął na Lancaster. – Widziałaś odciski stóp w korytarzu?

– Wiesz, że tak.

– Szacuję, że to rozmiar dziewięć, może dziewięć i pół^[5], nie więcej.

Lancaster wydawała się zbита z tropu.

– Stosunkowo mały jak na takiego wielkiego faceta – stwierdziła. – Earl ma sześć stóp wzrostu i nosi jedenastkę.

– Ja mam sześć stóp i pięć cali i noszę czternastkę, co nie jest niczym niezwykłym dla mężczyzny mojej postury. Facet wysoki na sześć stóp i dwa cale, ważący nie mniej niż dwieście funtów i obuwie numer dziewięć? Mało prawdopodobne. Nie mogłem precyzyjnie się przez szparę w drzwiach, bo zawadzały klimatyzatory. Musiałem otworzyć je szerzej. A brak śladów na podłodze wskazuje, że nikt przede mną tego nie robił. Ty zmieściłaś się bez trudu, ale jesteś niewysoka i drobna. Facet na nagraniu z kamery miał znacznie węższą talię ode mnie, ale w barach i piersiach był prawie taki sam jak ja. Więc jak zdołał się zmieścić, nie odsuwając klimatyzatorów?

– Nie mam pojęcia. A ty?

– Przyszło mi do głowy kilka pomysłów.

Lancaster rozejrzała się nerwowo, żując gumę z takim zacięciem, że aż dzwoniła zębami.

– Musimy sprowadzić tu ekipę śledczą. Mam szczerą nadzieję, że nie zatarliśmy dowodów. Ci z FBI rozerwaliby nas na strzępy, jeśli cokolwiek by z nas zostało po wcześniejszym spotkaniu z Makiem. – Ponownie obrzuciła wzrokiem pomieszczenie i nagle zaświtała jej pewna myśl. – Zaraz, zaraz. Skoro facet ogłuszył Debbie, a następnie wywlókł stąd nieprzytomną, to jakim cudem strzelał w korytarzu do stojącej dziewczyny? Eksperci od balistyki nie mieli żadnych wątpliwości. Debbie znajdowała się w pionie. Bryzgi krwi nie kłamią. A pomiędzy zarejestrowaniem go przez kamerę a strzałem oddanym do Debbie minęła raptem jedna minuta.

– W jej bluzie na wysokości szyi była z tyłu dziura – wyjaśnił Decker. – Prawdopodobnie zaczepił bluzę o uchwyt szafki. To mogło na krótko utrzymać dziewczynę w pozycji pionowej. Facet wymyka się za róg, pozwala się sfotografować, wraca i strzela. Siła, z jaką uderza kula, powala dziewczynę na podłogę. To wtedy podarła się bluza. Zerwała się z uchwytu pod ciężarem upadającego ciała.

Decker oświetlił pomieszczenie latarką i dostrzegł kolejne odciski butów, między innymi ścieżkę wydeptaną z powrotem do składziku i dalej, w stronę podziemnego korytarza. Ślady stóp znajdowały się też w pracowni. Należały do Debbie Watson. Nosila toporne buciorzy. Miała je na sobie, gdy znaleziono zwłoki. Ślady na podłodze zaczynały układać się w głowie Deckera w pewien obraz wydarzeń. Dwie linie odcisków stóp bardzo się do siebie przybliżały. Prawdopodobnie podczas pocałunku. Dziewczyna spodziewała się seksu z mężczyzną, którego nazywała Jezusem, a zamiast tego została przedwcześnie wrzucona do grobu.

Decker oparł się o ścianę i przewijał w myślach taśmę, póki nie trafił na moment, którego szukał.

– Mary, zauważyłaś coś jeszcze w podziemnym przejściu?

– Na przykład co?

Otworzył oczy.

– Do składziku przy pracowni technicznej prowadziły w górę dwie linie śladów.

– Zgadza się.

– I jedna w dół.

– Owszem. I co?

– O ile wszędzie widniały ślady wskazujące, że już wcześniej korzystał z korytarza, o tyle nie znaleźliśmy żadnych prowadzących z powrotem do stołówki, które odpowiadałyby wiodącym od frontu budynku na tyły.

Lancaster wytrzeszczyła oczy.

– A niech to, masz rację! Więc jak nasz gagatek zwiął ze szkoły?

– Dobre pytanie.

29

Podczas gdy Lancaster pospieszyła zawiadomić kolegów o tym nowym odkryciu, Decker wymknął się z powrotem do korytarza i zszedł na sam dół schodów.

Skoro napastnik nie wrócił do podziemnego przejścia i nie uciekł przez stołówkę do głównego wyjścia albo tylnych drzwi, gdzie z pewnością ktoś by go zobaczył, gdzie się w takim razie podział? Przeszukano całą szkołę, łącznie z nieużywanymi wyższymi piętrami, i nie natknięto się na żaden ślad. Policja oczywiście nie wiedziała o istnieniu korytarza pod budynkiem, dlatego nie został spenetrowany. Jednak zabójcy tu teraz nie było. Ze składziku przy pracowni technicznej zszedł na dół, a dalej... gdzie?

Decker omiół światłem latarki podnoże schodów. Z obu stron otaczały je gładkie ściany. Nie było tu kurzu, odciski stóp urywały się zatem na najniższym stopniu.

Jeszcze raz obejrzał to miejsce. Dlaczego akurat tutaj nie było kurzu, skoro leżał wszędzie indziej? Czy ktoś go starł? Jeśli tak, to dlaczego? Przyszedł mu na myśl co najmniej jeden powód.

Coś, o czym ktoś Deckerowi powiedział.

Bardzo niedawno.

Beth Watson.

Pakowała walizkę, ponieważ postanowiła odejść od męża. Dziadek męża opowiedział jej o korytarzu. Ale Beth wspomniała o czymś jeszcze.

Nie budowali go od podstaw. Tylko rozbudowywali.

Decker zbliżył się do ściany po prawej i oświetlił jej powierzchnię ze wszystkich możliwych stron.

Nic.

Powtórzył tę czynność po lewej stronie.

Jest.

Nieznaczne łączenie w miejscu, gdzie ściana stykała się ze stopniami. Wcisnął palce w szczelinę i szarpnął. Ściana otworzyła się na zawiasach, płynnie i bez hałasu, tak samo jak fałszywa ścianka w stołówce. Musiała być niedawno używana.

Decker przyglądał się uważnie długiemu ciemnemu korytarzowi.

Tam też cuchnęło stęchlizną. Ale nie tak znów wyraźnie, co oznaczało, że dopływało tu skądś świeże powietrze. Decker posuwał się naprzód, rzucając snop światła na brudną betonową posadzkę. Widniały na niej odciski butów, mniej więcej w rozmiarze dziewięć, tak jak poprzednio. Fotografował je aparatem

w telefonie.

Zatrzymał się na widok drzwi. Obok nich stały oparte o ścianę płyty ze sklejki, z których sterczały powyginane gwoździe. Tak samo jak w stołówce. Tymi płytami zabito niegdyś wejście do korytarza od tej strony, ale ktoś je zdemontował.

Zabójca.

Decker wyciągnął pistolet, dotknął drzwi i z łatwością je otworzył. Poświecił sobie latarką. Słyszał kapanie wody, tupot szczurzych – jak przypuszczał – łapek oraz łomot własnego serca.

Decker był człowiekiem odważnym, ponieważ uprawiany przez niego zawód wymagał śmiałości większej niż przeciętna. Ale odczuwał też strach, bo nie da się wykonywać tej pracy czy przynajmniej długo w niej wytrwać bez zdroworozsądkowego pojmowania własnej śmiertelności.

Szedł przed siebie. Mniej więcej po stu stopach podłoga zaczęła się podnosić. Następnie dotarł do schodów. Wchodził po nich powoli, starając się poruszać jak najciszej. Na górze natrafił na kolejne drzwi. Zamknięte. Próbował otworzyć je wytrychem. Nie zadziałało.

Naparł ramieniem z siłą swoich trzystu pięćdziesięciu funtów.

Tym razem z a d z i a ł a ł o.

Znalazł się w półmroku i rozejrzał dookoła. Stał w przestronnym pomieszczeniu z wysoko osadzonymi oknami. Czuć było olejem i smarem, wzrok Deckera wyłowił kształty porzrzuconych tu i ówdzie szkieletów pojazdów.

Stare, porzucone samochody wojskowe. Czyli znajdował się w jednym z budynków zamkniętej dawno temu bazy wojskowej McDonalda.

Przejście łączące szkołę z bazą wojskową?

Jednak im dłużej o tym myślał, tym bardziej wszystko nabierało sensu. Rodzice wielu dzieciaków, które chodziły wtedy do Mansfield, pracowali w bazie. W razie zagrożenia trudno o bezpieczniejsze miejsce dla dzieci niż schron „przeciwbombowy” pod budynkiem szkoły albo sama baza, gdzie ukryłyby się wraz z rodzicami. A może podziemny schron był przeznaczony zarówno dla personelu bazy, jak i młodzieży szkolnej? Jakkolwiek miały się sprawy, faktem jest, że dawno zapomniano o jego istnieniu. Zresztą prawdopodobnie nigdy nie był używany.

Decker z miejsca się poprawił. Był używany, i to dopiero co, a więc pamięć o nim nie zagięła.

Napastnik uciekł właśnie wtedy. Teraz Decker był tego pewien. Baza to duże miejsce, gdyby chciało się przeczesać wszystkie zakamarki, w dodatku opuszczone od wielu lat. Żadnych świadków, którzy mogliby cokolwiek zobaczyć. Wszystko w ruinie, teren otoczony ogrodzeniem z siatki porośniętej pnączami, wokół krzewy i drzewa. Łatwo umknąć kompletnie niezauważonym.

W świetle latarki widział walające się puszki po piwie, butelki po alkoholu, puste opakowania po prezerwatywach, niedopałki. To miejsce było najgorszym koszmarem śledczego. Z setkami próbek DNA, pochodzących w większości od znudzonych nastolatków złąknionych seksu, alkoholu, nikotyny albo – światło latarki padło na porzuconą strzykawkę i gumowy wężyk do uciskania żył – czegoś mocniejszego.

Mimo wszystko wątpił, by ktokolwiek z grona bywającej tu młodzieży zdawał sobie sprawę z istnienia przejścia łączącego bazę ze szkołą. Nawet gdyby penetrowali to miejsce, natknęliby się na zamknięte drzwi. Gdyby z kolei udało im się je sforsować, wpadliby na gładką ścianę. I na tym myszkowaniu by się zakończyło. Poza tym miejsce mogło służyć za metę tylko latem. Teraz, przed nadchodzącą zimą, w nieogrzewanym pomieszczeniu panował lodowaty ziąb. Planując masakrę, morderca nie musiał się martwić, że wpadnie na dających w gaz albo uprawiających seks nastolatków.

Decker obszedł halę i nie znalazł nikogo ani niczego.

Wyciągnął telefon i zadzwonił do domu Watsonów. Odebrał George. Decker zastanawiał się, czy Beth opuściła go już na dobre.

– Halo, kto mówi? – Tym razem Watson nie bełkotał. Może przespał się i wytrzeźwiał.

– Panie Watson, tu ponownie detektyw Decker.

– Czego pan chce? – warknął wyraźnie poirytowany George.

– Jedno krótkie pytanie. Czy Debbie spędzała w szkole dużo czasu po lekcjach? Albo rano przed rozpoczęciem zajęć?

– Skąd pan, do diabła, o tym wie? Skąd pan tyle wie o mojej rodzinie?

– Tylko zgaduję. Jestem w końcu detektywem. To moja praca. A pańska żona wspomniała, że przebywała w domu dużo częściej niż Debbie. Uznałem więc, że córka zajmowała się czymś po szkole. Dokładnie czym?

– Należała do jakichś kółek. Mieli zebrania, czasem do późna. Wracala do domu dobrze po zapadnięciu zmroku. Dlaczego pan pyta, czy to ważne?

– Być może. Dziękuję.

Decker się rozłączył. Wiedział, że Debbie Watson nie chodziła na żadne kółka. Umawiała się na schadzki z Jezusem w ich prywatnej kryjówce.

Następnie Decker zadzwonił do Lancaster i powiedział jej o swoim odkryciu.

Odłożył telefon, usiadł na beczce po ropie i czekał z zamkniętymi powiekami. Uznał, że nie potrwa to długo. Zostawił otwarte drzwi w ścianie.

Usłyszał zbliżające się kroki. Gdyby nadchodziła jedna osoba, otworzyłby oczy. Ale było ich kilkanaście. Więc nadal siedział z zamkniętymi oczami. Morderca przychodzi sam, nie z armią ludzi.

Gdy w końcu podniósł powieki, zobaczył stojącego obok agenta specjalnego Bogarta.

– Kolejna trafna dedukcja? – zagadnął Bogart.

– Kolejna trafna dedukcja – potwierdził Decker.

Za Bogartem stała grupa agentów FBI oraz członków wydziału policji z Burlington. Lancaster wystąpiła naprzód.

– Wezwałam Maca, jest w drodze – zameldowała, a Decker wolno pokiwał głową.

– Jak pan na to wpadł? – zainteresował się Bogart.

Decker w dwie minuty wyluszczył swój tok rozumowania.

– Gdyby nas pan powiadomił o spotkaniu z Beth Watson, może bylibyśmy w stanie pomóc – wytknął Bogart. – Moglibyśmy trafić tutaj wcześniej.

– Moglibyśmy – przyznał Decker.

Bogart rozkazał przeszukać zabudowania i teren bazy, przysunął sobie starą drewnianą ławkę i usiadł obok Deckera. Lancaster kręciła się w pobliżu.

– A więc zabójca zaprzyjaźnił się z Debbie Watson, dowiedział się o podziemnym połączeniu ze szkołą i wykorzystał tę drogę ucieczki? – podsumował Bogart.

– Wykorzystał pasaż z a r ó w n o do ucieczki, jak i do przedostania się na teren szkoły. Wiedząc o korytarzu, mógł swobodnie poruszać się tam i z powrotem. Uwiódł dziewczynę. Jest dojrzałym mężczyzną, a ona była łatwowierną nastolatką z nieciekawą sytuacją w domu. Pewnie odbyli tu mnóstwo schadzek, o których nikt inny nie wiedział. Musiała czuć się naprawdę wyjątkowo. Póki nie wpakował jej kuli prosto w twarz.

– Skontaktujemy się z wojskiem i wyciągniemy od nich wszystkie możliwe informacje na temat bazy.

– Taaak. Powodzenia.

– Jestem zdumiony, że nikt nie zdawał sobie sprawy z istnienia przejścia – przyznał Bogart. – Poza Watsonami.

– Cóż, wybudowano je w tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym roku albo coś koło tej daty. Większość ludzi, którzy mogliby pamiętać tamte czasy, pewnie już nie żyje. Wątpię, by opowiadali o tym dzieciom, zatem tylko szkolni oficjele posiadaliby tę wiedzę. Może nigdy nie używano tego przejścia. Może nawet ani razu nie zorganizowano próbnego alarmu. Nie wiem. A nawet jeśli przeprowadzano takie ćwiczenia, uczniowie z tamtych czasów będą już w podeszłym wieku. Mogli zapomnieć.

– Ale mówił pan, że Simon Watson r o z b u d o w y w a ł ten korytarz?

– Podjął pracę w bazie pod koniec lat sześćdziesiątych, a jakiś czas później dodano ten podziemny łącznik. Po zamknięciu bazy wszyscy ją opuścili. Wielu mundurowych prawdopodobnie przeniesiono do innych placówek.

Lancaster wtrąciła:

– Nawet jeśli pozostały jeszcze osoby, które wiedzą o korytarzu, wątpię, czy

przyszłoby im do głowy, że zabójca mógłby wykorzystać go do poruszania się po terenie szkoły. Uznano by, że jest od dawna zamurowany. Ludzie pewnie myślą, że ostrzelał szkołę, rzucił się do ucieczki i zniknął.

Bogart pokiwał głową.

– Z tej strony, to znaczy od strony bazy wojskowej, byłoby mu łatwiej dostać się do szkoły. Tymczasem wszystko wskazuje na to, że był w stołówce i przeszedł przez cały budynek w tym kierunku. Dlaczego?

– Nie mam pojęcia – przyznał Decker. – Sądziliśmy, że po to, by mieć czas na przebicie się przez ściankę zasłaniającą drzwi umieszczone za tablicą z zasadami zachowania się w stołówce. Teraz jednak uważam, że mógł to zrobić w dowolnym momencie, skoro bywał w szkole wielokrotnie. I zapewne przed planowanym atakiem nie zwlekałby aż do wieczora, na wypadek gdyby coś poszło nie po jego myśli. – Zrobił pauzę. – Podsumowując: nie wiem.

– Sądziłem, że zna pan wszystkie odpowiedzi.

– Wobec tego był pan w błędzie.

Bogart w zamyśleniu przyglądał się Deckerowi.

– Pan rzeczywiście wszystko pamięta? – Decker nie patrzył w jego stronę. Bogart przysunął się bliżej i odezwał się przyciszonym głosem, który mógł usłyszeć tylko jego rozmówca: – Decker, co pana nakręca? Co takiego siedzi w pańskiej głowie, co pozwala panu robić to, co pan robi?

Decker nie dał po sobie poznać, że dosłyszał pytanie.

– Zawsze tak się pan wyłącza, gdy ktoś próbuje nawiązać z panem rozmowę?

– Umiejętności społeczne nie są moją mocną stroną – odparł Decker. – Już to panu mówiłem.

– Ale można jednocześnie iść i żuć gumę. Jeśli zatem posiada pan jakieś wyjątkowe zdolności umysłowe, nie wpływają one na umiejętność funkcjonowania w świecie zewnętrznym.

Tym razem Decker spojrzął na Bogarta.

– Dlaczego pan to mówi?

– Mój starszy brat cierpi na pewien rodzaj autyzmu. Jest doskonały w swojej dziedzinie. I całkowicie nieporadny w kontaktach z innymi ludźmi. Nie potrafi podtrzymać rozmowy, ogranicza się do wymamrotania kilku słów. Uznano, że to autyzm wysokofunkcjonujący, ponieważ brat jest w stanie pracować zawodowo.

– Czym się zajmuje?

– Fizyką. W szczególności cząstkami subatomowymi. Cały dzień potrafi rozprawiać o kwarkach, leptonach, bozonach. Ale nie pamięta o posiłkach i nie ma zielonego pojęcia, jak zarezerwować bilet na samolot albo zapłacić rachunek za prąd.

Decker pokiwał głową.

– Rozumiem.
– Pan jednak radzi sobie w życiu.
– W różnym stopniu, agencie specjalny Bogart.
– Ma pan tak od urodzenia?
– Od pewnego momentu – odparł wymijająco Decker. – Może dlatego potrafię jednocześnie iść i żuć gumę – dodał cierpko i odwrócił wzrok.
– Nie chce pan o tym rozmawiać?
– A pan by chciał?
Agent FBI klepnął się po udach.
– Musimy dorwać tego faceta. Jest jeszcze jedna kwestia, której dotychczas nie poruszyliśmy.

Decker obrzucił go spojrzeniem.

– Jego związek ze mną.

Bogart przytaknął.

– Zostawił panu dwie wiadomości: jedną zaszyfrowaną, drugą wprost. Ryzykował. Aby napisać jedną z nich, musiał wrócić na miejsce zbrodni, do domu, gdzie zamordował pańską rodzinę. Ktoś mógł go zobaczyć. Udał się też do domu Debbie. I znów narażał się na ryzyko. Oczywiście każdy zabójca jest z definicji ryzykantem. Ale, jak pan powiedział: w różnym stopniu. Tego rodzaju morderca raczej nie chce, żeby go złapano, więc minimalizuje ryzyko. Jednak górę wzięło pragnienie skomunikowania się z panem. To istotne, ponieważ nabieram przekonania, że ten człowiek czuje jakiś rodzaj więzi z panem – bardzo silnej, bardzo głębokiej.

Decker świdrował rozmówcę wzrokiem.

– Był pan w Quantico? W JAB-ie?

– W Jednostce Analizy Behawioralnej. Tak. Byłem kimś, kogo goście z filmu i telewizji nazwaliby profilerem. I byłem w tym naprawdę niezły.

– W FBI nie ma profilerów.

– To prawda. Formalnie nazywa się nas analitykami. Czasem mamy rację, czasem się mylimy. Niektórzy twierdzą, że profilowaniu psychologicznemu brakuje empirycznego uzasadnienia i być może tak jest. Ale mało mnie to obchodzi. Interesuje mnie wyłącznie schwytanie bandziorów, zanim skrzywdzą kolejne osoby, i użyję do tego celu wszystkich dostępnych narzędzi. – Utkwił w Deckerze badawcze spojrzenie. – Uważam pana za jedno z takich narzędzi.

– Co dokładnie ma pan na myśli?

– Chciałbym, żeby pan z nami ściślej współpracował. Razem możemy zrobić krok naprzód.

Decker obejrzał się na Lancaster, która ewidentnie usłyszała tę ostatnią wymianę zdań. Wstał.

– Mam już partnerkę. Ale jeśli cokolwiek odkryjemy, damy wam znać.

To powiedziawszy, odszedł. Lancaster odczekała chwilę, posłała Bogartowi cierpki uśmiech i pomknęła za Deckerem.

Agent specjalny Bogart nie ruszył się z miejsca, patrząc w ślad za dwojgiem detektywów.

30

Decker otworzył oczy. Leżał w łóżku, ale sen przychodził z trudem. Za oknem padał deszcz. Tej porze roku – kiedy jesień szykuje się do ustąpienia miejsca zimie – zawsze towarzyszą obfite opady i zwykle silne wiatry, które włączają człowiekowi tę wilgoć do głowy.

Obuwie numer dziewięć. Rozmiar potwierdzono. Na nodze faceta o wroście sześciu stóp i dwóch cali, ważącego dwieście albo i więcej funtów, o ramionach równie szerokich jak u Deckera. Ponownie przymknął powieki i powrócił myślami do obrazu z kamery. Pokazywała mężczyznę tylko od pasa w górę. Decker doszedł do wniosku, że efekt był zamierzony. Od pasa w górę. Poza tym facet przedfilował przed kamerą w taki sposób, żeby nie można było się zorientować, którędy wszedł do budynku. Nie tylnymi drzwiami, lecz od strony stołówki przez podziemne przejście.

Mimo wszystko Decker d o s t r z e g ł coś, co nie pasowało do logicznej całości; nie potrafił tylko uściślić co ani w którym momencie. Nigdy niczego nie zapominał, lecz nie oznaczało to, że wszystko umiejscawiało się we właściwym kontekście obok uzupełniających bądź sprzecznych z nim faktów.

Decker miał właśnie zacząć porządkować fakty, gdy usłyszał jakiś odgłos za drzwiami.

Residence Inn zaprojektowano w taki sposób, że z każdego pokoju wychodziło się od razu na dwór. Decker mieszkał na piętrze. Na zewnątrz był pomost z balustradą z kutego żelaza, zakończony po obu stronach schodami prowadzącymi bezpośrednio na parking.

Odgłos się powtórzył. Jakby ktoś skrobał w zewnętrzną ścianę przy drzwiach. Sąsiednie pokoje stały puste. Na parterze niemal wszystkie były zajęte. Decker usiadł na łóżku, nie spuszczając wzroku z drzwi. Sięgnął po broń, którą trzymał na stoliku nocnym, i zacisnął palce na kolbie pistoletu.

Wprowadził nabój do komory, odciągając zamek powoli, żeby ściszyć szczęk towarzyszący ładowaniu broni. Odrzucił koldrę, wciągnął spodnie, wsunął telefon do kieszeni i na bosaka zwinnie dopadł do drzwi.

Stanął po prawej stronie, trzymając oburącz pistolet. Nasłuchiwał. I znowu. Chrobot.

Coś było za drzwiami. A może k t o ś.

Zrobi to tak, jak podczas licznych nalotów jeszcze w trakcie policyjnej kariery. Tyle że w odwróconym porządku. Zamiast wtargnąć do środka, wypadnie na zewnątrz. Odsunął łańcuch zabezpieczający drzwi, ustawił się z boku, chwycił

klamkę, policzył w myślach do trzech i z impetem otworzył drzwi. Wskoczył na zewnątrz, wymachując pistoletem najpierw w lewo, potem w prawo.

Stał jak wryty i podniósł wzrok. Wisiała na wsporniku zewnętrznej lampy. Stopy stuknęły o ścianę. One były źródłem chrobotu, który usłyszał w pokoju.

Zbadał puls na tętnicy szyjnej, ale raczej odruchowo. Była martwa. Miała otwarte oczy, szkliste, wpatrzone nieruchomo w jeden punkt. Nikt żywy nie byłby w stanie osiągnąć takiego efektu.

Lafferty, agentka specjalna FBI, sporządziła swoją ostatnią notatkę.

Obejrzał ciało, ale nie potrafił znaleźć żadnych śladów jednoznacznie wskazujących na przyczynę śmierci.

Odwrócił się, popędził do schodów i zbiegł na dół. Nie mogła wisieć tam długo. Ten, kto to zrobił, być może nadal znajduje się gdzieś w pobliżu. Wyciągnął telefon i wstukał 911. Przekazał dyspozytorce wszystko, co powinna wiedzieć, w trzech zwięzłych zdaniach. Następnie zadzwonił do Lancaster. Odebrała po czwartym dzwonku. Była trzecia nad ranem. Bez wątpienia Lancaster spała, ale już po pierwszym zdaniu obudziła się całkowicie. Po drugim usłyszał, jak manipuluje przy ubraniu. Schował telefon i obiegił cały parking przed Residence Inn. Rozglądał się i nadstawiał uszu. Czy nie rusza jakiś samochód. Czy ktoś nie biegnie.

Nie słyszał nic poza własnym udręczonym oddechem. Zatrzymał się i pochylił do przodu, próbując zaczerpnąć powietrza. Czuł, jak się trzęsie, jak ściska mu się żołądek. Gdy podniósł wzrok, zobaczył je. Nacierają na niego armia trójek z uniesionymi nożami, gotowymi do zadania śmiertelnego ciosu. Wiedział, że nie są prawdziwe, ale tej nocy owładnął nim paniczny strach, jak wtedy, gdy ujrzał je po raz pierwszy.

Pochylił się mocniej i zwymiotował na asfalt, obryzgując swoje bosa, skostniałe z zimna stopy.

Gdy się prostował, jego uszu dobiegło wycie pierwszej syreny, a na ten odgłos armia trójek jakby rozplynęła się w powietrzu. Minutę później do pierwszej syreny dołączyła kolejna. Decker chwiejnym krokiem wrócił po schodach na górę. Oparł się o balustradę, widząc przed sobą Lafferty. Chciał zamknąć jej oczy, zdjąć ciało ze wspornika i delikatnie ułożyć na betonie z rękami złożonymi na piersi. W spokoju. Ale przecież gwałtowna śmierć nie może być spokojna. Z pewnością nie potrafił zadbać o spokój w wypadku śmierci własnej rodziny.

Nie mógł jednak niczego dotykać, ingerować w miejsce zbrodni. Po prostu stał. Gdy radiowozy gwałtownie zahamowały na parkingu, wśliznął się do swojego pokoju i odłożył broń na stolik nocny. Zanim ponownie wyszedł na zewnątrz, policjanci wbiegli już po schodach i zatrzymali się parę kroków przed nim.

Decker pokazał identyfikator. Nie rozpoznał żadnego z funkcjonariuszy i nie chciał, by pomyśleli sobie nie to, co trzeba.

– Amos Decker. To ja wezwałem policję. Detektyw Lancaster jest już w drodze.

Policjanci stali z wyciągniętą bronią i bacznie mu się przyglądali. Jeden z nich podszedł bliżej i sprawdził identyfikator.

– W porządku – rzucił w stronę kolegi. – Widziałem go wczoraj w szkole z detektywami.

Schowali pistolety do kabur i patrzyli na martwą Lafferty.

– To agentka specjalna FBI Lafferty – wyjaśnił Decker. – Być może ją także widzieliście w szkole.

Obaj przecząco pokręcili głowami, ale ten pierwszy odezwał się:

– Cholera, federalna? Jak zginęła?

– Nie wiem. Żadnych jednoznacznych śladów.

– Aha.

Decker odsunął się od zwłok.

– Nie powiem wam niczego odkrywczego, ale byłem gliną przez dwadzieścia lat. Musicie zabezpieczyć miejsce zbrodni oraz wezwać ekipę śledczych i lekarza sądowego. Detektyw Lancaster z pewnością powiadomi odpowiednie osoby, ale, jak sami zauważyliście, to agentka federalna, więc w tym wypadku trzeba ściśle stosować się do procedur.

– Słuszna rada – przyznał pierwszy z policjantów. – Przekażę informacje.

– A ja pójdę po taśmę.

Decker wskazał otwarte drzwi.

– Tutaj mieszkam. Usłyszałem hałas i wyszedłem sprawdzić. Wtedy ją zobaczyłem. Zbiegłem na parking, ale nikogo nie zauważyłem. Nie słyszałem też silnika samochodu. Ani odgłosu oddalających się kroków. Ten paw na parkingu jest mój. Odwykłem od szybkich i długich biegów.

– W porządku, panie Decker. Proszę wejść do swojego pokoju. Detektyw Lancaster na pewno zajrzy do pana po dotarciu na miejsce. – Policjant popatrzył na ciało i nagle zaczął sprawiać wrażenie niezdecydowanego. – Na pewno nie żyje?

– Brak tętna. Sprawdziłem. No i jest już zimna. Nie żyje od pewnego czasu.

Decker wszedł do pokoju, zamknął za sobą drzwi, poszedł do łazienki, umył twarz i nogi, włożył buty, usiadł na łóżku i czekał.

Wiedział, gdzie mieszka Lancaster. Obliczył, że będzie tu mniej więcej za pół godziny. Góra pół godziny. Dziesięć minut później usłyszał jakieś zamieszanie za drzwiami. Po osiemnastu minutach od tego momentu rozległo się pukanie. Otworzył. I oto była.

Wyjrzał na kładkę. Ciało leżało na rozścielonym na betonie prześcieradle przeznaczonym do zbierania wszelkich dowodów śladowych. Ekipa techników uwijała się w tej ciasnej przestrzeni, fotografując, mierząc i szukając dowodów we wszystkich oczywistych miejscach.

Lekarz sądowy, drobny sześćdziesięciokilkuletni mężczyzna z brodą, klęczał obok Lafferty. Po określeniu czasu zgonu podniósł wzrok na Lancaster.

– Nie żyje od jakichś trzech godzin.

– Czyli zgon nastąpił około wpół do pierwszej – mruknął Decker.

– Przyczyna śmierci? – zapytała Lancaster.

Lekarz uniósł bluzkę martwej kobiety. Na ciele widniała pojedyncza rana kluta.

– W głąb i do góry, prosto w serce. Śmierć nastąpiła niemal natychmiast. Bez wątplenia wykrwawiła się gdzie indziej. Tak czy inaczej, krwotok zewnętrzny byłby znikomy. Nóż przebił serce. Przestało pompować krew.

Deckerowi zaświtała pewna myśl.

– Sprawdził pan okolice intymne? Coś pan tam znalazł?

Lancaster rzuciła mu przenikliwe spojrzenie. Wyraz twarzy lekarza wystarczył za odpowiedź.

– Zabójca okaleczył ją bardzo ostrym nożem.

Lancaster popatrzyła na Deckera.

– Tak jak wtedy. Z...

– Tak jak wtedy – potwierdził.

Na parking podjechały trzy czarne samochody typu SUV.

– Przybyli federalni – odezwała się nerwowo Lancaster. – Wezwałam ich po drodze.

Grupie przewodził Bogart, przeskakując po dwa stopnie naraz. Miał rozczochrane włosy, był ubrany w dzinsy i pulower oraz płócienne mokasyny włożone na bose stopy. Idący za nim mężczyźni mieli podobne stroje, ale włożyli granatowe wiatrówki z napisem FBI.

Bogart podszedł prosto do ciała i spuścił głowę. Potarł oczy, następnie brodę i odwrócił wzrok, patrząc ponad balustradą w zalegającą wokół ciemność. Decker usłyszał, jak mruknął pod nosem: „Cholera”.

– Co wiemy jak dotąd? – zapytał po chwili agent FBI.

Lancaster podała czas oraz przyczynę zgonu. Poinformowała także o okaleczeniu odkrytym przez lekarza sądowego.

– Coś pan widział albo słyszał? – Poszarzały na twarzy Bogart patrzył na Deckera.

Decker opowiedział wszystko, co wie. I dodał:

– Leżałem w półśnie. Chrobotanie mogło trwać dobrą chwilę, zanim do mnie dotarło.

– Znał pan rozkład jej wieczornych zajęć? – zapytała Lancaster.

Bogart zdawał się nie słyszeć.

– Gdybyśmy potrafili dokładnie określić jej ruchy, moglibyśmy trafić na trop sprawcy – wtrącił Decker.

– Wiem! – warknął Bogart.

– Rozumiemy, że to dla pana wyjątkowo trudne, agencie Bogart... – powiedziała Lancaster.

Decker wszedł jej w słowo:

– Wie pan lepiej niż inni, że im prędzej trafimy na ślad, tym większe mamy szanse. I na odwrót.

Bogart jeszcze raz rzucił okiem na zwłoki Lafferty i dał detektywom znak, by zeszli po schodach.

Wsiedli do jednego z czarnych samochodów: Bogart z przodu, Decker i Lancaster na tylnym siedzeniu. Bogart wypił duszkiem małą butelkę wody, która stała na konsoli, otarł dłonią usta i odwrócił się w ich stronę.

– Lafferty była dobrą agentką. W zasadzie moją protegowaną. I robiła coś więcej niż notatki – dodał, posyłając cierpkie spojrzenie Deckerowi, który skwitował je milczeniem.

Bogart rozparł się w fotelu, przeciągle westchnął i oznajmił:

– Nigdy w życiu nie straciłem agenta. To... trudne.

– Nie wątpię – odezwała się ze współczuciem Lancaster.

– Gdzie przebywała wieczorem? – zapytał Decker. – Zatrzymaliście się wszyscy w tym samym miejscu?

– Tak. W hotelu Century.

– Na tym samym piętrze?

– Nie, byliśmy rozproszeni na trzech różnych piętrach. Ale pokój Lafferty sąsiadował z pokojem innego agenta.

– Kiedy widziano ją po raz ostatni? – zainteresowała się Lancaster.

– Rozpytałem wszystkich po drodze. Wygląda na to, że o wpół do dziesiątej. Pracowała w pokoju agenta Darrowa, przeglądając dokumenty. Pożegnała się i poszła do siebie.

– Ale czy wiemy to na pewno? – dociekał Decker.

– Prawdę mówiąc, wspomniała Darrowowi, że musi wyskoczyć na drobne zakupy.

– Określiła konkretnie dokąd i po co?

– Z tego, co mówiła, zrozumiał, że chodzi o coś z apteki. Wydaje mi się, że wybierała się tam nie po raz pierwszy. Wezwano nas do tej sprawy dość zniechęca. Agenci mają niewiele czasu na przygotowania.

– Więc wychodziła na zakupy już wcześniej? Może w to samo miejsce? – podsunęła Lancaster.

– Tak. Pewnie po coś niezbędnego w podróży – rzekł Bogart, wyglądając przez okno i wyraźnie błędząc myślami gdzieś daleko.

Decker poprawił się na siedzeniu, zamknął oczy i zastanawiał się głośno:

– Dwie przecznice od hotelu Century jest całodobowa apteka. Tam bym się

wybrał, gdybym potrzebował czegoś w podróży. Mają tam kamery na parkingu.

– No to pojedźmy sprawdzić, czy coś zarejestrowały – rzucił Bogart.

Droga zajęła im około dwudziestu minut, pora była bowiem wczesna, a Bogart przekraczał wszelkie ograniczenia prędkości. Nie wybiła jeszcze czwarta rano, dlatego Burlington było pogrążone we śnie. Ruch na drodze znikomy, żadnych pieszych.

W całonocnej aptece dyżurowały dwie osoby: jedna przy kasie za kuloodporną szybą, druga układała na półce dezodoranty. Obie były w pracy od ósmej wieczorem. Bogart pokazał zdjęcie Lafferty i zapytał, czy ktoś ją widział.

– Wczoraj wieczorem nie, ale była tu przedwczoraj.

– Czyli mogła w ogóle tu nie dotrzeć.

Poprosili o udostępnienie nagrania z monitoringu przed apteką.

– Raczej przyszlaby tu pieszo – zasugerował Decker. – Za blisko na jazdę samochodem.

– Poza tym nie brakuje żadnego z naszych wozów – dodał Bogart.

Włożyli płytę DVD do laptopa, który Bogart miał w samochodzie. Nagranie było zaopatrzone w sygnaturę czasową. Bogart ustawił czas na kilku minut przed wpół do dziesiątej. Stłoczyli się przy monitorze, uważnie śledząc przesuwane się kadry. Gdy dotarli do godziny dziewiętej pięćdziesiąt osiem, Decker coś zauważył.

– To ona.

Lafferty wyłoniła się z uliczki sąsiadującej z apteką. Zrobiła dwa kroki i została gwałtownie wciągnięta z powrotem w uliczkę.

– Puśćmy jeszcze raz, wolniej – poprosił Decker.

Bogart cofnął nagranie i pokazał ten moment jeszcze pięciokrotnie, maksymalnie powiększając obraz.

Decker intensywnie wpatrywał się w ekran, zapamiętywał i szufladkował w głowie każdy piksel.

– Nie widzę, kto to jest.

– Możemy spróbować powiększyć zdjęcia – powiedział Bogart. – Moi ludzie potrafią czynić cuda.

– Wiedział, że tam jest kamera – zauważył Decker. – Tak samo jak w szkole. Nie chciał być widoczny. Przynajmniej w pewnych partiach.

– Jak to się stało, że tak szybko ją obezwładnił? – zastanawiał się Bogart. – Lafferty nie należała do słabeuszy.

– Chwycił ją za szyję ręką w rękawiczce – zwrócił uwagę Decker. – Mógł ukrywać coś w dłoni. Wydaje się, że jej ciało zeszywniało dość szybko. Myślę, że wstrzyknął jej środek paraliżujący.

– Testy krwi to potwierdzą – wtrąciła Lancaster.

– A więc schwytano ją za dwie dziesiąta – powiedział Decker.

– Ale zgon nastąpił około północy – przypomniała Lancaster.

– To znaczy, że przetrzymywano ją przez dwie godziny, zanim ją zamordowano – dokończył Decker.

Bogart wyglądał na wyczerpanego.

– Powiedział pan, że została okaleczona. Myśli pan, że na tym nie poprzestali?

Decker pokręcił głową.

– Mojej żony nie zgwałcono. Za to okaleczono. W tej samej... okolicy – dodał.

– O co tu chodzi? – zapytał Bogart. – Po co to robią? Nie rozumiem sensu.

– Gdy spytałem Leopolda, czy zrobił coś jeszcze mojej żonie, nie odpowiedział. Informacja o okaleczeniu nie trafiła nigdy do wiadomości publicznej. Mógłby o tym wiedzieć tylko wtedy, gdyby był obecny na miejscu zbrodni, a wiemy, że to wykluczone. Natomiast mógł usłyszeć o tym od świadka albo sprawcy. Ponieważ Leopold milczał, nie wiem, czy rzeczywiście nie wiedział, czy nie chciał udzielić mi odpowiedzi. Tak czy inaczej, nadal jest w gronie podejrzanych.

Bogart przesunął dłonią po twarzy.

– Coś jeszcze?

– Lafferty przetrzymywano przez dwie godziny. Prawdopodobnie była przytomna przez pewien czas, zanim zginęła.

– Co mogli z nią robić? – spytała Lancaster.

– Próbować wyciągnąć z niej informacje, w jakim kierunku zmierza śledztwo – podsunął Bogart.

Decker się zgodził.

– Chcą wiedzieć, co odkryliśmy. Czy doszliśmy do jakichś wniosków.

– Lafferty nie puściłaby pary z ust – stwierdził stanowczo Bogart.

– Nikt nie jest niezłomny, wszystko zależy od zastosowanej taktyki – zauważył Decker. – Mogła coś zdradzić wbrew własnej woli. Bez względu na to, jak miały się sprawy, powinniśmy dla bezpieczeństwa przyjąć założenie, że wiedzą o postępach śledztwa. Przede wszystkim mam na myśli podziemne przejście.

Bogart patrzył na stopklatkę, na rękę przyłożoną do szyi agentki.

– Ale jak mogła się nie zorientować, że ktoś za nią idzie? Musiał niemal deptać jej po piętach.

– Mógł zaciąć się w uliczce – zasugerowała Lancaster.

Agent federalny potrząsnął głową.

– I co, czekać, aż Lafferty się zjawi? Skąd miałby wiedzieć, że wybiera się do apteki?

– Mógł czatować na nią i ją śledzić, kiedy wyszła z hotelu. Była już w tej aptece przynajmniej raz. Może o tym wiedział i zwietrzył okazję, licząc, że Lafferty pójdzie tam ponownie. Albo też zdawała sobie sprawę z jego

obecności, ale z jakiegoś powodu nie czuła się zagrożona – rozważał Decker.

– Nie czuła się zagrożona?! – wykrzyknął Bogart. – W ciemnej uliczce? Gdy morderca hasa na wolności? Jak mogła nie mieć się na baczności?

– Nie bałaby się, gdyby był to ktoś, kogo nie miała powodu podejrzewać – rozwijał myśl Decker.

Bogart poczerwieniał i wykrzywił twarz w grymasie.

– Oskarża pan mnie albo kogoś z moich ludzi o zamordowanie naszej agentki? – warknął. – Przecież nie znała nikogo innego w tej zasranej dziurze!

– Zupełnie nie to miałem na myśli – odparł spokojnie Decker.

Bogart wycelował palec w Deckera.

– Znalaziono ją niemal na progu pańskiego pokoju. Może to ty ją zabiłeś, sukinsynu!

Decker pozostał niewzruszony, mówił powoli, z rozważą:

– I zostawiłem ciało pod swoimi drzwiami, żeby oskarżyć samego siebie? A później wezwałem policję, nie ruszając się z miejsca zbrodni. Gdybym rzeczywiście zrobił coś tak głupiego, mógłbym wykręcić się od wszystkiego pod pretekstem niepoczytalności.

Wydawało się, że Bogart ma ochotę przyłożyć Deckerowi pięścią w twarz, ale zdołał powściągnąć nerwy i odwrócił wzrok.

– Amosie, chodziło ci o człowieka w mundurze? – zapytała Lancaster. – Policjanta? Kogoś takiego by nie podejrzewała.

– Tak – przyznał Decker. – Właśnie to sugerowałem.

Bogart rzucił mu przenikliwe spojrzenie i pokiwał głową.

– Jasne. Przepraszam, że skoczyłem panu do gardła. – Zamilkł, a następnie oznajmił: – No dobrze, przewrócimy tę cholerną uliczkę do góry nogami. – Chwycił telefon i wezwał swoją ekipę, po czym zwrócił się do Deckera: – Musimy działać r a z e m. Musimy powstrzymać tego drania.

Decker pokręcił głową.

– Raczej t y c h d r a n i.

– Co ci przyszło do głowy? – zdumiała się Lancaster, a Bogart zmierzył go wzrokiem. – Napastnik wygląda na samotnika. Sam to powiedziałaś.

– I się myliłem – odparł z przekonaniem Decker.

– Co dokładnie skłania pana do myślenia, że może być w to zamieszany ktoś jeszcze? – spytał Bogart.

– Fakt, że nikt nie może znajdować się w dwóch miejscach naraz.

Wschód słońca.

Chmury zniknęły, a wraz z nimi deszcz. Wschód był zatem, jak się patrzy, kolory zmieniały się z początku delikatnie, a potem nagle odmieniły wygląd całego nieba, jak żadne inne zjawisko. Może z wyjątkiem wybuchu bomby jądrowej ze strzelistym grzybem atomowym.

Oba zjawiska dokonywały transformacji na swój sposób. Jedną stronę świata zalewał blask, drugą spowijał mrok. Pocałunek bomby był prawdziwy. Ruch słońca stanowił metaforę zapadających ciemności albo wstającego światła.

Decker stał na chodniku i obserwował rozgrywający się na niebie spektakl. Pomimo wstającego słońca jego nastrój grzęznął w najgęściejszych mrokach. Nie położył się spać, mimo że pożegnał się z Bogartem i Lancaster. Nie miałyby to sensu.

Od 7-Eleven dzieliła go jedynie szerokość asfaltu. Sklep był otwarty. Zawsze był otwarty. Decker widział przez szybę tę samą kobietę przeliczającą paczki papierosów. Ale podłogi mył jakiś smarkacz. Może „Billy” przeniósł się na inne wiadro w innym mieście. Albo zabalował „z paniami” i dochodził teraz do siebie.

Decker nie wiedział, co go tu przywiodło. To miejsce nie przestawało przyciągać go jak magnes.

Przestąpił próg, a kiedy zabrzączał dzwoneczek, miał wrażenie, jakby jakiś świder przewiercał mu czaszkę.

– Dobrze się pan czuje?

Decker zebrał myśli i poczuł na sobie wzrok kobiety. Wyglądała na lekko wystraszoną, a kiedy dostrzegł swoje odbicie w lustrzanych drzwiach lodówki z napojami gazowanymi, zrozumiał dlaczego. Wyglądał jak obłąkany, miał brudne ubranie i potargane włosy.

– Pan... był tu niedawno – wykrztusiła. – Szukał pan kogoś.

Decker kiwnął głową i rozejrzał się po sklepie.

– Gdzie jest Billy? Ten od mycia podłóg?

– Dzisiaj ma popołudniową zmianę. Znalazł pan człowieka, którego pan szukał?

Decker potrząsnął głową.

– Ale szukam dalej.

– Chyba przydałby się panu kubek kawy. Świeża. Przed chwilą zaparzyłam. Duża porcja za jednego dolara. Dobry interes. Może jakąś przekąskę?

Znów zabrzączał dzwonek i do środka ciężkim krokiem weszło dwóch mężczyzn w drelichowych ogrodniczkach, koszulach z flaneli i roboczych butach. Jeden podszedł do lady po papierosy. Drugi zbliżył się do automatu z napojami gazowanymi i zaczął napełniać colą kubek gigantycznych rozmiarów.

Gdy kobieta za ladą obsługiwała nowego klienta, Decker powędrował w głąb

sklepu, wziął kawę, zgarnął z półki zapakowane w folię ciastko i podszedł do kontuaru. Stał za mężczyzną kupującym papierosy, który poprosił jeszcze o kupony na loterię z konkretnymi numerami. Gdy Decker czekał na swoją kolej, w roztargnieniu rzucił okiem na stojak z prasą. Leżała tam złożona na pół gazeta z widoczną górną częścią strony tytułowej. O mało nie wypuścił z rąk ciastka i kawy. Odstawił kubek i paczuszkę, chwycił gazetę i zaczął czytać.

Pogrążony w lekturze, machinalnie ruszył w stronę wyjścia.

Kobieta zawołała za nim:

– Hej, nie zapłacił pan! – Pokazała na kawę i ciastko. – No i za gazetę.

Decker wcisnął rękę do kieszeni, wyjął pięć dolarów, rzucił na ladę i wyszedł, zostawiając w sklepie kawę i przekąskę. Kobieta i mężczyźni odprowadzali go wzrokiem.

Potykając się, przeszedł na drugą stronę ulicy i przysiadł na krawędzi kosza na śmieci pod mrugającą latarnią.

Artykuł był długi, szczegółowy i opatrzone fotografią.

Moje zdjęcie. Moja historia. Nie, nie moja. Czyjaś wersja tej historii zawierająca znacznie mniej prawdy niż jawnych spekulacji. Oraz kłamstw.

Zerknął na stopkę, choć mógł sobie tego oszczędzić. I tak wiedział, kto jest autorem.

Alexandra Jamison.

Złapał autobus do Residence Inn, pospieszył do swojego lokum, usiadł na łóżku i przeczytał artykuł jeszcze trzykrotnie. Oczywiście treść się nie zmieniła. Jedynie wbijała mu się do głowy niczym nóż raz po raz dźgający z coraz większą siłą.

Opadł na łóżko i wreszcie udało mu się zmruzyc oko. Kiedy się obudził, była prawie dziewiąta rano.

Poszedł do łazienki, ochlapał twarz wodą, zszedł do bufetu, nałożył sobie jedzenie, nalał trzy kubki czarnej kawy, zaniósł do swojego stolika i usiadł, gapiąc się w pełny talerz.

Słońce było już wysoko, sączyło się do środka przez szyby. Ten zalew światła ostro wydobywał postać Deckera, jakby był on aktorem występującym na scenie w nieznośnie gorącym blasku reflektorów.

Czekał, wpatrując się w jedzenie. Później jego wzrok powędrował na gazetę, którą położył obok talerza.

Zadzwoił telefon. Decker zerknął na wyświetlacz, odebrał.

– Cholera, Amosie, coś ty, do licha, narobił? – odezwał się głos Lancaster.

– Nic. I w tym właśnie problem.

– Każdy, kto przeczyta tę historię, pomyśli, że osobiście wynająłeś Sebastiana Leopolda, żeby pozbyć się własnej rodziny.

– Też tak pomyślałem, chociaż wiem, że to nieprawda.

- Dlaczego ona cię prześladowuje?
- Ponieważ odmówiłem rozmowy.
- Czyli nie pozostawiłeś jej innego wyboru niż zmyślenie tego steku bzdur?
- R z e c z y w i ś c i e spotkałem się z Leopoldem.
- Masz na myśli spotkanie w celi.
- Późniejsze.
- Co?!
- Śledziłem go, gdy wyszedł z aresztu. Widać to na zdjęciu w artykule.

Siedzimy razem w barze.

- Dlaczego, u licha, za nim poszedłeś?
- Ponieważ chciałem z nim porozmawiać. Zrozumieć, dlaczego powiedział policji i mnie, że zamordował moją rodzinę, skoro nie mógł tego zrobić.
- I wyjaśnił to?
- Nie. Zniknął.
- Czyli go zgubiłeś?
- Czyli wsiadł do samochodu i się ulotnił.
- Na twoich oczach?
- Nie, ale to jedyna możliwość.

Usłyszał jej przeciągłe westchnienie. Często słyszał, jak Lancaster ciężko wzdycha, zwykle wtedy, gdy Decker robił coś kompletnie od czapy, nawet jeśli w rezultacie jego działania pozwalały dotrzeć do prawdy w sprawie, którą rozpracowywali.

- Amosie, czasem naprawdę cię nie rozumiem.

Słyszał to tak wiele razy, że wiedział, iż Lancaster nie oczekuje wyjaśnień, toteż nawet się nie fatygował.

- A więc Leopold zwiął?
- Przynajmniej na razie.
- Zjedzą cię żywcem po przeczytaniu tego artykułu. Ta jędza nie omieszkała podać informacji, gdzie aktualnie mieszkasz.
- Mam asa w rękawie.
- Niby jakiego? – spytała zaintrygowana.
- Gównu mnie to wszystko obchodzi.
- Amosie, ty chyba nie rozumiesz...
- Muszę kończyć.

Rozłączył się i odłożył telefon na stół obok nietkniętej góry jedzenia. Choć wpatrywał się w stos jajek, kielbasek, bekonu i pieczonych ziemniaków, zamiast śniadania widział swoje zdjęcie z Leopoldem w barze. Wiedział, że ludziom musi wydawać się to dziwne: siedzi i popija piwo w towarzystwie człowieka, który przyznał się do zamordowania jego rodziny, a później wycofał zeznania. Jeśli jednak zamierza rozwiązać zagadkę tych zbrodni, musi podążać każdym tropem,

który się nawinie. A Leopold był jednym z nich.

Westchnął, odsunął od siebie talerz i podniósł wzrok. Z boku stała June z blachą babeczek. Nie patrzyła na Deckera. Patrzyła w stronę drzwi.

Decker poszedł za jej przykładem. I ją zobaczył.

Alex Jamison stała w drzwiach do jadalni. Miała na sobie luźne czarne spodnie i wytarty czarny płaszcz, pod którym nosiła turkusowy golf. Włosy związała w koński ogon. Włożyła buty na obcasach, zyskując dzięki temu kilka cali wzrostu.

Podeszła do stolika i rzuciła okiem na leżącą obok talerza gazetę.

– Przypuszczam, że już pan czytał – odezwała się cichym głosem.

Decker nie odpowiedział. Wziął do ręki widelec, przysunął talerz i zaczął jeść.

Stała zakłopotana przy jego stoliku. Ponieważ uparcie milczał, rzekła:

– Dałam panu szansę.

Nie przerywał jedzenia.

Usiadła naprzeciwko.

– Wcale nie chciałam tego robić.

Odłożył widelec, otarł usta papierową serwetką i na nią popatrzył.

– Odnoszę wrażenie, że ludzie niemal zawsze robią dokładnie to, co zamierzają.

Stuknęła w gazetę.

– Wciąż ma pan szansę na korektę.

– Ludzie, którzy chcą coś naprawić, popełnili jakiś błąd. Ja żadnego błędu nie popełniłem.

– Spotkał się pan z człowiekiem, który rzekomo zabił pańską rodzinę.

– Rzekomo. Wszystkie zarzuty oddalono, o czym doskonale pani wiedziała przed napisaniem tego artykułu. I o czym wiedziałem ja, zanim spotkałem się z nim w barze.

– Dlaczego pan się z nim spotkał?

– Chciałem mu zadać kilka pytań.

– Jakiego rodzaju? – Wyjęła dyktafon, notes i ołówek, ale Decker powstrzymał ją ruchem ręki.

– Proszę się nie trudzić.

Usadowiła się wygodniej na krześle.

– Nie chce pan przedstawić swojej wersji?

Decker odsunął talerz z jedzeniem, pochylił się nad stołem i powiedział:

– Nie mam nic do przedstawienia. – Wyprostował się, znów przysunął sobie talerz i powrócił do przerwane go śniadania.

– Okej, w porządku. Ale czy uważa pan, że Leopold maczał palce w tych morderstwach, nawet jeśli nie ma ich osobiście na sumieniu? Potwierdzono,

że w szkole strzelano z tej samej broni.

Decker posłał jej groźne spojrzenie.

– Brimmer mogła wylecieć za to z pracy. To nie jest powszechna wiedza. I pani dobrze o tym wie, w przeciwnym razie już zdążyłaby pani o tym napisać. Mógłbym złożyć doniesienie. Chce pani być świadkiem końca kariery zawodowej swojej informatorki? Czy może takie postępowanie uchodzi za uczciwą drogę zdobywania materiału do artykułu?

– Jest pan bardzo niezwykłym człowiekiem.

– Nie znam kontekstu, który pozwoliłby mi sformułować komentarz do tej obserwacji.

– Co tylko potwierdza moje racje, prawda?

Decker oparł się na krzesło i popatrzył na dziennikarkę.

– Niech mi pani opowie o sobie – zaproponował nagle.

– Jak to? Po co? – odparła ostrożnie.

– Mogę sam z łatwością zdobyć informacje. Życie nas wszystkich jest dostępne w Internecie. A więc, że zapożyczę od pani to wyrażenie, dam pani szansę na przedstawienie własnej wersji.

– I co powinnam teraz powiedzieć? Trafiona, zatopiona?

– Ma pani coś do ukrycia?

– A pan?

– Nie. Ale wie pani o mnie wszystko. – Stuknął w leżącą na stole gazetę. – Oto dowód. Więc niech pani opowie teraz o sobie.

– Co chciałby pan wiedzieć?

– Miasto, z którego pani pochodzi, rodzina, wykształcenie, kariera, życiowe cele.

– No, no, prosi pan o niewiele.

Decker czekał. Cisza mu nie przeszkadzała, czekanie też nie. Jego cierpliwość, podobnie jak umysł, nie miała granic.

Jamison skrzyżowała ramiona na piersi i zaczęła:

– Pochodzę z Bloomington w Indianie. Ukończyłam komunikację społeczną na uniwersytecie Purdue. Zaczynałam w redakcjach drobnych gazet na Środkowym Zachodzie, gdzie głównie parzyłam kawę, pisałam o pierdołach, którymi nikt inny nie chciał się zająć, i odwalalam dyżury, których nikt nie chciał brać. Próbowałam dziennikarstwa internetowego i prowadzenia bloga, ale tego nie znosiłam.

– Dlaczego?

– Lubię bezpośredni kontakt z człowiekiem, a nie przez jakieś urządzenia. To nie jest prawdziwe dziennikarstwo. To zarządzanie danymi dostarczanymi przez głupków, których człowiek nawet nie zna. Podawanie informacji leniom, którzy spędzają życie w piżamie. Nie o to mi chodziło. Chciałam zdobyć Pulitzera. A właściwie całą kolekcję Pulitzerów.

– Później przyjechała pani tutaj. Dlaczego? Burlington nie jest ekscytującą metropolią.

– Jest większe od wszystkich miast, w których wcześniej mieszkałam. Macie tu przestępstwa, interesujące życie polityczne. Koszty utrzymania są niskie, co jest istotne, ponieważ jeśli zsumować przepracowane przeze mnie godziny, to nie zarabiam nawet minimalnej pensji. Za to pozwalają mi pracować w moim własnym rytmie i zajmować się tematami, które mnie intrygują.

– Rodzina?

– Duża. Wszyscy mieszkają w Bloomington.

– Inne powody, dla których pani tu przyjechała?

– Nie ma innych powodów.

Wskazał na palec u jej lewej ręki.

– Były tam dwa pierścionki. Ślady są nikłe, ale charakterystyczne. Pierścionek zaręczynowy i obrączka. Już ich pani nie nosi.

– Rozwiodłam się. Wielkie mi halo. Podobnie jak połowa ludzi w tym kraju.

– Nowy początek z dala od eks?

Potarła miejsce po obrączce.

– Coś w tym stylu. No dobrze, czy już skończyliśmy?

– A chciałaby pani skończyć?

– Zdaje pan sobie sprawę, że wcale nie bawi się pan moim kosztem, prawda?

Po prostu jestem wspaniałomyślna, dotrzymuję panu towarzystwa, chcę zobaczyć, co z tego wyniknie.

– Twierdzi pani, że zajmuje się tematami, które panią intrygują.

– Tak.

– Zamierza pani podjąć próbę odkrycia związku między zabójstwem mojej rodziny a masakrą w Mansfield?

– Oczywiście.

– Jak mówią na panią przyjaciele?

– Zakłada pan, że mam przyjaciół?

– Jak zwraca się do pani Brimmer?

– Alex.

– W porządku, A l e x a n d r o, pozwoli pani, że przedstawię fakty możliwie najjaśniej, jak się da.

Przewróciła oczami i spojrzała na niego z pogardą.

– Czyżbym przeczuwała protekcyjnalne kazanie?

– Chce pani usłyszeć prawdziwą bombę?

Wyraz jej twarzy się zmienił. Dziennikarka sięgnęła po dyktafon.

– Do publicznej wiadomości?

– Pod warunkiem że źródło pozostanie anonimowe.

– Ma pan moje słowo.

– Zawsze daje je pani tak skwapliwie?

– Ma pan moje słowo – powtórzyła ostrym tonem.

– Tej nocy zamordowano agentkę FBI, a jej ciało powieszono tuż nad naszymi głowami, na biegnącej wzdłuż budynku galerii. Była wykwalifikowaną, uzbrojoną agentką federalną, która naprawdę potrafiła się o siebie zatroszczyć. Padła ofiarą morderstwa. Zlikwidowano ją tak łatwo, jak rozgniata się butem robaka. – Po raz kolejny odsunął talerz, wyciągnął rękę i wyłączył dyktafon.

Nie wykonała żadnego ruchu, by go powstrzymać.

– Widziałem niejedno w ciągu dwudziestu lat pracy w policji, ale nigdy nie spotkałem się z... – przerwał, szukając właściwych słów. – Nigdy nie zetknąłem się z taką p o t w o r n o ś c i ą. I nie chodzi tylko o to... – Znow umilkł, stukając palcami w blat stołu i zamykając oczy. Gdy je otworzył, dokończył: – P o t w o r n o ś c i ą w połączeniu z inteligencją i wyrachowaniem. To szalenie niebezpieczna kombinacja, Alexandro. Pytałem panią o rodzinę tylko dlatego, żeby wiedzieć, czy będzie miał kto panią opłakiwać, gdy i panią zamordują. Ponieważ, proszę się nie oszukiwać, ten ktoś zabije panią z taką samą łatwością, z jaką wydmuchuje się dym z papierosa.

– Jeśli próbuje mnie pan...

Decker nie pozwolił jej dokończyć.

– O ile wiem, on może obserwować nas nawet w tej chwili i kalkulować, kiedy i w jakich okolicznościach odebrać pani życie. Zdaje się, że lubi igrać ze mną w ten sposób. Mordować ludzi, którzy są mi bliscy albo z którymi coś mnie łączy. Napisała pani o mnie obszerny artykuł. Ten fakt wiąże nas ze sobą w sposób, który ten facet zdaje się uwielbiać. I nie mam najmniejszych wątpliwości, że ma zamiar zabijać aż do ostatniej upatrzonej ofiary.

Z twarzy Jamison zniknęło lekceważenie. Nonszalancję zastąpił strach, choć dziennikarka starała się tego nie okazywać.

– I niby kto ma być tą ofiarą? – Siliła się na swobodę, ale jej głos załamał się w połowie zdania.

– Ja.

32

Alexandra zgarnęła dyktafon, notes i długopis, schowała je do torby i wstała. Nie patrzyła na Deckera.

– Okej, jeśli poprawi to panu samopoczucie, oficjalnie stwierdzam, że wystraszył mnie pan jak wszyscy diabli.

– Widziała pani, jak Leopold wychodził z baru?

– Co takiego?

Znowu stuknął w gazetę.

– Z baru, gdzie pstryknięto tę fotkę.

Teraz popatrzyła na niego ostrożnie.

- Nie zamierzam odpowiadać na to pytanie.
- Właśnie pani odpowiedziała. No dobrze, jeszcze jedna sprawa.
- Mianowicie?

Wziął do ręki gazetę.

– Skąd pani wytrzasnęła moje zdjęcie z Leopoldem? Brakuje nazwiska fotografa. Wiem, że w tej profesji bardzo pilnują autorstwa zdjęć, zastanawiam się więc, dlaczego nie ma tu podpisu.

– Sama je zrobiłam.

– Nieprawda.

– Skąd pan wie?

– Jestem dość spostrzegawczy. I tak się składa, że w i e m, że nie było pani w barze. Osoba, która pstryknęła tę fotkę, obserwowała mnie i Leopolda. Co oznacza, że śledziła nas przez całą drogę, choć i ja śledziłem przecież Leopolda.

– Zrobił pauzę. – Nie pytałbym, gdyby nie było to ważne. Skąd pani wzięła to zdjęcie?

– Z anonimowego źródła – przyznała w końcu.

– A czy to anonimowe źródło dostarczyło także części informacji, które zawarła pani w artykule?

– Naprawdę nie mogę zagłębiać się w ten temat.

– Jeśli nie zna pani nazwiska swojego źródła, nie musi się pani przejmować ochroną jego tożsamości. – Decker wypuścił gazetę z rąk. – Informacje przyszły mailem, SMS-em? Bo na pewno nie tradycyjną pocztą. Nie zdążyłaby pani napisać tej historii.

– Mailem.

– Może go pani przekierować, tak żebyśmy namierzyli nadawcę?

– Dlaczego to dla pana takie ważne?

– Ponieważ osoba, która wysłała pani maila, jest zarazem osobą odpowiedzialną za śmierć tych ludzi.

– Nie może pan tego wiedzieć.

– Jestem o tym przekonany. Zapewne zasugerowano, że powinna pani opisać całą historię, bo coś w niej śmierdzi. Bo spotkałem się z facetem oskarżonym o zamordowanie mojej rodziny. I musi istnieć jakieś drugie dno. Zgadza się?

Jamison robiła coraz większe oczy.

– Czy to pan wysłał mi tego maila? – wycodziła.

– Abyś mógł przeczytać na pierwszych stronach gazet oskarżenia pod własnym adresem, że uknułem spisek w celu wymordowania mojej rodziny?

Przygryzła wargę.

– Przepraszam, to było głupie. – Z trudem przełknęła ślinę. – Naprawdę myśli pan, że to on?

– Był tam. Musiał stać dziesięć stóp ode mnie, a ja go nie zauważyłem. Nie

bardzo rozumiem, jak to możliwe.

– Powiedział pan, że on jest przebiegły.

Decker przytaknął.

– Owszem. Wyraźnie chce mnie zniszczyć, zanim mnie zabije.

– Mogę zadać panu jedno pytanie?

Decker podniósł wzrok.

– Proszę.

– Kogo, u diabła, wkurzył pan do tego stopnia, że mści się w taki sposób?

Milczał, ponieważ nie znał odpowiedzi. Zapisał na serwetce swój adres mailowy i podsunął go dziennikarce.

Jamison schowała serwetkę do kieszeni, odwróciła się i wyszła.

Decker nie ruszył się z miejsca.

Chwilę później zabrzączał jego telefon. Decker zerknął na ekran i pozwolił sobie na przelotny uśmiech.

Jamison przesłała mu wiadomość od swojego anonimowego źródła. Decker był pewien, że nie zdołają dotrzeć do nadawcy. To aż nazbyt oczywiste. Ale chciał dokładnie przeczytać treść.

Odepchnął na bok talerz i uważnie wpatrywał się w wiadomość. Nadawca nazywał się Mallard2000. Nic mu to nie mówiło. Przeczytał tekst. Zasadniczo wiadomość stanowiła odzwierciedlenie tego, co Decker zdążył już wydedukować. Nadawca chciał bowiem, aby Jamison napisała artykuł wzbudzający podejrzenia wobec Deckera i zabójstwa jego rodziny. Używał prostego, bezpośredniego języka. Decker wyobrażał sobie Sebastiana Leopolda, jak wypowiada na głos każde z tych słów, i próbował dopasować jego intonację i sztuczny sposób mówienia do treści przesłania. Ale coś się nie zgadzało, przynajmniej w jego mniemaniu. Coś tu nie pasowało.

Jest ich dwóch. Działają w zмовie. Jedna osoba nie może być jednocześnie w dwóch miejscach. Leopold siedział w więzieniu, gdy doszło do jednego i drugiego morderstwa. Jeśli więc jest w nie zamieszany, a uważam, że tak, musi być ktoś jeszcze. Jednak ta teoria ma pewien słaby punkt.

Jeden człowiek prowadzący przeciw niemu osobistą wojnę – w porządku. Ale d w i e osoby?

Przesłał maila Lancaster i poprosił o namierzenie autora. Wątpił, czy ona sama albo FBI będą w stanie to zrobić, mimo to jednak należało podjąć próbę. Nie miał komputera, udał się więc do biblioteki publicznej i skorzystał z tamtejszego sprzętu.

Nie znał się zbyt dobrze na informatyce, jego umiejętności wyśledzenia kogoś w sieci były ograniczone. Szybko wyczerpał swoje możliwości i wstał od komputera. Błąkając się wśród półek, dotarł do działu z literaturą faktu.

Coś zaświtało mu w głowie, a biblioteka była doskonałym miejscem, aby

sprawdzić formującą się w jego myślach teorię.

Rodzina Clutterów.

Posuwał się w stronę półki z autorami o nazwiskach rozpoczynających się na literę C. Nie C jak Clutter. Szukał autora tej tragicznej historii.

Znalazł książkę i zdjął ją z półki.

Truman Capote, *Z zimną krwią.*

Opowieść była prosta i zarazem złożona. Decker czytał ją wiele lat temu i swoim zwyczajem każdą jej stronę starannie przechowywał w pamięci.

Facet w więzieniu dostaje cynk od współwięźnia, że pewien farmer z rolniczych terenów Kansas, niejaki Clutter, trzyma mnóstwo pieniędzy w sejfie. Facet wychodzi z więzienia, nawiązuje kontakt z dawnym kumplem z celi i razem wyruszają do domu farmera. Włamują się do środka. Na miejscu okazuje się, że nie ma ani sejfu, ani pieniędzy, a cynk był jednym wielkim kitem. I na tym wszystko powinno się zakończyć, ale na nieszczęście dla rodziny Clutterów tak się nie stało. Bardziej bojaźliwy z dwójki przestępców, za to niezrównoważony, postanawia, że muszą zabić rodzinę farmera. Jego współnik pełniący rolę herszta tej dwuosobowej bandy, ten, który dostał fałszywy cynk, zgadza się, acz niechętnie. Mordują całą rodzinę, osoba po osobie. Zabójcom brakuje sprytu. W wyniku pościgu zostają pojmani. Po procesach i długo ciągnących się apelacjach zostają powieszani w celi śmierci w Kansas.

Tragedia w każdym calu. Obaj zabójcy borykali się w życiu z różnymi problemami, trudnościami, mieli złą przeszłość. Ale nie wydarzyło się nic takiego, co usprawiedliwiłoby ich czyny, choć z drugiej strony co mogłoby je usprawiedliwić?

Ta część historii nie zajmowała w tej chwili Deckera. To, co wzbudziło jego zainteresowanie, to prawdopodobieństwo sprzymierzenia się w dogodnym momencie dwóch mężczyzn z całkowicie odmiennych środowisk, stworzenia przez nich przestępczej spółki i doprowadzenia do rzezi tak wielu ludzi. Nie znał Leopolda. Po raz pierwszy zobaczył go w więziennej celi. A więc to nie Leopold prowadził przeciwko niemu wojnę. Musiał to być człowiek, z którym Leopold się skumpłował. Tylko kto to jest?

Decker odłożył książkę na półkę i wyszedł z biblioteki. Gdy znalazł się na dworze, znów zabrzączał telefon. Lancaster.

– Na razie cisza w sprawie tego maila – poinformowała. – Naprawdę myślisz, że to był ten facet?

– Tak.

– FBI też sprawdza.

– Coś nowego w sprawie Lafferty?

– Właśnie dlatego dzwonię. Możemy spotkać się w kostnicy?

– Tak. A co?

– Po prostu przyjdź. Sam zobaczysz.

Decker wsiadł do autobusu i pojechał do kostnicy znajdującej się na peryferiach Burlington w okolicy, która – podobnie jak spora część miasta – pamiętała lepsze czasy. W drodze zastanawiał się nad słowami Lancaster, ale niewiele z nich wywnioskował. Cóż takiego miał zobaczyć na własne oczy?

Czekała na niego pod wejściem do kostnicy. Była spięta, zdenerwowana, ręka drżała jej mocniej niż zwykle.

– Co się stało? – zapytał.

– Chodź, Bogart już tam jest.

Szli korytarzem, w którym cuchnęło środkami odkażającymi. Oraz śmiercią. Zmarli wydzielali specyficzną woń, wdzierającą się w oczy, nos, usta. Kostnice nie należały do miejsc czystych. W istocie rzeczy były wyjątkowo brudne. Nikt nie musiał się martwić, że ich klienci zakażą się śmiertelną chorobą.

Lancaster szła pierwsza. Wreszcie pchnęli wahadłowe drzwi. Decker trzymał się krok za nią. Pomieszczenie było obszerne, wypełnione półkami i stalowymi stołami do sekcji zwłok. Na trzech stołach leżały ciała owinięte prześcieradłami. Z sufitu zwisały węże z wodą, były też szafki, na których stały buteleczki zawierające jakieś płyny oraz przyrządy potrzebne do rozcinania zwłok. Z sąsiedniej sali dobiegał gwizd piły wibracyjnej. Decker słyszał już ten dźwięk. Otwierano komuś czaszkę. Zastanawiał się, czy to któraś z ofiar strzelaniny w Mansfield czeka, aż wyciągną jej mózg, zmierzą, zważą i przebadają.

Grupka ludzi skupiła się wokół stołu w głębi sali. Wśród nich Bogart. Tym razem był ubrany w garnitur i krawat ze spinką, kołnierzyk koszuli leżał idealnie płasko, z nienagannej fryzury nie odstawał ani jeden włos; istne ucieleśnienie profesjonalizmu. Ale obrzmiała twarz, zaczerwienione oczy i przygarbione plecy zdradzały co innego. Obok Bogarta stało jeszcze dwóch agentów oraz mężczyzna, w którym Decker rozpoznał naczelnego lekarza sądowego. Nie powierzyliby rozcinania ciała agentki federalnej osobie niższej rangą. Decker był wręcz zaskoczony, że FBI nie ściągnęło własnego lekarza.

Usłyszawszy ich kroki, Bogart podniósł głowę. Nieznacznie skinął nią, sztywno przywitał Deckera nieruchomym spojrzeniem i ponownie przeniósł wzrok na okryte prześcieradłem ciało.

Lancaster zwróciła się do lekarza:

– Co wiemy do tej pory?

– Ze wstępnych ustaleń przeprowadzonych na miejscu zbrodni wynika, że przyczyną zgonu była rana kłuta serca. Po śmierci ciało przenoszono. Wskazują na to plamy opadowe. Krew zebrała się w tkankach śródmiąższowych na plecach, natomiast denatkę znaleziono powieszoną na mocowaniu lampy. – Obnażył rękę Lafferty. Podniósł ją z trudem, ponieważ nadal była sztywna. – Stężenie pośmiertne zaczyna ustępować, od kończyn w kierunku szyi i szczęki, co mniej

więcej potwierdza czas zgonu określony wstępnie na północ.

– A co z temperaturą otoczenia? – zapytał Decker. – Było zimno.

– Kolega przeprowadzający oględziny na miejscu uwzględnił ten czynnik. Zmarłej wstrzyknięto bardzo silny środek uspokajający. Znaleźliśmy jego ślad. Środek ten pozbawił ją przytomności i możliwości obrony.

– Okaleczono narządy płciowe – wtrącił Decker.

Lekarz potwierdził. Kiedy jednak zaczął odsuwać prześcieradło, by odkryć tę okolicę ciała, Decker go powstrzymał.

– Już widzieliśmy.

Wyczekująco patrzył na Lancaster. Ona z kolei spojrzała na Bogarta i rzekła:

– Nie mówiłam mu. Uznałam, że sam powinien zobaczyć.

Bogart kiwnął głową, następnie dał znak dwóm pozostałym agentom, krępkim mężczyznom, którzy wyglądali tak, jakby chcieli kogoś zabić, wszystko jedno kogo.

– Przewróćcie ją – polecił.

Lekarz ściągnął prześcieradło, odsłaniając ciało agentki specjalnej Lafferty. Skóra z przodu była bardzo blada. Oczywiście lekarz zdążył już rozciąć zwłoki; linia szycia na górnej części tułowia wyglądała okrutnie i złowrogo, jak podwójny zamek błyskawiczny wrośnięty w ludzkie ciało. Skóra twarzy lekko zwisała, ponieważ została oderwana jednym płatem, a potem ułożona na powrót. Czaszkę przepiłowano, wyjęto mózg, po czym zastosowano odwrotną procedurę i przywrócono pierwotny stan.

Gdy zwłoki przewrócono na plecy, bladość zniknęła. Skóra była czerwona, jakby wręcz poparzona w miejscu, gdzie zebrała się krew.

Nie to jednak przykuło uwagę Deckera. Patrzył na coś, co widniało na plecach. Przysunął się bliżej, ponieważ przebarwienie zacierało obraz.

I wtedy zobaczył.

Na plecach Lafferty ktoś wyciął znaki.

Ktoś wyciął nożem słowa, używając ciała jak kartki papieru. Dwie linijki, jedna bezpośrednio pod drugą.

Kiedy to się skończy, brachu

powiedz mi

33

Wszyscy wyszli na zewnątrz. Bogart rzucił do swoich ludzi:

– Dajcie nam chwilę. Spotkamy się przy samochodach. – Agenci się oddalili.

Wtedy Bogart zwrócił się do Lancaster: – Chciałbym zamienić słowo z pani partnerem na osobności.

Lancaster zerknęła na Deckera, który powiedział:

– Zobaczymy się później, Mary.

– Na pewno?

– Na pewno – warknął Bogart.

Lancaster zatrzymała wzrok na agencie FBI.

– Współczuję z powodu agentki Lafferty.

– Agentki s p e c j a l n e j Lafferty. Dziękuję.

Na odchodnym Lancaster obejrzała się jeszcze raz przez ramię, zanim skręciła za róg i zniknęła z pola widzenia.

W tej samej chwili Bogart pchnął Deckera na ceglana ścianę kostnicy. Wcisnął mu pod brodę swoje przedramię.

– Okej, ty tłusty skurwysynu, teraz się policzymy.

Bogart był wysoki, silny i w znacznie lepszej kondycji niż Decker. W dodatku jego fizyczną siłę napędzał ogromny ładunek nienawiści i frustracji. Mimo to Decker miał nad nim przewagę ponad stu funtów, no i był kiedyś zawodowym futbolistą. Po trwającej około minuty walce, w której każdy z nich usiłował wziąć górę nad przeciwnikiem, Decker ugiął kolana i odepchnął się od muru, a ten impet w połączeniu z jego masą rzucił obu mężczyzn do przodu, choć w wypadku Bogarta był to w zasadzie ruch wstecz. W tej samej chwili Decker lewą nogą podstawił agentowi FBI haka i ten runął jak długi. Decker wylądował na nim z siłą walącą się ściany.

Leżąc płasko na plecach, przygnieciony ponad trzystu pięćdziesięcioma funtami żywej wagi, Bogart zdołał wymierzyć Deckerowi cios prosto w szczękę. Decker poczuł w ustach smak krwi i ruszający się ząb. Z całej siły wbił Bogartowi łokieć w skroń i usłyszał jęk przeciwnika, gdy jego czaszka odbiła się rykoszetem od chodnika.

– Zabiję cię! – ryknął agent, nie przestając kopać i młócić pięściami, podczas gdy Decker usiłował unieruchomić jego wymachujące kończyny.

Decker uniósł się o kilka cali, po czym zwałił się ciężko na Bogarta, wbijając masywne ramię prosto w przeponę mężczyzny. Powtórzył manewr. Agent stęknął, zipnął, zajęczał i zaniechał walki.

Decker wstał, zatoczył się do tyłu i schylił, próbując odzyskać oddech. Stał, opierając dłonie na drżących kolanach i ciężko dysząc.

Gdy obejrzał się za siebie, Bogart siedział z pistoletem wycelowanym w jego głowę. Podnosił się z ziemi powoli, z wyraźnym bólem, nie spuszczając Deckera z muszki.

– Zaatakowałeś agenta federalnego – wysapał, trzymając się wolną ręką za krwawiącą głowę.

Decker spojrział na pistolet, potem na Bogarta.

– Mógłbym cię aresztować – dodał agent FBI.

Decker wyprostował się i osunął, wsparty o mur. Uspokoiwszy wreszcie oddech, zapytał:

– Nie chciałeś mi przypadkiem czegoś powiedzieć?

Wciąż mierząc z broni w przeciwnika, Bogart odgarnął włosy z twarzy i poprawił krawat. Podeszedł bliżej.

– Czego?

– Podobno chciałeś się ze mną policzyć. Nie sędzę, by chodziło o skopanie mi tyłka. Raczej o p o w i e d z e n i e czegoś.

Bogart wskazał na drzwi kostnicy.

– Zostawił wiadomość na... na mojej agentce. Wiadomość skierowaną do c i e b i e.

– Wiem.

– Więc m u s i s z znać tego człowieka. Musiałeś wyrządzić mu jakąś krzywdę. Nazywa cię b r a c h e m! – wykrzyczał.

Nadal ciężko dysząc, Decker zaczerpnął powietrza, odepchnął się od ściany i stanął o własnych siłach.

– Nie znam tego człowieka. I nie jestem jego brachem.

– Mówiłeś, że nigdy niczego nie zapominasz. Tamten najwyraźniej też nie. Coś mu zrobiłeś. Może sobie tego nie uświadamiałeś, ale on zabił... zabił... – Agent umilkł, opuścił broń i stał ze wzrokiem wbitym w chodnik, potrząsając głową w głębokiej rozpacz.

Decker dotknął skaleczenia i siniaka na policzku, tam gdzie Bogart zadał mu cios pięścią. Wypchnął językiem ruszający się ząb.

– Zabił kilkanaście osób, łącznie z moją rodziną oraz agentką specjalną Norą Lafferty – podsumował Decker.

Bogart podniósł wzrok i wolno pokiwał głową.

– Łącznie z Norą. – Schował broń. – Słuchaj... przepraszam, że... Jeśli chcesz wnieść skargę, śmiało. Zachowałem się niewybaczalnie.

– Cóż takiego się stało? Zwyczajnie się potknąłem i upadłem, pociągając cię za sobą. Niezdara ze mnie. No ale jestem w końcu dużym, tęgim facetem bez kondycji. Myślę, że przydałoby się oddać twój garnitur do pralni i opatrzyć rozcięcie na głowie.

Bogart strzepnął brud z rękawa i popatrzył na Deckera.

– I co dalej?

– Tyle już zrobiliśmy, a właściwie nadal jesteśmy w lesie. Znaleźliście coś pożytecznego w bazie wojskowej?

– Guzik z pętelką. Nic niewarta przypadkowa zbieranina. Zdegradowana do papki. I tak musimy dostać odpowiedź z Pentagonu. Zresztą nie wiem, co mogliby jeszcze dodać. A co z tą historią w gazecie?

– Rozmawiałem z reporterką.

– Lancaster nam mówiła. Przekazała nam adres IP. Moi ludzie próbują go namierzyć, na razie bez powodzenia.

– Wątpię, czy dokądkolwiek prowadzi. To zbyt oczywiste.

- A więc nadal nie mamy nic – stwierdził ponuro Bogart.
- Mamy wiele, o ile uda nam się wyciągnąć sensowne wnioski. Mamy Sebastiana Leopolda.
- Ma alibi na czas obu morderstw.
- Ale nie w wypadku zabójstwa Lafferty.
- Sugerujesz, że działa z kimś w zмовie? To miałeś na myśli, mówiąc, że nikt nie może znajdować się w dwóch miejscach naraz.
- Decker przytaknął.
- Skąd pewność, że zabił Norę?
- Nie mam pewności. W każdym razie nie sądzę, by to Leopold wykroił napis na jej plecach.
- Dlaczego?
- Spotkałem się z nim. Zapamiętałbym tego człowieka, gdybym go już kiedyś widział. A nie pamiętam, co znaczy, że go nie widziałem. Pozostaje jego współnik. Nie oddałby pałeczki Leopoldowi. To jakieś osobiste porachunki. Jestem jego brachem. Ma coś do mnie. Tylko on, nikt inny.
- Ale, Decker, jak to możliwe, że miałeś z tym człowiekiem na pieńku i w ogóle go nie pamiętasz? Przecież nienawidzi cię do tego stopnia, że z zemsty szlachtuje ludzi!
- Nie odpowiem na to pytanie, ponieważ nie znam odpowiedzi – przyznał Decker. – Ale obiecuję, że poznam.

34

Decker stał przed barem, wpatrując się w wejście. Po chwili spojrział w prawo, następnie w lewo. Ceglane budynki były w opłakanym stanie.

Zszedł po schodkach i znalazł się w ciemnym, zadymionym wnętrzu.

Rozejrzał się dookoła i dostrzegł dwóch mężczyzn z klasy robotniczej, siedzących w boksie w głębi sali i podnoszących kufle z piwem. Przy wysokim okrągłym stoliku siedziała samotna kobieta z kieliszkiem białego wina w jednej ręce i wypalonym do połowy papierosem w drugiej. Gdy ją obserwował, odłożyła papierosa do czarnej popielniczki z plastiku, odstawiła kieliszek, wyjęła z torebki puderniczkę oraz szminek i poprawiła usta.

Decker minął wszystkich gości i podszedł do baru. Za kontuarem stał ten sam barman co poprzednio. Decker usiadł i zamówił piwo. Barman nalał, nożem do masła zebrał z wierzchu pianę i podsunął kufel Deckerowi, a ten podał mu w zamian banknot pięciodolarowy, mówiąc, że reszty nie trzeba. To zwróciło uwagę mężczyzny.

– Był pan już tutaj – zauważył.

Decker przytaknął i pociągnął łyk piwa.

– Byłem. Z innym facetem.

– A, tak. Dziwak z niego.

- Odwiedzał was jeszcze?
- Nie. – Barman zaczął wycierać kontuar energicznymi okrężnymi ruchami.
- A wcześniej?
- Parę razy.
- Rozmawiał pan z nim?
- On nigdy z nikim nie rozmawiał. Z wyjątkiem pana.
- Mieszka gdzieś w okolicy?
- Nie wiem. Zawsze widziałem tylko jego plecy, gdy wychodził z lokalu.

Nie natknąłem się na niego w żadnym innym miejscu.

- Nie widzę tamtej kelnerki.

Barman zachichotał.

- Zgadza się.

- Co się z nią stało?

– Z nią? – zarzął głośniej, przestał wycierać bar, oparł łokcie o kontuar, pochylił się do przodu i rzekł: – Nazywa pan to coś „nią”. A ja powiedziałbym inaczej.

- Jak by pan powiedział?

Mężczyzna wycelował palec w Deckera.

– Cholernie dobre pytanie. Nie ja zatrudniam tu ludzi. Nalewam drinki, wycieram blaty i od czasu do czasu wywalam za drzwi jakiegoś zalanego w sztok drania.

- Kto ją zatrudnił?

– Kierownictwo, kimkolwiek są. Ta buda w ciągu trzech lat czterokrotnie zmieniała właściciela. Jedyнным stałym elementem jestem ja, do usług. A moja noga by tu nie powstała, gdybym potrafił znaleźć sobie lepiej płatną robotę.

- Uważa pan, że to facet w damskich łaskach?

– Albo coś w tym rodzaju, tak. Nie jestem pewien. A jakoś nie chciało mi się sprawdzać. Nie robię na dwie strony.

Decker zamknął oczy i zaczął przerzucać w myślach klatki filmu.

Wysoka, szczupła, blond loki.

Zasłaniały dużą część jej twarzy.

Albo j e g o twarzy.

I może jeszcze jabłko Adama, tę niezawodną wskazówkę, którą może skorygować tylko chirurgiczny skalpel.

– Ma pan jakieś informacje o tej osobie? Musiała podać nazwisko, adres. Dane do wypłaty.

– Wszystko jest u kierownictwa. A oni są nietutejsi. Chyba nawet z innego stanu. Zdaje się, że zwinęli kilka interesów i połączyli w jeden. Ekonomia skali czy jakieś inne gówno. Założę się, że zarabiają kupę forsy. Ja jakby ciut mniej.

- Tutaj w barze nie przechowują żadnych dokumentów?

- Nie.
- Kto przyjmował tę osobę do pracy?
- Przysłali ją z agencji.
- Wie pan z której?

Barman łypnął na Deckera.

- A bo co? Może pan robi na dwie strony?

Decker wyjął identyfikator.

– Rozpracowuję sprawę kryminalną. To może być osoba, z którą muszę porozmawiać.

Barman przyjrzał się uważnie identyfikatorowi i rzekł:

– Okej. Prawdę mówiąc, nie wiem, czy to chłop, czy baba. Zjawilo się toto pewnego dnia i podjęło pracę.

- Niczego pan wtedy nie kwestionował?

– Ejże, potrzebowaliśmy kelnerki. Tamta druga się nie zgłosiła. Ta powiedziała, że przysłała ją agencja pracy tymczasowej, z której korzysta kierownictwo. Więc pokazałem jej, co ma robić.

- Kiedy to było?

– Na dzień przed pana pojawieniem się tu z tamtym gościem.

- A jeśli wcale nie przysłała jej agencja pracy?

– Niby dlaczego miałyby toto kłamać, do cholery?

- Macie tu łazienkę tylko dla personelu?

– Tak, na zapleczu.

- Ta osoba z niej korzystała?

– Na pewno. Każdy musi czasem zrobić kloca albo się odlać, no nie? Czy na stojąco, czy na siedząco.

- Niech pan pokaże.

Barman zaprowadził go tylnym korytarzem pod zniszczone drzwi z napisem „Toaleta”.

- Ma pan mocną taśmę klejącą?

– Na zapleczu.

- Niech pan przyniesie.

Zbity z tropu barman wyszedł i chwilę później wrócił z rolką. Decker zaczął zaklejać drzwi na krzyż długimi paskami taśmy.

- Co pan robi, do cholery?

– Za pięć minut zjawią się śledczy. Nikomu nie wolno tu wchodzić.

- A jak mnie przypili?

– Skorzysta pan z toalety dla klientów. Policja poprosi pana o podanie rysopisu „tego czegoś”, więc lepiej niech pan od razu zacznie odgrzebywać z pamięci wszystkie szczegóły.

Decker zadzwonił do Lancaster.

– Wysyłam ich natychmiast – zapowiedziała. – Jak pogawędka z Bogartem?
– Przewidywalna.

Rozłączył się i wyszedł na ulicę.

Przychodząc do tego baru, rozwiązał dwie kwestie.

Po pierwsze, to kelnerka sfotografowała go z Leopoldem i przesłała Alexandrze Jamison materiał do artykułu. Nikt inny nie mógł tego zrobić. Jej intencją było zniszczenie Deckerowi reputacji, z kretesem. Mało tego, chciała, żeby nawet i on sam zaczął kwestionować prawdę.

Po drugie, wyszła z baru, podjechała samochodem i zgarnęła Leopolda. Wóz musiał mieć napęd elektryczny albo hybrydowy, ponieważ Decker nie słyszał silnika, a powinien był słyszeć.

W kadrach jego pamięci po wyjściu Leopolda w barze pozostał tylko barman. Kelnerki nie było. Poszła bowiem po samochód.

Mężczyzna w kobiecym stroju.

Albo kobieta, która była kiedyś mężczyzną, w damskich ciuchach. Jak w tamtym filmie, który oglądał wiele lat temu, z Jamesem Garnerem i Julie Andrews. *Victor, Victoria*.

Może kelnerka jest współniczką Sebastiana Leopolda.

Decker nie spojrzał na jej nogi, czego teraz ogromnie żałował. Gdyby miał jednak zgadywać, stawiałby na dziewiątkę. Próbował oszacować w myślach jej wzrost. Siedział przy stoliku. Mogła nosić buty na obcasach. Przesuwał klatki filmu.

Powiedzmy, że pięć stóp i dziesięć lub jedenaście cali. Szczupła, wąskie biodra i ramiona.

Daleko do sześciu stóp i dwóch cali, ponad dwustu funtów wagi i barów szerokich jak u Deckera.

Ale nie do tego stopnia, by nie można było sobie tego wyobrazić. Dla chcącego nie ma rzeczy niemożliwych. A w tym wypadku, jak się wydawało, można spodziewać się absolutnie wszystkiego.

Decker czekał na techników śledczych. Gdy się zjawili, wyjaśnił dokładnie, czego oczekuje. Lancaster poinstruowała ich, by stosowali się ściśle do poleceń Deckera. Z barmanem usiadł specjalista od sporządzania portretów pamięciowych.

Natomiast Decker udał się gdzie indziej.

Ponieważ wpadła mu do głowy nowa myśl.

35

Zajęcia praktyczno-techniczne.

Zajęcia, które nie odbyły się w tym roku szkolnym ani razu, ponieważ nauczyciel zrezygnował z pracy przed jego rozpoczęciem.

Decker zastanawiał się, czy istniał jakiś inny powód – poza podziemnym korytarzem, który łączył się z magazynkiem przy pracowni – dla którego napastnik

chciał mieć dostęp do tego akurat miejsca.

Przeszedł przez pracownię do składziku na tyłach. Przyglądał się stertom rupieci po dawno porzuconych projektach, pozostawionych jak kości dinozaura czekające na wykopki paleontologów.

Cóż, Decker miał zamiar kopać.

Zaczynał od czubka każdego stosu i przeczesywał do samego dna.

Nie znalazł niczego przydatnego. Usiadł na podłodze i rozmyślał. Roztrząsał kolejne możliwe kroki. To miejsce, uznał, byłoby niepraktyczne. Napastnik potrzebowałby większej prywatności, strefy buforowej.

Wyszedł ze składziku i zszedł po schodach do pomieszczenia za fałszywą ścianką z balsy. Zabójca odsunął tam na bok stertę gratów.

Decker nie musiał grzebać zbyt głęboko w tej kupie kłopotów.

Wyciągnął pewien przedmiot i podniósł go w górę.

Dziwna konstrukcja z drucianej siatki oraz skóry, z wmontowanymi poduszkami. Decker, jako zapalony niegdyś sportowiec, natychmiast ją rozpoznał.

Ochroniacz barku futbolisty.

Więcej niż barku. Konstrukcja sięgała talii i obejmowała wzmocnienia ramion, poszerzające i pogrubiające sylwetkę w każdym miejscu. Miała zawiasy, które pozwalały na otwarcie kłapek po odciągnięciu dwóch zasuwek. Taka skrócona wersja żelaznej dziewicy, średniowiecznego narzędzia tortur. Przypominała kompletny korpus, który można przymocować do tułowia i w zasadzie podwoić swoje rozmiary.

Otworzył konstrukcję i spróbował włożyć ją na siebie. Szkopuł w tym, że sam był niemal tych samych rozmiarów, więc była na niego za ciasna. Pasowałaby na kogoś o połowę mniejszego, natychmiast przeobrażając go w olbrzyma. Podziwiał elastyczność i giętkość druczanych i skórzanych elementów oraz pasków spinających wszystko razem. Plastyczność była niezbędna, ponieważ osoba, która nosiła tę konstrukcję, musiała mieć swobodę ruchów, żeby strzelać.

Ze stu czterdziestu funtów robiło się dwieście z hakiem. Szczupłe ciało przekształcało się w potężną sylwetkę blokującego obrońcy.

Znalazł jeszcze przypinane poduszki, dodające objętości nogom i dopasowujące je do rozbudowanej góry.

No dobrze, to rozwiązywało kwestię tęgości. Pozostawała sprawa wzrostu.

Szukał dalej.

I znalazł, wciśnięty między dwie stare lampy oraz stolik zrobiony częściowo z pniaka.

Wyciągnął, przytrzymał w górze i otaksował wzrokiem. Był to but bez obcasa, za to na czymś w rodzaju grubego koturnu na całej długości stopy. Włożenie takiego obuwia podnosiłoby wzrost o jakieś trzy cale. Decker doszedł do wniosku, że to dużo efektywniejsze niż obcas. Wysokie obcasy poważnie

ograniczałyby sprawność. A tak po prostu chodziło się jak na platformie o jednolitej wysokości. Przyłożył but do własnej stopy. Znacznie mniejszy. Rozmiar dziewięć albo dziewięć i pół.

Kilka chwil później znalazł drugi do pary.

Postawił obuwie na podłodze. Choć nie był w stanie wcisnąć do środka swoich o wiele większych stóp, mógł stanąć na platformach.

Z sześciu stóp i pięciu cali natychmiast zrobiło się sześć stóp i osiem cali.

W ten sam sposób pięć stóp i dziesięć lub jedenaście cali w jednej chwili urastało do sześciu stóp i dwóch cali.

Wątpił, by napastnik przyniósł cały sprzęt w dniu szkolnego przedstawienia, upchnął w stołówce, a później taszczył to wszystko podziemnym korytarzem. Nie musiał. Wystarczyło przemycić to wszystko w dowolnym momencie i złożyć tutaj.

Decker znalazł worek na śmieci i wrzucił do niego wszystkie znaleźiska.

No dobrze, rozwiązała się sprawa rozmiaru oraz wyjaśniło się, jak facet się precyzyjnie przeczesał przez drzwi do podziemnego przejścia, nie odsuwając na bok klimatyzatorów. Był po prostu znacznie szczuplejszy, może tak szczupły jak Lancaster. Nie miał problemu z wślizgnięciem się przez wąską szparę w drzwiach. Szczupły jak ta kelnerka; ona by się zmieściła.

Decker błyskawicznie powrócił myślami do obrazu z kamery przy tylnym wejściu do szkoły. Tylko od pasa w górę. Zabójca chciał uniknąć ryzyka, że kamera zarejestruje buty na platformie.

Nie musiał przejmować się naocznymi świadkami. Ci, którzy jeszcze żyli, z pewnością nie zawracaliby sobie głowy jego obuwem, przynajmniej nie w chwili, gdy ktoś mierzy do nich z broni.

Zadzwoił do Lancaster i powiadomił ją o swoich znaleziskach.

Kilka „jasnych choler” później zapowiedziała, że przybędzie za dziesięć minut i odbierze zapakowane do worka na śmieci dowody.

Decker przysiadł na blacie pośrodku pracowni technicznej i rozejrzał się po sali. Chciał uporządkować sobie wszystko w głowie, ułożyć elementy układanki, choćby po to, by zobaczyć, ile jeszcze w niej pustych miejsc.

Napastnik wchodzi do szkoły wieczorem w trakcie szkolnego przedstawienia, zaszywa się w chłodni przy stołówce. Wychodzi następnego dnia rano, korzysta z podziemnego przejścia, by przedostać się niepostrzeżenie ze stołówki na tyły budynku. Wcześniej umawia się z Debbie Watson w pracowni technicznej. Pozbawia dziewczynę przytomności, wkłada swój ryszunek, uzbiera się, paraduje przed kamerą po wywleczeniu ogłuszonej Debbie z pracowni i ustawieniu jej w pozycji pionowej obok szafki, następnie skręca za róg i do niej strzela. Rozpoczyna masakrę, posuwając się od tyłu w kierunku frontu budynku. Później ucieka ze stołówki połączonym z bazą McDonalda podziemnym korytarzem, o którym dowiedział się od Debbie Watson. Ukrywa elementy

swojego przebrania w stercie gratów, co wyjaśniałoby drugą linię śladów biegnących schodami w górę. Następnie wymyka się przez starą bazę wojskową, przedostawszy się najpierw do odkrytego przez Deckera przejścia w litej z pozoru ścianie.

No dobrze, jeśli tak wyglądał przebieg wydarzeń, Decker miał jedno, szalenie istotne pytanie.

Dlaczego Mansfield? Dlaczego zabójca wybrał akurat to miejsce?

Decker był w kropce.

Uczęszczał niegdyś do tej szkoły. A jeśli rzeczywiście chodzi o jakieś osobiste porachunki, są w tym budynku przedmioty mocno związane z Amosem Deckerem. Noszące wręcz jego imię i nazwisko.

Zsunął się z blatu i zamaszystym krokiem ruszył korytarzem.

Nie wznowiono jeszcze zajęć w szkole, chodziły nawet słuchy, że uczniowie będą wożeni do innych liceów w okolicy, by mogli ukończyć przynajmniej pierwszy semestr. Podczas ferii miasto miałoby zdecydować, co z pozostałą częścią roku szkolnego.

Decker był w rozterce, gdy myślał o powrocie uczniów w to miejsce.

Z jednej strony pragnął, by zostało zrównane z ziemią i zamienione na coś w rodzaju pomnika na cześć zmarłych.

Z drugiej zaś nie chciał dawać temu draniowi satysfakcji, że zmusił miasto do podjęcia tak drastycznych kroków. To jak skapitulować przed terrorystami.

Wkroczył do sali gimnastycznej i podszedł energicznie do dużej gabloty wbudowanej w jedną ze ścian. Przechowywano tam wszystkie puchary oraz inne nagrody zdobywane przez uczniów Mansfield na przestrzeni lat. Ułożono je w porządku chronologicznym, więc Decker mógł bez trudu znaleźć to, czego szukał.

Tylko że tego nie było.

Wszystkie nagrody, jakie zdobył, wszystkie trofea noszące jego nazwisko – a było ich około tuzina – zniknęły. Sprawdził jeszcze raz. Pusto.

Oparł się o gablotę i przyłożył dłoń do ust.

Ktoś wtargnął do Mansfield i urządził krwawą jatkę. I ten seryjny morderca zrobił to z jego powodu. Z powodu Amosa Deckera.

Ta sama motywacja stała za wymordowaniem jego rodziny.

Przeze mnie, przez Amosa Deckera.

Nagle poczuł się tak, jakby Dwayne LeCroix jeszcze raz powalił go na ziemię.

Zabrzączał telefon. Myślał, że to Lancaster.

Mylił się. Dzwonił Bogart.

– Decker, znaleźliśmy coś w kontenerze na śmieci w uliczce, gdzie porwano Lafferty. Miałeś rację. Ktoś przebrał się w policyjny mundur.

Po zdenerwowanym tonie rozmówcy Decker wyczuł, że będzie jakiś ciąg dalszy.

– Coś jeszcze?

– Mundur był autentyczny. Typowy uniform wydziału policji w Burlington.

– No i?

– Miał naszywkę z nazwiskiem.

– Wszystkie mają. Z czyim nazwiskiem?

Coś mu jednak podpowiadało, że zna już odpowiedź.

– Z t w o i m – odparł Bogart.

Decker przybiegł zziębnięty pod budynek. Dopadł do bramy i wprowadził szyfr. Kod nie należał do szczególnie bezpiecznych. Była to data urodzin Molly.

Brama otworzyła się, przeszedł na drugą stronę. Wszystkie skrytki miały zewnętrzne drzwi. Ruszył pospiesznie do tej na samym końcu. Wyjął klucz z kieszeni, potem jednak zobaczył, że w schowku brakuje zamka.

Zrobili to celowo. Chcieli, żeby wiedział.

Podniósł harmonijkowe drzwi, na wszelki wypadek trzymając w ręku pistolet. Ale nie było tam nikogo. Żywego ducha.

W skrytce przechowywał rzeczy, które zabrał ze starego domu, ponieważ nie miał gdzie ich trzymać w miejscu, do którego się przeprowadził. Nie potrafił się ich pozbyć. Zgromadził tu także materialne wspomnienia życia z dwiema osobami, które były mu najbliższe na świecie: Cassie i Molly.

Wszystkie przedmioty były starannie zapakowane w pudełka, opisane i ustawione na wytrzymałych metalowych regałach. Ta skrytka była wydatkiem, na który nie mógł sobie w zasadzie pozwolić, ale nigdy nie zalegał z ani jedną opłatą. Chodził głodny i zziębnięty, byle utrzymać to miejsce, te wspomnienia w nienaruszonym stanie. Schowek stanowił odzwierciedlenie jego umysłu: zawierał mnóstwo rzeczy, ale starannie posegregowanych; każdą z nich mógł wydobyć przy minimalnym wysiłku.

Chciał zajrzeć do jednego z kartonów. Tylko do tego jednego.

W głębi, po lewej stronie, druga półka, czwarty od prawej.

Dotarł do niego i zamarł. Pudełko było na swoim miejscu, ale miało otwarte wieko. Zdjął karton z regału i postawił na betonowej podłodze. To pudło zawierało przedmioty pozostałe po karierze zawodowej w organach ścigania. Należał do nich między innymi mundur policyjny, który zachował, awansując na stopień detektywa. Zrobił to, ponieważ zdarzały się sytuacje, w których nawet od funkcjonariuszy noszących cywilne ubrania oczekiwano przywdziania mundurów. Odchodząc z wydziału, powinien był oddać mundur, ale nikomu by się on nie przydał. W całym wydziale policji Burlington nie pracował nikt o choćby zbliżonych rozmiarach.

Mundur nie było. Ktoś się nim posłużył, by zmylić Norę Lafferty i uśpić jej czujność w uliczce na kilka cennych – i w rezultacie śmiertelnych – sekund.

Wiedzą, gdzie mieszkam. Wiedzą, że mam ten schowek.

Sprofanowali go.

Sięgnął pamięcią do ostatniego razu, kiedy tu przyszedł. Dwadzieścia siedem dni temu o trzynastej trzydzieści pięć. Wtedy go obserwowali? Czy może przy poprzedniej wizycie?

Podbiegł do bramy, przy której zainstalowano kamerę. Nie liczył na żaden obiecujący trop i okazało się, że miał rację.

Obiektyw kamery był pryśnięty czarną farbą. Wyraźnie nikt nie monitorował tego miejsca, skoro nie zauważono, że co najmniej od miesiąca kamera niczego nie zarejestrowała.

Zadzwoił do Bogarta.

Piętnaście minut później pod bramę podjechało kilka SUV-ów. Decker wpuścił ludzi do środka i zaprowadził do skrytki. Po drodze wszystko im objaśniał. Ekipa Bogarta przystąpiła do działania, szukając odcisków palców oraz wszelkich innych śladów.

Bogart i Decker stali obok siebie i obserwowali pracę agentów.

– Dlaczego nie zwróciłeś munduru, odchodząc ze służby? – zapytał Bogart.

Decker doskonale wiedział, w jakim kierunku zmierza ta rozmowa, ale nie bardzo mógł go odwrócić. Zresztą pod pewnymi względami Bogart miał rację.

– Powinienem był to zrobić – zgodził się Decker. – Ale nie zrobiłem.

Bogart wolno pokiwał głową.

Decker nie wiedział, czy agentowi znowu puszcza nerwy, uznał jednak, że najprawdopodobniej nie, przynajmniej w obecności ekipy.

– Cóż – rzekł Bogart – tylko prawdziwy mundur policyjny mógł zwieść Lafferty. Ci dranie pewnie mieli tego świadomość.

Po tych słowach Deckera ogarnęło jeszcze większe poczucie winy, co wyraźnie było intencją agenta. Nokautujący cios zadany na odległość, bez kontaktu fizycznego.

– Macie ten mundur ze sobą? – zapytał Decker.

– W torbie z dowodami w samochodzie.

– Mogę go zobaczyć?

Wyciągnęli torbę.

– Mundur i czapkę sprawdzono pod kątem ewentualnych śladów. Nie znaleziono niczego przydatnego.

Decker szukał jednak czegoś innego. Obmacywał dół nogawki. To, czego się spodziewał, znalazł na wysokości około sześciu cali od mankietu spodni.

Pokazał Bogartowi.

– Dziurki? – zdziwił się agent FBI.

– Od szpilek. Potrzebnych do podwinięcia nogawki.

– Od szpilek?

– Mam sześć stóp i pięć cali wzrostu i wyjątkowo długie nogi – wyjaśnił Decker. – Człowiek, który miał na sobie ten mundur, musiał skrócić nogawki spodni o sześć cali. W przeciwnym razie Lafferty zauważyłaby, że mundur na niego nie pasuje. W tamtych czasach byłem szczuplejszy, ale jestem pewien, że facet musiał zwięzić mundur w pasie i być może zebrać nadmiar materiału z tyłu. Podobnie z koszulą.

Decker obejrzał koszulę i dostrzegł dwie dziurki po szpilkach pośrodku

karczku.

– Tutaj i tutaj. Zabójca mógł podwinąć rękawy i zapiąć mankiety, radząc sobie w ten sposób z różnicą długości rękawów. A pasek na czapce pozwala dopasować dużą czapkę do średniego obwodu głowy.

– A więc znacznie mniejszy mężczyzna?

– Około pięciu stóp i jedenastu cali. Szczupły.

– Lancaster powiedziała mi, co znalazłeś w szkole. Buty na koturnie dodającym wzrostu i jakąś konstrukcję poszerzającą górną część ciała.

– Coś w rodzaju naramienników noszonych przez futbolistów i ochraniaczy na uda. Smukła osoba średniego wzrostu wydaje się w nich o wiele masywniejsza.

– Śledzenie drogi maila zdało się na nic. Adres IP zaprowadził nas donikąd – poinformował Bogart.

– Żadna niespodzianka.

Decker spojrzał na imienną naszywkę na mundurze.

Decker.

Mężczyzna w granacie. Mężczyzna, którym kiedyś był.

I wtedy zauważył coś jeszcze. Słabo widoczne, ale z pewnością świeże.

– Spójrz na odznakę.

Bogart przyjrzał się uważnie.

– Czy to...?

– X. Ktoś zaznaczył X.

– Co to może symbolizować? Zabójstwo Lafferty?

– Nie wiem.

Decker podał mundur Bogartowi. Agent FBI odebrał go i zaczął śledzić poczynania swoich ludzi w schowku.

– Jak to się stało, że zatrzymałeś te wszystkie rzeczy?

Decker podniósł wzrok i powiedział bardziej do siebie niż do Bogarta:

– To wszystko, co mi pozostało.

Agent zerknął na Deckera, przez jego twarz przemknął wyraz współczucia. Decker musiał to dostrzec, ponieważ rzekł:

– Nie ma powodu się litować. Człowiek dokonuje wyborów. I ponosi ich konsekwencje.

– Nie ty wybrałeś śmierć swojej rodziny, Decker.

– Myślę, że człowiek, który to zrobił, był przekonany, że to mój wybór.

– To naprawdę chore.

– Bo on jest chory.

37

Gdy Becker wrócił do Residence Inn po bezowocnym przeszukaniu schowka, przekonał się, że tymczasem ktoś złożył mu wizytę i zostawił po sobie bardzo wymowne ślady.

W drewniane drzwi była wbita siekiera. Na oknie i ceglanej fasadzie wymalowano sprejem różne obelgi. Na betonie poniewierały się bezgłowe lalki. Gazety z artykułem pióra Alex Jamison rozrzucono na galerii pod budynkiem oraz porozklejano na murze i nabazgrano na nich zjadliwe słowa. Na kilku egzemplarzach przerobiono fotografię Deckera, nadając mu diaboliczny wygląd.

Podpisano: *Dzieciobójca*.

Decker wyciągnął siekierę, odsunął nogą leżące pod stopami przedmioty, otworzył drzwi pokoju, wszedł do środka i zamknął się na klucz.

Rzucił siekierę na biurko, podszedł do łóżka i się położył. Zamknął oczy i zastanawiał się, co takiego ciągle mu umyka. Czuł, że jest blisko. Wiedział, że tak. Zaczął po raz setny układać w porządku chronologicznym wszystkie znane fakty.

Rozmyślenia przerwało pukanie do drzwi. Zwlókł się z łóżka, podszedł do drzwi i zapytał:

– Kto tam?

– Ktoś, kto jest winien panu przeprosiny.

Rozpoznał głos i otworzył.

Na progu stała Alex Jamison, trzymając w ręku jedną z bezgłowych lalek.

– Naprawdę bardzo przepraszam – powiedziała ze szczerze skruszoną miną.

– Za co miałyby pani przepraszać?

– Cholera, Decker, potęguję pan we mnie poczucie winy.

Była ubrana od stóp do głów w czerń: rajstopy, długi sweter zakrywający pośladki, botki na masywnych obcasach i krótka dżinsowa kurtka. Przez ramię przewiesiła dużą torbę.

– Znajdzie pan czas na kawę?

– Bo co?

– Nie przyszłam tu na wywiad.

– A w jakim celu?

– Brimmer powiedziała, że to pan odwalił najcięższą robotę w tej sprawie.

Znalazł pan wszystkie tropy, choć nie chciała mi zdradzić jakie.

– Czyli się uczy.

– No to co z tą kawą? Chciałabym porozmawiać o pewnych rzeczach. Ja stawiam. Proszę, to ważne.

Zamknął za sobą pokój, zeszli na dół po schodach, przeszli na drugą stronę ulicy i po kilku przecznicach dotarli do baru kawowego zajmującego ciasną wnękę pomiędzy dwoma większymi sklepami, z których jeden był zabity deskami, a drugi bliski podzielenia takiego samego losu.

– Całe miasto podupada – zauważyła Jamison, gdy mijali zamknięty na głucho sklep. – Niedługo będę pisała tylko o bankructwach i przejęciach.

Wzięli kubki z kawą i usiedli przy stoliku w głębi kafejki. Decker

obserwował, jak dziewczyna wsypuje cukier do kawy.

– O czym chce pani rozmawiać? – spytał wprost.

– Naprawdę przepraszam za ten artykuł. Z perspektywy czasu rozumiem, że niczym sobie pan na niego nie zasłużył. Z pewnością nie jest pan winien temu, co stało się z pańską rodziną. Jak sam pan powiedział, jakiś psychopata postawił sobie za cel najpierw pana sponiewierać, a potem zniszczyć. Wykorzystał mnie do swych zamiarów, a ja rzuciłam się na przynętę, żeby napisać artykuł. Ale zaczęłam się zastanawiać. Jak to możliwe, że ktoś prowadzi przeciwko panu taką krwawą wojnę, a pan nie wie nawet, czym pan zawinił?

Decker wypił łyk kawy, patrząc rozmówczyni prosto w oczy, ale milczał.

– Jestem pewna, że pan także łamie sobie nad tym głowę – dodała.

– Łamię.

– To musi być jakaś osobista historia.

– Morderstwo prawie zawsze ma podłoże osobiste.

– Nie, chodzi mi o coś więcej. Brimmer powiedziała, że zabójca pozostawił kilka wiadomości. Nie zdradziła oczywiście ich treści, ale najwyraźniej były adresowane do pana.

Decker milczał, lecz wyraz jego twarzy dobitnie świadczył o zainteresowaniu.

– No więc trochę pogrzebałam.

– W czym?

– W informacjach na pański temat.

– Jak?

– Jestem dziennikarką. Mamy swoje sposoby.

– I czego się pani dowiedziała?

– Pochodzi pan z Burlington. Największy gwiazdor sportu, jakiego to miasto kiedykolwiek wydało. Młody człowiek, który odniósł sukces.

Ta uwaga przypomniała Deckerowi o szkolnej gablocie z pucharami.

– Zabójca zabrał z gabloty w Mansfield wszystkie puchary noszące moje nazwisko.

Usadowiła się wygodniej. Wyglądała na usatysfakcjonowaną, a zarazem zdziwioną.

– Ciekawe, kiedy to zrobił. Z pewnością nie w dniu ataku. Nie włókłby ze sobą tego żelastwa.

– Miałyby swoje sposoby – rzekł Decker. – Ale nie mogę o tym mówić. Może pewnego dnia napisze pani kompletną historię.

– Pojawia się zatem pytanie, czy to ktoś, kto pochodzi z Burlington i przez te wszystkie lata chował do pana urazę? Wielka gwiazda futbolu kontra jakaś ciągnąca się w ogonie, zazdrosna o sukcesy miernota? Fakt, że ukradł puchary, może wskazywać, że to człowiek stąd. Z kim chodził pan do Mansfield? Może

myślał, że wyjeżdżając na studia, zniknie pan stąd na dobre, tymczasem wrócił pan, został policjantem i dokonał mnóstwa wspaniałych rzeczy. Przez długie lata nienawiść wzbiera, zaognia się, aż wreszcie faceta po prostu rozsadza.

– Facetów – poprawił Decker.

– Jak to? Chce pan powiedzieć, że jest więcej niż jeden?

– Tego nie wolno pani napisać. – Pochylił się ku niej. – Naprawdę nie może pani tego napisać, Alexandro. Jeśli zabójca to przeczyta, uzna, że wie pani znacznie więcej. To „więcej” może być dla niego niebezpieczne. A co za tym idzie, niebezpieczne dla pani.

– Rozumiem. Już wcześniej napędził mi pan tęgiego stracha. Nie ruszam się nigdzie bez gazu łzawiącego i funkcji szybkiego wybierania numeru dziewięćset jedenaście.

– Ale wróciła pani. I próbuje mi pani pomóc w rozwiązaniu tej sprawy. Mogą nas obserwować. Po co to ryzyko?

– Nie po to zajęłam się dziennikarstwem, żeby wieść bezpieczne życie. Wybrałam ten zawód, ponieważ chciałam podejmować ryzyko. Pod tym względem jesteśmy do siebie bardzo podobni.

– Jak to?

– Uważam, że jedynym zajęciem bardziej ryzykownym niż kariera futbolisty i praca w policji jest walka na polu bitwy. Więc jest pan ryzykantem. Podobnie jak ja. A gdybyśmy mogli przy okazji zrobić coś pożytecznego, to czemu nie? No więc pamięta pan, komu się tu pan naraził?

– Byłem dobry w sporcie, ale w niczym więcej. I nie byłem żadną mendą. Bawiłem się. Żartowałem, błaznowałem. Rozśmieszałem ludzi. Robiłem zadymy. Daleko mi było do doskonałości. Poza wyczynami na boisku niczym się nie wyróżniałem.

– Trudno mi sobie wyobrazić pana w roli żartownisia.

– Ludzie się zmieniają.

– Pan się zmienił, prawda?

Decker wysączył kolejny łyk kawy.

– Ludzie się zmieniają. Nie jestem żadnym wyjątkiem.

– Zmieniają się, owszem. Ale myślę, że pan zmienił się bardziej niż pozostali.

– A dokładniej?

– Mam na myśli tamten wypadek. Oglądałam na YouTube.

– Brawo.

– Okropnie było na to patrzeć. Nie potrafię sobie wyobrazić, jakie to uczucie tak oberwać.

– Właściwie nie pamiętam. Powiedzieli mi później, że narobiłem w gacie. Taka gwałtowna kolizja obezwładnia centralny układ nerwowy. Podczas gry

przedsezonowej serwisanci sprzętu zjawiali się po meczach i pilnowali, by wszystkie zanieczyszczone fekaliami pasy i ochraniacze były ukryte przed oczami fanów i nigdy nie trafiły w ich ręce. Podobnie jak zakrwawione od środka kaski i stroje. Nie dopuszczano dziennikarzy do zawodników siedzących po meczu w pokoju trenera, by nie usłyszeli krzyków. Wstrzykiwano graczom amoniak albo środki przeciwbólowe, żeby w ogóle byli w stanie rozmawiać z mediami i ukrywać fakt, że połowa ich mózgu nie pracuje.

– Nie jestem wielką fanką futbolu. Gladiatorzy dwudziestego pierwszego wieku, wykańczający się nawzajem ku uciesze gawiedzi, która w czasie rozgrywek żłapie piwo, wsuwa hot dogi i wiwatuje, kiedy jakiś gość zostaje starty na proch. Należałoby sądzić, że osiągnęliśmy wyższy poziom rozwoju. Przypuszczam, że chodzi o duże pieniądze.

– Sama pani widzi. Upodobania aż tak się nie zmieniają.

– Po tamtym wypadku zniknął pan na długi czas. Odcięty od drużyny, popadł pan w zapomnienie. Nie mogłam znaleźć żadnych informacji na pana temat. A później wrócił pan tutaj i wstąpił do akademii policyjnej. Kumpel wyciągnął dla mnie wyniki pańskich egzaminów.

– Ma pani dużo kumpli?

– Dobry reporter potrzebuje wszelkiej możliwej pomocy. Wyniki były doskonałe.

– Powiedział mi o tym mój dawny kapitan.

– A więc kapitan Miller także do nich zaglądał?

– Skąd to zainteresowanie moją osobą?

– Stąd, że aby dopaść zabójcę lub zabójców, trzeba moim zdaniem cofnąć się w przeszłość, od motywacji do źródła. Motywacją jest pan. Dlatego muszę pana zrozumieć, żeby dobrać się do nich. – Zrobiła pauzę i stuknęła łyżeczką o kubek z kawą. – Zatem gdzie się pan podziewał w tamtym czasie?

– To moja sprawa.

– Nie chce pan złapać morderców?

– Tego nie powiedziałem.

– Ale zdaje pan sobie sprawę, że mam rację. Pan jest kluczem do tego, co się dzieje. – Pochyliła się i poklepała go po mięsistej ręce. – Chcę pomóc, Decker.

– Chce pani dostać Pulitzera.

– Coś panu powiem. Pan pozwoli mi pomóc, a ja nie napiszę niczego bez pańskiej zgody. Podda pan tekst cenzurze i zatwierdzi całość. Albo pociągnie za spust i rzecz nigdy nie ujrzy światła dziennego.

– Przysłałaby pani na taki układ?

– Tak.

– Dlaczego?

– Zna pan Andy'ego Jacksona?

– Nauczyciel angielskiego z Mansfield. Ostatnia ocalała ofiara. Próbował powstrzymać napastnika.

– Zmarł godzinę temu. Andy nie zawsze uczył w Mansfield. Był profesorem na Purdue, gdzie studiowałam. To dzięki niemu jestem dziennikarką. Przyjechał tu, by zaopiekować się chorą matką. Takim był człowiekiem.

– Nigdy pani o tym nie wspominała.

– Ponieważ to m o j a sprawa. Ale mówię teraz. – Wyciągnęła rękę. – Taka jest moja propozycja. Nie napiszę ani słowa, jeśli tak pan zdecyduje. W zamian jednak będę pomagać w tropieniu tych łotrów. Co pan na to?

Decker z pewnym ociąganiem wyciągnął dłoń. Uścisnęli sobie ręce.

– Od czego zaczynamy? – zapytała.

Wstał.

– Od skrytki.

38

Było późno. Siedzieli po turecku na betonowej podłodze skrytki i przeglądali zawartość kartonów. Kilka minut wcześniej Jamison wróciła z kolacją przyniesioną z chińskiej restauracji. Rozłożyła serwetki, papierowe talerze oraz plastikowe sztućce i nałożyła porcję najpierw Deckerowi, następnie sobie.

Spojrzał na nią z lekkim zaskoczeniem.

– Nie lubię zajmować się domem, ale jestem najstarsza z siedmiorga rodzeństwa. Przywykłam do odgrywania przy stole roli rodzica.

Pokiwał głową i odgryzł kawałek sajgonki, podczas gdy Jamison zajadała zupę z lanym jajkiem. Kupiła także piwo. Decker pociągnął spory haust i odstawił butelkę.

Reporterka rozglądała się po schowku.

– Naprawdę wszystko pan zachował?

– Rzeczy, które były dla mnie ważne.

– Nie widzę tu niczego z futbolowych czasów.

Wzruszył ramionami i nadział na widelec kawałek krewetki.

– Bo nie są dla mnie ważne.

Powoli kiwała głową.

– Nie boli przechowywanie tu tego wszystkiego po tym, co stało się z pańską rodziną? Ubrań córki? Książek kucharskich żony? Listów? Fotografii?

– Jedyne, co boli, to brak tych osób. – Spojrzał na Jamison. – Jak długo była pani mężatką?

– Za długo.

Patrzył wyczekująco.

– Dwa lata i trzy miesiące – odparła wreszcie. – W sumie wcale nie tak długo.

– Co się stało?

– Po prostu się nie ułożyło. Nie był mężczyzną, za jakiego go uważałam. A ja chyba nie byłam kobietą, którą we mnie widział.

– Dzieci?

– Chwała Bogu, nie. Wtedy byłoby znacznie trudniej.

– Tak, to prawda. Dzięki dzieciakom życie staje się lepsze. I zarazem trudniejsze.

Oparła się o tekturowe pudło, podciągnęła kolana i sączyła piwo. W pewnym momencie puknęła się w głowę.

– Więc to zderzenie spowodowało jakieś zmiany w pana mózgu?

Decker przytaknął i wypił łyk piwa.

– Widziałam w tamtym pudle w głębi raporty z instytutu. Było to dziwne doświadczenie?

Odstawił butelkę i potarł brodę.

– Pyta pani, czy czułem się jak królik doświadczalny? Owszem.

– Jak nabawili się tego inni?

– Nikomu z nas nie powiedziano tego oficjalnie. Pewnie przez wzgląd na ochronę prywatności pacjenta. Ale zawsze krążą jakieś plotki. Większość prawdopodobnie się z tym urodziła. Kilkoro, w tym ja, doznało urazu głowy. Myślę, że niektórzy w instytucie o mnie wiedzieli, bo wypadek na boisku pokazywano w telewizji.

– Wszyscy mieliście podobne...?

– Talenty? Jedna rzecz była kluczowa. Niemal absolutna pamięć dotycząca określonych spraw. Poza tym spora różnorodność. Jeden z pacjentów potrafił grać na każdym instrumencie muzycznym niemal bez żadnych wskazówek. Inny umiał podzielić w pamięci dowolną liczbę pierwszą, bez względu na to, jak była duża. Mieliśmy też kobietę, którą już w wieku siedmiu lat okrzyknięto arcymistrzynią zapamiętywania.

– Arcymistrzyni zapamiętywania? Co takiego musiała zrobić?

– Wykonać trzy zadania. Po pierwsze, zapamiętać w ciągu godziny tysiąc losowo wybranych cyfr. Po drugie, zapamiętać kolejność kart w dziesięciu taliach. Także w ciągu godziny. I na koniec zapamiętać kolejność kart w jednej talii w czasie nieprzekraczającym dwóch minut.

– No, no, kto by pomyślał, że to taka łatwizna – zauważyła sarkastycznie Jamison.

– Na świecie żyje sto pięćdziesiąt osób, które z powodzeniem wykonały wszystkie trzy zadania.

– Nie przypuszczałam, że aż tyle.

– To nie tak wiele jak na siedem miliardów ludzi.

– Pan to potrafi?

– Nigdy nie próbowałem. Nie widziałem sensu.

Oboje umilkli.

Jamison bacznie przyglądała się Deckerowi.

– Mimo że to pan jest siłą napędową jego działań, nie chodzi tu o pana. Zdaje pan sobie z tego sprawę, prawda?

– Zginęło już trzysta osób, dlatego że ktoś ma do mnie jakąś urazę. Z d e c y d o w a n i e chodzi o mnie.

– To nie pan pociągnął za spust. Zrobił to ktoś inny. I bez względu na to, co sobie na pański temat ubzdurał, nic go nie usprawiedliwia.

– Niech pani to powie rodzinom ofiar.

– Pan jest rodziną ofiar.

Decker odsunął talerz i wstał z wysiłkiem. Ból w kolanach i krzyżu mocno dawał mu się we znaki, a musiał pójść za potrzebą.

Wyszedł na zewnątrz za róg, rozpiął spodnie i sobie ulżył. Był zaskoczony, usłyszawszy za plecami głos Jamison. Musiała za nim podążyć.

– Nie ma po co się zdręzczać. Jemu właśnie o to chodzi. Doskonale pan wie. To element jego gry. Myśl o nim spędza panu sen z powiek, a on zwycięża na dwóch frontach. Zyskuje nad panem przewagę, więc ma osobistą satysfakcję. A jeśli pan nie myśli logicznie, nie ma pan najmniejszych szans go wytropić. On wygrywa podwójnie. I na to liczy.

Decker zapiął rozporek i odwrócił się do Jamison.

– Wiem o tym.

– Więc niech pan na to nie pozwala.

– Łatwo się mówi. Trudniej zrobić.

– Może w wypadku człowieka o przeciętnym umyśle. Pański nie jest przeciętny.

Natarł na nią tak, że cofnęła się pod ścianę schowka.

– Sądzi pani, że jak się ma zwichrowany umysł, to jest się wyczutym z uczuć? Niczego się nie czuje? Tak pani uważa? To jest pani w błędzie.

– Wcale tak nie uważam. To tamten niczego nie czuje. Jest emocjonalnie upośledzony. W przeciwieństwie do pana.

– To co, do cholery, próbuje mi pani powiedzieć?

– Ma pan prawo czuć, co się panu żywnie podoba, Decker. Jest pan teraz bezgranicznie wkurzony. Rozumiem. Uważa pan, że ta rzeź zaczyna się i kończy na progu pańskich drzwi. Może miałby pan ochotę komuś przyłożyć albo coś rozwalić. Przebić pięścią dziurę w murze. W porządku, ale niech pan nie pozwoli, by on namieszał panu w głowie, ponieważ będzie panu potrzebna, żeby pewnego dnia zakuć tego łajdaka w kajdanki, a potem patrzeć, jak wydaje ostatnie tchnienie w sali egzekucji. Chce pan wygrać w tej grze? Oto, jak się wygrywa. Zwycięzca żyje, przegrany dostaje zastrzyk śmierci.

Decker zrobił krok w tył. Reporterka nie ruszyła się z miejsca.

Odwrócił wzrok, utkwił spojrzenie w asfalcie. Następnie wrócił do schowka i kontynuował poszukiwania.

Dwie godziny później skończyli przetrząsać wszystkie kartony, nie znalazłszy praktycznie niczego.

Decker oparł się o regał.

– Cofnąłem się do pierwszego dnia, od kiedy wstąpiłem do policji, żeby przypomnieć sobie, kogo mogłem poniżyć do tego stopnia, że urządza te krwawe jatki. Otóż nikogo. Nie ubliżyłem nikomu w 7-Eleven. Aresztowałem rozmaitych rzeźmieszków, jasne, ale nie zrobiłem niczego, co dałoby komuś powód do wypowiedzenia mi osobistej wojny.

Przesunął dłonią po twarzy i zamknął oczy.

Jamison rozmasowała sobie kark i spojrzała prosto na Deckera z nagłym zaintrygowaniem.

– Dlaczego cofnął się pan tylko do czasów pracy w policji?

Otworzył oczy.

– Przeczesalem także pamięć w poszukiwaniu ewentualnych osób z Mansfield, które mogłyby mieć coś przeciwko mnie. Nie znalazłem nic, Jamison. Kompletnie nic.

– Więc wziął pan pod uwagę okres dorastania w Burlington. Oraz życie po powrocie do Burlington. A pomiędzy?

– Jak to? Myśli pani, że stoi za tym gracz, który mnie kiedyś znokautował? Wysiadły mu kolana i ramiona, wyleciał z drużyny, został bankrutem, zajął się handlem narkotykami i jest w tej chwili pod czułą opieką systemu więziennego Luizjany. Zresztą nigdy nie byłem na tyle dobrym zawodnikiem, żeby budzić zazdrość kogoś z college'u albo z grona zawodowców.

Jamison ziewnęła.

– Jeśli jest w to zamieszany Sebastian Leopold, po co zeznał przed policją, że obraził go pan w 7-Eleven, skoro to nieprawda?

– Pyta pani, dlaczego morderca kłamie?

– Pytam, jak to możliwe, że pan go nie zna, skoro zaznał od pana tak wielkiej krzywdy, że bierze teraz krwawy odwet? Jego czyn mógł być tylko jednorazowym aktem szaleństwa. Ale ten człowiek sprawia na mnie wrażenie obłąkańca. Pańska rodzina, szkoła Mansfield. Pozostawione dla pana komunikaty. Można wiedzieć, czego dotyczyły?

– Jeden był napisany na ścianie w moim dawnym domu.

– Jak brzmiał?

Powtórzył treść wiadomości.

– A inne?

Opowiedział o szyfrze ukrytym w zapisie nutowym na ścianie pokoju Debbie Watson. Oraz o słowach wyciętych nożem na ciele Lafferty.

– Jezu! – wykrzyknęła. – Więc za każdym razem zwraca się do pana per „brachu”?

Decker przytaknął.

– Twierdzi także, że jesteście do siebie bardzo podobni. I że macie tylko siebie nawzajem.

– Owszem.

– W ostatniej wiadomości zaznacza, że w gruncie rzeczy może pan mieć nad tym kontrolę. Zdecydować, kiedy to się skończy.

– Mając na myśli: on albo ja.

– I oczywiście to on chce wyjść cało z pojedynku.

– Tak myślę.

– No dobrze. Ale on zachowuje się tak, jakby z panem rywalizował. Bracia. Jest tu coś, czego nie potrafimy dostrzec.

Decker otworzył oczy.

– Jak w drużynie?

– Nie służył pan nigdy w wojsku?

Pokręcił przecząco głową.

– A więc na przykład jak w drużynie.

– Mówiłem już, że nigdy nie byłem na tyle dobrym zawodnikiem, żeby kogoś porządnie wnerwić. Nigdy nikogo nie wygryzłem z zespołu, a co za tym idzie, nie sprzątnąłem sprzed nosa forsę. Poza tym nie wydaje mi się, aby ktoś mordował tyle osób tylko dlatego, że grał trzeciorzędą rolę w drużynie, w której ja odgrywałem drugorzędą. Zresztą w gronie zawodowców byłem tylko rezerwową kupą mięśni. Nikt nawet nie zauważył mojego zniknięcia.

– Jest pan przekonany, że Leopold macza w tym palce?

– Tak.

– Na podstawie przecucia?

– Na podstawie faktu, że zniknął. Sprawdziłem wszystkie schroniska dla bezdomnych w całym mieście. Nigdy nie nocował w żadnym z nich. Ograł mnie. Wyszedł z baru, wiedząc, że zniknie. A kelnerka była z nim w zмовie. To ona jest tą drugą osobą. Tą, która ma do mnie jakiś żal. I tak naprawdę zależy mi na odnalezieniu właśnie j e j.

– Wspomniał pan, że kelnerka może być mężczyzną.

– Tak. Poszukiwanym przez nas zabójcą. W wypadku obu zbrodni Leopold siedział pod kluczem. Sprawcą musiał być ten drugi.

– I aby wydać się większym, wykorzystał ekwipunek, który znalazł pan w szkole.

– Całkiem sprytnie, ponieważ policja kieruje się rysopisem. Gdy raz wbiją sobie do głowy wzrost i rozmiar, nawet nie spojrzą na kogoś niemieszczącego się w podanych parametrach. Tak nas szkolą.

– Więc Leopold i/lub zabójca być może znają tok myślenia policji?

– Tak.

Jamison się zadumała.

– Czyli jedyny podany przez niego fakt to informacja, że obraził go pan w 7-Eleven. Ale jest pan pewien, że Leopold kłamie. Musimy zatem cofnąć się do tamtego momentu i zacząć od nowa... Decker?

Decker zerwał się na równe nogi i patrzył na Jamison.

– Co się stało? – zapytała.

– Mówi pani, że to jedyny podany przez niego fakt.

– No tak. Ale...

– Wcale nie.

– Wcale nie co?

– Wcale nie fakt.

Wypadł ze skrytki, nie mówiąc nic więcej. Ona także poderwała się z miejsca, chwyciła torbę i ruszyła za nim.

39

Decker i Jamison siedzieli naprzeciwko Lancaster w komisariacie policji. Decker pokrótce wyjaśnił, po co przyszedł oraz jak doszło do współpracy z Jamison.

– Przewróciliśmy całą skrytkę do góry nogami i niczego nie znaleźliśmy – dodał. – A później wpadła mi do głowy myśl, że przyjąłem za pewnik coś, co było oparte na niepotwierdzonej informacji. Uznałem za fakt coś, co nie zostało dowiedzione. I dlatego tu jesteśmy.

– A więc chcesz, żebym przeczytała ci moje zapiski z przesłuchania Leopolda po jego aresztowaniu? – upewniła się Lancaster.

– Tak. Jak najdokładniej, Mary. Liczy się każde słowo. Dosłownie.

Lancaster sprawiała wrażenie lekko zaniepokojonej, ale zebrała kartki i położyła je przed sobą.

– Zacznę od tego, że nie powiedział zbyt wiele. Prawdę mówiąc, plótł trochę od rzeczy. Gdy skończył, pomyślałam sobie, że najlepszym rozwiązaniem dla niego byłoby powołanie się na ograniczoną poczytalność.

– Nie sądzę, by miał ograniczoną poczytalność – zaproponował Decker. – Wprost przeciwnie. Przeczytaj mi jego zeznania. A gdyby przypomniało ci się coś jeszcze, także by nie zawadziło.

– Cóż, chyba nie mamy nic do stracenia. – Spojrzała surowo na Jamison. – Ale tak dla całkowitej jasności, jeśli choć jedno wypowiedziane tu słowo trafi do prasy albo innych mediów, osobiście wsadzę panią pod klucz i zapomnę o pani istnieniu. Już i tak jest pani na mojej czarnej liście za te brednie na temat Amosa.

Jamison podniosła ręce w udawanym geście kapitulacji, ale odezwała się śmiertelnie poważnym tonem:

– Nie trafi, detektyw Lancaster. Na pewno nie z mojej strony. I rzeczywiście zachowałam się podle, że to napisałam. Nie powinnam była, ale to zrobiłam. Staram się teraz naprawić swój błąd. To wszystko, co mogę zrobić.

Lancaster obrzuciła ją krytycznym spojrzeniem.

– Jackson naprawdę był pani profesorem na studiach?

– Kimś znacznie więcej. Był moim mentorem. Łatwo to zweryfikować, jeśli mi pani nie wierzy.

– Wierzę – ucięła szorstko Lancaster. – A więc wszyscy jesteśmy po tej samej stronie i w tej samej drużynie.

Pochyliła głowę nad notatkami i zaczęła czytać. Gdy dotarła do fragmentu dotyczącego obrażania Leopolda w 7-Eleven, Decker jej przerwał:

– Dokładnie tak brzmiały jego słowa? Że obraziłem go w 7-Eleven?

– Tak. Już ci to mówiłam.

– Jakie padło następne pytanie?

– Zapytałam go, w którym 7-Eleven. Próbowałam sprawdzić, czy to, co mówi, ma sens. Nieczęsto mamy do czynienia z człowiekiem, który sam zgłasza się na policję i przyznaje do potrójnego zabójstwa półtora roku po fakcie.

– I powiedział, że w tym lokalnym, niedaleko mojego domu?

Lancaster ponownie zajrzała do notatek i zmarszczyła czoło.

– Nie. Że będziesz wiedział w którym. – Podniosła wzrok. – Pewnie uznałam, że będziesz pamiętał, w którym sklepie nadepnąłeś mu na odcisk. A przynajmniej gdzie tak mu się wydawało.

– Więc nie sprecyzował, że chodzi o sklep niedaleko mojego domu, na rogu DeSalle i Czternastej?

Lancaster zbladła, a gdy po chwili się odezwała, w jej głosie słychać było napięcie.

– Nie, Amosie, nie sprecyzował. Pewnie oboje dokonaliśmy logicznego przeskoku myślowego. Nie powinnam była niczego zakładać. Błąd dyletanta.

– Ja też go popełniłem, Mary.

Lancaster wydawała się przygnębiona.

– Mogę zobaczyć notatki? – poprosił.

Podawała mu kartki. Zaczął czytać.

Lancaster przeniosła spojrzenie na Jamison, pochyliła się i zapytała przyciszonym głosem:

– No i jak się pani podoba praca z Deckerem? Ciągnęłam ją przez dobre dziesięć lat. Nie przypominam sobie, żeby choć dwa dni były takie same.

Jamison odpowiedziała równie cicho:

– Jest... yyy... nietuzinkowa. Ni z tego, ni z owego zerwał się jak oparzony i wyleciał ze schowka. Ledwo za nim nadażyłam.

Lancaster pozwoliła sobie na rzadko u niej spotykany uśmiech.

– Wiecznie to samo.

Kobiety odsunęły się od siebie, gdy Decker wypuścił kartki z rąk. Posłał Jamison przenikliwe spojrzenie.

– Nadawca maila, od którego zaczerpnęła pani materiał i zdjęcie do artykułu, podpisywał się jako Mallard2000?

– Przecież pan wie. Przesłałam panu tę wiadomość.

– FBI nie zdołało wyśledzić źródła, więc nie rozumiem, jaki z tego pożytek – burknęła Lancaster.

– Ogromny. Powiniennem był to zauważyć wcześniej.

– Co zauważyć? – zdziwiła się Jamison.

– Że odpowiedź, której szukałem, nie polegała na dotarciu do nadawcy, tylko była zawarta w nazwie.

– W nazwie? – powtórzyła Lancaster. – W jakiej nazwie?

Decker wstał i zapytał Jamison:

– Ma pani samochód?

Skinęła głową i także podniosła się z miejsca.

– Malutkie autko ze stoma tysiącami mil na liczniku, posklejane do kupy taśmą. Za to fantastycznie mało pali. – Otaksowała Deckera wzrokiem. – Dla pana może okazać się ciasnawe. Dokąd jedziemy?

– Do Chicago.

– Do Chicago!?! – wykrzyknęła Lancaster. – A co takiego jest, do diabła, w Chicago?

– Ściślej: na przedmieścia Chicago. Tam jest klucz do wszystkiego, Mary.

– Skąd wiesz, gdzie szukać w tym Chicago?

– Podał mi adres: seven-eleven – rzucił zniecierpliwiony Decker.

Lancaster pokręciła głową i rzekła sceptycznie:

– No dobrze, Amosie, a czy zdajesz sobie sprawę, ile jest sklepów 7-Eleven w aglomeracji Chicago?

– Nie szukam sklepu spożywczego, Mary. Tylko numeru ulicy.

Lancaster przyglądała mu się w osłupieniu.

– Cholera, chcesz powiedzieć, że nie chodziło o sklep? To był numer ulicy! Ale przecież powiedział...

– Wymienił liczby siedem i jedenaście. Równie dobrze może to być siedem – jeden – jeden. Zapisalaś je tak, jak zrobiłby to każdy mieszkaniec tego kraju. Najzwyczajniej w świecie uznałaś, że miał na myśli sieć sklepów, podczas gdy wcale tak nie było.

– Nie poprawił mnie.

– Spodziewałaś się, że narysuje ci mapę? Prowadzą grę. Toczącą się według ich reguł.

– Okej, znasz numer, ale co ci po numerze, skoro nie ma nazwy ulicy?

– Znam nazwę ulicy. Jest podana w mailu.
– Mallard dwa tysiące? Skąd w ogóle wiesz, że to w Chicago? Jaki to miasto ma związek z tym, co wydarzyło się w Burlington?

– Żadnego. Ma związek z e m n ą.

– Ależ, Amosie, co to...

Lancaster urwała w pół zdania, ponieważ Decker zdążył już wyparować z pokoju.

– Kawał drania! – ryknęła Lancaster.

Jamison rzuciła jej przepaszające spojrzenie.

– Wiecznie to samo?

– Niech mnie pani informuje na bieżąco, Jamison. I pilnuje Deckera. Jest nieprzeciętnie inteligentny, ale nawet największe bystrzaki robią czasem głupoty.

– Dobrze.

I reporterka wybiegła za Deckerem.

Lancaster osunęła się na krzesło i popatrzyła na zapiski. Po chwili zgmiotła papier w kulkę i cisnęła przez cały pokój.

– Niech szlag trafi 7-Eleven!

40

Zgodnie ze swym przeznaczeniem małe autko nie bardzo mogło pomieścić Deckera, który był mniej więcej tej samej wielkości co pojazd. W końcu wyjęli przedni fotel, Decker zaś wcisnął się na malutkie tylne siedzenie, wyciągając przed siebie nogi w miejscu zwolnionym przez fotel.

Siedział z zamkniętymi oczami i rękami opartymi na pokaźnym kałdunie. Po drodze zatrzymali się pod jego lokum. Zabrał w płócienniej torbie trochę czystych ubrań. Dowiedział się od Jamison, że ona zawsze ma w pogotowiu spakowaną walizkę, którą wozi ze sobą w maleńkim bagażniku.

– Standardowa procedura operacyjna reportera – wyjaśniła.

Prowadząc samochód, nerwowo zerknęła na Deckera w lusterku wstecznym.

– Szkoda, że pas nie sięga aż do tyłu.

– Wystarczy strzec się wypadku – oznajmił Decker z wciąż zamkniętymi oczami. – Byłby ze mnie gigantyczny pocisk, większy niż pani samochód. Zaręczam, że nie chciałaby pani oglądać mojego zadka w locie, takiej masy pomnożonej przez prędkość.

Patrzyła na drogę. Od ponad trzech godzin jechali autostradą międzystanową. Aktualnie znajdowali się w Indianie. Czekają ich jeszcze mniej więcej cztery godziny podróży.

– Zarezerwowałam dla nas pokoje na Expeditii. W Comfort Inn pod Chicago. Nie wyczyszczą mi konta. – Obejrzała się na niego przez ramię. – Nadal nie powiedział mi pan, dokąd jedziemy.

– Owszem, powiedziałem. Do Brockton w stanie Illinois. To przedmieścia

oddalone od Chicago o jakieś dwadzieścia mil. Nie mylić z Brocton w stanie Illinois, wsią pod Champaign w okręgu Embarass, liczącą około trzystu mieszkańców.

- Okręg Ambaras? Serio?
- Nie ja wymyślałem nazwę.
- No dobrze, ale nie wyjaśnił pan, dokąd mamy się udać w tym Brockton.
- Pod adres wskazany przez Leopolda.
- Siedem-jeden-jeden i co dalej?
- Mallard dwa tysiące.
- W Illinois nie ma takiej ulicy. Sprawdziłam.
- Jest taka ulica, ale trzeba pokoiarzyć fakty.
- Nie rozumiem.
- To słabo zakamuflowany szyfr, Jamison. Niech pani się postara go rozgryźć.

Mijały minuty.

- Dobra, poddaję się. Jestem beznadziejna w zagadkach.
- Ulica nazywa się Duckton Avenue.
- Duckton?
- A teraz niech pani spróbuje od końca. Nie zajmie to pani wiele czasu.

Wierzę w panią.

Skupiła uwagę na drodze.

- A niech mnie – odezwała się po dłuższej chwili. – *Mallard* to rodzaj kaczki, a dwa tysiące funtów odpowiada tonie. *Duck-ton*^[6].
- Gratulacje, właśnie zdała pani na stopień młodszego detektywa.
- Co takiego mieści się przy Duckton Avenue pod numerem siedem-jeden-jeden?

– Miejsce, które było kiedyś dla mnie domem.

Gwałtownie odwróciła się w jego stronę, ale Decker wyglądał przez okno.

– Pańskim domem?

– Później, Jamison. Na razie jedźmy. Nie zapiąłem pasa, zapomniała pani?

Ze złością wróciła do poprzedniej pozycji, wcisnęła gaz i uśmiechnęła się z satysfakcją, słysząc, jak Decker uderza głową w tył samochodu przy tym gwałtownym przyspieszeniu.

Zatrzymali się w barze przy autostradzie, żeby skorzystać z toalety, zatankować i coś przekąsić.

Jamison zamówiła cheeseburgera, frytki i piwo Corona. Decker wziął dużą pizzę i colę.

Rzucił okiem na jej talerz.

– Pomijając wczorajszego chińczyka na wynos, wyglądała mi pani na maniaczkę zdrowego jedzenia.

Odgryzła kęs burgera, nie przejmując się tym, że tłusty sos ścieka jej po brodzie. Dopiero po chwili wytarła usta serwetką.

- Mogłabym zjeść konia z kopytami.
- Zaczekajmy z tym do następnego wcielenia.
- Czego spodziewa się pan po tym miejscu przy Duckton?
- Jeśli nadal tam jest. Dzwoniłem pod stary numer, ale został zmieniony.

A nowy nie figuruje w spisie.

- Ale co to za miejsce, Decker? Nazwał je pan domem.
- To właśnie tam obserwowano, badano i testowano takich jak ja.

Jamison odłożyła burgera.

- Ludzi o genialnej pamięci? Chodzi o... instytut?
- Sawantów, cierpiących na autyzm, zespół Aspergera, synestezję i hipertymezję.

– Hiper... co?

– ...tymezję. Po grecku *hyper* oznacza „nadmierny”, *thymesia* to „pamięć”.

Wystarczy złożyć je razem i mamy takiego delikwenta jak ja. O prawdziwej hipertymezji mówimy w wypadku ludzi posiadających niemal absolutną pamięć autobiograficzną, dotyczącą ich przeszłości. Ja taką mam, ale dodatkowo nie potrafię zapomnieć niczego, co widzę, czytam lub słyszę. Doskonale pamiętam... w zasadzie wszystko. Nie miałem pojęcia, że mój umysł jest aż tak pojemny. Jak widać, wykorzystuję go w większym stopniu niż inni, ale tylko dlatego, że zrobiono ze mnie miazgę na boisku.

– A synestezja?

– Widzę na kolorowo to, czemu inni nie przypisują określonych barw. Cyfry, miejsca, przedmioty. W wyniku urazu doszło u mnie do przemieszania dróg sensorycznych.

– Doceniam, że mi pan o tym mówi. Ale jestem także zaskoczona. Sprawiał pan na mnie wrażenie człowieka skrytego.

– Bo jestem skryty. Nigdy nikomu o tym nie mówiłem, z wyjątkiem własnej żony.

– Więc dlaczego powiedział pan mnie? Prawie się nie znamy.

Zanim Decker odpowiedział, zjadł kawałek pizzy pepperoni i popił sporym łykiem coli.

– Ścigamy razem zabójców, Jamison. Zamordowali wiele osób, między innymi agentkę FBI. Uważam, że jestem pani winien pełny obraz sytuacji, ponieważ naraża pani własne życie.

Odłożyła burgera i wysączyła łyk piwa.

– W pańskich ustach sprawiam wrażenie dużo odważniejszej, niż jestem naprawdę – rzekła cicho.

Decker pochłonął kilka kolejnych kęsów pizzy i dopił resztę coli.

– Miejmy nadzieję, że się pani myli.

Zameldowali się w motelu, ucięli sobie drzemkę, umyli się i przebrali. Teraz stali przed siedmiopiętrowym budynkiem z cegły, z małymi oknami, zbudowanym gdzieś z sześćdziesiąt lat temu.

Jamison spojrzała na Deckera, a potem na przykręcone do fasady metalowe cyfry.

– Duckton siedemset jedenaście. Więc tu był pana d o m?

Decker kiwnął głową, cały czas wpatrując się w budynek.

– Zmienił się. Minęły dwie dekady.

– To był zakład badawczy z prawdziwego zdarzenia?

– W przeważającej mierze tak. Generalnie starali się poznać, jak funkcjonuje ludzki mózg. Byli prekursorami podejścia multidyscyplinarnego, wielopłaszczyznowego i metodologicznego.

– Co to dokładnie znaczy?

– Że nie poprzestawali na przypinaniu do głowy elektrod i badaniu w ten sposób aktywności mózgu. Oczywiście, jak można było się spodziewać, zajmowali się wszystkimi aspektami fizjologicznymi – mózg jest w końcu organem i zasadniczo pracuje dzięki impulsom elektrycznym. Ale prowadzili także sesje terapeutyczne, zarówno indywidualne, jak i grupowe. Głęboko wnikali w nasze życie. Chcieli zrozumieć takich jak my od strony naukowej, a także poznać nas samych, tak po ludzku. Dowiedzieć się, jak to jest, gdy ma się wyjątkowe umiejętności, w jaki sposób wpłynęły one na nasze życie bądź je zmieniły.

– Dość gruntowne badania.

– Tak.

– A jakie wyciągnięto wnioski?

Decker wzruszył ramionami.

– Nigdy mi nie powiedziano. Spędziłem tam wiele miesięcy, a potem oświadczyli, że mogę opuścić instytut. Nie było żadnych badań kontrolnych, żadnej kontynuacji.

– Chwileczkę, o s w i a d c z y l i, że może pan odejść? Trafił pan tam pod przymusem?

– Nie, zgłosiłem się sam.

– Dlaczego?

Zwrócił ku niej twarz.

– Ponieważ byłem przerażony, Jamison. Zmienił mi się mózg, a wraz z nim cała reszta. Uczucia, osobowość, umiejętności społeczne. Chciałem się dowiedzieć dlaczego. Chciałem wiedzieć... jaka czeka mnie przyszłość. Kim się stanę w dłuższej perspektywie.

– Były też pewnie plusy. Doskonała pamięć ułatwia naukę i pracę.

Skierował spojrzenie na budynek.

– Lubi pani siebie?

– Co?

– Czy lubi pani osobę, którą pani jest?

– W sumie tak. To znaczy mogłabym więcej ćwiczyć i muszę jeszcze znaleźć sobie odpowiedniego faceta, ale... tak, lubię siebie taką, jaka jestem.

– Ja też siebie lubię. Ale tamtego człowieka już nie ma. Tylko że mnie nie pozostawiono w tej kwestii żadnego wyboru.

Dziennikarka posmutniała.

– No tak. O tym nie pomyślałam.

– Poza tym miło by było móc zapomnieć o niektórych sprawach. Ludzie to potrafią. Chcą wyprzeć pewne rzeczy z pamięci.

– Decker, nawet ktoś o zwyczajnym mózgu nigdy nie byłby w stanie zapomnieć tego, co stało się z pana rodziną.

– Ale ja pamiętam każdy najdrobniejszy szczegół, wszystko na niebiesko. Nigdy nie zapomnę ani jednego detalu, nawet tego, co czułem, gdy znalazłem ciała. Aż do samej śmierci. U mnie czas nie leczy ran, mój mózg nie pozwala na zacieranie wspomnień. Dziś są tak samo żywe jak w dniu tragedii. Są jak obraz, który nigdy nie blaknie. Niektórzy nie potrafią cofnąć się w przeszłość? Ja nie umiem ruszyć naprzód.

– Przykro mi.

Odwrócił się w jej stronę.

– Nie umiem wzbudzić w sobie współczucia. Kiedyś umiałem. Ale te czasy minęły. – Wszedł do budynku. Jamison pospieszyła za nim.

W wykazie lokatorów nie było nazwy instytutu badawczego. Decker podszedł do usytuowanej w rogu recepcji i mignął siedzącej tam kobiecie tymczasową legitymacją policyjną, ale recepcjonistka nie potrafiła mu pomóc. Nigdy nie słyszała wymienionej przez Deckera nazwy.

Krażyli po przestronnym holu. Decker przyglądał się uważnie całemu wnętrzu, rejestrując każdy detal.

– Wycieczka aleją pamięci? – spytała z uśmiechem Jamison.

Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

Zaczerwieniła się.

– Przepraszam, próbowałam tylko rozładować atmosferę. Domyślam się, że żarty na pana nie działają.

Tymczasem Decker szedł już energicznym krokiem przez hol w stronę malej kwiaciarni w kącie. Jamison dogoniła go, gdy podchodził do lady w środku.

Kwiaty sprzedawała kobieta około pięćdziesiątki. Miała krótko ścięte jasnobrązowe włosy i mocną budowę ciała. Jej strój składał się z luźnych czarnych spodni oraz białej bluzki z długimi rękawami.

– Czym mogę służyć? – zwróciła się do Deckera.

– Ta kwaciarnia jest tu od dawna – zaczął. – Pamiętam ją.
Sprzedawczyni się uśmiechnęła.

– Dora’s Floras. Jest tu od otwarcia budynku w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym piątym roku. Moja matka miała na imię Dora. Założyła ten interes.

– Ją także pamiętam. Jest pani do niej podobna.
Kobieta uśmiechnęła się szerzej.

– Przejęłam kwaciarnię dziesięć lat temu. Matka rozkręciła z moim ojcem świetny biznes. Kiedy byłam na studiach, przychodziłam tu pomagać rodzicom. Teraz mam tylko za zadanie niczego nie schrzanić. A tak w ogóle to mam na imię Daisy^[7]. Jakżeby inaczej? Jestem najmłodsza z czterech siostr i wszystkie mamy kwiatowe imiona.

– Więc prowadzi pani kwaciarnię od dziesięciu lat?

– Tak. – Zmarszczyła czoło. – Coś mi się zdaje, że nie jest pan zainteresowany kupnem bukietu.

– To prawda – odparł bez ceregieli. Pokazał legitymację.

– Z innego stanu – skwitowała. – Znacząca sprawa.

– Tak jest. Mieścił się tu dawniej zakład badawczy. Przynajmniej był tu dwadzieścia lat temu. Instytut Badań Poznawczych.

Daisy się uśmiechnęła.

– Jasne, pamiętam. Dobrzy byli z nich klienci.

– Byli? Więc już ich tu nie ma?

– Nie, wynieśli się. Niech pomyślę... chyba siedem czy osiem lat temu. Przypominam sobie wielkie ciężarówki przed budynkiem. Utrzymuje się tutaj większość biznesów. Świetna lokalizacja, piękny stary budynek, starannie utrzymany, naprawdę pierwszorzędna nieruchomość. A do tego rzut beretem od Chicago.

– Pewnie pani nie wie, dokąd się przeprowadzili?

– Nie wiem. Próbował pan ich znaleźć w książce telefonicznej? Czy raczej, w dzisiejszych czasach, w Internecie?

– Próbowałem. Nie znalazłem.

– No cóż, przykro mi.

– W każdym razie dziękuję – powiedział Decker i zaczął się oddalać.

– Ale jest jeszcze stary doktor Rabinowitz – dodała.

Decker zawrócił.

– Harold Rabinowitz?

– Tak, skąd pan zna jego imię?

– Zebrałem trochę informacji przed przyjazdem – odparł wymijająco.

– Ach, no tak. Doktor nadal tu mieszka i, proszę sobie wyobrazić, wciąż zamawia u nas kwiaty. Ludzie z instytutu należeli do grona naszych najlepszych klientów. Matka opowiadała, że co tydzień zamawiali świeże kwiaty. I wysyłali

sporo bukietów rozmaitym osobom. Naprawdę miło. Miło z ich strony i miło dla naszej kieszeni.

– Więc zna pani jego adres?

Zmieniła się na twarzy.

– Właściwie nie powinnam udzielać takich informacji – odparła z wahaniem.

– Może mi pani podać jego numer telefonu?

– Z tym też mi jakoś nieswojo. Wygląda pan na porządnego człowieka, ale to wbrew naszej polityce.

– A gdyby zadzwoniła pani do doktora Rabinowitza i przekazała, że chciałby się z nim zobaczyć Amos Decker? Jeśli się zgodzi, poda mi pani jego adres. Jeśli odmówi, będzie po sprawie.

– To chyba rozsądne rozwiązanie. Więc pan go zna? Widziałam na legitymacji, że nazywa się pan Amos Decker.

– Tak, znam.

– No to dlaczego od razu pan nie powiedział? Chwileczkę.

Podeszła do telefonu, sprawdziła numer w komputerze i wklepała go na klawiaturze. Podczas rozmowy stała odwrócona tyłem. Chwilę później odłożyła słuchawkę i do nich wróciła. Zapisała coś na skrawku papieru i podała go Deckerowi.

– Proszę. Powiedział, że będzie zachwycony.

Decker spojrział na świstek, a potem na kwiaciarkę.

– Rodzice jeszcze żyją?

Daisy wydawała się lekko zaskoczona tym pytaniem.

– Mama jest w domu opieki i bardzo jej się tam podoba. Uwaga: układa im wszystkie kompozycje kwiatowe.

– To proszę jej przekazać, że Amos Decker pamięta jej bukiety. I że... bardzo pomogły mu w życiu.

– Oczywiście, przekażę. Mama się ucieszy. Uważa, że im więcej kwiatów, tym lepszy świat.

Gdy wyszli na zewnątrz, Jamison popatrzyła na Deckera.

– Ładnie to pan załatwił.

Nie odpowiedział.

– Kwiaty pomogły, co?

Posłał jej szybkie spojrzenie.

– Owszem, pomogły. No i?

– Może nie zmienił się pan tak bardzo, jak się panu wydaje.

42

W drodze do Rabinowitza Jamison obejrzała się na siedzącego z tyłu Deckera.

– Jedno pytanie – powiedziała.

– Tylko jedno?

– Może więcej. Tak dla jasności: to nie Leopold był osobą, którą pan znieważył, tylko jego wspólnik. Kelnerka. Leopold jedynie przekazał wiadomość.

– Zgadza się.

– Przypuszczalnie dlatego, że rozpoznałby pan tę osobę?

– Z pewnością.

– I ta osoba była z panem w instytucie?

– To chyba jedyny powód nawiązania do Mallard2000. Nie wierzę w zbiegi okoliczności, zwłaszcza takie.

– Okej. Więc nasz napastnik jest mężczyzną. Przynajmniej istnieje takie prawdopodobieństwo. Aczkolwiek barman gruboskórnie określił go jako „to coś”. Uważa, zdaje się, że to mężczyzna w kobiecym przebraniu. Albo transseksualista. Ze względu na tak radykalną zmianę mógłby pan nie rozpoznać tego człowieka.

– Niewykluczone.

– W instytucie mógł być mężczyzną, a teraz jest kobietą. Albo na odwrót.

– Możliwe.

– Więc poniżył pan tę osobę w trakcie pobytu w instytucie?

Zabrzącał telefon Deckera. Dzwoniła Lancaster.

– W ubikacji baru znaleźliśmy sporo czytelnych odcisków palców i próbek DNA. Dokonaliśmy podstawowej eliminacji, a potem porównaliśmy zebrany materiał z policyjną bazą danych. FBI zrobiło to samo.

– I nic?

– Paru ćpunów i gwałciciel z wyrokiem. Aktualnie wszyscy siedzą w pace, ale korzystali kiedyś z tej łazienki.

– Ani śladu po naszej kelnerce?

– Ani śladu. A co u was? Jak idzie?

– Dam ci znać za parę godzin. Mamy trop.

Rozłączył się i oparł na tylnym siedzeniu suzuki.

Jamison obrzuciła go baczynym spojrzeniem.

– Nic?

– Nic. Miejmy nadzieję, że Rabinowitz okaże się bardziej pomocny.

Doktor Harold Rabinowitz mieszkał w starym budynku na drugim końcu miasta. Decker zapukał do drzwi. Po chwili usłyszał zbliżające się kroki.

Głos zapytał:

– Kto tam?

– Amos Decker.

Drzwi się otworzyły i Decker ujrzał przed sobą niewysokiego łysiejącego mężczyznę z siwą brodą i w ciemnych okularach. Z pewnością miał ponad siedemdziesiąt lat. Był ubrany w znoszony rozpinany sweter, luźne spodnie i białą koszulę.

– Witaj, Amosie. – Mężczyzna patrzył Deckerowi na brzuch.

Decker połapał się dopiero po chwili.

– Kiedy stracił pan wzrok, doktorze?

– Całkowicie? Siedem lat temu. Zwyródnienie plamki. Paskudne choróbsko.

Nie przyszedłeś sam. Słyszę kogoś jeszcze.

– Moja koleżanka Alex Jamison.

– Dzień dobry, doktorze. Proszę mówić mi Alex.

– Podobają mi się pani perfumy. Wanilia i kokos, bardzo przyjemne. Nie myślę się?

– Nie, ani trochę.

Uśmiechnął się z zadowoleniem.

– Pewne zmysły się wyostają, rekompensując utratę innych. Proszę wejść.

Usadowili się na krzesłach w małym saloniku. Decker rozglądał się, rejestrując wzrokiem schludne otoczenie, starannie wytyczone trakty komunikacyjne. Zauważył też laskę dla niewidomych powieszoną na kołku obok drzwi.

– Byłem zaskoczony wieścią, że chcesz się ze mną zobaczyć – zagaił rozmowę Rabinowitz.

– Nie zajmę panu zbyt wiele czasu.

– Doszedłem do takiego momentu w życiu, Amosie, w którym nie mam już nic prócz wolnego czasu. Życie zawodowe wygasło. Żona umarła, zdrowie podupada, starzy przyjaciele nie żyją. Dzieci mają własne problemy zdrowotne. Wnuki kończą studia i rozpoczynają kariery. Twoja wizyta jest zatem bardzo mile widziana.

Decker poprawił się na krześle i nie spuszczał oka z rozmówcy, podczas gdy Jamison wodziła wzrokiem od jednego do drugiego mężczyzny.

– Od jak dawna nie pracuje pan w instytucie? – zapytał Decker.

– Wysłali mnie na zieloną trawkę dziesięć lat temu. Zostałbym dłużej, ale już wtedy oczy zaczęły odmawiać mi posłuszeństwa.

– Przeprowadzili się.

– Owszem. Utrzymujemy kontakt. Instytut się rozrósł, wiesz?

– Nie, nie wiedziałem.

– Od kiedy się przenieśli – potrzebowali więcej miejsca. Od czasu twojego pobytu w naszej placówce posunęliśmy się naprzód o całe lata świetlne. Obecnie wiemy znacznie więcej.

– A pan, jak widzę, mnie pamięta.

– Trudno byłoby zapomnieć. Byłeś u nas jedynym zawodowym futbolistą. Nie lada gratka.

– Gdy opuściłem instytut, zostałem stróżem prawa. Najpierw jako policjant, później jako detektyw.

– Już wtedy wspominałeś, że takie masz ambicje.

– Tak, to prawda.

– Znakomicie. Udało ci się zrobić karierę?

– Bywały wzloty i upadki.

– Mam nadzieję, że przeważały wzloty.

– Mógłby się pan im przysłużyć.

Rabinowitz zmarszczył czoło.

– Nie rozumiem.

Decker wspomniał o masakrze w Mansfield.

– Słyszałem o tym, podobnie jak cała reszta kraju – odparł Rabinowitz. – Okropna tragedia. Potworność. Życie tylu osób tak po prostu... przerwane. Zupełnie bez powodu.

– Rozpracowuję tę sprawę. Powód i s t n i e j e. Prawdę mówiąc, może mieć osobisty związek ze mną.

– Jak to? – zdumiał się Rabinowitz.

– Myślę, że w rzeź w szkole jest zamieszana osoba, która przebywała razem ze mną w instytucie.

Rabinowitz zacisnął dłonie na krawędzi fotela.

– Co takiego?!

– Nie mogę podać szczegółów, ale zabójca przekazał w wiadomości do mnie stary adres instytutu. Twierdził, że mu ubliżyłem. Dał do zrozumienia, że to dlatego zamordował tych wszystkich ludzi.

– O mój Boże! – Rabinowitz o mało nie spadł z fotela, ale Decker błyskawicznym jak na tak tęgiego mężczyznę ruchem zdołał chwycić go za ramię i przytrzymać na siedzeniu.

– Wody – rzucił do Jamison.

Dziennikarka zerwała się z krzesła i wybiegła z pokoju. Po niespełna minucie wróciła ze szklanką wody. Decker podał ją Rabinowitzowi, który wypił kilka łyków i ostrożnie odstawił naczynie na stolik obok.

– Przepraszam – rzekł Decker. – Nie powinienem był tak pana zaskakiwać. Czasem... czasem po prostu nie zdaję sobie sprawy...

Rabinowitz drżącą ręką otarł usta, po czym usadowił się wygodniej w fotelu.

– Twoje połączenia neuronowe, Amosie, zostały, że tak powiem z braku lepszego określenia, przemieszane. Wiem, że pewne sygnały i kryteria społeczne sprawiają ci trudność, podobnie jak wielu innym, którzy przestępowali nasze progi. To po prostu nieodłączny element odmiennego stanu umysłu. Pewne części mózgu osiągają niesamowity rozkwit, natomiast inne, cóż, inne cofają się odrobinę w rozwoju, przynajmniej z punktu widzenia norm społecznych. To wszystko kwestia priorytetów umysłu.

– Dlatego tutaj jestem. Z powodu ludzi, którzy przestąpili wasze progi. Jeden

z nich może być zabójcą.

Rabinowitz pokręcił głową i spochmurniał.

– To... ze wszech miar okropne. I mało prawdopodobne.

– Uszkodzone mózgi, doktorze Rabinowitz...

– Myślę, Amosie, że możesz mi mówić po imieniu. Nie łączy nas już relacja pacjent – lekarz.

– Dobrze, Haroldzie. Uszkodzone mózgi, choć pod pewnymi względami wyjątkowe, są zdolne do wielu rzeczy. Czasem dobrych, czasem złych.

– Ale z pewnością dość żywo pamiętasz ludzi, których poznałeś w instytucie. Dostrzegłeś wśród nich jakiegoś bezwzględnego mordercę?

– Szczerze mówiąc, nie. Nie pamiętam także, bym komuś ubliżył. Nie przypominam sobie, żebym kogokolwiek znieważył w trakcie mojej bytności w tamtym miejscu.

– Mówisz jednak, że... mężczyzna odpowiedzialny za te potworne czyny podał ci adres instytutu?

– Poprzedni adres, przy Duckton. Zaszyfrował informację, ale wyraźnie takie miał intencje.

Rabinowitz potarł usta.

– Chyba nie potrafię nic dodać do tego, co już wiesz.

Wtedy odezwała się Jamison:

– Decker, koncentrował się pan na p a c j e n t a c h, którzy byli z panem w zakładzie. A lekarze, psycholodzy lub inni pracownicy opieki zdrowotnej, z którymi się pan tam zetknął?

Decker pokiwał głową.

– O nich nie pomyślałem.

– Nie wierzę, by ktokolwiek, kto p r a c o w a ł w instytucie, był zdolny do popełnienia tak nikczemnych czynów – oznajmił stanowczo doktor.

– Ja także nie chciałabym tak myśleć – dodała pospiesznie Jamison. – Ale w tego rodzaju śledztwie nie można pominąć żadnej ewentualności. Byłoby to nieodpowiedzialne.

– Chris Sizemore – wypalił nagle Decker.

– Kto? – zainteresowała się Jamison.

– Psycholog zatrudniony w instytucie – wyjaśnił Rabinowitz. – Doszły mnie słuchy, że odszedł kilka lat temu.

– Dlaczego pan o nim wspominał, panie Decker? – zapytała Jamison.

– Ponieważ się ze sobą nie dogadywaliśmy. Dochodziło między nami do sprzeczek. Nie na tyle poważnych, by skłaniały mnie do rzucania na niego podejrzeń. Ale nie żyliśmy w komitywie.

– Czy dwadzieścia lat później mógłby podawać się za Leopolda? – podsunęła.

Decker zamknął oczy i przerzucał w myślach stosowne klatki.

– Wzrost i budowa ciała się zgadzają. Rysy twarzy są podobne. Trudno jednak określić wiek Leopolda. Sizemore byłby teraz tuż po pięćdziesiątce. W sumie nie mogę być pewien, czy Sizemore i Leopold to nie ta sama osoba, choć to wątpliwe. Tatuże na ramieniu mogły pojawić się później. Być może Leopold kłamał, że służył w marynarce. Głos także mógł się zmienić po latach. W ciągu dwóch dekad wiele cech mogło ulec zmianie. Ale po aresztowaniu Leopolda policja pobrała od niego odciski palców i próbki DNA. Przypuszczalnie odciski Sizemore'a są dostępne w jakichś bazach danych. Porównanie jednych z drugimi nie powinno nastęrczać trudności.

Miał w telefonie zdjęcie Leopolda, ale oczywiście nie mógł pokazać go Rabinowitzowi, by sprawdzić, czy kojarzy mu się z Sizemore'em. Popatrzył na doktora.

– Wiesz, Haroldzie, co się stało z Sizemore'em? Dlaczego zrezygnował z pracy w instytucie?

Starszy mężczyzna nerwowo bębnił palcami w udo.

– Jak już wspomniałem, odszedłem na długo przed nim.

– Ale powiedziałaś także, że utrzymujesz kontakt z dawnymi kolegami.

– No tak, łączą nas pewne kwestie zawodowe.

– Jakiego rodzaju?

– Nie mogę w to wnikać. Mogę powiedzieć jedno: sprawa była na tyle poważna, że poproszono go o zwolnienie się z pracy.

– Na czym polegały pańskie problemy z Sizemore'em? – zapytała Deckera Jamison.

– Miał swoich protegowanych, a ja do nich nie należałem – wyjaśnił Decker.

– Chris rzeczywiście faworyzował niektórych – przyznał doktor. – Chciałbym wierzyć, że ja traktowałem wszystkich naszych pacjentów z jednakową uprzejmością, szacunkiem i poświęcałem wszystkim tyle samo uwagi. Ale jestem tylko człowiekiem i oczywiście pewne przypadki interesowały mnie bardziej niż inne. Istnieją bardzo nieliczne przypadki uszkodzenia mózgu wskutek silnego urazu, po którym u pacjenta doszło do zatrzymania akcji serca, a po reanimacji nastąpiło swoiste przemieszanie ścieżek poznawczych, tak jak u ciebie, Amosie. – Rabinowitz przerwał i się uśmiechnął. – Przez ponad sześćdziesiąt lat kibicowałem Niedźwiedziom, a chociaż ty grałeś dla Cleveland, byłeś jedynym zawodnikiem NFL, który kiedykolwiek trafił do naszego instytutu. Teraz, gdy o tym napomknąłeś, przypomniało mi się, że rzeczywiście miałeś z Chrisem na pieńku. Nie wiem, czy problemy wynikały z autentycznej niechęci Chrisa do ciebie, czy raczej z jego osobistych kłopotów, które doprowadziły później do odejścia z instytutu. Chyba uważał, że dla ciebie zmieniliśmy nasze priorytety.

– Nie rozumiem – wtrąciła Jamison. – Na jakiej podstawie?

Z odpowiedzią pospieszył Decker:

– Sizemore sądził, że jako futbolista musiałem się liczyć z ryzykiem uszkodzenia mózgu. Myślał chyba, że zajmuję miejsce komuś, kto bardziej na nie zasługuje.

– Pierwsze słyszę – zdumiał się doktor.

– Ponieważ nigdy nikomu o tym nie mówiłem. Wygadał się przypadkowo podczas jednej z naszych „rozmów” w korytarzu.

– Całkowity brak profesjonalizmu z jego strony – oburzył się Rabinowitz.

– Być może. W każdym razie nigdy nie brałem pod uwagę, że coś takiego mogłoby być motywem wydarzeń w Mansfield.

– A więc pytanie za milion dolarów: gdzie przebywa obecnie doktor Sizemore? – powiedziała Jamison.

– Nie wiem. Nie miałem od niego żadnych wieści, od kiedy odszedłem z instytutu.

– Może przeprowadził się w okolice Burlington? – zasugerowała Jamison.

– Jeżeli nadal uprawia ten zawód, musi figurować w bazie danych. Wymaga tego licencja lekarska. I od tego powinniśmy zacząć – stwierdził Decker.

– Mogę zadzwonić do instytutu i zdobyć wszelkie dostępne informacje – zaproponował Rabinowitz. – Ponieważ rzecz nie dotyczy pacjenta, myślę, że chętnie pospieszą z pomocą. Może ktoś wie, gdzie obecnie pracuje Chris.

Decker podał doktorowi swoje zamiary.

– Zatrzymamy się w mieście na jeden dzień. Dziękujemy, Haroldzie, ogromnie nam pomogłeś – rzekł, wstając.

Rabinowitz także podniósł się z miejsca.

– Modlę się, by to nie był Chris, ale jeśli okaże się, że to on, będę modlił się jeszcze żarliwiej, abyście zdołali go złapać i powstrzymać przed skrzywdzeniem kolejnych ludzi.

– Miejmy zatem nadzieję, że Bóg słucha – rzucił Decker.

– Sądzisz, że ten człowiek może ponownie zabić? – zapytał Rabinowitz.

– Wiem, że będzie próbował.

43

Po wyjściu od Rabinowitza Jamison i Decker zatrzymali się na lunch. Kiedy siedzieli w kawiarni, Decker zadzwonił do Lancaster i zdał jej relację z wizyty u doktora.

– Okej, postaramy się wytropić tego Sizemore’a – zapewniła. – A jeśli jego odciski palców są dostępne gdzieś w sieci, ściągniemy je i porównamy z odciskami Leopolda. Zadzwonię, jak tylko czegoś się dowiemy. – Zrobiła pauzę. – A więc wróciłeś na stare śmieci. Nie wiedziałam, że byłeś pacjentem tego instytutu.

– Nikt nie wiedział oprócz Cassie.

– Pracowaliśmy razem kupę czasu, Amosie.
– Nigdy nie przyszło mi do głowy, że mogłaby cię interesować moja przeszłość, Mary.

– Cóż, wynika z tego, że nawet ludzie o wybitnych umysłach popełniają błędy – burknęła, wyraźnie zawiedziona i poirytowana.

Rozłączyła się, a Decker odłożył telefon obok talerza ze zjedzonym do połowy cheeseburgerem i kopczykiem frytek.

– Wszystko w porządku? – zaniepokoiła się Jamison.

– Tak – odparł Decker, skubiąc frytkę.

– Jeśli okaże się, że Sizemore to Leopold, musi być poważnie chorym facetem.

– Skoro zabił trzynaście osób, bez wątplenia j e s t chory.

– Nie o to mi chodzi.

– To proszę wyjaśnić.

Odsunęła talerz i pochyliła się nad stołem.

– „Ublizanie” polegało na tym, że poświęcano więcej uwagi panu niż j e g o protegowanym? Jak w konkursie piękności dla umysłów? Doprawdy? I on w odwecie zabija tyle osób?

– Poprawka. Jeśli rzeczywiście jest Leopoldem, nie zabił nikogo. Nie wiemy, kto zabił agentkę Lafferty. Ale Leopold siedział w więzieniu, gdy zamordowano moją rodzinę oraz kiedy doszło do strzelaniny w Mansfield. Ma alibi nie do podważenia. Poza tym wydaje się, że w obu wypadkach uwięzienie było zaplanowane.

– Czyli wiedział o zamachu na pańską rodzinę i że napastnik zaatakuje Mansfield?

– To zbyt duży zbieg okoliczności, że wybrał akurat ten moment na zgłoszenie się na policję i przyznanie do winy. Ponadto sprawdziłem protokół aresztowania w Cranston. Zakłócanie porządku publicznego. Spędził w więzieniu tylko jedną noc. Nawet nie zawracali sobie głowy stawianiem mu zarzutów. Po prostu wypuścili go następnego dnia rano. Tak czy owak, areszt to jednoznaczny dowód na to, że Leopold nie mógł zamordować mojej rodziny.

– Jasne, więc nasz chudy koleś mierzący pięć stóp i jednaście cali zamienia się w barczystego szaleńca i dogaduje się ze współnikiem, żeby dokonać mordu.

– I niemożliwe, by tą osobą był Sizemore.

– Jeśli zatem Sizemore jest tym człowiekiem, którego pan obraził, działa on w zмовie z osobą, która udawała kelnerkę w barze. Ciekawa jestem, co to za indywidualum, że zabija z taką łatwością?

– Ja też jestem ciekaw.

– No ale jeżeli faktycznie stoi za tym Sizemore, jak ktoś tak porąbany może zostać psychologiem?

– Mogło mu się coś poprzestawiać w głowie. Może ma zaburzenia dwubiegunowe, a leki przestały działać. Podobno Leopold powiedział adwokatowi, że cierpi na chorobę dwubiegunową i przestał przyjmować leki. Tak przynajmniej tłumaczył przed sądem obrońca z urzędu. Leopold mógł też przeżyć jakąś traumę, fizyczną lub emocjonalną, po której się zmienił. Miał guza na szyi i ślady po wkluciach na przedramieniu. Może coś się z nim dzieje. W ciągu dwudziestu lat niejedno może się człowiekowi przytrafić. Jeśli to Sizemore, wiele ryzykował, pozwalając mi na tę konfrontację. Doskonale wie, jak działa mój mózg. Ma świadomość, że niczego nie zapominam. Mógłbym go rozpoznać.

– Ale tak się nie stało. Więc może to nie on.

– Może nie on.

– Tak czy siak, aż ciarki przechodzą człowieka ze strachu.

– Oczywiście. Ponieważ coś takiego mogłoby się przydarzyć każdemu z nas.

– Albo jest po prostu złem wcielonym.

– Albo tak – zgodził się Decker. – Czy poprawia to pani samopoczucie?

Zadygotała.

– Nie sądzę, by cokolwiek w tej sprawie mogło poprawić mi samopoczucie.

Zadzwęczał telefon Deckera. Decker odebrał.

– Amosie – odezwał się Rabinowitz – nie wiem, czy to dobra wiadomość, czy zła, ale od odejścia Chrisa z instytutu przesyłają mu służbową korespondencję. Minęło wiele czasu, rzeka listów zwężyła się do wąskiego potoczku, niemniej jednak adres mają.

Decker zanotował adres, podziękował doktorowi, a następnie sprawdził lokalizację w telefonie.

– Połowa drogi między Chicago a Burlington. Mijaliśmy to miejsce, jadąc tutaj.

– Czyli, jeśli nadal tam mieszka, mógł stosunkowo łatwo pokonać trasę do Burlington i z powrotem.

– Jedziemy.

– Decker, nie powinniśmy zawiadomić policji?

– Po co? Nie mamy dowodu, że Sizemore cokolwiek przeszkrobał. Ani strzępu. Sami sprawdzimy ten trop. A jeżeli się okaże, że mamy rację, wtedy sprowadzimy policję.

Wyszedł z kawiarni żwawym krokiem. Jamison z nieco mniejszym entuzjazmem podążyła za nim.

Cztery godziny później zjechali z autostrady i przez kolejnych dwadzieścia minut krążyli po ulicach, zanim Decker, posługując się nawigacją w telefonie, wskazał Jamison drogę prowadzącą na stare, podupadłe osiedle.

– Wygląda na to, że fortuna się od niego odwróciła – zauważyła Jamison.

Decker milczał, lecz uważnie lustrował okolicę, chłonąc wszystkie

szczególne.

– To tam, trzeci dom na lewo, z czarnymi okiennicami. Zatrzymajmy się trochę dalej.

Jamison podjechała we wskazanym kierunku, a Decker kazał jej zaparkować przy krawężniku po drugiej stronie ulicy, kilka domów dalej.

– Decker, Rabinowitz powiedział, że Sizemore odszedł z instytutu kilka lat temu.

– Zgadza się.

– Zastanawiam się, czy rzeczywiście mógłby być Leopoldem? Bo naprawdę wyglądał na bezdomnego i niespełna rozumu. Czy Sizemore mógłby tak szybko się stoczyć?

– Tak – potwierdził Decker. – Mnie się udało. I nie potrzebowałem do tego wielu lat.

Otworzyła ze zdziwienia usta, a potem powoli odwróciła wzrok i bąknęła:

– Aha. Okej.

Decker wygramolił się z tylnego siedzenia samochodu. Kiedy Jamison także zaczęła wysiadać, wsunął głowę do kabiny i rzekł:

– Pani zostaje w samochodzie.

– Co?!

– Jeśli stanie się coś złego, rusza pani z kopyta i wzywa policję.

– Decker, nie mam zamiaru pozwolić panu...

– Owszem, ma pani zamiar. – Zatrzęsął drzwiczki i ruszył w stronę budynku.

Szedł chodnikiem z rękami w kieszeniach, ze spuszczoną głową, udając, że chroni się przed podmuchami zimnego wiatru.

Jednak cały czas zerkał na prawo, obserwując po drodze dom. Choć zapadał zmierzch, wewnątrz nie paliły się żadne światła. Na podjeździe nie było samochodu. Jeśli Sizemore nadal tu mieszka, może wyszedł z domu. Może jest w Burlington i planuje kolejną zbrodnię.

W zasadzie wydawało mu się mało prawdopodobne, że Sizemore i Leopold to jedna i ta sama osoba. Choć minęło dwadzieścia lat i ludzie mogli się zmienić, czuł, że rozpoznałby tego człowieka pomimo ich ograniczonych kontaktów w instytucie. Jednak bez dalszego drążenia nie można mieć pewności. Obecnie był to jedyny realny trop, jakim dysponował.

Przeszedł na drugą stronę ulicy, wkroczył pomiędzy dwa zaparkowane samochody, z których jeden stał na betonowych bloczkach, i powędrował dalej kruszącym się chodnikiem. Minął dom, okrążył parcelę, przeciął alejkę i znalazł się przy ogródku za domem. Przelazł przez opadające ogrodzenie z siatki i zbliżył się do budynku od tyłu. Stąd także nie było widać żadnych światel.

Przycisnął się przy tylnych drzwiach, zsunął rękę na kolbę pistoletu i czekał,

uważnie nasłuchując. Żadnych kroków. W ogóle żadnych odgłosów.

Rozejrzał się na lewo i prawo. Nie dostrzegł nikogo w sąsiednich ogródkach. Noc była zbyt chłodna, żeby siedzieć na dworze.

Łokciem wybił szybę, wsadził rękę przez dziurę, otworzył zamek i wszedł do środka.

Znajdował się teraz w małym przedpokoju. Po lewej stronie stały pralka i suszarka. Kilka schodków wyżej znajdowała się kuchnia. W powietrzu unosił się zapach smażonego tłuszczu oraz zatęchły smrodek papierosowego dymu. Pamiętał, że Sizemore palił. Widywał go, jak idzie na przerwę z paczką fajek w ręku. Widać nie zerwał z nałogiem. Przecież Decker siedział w barze z Leopoldem, a ten ani razu nie sięgnął po papierosa. Jeśli ktoś jest nałogowym palaczem, zapaliłby w barze, gdyby mógł, a w Burlington było to legalne. Zresztą Decker nie wyczuwał od niego zapachu nikotyny. A poczułby na pewno. Ten trop zaczynał się rozłazić, jednak należało pójść za nim do końca.

Wszedł na górę po schodkach i rozejrzał się po niewielkiej kuchni. W zlewie stało kilka naczyń. W koszu leżała gazeta. Sprawdził datę. Sprzed dwóch tygodni. Wyglądało to coraz dziwniej.

Wyszedł z kuchni i zajrzał do wszystkich pomieszczeń na parterze. Żadnego znaku, że ktoś tu niedawno przebywał. Wszedł po krótkich schodach na piętro.

Tracąc nagle cierpliwość, rzucił się naprzód i otwierał kopniakiem kolejne drzwi. Sprawdził pierwszy pokój, potem drugi i dotarł pod trzecie, ostatnie drzwi.

Pchnął, otworzył na oścież i zaczął głęboko oddychać, nie dlatego, że miał takie widzimisie, tylko dlatego, że był to jedyny sposób na stępienie zmysłu powonienia.

Podszedł do łóżka i spojrzał na materac.

Nie bardzo wiedział, czyje zwłoki leżą na pościeli, ponieważ znajdowały się w stanie daleko posuniętego rozkładu. Wzrost mniej więcej się zgadzał. Ale z twarzy pozostało zbyt mało. Zaawansowany proces gnilny świadczył o tym, że ciało leżało tam od dłuższego czasu.

Początkowo zwłoki przykuły całą jego uwagę. Nie patrzył na nic innego.

Aż do teraz. Jego wzrok ślizgał się po pokoju, a następnie zatrzymał na jednym punkcie.

Decker podszedł do ściany i tępo patrzył na widniejący tam napis.

I znów pudło. Jeśli zdążył już zgnić, zmitrężyłeś zbyt wiele czasu. Próbuje dalej. Może dotrzesz do celu. A może nie. Buziaki, brachu.

44

Agent Bogart oznajmił:

– To Chris Sizemore. Przed chwilą potwierdzono tożsamość na podstawie odcisków palców i zębów.

Decker wezwał najpierw policję, a w drugiej kolejności agenta FBI. Stróże

prawa nadciągnęli pod mały, zdezelowany budynek niczym burza gradowa.

Byli w domu Sizemore'a. Zwłoki na szczęście już usunięto.

Alexandra Jamison siedziała w samochodzie, otrzymawszy ściśle instrukcje, że nie wolno jej napisać o tym wszystkim ani słowa.

Decker kiwnął głową.

– Oczywiście, że tak.

– Jak to?

Decker wskazał napis na ścianie.

– Tak to.

Bogart stanął obok.

– Wyjaśnij.

– Mówią, że znów spudłowałem. To dom Sizemore'a. Nie zjawiłbym się tutaj, gdybym nie podejrzewał, że był w to zamieszany. Ale nie był. Stał się kolejną ofiarą.

– Czyli wodzą cię za nos. Drażnią i nękają na każdym kroku.

Decker przytaknął.

– Udowadniają, że są ode mnie sprytniejsi, i może naprawdę tak jest.

– Miejmy nadzieję, że cholernie się mylisz.

– Przez cały czas są o krok naprzód. „Jeśli zdążył już zgnić”? Ciało było w stanie zaawansowanego rozkładu, gdy się na nie natknąłem.

– Mieli dużo czasu na planowanie. Może zdołasz ich dogonić. Zajac i zółw. Stoi za tobą FBI. Nie musisz działać sam.

Wyszli na zewnątrz; był wczesny poranek.

– Duckton siedemset jedenaście – rzekł Bogart. – Wspomniałeś, że to twoje stare śmieci.

– Tak.

– Skoro to nie Sizemore miał do ciebie żal, któż inny?

– Nie przypominam sobie, by pozostali lekarze oraz ludzie pracujący w instytucie mieli do mnie jakieś pretensje.

Bogart usiadł na betonowym ganku i westchnął.

– Okej. A ktoś inny? Bo przecież musi o coś chodzić. W przeciwnym razie po co miałyby wskazywać ci to miejsce? Skąd w ogóle by o nim wiedział, gdyby nie był pacjentem albo pracownikiem?

Decker przysiadł się do Bogarta.

– Sam fakt wspólnego pobytu w instytucie nie wystarczy. Musi być coś więcej, coś, co zrobiłem albo co sobie ubzdurał, że zrobiłem, co pchnęło go do podjęcia takich działań.

– Niezrównoważony umysł może uznać za zniewagę nawet błahostkę. Na przykład pierwszy przeszedłeś przez drzwi. Kichnąłeś na niego. Odpowiedziałeś na pytanie, na które on chciał odpowiedzieć. Kto to wie,

do cholery?

– Ja muszę wiedzieć. Tylko ja mogę wiedzieć.

– Cóż, nigdy niczego nie zapominasz, trzeba zatem wierzyć, że ci się przypomni.

– I tu tkwi problem. Jeżeli mi się nie przypomniało, to znaczy, że nie ma co mi się przypomnieć. – Decker popukał się w skroń. – Wspomnienia do mnie nie powracają. Ja po prostu zaglądam do swojej głowy i je stamtąd wyciągam. A to różnica.

Bogart wstał i spojrzał na siedzącego Deckera.

– Tak, teraz rozumiem. – Wsadził ręce do kieszeni. – Lekarz szacuje, że Sizemore nie żyje od około dwóch tygodni. Nikt nie wie, gdzie byli wtedy Leopold i jego „kumpel”. Zamierzamy zasięgnąć języka w okolicy, zobaczymy, czy cokolwiek z tego wyniknie.

– Wątpię. Zakradłem się do ogródka za domem, kiedy było jeszcze jasno, dokonałem włamania. I mimo że jestem duży, najwyraźniej nikt niczego nie zauważył.

– Tak czy inaczej, rozpytamy się.

– Czy Sizemore gdzieś pracował?

– Właśnie to sprawdzamy. Jeśli tak, można by sądzić, że ktoś zgłosiłby jego zaginięcie, kiedy przestał przychodzić do pracy.

– Niektóre zajęcia nie wymagają pojawiania się w określonym miejscu.

– Dam znać, czego się dowiedzieliśmy.

Bogart odszedł, a Decker wstał, wrócił do samochodu Jamison i wgramolił się do środka. Spojrzała na niego zza kierownicy sennym wzrokiem.

– Mogła pani pojechać do motelu – powiedział. – Na pewno podwiózłby mnie któryś z chłopaków Bogarta.

Pokręciła głową i rzekła:

– Nie, i tak nie zdołałabym zasnąć. A więc to Sizemore?

– Tak. Nie żyje mniej więcej od dwóch tygodni.

– Kiedy wyszedł pan poprzednio z tego domu, powiedział pan, że wiadomość na ścianie to kolejne szyderstwo.

– Że choć znów spudłowałem, mam próbować dalej. Zasugerował też, że może nie jestem taki bystry, jak mi się wydawało. I ponownie nazwał mnie brachem.

– Niezła manipulacja.

– Na to wygląda.

Przeciągnęła się i ziewnęła.

– Co teraz?

– Pojedziemy się przespać. Oboje zastanowimy się nad różnymi rzeczami. Może coś nam zaświta.

– Naprawdę pan na to liczy?

– Nie.

Pomyślał sobie: *Bo do mnie nic nie przychodzi z zewnątrz. Wszystko już tam jest. Inaczej nie ma tego wcale.*

45

Następnego dnia wyruszyli w długą podróż powrotną do Burlington. Decker prawie wcale się nie odzywał, zasadniczo ignorował wszelkie pytania Jamison. W końcu zrezygnowała i włączyła radio. Zatrzymali się, aby coś zjeść – w barze dla kierowców ciężarówek przy autostradzie. Jamison wjechała swoim autkiem wielkości szprotki w morze wielkich ciężarówek, zajęła wolne miejsce parkingowe, po czym oboje wysiedli z wozu.

Decker poruszał się sztywno. Zauważyła to.

– Przepraszam za tę ciasną kwaterę – rzekła.

Rozmasował kark, prostował plecy, póki nie usłyszał cichego trzasku, i oznajmił:

– Jestem głodny.

W barze było tłoczno. Zaprowadzono ich do narożnego stolika w głębi, sąsiadującego z salą bilardową, gdzie kierowcy uderzali kule i robili zakłady. Obok znajdował się sklepik z upominkami, w którym największą popularnością cieszyły się chyba bielizna oraz erotyczne zabawki dla czekających w domu kobiet i dziewczyn.

Zamówili jedzenie. Decker sypał cukier do kawy, gapiąc się w laminowany blat stołu.

Z szafy grającej zaczęły płynąć dźwięki piosenki Bonnie Raitt.

Jamison rozejrzała się po barze, w którym wrzało jak w ulu. Jakiś mężczyzna w stetsonie ujeżdżał przez kilka sekund elektrycznego mustanga, po czym spadł z siodła ku uciesze swoich kumpli.

Decker podrapał się w brodę i podniósł wzrok na swoją towarzyszkę.

– Powinna pani wsiąść w samolot i odlecieć jak najdalej ode mnie. Zdaje sobie pani z tego sprawę, prawda?

– Sądziłam, że już to przerabialiśmy i doszliśmy do porozumienia. Andy Jackson był...

– Pani przyjacielem i mentorem. I jako przyjaciel oraz mentor nie chciałby oglądać pani trupa.

– Noszę przy sobie gaz łzawiący i...

– Mogą być tutaj, w tej chwili. Obserwować nas. Obserwować panią.

– Zwyczajnie próbuje pan napędzić mi stracha.

– Nie muszę pani straszyć, Jamison. Jest pani inteligentną kobietą, co oznacza, że już się pani boi.

Podano posiłek. Jedli w milczeniu, unikając nawzajem swojego wzroku.

Rachunek zapłacił Decker.

– Nie jest mi pan nic winien – powiedziała Jamison.

– Zjadłem dużo więcej niż pani. Dzielenie się rachunkiem byłoby nie fair.

Wrócili do samochodu. Decker dyskretnie czujnie obserwował otoczenie.

– Gdzie pana wysadzić? – spytała Jamison, gdy jechali już ulicami Burlington. – Pod domem, pod szkołą, pod komisariatem? W innym życiu?

– Ma pani zamiar wsiąść do tego samolotu?

Odwróciła się w jego stronę.

– Nie wiem – odparła cicho.

– Słyszałem, że o tej porze roku przyjemnie jest na Florydzie. Może Miami?

– Nie lubię uciekać przed trudnościami.

– To nie jest trudność. To coś znacznie więcej. Chodzi raczej o przetrwanie.

– A co z panem? Pan zostaje, prawda? Nie wskakuje pan do samolotu i nie daje stąd dyla.

– Zostaję – rzekł krótko Decker. – Może mnie pani podrzucić pod mój hotel.

Tak zrobiła. Wsiadłszy z samochodu, Decker rzucił na odchodnym:

– Niech pani zostanie albo wyjedzie. W obu wypadkach proszę dać mi znać, okej?

Skinęła głową i odjechała.

Decker wszedł do swojego pokoju, wziął prysznic, przespał się odrobinę, a potem znów ruszył w drogę, wsiadając w autobus do Mansfield.

Wysiadł na rogu, popatrzył na wyblakłą fasadę szkoły i poczłapał do środka.

Spotkał się z Lancaster w bibliotece. Policjantka wydawała się szczuplejsza i bledsza, lewa ręka drżała jej tak mocno, że musiała wcisnąć ją do kieszeni. Usiedli w głębi, a Decker zrelacjonował wydarzenia ostatnich dwóch dni.

– Myślisz, że Jamison zastosuje się do twojej rady?

Wzruszył ramionami.

– Mam nadzieję. Nie mogę zmusić jej do wyjazdu.

– Cóż, Chrisa Sizemore’a nie było w mieście i zobacz, co się z nim stało.

– Nie mogą śledzić wszystkich, Mary. Nie mamy do czynienia z jakąś tajną organizacją o nieograniczonych środkach i możliwościach, ale z dwójką ludzi. Skutecznych i metodycznych, jednak to tylko dwie osoby.

– To nie fakt, lecz twoje przypuszczenie. Podobnie jak moja spekulacja dotycząca 7-Eleven.

Zastanowił się i przytaknął.

– Rzeczywiście, masz rację. A tutaj coś się działo?

Pokręciła głową.

– Wojsko zadeklarowało pomoc. Ale mało prawdopodobne, by mogli wnieść jakikolwiek wkład do sprawy. Technicy śledczy utknęli w martwym punkcie. Wiemy, jak zabójca dostał się do środka, jak poruszał się po budynku i jak uciekł,

ale to ani trochę nie prowadzi nas w pożądanym kierunku, Amosie.

– Jediną pewną rzeczą jest związek ze mną. Trop zaprowadził mnie do Chicago oraz do instytutu. Jego trafność potwierdziło morderstwo Chrisa Sizemore'a. Mogliby wiedzieć o istnieniu Chrisa i o pretensji, jaką miał do mnie, tylko w sytuacji, gdyby byli tam ze mną albo dowiedzieli się z pierwszej ręki, co się działo w instytucie dwadzieścia lat temu.

– Nie pamiętasz niczego, co mogłoby nam pomóc? Pomyśl o wszystkich ludziach, którzy przewinęli się przez placówkę podczas twojego pobytu.

Decker osunął się na krzesło i powiódł wzrokiem po policjantach i agentach ślęczących nad szczegółami sprawy. Dostrzegał w ich oczach oraz ruchach topniejącą energię, ogarniającą ich apatię. Niejednokrotnie był świadkiem, jak dochodzenie kończyło się fiaskiem. Teraz także zaczęli uważać, że nie rozwiążą tej kryminalnej zagadki. Że nie złapią sprawcy. To odbierało wszystkim siły.

Ponownie spojrzął na Lancaster.

– Jedinym ogniwem jest w tej chwili Leopold, ale wiem na pewno, że nie było go ze mną w instytucie. Leopold mógłby jedynie być Sizemore'em. Od początku wydawało się to mało prawdopodobne, teraz ta teoria upadła całkowicie.

– Przekonaliśmy się, że ci ludzie potrafią igrzać z fizyczną percepcją. Sprawiać, że drobniejsza osoba wydaje się potężna. Mieliśmy go na oku przez pewien czas i nic z tego. Facet ulotnił się jak kamfora.

– A nasza kelnerka z baru? Jak kamień w wodę?

– Tak. Kelnerka albo kelner, według barmana.

– To znów kwestia fizycznej percepcji. Facet wcielający się w kobietę. Dobrze mu to wyszło. Dałem się nabrać. A przecież podawał mi piwo. Stał tuż koło mnie i nie wzbudził we mnie żadnych podejrzeń.

– Jesteś przekonany, że kelnerka brała w tym udział?

– Barman powiedział FBI, że zniknęła pięć minut przed wyjściem Leopolda i więcej się nie pojawiła. Może to zbieg okoliczności, ale nie sądzę.

– No dobrze, ale to jeszcze nie fakt. Przynajmniej na razie. – Przerzuciła kilka kartek. – A tutaj mam coś, co j e s t faktem.

Wyprostował się.

– Co?

– W szkole zginęło sześcioro uczniów i trzech dorosłych. Pięciu uczniów to chłopcy.

– Debbie Watson była jedyną kobietą.

– Wszystkich pięciu chłopaków grało w drużynie futbolowej. A właściwie trzech. Jeden był menedżerem drużyny, a drugiego niedawno wywalili za naruszenie regulaminu.

Decker wyprostował się jeszcze bardziej.

– Beth Watson powiedziała, że Jimmy Schikel był członkiem drużyny. Nie dostrzegłem wtedy związku między nim a resztą. Ze względu na Debbie i dorosłych.

– Natomiast Joe Kramer, oprócz tego, że uczył wuefu, był trenerem futbolistów.

– A wicedyrektor?

– Nie znalazłam żadnych powiązań Barry’ego Dresdena z drużyną futbolową. Jego dzieci nie chodziły do tej szkoły, więc nie mogły należeć do zespołu. No i pozostaje jeszcze Andy Jackson.

– Zginął, bo postawił się napastnikowi. Być może pozostali znaleźli się na celowniku z powodu swoich związków z futbolem.

– Dresden nie miał takich związków.

– Ale wszyscy zastrzeleni uczniowie plus trener. To nie może być przypadek, Mary. Prawdopodobieństwo jego wystąpienia jest zdecydowanie zbyt małe. W każdej z sal lekcyjnych było wiele osób. Napastnik musiał mieć upatrzone ofiary. Zaraz, czy oni wszyscy byli słusznej postury? Wyglądali na futbolistów?

– Dwóch tak, inni byli normalnych rozmiarów. Wątpię, czy zdołałby ich wytypować wyłącznie na podstawie cech fizycznych. Stroje do gry noszą tylko w piątki przed meczem, a do strzelaniny nie doszło w piątek. Mógł jednak z łatwością dowiedzieć się, kto gra w drużynie. Oraz jak wygląda plan lekcji. Albo powiedziała mu to Debbie. Jeśli tak, może była wtajemniczona w jego plany. – Umilkła. – W każdym razie chciałam cię poinformować, co wywęszyłam.

Popatrzył na nią z uznaniem.

– Dobra robota, Mary. Nikt inny na to nie wpadł, łącznie ze mną.

Uśmiechnęła się ze znużeniem.

– Cóż, nie przywykłam do ubiegania cię w śledztwie, więc rzeczywiście mam satysfakcję. Ale o co tu chodzi, Amosie?

– Grałem w tutejszej drużynie. Skradli wszystkie moje puchary. Może to jeszcze jedna forma zemsty. Kolejna odsłona wendety. – Zamilkł.

– Co?

– Dresden, wicedyrektor, znajdował się na liście ofiar. Napastnik wszedł do gabinetu po to, żeby go zabić. Śmierć Debbie i Jacksona ma swoje uzasadnienie. Ale nie Dresdena. Skoro nic nie łączyło go z futbolistami, dlaczego zginął?

– Chcesz powiedzieć, że twoja gra w drużynie może wcale nie być powodem? Pomimo tego, że zwinęli puchary?

– Tak. Ale jeśli nie futbol, to co?

– Nie mam pojęcia – przyznała Lancaster.

– Walenie głową w mur nie wyjdzie nam na dobre. Najpierw trzeba dowiedzieć się czegoś więcej. Jest jedno miejsce, do którego musimy się udać.

– Dokąd?

- Do baru.
- Spragniony?
- Tak, ale bynajmniej nie piwa.

Pojedynczy płatek śniegu powoli opadał na ziemię, gdy Decker stał z Lancaster po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko baru. Śnieżynka dotknęła chodnika i niemal natychmiast się roztopiła.

Lancaster wyjęła chusteczkę i wydmuchała nos.

– Jeśli nie chcesz wejść do środka, to czy możemy przynajmniej czekać w samochodzie? – poprosiła. – Jest koszmarnie zimno, a ja czuję, że bierze mnie grypa.

Decker lustrował kwartał ulic fragment po fragmencie, a gdy doszedł do końca, zaczął jeszcze raz od początku. Ruszył przed siebie, Lancaster podążyła za nim. Przemierzyli obie strony ulicy od przecznicy do przecznicy w obu kierunkach.

– Żadnych kamer – zauważył.

– Burlington ma monitoring, tyle że nie wszędzie. Słyszałam, że w Londynie i Nowym Jorku kamery są na każdej ulicy. No ale my nie mamy takich wpływów z podatków, prawda?

– Jest jeszcze prywatny monitoring – rzekł Decker. – Mają go banki, lombardy, sklepy monopolowe. Ale niczego takiego nie widzę. Możesz to sprawdzić? Czy są jakieś kamery na tym obszarze?

– Już dzwonię.

W czasie, kiedy Lancaster telefonowała, Decker nie przestawał strzelać oczami na wszystkie strony. Spadło kilka kolejnych płatków śniegu, chmury na niebie pęczniały od wilgoci. Jeśli temperatura nadal będzie spadać, może porządnie sypnąć śniegiem.

Lancaster odsunęła komórkę od ucha.

– Oddzwonią. Co teraz?

Decker przeszedł przez ulicę, zmierzając prosto do baru. Lancaster za nim.

W środku panował ścisk, większość stolików okupowały pary, ale w głębi odbywał się chyba wieczór kawalerski. Lancaster obrzuciła pogardliwym wzrokiem striptizerkę, która właśnie zrzuciła z siebie obcisły kostium Kobiety-Kota.

– Zdumiewające, co podnieca młodych mężczyzn.

– To samo podnieca mężczyzn w każdym wieku – rzucił z roztargnieniem Decker. – Ładne kobiety zdejmujące ubrania. – Utorował sobie drogę do baru i przyjrzał się barmanowi, temu samemu, z którym rozmawiał wcześniej. Mężczyzna podszedł bliżej.

– Co podać?

– Millera z beczki. – Spojrzał pytająco na Lancaster.

– Oficjalnie jestem na służbie – odezwała się przyciszonym głosem.

– A dla koleżanki bezalkoholową Krwawą Mary.

Kiedy barman oddalił się z zamówieniem, Decker obrócił się na hokerze i oparł plecami o kontuar, obejmując wzrokiem całą salę. Lancaster poszła w jego ślady.

– Więc Leopold przywiódł cię do tego baru, gdzie jego wspólnik rzekomo udawał kelnerkę. Rozmawialiście, a potem zniknął z rzekomą pomocą rzekomego wspólnika.

– R z e k o m o tak – odparł z irytacją Decker.

– Skąd wiedział, że będziesz go śledził?

– A jak mogłem tego nie zrobić? Po oddaleniu wszystkich zarzutów? Wiedział, że znam policyjne procedury. Że wyprowadzą go z celi w centralnym areszcie i odprawią. Wiedział, że będę czekał pod sądem. A gdybym z jakichś powodów tego nie zrobił, nie ma problemu. Znaleźliby inny sposób, żeby mnie tu zwabić.

– Więc za nim poszedłeś. Po co to ostatnie zagranie?

– Może chciał mnie znowu zobaczyć, z bliska. Dobrze mnie sobie obejrzeć.

– Ale jeśli nasze domysły są słuszne, tak naprawdę chciała cię zobaczyć kelnerka. Może ta sama, która była z tobą w instytucie. Ta, którą w jakiś sposób znieważyleś.

– Na pewno także i o to chodziło.

– To cud, że nie zabił cię tam na miejscu. A nawet nie próbował.

– Jeszcze nie dość wycierpiałem, Mary.

– Nie dość wycierpiałeś! Tyle ofiar, w tym cała twoja rodzina? Artykuł Jamison, w którym wylano na ciebie kubek pomysł? Nieustanne szydzenie i nękanie?

– Wciąż za mało, Mary. Oni nie mają dosyć.

– Czego chcą, Amosie? Czego jeszcze mogliby od ciebie chcieć?

– Więcej, Mary. Tylko jeszcze nie wiem, czym jest to „więcej”.

Decker wiedział jednak, co go czeka na końcu tej rozgrywki.

Chcą mnie.

Barman przyniósł napoje i powiedział:

– Słuchaj, chłopie, przez ciebie ucierpiał tu interes. Gliny przewróciły tę budę do góry nogami. Wystraszyły mi połowę klienteli.

– Dostałeś swoją pensję, prawda? – burknęła Lancaster.

– Napiwki, skarbie – wyjaśnił barman. – Żyję z napiwków. – Wetknął do ust elektronicznego papierosa i się zaciągnął. – Wydaje się wam, że właściciele tej speluny płacą mi tyle, że starcza na życie? Jeśli tak, to idźcie przebadać sobie makówki.

– Kelnerki z pewnością także liczą na napiwki – rzucił Decker.

– Tak.

– Ale chyba nie tamta, która zostawiła cię wtedy na lodzie. Może ma inne

źródło dochodu.

– Może.

– Jesteś pewien, że to był mężczyzna? – spytała Lancaster, bacznie przyglądając się barmanowi.

Spojrzał na nią spode łba.

– A co się tak interesujesz?

Mignęła mu przed nosem odznaką. Znow zaciągnął się papierosem i powiedział:

– Pracowałem kiedyś w obsłudze sceny w niezależnym nowojorskim teatrze. Naoglądałem się tam tego tałatajstwa. Potrafię odróżnić faceta od dziewczyny, choć muszę przyznać, że ten wyglądał naprawdę fachowo.

– Skoro to był facet, dlaczego dopuściłeś go do pracy? – zapytała Lancaster.

– Mam gdzieś, czy facet przebiera się za kobitkę, czy nie. Grunt, żeby nie rozlewał drinków. Potrzebuję ludzi. Nie liczę im penisów.

– Twierdzisz, że kelnerka opuściła lokal przed gościem, z którym wtedy rozmawiałem – powiedział Decker.

– Nie mogłem jej znaleźć po waszym wyjściu. Musiałem sam obsługiwać stoliki, póki nie przysłali mi zastępstwa. Więc tak, to coś ewidentnie się zmyło.

– Dzwoniłeś do agencji pracy?

– Dzwoniłem. I miałeś rację. Nikt tam o niej nie słyszał. Jeden zero dla ciebie.

Decker opuścił wzrok na okolice pasa mężczyzny. Z przedniej kieszeni dzinsów wystawał breloczek od kluczy.

– Jakim wozem jeździsz?

Zaskoczony barman opuścił głowę, a po chwili znow spojrzał na Deckera.

– Bo co? Trzeba cię gdzieś podrzucić?

– Nie. Tak z ciekawości.

– Nissanem leaf.

– Z silnikiem elektrycznym.

– Tak. Superoszczędny, bo nie tankuje paliwa. Wystarczy naładować.

– Bardzo cichy, jak sądzę.

– Czasem aż za cichy. Już ze sto razy zostawiłem włączony silnik. Odszedłem z kluczykami w kieszeni, a to cholerstwo cały czas było na chodzie.

– Naprawdę? Gdzie go parkujesz?

– W bocznej uliczce.

– Czy tamtego dnia, kiedy byłem w barze, nie zauważyłeś, że samochód stoi w nieco innym miejscu?

Mężczyzna zastanawiał się przez chwilę, wreszcie odparł:

– Nie, a przynajmniej sobie nie przypominam. A co?

– Ponieważ zajrzałem wtedy w tę uliczkę i nie widziałem tam żadnego

samochodu.

– Akurat! – burknął barman, wybałuszając oczy. – Stał tam, kiedy skończyłem pracę.

– Zawsze trzymasz kluczyki przy sobie?

– Nie zawsze. Bywa, że wieszam tam na haczyku. – Wskazał na ścianę za barem. – Czasem muszę przestawić wóz, kiedy spodziewamy się dostawy. Ciężarówka z piwem ledwie się tam mieści. A to ślepa uliczka, więc muszą wyjeżdżać tyłem. Zdarza się, że kiedy jestem zajęty, pozwalam przestawić auto którejś z kelnerek.

– Zdaje się, że kelnerka, o której mowa, przejechała się nim bez pozwolenia. Decker rzucił na kontuar kilka dolarów.

– Napiwek wliczony.

Wyszli z Lancaster na zewnątrz.

47

Śnieg zaczął sypać intensywniej. Decker stał ze wzrokiem utkwionym w szarym nissanie.

– Chyba go w tej chwili ładuje – zauważyła Lancaster. Patrzyła na kabel biegnący od portu w samochodzie do skrzynki elektrycznej obok bocznych drzwi baru.

Decker nie patrzył na przewód, tylko na mury budynków.

– Tam – wskazał.

Wysoko na ścianie zainstalowano kamerę monitoringu, ustawioną pod takim kątem, by obejmowała niemal całą uliczkę. Decker podszedł do miejsca, w którym była zamontowana, a następnie pod drzwi lokalu.

– Apteka – stwierdził. – Pewnie wjazd dla dostawców.

– W tej okolicy dochodzi do częstych kradzieży w aptekach – powiedziała Lancaster, stanąwszy obok Deckera. – Nic dziwnego, że mają kamerę. Logicznie rzecz biorąc, włamywano by się od tyłu. Dlatego drzwi są zakratowane i zamknięte.

– Musimy obejrzeć nagranie z tej kamery i to zaraz.

Szybko weszli od frontu. Za kasą siedział sprzedawca, a w pobliżu drzwi stał policjant po służbie. Lancaster machnęła mu przed oczami odznaką.

– Znam cię – oznajmiła. – Donovan z czwartego komisariatu, zgadza się?

– Tak jest. Czego pani potrzebuje, detektyw Lancaster?

Wyjaśniła mu, podeszli razem do kasy, a Donovan wyłuszczył wszystko siedzącemu tam mężczyźnie.

– Mogę wyciągnąć płytę – zgodził się sprzedawca.

Kilka minut później Lancaster i Decker wyszli z apteki z płytą DVD. Pojechali prosto do Mansfield, gdzie Lancaster włożyła płytę do komputera i włączyła odtwarzanie.

Ponieważ na nagraniu była sygnatura czasowa, Decker podał datę, do której należało przeskoczyć. Wreszcie polecił:

– Zatrzymaj tutaj.

Obraz zastygł na ekranie.

– A teraz puść w zwolnionym tempie.

Lancaster nacisnęła odpowiednie klawisze. Patrzyli, jak kelnerka wychodzi z baru, otwiera drzwi nissana i wsiada, odłączywszy kabel ładowania. Chwilę później odjeżdża.

Po dziesięciu minutach wraca, wysiada, podłącza z powrotem ładowanie i ponownie wchodzi do baru.

– Przecież barman mówił, że zniknęła na dobre – zauważyła Lancaster.

– Poczekaj.

Kilka sekund później kobieta powtórnie wyszła, skręciła w uliczkę i się oddaliła.

Decker spojrzał na Lancaster.

– Wróciła, żeby odwiesić kluczyki na haczyk. Barman prawdopodobnie w ogóle jej nie zauważył.

– Jasne.

– Zgarnęła Leopolda i dokądś go zawiozła. Całkiem sprytnie. Cudzy samochód, więc tablica rejestracyjna nic nam nie da.

– Możemy za to pobrać odciski palców z samochodu. Nie miała rękawiczek.

Podczas gdy Lancaster telefonowała, Decker śledził ekran komputera. Gdy zakończyła rozmowę, poprosił:

– Okej, puść jeszcze raz, ale tym razem maksymalnie powiększ obraz.

Na prośbę Deckera Lancaster uczyniła to jeszcze kilkakrotnie. Nagranie pokazywało samochód od tyłu. Widzieli, jak kobieta wślizguje się za kierownicę, a później przerzuca na bok długie nogi, żeby wysiąść. Krótka spódnica podjechała w górę, odsłaniając uda. Brakowało jednak bezpośredniego ujęcia twarzy.

– Fantastyczne nogi – skomentowała Lancaster. – Trzeba jej to przyznać.

– J e m u – poprawił Decker. *Przynajmniej wydaje mi się, że to mężczyzna.*

– No cóż, barman miał rację.

– *À propos* czego?

– Twierdził, że pracując w teatrze, widywał mnóstwo facetów w damskich fatałaszkiach – przypomniała. – Ale zaznaczył, że tym razem był to prawdziwy majstersztyk. I rzeczywiście. Te nogi naprawdę wyglądają na kobiece.

Decker pokiwał głową i znów patrzył na obraz na ekranie. Obejrzał ten fragment jeszcze dwukrotnie, nim zatrzymał odtwarzanie. Nie udało mu się wyraźnie zobaczyć twarzy tej osoby.

– No i? – zapytała Lancaster. – Jakiś przełom myślowy?

Pokręcił głową. A jednak c o ś mu świtało. Tak jakby czaiło się na granicy

świadomości, a on nie potrafił tego uchwycić.

Lancaster ziewnęła, przeciągnęła się, a następnie rozejrzała się po bibliotece i uwijających się agentach.

– Ciekawe, kiedy zjawi się Bogart.

– Nie zdradził mi swoich planów podróży – odparł Decker. – Przyleciał odrzutowcem do miejscowości, w której mieszkał Sizemore. Przypuszczam, że wróci tą samą drogą. W każdym razie na pewno powinien tu być przede mną.

– Jeszcze się nie zameldował.

– Pewnie to nie jedyna sprawa, którą rozpracowuje.

– Może nie, ale mam nadzieję, że Mansfield jest priorytetem nawet dla FBI.

– Kto wie – powiedział w zamyśleniu Decker.

Lancaster zerknęła na zegarek.

– Dochodzi jedenasta. Jestem na nogach od piątej rano. Muszę pojechać do domu. Podwieźć cię? Raczej nie powinienes chodzić pieszo. Zaczyna się tu robić gorąco.

Wyjrzała przez okno biblioteki, za którym sypał widoczny w świetle gęsty śnieg.

– Dobra. Chyba nic tu po mnie – mruknął Decker.

Ruszyli do wyjścia.

– Mamy kilka tropów, Amosie – rzekła zachęcająco. – Musimy tylko dotrzeć po nitce do kłębka.

– To nie są tropy, Mary. To w większości nieistotne strzępy informacji, które nie doprowadzą nas donikąd. Planowanie to ich mocna strona.

– No cóż, wiesz, co się mówi o nawet najlepiej nakreślonych planach. Że biorą w łeb.

– Wiem. Niestety, to powiedzenie często nijak ma się do rzeczywistości.

Wsiadli do samochodu i odjechali.

Zerknęła na Deckera.

– Odniosłam wrażenie, że zauważyłeś coś na nagraniu z monitoringu.

– Tak. Tylko nie bardzo wiem co.

– Jakie to uczucie, znaleźć się znów w tamtym miejscu? W instytucie?

– Nie byłem tam. Przenieśli się. Rozmawiałem tylko z jednym człowiekiem, który tam pracował.

– Mimo wszystko odbyłeś podróż w przeszłość.

– Całe moje życie to jedna wielka podróż w przeszłość.

– Jest aż tak źle?

– Miałaś kiedyś ochotę przerwać oglądanie filmu?

– Jasne, wiele razy.

– A gdybyś nie mogła wyłączyć telewizora? Gdybyś nie mogła wstać i wyjść, ponieważ okazałoby się, że to wszystko dzieje się w twojej głowie?

Mocniej chwyciła kierownicę i patrzyła przed siebie.

– Chyba rozumiem.

Zatrzeszczało policyjne radio zamontowane na desce rozdzielczej. Dyspozytor podał adres, pod którym doszło do incydentu.

Lancaster o mało nie zjechała z drogi, zanim wyprostowała kierownicę. Zdjęta grozą popatrzyła na Deckera.

– To mój dom! – krzyknęła.

48

Dom Mary Lancaster był skromnym dwupoziomowym budynkiem wzniesionym około trzydziestu lat temu. Choć Earl Lancaster pracował w przemyśle budowlanym, ściany prosiły się o świeżą farbę, dach wymagał naprawy, część desek zbutwiała. Asfaltowy podjazd popękał w wielu miejscach. Wnętrze wyglądało nieco lepiej, ale pokoje były małe i ciemne, a powietrze pachniało stęchlizną.

Ciemność wokół domu rozjaśniały zamontowane na radiowozach szperacze.

Lancaster zahamowała z piskiem przy krawężniku, wyskoczyła z auta, mignęła odznaką dwóm funkcjonariuszom wychodzącym z budynku i rzuciłaby się między nich, gdyby jej nie powstrzymali.

Jeden z nich ją poznał.

– Detektyw Lancaster...

Próbowała precyzyjnie się obok. Złapał ją.

– Proszę poczekać! – krzyknął. – Próbuję pani powiedzieć...

Policjant szarpał się z nią z całej siły, bo choć Lancaster była drobna, kompletnie straciła panowanie nad sobą, wpadła w szal, wrzeszczała, pluła i drapała. Za wszelką cenę zamierzała dostać się do środka.

Po chwili została wyrwana z rąk policjantów i uniesiona w górę.

Funkcjonariusze popatrzyli na Deckera, który trzymał ją w żelaznym uścisku, przyciskając jej ramiona do tułowia.

– Puść mnie, Amosie! – ryknęła. – Zabiję cię! Przysięgam na Boga, że cię zabiję, ty sukinsynu! Ja... cię...

Ciskała gromy, wyrывała się, ale Decker nie rozluźniał chwytu. Wreszcie opadła z sił, spuściła głowę, jej nogi zwisły bezwładnie. Była wyczerpana. Dyszała, jej oddech się rwał.

– Chciałem powiedzieć, że pani rodzinie nie spadł włos z głowy – poinformował policjant.

– Co!?! – wrzasnęła. – To dlaczego, do cholery, tyle tu policji?

Decker ostrożnie postawił ją na ziemi.

– Ponieważ doszło do incydentu – wyjaśnił funkcjonariusz.

– Próbowałam dodzwonić się do dyspozytorni, ale nie mogłam się połączyć. Gdzie, do diabła, jest moja rodzina?!

– Przewieziono ich do aresztu prewencyjnego.

– Co? Dlaczego?

– Na rozkaz kapitana Millera.

W tej samej chwili z wnętrza domu wyłonił się Miller.

– Kapitanie, co się tu, u licha, dzieje? – zapytała Lancaster.

– Earlowi i Sandy nic się nie stało.

– Co to za incydent? – chciał wiedzieć Decker.

– Podrzucono do domu pewne przedmioty.

– Jakie? – spytał Decker, świdrując Millera wzrokiem.

– Amosie, może tym razem byś sobie odpuścił.

– Nie ma mowy, chyba że macie tu więcej funkcjonariuszy. – Decker spojrzał groźnie na dwóch umundurowanych policjantów, którzy usiłovali zastopować Lancaster.

– No dobrze – westchnął Miller i poprowadził ich do środka.

Weszli do kuchni. Wzrok Deckera padł na stojące na stole butelki po piwie i przewrócone krzesło.

– Mówiliście, że nic się nie stało! – wrzasnęła Lancaster.

– To, co widzisz, to tylko pozory – powiedział Miller. – To... to wszystko... – nie zdołał wykrztusić do końca.

Deckerowi żołądek podjechał do gardła, gdy Miller szukał właściwych słów.

Kapitan zaprowadził ich do sąsiedniego pokoju.

Na podłodze leżało ciało. To znaczy, nie było to prawdziwe ciało, lecz nadmuchiwany męski manekin naturalnej wielkości. Ktoś pomalował mu głowę na brązowosiwy kolor. Ale uwagę Deckera przykuła czerwona pręga narysowana w poprzek gardła.

– Czy... czy to ma być Earl? – rzekła Lancaster.

– Tak sądzę – odparł z wahaniem Miller, rzucając Deckerowi przelotne spojrzenie. – Chore bydło.

Decker zauważył dwa iksy w miejscu oczu.

Każdy widywał manekiny. Były wszechobecne i dlatego nie budziły emocji. Ale czegoś tak złowieszczonego Decker jeszcze nie widział. Ten manekin był jak trójki nacierające na niego w ciemności. Błady, krwawy, z niewidzącym wzrokiem, milczący, bez życia; jego symbolika roztaczała fetor moralnej zgnilizny.

Decker przeniósł spojrzenie na schody. A potem objął wzrokiem całe wnętrze. Był tu kilka razy w przeszłości. Ale jego umysł, rejestrując oczywiście ten fakt, skojarzył go w tym momencie z innym.

Ten dom był niemal dokładną kopią domu Deckera. Rzecz zupełnie zwyczajna w osiedlach robotniczych, gdzie deweloper powieliła ten sam projekt, wznosząc setki identycznych budynków, które różnią się tylko kolorem bądź nieistotnymi detalami architektonicznymi.

– Więc jest jeszcze jeden przedstawiający kogo? Sandy? – zapytała Lancaster. Dla równowagi chwyciła się oparcia krzesła.

– Tak, na górze jest jeszcze jeden manekin – potwierdził Miller, znów nerwowo łypiąc na Deckera.

Decker powrócił myślami do odległego momentu, kiedy wbiegał wielkimi susami na piętro własnego domu po niemal identycznych schodach. Tamtej nocy, kiedy stracił wszystko.

– W moim domu jest jeszcze jedna z tych... tych rzeczy? – warknęła Lancaster.

Decker obejrzał się na manekina z „poderżniętym” gardłem, po czym zatrzymał wzrok na Millerze. Coś w oczach kapitana – plus jego własna dedukcja – skłoniło go do wtrącenia:

– Nie, są jeszcze dwie.

– Tak – przyznał ponuro Miller. – Jeszcze dwie.

– O czym wy, do diabła, mówicie? Są tylko Earl i Sandy. Zaraz, czy ten trzeci manekin to ja?

Decker już kierował się ku schodom.

Pierwsze drzwi, pod które podeszli, były uchylone. Decker otworzył je na oścież.

Po drugiej stronie łóżka sterczała w górę noga, dokładnie tak, jak się tego spodziewał. Zbliżył się i spojrzał w dół. Ujrzał damski manekin ubrany w półprzezroczystą koszulę nocną – tak jak się spodziewał. Pośrodku czoła widniała czarna plama symbolizująca ranę postrzałową. Także na oczach tego manekina narysowano krzyżyki.

– Przypuszczam, że wiesz, gdzie znajdziemy trzecią „ofiara”? – odezwał się Miller do Deckera.

Lancaster otworzyła usta, gdy uświadomiła sobie fakty.

– O mój Boże, to ma być...

– Cassie – dokończył za nią Decker.

Miller położył mu dłoń na ramieniu.

– Amosie, może zejdziesz na dół?

– Nie – pokręcił przecząco głową Decker.

– Amosie, proszę.

– Nie!

Rzucił się do korytarza i otworzył drzwi łazienki. Pozostali pobiegli za nim.

Na sedesie siedział trzeci, mniejszy manekin, dziecko. Narysowano mu nawet na głowie loki, takie jak u Molly. Był przywiązany paskiem od szlafroka. Na szyi zaznaczono pręgi, na oczach krzyżyki.

Zabójcy dokładnie odtworzyli wydarzenia z domu Deckera, na szczęście zastępując żywych ludzi manekinami.

Z jedną różnicą. Znaczącą.

Nad toaletą napisano atramentem na ścianie słowa:

Tak mogło się stać naprawdę. Zadaj sobie jedno pytanie. Ile jeszcze przez ciebie cierpienia, brachu? Skończ z tym teraz. Zrób, co trzeba. Tak jak powinienes był zrobić wtedy. Znajdź w sobie odwagę. Nie bądź tchórzem, brachu. Nie tym razem. Bo przy następnej okazji poleje się prawdziwa krew. To ostatnia szansa.

Decker nieskończenie długo wpatrywał się w napis.

Następnie odwrócił się na pięcie i zbiegając po dwa stopnie naraz, wyszedł na dwór. Lancaster i Miller poszli za nim. Lancaster dogoniła go na końcu podjazdu.

– Dokąd się wybierasz? – zapytała.

– Przepraszam za to wszystko, Mary.

– Nie masz za co przepraszać. Moja rodzina jest cała i zdrowa.

– Następnym razem tak się nie stanie. Będą martwi.

– Nie. Słuchaj, to nie dotyczy ciebie. Tylko ich. – Dotyczy ich oraz mnie.

Oddalał się ulicą pośród wirujących wokół płatków śniegu.

49

Decker siedział na łóżku w swoim pokoju w Residence Inn. Na dworze nadal sypał śnieg, ale ponieważ grunt był dość ciepły, większość płatków nie osiadała na ziemi. Robiła się breja. Jego mózg także zamieniał się w breję.

Mój cudownie doskonały umysł, który wszystko pamięta.

Jednak część myśli zachowała krystaliczną jasność.

W rękę trzymał pistolet. Poręczna, praktyczna broń. Nosił ją ze sobą jako detektyw. I przeniósł ją do życia w cywilu.

Był to ten sam pistolet, którego lufę wpakował sobie kiedyś w usta, a potem przyłożył do skroni, siedząc na podłodze i wpatrując się w martwą córkę.

Nie pociągnął wtedy za spust i nadal nie do końca rozumiał dlaczego. Doskonałej pamięci nie towarzyszyły doskonały umysł ani stanowczość decyzji. Czasem perfekcja po jednej stronie równania pociągała za sobą kompletny brak precyzji po drugiej. Może w ten sposób natura utrzymywała stan równowagi.

Bez względu na wszystko, tamtej nocy ze sobą nie skończył.

Ale ta noc jest nowa, czyż nie tak?

Odciągnął kurek i usłyszał, jak nabój gładko wpada do komory. Odbezpieczył zamek, podniósł broń na wysokość głowy i przyłożył lufę do prawej skroni.

Znajdź w sobie odwagę. Nie bądź tchórzem, brachu. Skończ z tym teraz.

Decker pomyślał, że do zabicia samego siebie potrzebne są zarówno tchórzostwo, jak i odwaga. Czy miał wystarczająco dużo jednego i drugiego? Czy zupełnie mu ich brakowało?

Uznał, że je ma. Przynajmniej w tej chwili.

Zamknął oczy i pozwolił palcowi powędrować na bezpiecznik spustu, a później na sam spust. Lekki nacisk i będzie po wszystkim. To najmniejszy odstęp na świecie – ten pomiędzy palcem a spustem. Prosty ruch, zgiąć palec i pociągnąć. Ludzie wykonują taki ruch codziennie, tyle że nie trzymają wtedy broni palnej.

Decker starał się rozjaśnić umysł, odprężyć się i uwolnić od wszystkiego, co trzymało go na tym świecie. Z pewnością nie było tego wiele. Właściwie co takiego zostawiał?

Pojawił mu się przed oczami obraz Molly, a później Cassie. Dwa kadry, których nie mógłby nigdy wyprzeć z pamięci, nawet gdyby zdołał jakimś cudem usunąć wszystkie inne.

Zatrzymał je na dłużej. Jak w stop-klatce swojego wewnętrznego wideo.

Pukanie do drzwi skłoniło go do otwarcia oczu. Nie ruszył się z miejsca.

Pukanie rozległo się ponownie.

– Amosie? Amosie, wiem, że tam jesteś. Proszę, otwórz drzwi.

Wizerunki Cassie i Molly utrzymywały się jeszcze przez chwilę, a potem klatki filmu przesunęły się do końca i ustąpiły miejsca innym efektom wizualnym.

Decker wstał i otworzył drzwi.

Stał twarzą w twarz z Millerem, który postawił kołnierz płaszcza, by ochronić się przed zimnem. Na nogach kapitan miał zniszczone śniegowce.

– Chcę z tobą porozmawiać – rzekł Miller. – Teraz.

Nie czekał na zaproszenie. Wmaszerował do pokoiku, mijając w progu Deckera. Jego wzrok spoczął na porzuconym na łóżku pistolecie. Miller spojrzał przenikliwie na Deckera.

– Jeśli to zrobisz, wygrają. Przecież wiesz.

– Czyżby?

Kapitan wziął pistolet, zabezpieczył go i odłożył na stojące pod ścianą biurko, a dopiero potem usiadł na skraju łóżka.

Decker zamknął drzwi i zajął miejsce na krześle naprzeciwko kapitana.

– Oczywiście, że tak – rzekł Miller. – Ponieważ jedynie ty masz szansę ich pokonać. Jeżeli sam się usuniesz pod ich naciskami, będą mieli wolną rękę w kontynuowaniu swoich poczynań.

– Jeśli postawili sobie za cel, żeby mnie ukarać, zniszczyć, to kiedy dopną swego, nie pozostanie im już nic do zrobienia.

– Dopóki nie uznają, że ktoś i n n y okazał im brak szacunku. Poza tym jest jeszcze drobna kwestia uniknięcia kary za zabicie tylu osób. Nie zamierzam do tego dopuścić. I nie sądzę, byś chciał, żeby uszło to tym łotrom na sucho.

Decker rzucił okiem na pistolet, później spojrzał z ukosa na Millera.

– Nie przywrócimy zmarłym życia – powiedział kapitan. – Jedyne, co możemy zrobić, to naprawić zło, łapiąc drani, którzy ich zamordowali, i dopilnować, by już nigdy, przenigdy nikogo nie skrzywdzili. Tylko tyle. Może nie

brzmi to imponująco, ale w cywilizowanym świecie nie pozostaje nam nic innego.

– W cywilizowanym świecie?

– W którym zawsze znajdują się nieucywilizowane obszary.

Decker nieznacznie poruszył się na krześle, za to w jego głowie dokonała się bardziej radykalna zmiana.

– Kto wezwał policję do domu Lancaster?

– Earl Lancaster. Był z Sandy na szkolnej imprezie. Dotarli do domu dopiero przed jedenastą. Znaleźli, co znaleźli, i zadzwonili pod dziewięćset jedenaście.

– Ktoś coś widział albo słyszał?

– Nadal sprawdzamy. Jak dotąd bez rezultatu. Było ciemno i nieprzyjemnie. Łatwo wśliznąć się niepostrzeżenie. Mogli przynieść płaskie manekiny, a potem szybko je nadmuchać. – Kapitan potarł czoło. – Chwała Bogu, że nie wzięli na celownik ludzi z krwi i kości.

– Co jest dość zagadkowe, ponieważ zabijanie przychodzi im z łatwością.

Miller w zamyśleniu pokiwał głową.

– Wiesz, to trochę tak, jakby potrafili stać się niewidzialni.

– Nie tyle niewidzialni, ile nieszkodliwi.

– To znaczy?

– Niegroźni. Wtapiający się w otoczenie. Tak pospolici, że nikt nie zwraca na nich uwagi. Dlatego są niewidzialni. Bo ludzie ich nie zapamiętują.

– Jeden z nich przebrał się za policjanta, żeby złapać w sidła Lafferty.

– Policjant przykuwa uwagę. Użyli tego przebrania tylko wobec Lafferty.

Nie, mam raczej na myśli kogoś, kto nie wyróżnia się z tłumu.

– Mniej więcej za godzinę dostaniemy gotowe raporty zebrane w obu miejscach. Może wpadniesz do komisariatu i je przejrzysz?

Decker zmierzył wzrokiem byłego dowódcę.

– Czy to rodzaj terapii świetlicowej?

Miller wstał.

– Amosie, jesteś dorosłym człowiekiem. Jeśli pragniesz się zabić, zrobisz to. Cokolwiek wymyślę, nic cię nie powstrzyma. Ale póki mam cię całego i zdrowego, chciałbym skorzystać z twoich usług. Pojedźmy więc do komisariatu i zobaczmy, co uda się nam wynioskować.

Odwrócił się i wyszedł za drzwi.

Decker nie ruszał się z miejsca. Po chwili wstał, chwycił broń, wsunął do kieszeni płaszcz i podążył za Millerem.

50

Cztery filiżanki kawy i nieświeże śniadaniowe burrito później Decker energicznie odsunął się od stołu, przy którym roztrząsał wszystkie aspekty sprawy, i popędził do WC. Gdy stamtąd wyszedł, Alex Jamison stała oparta o ścianę, najwyraźniej na niego czekając.

Skrzyżowała ramiona na piersi, stukając obcasem w pospolite linoleum.

– Zdaje się, że uciekł mi samolot – rzekła.

– Zawsze są następne.

– Pewnie tak. Może wybiorę się w jakieś ciepłe miejsce. Kiedy tutaj skończymy.

– To nie twoja batalia. I nie twoje zmartwienie.

– Nawet tego nie próbuj, Decker.

– Co tutaj robisz?

– Chciałam się z tobą zobaczyć. Poinformować, że nadal pracuję nad sprawą.

Poza tym zadzwonił do mnie Miller. Wiedział, że pojechałam z tobą do instytutu i że towarzyszyłam ci, kiedy znalazłeś ciało Sizemore'a.

– No i?

Miller wyłonił się zza rogu.

– No i pomyślałem, że jeszcze jedna para oczu zwróconych na tego skurczybyka nie zawadzi. Nie mam w sobie tyle dumy, żeby wstydzić się prosić o pomoc. – Wycelował w nich palec. – Więc proponuję zabrać się do pracy.

– Ona nie jest z policji – mruknął Decker.

– Ty też nie – odparowała Jamison.

– Gdzie Lancaster?

– Tam, gdzie być powinna, ze swoją rodziną. No, jazda – rzucił Miller.

Decker z ociąganiem zaprowadził Jamison do pokoju, gdzie zaczęli przeglądać zeznania złożone przed policją. Oba pochodziły od sąsiadów Lancaster.

Starsza kobieta z psem.

Z psem. Niegroźna. Ktoś, po kim jedynie prześliznęłoby się czyjeś spojrzenie, kto nie zapadłby w pamięć, chyba że przywołany konkretnym pytaniem.

Decker włączył funkcję wewnętrznego odtwarzania i cofnął się pamięcią do raportów z zeznaniami zebranych przez policję w sąsiedztwie po zabójstwie jego rodziny.

Żadnej starszej kobiety z psem. Ale ktoś widział spacerującego starszego mężczyznę. Opisano go jako lekko przygarbionego, kruchego, podpierającego się laską i całkowicie niepasującego do brutalnej rzezi, która wydarzyła się tamtej nocy, bez wątplenia dokonanej przez silnego, niebezpiecznego mężczyznę w sile wieku.

Absolutnie nieszkodliwy. Nikt nie poświęcił mu uwagi. Nikt się nie zastanawiał, kto to jest. Ani dlaczego znalazł się tam owej nocy.

Ja też nie.

Nie było włamania do domu Lancaster. Weszli do środka, jak gdyby nigdy nic.

Starsza kobieta w przebraniu. Starszy mężczyzna w przebraniu. Zabójca był prawdziwym kameleonem.

Decker powrócił do raportów z incydentu u Lancasterów.

Zwyczajnie weszli do środka.

Rozmyślał o minionym wieczorze. W domu Lancasterów panował ład i porządek. Mary spędzała w pracy nieprawdopodobnie dużo czasu. Earl był kompetentnym budowlańcem, ale – o czym Decker wiedział – miał pełne ręce roboty przy ich córce Sandy. Decker nie widział go nigdy odkurzającego, biegającego ze ścierką czy zmywającego co pięć minut naczynia.

Decker wstał od stołu i wyszedł na zewnątrz. Miał pytania, które wymagały odpowiedzi. Chyba zapomniał, że towarzyszy mu Jamison, póki się nie odezwała.

– Dokąd idziemy?

– Ja idę w pewne miejsce. Nie mam pojęcia, dokąd ty się wybierasz.

– Przy tobie jestem bardziej bezpieczna, prawda?

Decker usiłował znaleźć odpowiedź, ale się poddał. Jamison machnęła kluczykami.

– I w przeciwieństwie do ciebie mam samochód.

– Nieprawda, masz pół samochodu.

Decker wymaszerował, a Jamison pomknęła za nim.

Wbrew woli Lancaster ją także umieszczono w areszcie prewencyjnym. Przebywała w domu wynajętym przez FBI i strzeżonym zarówno przez lokalną policję Burlington, jak i przez agentów federalnych.

Decker przeszedł przez kontrolę bezpieczeństwa i został wpuszczony do środka wraz z Jamison. Mała Sandy podbiegła i przytuliła się do nóg Deckera. Nie wiedząc, jak zareagować, klepał ją po głowie, póki nie wypuściła go z objęć, nie popatrzyła mu prosto w twarz i nie oznajmiła:

– Ty jesteś Amos Decker!

– Tak, wiem. A ty jesteś Sandra Elizabeth Lancaster.

Pogroziła mu palcem.

– Tak, wiem. – Po czym odbiegła, a jej zmordowany ojciec próbował za nią nadążyć.

Decker i Jamison usiedli naprzeciwko Lancaster, która podejrzliwie przyglądała się dziennikarce.

– Co pani tu robi?

– Jestem konsultantką w tej sprawie, podobnie jak Decker.

– W życiu nie prowadziłam śledztwa z tyloma konsultantami – stwierdziła Lancaster. Jej wzrok spoczął na dawnym partnerze. – Jak leci?

– Jakoś.

– Co za bezduszne dranie. Żeby zrobić coś takiego w moim domu. Odtworzyć t a m t ą zbrodnię.

Jamison posłała Deckerowi zdumione spojrzenie.

– Nie wiedziała pani? – zapytała Lancaster.

– Nie – odparła cicho Jamison.

– Na szczęście dla nas posłużyli się manekinami zamiast prawdziwymi ludźmi – ciągnęła Lancaster. Drżąc, wyciągnęła papierosy, po czym je odłożyła. Decker obserwował kobietę. – Staram się zerwać z nałogiem. Ze względu na Sandy – wyjaśniła.

– Chodzi o bierne palenie? – domyśliła się Jamison.

– Nie, nigdy nie palę w domu ani w samochodzie. Chodzi o to, że pragnę żyć, patrzeć, jak dorasta. Zwłaszcza po...

Lancaster sięgnęła do kieszeni, wyjęła chusteczkę i otarła oczy, z zakłopotaniem odwracając głowę.

Wcisnęła chusteczkę z powrotem do kieszeni i oznajmiła:

– Nie chcę tu tkwić. Wolałabym uczestniczyć w śledztwie. Te dranie wtargnęły do mojego domu. W całej mojej karierze nie było przestępcy, którego tak bardzo chciałam dostać w swoje ręce.

– Czy ty albo Earl korzystacie w domu z usług firmy porządkowej? – zapytał Decker.

Wydawała się zdziwiona.

– Z firmy porządkowej?

– Wiem, jak dużą wagę przywiązujesz do bezpieczeństwa, zwłaszcza jeśli chodzi o Sandy. Pamiętam, jak wyszła kiedyś z domu, a ty szukałaś jej godzinami.

– Do czego zmierzasz, Decker? – warknęła.

– Nie było włamania. Po prostu weszli, Mary. Zastanawiam się, jak to możliwe. Chyba że ktoś miał klucz. Earl i Sandy poszli do szkoły. Earl zamknął dom na klucz, prawda?

– Tak, zawsze tak robi. Masz rację, Earl rzeczywiście wynajął firmę sprzątającą, ale oni nie mają klucza do naszego domu. Nigdy byśmy na to nie pozwolili. Earl wiedział, kiedy przychodzą, i ich wpuszczał.

– Ale czy osoba udająca sprzątaczkę nie mogła zdobyć dostępu do klucza, skopiować go i później się nim posłużyć?

– Skąd mieliby wiedzieć, że w ogóle wynajął sprzątaczkę?

– Mogli obserwować dom i widzieć podjeżdżający samochód. Zwykle są oznakowane.

– Ale jak mogli podać się za sprzątaczkę?

– Zadzwoń do agencji i zapytaj, czy ktoś przedstawiający się waszym nazwiskiem nie odwołał w któryś dzień usługi.

– Decker, czy ty naprawdę...

– To tylko jeden telefon, Mary. A może okazać się dla nas przełomem. Twierdziłaś, że chcesz rozpracować tę sprawę. Więc p r a c u j.

Wyjęła telefon i zadzwoniła do agencji porządkowej. Z przebiegu rozmowy Decker domyślił się odpowiedzi, zanim jeszcze Lancaster ją zakończyła.

- Miałeś rację, Amosie. Ktoś zadzwonił i odwołał sprzątanie.
- A więc wtedy pojawiła się fałszywa sprzątaczką i zrobiła odcisk klucza.

Gdzie trzymacie klucze?

- Na haczykach przy bocznych drzwiach.
- Widziałem kalendarz na lodówce. Czy wpisujecie tam rozkład zajęć

każdego z was?

- Tak.
- Stąd wiedzieli, że Earla i Sandy nie będzie wieczorem w domu.

– Nie mogę uwierzyć, że człowiek, który ma to wszystko na sumieniu, był w moim domu – powiedziała Lancaster, wpatrując się we własne dłonie. – Po prostu nie wierzę. – Podniosła wzrok. – To znaczy, że Earl widział zabójcę. Może...

Decker pokręcił głową.

– Wygląd tej osoby nie będzie się zgadzał z opisem Earla. Są na to za sprytni, Mary.

Decker wstał. Jamison poszła za jego przykładem.

- Wytrzymasz tu, Mary? – zapytał.
- Będę bezpieczna, jeśli to masz na myśli.
- Właśnie to mam w tej chwili na myśli.
- Upiekło mi się, Amosie. Moja rodzina żyje.

– To było ostrzeżenie, Mary. Ostrzeżenie dla mnie. Nie zrobiłem tego, do czego chcieli mnie nakłonić. Kolejnych ostrzeżeń nie będzie. Co oznacza, że muszę ich dopaść, zanim oni kogoś dopadną.

Odwrócił się na pięcie.

– Dokąd się wybierasz? – Lancaster patrzyła na niego tak, jakby byli ostatnimi ludźmi na ziemi. Gdyby był zdolny do współczucia, czułby się głęboko poruszony.

- Jeszcze raz rzucić okiem na wideo.
- Jakie wideo?
- Jak pewna osoba wysiada z samochodu.

Decker kilkanaście razy obejrzał nagranie na laptopie, zarówno w zwolnionym tempie, jak i w normalnym. Usadowił się wygodniej na krześle i zamknął oczy.

Podeszła do stolika.

Przyjęła zamówienie.

Podawała piwo.

Oddaliła się.

Zobaczył ją jeszcze raz, jak przechadzała się wzdłuż baru, ponętnie kołysząc wąskimi biodrami. Później zniknęła na zapleczu.

A potem ujrzał ją kolejny raz. Tutaj. Na ekranie.

Jak wysiada z samochodu. Jeszcze raz i jeszcze, i jeszcze.

Wszystko, co widział, ponownie odtwarzało się w jego głowie. Wodził wzrokiem po jej sylwetce niezliczoną liczbę razy. Skupił się na niewielkim fragmencie twarzy, który udało mu się zobaczyć.

I wtedy coś zaskoczyło. Obraz wreszcie przebił się do świadomości.

Otworzył oczy i ujrzał stojącego obok agenta Bogarta.

Znajdowali się w bibliotece szkoły Mansfield.

– Odwiedziłeś Lancaster? – zapytał Bogart.

Decker przytaknął ruchem głowy, wciąż mając przed oczami obraz z nagrania.

– Jak się czuje?

– Nadal masz w pogotowiu odrzutowiec?

Bogart sprawiał wrażenie zaskoczonego. Przysiadł na krawędzi stołu.

– Tak, dlaczego pytasz?

– Mogę się nim przelecieć?

– Jeśli szepnę słówko, to możesz. Co się stało?

Decker wstał.

– Musimy dostać się do Chicago.

– Dopiero stamtąd wróciłeś.

– Muszę pojechać ponownie.

– Wpadłeś na trop? – Bogart zerknął na ekran laptopa. Jego ekscytacja była wyraźnie wyczuwalna.

– Wpadłem na trop.

– Mogę też polecieć? – prędko wtrąciła Jamison.

Bogart spojrzał najpierw na nią, potem na Deckera, który wzruszył tylko ramionami.

– W porządku, ale proszę pamiętać, że FBI nie prowadzi żadnych cholernych usług lotniczych. I absolutnie nic z tego nie może trafić do prasy.

– Rzuciłam robotę w gazetę.

– Co? – zdumiał się Decker. – Dlaczego?

– W tej chwili pracuję nad tą sprawą jak na pełnym etacie. I nie byłam w stanie wykonywać innych reporterskich obowiązków. Zresztą, szczerze mówiąc, czas na zmianę.

Wstała i chwyciła za torebkę.

– No to ruszajmy. Raz-dwa.

Wyszła z biblioteki.

Bogart popatrzył na Deckera.

– Prawdziwa torpeda. Czym sobie na nią zasłużyłeś?

– Nie potrafię odtworzyć tego procesu – odparł Decker.

Odrzutowiec wylądował na prywatnym lotnisku na południe od Wietrznego Miasta, skąd udali się SUV-em do głównej siedziby Instytutu Badań Poznawczych. Mieściła się ona w trzykondygnacyjnym budynku we wzorowanym na miasteczku uniwersyteckim parku biznesu położonym godzinę drogi od Chicago.

Bogart pokazał recepcjonistce legitymację FBI, co zapoczątkowało reakcję łańcuchową, której ostatnim elementem było zaprowadzenie ich do sali konferencyjnej na tyłach gmachu, urządzonych w kojących barwach ziemi.

Do sali wszedł mężczyzna w ciemnym trzyczęściowym garniturze, różowej koszuli i żółtej muszce w zielone kropki.

Spojrzał na Bogarta, który pokazał mu odznakę i się przedstawił. Wtedy Darren Marshall rozpoznał Deckera.

– Amos Decker?

Decker wstał i uściśnął mu dłoń.

– Doktorze.

– Ile to już lat, dwadzieścia?

– Plus dwa miesiące, dziewięć dni i czternaście godzin – odparł automatycznie Decker. Obliczenia dokonywały się w jego głowie tak szybko, że nawet nie uświadamiał sobie tego procesu. Już nie uważał tego za dziwactwo. Po prostu... taki był.

– Oczywiście, wierzę na słowo – rzekł Marshall. Zwrócił się do Bogarta. – Amos był dość wyjątkowym przypadkiem.

– Nie wątpię. Ale nie jestem zorientowany w temacie.

– Pani także z FBI?

– Nie – zaprzeczyła Jamison. – Jestem tylko interesującą się tym śledztwem obywatelką, która usiłuje pomóc.

Marshall wydawał się nieco zbity z tropu.

– A ten wyjątkowy przypadek? – przypomniał Bogart.

– Doznałem urazu głowy – wyjaśnił zwięźle Decker. – Zmieniło to sposób funkcjonowania mojego mózgu, który pod pewnymi względami pracuje teraz wydajniej. – Zamilkł. – Jestem, że się tak wyrażę, „sfabrykowanym” sawantem,

w przeciwieństwie do twojego brata.

Bogart uważnie mu się przypatrywał.

– Okej, jasne. Rozumiem.

– Czy możecie mi wyjaśnić, czemu zawdzięczam tę wizytę? – poprosił Marshall.

Decker nakreślił sytuację doktorowi, który zaczął kiwać głową jeszcze przed końcem wyjaśnień.

– Oczywiście słyszałem o nieszczęsnym Sizemorze, ale nie wiedziałem, że ma to związek z tym... tym okropnym wydarzeniem w Burlington.

– Wspomnieliśmy o tym doktorowi Rabinowitzowi – wtrącił Decker.

– Więc dlatego telefonował – powiedział Marshall. – Byłem tak zajęty, że nie zdążyłem jeszcze oddzwonić do Harolda.

– To nie jedyne okropne wydarzenie, z jakim wiąże się śmierć Sizemore’a – zaznaczył Bogart. – Ale możemy to w tej chwili pominąć. – Spojrzał wyczekująco na Deckera.

– Nasz zabójca jest niemal na pewno mężczyzną – oznajmił Decker. – Mężczyzną, który współpracuje z człowiekiem podającym się za Sebastiana Leopolda.

– Nigdy nie słyszałem o Leopoldzie. Uważasz, że to się jakoś łączy z instytutem?

– Owszem, zważywszy na fakt, że przywiodły mnie tutaj ich wskazówki rozmieszczone w staranny, przemyślany sposób. Dodajmy jeszcze do tego śmierć doktora Sizemore’a.

– Masz pewność, że taki związek istnieje? Mam na myśli zamordowanie Sizemore’a i pozostałych.

– W domu Sizemore’a pozostawiono kolejną wiadomość. Znów adresowaną do mnie.

Marshall osunął się na krzesło, sprawiając wrażenie całkowicie wytrąconego z równowagi.

– Mój Boże, to nie do wiary.

– W mojej grupie w instytucie była pewna kobieta. Belinda Wyatt – powiedział Decker.

– Tak, pamiętam ją.

– Należała do protegowanych doktora Sizemore’a.

– Nie zachęcamy tu do budowania tego rodzaju więzi.

– Co nie oznacza, że się nie zdarzają – zauważył Decker. – Czy prawdą będzie stwierdzenie, że doktora usunięto z instytutu właśnie dlatego, że ostatnimi czasy nawiązywał takie relacje z pacjentami? Czy może raczej z pacjentkami.

– Naprawdę nie mogę w to wnikać.

Bogart pochylił się nad stołem.

– Doktorze Marshall, ścigamy zabójcę, który zamordował więcej osób, niż miałbym ochotę wymienić, w tym wielu licealistów oraz jedną z moich agentek. Musimy powstrzymać tego człowieka, zanim uderzy ponownie. O ile zatem liczę się z koniecznością dochowania tajemnicy zawodowej, o tyle będziemy szalenie wdzięczni za każdą pomoc, jakiej może nam pan udzielić.

Marshall ciężko westchnął. Jego oddech był drżący.

– Cóż, mogę powiedzieć tyle, że Sizemore przekroczył granice etyki zawodowej w kontaktach z pacjentką instytutu mniej więcej w tym okresie, kiedy został poproszony o odejście. Naprawdę nie mogę wyjawić nic więcej.

– Proszę się nie martwić, on nie wytoczy panu procesu – stwierdził Bogart. – Leży w kostnicy. – Zerknął na Deckera. – Myślisz, że Sizemore mógł dopuścić się tego samego wobec Wyatt?

Decker zignorował to pytanie i zapytał Marshalla:

– Co się z nią stało?

– Musiałbym sprawdzić kartoteki.

– Mógłby pan?

– To szalenie śliski temat z zawodowego punktu widzenia.

– Proszę, doktorze, niech pan zajrzy do akt.

Marshall wstał, złapał leżący na podręcznym stoliku telefon i wydał polecenie. Pięć minut później do sali weszła kobieta niosąca sporą rozkładaną teczkę na dokumenty. Wręczyła ją Marshallowi, odwróciła się i wyszła.

Doktor wsunął na nos okulary i oznajmił:

– Muszę przejrzeć dokumentację.

– Proszę bardzo – rzekł Bogart. – Niech się pan nie spieszy.

Po dwudziestu minutach Marshall podniósł wzrok znad akt.

– No dobrze, co chcielibyście wiedzieć?

– Ile miała wtedy lat? – zapytał Decker.

– Szesnaście.

– Cierpiała na hipermetropię?

– Tak, była obdarzona zdumiewającymi umiejętnościami. W zasadzie podobnymi do twoich. Ale w przeciwieństwie do ciebie nie zdradzała żadnych oznak synestezji.

– Dlatego niektórzy w instytucie uważali mój przypadek za bardziej interesujący – wyjaśnił pozostałym Decker. – Z uwagi na tę dwoistość.

– Oraz na okoliczności wystąpienia objawów. Uraz spowodowany silnym uderzeniem na boisku. Nigdy się z tym nie zetknęliśmy. I szczerze wątpię, czy kiedykolwiek jeszcze się zetkniemy.

Bogart spojrział na Deckera.

– Więc tak to się stało?

Jamison kiwnęła głową.

– Tak.

– Ona wie, a ja nie? – rzucił z irytacją Bogart.

Jamison pospieszyła z wyjaśnieniem:

– Spędziliśmy razem dużo czasu w podróży.

– Skąd się to wzięło u Belindy? – pytał dalej Decker. – Mieliśmy sesje grupowe, ale nigdy nie ujawniono tego faktu. Mimo że część osób z instytutu dowiedziała się o mojej sytuacji pocztą pantoflową, nie pamiętam, żeby krążyła jakakolwiek plotka o Belindzie.

– Cóż, twoja przeszłość nie powinna była ujrzeć światła dziennego. A w wypadku Belindy sprawa była jeszcze bardziej... skomplikowana.

– W jakim sensie? – zapytał Bogart. Ponieważ Marshall milczał, agent dodał:

– Nie chciałbym grać nie fair, ale w ciągu godziny mogę dostarczyć wezwanie do sądu. A w tym czasie może dojść do kolejnego mordu.

Marshall obejrzał się na Deckera.

– Naprawdę sądzisz, że może istnieć jakiś związek z tymi zabójstwami?

– W i e m, że tak jest.

Doktor zdjął okulary i odsunął teczkę.

– Belinda Wyatt jako nastolatka mieszkała w małym miasteczku w stanie Utah. Gdy miała szesnaście lat, padła ofiarą, mówiąc bez ogródek, gwałtu zbiorowego, także analnego. Została brutalnie pobita i pozostawiona na pewną śmierć.

Bogart rzucił Deckerowi wnikliwe spojrzenie, lecz ten nie spuszczał wzroku z Marshalla.

– Wskutek obrażeń doznała urazu mózgu, który doprowadził do hipermnzji – domyślił się Decker.

– Tak. Jak można sobie wyobrazić, przeżyła także silną traumę emocjonalną – dodał Marshall. – Na tyle poważną, że, w zasadzie, całkowite wyzdrowienie stało się niemożliwe. Krzywda była nieodwracalna, zarówno emocjonalna, jak i fizyczna. Wskutek fizycznych uszkodzeń ciała stała się na przykład niezdolna do poczęcia dziecka.

– Mój Boże – westchnęła Jamison.

– Ale, Decker, trochę nie nadążam – odezwał się Bogart. – Wyatt jest kobietą. Nie może być naszym zabójcą. Szukamy mężczyzny.

– M o ż e być naszym zabójcą. J e s t naszym zabójcą.

Bogart przeszył Deckera wzrokiem.

– A jak doszedłeś do tego wniosku?

– Belinda miała też problemy innej natury, prawda? Nie tylko związane z pobiciem i gwałtem. Może na przykład z orientacją seksualną?

– Doprawdy nie mam pojęcia, skąd mógłbyś to wiedzieć – rzekł zdumiony Marshall. – O ile mi wiadomo, nigdy nie napomknęto o tym podczas żadnej sesji.

– Nie potrafię tego wyjaśnić inaczej poza tym, że pewne rzeczy połączyły mi się w całość. Linia zuchwy, kształt uda, dłonie. Do tego gesty i sposób poruszania się. Jak pomieszane elementy układanki złożone w jeden obraz.

– Masz naprawdę nieprzeciętny umysł, Amosie.

– Dlatego ją zgwałcono i pobito? Przypuszczam, że dwadzieścia lat temu w niemal wiejskiej społeczności Utah tego rodzaju osoba nie cieszyła się szczególną sympatią.

– Nie byłem wtajemniczony we wszystkie szczegóły tego przestępstwa, ale mogło tak być, owszem. Prawdę mówiąc, nie wiem, czy jako społeczeństwo zrobiliśmy jakiś postęp. Podejrzewam, że takie uwarunkowania nadal wzbudzałyby ekstremalne, jeśli nie całkowicie nieprzemyślane, reakcje.

– Jak dokładnie była klasyfikowana z medycznego punktu widzenia? – zapytał Decker.

Wydawało się, że Marshall zaprotestuje, lecz po chwili na jego twarzy pojawił się wyraz rezygnacji.

– Dwadzieścia lat temu uznano by, że Belinda Wyatt cierpi na prawdziwy hermafrodytyzm.

– Czyli jest obojnakiem?

– Tak – potwierdził doktor. – To nieco tajemniczy termin, który wyszedł z użycia, ponieważ jest dość niestosowny. Obecnie określamy taki stan mianem interseksualności lub zaburzeń rozwoju płciowego. Mówimy o nim wtedy, gdy występuje niezgodność między zewnętrznymi a wewnętrznymi narządami płciowymi oraz kiedy ktoś ma żeńskie chromosomy, ale męskie genitalia i na odwrót. Istnieją cztery znane kategorie. Belinda formalnie należała do podkategorii zwanej obojnactwem prawdziwym.

– Co to dokładnie oznacza? – spytał Decker.

– Że osoba ma zarówno tkankę jajnikową, jak i jądrową. Belinda miała też chromosomy XX oraz XY. Jeden jajnik i jedno jądro. Jak można sobie wyobrazić, to trudne położenie dla każdego. Świat lekarski przebył długą drogę pod względem pomagania takim osobom w radzeniu sobie z problemem, dokonywaniu wyborów natury chirurgicznej i nie tylko. Dwadzieścia lat temu często podejmowano decyzję o natychmiastowej interwencji chirurgicznej – przekształceniu pacjenta w kobietę zamiast mężczyzny, ponieważ takie zabiegi wydawały się łatwiejsze. Obecnie wiemy, że należy wziąć pod uwagę wiele innych czynników. Często lepiej poczekać i zrozumieć wyjątkową sytuację każdego z pacjentów oraz pozwolić im na znaczący udział w ostatecznej decyzji. Przecież to, bądź co bądź, ich ciało, ich życie.

– A dwadzieścia lat temu? – dociekał Decker.

– Było zupełnie inaczej – przyznał Marshall. – Ludzie bywali niedouczeni i nieświadomi. I potrafili być wyjątkowo okrutni. Wyatt miała szesnaście lat, była

w liceum. Ten okres w życiu jest wystarczająco niebezpieczny dla młodych ludzi, którzy nie muszą radzić sobie z... odmiennością biologiczną, odstawaniem od reszty rówieśników.

– Więc ci, którzy ją zgwałcili i pobili, prawdopodobnie wiedzieli o jej stanie – stwierdziła ponuro Jamison. – Należeli do grupy tych niedouczonech i postanowili dać dziewczynie nauczkę.

– Tak, prawdopodobnie.

– A rodzice? – drażył Decker.

– Ponieważ nie była wtedy pełnoletnia, musieli wyrazić zgodę na jej pobyt w instytucie.

– Odwiedzali ją?

– Nie.

– Dlaczego?

– Aby ująć to delikatnie, zaliczyłbym ich do grupy niedouczonech.

– Boże... być tak kompletnie porzuconym przez rodziców, kiedy się ich najbardziej potrzebuje – powiedziała ze współczuciem Jamison.

– Uważali, że ich córka jest... kim? Jakimś wybrykiem natury? – zapytał Decker.

– Rozmawiałem z nimi kilka razy przez telefon. Nie sędzę, by obchodził ich jej los. Wyjątkowo nieprzyjemni ludzie.

– Dlaczego wtajemniczano pana w dokumentację medyczną pacjentów instytutu? – zainteresował się Bogart. – Sądziłem, że prowadził pan badania nad zagadnieniami poznawczymi.

– Podchodzimy do sprawy z szerszej perspektywy. Owszem, przede wszystkim skupiamy się na badaniu umysłów, które są niezwykle albo nabrały zdumiewających cech za sprawą rozmaitych czynników. Ale jesteśmy zarazem lekarzami. Pacjenci, którymi się zajmowaliśmy – tacy jak Belinda, a także Amos – przeżyli silną traumę, która spowodowała ogromne zmiany w ich mózgach. Musieliśmy znać ich medyczną przeszłość, aby lepiej zrozumieć, co wywołało te zmiany. Mieliśmy też nadzieję, że pomożemy im odnaleźć się w praktycznie nowym życiu. – Popatrzył na Deckera. – Wiem, że nigdy nie skontrolowaliśmy, co się dzieje u ciebie, Amosie. To luka w naszych procedurach, którą skorygowaliśmy od tamtego czasu. Sam fakt, że pacjent opuszcza nas fizycznie, nie oznacza, że nie możemy nadal go wspierać.

– Bardzo doceniam waszą pomoc – odparł Decker. – Dzięki niej dałem sobie radę.

– Miło mi to słyszeć. Powracając do Belindy, było dla nas absolutnie jasne, że jej przypadek jest szczególny – nawet gdyby nie zaznała okrucieństwa we wczesnej młodości. Odbyłem szczerą rozmowę z lekarzem z Utah, który ją badał i postawił wstępną diagnozę. Zajmując się umysłem, musieliśmy mieć pełny

obraz, ponieważ głowa i ciało to jakby jeden pakiet. A jej rodzice nie zgłaszali żadnego sprzeciwu. Myślę, że chcieli umyć od tego ręce – dodał z niechęcią.

– Czy Belinda przeszła operację zmiany płci, stając się mężczyzną? – zapytał Decker.

– Nie wiem. Na pewno nie miała takiej operacji, zanim do nas trafiła ani w trakcie pobytu w instytucie.

– Mielście od niej jakieś wieści po jej odejściu?

– Żadnych.

– Znacie adres Belindy?

– Nie.

– A jej rodziców?

– Jest w kartotece, ale to adres sprzed piętnastu lat.

– Weźmiemy go.

52

Decker wyglądał przez okno. Jamison siedziała naprzeciwko, obserwując go nerwowo.

Próbując rozluźnić atmosferę, powiedziała:

– No dobra, muszę przyznać, że to bije na łeb moje suzuki.

– Masz na myśli swoje komiczne autko? – zakpił Decker, nie przestając patrzeć przez szybę.

Podróżowali wymuskany trzysilnikowym falconem należącym do FBI, lecąc z prędkością ponad pięciuset mil na godzinę na wysokości czterdziestu jeden tysięcy stóp.

Decker podniósł wzrok, gdy Bogart postawił na stoliku przed nimi kubki kawy i zajął miejsce naprzeciwko. Agent rozpiął marynarkę i wypił łyk.

Jamison rozejrzała się po komfortowej kabinie.

– Fajna przejażdżka.

Bogart skinął głową.

– W tego rodzaju sprawach FBI idzie na całość. – Przyglądał się Deckerowi, który nie odrywał wzroku od szyby. – Więc oberwałeś na boisku futbolowym i to zdarzenie na zawsze odmieniło twoje życie?

– Odmieniło mój umysł, a co za tym idzie – życie.

– Nadal nie chcesz o tym rozmawiać?

Decker milczał.

– Jak myślicie, na co się natkniemy w domu Wyattów w Kolorado? – zapytała Jamison, z niepokojem przenosząc wzrok z jednego mężczyzny na drugiego.

– Cokolwiek to będzie, dowiemy się czegoś, czego dotychczas nie wiedzieliśmy. A to przybliży nas o krok do Belindy Wyatt – odparł Decker.

Bogart wypił kolejny łyk kawy.

– Co cię skłoniło do zwrócenia uwagi na Wyatt? Szukamy mężczyzny, a to jest kobieta. Przynajmniej była nią, kiedy ją poznałeś.

W odpowiedzi Decker otworzył laptopa i błyskawicznie go przekreślił, żeby Bogart widział ekran. Następnie odtworzył nagranie.

Bogart oglądał klatka po klatce, po czym odwrócił się do Deckera.

– Okej, kobieta wysiada z samochodu. To kelnerka z baru. Wspólniczka Leopolda. Może to ta cała Belinda Wyatt. Zdecydowanie wygląda mi na kobietę.

– Zauważyłeś, w jaki sposób wysiada z auta?

Bogart zerknął na ekran.

– Powiedziałeś, że to mężczyzna udający kobietę. Teraz, gdy mamy informację, że Wyatt jest osobą interseksualną, tak naprawdę nie wiemy, kim jest: kobietą czy mężczyzną. Można uznać ją za kobietę, ponieważ j e s t kobietą. Niewykluczone, że nigdy nie przeszła operacji.

– Otóż to. To ta sama osoba co dwadzieścia lat temu. Wiemy, że Leopold nie mógł popełnić tych zbrodni. Jeżeli Wyatt jest z nim w zмовie, pozostaje nam tylko ona. To ona jest zabójczynią.

– No dobrze, ale nie rozumiem, do czego zmierzasz z tym wysiadaniem z samochodu. Przerzuciła nogi przez próg wozu i wstała. Jak kobieta albo facet.

– Nie, nie jak facet. Mężczyzna by tak nie zrobił.

– Nie nadążam.

– Przekreć się w bok i wstań, tak jakbyś wysiadał z samochodu.

– Jak to, teraz?

– Teraz.

– Decker!

– Zrób to.

Bogart sprawiał wrażenie dotkniętego, ale wykonał polecenie i przesunął nogi w stronę przejścia między fotelami. Miał już wstać, gdy Decker go powstrzymał.

– Spójrz na swoje nogi.

Bogart popatrzył na szeroko rozstawione uda.

– No i co? Przełożyłem nogi na bok, co jest niezbędne, żeby wstać z fotela. Osoba na nagraniu zrobiła dokładnie to samo.

– Zwróć uwagę na odległość pomiędzy udami.

Bogart przyglądał się szerokiemu odstępowi między jedną a drugą nogą.

– No i?

– A teraz spójrz na ekran.

Spojrzał. Uda osoby na nagraniu niemal się ze sobą stykały.

– Patrz na rękę – dodał Decker.

Bogart posłuchał. Dłoń wciśnięta w wąską szczelinę między udami obciągała spódnice.

– Ty masz szeroko rozstawione nogi i nie trzymasz dłoni przy udach.

– Ona ma na sobie sukienkę, a ja nie.

– To bez znaczenia. Jesteś mężczyzną i nie postąpiłbyś w ten sposób, w sukience czy nie. Rozchyliłbyś nogi i wstał. Ta osoba zaparkowała w wąskiej uliczce. Nie było tam nikogo, kto mógłby widzieć, jak sukienka podjeżdża jej w górę. Więc dlaczego ma złączone nogi? Dlaczego wsuwa dla pewności dłoń między kolana, by zapobiec wścibskim spojrzeniom?

– Poddaję się. Dlaczego?

– Na tym polega różnica w wychowywaniu dziewcząt i chłopców. Kobiety wykonują ten gest automatycznie. Wpaja się im go od najmłodszych lat, gdy tylko zaczynają nosić fartuszki i rajtuzy, a później sukienki lub spódnice. Moja żona nauczyła tego naszą córeczkę, kiedy Molly była jeszcze małą dziewczynką. Robią tak wszystkie mamy. Mężczyźni nigdy nie przyszłoby to do głowy. Nigdy. Bez względu na to, czy paradowałby w sukience, czy w spodniach. Mężczyźni nie przejmują się, czy ktoś podgląda, bo zawsze to oni podglądają.

Bogart patrzył na swoje nogi, potem na rękę, a w końcu na ekran, gdzie na stopklatce wyraźnie było widać wszystko to, co Decker przed chwilą objaśniał. Spojrzał na Jamison, która uważnie przysłuchiwała się rozmowie. Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, młoda kobieta przerzuciła nogi w stronę przejścia w samolocie. Miała na sobie spódnice. Złączyła kolana, rękę ułożyła w tej samej pozycji co osoba na nagraniu.

– To zostało nam wbite do głów, agencie Bogart – zauważyła. – Tak jak powiedział Decker. Działa automatycznie, szczególnie kiedy jest się w spódnicy.

– Żeby dobrze zrozumiał, Decker: chcesz powiedzieć, że nasz zabójca jest kobietą?

– Chcę powiedzieć, że jeśli nasz zabójca jest Belindą Wyatt, a tak mi się wydaje, zachował pamięć ruchową z czasów, kiedy wychowywano go jak dziewczynkę. Czy obecnie jest mężczyzną po przebytej operacji, tego nie wiem. Jak na ironię, możliwe, że taki stan całkiem jej się podoba, skoro została już uznana za odmieńca lawirującego między płciami, ponieważ teraz może go w pełni wykorzystać. Pod względem płci jest kameleonem. Może odgrywać obie role. Trudno o bardziej skuteczny kamuflaż.

Bogart przełożył nogi na poprzednie miejsce i oparł łokcie o stół. Jamison zrobiła to samo.

– Jak sądzisz, dlaczego zabiła Sizemore’a? – zapytał Bogart.

– To jeszcze jeden powód, dla którego zacząłem skupiać się na Wyatt. Była jego ulubienicą. Dał mi to jasno do zrozumienia. Nigdy nie opowiadał o jej przeszłości, ale spędzał z nią mnóstwo czasu.

– No dobrze, ale w takim razie dlaczego miałyby go zabijać?

Decker spojrzał na Bogarta z wyrazem rozczarowania na twarzy.

– To chyba dość oczywiste? Uwiódł ją i uprawiał z nią w instytucie seks. Jamison i Bogart wybałuszili oczy.

– A niech to – odezwała się Jamison. – To się trzyma kupy. Sizemore był śliską mendą. Wyleciał z instytutu za ten sam numer z inną pacjentką.

– A więc uwiódł tę zmalretowaną fizycznie i emocjonalnie nastolatkę w momencie, kiedy była najbardziej bezbronna, tylko po to, żeby ją przelecieć? Ładna mi ulubienica.

Decker nie skomentował. Znów wyglądał przez okno.

– Niewiele uchodzi twojej uwadze, co? – zauważył Bogart.

– Jeśli coś widzę lub słyszę, pozostaje to ze mną na zawsze.

– A kiedy ktoś cię okłamie? – zapytała Jamison. – Wtedy pamiętasz, co ta osoba powiedziała, ale nie wiesz, że to kłamstwo, tak?

– Chyba że usłyszę coś innego, co nie zgadza się z wcześniejszą wersją. Wówczas zaczynam dedukować, co jest prawdą, a co nie. Z drobnych rzeczy często wiele wynika. Ludzie nie gubią się w istotnych szczegółach. Potykają się na błahostkach.

– A co z Leopoldem? Jak się spiknęli ci dwoje?

Decker obserwował przesuwające się za oknem chmury.

Na to pytanie nie znał odpowiedzi.

I może nigdy jej nie odkryje.

Belinda Wyatt i Sebastian Leopold. Dwoje najbardziej nieprawdopodobnych współników zbrodni. Ale tak jak dwaj mordercy z powieści Trumana Capote'a *Z zimną krwią*, tak i inni, którzy łączą siły, są w stanie dokonać rzeczy, na które żadne z nich nie poważyłoby się, działając w pojedynkę.

Zastanawiał się, co knują w tej chwili.

53

Pod adres u podnóża Gór Skalistych w Kolorado prowadziła długa utwardzona droga, na jej końcu stał samotny dom z automatycznie otwieraną bramą. Okazała budowlę właściwie można było nazwać nie tyle domem, ile rezydencją.

Ich SUV powoli piał się w górę. Ekipa FBI z Denver przywitała ich na prywatnym lotnisku, na którym wylądował ich odrzutowiec. Agentów było ośmiu, plus Bogart, Jamison i Decker. Lokalne organy ścigania strzegły drogi u stóp wzniesienia.

– Leży na uboczu – zauważył Bogart, gdy ich oczom ukazała się duża piętrowa willa.

– Spodziewałeś się, że będzie inaczej? – zapytał Decker.

Kiedy samochód stanął, Bogart spojrział na Jamison.

– Pani się stąd nie rusza.

– Dajcie spokój. Decker też nie pozwolił mi wejść do domu Sizemore'a.

– Cóż, miło mi, że jestem zaliczany do tej samej ligi co pan Decker – odparował Bogart. – Póki nie dadzą nam zielonego światła, zostaje pani w wozie.

Wysiedli, ekipa szybko otoczyła dom. Z boku zwracał uwagę osobny okazały budynek, który wyglądał jak garaż na cztery samochody. Za domem przykryty na zimę basen. Żadnych innych zabudowań. I żadnych samochodów w zasięgu wzroku.

– Miejsce wygląda na opuszczone – rzucił Bogart. – Jak na tak ładną rezydencję, teren jest dość mocno zaniedbany.

– Przekonamy się – odparł Decker.

Było zimno, z ich ust unosiła się para.

Dwaj agenci ruszyli w kierunku garażu, pozostali zmierzali w stronę domu. Trzech udało się na tyły budynku, reszta obstawiała front. Bogart z Deckerem u boku zapukał do drzwi wejściowych, przedstawił się, poinformował, że ma nakaz rewizji, i poprosił o wpuszczenie do środka. Jedyną odpowiedzią była głucha cisza.

Bogart skontaktował się przez telefon z ekipą na tyłach i rozpoczął odliczanie. Oboje drzwi wyważono jednocześnie przy użyciu hydraulicznych taranów.

Wnętrze zaroilo się od agentów, którzy sprawdzali pomieszczenie po pomieszczeniu, aż wreszcie dotarli do schodów. Wbiegli na górę, przeszukali sześć sypialni, a w ostatniej stanęli jak wryci.

– Jasna cholera – rzucił jeden z federalnych, opuszczając broń.

Bogart i Decker weszli do pokoju i ujrzeni dwa krzesła ustawione w saloniku przy głównej sypialni.

Na każdym z krzeseł spoczywało ciało całkowicie owinięte mocno naciągniętą folią. Widoczne przez plastik twarze należały do kobiety i mężczyzny.

– Państwo Wyatt? Jak sądzisz? – zapytał Bogart.

– Wszystko możliwe – odparł Decker.

Osiem godzin później lekarz sądowy i technicy kryminalistyczni zakończyli pracę. Ciała zidentyfikowano, rozpoznając Lane'a Wyatta oraz jego żonę Ashby. Trudno było określić czas zgonu, ponieważ zwłoki zostały zabalsamowane.

– Absolutnie niebywała rzecz – podsumował lekarz sądowy. – Ale dobrze zrobiona. Ktokolwiek tego dokonał, miał pewne doświadczenie.

– A więc spuszczone całą krew i na jej miejsce wpompowano płyn? – upewnił się Bogart.

Lekarz skinął głową.

– Następnie zwłoki owinięto folią. Wszystko wskazuje na to, że użyto jakiegoś źródła ciepła, aby sprasować i uszczelnić plastik – prawdopodobnie suszarki do włosów. Balsamowanie oraz szczelne zamknięcie zakonserwowało ciała. Powietrze nie miało do nich dostępu. Są w doskonałym stanie.

– Równie dobrze mogą tkwić tu od dłuższego czasu, jak i od niedawna?

– Postaram się przygotować rozszerzoną analizę, ale nie będzie łatwo.

– Samochody w garażu mają od dwóch do czterech lat i wciąż aktualne dowody rejestracyjne. Jedzenie w lodówce, choć przeterminowane, nie znajduje się tam od bardzo dawna. Sam dom jest w stosunkowo dobrym stanie. Nie sądzę, by nie żyli od kilku lat, chyba że ktoś tu mieszkał, podczas gdy oni siedzieli w swoich „opakowaniach” – rozważał Bogart.

Spojrzał na lekarza.

– Przyczyna śmierci?

– Nieoczywista. Na ciałach nie widać żadnych ran. Mogła ich zabić trucizna, ale ewidentne oznaki dawno by się zatarły. Być może pozostała śladowa jej ilość w tkankach. Niewykluczone, że uda mi się znaleźć odrobinę krwi. Zwykle zostaje nieco nawet po zabalsamowaniu.

– Proszę o jak najwięcej informacji – powiedział z naciskiem Bogart.

Lekarz skinął głową i odszedł.

Bogart spojrzał na Deckera i Jamison, którzy siedzieli przy kuchennym stole, przeglądając papiery wyjęte z pudełka po butach. Usiadł naprzeciwko Deckera.

– Przynajmniej nie ma na ścianach żadnych enigmatycznych tekstów skierowanych do ciebie.

Decker w roztargnieniu kiwnął głową i rzucił:

– Wątpię, by się nas tutaj spodziewali. Co jest w sumie dobrą wiadomością.

– Dlaczego?

– Bo to znaczy, że nie są nieomylni. Co z kolei oznacza, że zaczynamy deptać im po piętach. Żółw i zając. Pamiętasz?

– Ale po co zostawili ciała? Musieli zakładać, że ktoś je znajdzie.

– Z informacji wygrzebanych przez twoich ludzi wynika, że Wyattowie byli na emeryturze. Oprócz córki nie mieli żadnej rodziny ani przyjaciół. Stronili od wszystkich.

– No to pewnie nikt za nimi nie tęsknił – stwierdził Bogart. – Przynajmniej do tej pory.

– Powinniśmy sprawdzić, czy korzystali z usług firmy czyszczącej baseny. Zbiornik zabezpieczono przed mrozem pewnie parę miesięcy temu. Jeśli wezwali do tego firmę, jej pracownicy mogli się widzieć z Wyattami – zasugerował Decker.

– Dobry pomysł.

– Wyattowie byli majętni. Posiadłość liczy ponad dziesięć tysięcy stóp kwadratowych. W garażu stoją range rover, audi A8 i mercedes S500.

– Pieniądze szczęścia nie dają – mruknęła Jamison.

Bogart rzucił okiem na papiery.

– Co tam macie?

– Listy od Belindy do rodziców pisane z instytutu – wyjaśniła Jamison. – Pańska ekipa znalazła je w pudełku po butach, wciśniętym pod jakieś rupiecie

w szafie na górze.

– Co zawierają?

– Mówiąc w skrócie, są to listy od przestraszonej młodej kobiety błagającej rodziców, by ją odwiedzili. Aby po nią przyjechali i zabrali ją do domu – powiedział Decker.

– Marshall mówił, że nigdy nie złożyli jej wizyty.

– Więc listy pozostawały bez odpowiedzi.

– Marshall wyraził się, że należeli do grona dyletantów i wcale nie troszczyli się o córkę. Zastanawiam się, dlaczego przechowywali listy?

– Dlatego – rzekł Decker.

Decker i Jamison ułożyli na stole wszystkie listy odwrotną stroną do góry. Na każdej kartce była wypisana pojedyncza wielka litera. Przeczytane razem i podzielone na słowa tworzyły napis.

– „ZABIJĘ ICH WSZYSTKICH” – odczytał Bogart. – Zabije ich wszystkich. W domyśle: napastników?

– Albo ludzi, którzy ją poniżyli – podsunął Decker, spoglądając na Jamison.

– Bądź też mających jakiś związek z tymi, którzy ją poniżyli.

– Nadal nie domyślasz się, dlaczego Wyatt uważała cię za winowajcę?

– Nie. Ale zbezczeszczono ciała mojej żony oraz agentki specjalnej Lafferty.

Obie nie zostały zgwałcone, tylko okaleczono ich miejsca intymne.

– Belinę zgwałcono. Tymczasem pani Wyatt uniknęła okaleczeń.

– Nic dziwnego. To nie zaczęło się od niej. Nic jej ze mną nie łączy.

– I znów wszystko powraca do ciebie. Zawsze ty.

Jamison popatrzyła na Bogarta.

– Decker wspominał, że był pan analitykiem w Quantico.

– To prawda.

– Mam znajomego w ViCAP-ie^[8].

– Ona ma mnóstwo znajomych – zadrwił Decker.

– Program ścigania brutalnych przestępców. Byłem do niego przydzielony przez dwa lata – powiedział Bogart.

– Wobec tego takie widoki nie są panu obce – zauważyła Jamison.

– Owszem, widziałem chyba już wszystko – potwierdził agent FBI.

– No to proszę nas oświecić. Co może symbolizować okaleczenie?

Bogart splótł przed sobą dłonie.

– Prawdę mówiąc, za okaleczeniem kobiecych narządów płciowych może kryć się wiele powodów. To jak róg obfitości, z którego wysypują się rozmaite psychozy. Freud miałby używanie. Miałem do czynienia z wieloma zbrodniami, w których posłużono się okaleczeniem. Wszystkie popełnione przez seryjnych zabójców.

– W takim razie podaj nam kilka przykładów – poprosił Decker.

Bogart pochylił się do przodu i choć zniżył głos, mówił bardziej stanowczo:

– Okaleczenie może symbolizować nienawiść do kobiet oraz tego, co reprezentują – macierzyństwa, wydawania na świat potomstwa. Kobięce narządy płciowe są wrotami do kanału rodnego, że tak się wyrażę. Widywałem morderców, którzy robili to kobietom, ponieważ porzuciły ich matki. Albo pozwalały innym na znęcanie się nad nimi. Od matek oczekuje się ochrony własnych dzieci, towarzyszenia im w każdej potrzebie. Gdy matka nie spełnia tej roli, może to prowadzić do poważnych zaburzeń u dzieci. Okaleczenie jest sposobem na zatrzaśnięcie tych wrót, zamknięcie kanału rodnego na stałe – choć dokonuje się to przecież już przez sam akt morderstwa. Jednak zabójcy w swoim pokrętnym rozumowaniu uważają, że robią coś dobrego.

– Bo kobieta nie urodzi kolejnego dziecka? I nikt tego dziecka nie porzuci ani nie będzie go wykorzystywać bądź maltretować? – upewnił się Decker.

– Właśnie tak.

– Cóż, rodzice porzucili Belindę, zostawiając ją w instytucie na pastwę losu – wtrąciła Jamison. – Nigdy jej tam nie odwiedzili. Ignorowali błagania, żeby ją stamtąd zabrać. Czy mogła postrzegać gwałt oraz ciężkie pobicie jako brak ochrony ze strony własnej matki?

– Możliwe – odparł Bogart. – A wręcz bardzo prawdopodobne. Zwłaszcza jeśli później matka nie okazywała jej serca ani wsparcia.

– Ale dlaczego wiadomości kierowała do mnie? – westchnął Decker. – Dlaczego obrała sobie za cel moją rodzinę, osoby, które znam? Gdzie w tym moje miejsce? Nie przypominam sobie, żebym w ogóle z nią rozmawiał.

– Mamy do czynienia z chorym umysłem, Decker. Nie jesteśmy w stanie pojąć procesów zachodzących w jej głowie ani dostrzec w nich logiki. Nie ty to wszystko zapoczątkowałeś. Zaczęło się od gwałtu i niemal śmiertelnego pobicia, a później doszło jeszcze opuszczenie przez rodziców. A właściwie zapoczątkowały to jej specyficzne uwarunkowania fizyczne oraz ludzka reakcja na tę anomalię. Życie Wyatt nie mogło przebiegać normalnie.

– Jest jeszcze Leopold – przypomniała Jamison. – Pamiętajmy o nim!

– Jest jeszcze Leopold – zgodził się Bogart. – Decker, nadal jesteś przekonany, że to on jest współnikiem Belindy? Nie widziałeś go od czasu jego wyjścia z baru. Pamiętam, że mówiłeś mi o kelnerce, przypuszczalnie Belindzie, i pożyczeniu przez nią samochodu barmana, ale nie masz żadnych twardych dowodów na to, że odwiozła tym autem Leopolda. Może po prostu wybrała się, żeby załatwić jakąś sprawę.

Decker pokręcił głową.

– Po odstawieniu samochodu zniknęła z baru na dobre. Nie przysłała jej agencja pracy tymczasowej. Znalazła się tam po to, żeby wywieźć stamtąd Leopolda. To on wybrał tę spelunkę. Nie mam wątpliwości, że jest w to

zamieszany. Przyznał się do zbrodni, której nie mógł popełnić, i miał tego pełną świadomość. Dobrze odgrywał rolę człowieka psychicznie nie zrównoważonego, ale siedząc w barze, miewał przebłyski przytomności umysłu, wcale nie przypadkiem, tylko celowo. Przecenił swoje siły. Doskonale wiedział, co robi.

– Ale po co w ogóle się przyznawał?

– To była ich inauguracyjna salwa. Po zamordowaniu mojej rodziny. Przyznanie się do winy przyciągnęło moją uwagę. Wiedzieli, że ta informacja dotrze do mnie, że zaczną dociekać. Zwabili mnie. Chcieli, żebym uczestniczył w ich grze.

– Ładna mi gra – rzekł z odrazą Bogart. – Długo jednak zwlekali między zamordowaniem twojej rodziny a atakiem w szkole.

– Zaplanowanie całej operacji wymagało czasu. Musieli na przykład zdobyć szczegółową wiedzę o podziemnym korytarzu.

– Kto jest mózgiem? Wyatt czy Leopold? – zastanawiała się Jamison. – A poza tym jak się poznali? Skąd on się wziął? Jak uknuli cały ten plan?

– Same trafne pytania – zauważył Decker. – Niestety, nie znamy na nie odpowiedzi.

– Nie natknęliśmy się na nic w kryminalnych bazach danych – rzekł Bogart. – Facet nie ma kartoteki.

– W k r y m i n a l n y c h bazach danych? – Decker gwałtownie poderwał głowę.

– Tak, zazwyczaj tam szukamy przestępców. Wprowadziliśmy jego odciski palców do systemu IAFIS, największej kryminalnej bazy danych na świecie. Jest prowadzona przez FBI.

– Belinda Wyatt nie była przestępczynią, tylko o f i a r ą. Może Sebastian Leopold także. I może w ten sposób się poznali.

Jamison popatrzyła na Bogarta.

– Niewykluczone, że szukaliście w niewłaściwych bazach danych.

54

Polecili z powrotem do Burlington i odwieźli Deckera do Residence Inn. Decker zerknął na Bogarta, a potem szybko wskazał wzrokiem Jamison.

Agent FBI zrozumiał.

– Pani Jamison, prosimy, by dotrzymała nam pani towarzystwa w naszym bezpiecznym domu.

– Co? – warknęła. – Nie, ja...

– ...z przyjemnością przyjmę zaproszenie. W przeciwnym razie umieszczę panią w więziennej celi, jeśli będę do tego zmuszony – przerwał jej w pół słowa Bogart.

– Pod jakim zarzutem? – oburzyła się.

– Opublikowania w prasie fałszywych informacji oraz podżegania przeciwko

niejakiemu Amosowi Deckerowi.

Jamison otworzyła usta, lecz zamiast coś odpowiedzieć, opadła tylko na fotel i burknęła z nabzdyczoną miną:

– No dobrze, niech wam będzie.

Gdy Decker wysiadał z SUV-a, Bogart złapał go za ramię.

– Jak tylko trafimy na odciski palców oraz DNA Leopolda w niekryminalnych bazach danych, natychmiast do ciebie zadzwonię.

– Chciałbym także, żebyś przesłał mi wszelkie możliwe informacje na temat przeszłości Belindy Wyatt.

Agent skinął głową i odjechał.

Decker udał się prosto do swojego pokoju i usiadł na łóżku. Spojrzał na wetknięty za pas pistolet i powrócił myślami do momentu, kiedy Miller zapukał do jego drzwi. Czy gdyby kapitan się wtedy nie zjawił, Decker strzeliłby sobie w łeb?

Odzyskawszy jasność myślenia, gdy stres już minął, Decker zrozumiał, że Miller miał rację. Gdyby Decker sam się usunął, ta para zabijałaby dalej. Skoro ponoć obraził w jakiś sposób Belinę Wyatt, mogli istnieć także inni rzekomi winowajcy. Bądź tamci przerzuciliby się na listę „wrogów” Leopolda.

Zamknął oczy i powrócił pamięcią do dwóch okresów, niedawnego i zdecydowanie bardziej odległego w czasie. Skupił się najpierw na tym drugim, zatrzymując przed oczami poszczególne kadry.

Belinda Wyatt. Wysoka, szczupła blondynka o androgynicznym wyglądem, nieustannie wystraszona. Osobowość tak mało wyrazista, jakby w ogóle nie istniała. Choć po dramatycznych przeżyciach Belindy jej mózg był zdolny do nieprawdopodobnych rzeczy, Decker zapamiętał ją jako pozbawioną wiary w siebie i bez krzty poczucia własnej wartości. Podczas sesji grupowych prawie wcale się nie odzywała. Decker jej współczuł, na tyle, na ile pozwalał mu jego nowy, inaczej funkcjonujący umysł.

To, co mu się przydarzyło, było brutalne. Ale wyszedł przecież na boisko z własnej i nieprzymuszonej woli, wyposażony w wiedzę, że zawodowy futbol jest sportem szalenie agresywnym, znacznie bardziej bezwzględny i krwawy, niż mógłby sobie wyobrazić nawet najbardziej zagorzały kibic.

Na Belindzie Wyatt dokonano zbiorowego gwałtu, także analnego, pobito ją i zostawiono na niemal pewną śmierć. Została okrutnie skrzywdzona. Nie było w tym akcie nic dobrowolnego. Nie miała nic do powiedzenia. A i tak musiała sobie radzić z wystarczająco trudną sytuacją życiową. Wraz z odkryciem ciał jej rodziców stało się jasne, że to Belinda popełniła wszystkie pozostałe zbrodnie. Nic, co wydarzyło się w jej przeszłości, bez względu na stopień potworności, nie mogło usprawiedliwiać jej czynów. Lecz nie ona jedna zasługiwała na potępienie.

Następnie Decker przeniósł się myślami do niedawnej przeszłości.

Siedział w więziennej celi naprzeciwko Sebastiana Leopolda. Przypominał sobie najdrobniejsze szczegóły jego wyglądu i sposobu bycia. Pusty wzrok, całkowity spokój, niezważanie na osobiste bezpieczeństwo – przyznał się wszak do potrójnego morderstwa. Teraz Decker oczywiście wiedział: Leopold był świadom, że nie zostanie skazany za te zbrodnie, ponieważ miał twarde jak skała alibi, w dodatku zapewnione mu przez policję.

To zaś musiało oznaczać, że Belinda Wyatt wymordowała Deckerowi rodzinę. I to ona musiała być napastnikiem z Mansfield. Leopold także i wtedy miał alibi. Również w tym wypadku dostarczone przez policję.

W tym punkcie bieg myśli wyhamował. *Policja?* Czy było to istotne? Znaczące? Niezbędne do zrozumienia? Tego nie wiedział, ponieważ nie miał wystarczająco dużo informacji.

Klatki filmu mknęły z furkotem to w przód, to w tył, odtwarzając każde słowo rozmowy z Leopoldem. W pewnym momencie stanęły w miejscu i Decker otworzył oczy.

Jest dobre.

Mimo że miał absolutną pamięć, czasem jego umysł przekreślał słowa, zamieniając prawdziwe na takie, które wydawały mu się właściwe.

Tak właśnie stało się w tym wypadku. Poprawił w myślach Leopolda, choć żadna korekta nie była potrzebna. Decker po prostu uznał, że to forma skrócona. *Jest dobre* zamiast *To jest dobre*. Zmodyfikował słowa, ponieważ sądził, że się przesłyszał. Ale nie. Nie mógł źle usłyszeć. Siedział tuż obok.

Złapał za telefon i zadzwonił do Bogarta.

– Trzeba rozszerzyć poszukiwania o międzynarodowe bazy danych ze szczególnym uwzględnieniem Europy. Interpol mógłby pomóc. Niemcy powinny znaleźć się na pierwszym miejscu listy. Od tego kraju należy zacząć.

– Dlaczego? – zainteresował się Bogart. – Skąd ta międzynarodowa perspektywa?

– Ponieważ błędnie zapamiętałem jedną rzecz. A teraz przypomniałem ją sobie prawidłowo.

Decker odłożył telefon. *„Właściwie nie piję. Ale to jest dobre”*. Tak powiedziałby Amerykanin. Tymczasem Leopold powiedział: *„Właściwie nie piję. Ale jest dobre”*. W istocie mogło to brzmieć odrobinę inaczej: *„Jist dobre”*.

Lekko gardłowa wymowa w połączeniu z ostrą, kanciastą twarzą Leopolda skłoniły do przypuszczeń, że jest on Europejczykiem, być może Niemcem albo Austriakiem. Tamtejsza ludność była na tyle homogeniczna, że rysy twarzy na przestrzeni pokoleń pozostały dużo bardziej jednorodne niż w takim tyglu ras i kultur, jak Stany Zjednoczone.

Możliwe zatem, że Belinda Wyatt, bez wątpienia amerykańska dziewczyna z krwi i kości, która być może przeobraziła się w chłopaka, połączyła siły

ze starszym mężczyzną z Europy. Jak doszło do spotkania dwojga tak różnych ludzi? W jaki sposób się dogadali, żeby uknuć taki plan? Decker był przeświadczony, że gdyby udało się wysledzić prawdziwą tożsamość Leopolda, wiele pytań doczekałoby się odpowiedzi.

Gdy o tym rozmyślał, przyszła mu do głowy jeszcze jedna możliwość.

Powiedział na głos:

– 7-Eleven.

Niewątpliwie była to wskazówka. W notatkach z przesłuchania Lancaster instynktownie zrozumiała, że chodzi o popularną sieć sklepów spożywczych. Ale czy nie kryło się za tym coś więcej? Leopold nie chciał od razu powiedzieć, że ma na myśli Duckton Avenue 711. Musiał jednak wiedzieć, że Lancaster błędnie zinterpretowała jego zeznania. Zapytała go nawet, o którym 7-Eleven mowa, a ponieważ Leopold unikał odpowiedzi, wyszła z założenia, że mówił o sklepie w pobliżu domu Deckera. Leopold tego nie sprostował. Wiedział, że policja, a co istotniejsze, sam Decker sprawdzi tę informację. Że uda się do sklepu przy DeSalle, by się przekonać. To zaś oznaczało...

Być może się myli. Ale raczej nie. Właściwie to uważał, że ma całkowitą rację.

Wyszedł z pokoju i wkroczył w nocny mrok.

55

Przez dziesięć minut obserwował sklep z przeciwległej strony ulicy. Widział wchodzących i wychodzących klientów. Przejeżdżające samochody. Wytężał wzrok. Patrzył, czy ktoś go nie obserwuje. Kiedy przekonał się, że nie jest śledzony, przebiegł przez ulicę i zbliżył się do drzwi. Zajrzał przez szybę do środka i dostrzegł za kontuarem tę samą kobietę, która znów przeliczała paczki papierosów i odhaczała je na arkuszach. Nie dojrzał w sklepie żadnych klientów.

Otworzył drzwi, uruchamiając dzwoneczek. Kobieta podniosła wzrok. Rozpoznała Deckera, choć nie od razu. Ze względu na rozmiary i fizjonomię trudno było go zapamiętać, a jeszcze trudniej nie zauważyć.

– To znowu pan?

– Znowu ja – odparł Decker, rzucając szybkie spojrzenia na wszystkie strony. Ręka powędrowała do kieszeni, w której spoczywał pistolet.

– Jestem panu winna resztę z poprzednich zakupów. Kawa, ciastko i gazeta nie kosztowały w sumie pięciu dolarów.

– Proszę zatrzymać resztę. Pracuje pani od rana do nocy.

– Pracuję długo, to prawda, ale na różne zmiany. Dzisiaj mam nockę.

– Jak idzie interes?

– O tej porze słabo. Mamy duży utarg rano, kiedy ludzie spieszą się do pracy. Kawa, papierosy, kanapki. I mnóstwo red bulla.

– A ten drugi pracownik, który był tu poprzednim razem? Billy, zgadza się?

Jest obecny?

Pokręciła głową.

– Nie ma go.

– Już tu nie pracuje, prawda?

Wydawała się zaskoczona.

– Skąd pan wie?

– Kiedy pojawił się ostatni raz?

– W dniu, kiedy przyszedł pan tu po raz pierwszy. Wkurzyłam się, bo więcej już się nie zgłosił. Musiałam zająć się także jego działką.

– Ma pani jego dokumenty przyjęcia do pracy?

– Tak, na zapleczu.

– Mogę je zobaczyć?

– Nie. Polityka firmy.

– Może mi pani podać jego nazwisko?

– Po co?

– Niewykluczone, że to właśnie jego szukałem.

– Nie wydaje mi się.

Decker podniósł do ucha telefon.

– Za pięć minut mogę sprowadzić tu FBI. Zarekwirują wszystkie przechowywane w sklepie dokumenty. – Bacznie przyglądał się kobiecie. – Jest pani obywatelką Stanów Zjednoczonych?

Zbladła.

– Nie, ale mam papiery.

– Z pewnością wszystko się w nich zgadza. Przynajmniej taką mam nadzieję. FBI oczywiście to skontroluje. Sprawdzają wszystko. Po dwa razy.

Kobieta powoli wsunęła paczkę papierosów w odpowiednią przegródkę i odhaczyła ją na spisie. Widział, że gra na zwłokę, zastanawiając się, co odpowiedzieć.

– No... moje zezwolenie na pracę może być leciutko przeterminowane.

– Co za pech. Zważywszy na rządowy zastój w sprawie reformy imigracyjnej, to drażliwy temat. Z pewnością zdaje sobie pani z tego sprawę.

– A gdybym pokazała panu papiery Billy’ego?

Decker schował telefon.

– To wszystko zmienia.

Kobieta zniknęła na zapleczu i po chwili wyłoniła się z teczką.

– Może pan je wziąć. Skserowałam.

Decker podszedł do drzwi, zamknął je na zamek i przekręcił tabliczkę z napisem „OTWARTE” na „ZAMKNIĘTE”.

– Co pan robi? – krzyknęła kobieta.

Decker ponownie wyjął komórkę.

– FBI zjawi się tu za kilka minut. Obawiam się, że sklep będzie zamknięty przez pewien czas.

– Przecież dałam panu teczkę.

– I bardzo pani za to dziękuję. Ale jedno nie ma nic wspólnego z drugim.

– Ale co tu będzie robić FBI?

– Szukać wszelkich śladów pozostawionych przez Billy’ego. I proszę się nie martwić. Nie będzie ich obchodził pani status imigracyjny.

– Skąd ten szum wokół Billy’ego? On tylko mył podłogi.

– Zasadniczo stąd, że to nie Billy. Jego prawdziwe imię brzmi Belinda.

Kilka godzin później Bogart wymaszerował z 7-Eleven i podszedł do stojącego na parkingu Deckera, popijającego kawę pośród wirujących wokół płatków śniegu.

– Mamy jeden nadający się do identyfikacji odcisk palca na wiadrze w składziku – poinformował Bogart. – Przesłaliśmy do sprawdzenia, ale jeszcze nie dostaliśmy informacji zwrotnej. Może to być odcisk Wyatt albo innej osoby, która używała wiadra. Możliwe, że nie figuruje w żadnej bazie danych. I, jak się domyślałam, Wyatt jest teraz mężczyzną. Tym całym Billym.

– Wedle słów doktora Marshalla dokonano na niej zbiorowego gwałtu w stanie Utah. Muszą to mieć w policyjnej kartotece.

– Należałoby się tego spodziewać. Ale sprawdziliśmy w tamtejszym wydziale policji. Nie mają żadnego protokołu dotyczącego gwałtu na Belindzie Wyatt.

Decker był zaskoczony.

– Przecież to niemożliwe. Zgwałcono ją, dotkliwie pobito i pozostawiono bez pomocy. Doznała urazu mózgu, dlatego wysłano ją do instytutu. Słyszałeś, co mówił doktor Marshall. Powiedział też, że rozmawiał z lekarzami z Utah. Potwierdzili gwałt i ciężkie pobicie.

– Może i tak. Ale mogła nie złożyć doniesienia na policji. Istnieje takie prawdopodobieństwo.

– Dlaczego miałyby tego nie zrobić?

– Weź pod uwagę jej sytuację osobistą. Małe miasteczko, gdzie wszyscy wiedzą wszystko o wszystkich. Mogła uznać, że lepiej tego nie zgłaszać.

– Albo rodzice podjęli za nią taką decyzję – wycedził Decker.

– To rzeczywiście dużo bardziej prawdopodobne – przyznał agent FBI.

Decker dopił kawę i wrzucił kubek do kosza.

– Belinda była chuda i wysoka jak na kobietę, mierzyła około pięciu stóp i jedenastu cali. Billy był podobnego wzrostu, też szczupły, ale żylasty. Ważył najwyżej sto pięćdziesiąt funtów.

– I zdecydowanie wyglądał jak mężczyzna?

– Raczej tak, choć i on miał androgyniczny wygląd. Podobnie jak Belinda

w instytucie. Podałem rysopis twojemu specowi od portretów pamięciowych. Kończą rysunek.

– Możemy porozklejać go w całym mieście.

– Na razie przekazałbym tylko organom ochrony porządku publicznego. Lepiej nie upubliczniać wizerunku. Gdyby zorientowali się, że depczemy im po piętach, mogliby zejść do podziemia.

Bogart nie wydawał się przekonany, ale rzekł:

– Okej, rozegramy to w ten sposób. Na razie. – Wsadził ręce do kieszeni i wbił wzrok w chodnik. – Mamy informację od firmy czyszczącej baseny, z której usług korzystali Wyattowie. Przyjechali zabezpieczyć basen na zimę dwa miesiące temu, ale nikogo nie widzieli. Wyattowie rozliczali się z nimi przez system płatności internetowych. Wszystkie rachunki regulowali przez sieć. Nie musieli się z nikim kontaktować. Koniec i kropka. Dosłowność niezamierzona.

– A co z Leopoldem?

Bogart przeciągle westchnął.

– No tak, Leopold. Właśnie do tego zmierzałem. Wreszcie na coś trafiliśmy.

– Jak brzmi jego prawdziwe nazwisko?

– Choć to dość zaskakujące, naprawdę nazywa się Sebastian Leopold.

I miałeś rację. Jest Austriakiem.

– Jaką ma przeszłość?

– Wciąż spływają informacje. Ale mamy już tę kluczową: jego żonę i córkę zamordowano, a zabójca nigdy nie stanął przed sądem.

– Kiedy przyjechał do Ameryki?

– Trudno sprecyzować. Morderstwa dokonano osiem lat temu. Więc pewnie jakoś po tym fakcie. Wątpię, czy przebywa tu legalnie. No ale Europejczyków nie czepiamy się tak jak innych nacji.

– Jeśli jest tu zaledwie od kilku lat, stosunkowo szybko wyzbył się obcego akcentu. Podczas naszej rozmowy tylko raz się przejęczył. Mogę zobaczyć, co macie na jego temat?

– Załatwione. Gdzie cię znajdę?

– W bibliotece w Mansfield.

– Podwieźć cię?

– Najpierw muszę wstąpić w jedno miejsce.

– Gdzie?

– Po moją partnerkę.

– Po partnerkę? Chyba nie masz na myśli Lancaster? Nie sędzę, by paliła się do tego po tym, co wydarzyło się w jej domu.

– Mary j e s t gotowa.

– Skąd wiesz?

– Ponieważ ją znam. Jest nieustępliwa. My obaj razem wzięci nie dorastamy

jej do pięt.

Lancaster i Jamison siedziały w szkolnej bibliotece naprzeciwko Deckera. Czekali na akta Leopolda. Decker zdał Lancaster relację ze wszystkiego, czego się dotychczas dowiedzieli.

– Bogart uważa, że Belinda mogła nie zgłosić niczego na policji. Być może rodzice odwiedli ją od tego zamiaru.

– Co za kanalie – podsumowała ostro Lancaster.

– Rzecz w tym, że po urazie pozostała jej pamięć absolutna. Zapamiętałyby napastników.

– Jeżeli w ogóle ich znała – wtrąciła Jamison.

– To mała miejscowość w Utah. Prawdopodobnie wszyscy się tam znają – zauważył Decker.

– Czy w instytucie mówiła coś na ten temat? – zapytała Lancaster.

– Prawie nigdy. Na sesjach grupowych ani razu nie wspomniała o tym, co wydarzyło się w jej życiu. Nie miałem o niczym pojęcia, dopóki nie powiedział mi doktor Marshall. Prawdopodobnie napadli ją właśnie dlatego, że wiedzieli o jej interseksualności – dodał Decker.

Lancaster pokręciła głową.

– Nie słyszałam dotąd o takim terminie. Nawet nie potrafię sobie wyobrazić, jak to jest. Marshall ci powiedział, że miała jedno jądro i jeden jajnik?

– Tak.

– W szkole musiała przechodzić absolutne piekło. Wystarczyło, że na lekcji wuefu któraś z koleżanek podejrzwała jej intymne części ciała. Wieści szybko się rozchodzą. Naprawdę musiał to być dla niej koszmar.

Decker uważnie wpatrywał się w leżący przed nim dokument. Właśnie rzucił mu się w oczy fakt, który nie pasował do innych.

Lancaster doskonale znała tę minę.

– Co?

Spojrzał na nią.

– Doktor Marshall powiedział, że adres rodziców Belindy, którym dysponuje, pochodzi sprzed piętnastu lat. Tymczasem ona przebywała w instytucie dwadzieścia lat temu.

– Może z jakiegoś powodu utrzymywali kontakt. Wątpię, by Belinda spędziła tam pięć lat. To pewnie nowszy adres.

– Marshall mówił także, że Wyattowie nigdy nie odwiedzali jej w instytucie. Skąd więc miałby późniejszy adres? Czyżby prowadzili korespondencję?

Wyjął telefon i zadzwonił do Marshalla. Doktor był na spotkaniu, ale oddzwonił pięć minut później.

– Tak, Amosie, masz rację – potwierdził. – Wyattowie rzeczywiście się przeprowadzili, ale pozostawialiśmy w kontakcie jeszcze przez jakieś siedem lat.

Przysłali mi swój nowy adres, żebym mógł do nich pisać od czasu do czasu.

– Nie wspomniał pan o tym podczas naszej rozmowy.

– Wiem, przepraszam. Bardzo poważnie traktuję prywatność pacjenta. Staralem się pomóc najlepiej, jak umialem, przestrzegając zarazem moich powinności zawodowych.

– Mówił pan, że rodzice nigdy nie odwiedzili jej w instytucie. Uznałem, że świadczy to o ich braku zainteresowania jej losem. Zresztą sam pan powiedział, że wydawali się panu ignorantami w odniesieniu do przypadłości Belindy.

– To prawda.

– Na jakiej podstawie wyrobił pan sobie taką opinię? I jak w ogóle dziewczyna trafiła do instytutu, skoro rodzice się o nią nie troszczyli?

– Nie sądzę, by to się stało z ich inicjatywy.

– A z czyjej?

– Nie wiem. Być może któregoś z lekarzy, który wystawił skierowanie, gdy stało się jasne, że powinniśmy w naszym instytucie przyjrzeć się bliżej jej umiejętnościom poznawczym. Już dwadzieścia lat temu cieszyliśmy się w kraju renomą – dodał z dumą doktor. – I dysponowaliśmy odpowiednimi funduszami na pokrycie wszystkich wydatków Belindy.

– No dobrze, ale skoro Wyattowie nie przyczynili się do wysłania jej do waszej placówki, dlaczego chcieli z panem korespondować?

Decker przypuszczał, że zna odpowiedź, ale pragnął usłyszeć ją od Marshalla.

– Ponieważ się bali, Amosie. Bali się Belindy. Przynajmniej tak mi powiedzieli. Kiedy wróciła do Utah, okazała się inną osobą. I to nie w sensie pozytywnym. Nasze wysiłki w instytucie najwyraźniej jej nie pomogły. Wkrótce potem opuściła dom. Ale dostawali od niej wiadomości, dość zatrważające. Więc się bali.

– Czego? Że zrobi im krzywdę?

– Nie chciałbym spekulować na ten temat.

– Wystarczy mi pańska hipoteza.

Słyszał, jak Marshall głęboko wzdycha.

– No dobrze. Myślę, że byli przerażeni, bo uważali, że Belinda ma zamiar ich zamordować.

Cóż, trafili w dziesiątkę.

– Mogę prosić o ich poprzedni adres? Ten w Utah. Ma go pan?

Marshall wyciągnął adres z akt. Decker podziękował i się rozłączył.

Usiadł do komputera i na mapie satelitarnej wyszukał stary adres. Szybko odwrócił laptopa, żeby Lancaster i Jamison widziały ekran.

– Okej, zwyczajny dom w zwyczajnej okolicy – stwierdziła Lancaster. – Podobny do mojego.

– I do mojego – dodał Decker. – Rzecz w tym, że nowy dom Wyattów jest pięć razy większy, z basenem i osobnym garażem na cztery samochody, wypełnionym luksusowymi pojazdami.

Lancaster ściągnęła brwi.

– Czym zajmowali się Wyattowie?

– Z wygrzebanych przez Bogarta informacji wynika, że on był zastępcą kierownika w DMV. Pani Wyatt pracowała jako kelnerka w taniej restauracji.

– Zdecydowanie nie zarabiali kokosów – zauważyła Jamison. – Więc jakim cudem było ich stać na taki dom?

– Żeby na to odpowiedzieć, trzeba wyśledzić źródło pieniędzy. – Decker znów sięgnął po telefon. Powtórzył Bogartowi pytanie Jamison.

Następnie spojrzął na Lancaster i oznajmił:

– Sprawdzi i do nas oddzwoni.

– Jak sądzisz, Amosie, co się dzieje? – zapytała Lancaster.

– Myślę, Mary, że zbliżamy się do odkrycia stojącego za tym wszystkim motywu. A gdy go poznamy, całość zacznie nabierać sensu.

– To dobrze. Bo do tej pory nic nie miało sensu. Kompletnie nic.

– Niezupełnie. Wyatt i Leopold zawsze widzieli sens. Tylko my go nie widzimy, bo za mało wiemy.

– Jaki może być sens w zamordowaniu tylu ludzi? – oburzyła się Lancaster.

– My nie musimy go dostrzegać. Wystarczy, że rozumieją go sprawcy.

– Nienawidzę świata – oznajmiła Lancaster z przygnębioną miną.

– Ja nic nie mam do świata – rzekł na to Decker. – Nienawidzę jedynie niektórych ludzi, którzy go na nieszczęście zamieszkują.

57

Wpadli do baru szybkiej obsługi po jedzenie na wynos i zabrali je ze sobą do biblioteki. Po kolacji Decker zostawił Lancaster i Jamison, a sam udał się do stołówki. Tam wszedł do podziemnego tunelu, oświetlając sobie drogę latarką.

Wielokrotnie zapuszczali się do tajnego przejścia oraz na teren sąsiedniej bazy wojskowej, ale nie trafili na żadne nowe tropy. Wojsko przekazało im kilka informacji dotyczących bazy oraz tunelu łączącego ją ze szkołą, nie rzuciły one jednak nowego światła na sprawę.

Decker wyłonił się z podziemi po drugiej stronie i wkroczył prosto w trzewia wojskowej placówki. Usiadł na starej beczce po ropie i pozwolił myślom błądzić pośród wydarzeń z przeszłości.

Belinda Wyatt została zbiorowo zgwałcona, pobita i pozostawiona na śmierć. Prawdopodobnie dlatego, że napastnicy dowiedzieli się o jej interseksualności. Uraz spowodował zmiany w mózgu podobne do tych, jakie zaszły u Deckera.

Ciekawe, czy pamięta gwałt i pobicie. Czy o nich zapomniła, tak jak ja nie pamiętam zderzenia na boisku? Ciekawe, czy kiedykolwiek zdoła zapomnieć

o wszystkich tych rzeczach, o których nie chciałaby pamiętać?

Nie podobało mu się to poczucie swego rodzaju więzi z osobą, która położyła kres życiu tak wielu niewinnych ludzi, ale nic nie mógł na to poradzić. Łączyła ich ta sama przypadłość. Łączyły osobiste historie, ścieżki, które przecięły się w traumatycznym momencie ich życia.

Decker i Belinda przebywali razem w instytucie. Jakies jego zachowanie sprawiło, że obrała go sobie za cel ataku. W pewnym momencie Belinda przeobraziła się w Billy'ego. Billy poznał Sebastiana Leopolda, Austriaka, któremu zamordowano rodzinę i które to zabójstwo uszło sprawcy na sucho. Czy ich ścieżki także się przecięły? Wiele mogło się wydarzyć w ciągu dwudziestu lat. Czy stało się to przed przemianą w Billy'ego, czy później? Czy ich spotkanie przyspieszyło serię zabójstw?

No i cóż takiego zrobiłem tej Wyatt, by zasłużyć sobie na tyle cierpienia?

– Pomyślałem, że cię tutaj znajdę.

Decker obejrzał się i ujrzał Bogarta stojącego na szczycie schodów wychodzących z tunelu. Agent pokazał teczkę z dokumentami.

– Informacje o finansach Wyattów. Oraz o rodzinie Sebastiana Leopolda.

Wrócili razem do biblioteki i zaczęli wraz z Jamison oraz Lancaster przeglądać akta.

Dwadzieścia minut później Lancaster wzięła do ręki kartkę papieru.

– Mniej więcej dziewiętnaście lat temu Wyattowie sprzedali dom w Utah za czterdzieści tysięcy dolarów. Nowy wybudowali za prawie dwa miliony. Na dwudziestoakrowej działce.

– A skąd to nagłe bogactwo? – zainteresował się Decker.

– Nie udało nam się dowiedzieć – odparł Bogart.

– Może łapówka? – zasugerował Decker.

Lancaster spojrzała na niego.

– Łapówka? Masz na myśli szantaż?

– To by wyjaśniało brak policyjnego raportu w sprawie gwałtu na Belindzie. Oraz skąd wzięły się pieniądze na zakup domu. W dalekim Kolorado.

– Mogłoby także wyjaśniać powód głębokiego wzburzenia Belindy – dodał Bogart. – Że rodzice dali się przekupić i nie domagali się ukarania winnych.

– Wykorzystywanie i porzucenie? – podsumował Decker, przypatrując się Bogartowi.

Agent pokiwał głową.

– Stąd okaleczenia. Oraz mord na rodzicach.

Decker ponownie zerknął na dokument.

– Zastanawiam się, co stało się z ewentualnymi pieniędzmi na koncie rodziców po ich śmierci?

– A jeśli nikt nie wiedział, że nie żyją? – wtrąciła Jamison.

– W dzisiejszych czasach można dostać się do pieniędzy za pomocą komputera. Wystarczy znać loginy i hasła – rzekł Decker. – A jestem pewien, że Belinda *alias* Billy mogłaby je zdobyć.

– Musiała z czegoś żyć, finansować podróże – zastanawiał się Bogart.

– Być może potrzebowała środków do czegoś jeszcze – zauważył Decker.

– Do czego? – zapytali jednocześnie Bogart i Lancaster.

Decker wstał.

– Musimy pojechać tam, gdzie mieszkali Wyattowie, gdy doszło do gwałtu. Dowiedzieć się, kim byli gwałciciele i jakim sposobem uszło im to płazem. Oraz ustalić, kto wypłacił Wyattom taką kupę forsy.

– Decker, to sprawa sprzed dwudziestu lat – zaprotestował Bogart.

– Jest jeszcze jeden powód tej wycieczki. Nawet ważniejszy.

– Jaki? – zainteresował się Bogart.

– Z pewnością wart podróży twoim prywatnym odrzutowcem.

58

Wylądowali w pobliżu małego miasteczka w północnej części stanu Utah.

– „Miasteczko Mercy^[9]” – przeczytała Lancaster, gdy wysiedli z samolotu w gęstej śnieżycy i ujrzeli tablicę na hangarze.

– No tak, szczyt ironii – mruknęła Jamison.

Bogart zadygotał i szczerzej otulił się kurtką.

– Cóż to więc za powód wart pełnego zbiornika paliwa do odrzutowców? – zwrócił się do Deckera.

Decker obrzucił wzrokiem trzy SUV-y czekające na płycie lotniska, z włączonymi silnikami i ogrzewaniem podkreconym – miał nadzieję – na pełny regulator.

– Pokażę ci.

Pojechali do dawnego domu Belindy Wyatt. Znajdował się on na wybudowanym po drugiej wojnie światowej niewielkim osiedlu, gdzie każdy budynek był wierną kopią sąsiedniego. Ulice pokrywała zamarznęta śniegowa breja. W budynku nie paliło się światło. Żadnego samochodu na podjeździe.

Decker siedział pomiędzy Lancaster a Jamison na tylnej kanapie drugiego wozu. Bogart zajął miejsce z przodu.

Decker wyjrzał przez okno i zapytał:

– A więc niedawno go sprzedano?

Agent przytaknął.

– Dwadzieścia miesięcy temu. Dom kupiła jakaś firma.

– Około czterech miesięcy przed zabójstwem mojej rodziny. Potrzebowali lokum, żeby wszystko zaplanować.

– Naprawdę sądzisz, że Wyatt odkupiła swój rodzinny dom? – zapytała Lancaster. – Pomimo koszmarnych wspomnień?

– To był jej dom. Nie ten moloch, w którym zamordowała rodziców i zapakowała ich ciała w folię. Pomimo wydarzeń z przeszłości być może traktowała to miejsce jak bezpieczną przystań, gdzie można znaleźć wytchnienie. I prawdopodobnie przeznaczyła na jego zakup część łapówki. Jestem pewien, że uważała za właściwe zapłacić brudnymi pieniędzmi za odzyskanie tego, czego jej rodzice tak desperacko chcieli się pozbyć.

– Jak myślisz, co znajdziemy w środku? – spytała Jamison.

– Odpowiedzi – odparł Decker. – Mam nadzieję.

Weszli przez drzwi od frontu i od podwórka, podczas gdy inni agenci obstawili teren, by nikt nie mógł się wymknąć. Sprawdzili każde pomieszczenie, a następnie przenieśli się do piwnicy.

– Niech to szlag! – zawołał Bogart, rozglądając się dookoła. – Spodziewałem się ścian wytapetowanych karteczkami przedstawiającymi jak na wykresie przebieg wydarzeń.

Tymczasem nie było tu niczego podobnego. A w zasadzie niczego poza różnymi gratami, czyli tym, co zwykle znajduje się w piwnicy.

– Też miałem taką nadzieję – przyznał Decker. Patrzył na wszystkie strony, chłonął wzrokiem wszystkie detale i zaczął kiwać głową, jak gdyby nasunęło mu się nagle jakieś rozwiązanie. – Jak na ironię, przeoczyłem pewien oczywisty, acz istotny element. Wyatt cierpi na hipermnęzę. Nie potrzebuje ściany z karteczkami. Wszystko ma w głowie, każdy najdrobniejszy szczegół. Nadal nie wiemy, jaki jest Leopold, poza tym, że sprawia dziwne wrażenie i że cholernie dobry z niego aktor. Bezbłędnie udaje nierozgarniętego matoła. Ale jest w nim coś jeszcze, czego nie potrafię sprecyzować.

– Powiedziałeś nam, że jest enigmatyczny – przypomniał Bogart.

– Bo jest. Każdy ma jakiś plan, czy to altruistyczny, czy to wyrachowany. Więc ma go i on. Sęk w tym, że nie mogę go rozgryźć.

– Skontaktować się z lokalnymi służbami? – zapytał Bogart.

Decker zaprzeczył ruchem głowy.

– Dlaczego? – zdziwił się agent. – Wnerwią się, jeśli nawet ich nie powiadomimy, co tu knujemy.

– Ponieważ może się okazać, że to właśnie lokalni są przyczyną całego ciągu wydarzeń. Dlatego to my zajmiemy się skąpym materiałem, który tu ewentualnie znajdziemy.

Zaczął szperać w wypełnionych różnymi kłopotami kartonach ustawionych na plastikowej półce. Jamison przeglądała rzeczy zgromadzone w innym kącie. Lancaster i Bogart wymienili spojrzenia i poszli w ślady tych dwojga.

Dwie godziny później Bogart oznajmił:

– Okej, nic tu nie ma. Kompletnie nic!

– Nieprawda – zaprzeczyła Jamison. Pokazała fragment gazety.

– Gdzie pani to znalazła? – spytała Lancaster.
– Było upchnięte pod stołem w pudle przykrytym jakimiś szmatami.
– I co z tego? – wzruszył ramionami Bogart. – Zwykły śmieć, jak cała reszta.
– Nie. Jeśli ludzie zbierają gazety, zawsze mają ich cały stos. A to jest jedyna gazeta w całym pomieszczeniu. Założę się, że w odczuciu osoby obdarzonej takim umysłem jak Wyatt ten element wprowadzał chaos. To z kolei skłoniło mnie do zastanowienia, dlaczego się tu znalazła. Musiał istnieć powód.

Decker przyglądał się jej z ciekawością.

– Dobra dedukcja, Jamison.

– Ej, może nie mam hiperczegoś tam, ale zdarzają mi się przebłyski.
A papier gazetowy wyczuwam z daleka.

– Co tam jest napisane? – zainteresowała się Lancaster.

Dziennikarka przytrzymała w górze stronę tytułową i wskazała duży nagłówek.

– *Zaginął Giles Evers* – przeczytała Lancaster.

– Kim, do cholery, jest Giles Evers? – zapytał Bogart.

– Był policjantem – wyjaśniła Jamison. – Piszą tu także, że to syn największej szczyhy w całym mieście, Clyde'a Eversa, byłego burmistrza, który zbił fortunę na kopalniach i przekazał sporą jej część swojemu rodzinnemu miastu. Typowa gruba ryba w małej sadzawce.

– Po co Wyatt zachowała ten wycinek? – zastanawiał się Bogart.

– Ponieważ Giles Evers ją zgwałcił – pospieszył z odpowiedzią Decker. – I to ona stoi za jego zniknięciem.

– Hola, hola, co za piekielny skok w dedukcji, Amosie – odezwała się Lancaster.

– Nic podobnego. To j e d y n y powód, dla którego znalazła się tu ta gazeta.

– Jaką ma datę? – zapytała Lancaster.

– Pochodzi sprzed dziewiętnastu miesięcy – odparła Jamison. – Dokładnie w tym czasie dom został sprzedany firmie, za którą naszym zdaniem kryje się Wyatt.

Bogart i Lancaster utkwili wzrok w Deckerze.

– Twierdzisz, że zaatakował ją policjant? – zapytał sceptycznie Bogart.

– Policjanci – uściślił Decker. – To był gwałt zbiorowy. Zrobili to dlatego, że Wyatt jest obojnakiem, natomiast ojciec Eversa przekupił jej rodziców, żeby nie puścili pary z ust. Uwolnił syna od podejrzeń i oszczędził miejscowej policji kupy wstydu. Dzięki niemu nie poleciały żadne głowy. Nie sądzę, by wydział policji w Mercy należał do szczególnie licznych. Niewykluczone, że wszyscy gliniarze brali udział w tym gwałcie. Cholerny cios dla chłopaków w mundurach. I dla miasta. Miasta, które, być może, nie miało nawet odrobiny współczucia dla kogoś

takiego jak Belinda Wyatt.

– Tego nie wiemy – rzekła Lancaster. – To czyste spekulacje.

– Możemy je potwierdzić – odparł Decker. – Porozmawiajmy z ludźmi, którzy tu wtedy pracowali.

59

Komisarz policji sprzed dwóch dekad zmarł na atak serca sześć lat temu. W wydziale nadal pracowało dwóch oficerów z tamtych czasów. Żaden z nich nie słyszał o sprawie Wyatt. Tak przynajmniej powiedzieli Bogartowi, gdy zjawił się z pozostałymi na jedynym posterunku policji w mieście. Całej grupie szybko pokazano drzwi.

Kiedy odjeżdżali, Lancaster stwierdziła:

– Kłamią. Widziałam po ich minach.

– To mała miejscina, na tyle mała, że nic się przed nikim nie ukryje.

Proponuję zacząć od początku listy – rzekł Decker.

– Masz na myśli ojca Gilesa Eversa? – domyśliła się Jamison. – Clyde’a Eversa?

– Jeśli jeszcze żyje.

Bogart wpatrywał się w ekran smartfona, wyszukując informację.

– Najwyraźniej żyje. I wygląda na to, że nadal tu mieszka.

Pojechali pod znaleziony przez Bogarta adres. Okazało się, że to niewielki domek na skraju miasteczka. W oknach od frontu paliły się światła. Wzdłuż obłożonej drewnem fasady biegł ganek. Z komina wił się w górę dym. Znow zaczął padać śnieg.

Dom był zaniedbany. Trawnik nierówny, drzewa i krzewy chore i okaleczone, na podjeździe stał tylko jeden samochód – bardzo stara półciężarówka Forda.

– Lokalny krezus i patriarcha, co? – mruknęła Lancaster. – Musiały przyjść dla niego ciężkie czasy.

– Być może z bardzo konkretnego powodu – zauważył Decker.

Na ich pukanie otworzyły się drzwi i stanął w nich starszy mężczyzna, przygarbiony, z dużym brzuchem. Siwa broda sięgała mu do piersi, zawiązany na supeł sznurek podtrzymywał postrzępione spodnie zamiast szelek.

Bogart przedstawił się, pokazał odznakę i poinformował, że chcieliby porozmawiać z nim o jego synu. Evers w milczeniu kiwnął głową i zaprowadził całą czwórkę do małego pokoiku, gdzie w oblicowanym kamieniem i okopconym kominku trzaskał ogień.

Mroczne wnętrze domu czuć było pleśnią i kulkami na mole oraz jedzeniem, które gospodarz zapewne podgrzał sobie na kolację w kuchence mikrofalowej.

Decker rozglądał się wokoło, póki jego spojrzenie nie spoczęło na mężczyźnie, który opadł na szeslong, nie dosięgając podłogi nieobutymi

stopami. Evers podrapał się w policzek, powiódł wzrokiem po wszystkich gościach, a następnie zatrzymał się na Deckerze.

– Nie wygląda pan na FBI.

– Bo nie jestem z FBI.

– Aha – mruknął w roztargnieniu gospodarz i zaczął patrzeć w płonący ogień. – Więc chcecie odnaleźć mojego syna? Nie myślałem, że zaangażują do tego federalnych. Niech im będzie. Ten chłopak to jedyne, co mi zostało. Niewiele, ale zawsze coś.

– Wiele pan dla niego poświęcił, prawda? – rzekł Decker i ponownie rozejrzał się po pokoju. – Właściwie wszystko.

Evers przeszył go wzrokiem i powrócił do obserwacji ognia.

– Jakie ma pan o tym, do cholery, pojęcie?

– A więc nie wie pan, co się z nim stało? – zapytał Decker.

Evers posłał mu wściekłe spojrzenie.

– A pan co, urwał się z choinki? Że niby porwałem własnego syna? Rozum panu odebrało czy jak?

– Twierdzę, że porwała go Belinda Wyatt. Ale pan już to wie.

Evers wyglądał przez chwilę tak, jakby miał osunąć się na ziemię. Ale opanował się i nawet lekceważąco machnął sflaczałą ręką.

– Belinda Wyatt! Bzdurne upiory przeszłości! Co ona ma do rzeczy?

– Wszystko. To ona uprowadziła Gilesa. A jeśli nawet uda nam się go odnaleźć, będą to jego zwłoki, nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości. To także pan wie, panie Evers. Pański syn n i e ż y j e – oznajmił Decker.

Po tym prowokacyjnym stwierdzeniu Bogart, Jamison i Lancaster spojrzeli z przerażeniem na Deckera. Lecz on ani na sekundę nie spuszczał oka z Eversa.

Starszemu mężczyźnie zaczęły drżeć usta, jego oddech przyspieszył. Evers sięgnął po papierosa i zapalniczkę, które leżały obok na małym stoliku, zapalił i zaciągnął się dymem. Nikotyna zdawała się go uspokajać.

– Ma pan te jego przekłete zwłoki? – zapytał, wypuszczając dym nosem. – Dlatego pan tu przyszedł?

– Wątpię, czy je odnajdziemy. Chyba że zależałoby jej na tym.

Evers wybuchnął:

– Więc dlaczego nie zaaresztujecie tej obojnaczej dziwki?!

– Właśnie po to tu jesteśmy. Żeby nam pan w tym pomógł.

Evers wyprostował się na szeszlengu.

– Dlaczego akurat ja? Nic nie wiem. Minęło ponad dwadzieścia lat.

– Zgłosiliśmy się do pana, ponieważ nie zdołaliśmy dotrzeć do pańskiego syna ani do pozostałych funkcjonariuszy, którzy ją zgwałcili i pobili niemal na śmierć – ciągnął Decker. – Za to pan jest na miejscu.

– Nigdy niczego nie udowodniono. Do diabła, nawet nie wytoczono sprawy.

Mój syn jest bez skazy. Święta prawda.

– Ponieważ przekupił pan Wyattów i współpracował z ówczesnym komisarzem policji przy zatuszowaniu całej sprawy, zadbawszy także o to, żeby nie wpłynął żaden raport. Zostawili ją na pewną śmierć. Ale nie umarła. Rozpoznała każdego z nich. Mercy to mała miłośnica, choć nosząca chyba wyjątkowo nietrafną nazwę. Wszyscy wszystkich znają. Belinda Wyatt wiedziała, kim są napastnicy. Był pan tu ważną figurą. Na pewno знаła pańskiego syna. Wiedziała, że pracuje w policji. Ale miała dopiero szesnaście lat. Wierzyła, że policjant ochroni ją nawet przed innymi funkcjonariuszami. Prawdopodobnie powtarzano jej zawsze, że jeśli dzieje się coś złego albo czuje się z jakiegoś powodu zagrożona, powinna zgłosić się na policję. – Przerwał. – Ponieważ tam uzyska pomoc. – Umiłkł ponownie, nadal nie spuszczać wzroku z mężczyzny. – Cóż, jej nie pomogli. Zgwałcili ją, nieomal pozbawili życia, a potem zamietli wszystko pod dywan.

– Nie ma dowodów.

– Ustalimy, skąd pochodziły wypłacone Wyattom pieniądze, panie Evers – wtrącił Bogart.

– Poza tym rozmawialiśmy z Wyattami – dodał Decker, ściągając na siebie szybkie spojrzenia Bogarta i Jamison. – Powiedzieli nam, co pan zrobił. Więc może się pan dłużej nie wypierać. Znamy konkretny przedział czasu. Prawdę mówiąc, jestem zaskoczony, że pan żyje. Spodziewałbym się, że przyjdą po pana w tym samym czasie, kiedy dorwali pańskiego syna.

Rzeczowy ton Deckera jakby odbierał mężczyźnie resztkę woli walki. Evers gwałtownie rzucił się do przodu, tak że dotknął stopami podłogi.

Wycelował w Deckera gruby, brązowy od nikotyny palec.

– To już się przedawniło.

– Prawdopodobnie tak – zgodził się Decker. – Może więc pan opowiedzieć nam o wszystkim bez obawy, że trafi pan za kratki, bez względu na to, jak bardzo by pan na to zasługiwał. Ale zabójstwa nie podlegają przedawnieniu, dlatego nadal możemy złapać i ukarać Wyatt. A pan może nam w tym pomóc.

Evers zgasił papierosa i przez chwilę zbierał myśli.

– Jedno musicie zrozumieć: dziewczyna była dziwna, sama się o to prosiła, o tak.

– Prosiła się o zbiorowy gwałt i pobicie niemal na śmierć? – oburzyła się Jamison, wygiąwszy usta w odrazie. – Która kobieta by tego chciała?

– No nie, oczywiście nie to mam na myśli. Chłopców zwyczajnie poniosło. Jak to bywa z chłopcami. Do diabła, sami rozumiecie.

– Nie, ja zupełnie tego nie rozumiem – odezwała się Lancaster z jeszcze większym obrzydzeniem niż Jamison.

– Czy pański syn należał do tych „chłopców”? – wtrącił Bogart.

Evers szybko skinął głową.

– Wiecznie szukał guza. Namówiłem go, żeby wstąpił do policji. Szef był moim wieloletnim kumplem. Był mi coś winien. Do licha, całe miasto miało u mnie dług wdzięczności. Myślałem, że to go wyprostuje. Przysięgam na Boga. Jak widać, bardzo się myliłem. Wyniósł z tej roboty tylko spluwę, pretensje do całego świata oraz postawę, że wolno mu brać, co mu się żywnie podoba.

– Co zwróciło jego uwagę na Wyatt? – spytał Bogart.

– No, gadali o niej w szkole. Jak mówiłem, zafajdane dziwadło. Nigdy nie zachowywała się normalnie. Takie, cholera, nie wiadomo co, ni baba, ni chłop. Obłeśne zero. Mój chłopak to krewki amerykański mężczyzna. Nie miał zamiaru znosić tej ohydy. To grzech.

– Nie ma to nic wspólnego z grzechem – sprostowała Lancaster. – Ale proszę dalej.

Evers zapalił kolejnego papierosa i mówił, wypuszczając dym:

– No więc postanowił z kilkoma innymi dać jej nauczkę.

– W jaki sposób? – zapytał Decker.

Evers wymierzył w Deckera palec.

– Ma pan nieścisłe informacje. Nie zrobiła tego grupka policjantów. Tylko mój syn. Tylko on był tam gliniarzem.

– Nie rozumiem – rzekł Decker z zaskoczoną miną. – To był gwałt zbiorowy.

– Tak. Ale mój syn był jedynym mundurowym.

– Kim byli pozostali? – dociekała Lancaster.

– Ech, kilku gówniarzy ze szkolnej drużyny futbolowej i...

– Trener? – przerwał mu Decker.

– Oraz zastępca dyrektora szkoły? – uzupełniła pośpiesznie Lancaster.

Evers patrzył z niedowierzaniem.

– Zgadza się. Skąd wiedzieliście?

Lancaster zerknęła na Deckera.

– Amosie, czyli tym kierowała się przy wyborze ofiar w Mansfield. Tak wybrała miejsce.

– Ilu futbolistów brało udział w gwałcie? – zapytał Decker.

Evers wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Czterech, pięciu.

– Powiedzmy, że sześciu.

– Do diabła, człowieku, skąd pan to wie? Nawet ja nie pamiętam. A w końcu byłem na miejscu.

– Od Belindy Wyatt.

– Przecież mówił pan...

– Proszę kontynuować. Gdzie doszło do gwałtu?

– W stołówce, tak mi opowiadał syn. Nie wiem, dlaczego wybrali akurat to

miejsce. W każdym razie właśnie tam się to stało. Załatwili ją, zdaje się, na stole – dorzucił nonszalancko.

Bogart, Jamison i Lancaster wymienili spojrzenia.

– Jak pański syn dopadł Belindę? – spytał Decker.

– Zgarnął ją do wozu patrolowego, gdy któreś nocy zobaczył, jak spaceruje samotnie po ulicy. Często włóczyła się po nocy. Widywał ją już wcześniej. Powiedział jej, że się nią zajmie.

– Co miał na myśli? – rzucił ostro Bogart.

– Jak już mówiłem, odstawała od innych i miejscowi postanowili powiedzieć jej to prosto w twarz. Nie byli milutcy, o nie. Ja sam powtarzam, że Pan stworzył nas na wiele różnych sposobów. Co ma być, to będzie. Ale niektórzy tutaj widzieli to inaczej. Nie miała w Mercy lekkiego życia. Giles o tym wiedział. I wykorzystał tę wiedzę, żeby ją zwabić.

– Dlaczego w ogóle się nią interesował? – ciągnął Decker.

– Grał w liceum w drużynie futbolowej. Poszedł tam z trenerem Howardem Clarkiem i zastępcą dyrektora, Connerem Wise'em. Oczywiście wszyscy byli wtedy młodszy. – Ściszył głos. – W szkole krążyła plotka, że Wyatt jest na pół mężczyzną, na pół kobietą. Dziewczyny chodzące z nią na wuef opowiadały, że miała jaja. Boże, uwierzyłby pan? Założę się, że Wyattowie ćpali albo co. Może byli hipisami. Nafaszeruje się człowiek tym świństwem i spłodzi dziecko, różnie się zdarza. I potem wychodzi dziewczyna z jajami.

– Co za absurd – wypalił Bogart.

– To, że pan tak twierdzi, jeszcze nie znaczy, że to prawda – zaproponował Evers. – W każdym razie część chłopaków z drużyny chodziła z tymi dziewczynami. Zwiertzyli sensację. Polecieli z nowiną do Howarda, mojego syna i Connera. Zebrali się i wykombinowali, że dadzą jej nauczkę.

– Niemal ją zabijając? – warknęła Lancaster.

Evers się zamyślił.

– Wiecie co? Myślę, że oni może starali się jej pomóc. Rozumiecie, niech dziewczyna poczuje, jak to jest, gdy mężczyzna robi z nią różne rzeczy. Niech się nawróci. Przypomni sobie, że jest prawdziwą kobietą i tak dalej. I jak dobrze jej z mężczyzną.

– Panie Evers, niech pan nie próbuje obrócić tego w dobry uczynek – rzekł Bogart. – Zarzuty gwałtu i napaści może i uległy przedawnieniu, ale jeśli będzie pan utrudniał pracę policji, wsadzę pana tyłek do paki szybciej, niż zdąży pan zaciągnąć się tym papierosem.

Evers gapił się przez chwilę na agenta FBI, po czym pospiesznie wrócił do swej opowieści.

– No tak, pewnie się zagalopowali. Walczyła jak lwica. To i oni musieli, no... trochę jej przyłożyć. Jeden z nich uderzył ją chyba za mocno. Myśleli, że już

po niej. Była nieprzytomna, krwawiła i w ogóle. Giles powiedział mi, że przestała oddychać. Więc się wystraszyli i wrzucili ją do kontenera na tyłach szkoły, a potem wszyscy dali nogę. Tymczasem dziewczyna ocknęła się i wyczołgała o własnych siłach. Opowiedziała o wszystkim policji. Jak już mówiłem, komisarz był moim starym kumplem, był mi winien co nieco z przeszłości. Wezwał mnie do siebie. Jej rodzice oczywiście wiedzieli. Powiedziała im. Wyskrobałem wszystkie pieniądze, do ostatniego centa, żeby zatuszować sprawę. – Jego twarz zmieniła się w maskę wściekłości. – Wyattowie oskubali mnie do czysta. Dranie.

– Tak pan to widział? – zapytał Bogart. – Że można negocjować?

– O n i tak to widzieli. Niech się pan rozejrzy. Mieszkam teraz jak na kupie gnoju. Żona od dawna nie żyje. To ją zabiło. Wiedziała. Nie mogła przeżyć. Spłukałem się co do centa. Sprzedałem wszystko, co miałem, pozbyłem się całego majątku. Ci przekłeci Wyattowie pewnie zbudowali sobie gdzieś pałac. Cholera, nie mam pojęcia. A ja harowałem jak wół przez sześćdziesiąt lat i mieszkam w tej norze. Oto, co mi z tego pozostało. – Rozejrzał się. – Lodówka sprzed dwudziestu lat. Od wieków nie miałem nowego samochodu. Ten, co stoi pod domem, jest zepsuty.

– Cóż, nie wątpię, że to dla pana bolesne – rzekł oschle Bogart.

– Ale po co pan robił cokolwiek? – indagował Decker. – Po co pan płacił? Przecież miał pan tylko słowo przeciw słowu. Całe miasto było przeciwko niej. Policja mogła pozbyć się dowodów, chroniąc tym samym własny interes. Komisarz był pańskim kumplem. Wyattowie pana wyrolowali.

Evers zaciągnął się papierosem i z rezygnacją pokręcił głową.

– Nie, drogi panie, oni nie blefowali. Mieli dowody.

– Jak to? – zdziwił się Bogart.

– Zanim Belinda Wyatt wróciła do domu, dowlokła się do cholernego szpitala, gdzie zrobiono obdukcję. Gwałt i pobicie nie ulegały wątpliwości. Mój syn pozostawił ślady. Wszyscy inni też. Krew, DNA, naskórek za paznokciami dziewczyny, całe to świństwo. Czarno na białym. A potem, jak już mówiłem, Belinda opowiedziała rodzicom, co się stało.

– Ale nie zgłosili tego oficjalnie na policję – powiedział Decker.

– Nie. Znali układ sił w Mercy. Eversowie byli na szczycie. Cała reszta – nie za bardzo. Nic by to nikogo nie obchodziło, ale Wyattowie sprytnie rozegrali karty. Trzeba im to przyznać. Zagrozili, że przekażą wszystko policji stanowej, a nawet FBI. Musiałem jakoś zareagować. – Wypalił papierosa i popatrzył na Deckera. – Nie mogłem pozwolić, żeby mój jedyny syn wylądował w pace za spuszczenie manta jakiemuś śmieciowi.

– Sądziłem, że wyznaje pan zasadę „żyj i pozwól żyć innym” – odparł Decker. – „Pan stworzył nas na wiele różnych sposobów. Co ma być, to będzie”.

Evers łypnął na niego podejrzliwie.

– No tak, ale Pan nie oczyściłby mojego syna z zarzutu gwałtu, gdyby sprawa wydostała się poza granice miasta, prawda?

– Jakie były okoliczności zaginięcia pańskiego syna? – zapytał Decker.

– Proste jak drut. Pewnego wieczoru poszedł się napić i nie wrócił.

– Jest żonaty, ma dzieci?

– Rozwiedziony. Żona odeszła i zabrała dzieci. Wywalili go z policji.

Mieszkał tu ze mną.

Zawsze to jakaś sprawiedliwość.

– Skąd to nagle zainteresowanie? – chciał wiedzieć Evers.

– Otrzymał pan coś, co wydało się panu dziwne, niezrozumiałe, niewytłumaczalne? – Decker zignorował pytanie mężczyzny.

Evers zastanawiał się przez chwilę.

– No, jest taka jedna rzecz.

– Jaka? – podchwycił Decker.

– Do licha, przyniosę panu.

Starszy mężczyzna wstał z trudem z szezlonga i wyszedł. Bogart spojrzał na Deckera.

– Cóż, teraz jest jasne, dlaczego Wyatt robi to, co robi. Z zemsty. Wybrała liceum w Mansfield, bo to wszystko stało się w szkole.

– I według tego samego klucza dobrała ofiary – dodała Lancaster. – Odzwierciedlają jej oprawców. Sześciu futbolistów, trener i wicedyrektor.

– Ale nadal nie wiadomo, dlaczego upatrzyła sobie ciebie – rzekła Jamison, patrząc na Deckera.

Odwzajemnił spojrzenie i powtórzył:

– Nie wiadomo.

Evers wrócił z kartką papieru.

– Ktoś wsunął mi to pod drzwi kilka miesięcy temu. Do dziś nie połąpałem się, o co chodzi.

Podał ją Deckerowi. Pozostali zebrali się wokół kartki. Był to wydruk ze strony internetowej o nazwie *W imię sprawiedliwości*. Pod spodem figurowała lista nazwisk, a przy każdym z nich wpisano rodzaj zbrodni: morderstwo, gwałt, napad, porwanie.

Na dole strony widniał komunikat: „Każda z tych zbrodni została popełniona przez człowieka w policyjnym mundurze. Każdą z nich zatuszowano. Ale my nie zapomnimy. Sprawiedliwości stanie się zadość”.

Decker szybko przebiegł wzrokiem wszystkie nazwiska, aż natknął się na takie, które kazało mu się zatrzymać.

– To już wiemy, co łączyło Belinę Wyatt z Leopoldem.

Cała trójka utkwiała spojrzenie w nazwiskach Caroline i Deidre Leopold. Obok nazwisk popełniona przeciwko nim zbrodnia. Morderstwo.

Podczas powrotnego lotu do Burlington wszyscy przeczytali od deski do deski raport z zamordowania rodziny Leopolda w wiosce odległej o dwadzieścia kilometrów od Wiednia. Na prośbę FBI austriacka policja przesłała także informację na temat przeszłości Leopolda.

– Nie ma tu żadnej wzmianki, jakoby to policjanci zamordowali mu rodzinę – stwierdziła Lancaster.

– Cóż, gdyby taka była prawda, wątpię, czy zamieściliby tę informację w aktach – zauważył Bogart.

Decker, który studiował raporty z sekcji zwłok obu ofiar, podniósł wzrok na Bogarta.

– Znajdzie się tu jakiś kawałek sznurka?

– Sznurka?

– Albo liny.

Znaleźli linę w zestawie awaryjnym schowanym w kontenerze. Bogart obserwował, jak Decker bierze kawałek liny i zaczyna wiązać węzły.

– Co to jest? – zainteresował się.

– Może coś, a może nic – padła zwięzła odpowiedź.

Później Decker przeczytał kartkę wsuniętą pod drzwi Clyde'a Eversa. Następnie popatrzył na węzły, a potem znowu na papier. Przestudiował dokładnie akta zabójstwa rodziny Leopolda, chłonąc wszystkie szczegóły. Gdy skończył, zamknął oczy i zaczął składać razem wszystkie elementy. W chwili lądowania nadal miał zamknięte oczy.

– Amosie, wysiadamy – napomniała Lancaster.

Gdy wyjeżdżali z lotniska, Bogart oznajmił:

– Moi ludzie przeczesaą tę stronę internetową. Zobaczymy, czy uda się nam czegoś dowiedzieć.

Lancaster kiwnęła głową, po czym zerknęła na wyglądającego przez okno Deckera.

– O czym myślisz, Amosie? – zagadnęła.

Wciąż trzymał w ręku kawałek liny z węzłami.

– Myślę, że wiele osób straciło życie przez bandę dyletantów.

– Wyatt i Leopold dokonali wyborów, złych wyborów – rzekł Bogart. – Potwornych. Tylko oni ponoszą odpowiedzialność, nikt więcej.

– Każdy człowiek ma swoją wytrzymałość – stwierdził Decker. – I możecie mówić, co chcecie, o niesprawiedliwości i o tym, że niektórzy potrafią otrząsnąć się z okrucieństw, jakich zaznali w swym życiu, ale każdy jest inny. Niekórzy są twardzi jak stal, inni krusi. Nigdy nie wiemy, co przypadnie nam w udziale.

– Decker, oni zamordowali twoją rodzinę – warknął Bogart.

Lancaster i Jamison wymienili nerwowe spojrzenia.

Decker nie patrzył na agenta.

– Dlatego złapiemy ich i dokonają żywota albo w więzieniu, albo w celi śmierci. Ale nie oczekujcie, że wyłącznie potępię Wyatt. Nie mogę tego zrobić i nie zrobię.

– Ciekawe, gdzie podziewa się Giles Evers – odezwała się Jamison.

– Mam nadzieję, że w piekle – odparł Decker.

Decker poprosił o podwiezienie do Residence Inn. Wspiął się po schodach na piętro i patrzył, jak SUV wytacza się z parkingu. Jamison wyglądała przez okno. Dyskretnie pomachała mu na pożegnanie.

Nie odwzajemnił gestu.

Wszedł do pokoju i usiadł na łóżku. Sprężyny ugięły się pod jego ciężarem.

Zamknął oczy i pomknął myślami do dwóch wizerunków tej samej osoby, ale w różnych sytuacjach i ubiorach.

Billy jako kelnerka w barze.

Billy jako sprzątaczkę w 7-Eleven.

Dobrze przyjrzał się twarzy Billy'ego sprzątaczkę, nie za dobrze twarzy Billy'ego kelnerki. Mocniej zmrużył oczy, jakby ustawiał ostrość w aparacie. Broda ta sama. Linia żuchwy. I dłonie. Ludzie zawsze zapominają o dłoniach, a przecież mogą one być równie charakterystyczne jak odcisk palca, jeśli się wie, na co zwracać uwagę.

Długie, delikatne palce, mały u prawej ręki krótki, paznokcie kelnerki niepomalowane lakierem, rozdwojony paznokieć na lewym palcu wskazującym, mała kurzajka na prawym kciuku. Ta sama osoba, bez cienia wątpliwości.

Ze zdumienia szeroko otworzył oczy.

Właśnie ujrzał Billy'ego. W kolorze. Po raz pierwszy.

Szary.

Podobnie jak dla wielu ludzi, tak i dla niego szarość była barwą kłopotliwą, nieokreśloną. Nie poddawała się żadnej konkretnej interpretacji. Mogła przechylać się na jedną lub drugą stronę. Ludzie desperacko pragnęli świata jednoznacznego, czarno-białego. Życie stawało się wtedy o wiele łatwiejsze. Trudne decyzje znikają; wszystko było precyzyjnie zorganizowane i skatalogowane. Tak samo ludzie. Ale świat tak nie wygląda. Ani ludzie, którzy go zamieszkują. Przynajmniej w odczuciu tych, którzy zadali sobie trud, by zgłębić jego złożoność.

Jego szarość.

Leopold był dla niego żółty. Żółć nie należała do barw ambiwalentnych. Decker odbierał ją jako przebiegłą, wrogą. Czasem kolory cechowała precyzja. Były równie jednoznaczne jak cyfry.

Fragmenty zaczynały układać się w spójną całość.

Ale dlaczego to ja stałem się celem? Czym ja ci, do diabła, zawiniłem, Belindo/Billy? No, czym?

Jedyny kontakt, jaki ze sobą mieli, to ten w instytucie dwadzieścia lat temu. Jego rodzinę zamordowano ponad szesnaście miesięcy temu. Spora odległość w czasie. Po co ta zwłoka? Dlatego, że tymczasem Belinda spotkała na swojej drodze Sebastiana Leopolda? A on pomógł jej dopaść Deckera? Zemścić się? Ale za co?

Instytut. Punkt zerowy dla nich obojga. Ograniczone wzajemne kontakty. Słowa wypowiedziane do siebie nawzajem? Absolutnie żadnego.

Ponownie zamknął oczy. Musi zrozumieć. Musi być bardzo drobiazgowy. Za każdym postępkim Wyatt stał konkretny powód. Działała z niesłychaną precyzją. Ta symetria była fascynująca w swojej degeneracji. Oraz w swej potworności. Więc i za tym musiała kryć się jakaś przyczyna.

Wewnętrzne wideo przesunęło się w przód i wstecz. Obrazy migły ze zdumiewającą prędkością, ale nic nie uchodziło jego uwadze. Widział wszystko, co było do zobaczenia, jakby akcja toczyła się na jego oczach w normalnym tempie. Nie, w zwolnionym. Każde słowo, każda chwila, wszystko posuwało się w ślimaczym tempie.

Podczas sesji grupowych snuł wizje swojej przyszłości. Mówił o nadziejach i marzeniach. Ale to samo robili wszyscy pozostali. Czy raczej wszyscy z wyjątkiem Belindy. Miała taką możliwość, ale nie chciała z własnej woli zdradzać przyszłych planów. Najwyraźniej ich nie miała, przynajmniej wtedy.

Cóż, to się zmieniło.

Niektórzy znali przeszłość Deckera, wiedzieli o traumie, o tym, że omal nie umarł na boisku. On sam nie miał pojęcia o ciężkich przeżyciach Belindy, ale być może nie zdawała sobie z tego sprawy. Może sądziła, że skoro ona zna jego przeszłość, to i on wie o niej. Tylko jakie to miało znaczenie?

Otworzył oczy, zmarszczył czoło, ponieważ jego umysł – ten nadzwyczajny, wypaczony, pourazowy umysł, który narodził się od nowa po śmierci i wskrzeszeniu – nie potrafił rozwiązać zagadki, dopasować wszystkich elementów układanki, żeby utworzyły spójną całość.

Decker wyszedł, ponieważ nie był w stanie usiedzieć na miejscu.

Pół godziny później znalazł się w komisariacie policji w Burlington. Zastał tam Millera. Bogart zdążył już zdać relację z wyprawy do Utah, o czym kapitan poinformował Deckera na wstępie.

– Nie wyglądasz najlepiej, Amosie – rzekł Miller.

– A powinienem? – odparł Decker.

Miller postukał się w głowę.

– Nie przychodzi?

– To tam siedzi. Tylko nie mogę wydobyć tego, co mi potrzeba.

– Masz wybitny umysł, ale przed nami wciąż jeszcze wiele znaków zapytania.

– Cóż, ktoś musi znaleźć odpowiedzi. Jeśli nie będę to ja, musi zrobić to ktoś inny.

– Sądzisz, że mogą się zwinąć i odjechać?

– Jeszcze nie teraz.

– Na co czekają? – zapytał Miller.

– Na mnie.

Decker zszedł do magazynu dowodów i z upoważnienia Millera wypełnił niezbędne dokumenty, żeby móc wejść do środka i przejrzeć zgromadzony dotychczas materiał. Ponieważ nie pracował już w policji, ktoś musiał mu towarzyszyć.

Tą osobą była Sally Brimmer, która wyjaśniła:

– Decker, nie ma dla mnie ważniejszej sprawy.

Usiedli przy stole. Decker przeglądał wszystkie torby z dowodami, wiele z nich sprawdzał dwukrotnie. W końcu po raz wtóry natknął się na własny mundur.

– Formalnie powinien był pan zwrócić odznakę – upomniała go Brimmer. – I tak już na nic się nie przyda. Porysowali ją.

Decker wziął do ręki torbę i przyglądał się przez folię odznace z wydrapanym iksem.

Skreślasz mnie. Tak jak skreśliłaś Gilesa Eversa. Miał na sobie mundur, gdy podstępnie zwabił cię do samochodu, Belindo. W pewnym sensie oni wszyscy nosili uniformy. Policjant, futboliści, trener, nawet wicedyrektor, odziany w pozory szkolnej władzy. Byłaś otoczona ludźmi, którzy powinni cię chronić, lecz tego nie zrobili. Zamiast tego cię zniszczyli. Zaczęło się od policjanta. Z odznaką. Taką jak moja.

Potał przez folię metalowy identyfikator. I nagle zmarł. Jakby pocierał czarodziejski pierścień. Pomyślał sobie głupie życzenie, nie przypuszczając, że może się spełnić. A jednak się spełniło.

Ostatni element układanki wskoczył na swoje miejsce.

I Amos Decker wreszcie pojął, czym sobie na to wszystko zasłużył.

Wszedł do szkolnej biblioteki w Mansfield z absolutną pewnością, że właśnie tak należy postąpić.

W środku pracowało z pół tuzina ludzi, ale nie znalazł wśród nich Lancaster, Jamison ani Bogarta. Pora była późna. Może próbowali się trochę przespać. Zabrzęczał telefon. O dziwo, dzwonił Bogart. Przekazał informacje na temat strony internetowej *W imię sprawiedliwości*. Powiedział także Deckerowi, że Wyattowie mieli prawie dziesięć milionów dolarów w środkach płynnych, ale że przez ostatnich dziewięć miesięcy wyprowadzano pieniądze z kont bankowych w tempie miliona dolarów miesięcznie. Decker uważnie słuchał.

- I co ty na to? – zapytał Bogart.
- Wszystko tworzy logiczną całość.
- Co to, do cholery, znaczy?
- Dokładnie to, co powiedziałem.
- Gdzie jesteś?
- U siebie, szykuję się do snu.
- Skontaktuję się z tobą rano.
- W porządku – odparł Decker.

Usiadł przy laptopie i się zalogował, wpisując otrzymane wcześniej hasło. Wszedł na stronę *W imię sprawiedliwości*. Był na niej program do zakładania osobistych kont kontaktowych, żeby ludzie mogli prowadzić prywatną korespondencję z założycielami strony. Wprowadził nazwę użytkownika oraz hasło, wypełnił formularz i zadał pytanie.

Na pewno monitorują tę stronę, pomyślał. Niemożliwe, by było inaczej. Może dlatego podrzucili informację o niej do domu Clyde'a Eversa, na wypadek gdyby Decker skojarzył fakty i złożył staremu wizytę. W tej układance każdy element miał przeznaczone sobie miejsce.

Minęło pół godziny. Godzina. Dwie godziny. Decker nie ruszał się sprzed komputera, widząc dookoła głównie szarość. Choć ten nowy umysł towarzyszył mu już od dwudziestu lat, Decker wciąż miał wrażenie, jakby żył w cudzym ciele. I że w każdej chwili wskutek specyficznego zerwania połączeń synaptycznych może znów stać się taki jak dawniej i mieć zupełnie przeciętny mózg.

Znów odezwał się telefon. Tym razem Jamison. Nie odebrał.

Dokładnie po trzech godzinach na nowym koncie Deckera wyskoczyło powiadomienie.

Wreszcie tu dotarłeś, brachu. Gratulacje.

Decker pojął także, do czego odnosiła się aluzja z brachem. W sumie to proste. Wszyscy byli braćmi, czyż nie? Wrzuconymi do jednego worka przez Wyatt. I przez Leopolda. Oczywiście było to krzywdzące. niesprawiedliwe. Jednak potrafił zrozumieć.

Wystukał na klawiaturze pytanie i wysłał. Czekał.

W końcu nadeszła odpowiedź. *Dlaczego mielibyśmy to robić?*

Nie spodziewał się, że tak po prostu przystaną na jego prośbę. Odpisał. Miał nadzieję, że przekonująco. Wątpił, by trafiła mu się jeszcze taka okazja.

Trzeba to kiedyś zakończyć. Dlaczego nie teraz? Zostałem tylko ja.

Rzeczywiście, został tylko on. Chyba że przeoczył coś naprawdę istotnego. Uważał jednak, że niczego nie pominął. Nie na tym etapie. Prawdę mówiąc, odkrył może coś, czego nie dostrzegł nikt inny. Dosłownie nikt, włączając w to tych dwoje po drugiej stronie internetowego łącza.

Oczywiście będą podejrzewać pułapkę. Nie mają nawet pewności, czy to naprawdę on. Spodziewał się jakiegoś testu. Pojawił się w kolejnej wiadomości.

Numer koszulki Dwayne'a LeCroix.

Z pewnością odrobili zadanie domowe. Albo Wyatt zasłyszała coś na jego temat w instytucie i odgrzebała tę informację z pamięci.

Dali mu pięć sekund na odpowiedź. Bez szans na sprawdzenie czegokolwiek w sieci. Ani Google, ani YouTube nie wchodziły w grę. Nie potrzebował jednak pomocy. Tamte dwie cyfry zapamiętałby na zawsze, nawet nie posiadając szczególnych talentów, nawet gdyby nie zobaczył ich tuż przed wypadkiem.

Odpisał natychmiast: 24.

Odpowiedź także nadeszła od razu.

Instrukcje dalszego postępowania za chwilę. Bądź gotów.

Czekał. Wewnętrzny zegar odmierzał w głowie czas. Trzysta sześć sekund później pojawiła się wiadomość. Uważnie przeczytał.

Sprytnie, przemyślane. Nie podejmowali najmniejszego ryzyka. Jakby podróżował dylizanssem z licznymi postojami po drodze, dającymi im wiele okazji do sprawdzenia, czy naprawdę jest sam. Po przebyciu jednego etapu podróży miał odebrać wiadomość, gdzie jechać dalej.

Najwyraźniej zaplanowali wszystko wcześniej, jakby dokładnie wiedzieli, jak rozegra się cała historia. To zaś, musiał przyznać Decker, solidnie wytrącało z równowagi.

Wstał i wyszedł. Po półgodzinie był z powrotem w swoim pokoju. Spakowanie praktycznie całego dobytku zajęło mu zaledwie trzy minuty.

Wszystko zmieściło się w niewielkiej torbie i zostało jeszcze wolne miejsce.

Stanąwszy przy drzwiach, obejrzał się za siebie. Jego dom. Jedyny, jaki obecnie miał. Jeden wynajęty pokój. Trudno nazwać go domem z prawdziwego zdarzenia. Opuszczając go, nie czuł absolutnie nic.

Gdyby sprawy potoczyły się źle, brakowałoby mu Lancaster, Millera i Jamison. Może nawet agenta Bogarta. Nikogo więcej.

Zamknął drzwi i wrzucił klucz przez otwór w drzwiach recepcji.

Wiedział, że tu nie wróci.

Tak po prostu musiało być.

Z wielu powodów.

62

Autobus zawiózł go do Crewe, trzy miasteczka za Burlington. Śnieg sypał coraz gęściej, światła na międzystanowej autostradzie wydobywały z mroku grube, mokre płatki, które będą zwiększać masę tej części kraju, dopóki opady nie ustaną. Wtedy wydział dróg i autostrad będzie całymi dniami usuwać śnieg tylko po to, by zobaczyć, jak Matka Natura sypnie nim ponownie.

Patrzył przez okno autobusu, nie wypuszczając z ręki telefonu. Nie powiedzieli mu, jaką drogą nadejdzie kolejny komunikat, wołał być przygotowany.

Wysiadł w Crewe wraz z trojgiem innych pasażerów. Ich bagaż był równie skromny jak Deckera, choć jedna kobieta miała walizkę, poduszkę oraz małe zaspane dziecko na przyczepkę.

Rozglądał się po peronie dworca autobusowego, stojąc pod śnieżnym nawisem. Prócz niego była tam tylko garstka ludzi, wszyscy sprawiali wrażenie osób o skromnych zasobach finansowych.

Zbliżał się do niego jakiś mężczyzna. Czarnoskóry, po sześćdziesiątce, brzuchaty, w zaśnieżonych butach i płaszczu z rozprutymi szwami po bokach. Na głowie nasunięta głęboko czapka uszanka. Miał zaparowane okulary. Zatrzymał się przed Deckerem i zapytał:

– Amos?

Decker kiwnął głową.

– Kim pan jest?

– Nikim. Ale ktoś dał mi sto dolców, żebym to panu przekazał, więc jestem.

– Podał Deckerowi świstek papieru.

– Kto to był?

– Nie widziałem.

– Skąd pan wiedział, że to ja?

– Powiedzieli: bardzo wysoki, gruby, groźnie wyglądający biały facet z brodą. Wypisz wymaluj pan.

Mężczyzna poczłapał, Decker zaś spojrzął na instrukcje.

Wszedł do hali dworca i kupił bilet na kolejny autobus. Miał do odjazdu dwie godziny. Kupił kawę w automacie. Raczej ciepłą niż gorącą, ale było mu wszystko jedno. Spędzał czas na obserwacji ludzi w poczekalni. Panował tam większy tłok, niżby się spodziewał. I wtedy coś sobie uświadomił.

Święto Dziękczynienia było tuż-tuż. Ludzie prawdopodobnie jechali w odwiedzin do swoich rodzin, żeby podzielić się wielkim indykiem.

On i Cassie nigdy nie świętowali razem tego dnia, głównie dlatego, że jedno albo drugie zawsze pełniło wtedy dyżur. Decker spędził niejedno Święto Dziękczynienia, wcinając posiłek w taniej restauracji albo barze szybkiej obsługi.

Cassie przypadła w udziale szpitalna stołówka. Ten, kto w danym roku zostawał w domu z Molly, szedł z nią na uroczysty obiad do miasta. Lubili ten zwyczaj i nigdy nie mieli poczucia, że omija ich coś wspaniałego.

Patrząc teraz na tych ludzi, Decker doszedł do wniosku, że ominęło go więcej, niż myślał.

Następny autobus dowiózł go do granicy z Indianą.

Na dworcowym parkingu stał kompaktowy samochód z włączonym silnikiem. Instrukcja mówiła, żeby podejść do wozu i zastukać w okno kierowcy. Wiedział, że to także test.

Zbliżył się do auta i zapukał w okno.

Siedząca za kierownicą kobieta opuściła szybę i poleciła:

– Niech pan wsiada z tyłu.

Posłuchał. Gdyby śledziło go FBI, właśnie w tym momencie powinni otoczyć samochód. Nie otoczyli. Bo wcale za nim nie jechali.

Usiadł na tylnej kanapie. Samochód był mały, zaklinowały mu się kolana.

– Zna pani moich przyjaciół? – zagadnął.

– Ja nie mam przyjaciół – odparła. Siwe włosy kobiety zwisały w strąkach, jej ciało wydzielało ostry, nieprzyjemny odór, szczególnie dokuczliwy w gorącej kabinie – maksymalnie podkręciła ogrzewanie. Chropowaty głos oraz unosząca się w wozie mgiełka papierosowego dymu wróżyły bolesną śmierć na raka płuc.

– To niedobrze – powiedział.

– Mnie tam zwisa.

– Ile pani zapłacili?

– Dość.

– Spotkaliście się?

– Nie.

– Wie pani, o co chodzi?

– O sześćset dolców dla mojej szacownej osoby. Nie potrzebuję nic więcej wiedzieć.

Wrzuciła bieg i szybko ruszyła z miejsca. Podróż trwała tak długo, że Decker w jej trakcie przysypiał. Dość niezwykle, jak sobie pomyślał po przebudzeniu, bo przecież jechał po własną śmierć.

A ściślej, po śmierć z rąk zabójcy.

Zjechali na drogę międzystanową numer 74, dotarli prawie do Seymour, następnie skręcili na drogę numer 65, zmierzając na północ w stronę Indianapolis. Ale odbili w bok znacznie wcześniej. Mknęli na zachód, mijając Nashville. Decker zauważył drogowskaz do Bloomington na południu, jednak ominęli zjazd. Pomyślał sobie, że być może prują do samego Terre Haute w pobliżu granicy z Illinois, lecz wtedy kobieta zatrzymała się na pasie awaryjnym przy zjeździe, kilka mil przed miejscem, gdzie można połączyć się z drogą numer 70,

przecinającą stan ze wschodu na zachód.

– Niech pan idzie tym poboczem. Dotrze pan do parkingu. Tam ktoś będzie czekał.

Wysiadłszy z samochodu, Decker znów pomyślał, że wszystko zostało zaplanowane dużo wcześniej, jeszcze zanim skontaktował się z nimi przez stronę internetową. Wyraźnie tego się po nim spodziewali. Albo przynajmniej na to liczyli.

I się nie przeliczyli. Co oznacza, że przejrzeni go na wylot.

Miał cichą nadzieję, że i on ich przejrzał.

Brnął w śniegu do parkingu, z torbą przewieszoną przez ramię. Opady osłabły, ale buty miał kompletnie przemoczone. Burczało mu w brzuchu i kapało z nosa.

Biała furgonetka wycofywała się z pierwszego miejsca postojowego. Na widok Deckera dwukrotnie mrugnęła światłami. Opuściła się szyba po stronie kierowcy. W samochodzie siedziała kobieta o zapadniętych policzkach. Wyglądała jak narkomanka, która raz po raz trafia na odwyk.

– Może poprowadzę? – zagadnął Decker, mierząc wzrokiem jej wymizerowaną postać. – Chciałbym dojechać na miejsce w jednym kawałku.

Pokręciła głową i wskazała kciukiem na tył furgonetki.

– Na pewno jest pani w stanie prowadzić?

W odpowiedzi wrzuciła bieg, patrząc przez przednią szybę.

Decker wgramolił się do tyłu i zasunął za sobą drzwi.

Kobieta ruszyła, gdy Decker sadowił się na fotelu.

Lufa przyłożona do prawej skroni nie zaskoczyła go przesadnie. W końcu ilu ludzi mogli zaangażować, by dowieźć go do tego punktu? Uznał, że maksymalnie dwoje, i się nie mylił.

Odebrano mu torbę i wyrzucono ją przez tylne drzwi. Został poddany rewizji i zorientował się, iż obszukujący go człowiek był zaskoczony, że Decker nie jest uzbrojony. Zabrano mu też telefon i także ciśnięto go za drzwi.

Mężczyzna pociągnął Deckera za rękaw i rzucił mu na kolana pomarańczowy kombinezon. Decker przytrzymał go w górze.

– Trochę za mały.

Nikt nie zareagował.

– Belindo, podajesz się teraz za Billy'ego? – rzucił w stronę kierowcy. – Czy to tylko na potrzeby występów w 7-Eleven?

Obserwował, jak z głowy znika peruka. Oczy, które błysnęły we wstecznym lusterku, były tymi samymi, które widział w sklepie spożywczym. Ale bardzo różniły się od tamtych zapamiętanych z instytutu należących do zdruzgotanej nastolatki nazywającej się Belinda Wyatt. Tamta dziewczyna zniknęła na zawsze.

– Przebranie było doskonałe – pochwalił – ale zapamiętałem twoje ręce.

Trudno je zmienić, chyba że włożyłabyś rękawiczki.

Patrzyła na niego bez słowa, lecz Decker widział w jej oczach nagromadzoną przez dwadzieścia lat nienawiść, która miała wkrótce wybuchnąć.

Wymierzoną we mnie.

Decker wziął kombinezon.

– Mogę prosić o odrobinę prywatności?

Oczy się odwróciły.

Zaczął się rozbierać, co dla człowieka jego postury było trudne w tej ciasnocie. Facet z bronią odebrał od niego ubrania i buty i wyrzucił na zewnątrz. Decker wcisnął się w kombinezon, ale nie mógł zasunąć zamka, ponieważ przeszkadzał mu pokaźny brzuch.

Opadł na siedzenie i odwrócił się do mężczyzny, który kucnął z tyłu z pistoletem w dłoni.

– Witaj, Sebastianie.

Decker zlustrował pistolet. Smith & wesson kaliber 45. *Ta sama czterdziestka piątka.* Ta, z której zastrzelono jego żonę oraz połowę osób w Mansfield. Ta broń była ostatnią rzeczą, jaką widziała jego żona, zanim straciła życie. Być może zabili z niej także Gilesa Eversa, tego nie był pewien. A może policjantowi, który okazał się gwałcicielem, wcale nie była pisana szybka śmierć od kuli. Tak czy inaczej, Giles Evers nie obchodził go ani trochę.

Leopold mocniej przycisnął lufę do skroni Deckera.

– Nie znałem twojej sytuacji, Belindo – mówił Decker – kiedy wstałem podczas sesji grupowej i oznajmiłem, że chciałbym strzec porządku publicznego, zostać policjantem. Nie wiedziałem wtedy, że zwabił cię podły policjant, zgwałcił wraz z innymi i nieomal zabił.

Oczy znów błysnęły w lusterku, ale kierowca nadal milczał.

Decker błyskawicznie cofnął się myślami do tamtego dnia w instytucie. Młodszy o dwadzieścia lat, stał na środku i opowiadał, że jego ambicją jest wstąpienie do organów ochrony porządku publicznego, bycie dobrym policjantem. Że chce chronić innych, pilnować, by nie działa im się krzywda. Rozejrzał się po zgromadzonych, ludziach takich jak on, o nowych i czasem przerażających umysłach i osobowościach. Jego słowa spotkały się z pełnymi podziwu uśmiechami ze strony jednych oraz obojętnością ze strony drugich. Ale jedna para oczu spoglądała na niego inaczej. W tym spojrzeniu było coś więcej niż suma wszystkich pozostałych spojrzeń. Teraz dostrzegał to wyraźnie. Jego perfekcyjny umysł nie był, jak widać, bez wad, ponieważ to wspomnienie, choć zawsze obecne, nie zwróciło jego uwagi. Prześlizgiwał się po nim aż do chwili, kiedy zatrzymał się przy nim na dłużej. Uświadomił to sobie w komisariacie policji w Burlington, kiedy pocierał przez plastikową folię swoją starą policyjną odznakę.

Mój magiczny pierścień. Życzenie, które się spełnia. Śmierć.

Plastikowa odznaka, pomyślał tuż przed momentem oświecenia. Plastikowy policjant. Nieprawdziwy. Policjant, który krzywdzi. Giles Evers.

Po moich deklaracjach wrzuciłaś mnie z nim do jednego worka. I chyba potrafię to zrozumieć, ponieważ w tamtej chwili byłaś prawdopodobnie całkowicie bezbronna, jak nigdy wcześniej i nigdy potem.

Przypomniał sobie tamte oczy. Nigdy nie widział tak głębokiego, a zarazem przerażonego spojrzenia. Wtedy jednak nie dotarł do niego ów fakt, ponieważ okropnie się denerwował, stojąc przed nieznanymi i snując wizje swojej przyszłości.

Mózg przestał odtwarzać taśmę z przeszłości i powrócił do teraźniejszości. Decker powiedział do Wyatt:

– Więc dlatego wzięłaś mnie na celownik, tak? „Brachu”? Braterstwo policjantów. Braterstwo futbolistów. Bo byłem jednym z nich? Wiedzieli o tym wszyscy w instytucie. Byłem ich bratem, nie twoim. Giles Evers i jego paka? Przyjechałem tu, aby ci powiedzieć, że nie wiedziałem, co przeszłaś. Gdybym miał tego świadomość, nie powiedziałbym tego, co powiedziałem. Przepraszam. Chciałem zostać policjantem, ponieważ pragnąłem pomagać ludziom. A nie zadawać im cierpienie, tak jak Giles Evers obszedł się z tobą.

Jechali dalej. Żadne z nich nie odzywało się słowem i Decker zaczynał zastanawiać się dlaczego. Postanowił mówić dalej, póki nie doczeka się jakiejś reakcji. Być może zbierali w sobie odwagę, by wcielić w życie zamiar, jaki wobec niego powzięli. Lecz z drugiej strony zamordowali już tak wielu ludzi, że wątpił, by potrzebowali specjalnych przygotowań do wpakowania mu kuli.

– Spotkałem się z Clyde'em Eversem. Opowiedział mi, co wydarzyło się w liceum w Utah. Teraz rozumiem, dlaczego zrobiłaś to w Mansfield. Ale może chciałabyś coś dopowiedzieć? – Wpatrywał się w nią wyczekująco.

Oczy znów zaświeciły się w lusterku. Tym razem nie patrzyły na Deckera. Tylko na Leopolda.

Decker zauważył kątem oka, że wylot lufy leciuteńko drgnął w górę i w dół. Gdy kiwa się głową, ręka czasem porusza się w tym samym kierunku. Więc to Leopold wydawał tu rozkazy. Znamienne. I być może pomocne w przeprowadzeniu obmyślonego przez Deckera planu.

Ponieważ nie tylko ci dwoje mieli misję. Amos Decker także. Nie przyjechał tu tak po prostu umrzeć, choć była to bardzo realna możliwość.

– To chyba mówi samo za siebie, co? – odezwała się Wyatt.

Jej głos był głębszy niż wtedy, gdy była kobietą, i głębszy niż wtedy, gdy odgrywała w sklepie rolę Billy'ego z wiadrem. Niesamowite, jak potrafiła go modulować. Jednak ton był dużo mniej istotny niż słowa. Na niczym jej nie zależało. Nie dręczyły jej żadne wyrzuty sumienia. Spojrzenie ziało pustką. Miała teraz trzydzieści sześć lat. Wątpił, by przez ostatnich dwadzieścia przeżyła choć

jeden normalny, spokojny dzień. Coś takiego musi odcisnąć na człowieku piętno. Jak można szanować świat oraz żyjących na nim ludzi, jak można ich cenić i się o nich troszczyć, skoro brzydzi ich już sam fakt, że dzielisz z nimi i c h planetę?

– Zabiłaś tych, którzy cię zgwałcili? To znaczy oprócz Gilesa Eversa?

– To byłoby nazbyt oczywiste – odparła Wyatt. – Dlatego wybrałem symbolizm zamiast dosłowności.

Po tych okrutnych słowach Decker poczuł wypieki na twarzy. Jego żona i córka zostały zredukowane do symboli przez chory, wypaczony umysł pałający żądzą zemsty?

Czuł na policzku oddech Leopolda. Czosnek i soki trawienne, zero alkoholu. To dobrze. Nie chciał, żeby jakiś napruty gość przykładął mu lufę do głowy. Ale facet brał też narkotyki. A narkotyków nie da się wyczuć w oddechu.

Nie widział tatuazu z delfinami, ponieważ zasłaniał go rękaw. Jednak z pewnością tam był, Decker nie miał wątpliwości. Tatuaz był autentyczny. Wszystko opisano w kartotece Leopolda. Co do joty. Decker zapamiętał każde słowo. Zbrodnia popełniona na rodzinie. Ze szczegółami. Akta Eversa i państwa Wyatt. Haracz od Eversa. Pieniądze, które znalazły się na koncie. Strona internetowa *W imię sprawiedliwości*. Interesujący materiał. Szalenie interesujący.

– Wydaje mi się, że rozumiem twój punkt widzenia. Ofiary w Mansfield były niewinne, ale kto w twoich oczach jest tak naprawdę niewinny? Nikt.

– Wiem, że nie potrafisz odczuwać żalu, współczucia ani empatii – powiedziała Wyatt. – Bo ja też nie. Więc się nie wysilaj. Nie jestem głupi. Jestem taki jak ty.

Akurat.

– Znaleźliśmy twoich rodziców – ciągnął Decker. – Zostaną pochowani jak należy. Nie wiem, co ty na to. Pokazałaś już, co o nich myślisz. Lekarz sądowy orzekł, że długo tam siedzieli. Teraz będą mieli pogrzeb.

Lufa wwierciła się głębiej w skórę Deckera. Mówił dalej:

– Moja córka nie dożyła wieku, w którym zostałaś zgwałcona. Zabrakło jej około sześciu lat.

– Sześciu lat, jednego miesiąca i osiemnastu dni – uściśliła Wyatt. – Umarła przed dziesiątymi urodzinami. A dokładniej – z a b i ł e m ją trzy dni przed jej dziesiątymi urodzinami.

Decker poczuł, jak narasta w nim gniew, co było ostatnią rzeczą, jakiej w tej chwili potrzebował.

– Trzy dni, cztery godziny i jednaście minut – poprawił.

Ich spojrzenia spotkały się w lusterku. Nie odrywając od niej oczu, zapytał:

– Ty też masz hipermnezję, Sebastianie?

– On nie – odparła Wyatt. – Tylko ty i ja jesteśmy odmieńcami.

– Nie jesteś żadnym odmieńcem. Ja też nie.

– Och, przepraszam, nie zdawałem sobie sprawy, że masz jajniki. Pomyliłem się.

– Wiesz, o co mi chodzi.

– Kochana mamusia i kochany tatuś dostrzegli w gwałcie na mojej osobie sposób na wzbogacenie się. Wiesz, co powiedział mi mój własny ojciec?

– Co? – Decker nie spodziewał się po Wyatt takiej wylewności, zwłaszcza po pierwszych zdawkowych słowach. Teraz jednak uświadomił sobie, że Wyatt potrzebuje się wygadać. Powiedzieć różne rzeczy, wyrzucić je z siebie. Zanim go zamorduje. To wszystko było częścią procesu. Procesu zachodzącego w jej umyśle.

Oraz w moim.

– Powiedział, że najwyższy czas, abym wniósł coś dobrego w ich życie. Jak gdyby gwałt był dla nich dobrodziejstwem. Tak to widział. Wydusili forsę od Clyde'a Eversa i wybudowali sobie podniebny zamek. Nigdy nie wpuścili mnie do środka. A to był przecież mój dom. Ja go kupiłem, nie oni.

– Rozumiem.

– Nawet nie pisnęli słowa o przeprowadzce. Wysłali mnie do psychiatryka. Kiedy tydzień później przyjechałem do domu, ich tam nie było. Musiałem radzić sobie sam. Zwyczajnie mnie porzucili.

– Byli okrutni, prymitywni i źli, Belindo.

Oderwała wzrok od lusterka.

– Kogo to obchodzi? Teraz są już tylko martwi.

– Ja też umarłem. Nie raz, a dwa razy.

W lusterku znów pojawiły się oczy.

– Na boisku. Po uderzeniu. Reanimowali mnie dwukrotnie, może nie powinni byli zawracać sobie głowy. Ponieważ wtedy nie powiedziałbym nic w instytucie i ci wszyscy ludzie by żyli. Jedno życie ocaliłoby tak wiele innych. Uważam, że to całkiem niezły interes.

– Może i byłoby lepiej – przyznała Wyatt. – Ale nie umarłeś. Ja też nie umarłem. Wygramoliłem się z tego kontenera. Może i szkoda. Może też powinienem był tam po prostu umrzeć.

Przy tych ostatnich słowach jej głos przeszedł w szept i Decker zastanawiał się, czy to przypadkiem nie przejaw wyrzutów sumienia, a przynajmniej zbliżonych do nich emocji, do których byłaby zdolna Wyatt.

– Widzę zabójstwo mojej rodziny na niebiesko – rzekł Decker, ponownie ściągając na siebie jej spojrzenie. – Wiem, że nie cierpisz na synestezję. To dziwne uczucie widzieć rzeczy w jednolitym kolorze, którego nie powinno tam być. Między innymi właśnie to napędziło mi cholernego stracha, kiedy obudziłem się w szpitalu i przekonałem, że jestem innym człowiekiem.

– Zacznijmy od tego, że ja od początku byłem dwiema różnymi osobami – rzuciła Wyatt. – A po gwałcie i niemal śmiertelnym pobiciu stałem się kimś

całkowicie innym. Więc było nas już trzy. Ciut tłoczno jak na kogoś moich rozmiarów. – W jej głosie nie wyczuwało się ani cienia żartobliwości. Mówiła to ze śmiertelną powagą. Decker nie spodziewałby się niczego innego.

– Wybrałaś płęć męską zamiast żeńskiej? Dlaczego?

– Mężczyźni to drapieżcy. Kobiety są ich ofiarami. Postanowiłem już nigdy nie paść ich ofiarą. Wolałem rolę drapieżnika. Potrzebowałem do tego kompletu jaj i cystyny testosteronu. Teraz to mam i w moim świecie wszystko jest na swoim miejscu.

Decker wcześniej wywnioskował, że Leopold rozdaje tu karty, ale może jednak się mylił. Jeśli tak, sprawy mogły się potoczyć niezupełnie po jego myśli.

– Dokąd jedziemy?

– Dokądś.

Tym razem odezwał się Leopold. Decker zastanawiał się, kiedy mężczyzna zamierza zmanifestować swoją pozycję. Może chciał pokazać Deckerowi, że to nie Wyatt pociąga za wszystkie sznurki.

Dobrze, Sebastianie, tak trzymaj. Potrzebuję cię po swojej stronie. Do czasu.

– „Dokądś” to zawsze coś. Lepsze niż „donikąd”.

– Dlaczego tu jesteś? – zapytał Leopold. – Dlaczego przyjechałeś?

– Stwierdziłem, że oszczędzę wszystkim kłopotu. Wiedziałem, że wybieracie sobie na ofiary wszystkie związane ze mną osoby. Nie chciałem, by ktokolwiek jeszcze przeze mnie zginął. Byłem zaskoczony, że w wypadku rodziny Lancasterów poprzestaliście na ostrzeżeniu.

Zerknął w lusterko i znów ujrzał tam oczy obserwującej go Wyatt.

– Na pewno nie masz w sobie żadnej empatii? – zapytał Decker. – Przecież mogłaś ich zabić.

– Nie byli warci zachodu.

– Sandy ma zespół Downa, o tym wiesz. Stawiasz sobie jakieś granice? Nie posunęłabyś się do zabicia takiego dziecka?

Wyatt skupiła wzrok na drodze.

– Tak ochoczo zmierzasz do końca własnego życia? – odezwał się Leopold.

Facet zrobił się nagle nad wyraz rozmowny. Jego formalne i trochę niezgrabne słowa były kolejną wskazówką, że angielski nie jest jego ojczystym językiem.

– Wszyscy musimy kiedyś umrzeć.

– A dzisiaj wypada twoja kolej – uciał Leopold.

63

Jechali jeszcze przez dwie godziny. Decker nie miał pojęcia, gdzie się znajduje, i było mu to całkowicie obojętne. Pomoc nie nadejdzie.

Furgonetka w końcu zjechała z drogi i Decker podskoczył, gdy koła zetknęły się z wyboistą nawierzchnią, ale to nie był jeszcze kres ich podróży.

Ostro skręcili w lewo, chwilę później wozem zarzuciło przy hamowaniu i stanęli. Wyatt wysiadła, Leopold dał Deckerowi znak, by poszedł w jej ślady. Bose stopy dotknęły zimnego żwiru, Decker skrzywił się, kalecząc sobie prawą stopę o ostry kamień.

Nad drzwiami budynku, do którego szli, była zamontowana stara lampa w zardzewiałej metalowej osłonie. Decker dostrzegł wyblakłe, łuszczące się pozostałości po napisie wymalowanym czerwoną farbą na białej ceglanej ścianie.

As. Instalacje wod.-kan. Rok zał. 1947.

Farba wyglądała jak zastygła krew na bladym trupie. Decker spojrzął w prawo i w lewo, ale nie widział nic prócz drzew. Opuszczony teren otaczało walące się ogrodzenie z drucianej siatki.

Decker, mocno popchnięty przez Leopolda, zatoczył się do środka baraku za wchodzącą jako pierwsza Wyatt. Leopold zaryglował za nimi drzwi.

Wyatt była ubrana w dżinsy i wiatrówkę z kapturem. Pod peruką miała krótkie, przeredzone na skroniach jasne włosy. Wcielając się w Billy'ego, nosiła inną perukę, która radykalnie zmieniła jej wygląd; podobnie było przy występie w roli kelnerki. Decker doszedł do wniosku, że jeszcze kilka lat i Wyatt może wyłysieć.

Jeśli w ogóle pozostało jej tych kilka lat życia. Jeżeli którekolwiek z nich miało je przed sobą.

Wnętrze oświetlała słaba żarówka. Całe z betonu, niemal puste, podłoga oraz ściany pobrudzone smarem i czymś jeszcze. W głębi pomieszczenia, na starej krzywej półce z metalu leżały jakieś zespawane rury. Drewniane biurko z wsuniętym pod blat krzesłem stało obok wejścia do drugiego pomieszczenia. Za biurkiem ustawiono szafkę na dokumenty. Pod ścianą piętrzyły się drewniane skrzynki. Okna były zakratowane i zasłonięte.

Wyatt wysunęła krzesło i wlokła je za sobą po podłodze. Podskakiwało wściekle na wykruszonym betonie.

Leopold kazał Deckerowi usiąść, wskazując krzesło lufą pistoletu.

Decker usłuchał. Wyatt wzięła mocną taśmę klejącą i owijała ją wokół Deckera oraz krzesła, aż stali się jednością. Następnie wyciągnęła zza biurka duże pudło, przyniosła bliżej i odwróciła do góry dnem. Ze środka wysypały się z brzękiem na podłogę wszystkie skradzione w Mansfield puchary. Wszystkie te, które miały wygrawerowane nazwisko Amosa Deckera.

Wyatt chwyciła i zaczęła oglądać jedno z trofeów.

– Futboliści i policjanci, moi ulubieńcy. – Wypuściła puchar z rąk.

Przyciągnęli dwie stare skrzynki i usiedli na nich, patrząc prosto na Deckera.

Odwzajemnił spojrzenie, obejmując wzrokiem ich oboje, chłonąc każdy szczegół. Zorientował się, że Wyatt robi dokładnie to samo.

W niczym nie przypominała nastoletniej dziewczyny, którą Decker spotkał

w instytucie. Dwadzieścia lat wyłobilo rysy jej twarzy, która zapadła się, zmizerniała, jakby od permanentnego głodu. Usta Wyatt miała spierzchnięte i okrutne. Wokół nich nie było żadnych zmarszczek mimicznych świadczących o skłonności do uśmiechu. Jakże Wyatt mogłaby mieć powody do radości? Na wysokim czole widniały marsowe bruzdy, które zaczynały się tworzyć już w instytucie.

Decker spojrzał na Leopolda. Doprowadził się trochę do porządku od czasu ich spotkania w barze. Był uczesany, miał czyste ubranie.

– Moglibyście odpowiedzieć na kilka dręczących mnie pytań? – poprosił Decker. Ponieważ oboje milczeli, ciągnął: – Stary mężczyzna i stara kobieta, których widziano w okolicy mojego domu, a potem w pobliżu domu Lancaster... To byłaś ty?

Wyatt wstała, naciągnęła kaptur na głowę, przygarbiła się, udała, że chwytła laskę, i pokuśtykała wolnym krokiem przez pomieszczenie. Perfekcyjnie naśladowując głos mężczyzny w podeszłym wieku, przemówiła:

– Czy mógłbyś pomóc mi znaleźć mojego pieska, Jasperze? Mam tylko jego. Zsunęła kaptur i wyprostowała plecy.

– Mogę nabrać każdego – oznajmiła, świdrując Deckera wzrokiem. – Stać się, kim tylko chcę.

– Tak, to prawda – przyznał Decker.

Zastanawiał się, czy Wyatt zawsze miała taką zdolność do metamorfozy. Uwięziona pomiędzy dwiema płciami, tkwiąca jedną nogą w każdej z nich, z tożsamością w żadnej, w stanie głębokiego zawieszenia. Odgrywając rolę Billy'ego, zmieniła się w sposób niezwykle. Beztroska, powierzchowna, nieszkodliwa. Rzeczywiście, mogła wcielić się w dowolną postać.

No, może z wyjątkiem jednej. Samej siebie.

Wyobrażał sobie Wyatt przemierzającą korytarze Mansfield w dziwnym stroju, który dodawał jej wzrostu i masy. Chuchro – niegdyś płci żeńskiej – przeobrażone w olbrzyma z bronią, dokonującego rzezi z taką łatwością, jakby rozdeptywał robaki w trawie. Mężczyzna jako drapieżnik. Mężczyzna, na którego nigdy nie ośmieli się podnieść ręki inny mężczyzna. Jak podniósłby na kobietę.

– Dlaczego zostałeś na noc w chłodni? Dlaczego po prostu nie weszłaś tunelem od strony bazy i nie spotkałaś się z Debbie w sali zajęć praktyczno-technicznych?

– Ponieważ Debbie spędziła ze mną noc w chłodni – padła odpowiedź. – Wymknęła się z domu. Zrobiliśmy to tam. Pierwszy raz. – Wyszczrzyła zęby w uśmiechu, lecz jej oczy wcale się nie uśmiechały. – Uważała, że to takie niesamowite! Seks w chłodni. Po ciemku. Wróciły do mnie wspomnienia z przeszłości. Zgwałcili mnie w szkolnej stołówce. A teraz to ja byłem facetem i robiłem dobrze dziewczynie. Po wszystkim wyszła. Rano przedostałem się

podziemnym korytarzem na drugi koniec szkoły.

– Ile wiedziała o planie? – spytał Decker. – Znaleźliśmy rysunek twojej postaci w kamuflażu.

– Czasem wkładałem ten strój na nasze spotkania. Powiedziałem jej, że służyłem kiedyś w wojsku, a teraz pracuję w wywiadzie wojskowym. Uważała, że to superfajne. Wyjaśniłem, że rozpracowuję potencjalną komórkę terrorystyczną i że mogłaby mi pomóc. I oczywiście w końcu ją uwiodłem. Nie było trudno. Nie miała pojęcia, jaki jest prawdziwy plan. Po prostu myślała, że zrobimy to w sali lekcyjnej w samym środku wypełnionej ludźmi szkoły. Oczywiście to ja podsunąłem ten pomysł. Musiało tak się to odbyć.

– A skąd przeświadczenie, że dziewczyna wie o podziemnym tunelu?

– Wiele lat temu przeczytałem artykuł na temat schronów przeciwbombowych, które zakładano pod szkołami. Uznałem, że i w Mansfield może być coś takiego z racji sąsiedztwa bazy wojskowej. A może coś więcej. Spenetrowałem więc dawną bazę. Dostanie się do środka nie nastęczało trudności. W szufladzie w jednym z pomieszczeń znalazłem grafik dyżurów z nazwiskami pracowników. Na liście figurował Simon Watson, odpowiedzialny za prace inżynieryjne. Poszperaliśmy trochę z Sebastianem i odkryliśmy, że ten człowiek mieszkał z Watsonami i że Debbie uczy się w Mansfield. Pewnego razu niby to wpadłem na dziewczynę. Potrzebowałem trochę czasu, powoli ujawniałem moje „tajne” zadanie, aż wreszcie od słowa do słowa doszliśmy do jej pradziadka i jego opowieści o bazie. Wiedziała o tunelu i, ogólnie rzecz biorąc, znała jego przebieg. Wiedziała także, że łączy się z bazą, nie wiedziała natomiast dokładnie, w którym miejscu. Tak czy inaczej, wyciągnęliśmy od niej potrzebne informacje. Zaczęliśmy od bazy i posuwaliśmy się w kierunku szkoły. Wszystko zbiegło się w czasie. A ponieważ dziewczyna była przekonana o mojej tajnej misji, rozumiała, dlaczego nikt nie może o nas wiedzieć. Dochowała tajemnicy. Okazała się bardzo przydatna.

– Nazywała cię J e z u s e m, wiesz? Byłaś jedynym jasnym punktem w jej życiu. Musiała bardzo cię kochać. Póki nie rozwaliłaś jej głowy. Jezu.

Wyatt milczała.

Decker przeniósł spojrzenie na Leopolda.

– Czy to ty skonstruowałeś strój do akcji w szkole?

– Zrobiliśmy to razem – uprzedziła odpowiedź Leopolda Wyatt. – Wszystko robimy razem.

– I dowiedzieliście się, kto gra w drużynie futbolowej oraz w jakich są klasach?

– Tak, też od Debbie – potwierdziła. – Powiedziałem jej, że być może będę musiał zwerbować kilku z nich, w razie gdybym potrzebował lokalnych osiłków. Bujda na resorach, ale ona uwierzyłaby we wszystko.

– A *W imię sprawiedliwości*? Podrzuciliście tę kartkę do nory Eversa

w Utah, więc, jak się domyślam, chcieliście, żebyśmy o tym wiedzieli. To dzięki tej stronie mogłem się z wami skontaktować.

– Nie jestem sam – rzekła Wyatt.

– Nie jesteś sam? – powtórzył Decker, utkwivszy wzrok w Belindzie.

– Jest wielu takich jak ja. Oni też mogą doczekać się sprawiedliwości.

Decker skinął głową.

– Jakiego imienia obecnie używasz? Czy może mam się zwracać do ciebie po nazwisku? Wyatt?

– Możesz mi mówić Belinda. Znamy się z tamtych czasów, nie z obecnych. Zresztą to już długo nie potrwa.

– No dobrze, Belindo. Czy to Leopold zapoznał cię ze stroną *W imię sprawiedliwości*?

Wyatt wydawała się zaskoczona.

– Skąd możesz to wiedzieć?

– To zagraniczna strona. A Leopold jest Austriakiem. Jego rodzinę zamordowano. To właśnie on założył tę stronę. Dobór niektórych słów wskazuje, że angielski nie jest ojczystym językiem jej twórcy.

Wyatt i Leopold wymienili spojrzenia.

Decker poruszył się na krześle.

– Wiesz co, byłoby ci łatwiej po prostu mnie zabić – powiedział. – I zostawić moją rodzinę w spokoju.

– Mnie nikt nie zostawił w spokoju – odparła Wyatt. – Nikt. – Wyciągnęła nóż z kieszeni i podniosła w rękę. – Tym zabiłem Gilesa Eversa. Do jego ojca przyjdzie wkrótce przesyłka.

– Zniknął dawno temu. Co z nim robiliście przez tyle czasu?

– Różne rzeczy – odparła. – I już. – Miała taką minę, jakby chciała się uśmiechnąć, ale najwyraźniej była do tego niezdolna.

– Wydaje mi się, że Clyde nie przepadał za swoim synem. Giles w pewnym sensie zrujnował mu życie.

Wyatt wstała, przeszła kilka kroków i wbiła nóż w udo Deckera.

Krzyknął. Kiedy zaczęła wiercić ostrzem w ranie, wrzeszczał, klął i wił się na krześle, próbując się uwolnić. W końcu wyciągnęła nóż i Decker się osunął, po czym zwymiotował z bólu.

– Nie przeciąłem tętnicy udowej – oznajmiła ze spokojem, zajmując miejsce na skrzyni. – Wiem, gdzie przebiega. Uwierz mi. Czytam mnóstwo książek medycznych. Oraz o balsamowaniu – dodała. Postukała się w skroń. – Jak doskonale wiesz, my nigdy nie zapominamy. Niczego.

– Szybko ci nie odpuścimy – dorzucił Leopold.

Zakleił taśmą ranę, choć krew nadal pieniała się przy brzegach.

Popielaty na twarzy Decker podniósł głowę. Wyatt świdrowała go wzrokiem.

– Uważasz, że zrujnował mu jego pieprzone życie? Tak ci się wydaje?

– Nie tak jak zrujnowano twoje, o nie – wysapał Decker, wypluwając resztki wymiocin. Sprawy zaczynały przyspieszać. Nie mógł sobie pozwolić na najmniejszy błąd. Zerknął na Leopolda. – Ilu ludziom takim jak Belinda pomogłeś znaleźć sprawiedliwość?

– Niewystarczająco wielu.

Umysł Deckera zastosował mechanizm kompartmentalizacji, żeby choć na chwilę odsunąć ból. Musiał mieć jasność myśli. Musiał móc powiedzieć to, co sobie zaplanował. Inaczej będzie po wszystkim.

– Dobrze, że siedziałeś w więzieniu, kiedy doszło do zabójstw. Tych u mnie w domu i w szkole Mansfield. Sędzia puścił cię wolno z uwagi na żelazne alibi.

– Mój obecny tutaj kolega chciał pełnić honory. Tak było sprawiedliwie – odparł Leopold.

– A więc wbrew temu, co deklarowaliście, wcale nie robicie wszystkiego razem. Przynajmniej nie w trakcie samej zbrodni. Mamy dowody przeciwko Belindzie, fizyczne dowody, natomiast żadnych przeciwko tobie.

– Nic na mnie nie macie – rzuciła ostro Wyatt.

– Twoi rodzice padli ofiarą morderstwa. Lekarz, który zajmował się tobą w instytucie, też został zamordowany. Rozumiem, czemu go zabiłaś. Wykorzystał cię. Kolejny domniemany opiekun, który wyrządził ci krzywdę. Pozostawiłaś próbki odręcznego pisma w wielu miejscach. Mamy twój odcisk palca zdjęty z wiadra w 7-Eleven. Oraz kolejny z toalety w barze, gdzie zatrudniłaś się jako kelnerka. – Były to w większości kłamstwa, ale bez znaczenia. Spojrzał na Leopolda. – Natomiast ten gość jest czysty. Ale, jak sam powiedział, to ty chciałaś pełnić honory, podczas gdy on bezpiecznie czekał z boku.

Leopold wstał i popatrzył na Wyatt.

– Chyba czas to zakończyć.

Decker szybko dodał:

– Clyde Evers zapłacił twoim rodzicom sześć milionów dolarów, żeby nie puścili pary z ust na temat tego, co ci zrobił jego syn. Dom w Kolorado kosztował milion osiemset tysięcy. Nie przeprowadzali w nim żadnych remontów. Sprawdziliśmy ich dokumenty finansowe. Wydatki pochłaniały około dwudziestu procent środków z inwestycji. Reszta ulegała kumulacji. Akcje miały się dobrze. Przed śmiercią posiadali ponad dziesięć milionów w aktywach płynnych. Ale ktoś położył rękę na kodach dostępu i zaczął wyciągać pieniądze. Około miliona miesięcznie przez ostatnich dziewięć miesięcy. Nie zostało prawie nic. Wzięłaś te pieniądze, Belindo?

– To były pieniądze z łapówki za zamknięcie ust moim rodzicom. Powiedzieli mi, że jeśli pisnę słowo, już oni się postarają, żeby cały świat

dowiedział się o moim odchyleniu. Oni... robili mi zdjęcia, tam na dole. Zagrozili, że roześlą je do gazet. A więc nie, nie wziąłem tych pieniędzy. Nie chciałem tej... brudnej forsy. Splamionej moją krwią!

– Ciekawe, gdzie się w takim razie podziały? Może twój kumpel wie coś na ten temat.

Wyatt posłała Leopoldowi szybkie spojrzenie, lecz natychmiast przeniosła je z powrotem na Deckera.

– Zupełnie nie rozumiem, o czym mówisz – rzekła odruchowo.

– Leopold najwyraźniej pomógł wielu osobom, zakładając *W imię sprawiedliwości*. A tym osobom przydarzają się dwie rzeczy. Po pierwsze, znikają wszystkie ich pieniądze. Po drugie, *pr z y j a c i e*, którym pomaga, kończą jako denaci.

Decker nie miał pojęcia, czy to prawda, ale podejrzewał, że tak to wygląda. Gotówka, która wyciekła z konta Wyattów, musiała gdzieś się podziać. Wątpił, czy Leopold chciałby, żeby dowiedziała się o tym „spadkobierczyni”. Gdy spojrzął na Leopolda, wyraz twarzy mężczyzny utwierdził go w przekonaniu, że się nie myli.

– A powiedział ci, że zamordowano mu rodzinę? Żonę i córkę?

– Tak, zamordowano – potwierdziła Wyatt.

– No jasne.

– Sprawka policji.

– Nie, nie policji. O n i c h zabił.

Decker usłyszał odciążanie kurka w pistolecie.

– Gówno wylewa ci się uszami. Kłamiesz! – wrzasnęła Wyatt.

Gniew, brak panowania nad sobą, bardzo dobrze. Do rzeczy.

Decker wolno pokręcił głową.

– Czytałem akta. Oglądałem zdjęcia ofiar. Obie zostały uduszone. Przez powieszenie. Na karku, tam gdzie zacisnęła się pętla, wyciskając z nich życie, znaleziono osobliwy ślad. Niemal identyczny u obu. Austriacka policja głowiła się, co to jest. Byli zdezorientowani, ponieważ zabójca odciął ofiary i zabrał sznur. Byli zdezorientowani, bo absolutnie nie podejrzewali Leopolda. Ten farciarz miał i wtedy niepodważalne alibi, dostarczone przez kilku kumpli, którzy przysięgali, że przebywał w tamtym czasie w Niemczech. Gdyby policja uznała Leopolda za podejrzanego i trochę powęszyła, prawdopodobnie dotarłaby do prawdy stojącej za dziwnymi śladami na karku.

Decker poczuł na skroni lufę.

– Mówiłeś, że umarłeś już dwa razy? – wycedził Leopold. – No cóż, to jest do trzech razy sztuka.

– Widziałem już kiedyś taki ślad – ciągnął Decker. – W książce, którą czytałem dawno temu i którą oczywiście zapamiętałem, bo my nie zapominamy

niczego, prawda, Belindo? Sama tak powiedziałaś. – Umilkł i się jej przyglądał. Gdy wydawało się, że Wyatt ma zamiar otworzyć usta, zaczął mówić dalej ostrym tonem: – To się nazywa szlufa, czyli podwójna pętla zaciskowa. Jest podobna do wyblinki, ale z jednym przechwytem. Wprawiałem się w wiązaniu tego węzła podczas lotu z Utah. Odkryłem, że po zaciśnięciu w zasadzie nie sposób go rozwiązać. W gruncie rzeczy to jeden z najskuteczniejszych węzłów na świecie. Stosowany co najmniej od lat sześćdziesiątych dziewiętnastego wieku. Nazywany jest także pętlą artyleryjską. – Zerknął na Leopolda. – Potrafi go wiązać każdy żeglarz z prawdziwego zdarzenia. A zanim twój przyjaciel zaczął pływać na okrętach podwodnych, jako dorastający chłopak żeglował po Adriatyku z ojcem, rybakiem pracującym na morzu przez sześć miesięcy w roku. – Popatrzył na Wyatt. – Mogę opowiadać dalej. Jak wiesz, mam wszystko w głowie. Każdy fakt, każdy szczegół.

– Okręty podwodne? – prychnął pogardliwie Leopold. – Austria nie ma marynarki wojennej.

– Nie, ma ją za to Rosja. To tam wyjechałeś w wieku dziewiętnastu lat. Wywalili cię z rosyjskiej marynarki na zbity pysk za okradanie kolegów. Najwięcej czasu zajęło mi rozpracowanie twojego akcentu. Ponieważ stanowi mieszankę niemieckiego i rosyjskiego z angielskimi naleciałościami. – Spojrzał z ukosa na Leopolda. – Jist dobre, *Herr* Leopold? Tak powiedziałaś w barze. I ponownie tutaj, zaledwie minutę temu. Może nawet sobie tego nie uświadamiałaś?

Leopold uderzył go pistoletem w głowę. Decker zgiął się wpół. Noga i głowa bolały jak wszyscy diabli. Znosił ból lepiej niż większość ludzi. Nie można grać tak długo w futbol amerykański, jeśli nie ma się wysokiej tolerancji na ból. Ale kula wpakowana w głowę byłaby bezbolesna. Umarłby i już.

Podniósł wzrok na Wyatt, która patrzyła na Leopolda. Decker nie mógł zobaczyć jego twarzy, nie wiedział zatem, w którą stronę Austriak spogląda. W każdym razie poczuł mocniejszy nacisk lufy na skroni.

– Widziałaś guz na jego szyi, Belindo? Myślę, że Leopold jest nieuleczalnie chory i jest mu dokładnie wszystko jedno. W dodatku bierze prochy. I potrzebuje na nie pieniędzy. Uważam też, że lubi wyręczać się innymi. To oszust, który poluje na zdesperowanych ludzi, żeby ich wyrolować. A jeśli przy okazji uda mu się zarobić grube miliony, tak jak przy tobie, tym lepiej.

– Sebastianie? – przemówiła słabym głosem Wyatt.

Nie to Decker chciał usłyszeć. To mu się nie przyda.

– Zakłamanym śmierzdział – fuknął Leopold.

Także i ta reakcja nie zadowalała Deckera.

– To ty zabiłaś wszystkich tych ludzi, Belindo – warknął Decker. – Ale są tu luki w czasie. Mija prawie dwadzieścia lat i nagle porywasz Gilesa Eversa. Potem zabijasz moją rodzinę. Kto był następny? Twój rodzice? Chris Sizemore? I znów

przerwa. Potem Mansfield. Następnie Nora Lafferty.

– A teraz ty – prychnął Leopold.

– Po co te odstępny w czasie, Belindo? Dlaczego dopadłaś mnie dwadzieścia lat po fakcie? Czy to za jego sprawą? On cię nakłonił? Przez *W imię sprawiedliwości*? Czy dlatego zaczęłaś zabijać po upływie tak długiego czasu? Wiem, że pamiętałaś przez tych dwadzieścia lat to, co wtedy powiedziałem: że chcę zostać policjantem. Przypominam sobie wyraz osłupienia na twojej twarzy, twoje cierpienie. Ale nie zrobiłaś z tym nic. Przez tyle lat. Dopóki nie trafiłaś na tego koleśka i wszystkiego mu nie opowiedziałaś. O pieniądzach zdobytych przez rodziców szantażem. On dostrzegł swoją szansę. Przeinaczył moje słowa w twojej głowie i przekuł je w bezwzględną obsesję, zemstę totalną. Sprawił, że w tej krwawej wendecie ujrzałaś jedyną możliwość powetowania swoich krzywd. Jedyną rzecz, która trzymała cię przy życiu, bo inaczej nie miałybyś po co żyć.

– Niby dlaczego miałbym to robić? – zapytał Leopold. – To on się mścił, nie ja. To on szukał sprawiedliwości. To on się do mnie zgłosił!

– A więc to ona wpadła na pomysł, żeby przebrać się za wielkiego faceta miotającego ogniem, kładącego trupem bezbronne dzieciaki. – Decker popatrzył na Wyatt. – Chcesz mi powiedzieć, Belindo, że taki był twój zamysł? Że chciałaś uwieść taką niewinną młodą kobietę jak Debbie Watson i odstrzelić jej głowę? Sama to wymyśliłaś? Dziewczyna miała prawie tyle lat, co ty, kiedy cię zgwałcono. Była jedynie wystraszonego dzieckiem z nieszczęśliwego, popapranego domu. Tak jak ty! Pragnęła lepszego życia. A ty ją uwiodłaś. Rozkochałaś w sobie do tego stopnia, że nazywała cię Jezusem, swoim zbawcą. A później tak po prostu ją zabiłaś? Jakby była jakimś śmieciem? Jakby zupełnie się nie liczyła? Tak jak ty dla nikogo się nie liczyłaś? Postąpiłaś jak ludzie, którzy powinni cię chronić, a zrobili coś dokładnie odwrotnego? Tak wyobrażasz sobie zemstę, Belindo? Bo ja tego nie kupuję. To nie jesteś ty. Nieważne, jak bardzo się zmieniłaś. Nie mogłaś się zmienić do tego stopnia!

Wyatt milczała. Ale nie patrzyła na niego, co Decker wziął za dobry znak. Wpatrywała się w Leopolda.

Wstała ze skrzynki.

– Wzięłaś pieniądze moich rodziców?

– Niby po co? Wyglądam na faceta, który tarza się w forsie?

Decker nie zamierzał stracić kontroli nad sytuacją. Warknął:

– On to robi dla zabawy, Belindo. Lubi manipulować. Musiał być zachwycony twoją akcją w szkole. Była wyreżyserowana jak w teatrze. Może ma te pieniądze bezpiecznie odłożone w jakimś banku. Własnoręcznie zabił swoją rodzinę, więc dlaczego założył stronę *W imię sprawiedliwości*? Jedyne braki sprawiedliwości przejawia się w tym, że uszło mu na sucho morderstwo żony

i córki.

– Czy to prawda? – naciskała Wyatt.

Decker spodziewał się kolejnych zaprzeczeń. Nie doczekał się.

– Tak – powiedział dobitnie Leopold. – Ulżyło ci?

Odsunął broń od głowy Deckera. W tym samym momencie Decker rzucił się w bok, odpychając się od podłogi zdrową nogą i wlokąc za sobą krzesło.

Pistolet wystrzelił.

64

Decker runął z impetem na Leopolda, przeprowadzając wreszcie skuteczną akcję, co nie było mu dane przez dwie dekady. Poczł satysfakcję.

Leopold upadł na bok, powalony brutalną siłą uderzenia. Decker był pewien, że mężczyzna nigdy nie otrzymał tak silnego ciosu. Ci, którzy jedynie obserwują zawodowych futbolistów z bezpiecznej odległości stadionowych trybun albo przez duży ekran telewizora, nie są w stanie wyobrazić sobie niszczycielskiej siły potężnie zbudowanych facetów wpadających z ogromną prędkością na innych potężnie zbudowanych facetów. Można to porównać do wielokrotnego wypadku samochodowego. Nie tylko bolało – ogłuszało. Było szokiem dla całego organizmu pod tyłoma różnymi względami, że człowiek już nigdy później nie był taki jak wcześniej. Przesuwało kości, mięśnie, więzadła i mózg w miejsca, w których tkanki te nigdy nie powinny się znaleźć. Nic dziwnego, że tak wielu zawodników po zakończeniu kariery odczuwało długotrwałe destrukcyjne skutki dostarczania milionom rozrywki i zarabiania na tym wielkich sum.

Decker zwałił się na Leopolda, przygniatając całym ciężarem ciała znacznie drobniejszego, ważącego o połowę mniej mężczyznę. Kilka sekund później Decker poczuł smród. Uderzył w Leopolda z taką siłą, że ten mimowolnie opróżnił jelita.

Leopold go kopnął. Następnie próbował podnieść pistolet i strzelić, lecz Decker wykonał ten sam manewr co podczas szarpaniny z Bogartem: przyciskał go z całej siły. Czuł, jak z leżącego mężczyzny uchodzi powietrze. Szerokim, masywnym barkiem blokował jego prawe ramię, nie pozwalając mu na zgięcie ręki.

Austriak starał się za wszelką cenę przekręcić pistolet w stronę napastnika, żeby móc oddać do niego strzał, ale taki ruch był niemożliwy. Przy skierowanej w ten sposób lufie palec nie dosięgał spustu. Broń stała się bezużyteczna, co oznaczało, że było to starcie człowiek kontra człowiek. Przy takiej różnicy wzrostu i masy wynik wydawał się przewidywalny.

Leopold chyba to rozumiał, ponieważ wbił kolano w ranę Deckera. Decker krzyknął z rozdzierającego bólu. Zamknął jednak oczy, zacisnął zęby i stopniowo prostował nogi, zgięte w pozycji wymuszonej przez krzesło i taśmę klejącą. Poczł, jak taśma się naciąga, jednak się nie rozerwała. Decker nie dawał za wygraną, napierał, rozciągał i znów napierał, aż wreszcie jego ciało wyprostowało się

i ponad trzysta pięćdziesiąt funtów przywarło płasko do dużo mniejszego przeciwnika.

Oddech Leopolda się rwał. Mężczyzna wykonał gwałtowny ruch, próbując zrzucić z siebie Deckera. Ten jednak leżał na piersi Leopolda niczym słoń.

I wtedy Decker zaczął robić coś, do czego nigdy nie posunąłby się w szarpaninie z Bogartem, jako że nie zamierzał pozbawiać życia agenta FBI. Natomiast jak najbardziej miał zamiar zakończyć życie uwięzionego pod nim człowieka. Gdyby nie krępowała go taśma, już by go zabił. Ale jeszcze zdąży, musi tylko uzbroić się w cierpliwość.

Zaczął więc powoli przesuwając prawy bark w innym kierunku, cał po cału, podczas gdy drugim barkiem oraz ramieniem nieprzerwanie blokował rękę z pistoletem, w rezultacie pozbawiając przeciwnika broni.

Smith & wesson tym razem nikogo nie zabije.

Leopold nie przestawał kopać, wierzgać i się miotać, ale możliwość ruchów miał mocno ograniczoną, w dodatku zawężała się ona coraz bardziej. Decker nie otwierał oczu, lecz po jego twarzy płynęły łzy bólu. Żółć podeszła mu do gardła i wymiotował na Leopolda.

Drobniejszy z mężczyzn krztusił się, pluł, zaklął i także szarpnęły nim torsje. Wiedział, że kończy mu się czas, i bynajmniej nie zamierzał potulnie się poddać.

Decker cierpiał potworny ból; rana obficie krwawiła. Czuł, że utrata krwi zaczyna nadwątlać mu siły. Ale w zasadzie nie potrzebował wielu sił. Wystarczyło, że skupi ciężar na jednym punkcie. Pracował nad tym, aż wreszcie jego masywne ramię znalazło się w zagłębieniu, do którego tak nieustępliwie próbował dotrzeć.

Pod brodą Leopolda i bezpośrednio na jego gardle.

I wtedy Decker pozwolił ciału opaść całym ciężarem na ten jeden punkt. Bose stopy dotknęły betonowej podłogi, pozwalając nogom się zaprzeć i zwiększyć siłę nacisku. Decker wypchnął do przodu miednicę, a wraz z nią tęgie ramię, wtłaczając je w tchawicę i przygniatając klatkę piersiową Leopolda z taką mocą, by płuca nie mogły wypełnić się powietrzem. Z ogromnego wysiłku wielki brzuch Deckera wydymał się przez rozpięty kombinezon. Choć w pomieszczeniu było chłodno, Decker ociekał potem. Nie miał zamiaru przestać, póki nie dokończy dzieła. Serce waliło mu jak młotem, puls całkowicie wymknął się spod kontroli. Czuł zawroty głowy i mdłości. Zdawało się, że głowa jest gotowa pęknąć lada chwila. Ale nie myślał o żadnej z tych rzeczy. Skupiał się wyłącznie na jednym: na zabiciu tego człowieka.

Decker runął na przeciwnika całym ciężarem, robiąc z siebie możliwie najcięższy balast. Żałował, że nie waży tony. Nacierał i nacierał, jakby raz po raz uderzał na treningu w blokującego manekina. Na boisku nie dorównywał innym talentem, ale zapału nigdy mu nie brakowało. I nikt, od wielkich gwiazd futbolu po zwykłych czeladników, nigdy nie pracował ciężiej od niego.

Nadszedł więc jego wielki moment. Ostateczna rozgrywka, wieńcząca wszystkie inne.

Słyszał zipanie, ale to za mało.

Cisnął dalej. Był jak pętla artyleryjska. Jak podwójny węzeł zaciskowy. Nie ustanie, póki nie będzie po wszystkim. Nie odpuści.

Słyszał bulgotanie, ale to wciąż za mało.

Docisnął mocniej. Jak wieloryb na szprotce. Nigdy dotąd nie czerpał ze swej otyłości tak wielkiej satysfakcji. Miał ochotę połknąć tę nędzną kreaturę w całości. Zetrzeć ją na proch.

Usłyszał długi, cichy wydech. Jeszcze nie dość.

Natarł z całych sił. Przed oczami wirowała taśma. Każda ofiara, każda twarz przesuwały się w myślach, podczas gdy on powoli zabijał ich mordercę.

Nagle wideo zwolniło i zatrzymało w kadrze dwie twarze. Cassie i Molly. Tylko ten jeden obraz w przepastnej jaskini, jaką stał się jego umysł. Mieścił się tam cały przekłety wszechświat; zmieściłoby się i więcej, bo otchłań nieustannie się poszerzała. W tej jednak chwili znajdowały się tam tylko te dwie twarze. Nic więcej. Czuł, że tak powinno być. Że tak jest sprawiedliwie.

Naparł jeszcze raz, mamrocząc: „Kocham cię, Cassie. Kocham cię, Molly. Tak bardzo kocham was obie”.

A później nie słyszał już nic. Kompletnie nic.

Płuca nie nabrały powietrza, ponieważ nie były już w stanie.

Ciało Leopolda zwiotczało, pistolet upadł na betonową posadzkę.

Teraz wystarczy.

Podniósł głowę i popatrzył na mężczyznę.

W życiu tylko kilka rzeczy było pewnych.

W śmierci było ich wiele.

Widział przed sobą trzy z nich.

Szeroko otwarte oczy.

Nieruchome źrenice.

Mimowolnie opadające kąciki ust.

Nie żył.

Wizerunki żony i córki powoli się rozmywały, jak w końcowej scenie filmu.

Tak bardzo mi was brakuje. Zawsze będę za wami tęsknił.

Sturlał się z Leopolda i przez kilka minut leżał, ciężko dysząc. Nie zmęczył się tak w całym swoim życiu. Ścisnął mu się żołądek, serce i rana w nodze pulsowały. Czuł obrzęk na twarzy, w miejscu, gdzie Leopold uderzył go lufą pistoletu. Wraz z gwałtownym biciem serca krew zaczęła szybciej wypływać z rany na udzie.

Ale ogólnie – a przynajmniej w przeważającej części – czuł się dobrze. Wręcz fantastycznie.

Zdołał wreszcie wstać razem z krzesłem oraz sflaczałą, rozciągniętą taśmą klejącą, którą nadal był owinięty, choć zajęło mu to dobre pięć minut. Kilkakrotnie rzucał się na ścianę, póki nie połamał krzesła na kawałki. Szarpał i rwał taśmę, aż wreszcie całkowicie się z niej wyswobodził i wyszedł ze swego więzienia.

Obrócił się i spojrzał w głąb pomieszczenia. Nie widział go wcześniej, pochłonięty zapasami z Leopoldem, lecz mimo to wiedział.

Nie przyłączyła się do walki: ani po jego stronie, ani po stronie Leopolda.

Musiał istnieć jakiś powód.

Właśnie ujrzał go przed sobą.

A jednak się mylił. Smith & wesson odebrał jeszcze jedno życie. Bądź zaraz to uczyni.

Chwiejnym krokiem podszedł do leżącej na podłodze Wyatt. Krew nadal wypływała z piersi, której dosięgła kula.

Klęknął obok niej. Wyglądała zdecydowanie bardziej męsko niż kobieco. Ale dla niego pozostanie na zawsze kobietą. Czy raczej szesnastoletnią dziewczyną, która tak wiele wycierpiała. Zbyt wiele. Więcej niż ktokolwiek powinien w swoim życiu wycierpieć.

Doktor Marshall powiedział, że w obecnych czasach osoba interseksualna, taka jak Belinda, zawsze uczestniczy w procesie podejmowania decyzji, jaką płć chce przyjąć, ostatecznie i całkowicie. Jednak żaden człowiek nie powinien nigdy czuć przymusu wybrania płci męskiej tylko dlatego, że przeraźliwie boi się być kobietą.

Jeszcze żyła, ale wkrótce skona. W kałuży wokół niej zebrało się więcej krwi, niż pozostało w żyłach. Nie miał czym zatamować krwotoku.

A prawdę mówiąc, nie miał też takiej woli.

Spojrzał najpierw na jej dłonie. Dłonie, które udusiły jego córkę. Potem na palec, który pociągnął za spust pistoletu i zabił jego żonę. Dłonie, które rozcinały gardła, strzelały z broni palnej, owinięły w folię matkę i ojca oraz ugodziły nożem agentkę FBI.

Przeniósł wzrok na jej twarz. Oczy zaczynały nieruchomieć, oddech się uspokajał. Przejście w stan śmierci rozpoczęło się na dobre. Mózg informował resztę ciała, że to już koniec i że wkrótce wszystkie funkcje wygasną. Czynił to w sposób uporządkowany i spokojny, jakby przyczyną zgonu wcale nie była brutalnie wyrwana dziura w sercu.

Decker też już kiedyś umarł. Nie pamiętał białego światła ani tunelu z jaskrawym blaskiem na końcu, ani chórów anielskich. Człowiek, który nie potrafił niczego zapomnieć, nie zapamiętał niczego z procesu umierania. Nie miał pojęcia, czy należy się z tego cieszyć, czy nie. Po prostu chciał żyć.

Kucnął obok niej. Jakaś część jego jestestwa miała ochotę chwycić za pistolet Leopolda i palnąć Belindzie w łeb. Inna pragnęła użyć tych wielkich

łapsk i zmiądzzyć resztki tłącego się w niej jeszcze życia. Szybciej wysłać ją tam, dokąd nieuchronnie zmierzała.

Ale tego nie zrobił. Jej oczy mrugnęły tylko raz i spoczęły na jego twarzy. Był w nich taki wyraz – pojawił się przelotnie, a może Decker tylko to sobie wyobraził, nie potrafił powiedzieć – że wydawało mu się, iż patrzy na przerażoną szesnastoletnią dziewczynę z instytutu.

Westchnął, przymknął na chwilę powieki, ale nawet nie próbował przetwarzać w myślach tej niewyobrażalnej, wszechogarniającej tragedii.

Siedział i patrzył na jej agonię. Kiedy dokonała żywota, zamknął jej oczy. Nie mógł jednak zamknąć niczego, co wydarzyło się wcześniej. Wiedział, że tak pozostanie na zawsze.

Czy tego chciał, czy nie, Amosa Deckera, Sebastiana Leopolda i Belinę Wyatt połączyły więzy, tak w życiu, jak i w śmierci.

Na zawsze.

Odczuwał jednak ogromną ulgę, że to jemu przypadła pozycja stojąca.

65

Ławka.

Wigilia Bożego Narodzenia.

Prószył śnieg. Osiadał na białej pierzynie, która zdążyła się utworzyć przez ostatnie trzy dni. Sklepy pozamykano. Zakupy zrobione. Po katastrofalnych wydarzeniach w Mansfield całe Burlington szykowało się do snu, by obudzić się w spokojny, cichy dzień w otoczeniu rodziny.

No, powiedzmy, że prawie całe.

Amos Decker siedział na ławce, spoglądając na Mansfield High.

Lecz tak naprawdę patrzył... na nic.

Ze względu na zimową aurę miał na sobie nowy płaszcz oraz czapkę z nausznikami i wełnianą wyściółką. Na dłoniach rękawiczki, stopy obute w nowiutkie, solidne śniegowce w rozmiarze czternaście.

Udo prawie się zagoiło, choć na zawsze pozostanie blizna w miejscu, gdzie Belinda Wyatt ugodziła go nożem, zadając mu ranę zarówno symbolicznie, jak i dosłownie.

Decker wsiadł do furgonetki i dojechał do centrum handlowego odległego o trzydzieści mil, kierując się wskazówkami GPS-u w telefonie Leopolda. Zadzwoił do Bogarta i poinformował go, gdzie się znajduje. Bogart wezwał lokalne pogotowie lotnicze, które przyleciało zaskakująco szybko. Na miejscu dokonano oględzin rany i przewieziono go helikopterem do najbliższego szpitala. Przed odjazdem zdołał założyć na nogę opaskę uciskową, ale i tak stracił ponad litr krwi, zanim nadeszła pomoc.

Podał też Bogartowi lokalizację kryjówki Leopolda i Wyatt. Miejsce zbrodni dokładnie przeszukano, ale dwoma zdecydowanie najważniejszymi dowodami były

dwa ciała leżące od siebie w odległości niespełna sześciu stóp.

Jedna ofiara zastrzelona z pistoletu kaliber 45, na którym ciążyła długa historia zbrodni.

Dруга dosłownie uduszona przez tęgiego mężczyznę.

Obie zasługiwały na taki koniec. I tylko jedna z zamordowanych przez tę dwójkę osób także zasługiwała na śmierć. Nigdy nie odnaleziono zwłok Gilesa Eversa. Ale, jak zapowiedziała Belinda Wyatt, do jego ojca przyszła paczka.

Clyde Evers podobno padł trupem po jej otwarciu.

Otrzymanie pocztą odciętej głowy z pewnością może przyprawić o nagłą śmierć.

Decker dokonał korekty. Może zatem d w i e osoby zasługiwały na śmierć.

A nawet cztery, jeśli włączyć do tego grona rodziców Belindy, którzy z czystej zachłanności zwrócili się przeciwko własnej bezbronnej córce, kiedy najbardziej ich potrzebowała.

Nie chciał rozmyślać o śmierci w przeddzień Bożego Narodzenia. Ale był nią zewsząd otoczony, wypierała całą resztę.

Odwiedził groby żony i córki. Lancaster sprawiła mu niespodziankę, bo i ona zjawiała się na cmentarzu, kładąc kwiaty na płytach nagrobnych. Gawędzili przez kilka minut, wyrywając odrobinę normalności z okoliczności niezaprzeczalnie anormalnych.

Decker siedział na ławce, ponieważ w Residence Inn wydawano świąteczne przyjęcie dla gości, którzy przyjechali na ferie. Nie miał najmniejszej ochoty uczestniczyć w tego rodzaju imprezie. Dlatego przedkładał zaśniewoną ławkę nad rozcieńczony ajerkoniak oraz ludzi wyłuskujących go z tłumu, by wdawać się z nim w ożywione, lecz banalne konwersacje, których ani nie umiał prowadzić, ani sobie nie cenił.

Zapadła decyzja, że szkoła Mansfield zostanie otwarta ponownie od przyszłego roku szkolnego. Do tego czasu zdążą gruntownie zmyć całą krew, lecz wszystkie inne plamy pozostaną tam już na zawsze. Na uroczystym otwarciu szkoły miał być obecny gubernator i wygłosić przemówienie.

Decker nie planował uczestniczyć w tej ceremonii.

Miasto zamurowało wejście do podziemnego korytarza prowadzącego ze szkolnej stołówki do sali zajęć praktyczno-technicznych. Wojsko miało oficjalnie zacementować tunel łączący szkołę z bazą. Drugiego stycznia buldożery wjadą i zrównają z ziemią cały teren dawnej bazy, a następnie wywiozą gruz na cmentarzisko starych placówek militarnych.

Gdy podano do publicznej wiadomości informacje o tożsamości zabójców oraz okolicznościach ich śmierci, z całego kraju zjechali się dziennikarze. Bogartowi udało się nie mieszać do tego Deckera. Agent FBI okazał się przyzwoitym człowiekiem, który troszczył się o sprawy warte troski.

Większość ludzi marzyłaby o sławie bohatera, który powstrzymał dwójkę morderców, narażając własne życie. W dzisiejszych czasach można by zbić na tym fortunę: kontrakty na książkę i film, udział w reklamach, propozycje dołączenia do zespołu renomowanych agencji detektywistycznych, zaproszenia na wystawne przyjęcia wydawane przez wpływowe osoby trzęsące światem. Decker mógłby mieć miliony obserwujących w sieci, czyhających na każdy jego tweet czy zdjęcie na Instagramie.

On jednak wolałby od tego kulę w głowę.

Zgodził się, żeby Bogart kupił mu nowe ubrania i buty, które zastąpiły stare, wyrzucone przez Leopolda i Wyatt. Dla biedaka każda strata jest dotkliwa.

Bogart błagał Deckera, by ten przyjął od rządu federalnego wynagrodzenie za swoją pracę. Kapitan Miller uczynił to samo w imieniu wydziału policji Burlington.

– Zostałeś zatrudniony w charakterze konsultanta, Amosie – powtarzał w kółko, aż wreszcie dał za wygraną.

Decker odmówił wszystkim.

Nie postąpił tak bynajmniej ze szlachetnych pobudek. Potrzebował pieniędzy na życie. Nie wstydził się brać tego, co mu się należało.

Odmówił z powodu poczucia winy.

Stałem przed Belindą i oznajmiłem, że chcę zostać policjantem. Ponieważ policjanci strzegą bezpieczeństwa ludzi. Ona tego nie zapomniała i przekręciła niewinne słowa w zapowiedź czegoś złowieszczonego. A gdy pojawił się Leopold i dolał oliwy do ognia, wzniecając pożar, nieświadomie spowodowałem śmierć tak wielu osób, łącznie z tymi dwiema, bez których nie potrafię żyć.

Nieważne, że wszystko stało się niechcący. Dla zmarłych z pewnością nie miał znaczenia fakt, że nie było w tym jego zamiaru. Przecież zawsze istnieje przyczyna i skutek.

A przyczyna to ja.

Skutek zaś był zbyt przerażający, by w ogóle o nim myśleć, choć wydawało się, że Decker nie potrafił myśleć o niczym innym.

Nie mógł sobie pozwolić na pławienie się we własnym nieszczęściu, uzalanie się nad sobą, roztrząsanie w nieskończoność osobistych dylematów. Musi zarabiać na utrzymanie, dlatego wkrótce wstanie z tej ławki i rozejrzy się za pracą zarobkową. Teraz jednak, w tej chwili, tego wieczoru, zanim nadejdzie Święty Mikołaj, posiedzi sobie na ławce, poużala się nad sobą i przynajmniej poudaje, że roztrząsa ważne życiowe problemy.

A może wcale nie.

Przysiadł się do niego i skrzyżował nogi, lekko drząc z zimna.

Decker patrzył przed siebie.

– Sądziłem, że jesteś już w Waszyngtonie.

Bogart wzruszył ramionami.

– Byłem, ale zostawiłem tu niedokończone sprawy.

– Jest Wigilia. Rodzina za tobą nie tęskni?

– Jaka rodzina?

– Nosisz obrączkę na palcu.

– Jestem w separacji, Decker. To świeża historia.

– Przykro mi to słyszeć.

– Jej nie jest przykro i szczerze mówiąc, mnie też nie.

– Dzieci?

– Ona pracuje o nieludzkich porach. Więc nigdy nie udało nam się znaleźć jednocześnie czasu... Wyatt powiedziała ci, że uprawiała seks z Debbie Watson?

– Kłamała – odparł Decker.

– Skąd wiesz? Bo masz rację: autopsja wykazała, że nie przeszła pełnej przemiany w mężczyznę. Brakowało s p r z ę t u.

– Przez cały czas siedziała ze złączonymi kolanami. Dla faceta to trudne. A co więcej, nie sądzę, by naprawdę chciała stać się mężczyzną. Życie podjęło za nią tę decyzję. Ale nie poszłoby na całość.

Obaj umilkli.

– Okej, a przechodząc do rzeczy, chciałbym, żebyś ze mną pracował.

Decker odwrócił się do Bogarta.

– Co to dokładnie oznacza?

– Dokładnie oznacza to pracę w FBI.

Decker pokręcił głową.

– Nie przeszedłbym testów sprawnościowych. Niczego bym nie zdał.

– Oczywiście nie byłbyś agentem specjalnym. Ale przydzielono mi zadanie utworzenia jednostki do zadań specjalnych, którą miałbym dowodzić. Składałaby się z fachowców z szerokiego zakresu profesji i dyscyplin, łącznie z osobami cywilnymi. Jej celem byłoby chwywanie naprawdę groźnych przestępców. Nie znam nikogo, kto nadawałby się do tej roboty lepiej niż ty.

– Przecież ja się w niczym nie specjalizuję.

– Byłeś policjantem, później detektywem. Masz doświadczenie i Bóg jeden wie, że także łeb na karku.

– Nie musisz tego robić, Bogart. Kupiłeś mi buty i ubrania.

– Nie robię tego dla ciebie. Robię to dla s i e b i e. Chcę piąć się w górę. Nie zostało mi nic prócz kariery. Dobiegam pięćdziesiątki. Muszę czym prędzej włączyć turbodoładowanie, bo inaczej tracę tylko czas. Sądzę, że przy współpracy z tobą moje szanse na rozszyfrowanie naprawdę trudnych spraw wydatnie rosną. Przyjdzie awans. Nie miałbym nic przeciwko szefowaniu tej instytucji w przyszłości.

– Masz na myśli wyjazd z Burlington?

Bogart patrzył prosto przed siebie.

– Byłby to dla ciebie problem?

– Tego nie powiedziałem.

– A więc n i e b y ł o b y to problemem?

– Tego też nie powiedziałem.

Bogart spojrzał na Deckera.

– Mogę przejść do sedna i podbić stawkę?

Decker milczał, ale nieznacznie kiwnął głową.

Bogart wziął do ręki telefon i błysnął światelkiem. Chwilę później Decker usłyszał zbliżające się kroki.

Alex Jamison weszła w krąg światła rzucanego przez uliczną latarnię. Miała na sobie długi zimowy płaszcz i kozaki, głowę otuliła szalem. Zatrzymała się przed ławką i spojrzała na dwóch mężczyzn.

Decker podniósł głowę, a następnie przeniósł wzrok na Bogarta.

– Coś mi umknęło? – zapytał.

– Sądziłem, że to będzie oczywiste – rzekł Bogart. – Dla takiego bystrzaka jak ty.

Decker znów popatrzył na Jamison.

– Złożył mi taką samą propozycję. Choć myślę, że bardziej ze względu na ciebie niż na mnie.

– W trakcie śledztwa dokonała kilku pożytecznych odkryć – wyjaśnił Bogart.

– Wykazała się odwagą i intuicją. Wiem, że jest z zawodu dziennikarką, ale szukam utalentowanych osób, gdzie tylko się da.

– Jesteś gotowa wyjechać z Burlington? – zapytał ją Decker.

– Prawdę powiedziawszy, już to zrobiłam.

– A co z karierą reporterską?

– Andy Jackson nauczył mnie, że trzeba poszukiwać prawdy. Wydaje mi się, że odnosi się to także do twojej profesji. I może praca z Bogartem przyniesie więcej pożytku niż oglądanie w gazecie własnego nazwiska.

Decker zerknął na Bogarta.

– Czy kapitan Miller wie o twojej propozycji?

– Tak. Nie jest nią szczególnie zachwycony, ale rozumie. Zamierza awansować Lancaster na swoją zastępczynię. A gdybyś nie wiedział, zaczęła brać lekarstwa na drżenie ręki. Okazały się skuteczne. Przybrała też nieco na wadze, od kiedy rzuciła palenie.

Decker pokiwał głową, ale nie przerywał milczenia.

– Więc się zastanowisz? – zapytał Bogart.

– Nie.

– Decker... – zaczęła protestować Jamison.

– Nie zastanowię się, ponieważ już się zdecydowałem.

Bogart i Jamison wymienili zaskoczone spojrzenia.

Decker popatrzył na nich oboje.

– Ale dziś wieczorem wolałbym zostać... tutaj. Sam.

Bogart wstał, a w tej samej chwili Jamison zapowiedziała:

– Wrócimy jutro. I już nigdy więcej nie będziesz sam. Myślę, że twoja samotność trwała wystarczająco długo.

Odwrócili się i zaczęli się oddalać, ale Jamison obejrzała się jeszcze przez ramię.

– Wesółych świąt, Amosie.

Podziękował skinieniem głowy. Bogart i Jamison wkrótce zniknęli z pola widzenia.

Amos Decker zamknął oczy.

A wraz z nimi zamknął swój umysł.

Choćby tylko na krótką chwilę.

Choćby na chwilę.

Podziękowania

Dla Michelle, za to, że zawsze znajdowała dla mnie czas.

Dla Mitcha Hoffmana za fantastyczną pracę redakcyjną.

Dla Arnauda Nourry'ego oraz Michaela Pietscha za wybrnięcie z gracją i opanowaniem z wyjątkowo trudnej sytuacji.

Dla Jamie Raab, Lindsey Rose, Sonyi Cheuse, Karen Torres, Anthony'ego Goffa, Boba Castillo, Michele McGonigle, Andrew Duncana, Ricka Cobbana, Briana McLendona, Lukasa Fauseta oraz wszystkich z Grand Central Publishing za otoczenie mnie znakomitą opieką.

Dla Aarona i Arleen Priestów, Lucy Child Baker, Lisy Erbach Vance, Frances Jalet-Miller, Johna Richmonda oraz Melissy Edwards za gładką współpracę przy ponad trzydziestu książkach.

Dla Anthony'ego Forbesa Watsona, Jeremy'ego Trevathana, Marii Rejt, Trishy Jackson, Katie James, Natashy Harding, Sary Lloyd, Lee Dibble'a, Stuarda Dwryera, Geoffa Duffielda, Jonathana Atkinsa, Stacey Hamilton, Jamesa Longa, Anny Bond, Sarah Willcox, Leanne Williams, Sarah McLean, Charlotte Willimas i Neila Langa z Pan Macmillan za wasz niesłychany wysiłek włożony w moją sprawę.

Dla Praveena Naidoo oraz jego zespołu w Pan Macmillan w Australii, którzy pomogli mi na antypodach wznieść się na prawdziwe wyżyny.

Dla Sandy Violette i Caspiana Dennisa za nieustające wsparcie.

Dla Rona McLarty'ego i Orlagh Cassidy za wasze fantastyczne talenty lektorskie. Uwielbiam słuchać was obojga, mimo że znam zakończenie!

Dla Stevena Maata oraz całego zespołu Bruna za nieustające podkreślanie mojej kariery w Holandii.

Dla Boba Schulego za wzniesienie się ponad ból oraz za kolejne wnikliwe spojrzenie.

Dla Rolanda Ottewella za wspaniałą (i szybką) adiustację tekstu.

Dla Kristen i Natashy za sprawne prowadzenie Columbus Rose.

Przypisy

[1] Amerykański rozmiar obuwia męskiego 14 odpowiada europejskiemu rozmiarowi 48 [przyp. tłum.]. [2] ZSP – zespół stresu pourazowego [przyp. tłum.].

[3] Minus osiemnaście stopni Celsjusza [przyp. tłum.]. [4] Plus osiem stopni Celsjusza [przyp. tłum.]. [5] Europejskie odpowiedniki amerykańskich rozmiarów obuwia męskiego: 9 odpowiada rozmiarowi 42; 9,5–42,5; 11–44,5 [przyp. tłum.].

[6] Gra słów: po angielsku *mallard* oznacza kaczkę krzyżówkę, a *duck* to kaczka [przyp. tłum.]. [7] *Daisy* (ang.) – stokrotka [przyp. tłum.]. [8] ViCAP – The Violent Criminal Apprehension Program. Program FBI, którego celem jest tropienie

wyjątkowo niebezpiecznych i brutalnych przestępców [przyp. tłum.]. [9] *Mercy* (ang.) – miłosierdzie, litość [przyp. tłum.].

ŚLADY



ZBRODNI

W PUŁAPCE PAMIĘCI

Detektyw Amos Decker na skutek urazu głowy zyskał niezwykłą zdolność: niczego nie zapomina. Umiejętność, która pozwala mu znakomicie wykonywać policyjną robotę, staje się jego przekleństwem – mężczyzna nie może wymazać z pamięci szczegółów żadnego morderstwa. Po przeżyciu osobistej tragedii detektyw znalazł się na dnie – stracił dom, pracę, sens życia. Gdy w miejscowej szkole dochodzi do makabrycznej zbrodni, Decker zostaje włączony w śledztwo i wpada na trop, na który nikt wcześniej nie zwrócił uwagi. Szybko jednak przestaje być jasne, kto na kogo poluje...

Wartka akcja, wyjątkowy bohater, wciągająca intryga.

„Washington Post”

Mocne otwarcie nowej serii bestsellerowego autora.

„Publishers Weekly”

**W przygotowaniu drugi tom
serii z Amosem Deckerem**



WYDAWNICTWO
DOLNOŚLĄSKIE

www.publicat.pl

ISBN 978-83-271-5540-5

EAN 9788327155405

U.WD.KRW063.1.01.01

